

**ROBERT  
LUDLUM**

**PAKT  
HOLCROFTA**

**PRZEKŁAD: JACEK MANICKI**

*Michaelowi i Laurze –  
uroczej, utalentowanej, wspaniałej parze.*

# Spis treści

Spis treści .....	3
Prolog .....	4
1 .....	5
2 .....	9
3 .....	15
4 .....	27
5 .....	36
6 .....	43
7 .....	50
8 .....	57
9 .....	64
10 .....	72
11 .....	81
12 .....	87
13 .....	94
14 .....	101
15 .....	107
16 .....	115
17 .....	121
18 .....	128
19 .....	136
20 .....	143
21 .....	150
22 .....	156
23 .....	165
24 .....	174
25 .....	180
26 .....	188
27 .....	194
28 .....	200
29 .....	207
30 .....	217
31 .....	223
32 .....	230
33 .....	240
34 .....	247
35 .....	255
36 .....	260
37 .....	265
38 .....	274
39 .....	281
40 .....	288
41 .....	295
42 .....	304
43 .....	310
44 .....	318
45 .....	325
46 .....	333
Epilog .....	339

# Prolog

## MARZEC 1945

Okręt podwodny, przypominający z sylwetki spętanego behemota, kołysał się na falach przycumowany do ogromnych pachołków. Opływowe linie jego dziobu wcinają się łukami w blask wstającej nad Morzem Północnym jutrzeńki.

Baza znajdowała się w zatoce Helgoland, na wyspie Scharhorn, leżącej kilka mil od wybrzeży Niemiec i ujścia rzeki Elby. Mieściła się tu stacja paliwowa, której nigdy nie udało się wykryć alianckiemu wywiadowi. Ze względów bezpieczeństwa była mało znana nawet strategom z samego Najwyższego Dowództwa hitlerowskich Niemiec. Podwodni korsarze wpływali tu i wypływali pod osłoną ciemności, wynurzając się i zanurzając w obrębie kilkusetmetrowego cumowiska. Byli mordercami Neptuna ściągającymi do domu na chwilę wytechnienia lub wyruszającymi w morze, by dalej nękać wroga.

Jednak tego szczególnego poranka podwodny okręt przycumowany do brzegu ani nie odpoczywał po odbytych łowach, ani nie szykował się do kolejnego bandyckiego rejsu. Dla niego ta wojna się skończyła. Zadanie, jakie przed nim stało, wybiegało już swoimi konsekwencjami w przyszłość, ku początkom następnej wojny.

Na pomoście kiosku stało dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w mundur kapitana niemieckiej marynarki wojennej, drugi, wysoki cywil, stał w długim, ciemnym płaszczu z kołnierzem uniesionym dla osłony przed wiatrami Morza Północnego, ale bez kapelusza, jakby na przekór zimie. Obaj spoglądali w dół na długi sznur pasażerów, który wolno posuwał się ku trapowi przerzuconemu ze śródokręcia. Przy trapie sprawdzano na liście nazwisko każdego podchodzącego, po czym wprowadzano lub wnoszono go na pokład okrętu.

Kilkoro szło samodzielnie. Byli to najstarsi, z których część ukończyła dwanaście albo trzynaście lat. Resztę stanowiły dzieci: niemowlęta niesione na rękach przez wojskowe pielęgniarki o surowych twarzach, oddawane przy trapie przedstawicielom zespołu lekarzy marynarki wojennej; przedszkolaki i pierwszoklasiści, ściskający w dłoniach identyczne worki podróżne, trzymający się za ręce, spoglądający ciekawie na niezwykle, czarny okręt, który na kilka nadchodzących tygodni miał się stać ich domem.

— Nieprawdopodobne — odezwał się oficer. — Wprost nie do uwierzenia.

— To dopiero początek — powiedział mężczyzna w płaszczu, z zastygłą twarzą o ostrych, kanciastych rysach. — Zewsząd napływają meldunki. Z portów i górskich przełęczy, z ocalałych lotnisk rozsianych po całej Rzeszy. Opuszczają kraj tysiącami. Zdążają do wszystkich części Świata. I wszędzie ktoś na nie czeka. Wszędzie.

— Niezwykłe przedsięwzięcie — stwierdził oficer potrząsając z podziwem głową.

— To tylko jeden aspekt ogólnej strategii. Cała operacja jest niezwykła.

— Zaszczytem jest gościć pana tutaj.

— Sam chciałem przy tym być. To ostatni transport. — Wysoki cywil nie odrywał wzroku od rozciągającego się w dole pokładu. — Trzecia Rzesza umiera. One są jej odrodzeniem. Stanowią Czwartą Rzeszę. Nie są obciążone miernotą i zepsuciem. *Sonnenkinder*. Rozsiane po całym świecie.

— Dzieci...

— Dzieci Potępionego — dokończył wysoki mężczyzna. — Są Dziećmi Potępionego, jakimi staną się miliony. Ale nikt nie będzie taki jak one. A one będą wszędzie.

# 1

## STYCZEŃ 197...

— *Attention! Le train de sept heures a destination de Zurich partira du quai numero douze.*

Wysoki Amerykanin w granatowym prochowcu podniósł wzrok ku sklepieniu genewskiego dworca kolejowego, wypatrując tam ukrytych głośników. Na jego twarzy o ostrych, kanciastych rysach malowało się zakłopotanie. Komunikat wygłoszony został po francusku. W języku, w którym znał zaledwie kilka słów, a rozumiał jeszcze mniej. Mimo to wyłowił słowo *Zurich*, które było dla niego sygnałem. Odgarnął na bok niesforny kasztanowy kosmyk, który z denerwującą regularnością opadał mu na czoło, i skierował swe kroki ku północnej części dworca.

Wokół panował niesamowity tłok. Obok Amerykanina przelewały się we wszystkich kierunkach tłumy bezimiennych ludzi spieszących ku wejściom na perony, by rozpocząć tam podróże do dziesiątek rozmaitych miejsc przeznaczenia. Można było odnieść wrażenie, że nikt nie zwraca uwagi na zgrzytliwe komunikaty przetaczające się echem pod sklepieniem dworcowej hali z niezmienną metaliczną monotonią. Podróżni na genewskim *Bahnhof* znali drogę. Był koniec tygodnia; w górach spadł świeży śnieg, a na zewnątrz panowało rześkie i mroźne powietrze. Każdy gdzieś jechał, miał jakieś plany, z kimś się umówił, Czas to pieniądz. Wszyscy się spieszyli.

Amerykanin spieszył się również, też był z kimś umówiony. Zanim jeszcze rozległ się komunikat, sprawdził, że pociąg do Zurychu odjeżdża z peronu drugiego. Zgodnie z planem miał zejść rampą na peron, odliczyć sześć wagonów od tyłu składu i wsiąść pierwszym wejściem do siódmego. Znalazłszy się w środku miał znowu odliczyć, tym razem pięć przedziałów, i zapukać dwa razy w piątę drzwi. Jeśli się nie pomyli, otworzy mu dyrektor La Grande Banque de Geneve, co będzie oznaczało uwieńczenie dwunastu tygodni przygotowań do tego spotkania. Przygotowań obejmujących depesze o niejasnej treści, transatlantyckie rozmowy telefoniczne prowadzone z aparatów, które szwajcarski bankier uznał za sterylne, oraz zobowiązanie do zachowania całkowitej dyskrecji.

Nie miał pojęcia, co ma mu do powiedzenia dyrektor La Grande Banque de Geneve, ale wydawało mu się, że zna przyczynę zachowania tak daleko idących środków ostrożności. Amerykanin nazywał się Noel Holcroft, ale nie urodził się pod tym nazwiskiem. Przyszedł na świat latem 1939 roku w Berlinie i w szpitalnej kartotece figurował jako Clausen. Jego ojcem był Heinrich Clausen, główny strateg Trzeciej Rzeszy, finansowy czarodziej, który zmontował koalicję z rozproszonych sił ekonomicznych, co umożliwiło Adolfowi Hitlerowi przejęcie władzy.

Heinrich Clausen podbił kraj, ale stracił żonę. Althene Clausen była Amerykanką, a ściślej kobietą upartą, kierującą się własnymi normami etycznymi i moralnymi. Szybko odkryła, że narodowi socjaliści pozbawieni są i jednego, i drugiego; że stanowią zbieraninę paranoików kierowaną przez maniaka i wspieraną przez finansistów zainteresowanych jedynie zyskami.

Pewnego ciepłego sierpniowego popołudnia Althene Clausen postawiła swemu mężowi ultimatum: „Wycofaj się. Wystąp przeciw tym paranoikom i ich maniakowi, zanim będzie za późno”. Nazista wysłuchał jej z niedowierzaniem, roześmiał się i zlekceważył, uznając ultimatum żony za fochy świeżo upieczonej matki. A może za wypaczony osąd kobiety wycho-

wanej w słabym, skompromitowanym systemie społecznym, który wkrótce wmaszeruje na drogę Nowego Ładu. Albo zostanie zmiądzony pod jego buciorem.

Tej samej nocy młoda matka spakowała się, zabrała dziecko i podejmując pierwszy etap podróży powrotnej do Nowego Jorku, wsiadła na pokład jednego z ostatnich samolotów odlatających do Londynu. W tydzień później napaścią na Polskę Niemcy rozpętały *Blitzkrieg*.

Tysiącletnia Rzesza wyruszyła w swą nową drogę, która, licząc od pierwszego wystrzału, miała potrwać mniej więcej tysiąc pięćset dni.

Holcroft minął bramkę prowadzącą na peron, zszedł rampą i znalazł się na długiej, betonowej platformie. Cztery, pięć, sześć, siedem... Pod oknem, na lewo od otwartych drzwi siódmego wagonu, widniał symbol w postaci małego, niebieskiego kółka. Oznaczał wagon o standardzie przewyższającym pierwszą klasę: powiększone przedziały z wyposażeniem zapewniającym odpowiednie warunki do prowadzenia konferencji podczas jazdy lub odbywania potajemnych spotkań bardziej osobistej natury. Dyskrecja była gwarantowana; gdy tylko pociąg ruszał ze stacji, uzbrojeni strażnicy ze służby ochrony kolei zajmowali posterunki u drzwi po obu stronach wagonu.

Holcroft wsiadł i skręcił w lewo, w korytarz. Minął kilkoro zamkniętych drzwi i zatrzymał się przed piątymi. Zapukał dwa razy.

— *Herr Holcroft?* — Głos dobiegający zza drewnianej płyty był zdecydowany, ale spokojny, i chociaż te dwa słowa wypowiedziano w formie pytania, intonacja nie była pytająca. Głos stwierdzał fakt.

— *Herr Manfredi?* — spytał w odpowiedzi Noel, uświadamiając sobie nagle, że przez maleńki wizjer pośrodku drzwi obserwuje go czyjeś oko. Niesamowite uczucie zostało osłabione komicznym efektem. Uśmiechnął się do siebie na myśl, czy *Herr Manfredi* nie okaże się czasem podobny do złowrogiego Conrada Veidta z angielskich filmów z lat trzydziestych.

Rozległy się dwa trzaski otwieranego zamka, a po nich szcęk odsuwanej zasuwki. Drzwi otworzyły się do środka i obraz Conrada Veidta rozwiął się. Ernst Manfredi okazał się niskim, pulchnym mężczyzną pod siedemdziesiątkę. Był kompletnie łysy i miał miłą, łagodną twarz; ale z szeroko otwartych, niebieskich oczu powiększonych przez szkła okularów w metalowej oprawce, wyzierał chłód. Te oczy były bardzo jasne i bardzo zimne.

— Proszę wejść, *Herr Holcroft* — powiedział z uśmiechem Manfredi. I nagle wyraz jego twarzy uległ raptownej przemianie, uśmiech znikł. — Proszę mi wybaczyć. Powinienem zwracać się do pana *per panie Holcroft*. To *Herr* może pana drażnić. Bardzo przepraszam.

— Nie ma za co — odparł Noel wkraczając do luksusowo urządzonego przedziału. Znajdował się tam stół i dwa fotele; łóżka nie zauważył. Okna zaciągnięte były aksamitnymi zasłonami w kolorze bordo, tłumiącymi dobiegające z zewnątrz hałasy. Ściany pokrywała drewniana boazeria. Na stoliku stała mała lampa ze zdobionym frędzlam abażurem.

— Mamy około dwudziestu pięciu minut do odjazdu — zagał bankier. — To powinno wystarczyć. I niech się pan nie niepokoi — powiadomią nas zawczasu. Pociąg nie ruszy, dopóki pan nie wysiądzie. Przymusowa podróż do Zurychu panu nie grozi.

— Nigdy tam nie byłem.

— Sądzę, że to ulegnie zmianie — odparł enigmatycznie bankier zapraszając Holcrofta gestem ręki do zajęcia miejsca przy stoliku naprzeciw siebie.

— Nie liczyłbym na to. — Noel usiadł rozpinając prochowiec, ale go nie zdejmując.

— Przepraszam, to była z mojej strony arogancja. — Manfredi usadowił się w swoim fotelu i opadł na oparcie. — Muszę jeszcze raz przeprosić. Będzie mi potrzebny pański dowód tożsamości. Poproszę o paszport. I pańskie międzynarodowe prawo jazdy. A także wszelkie dokumenty, jakie ma pan przy sobie, a które uwzględniają znaki szczególne, ślady po szczepieniach, tego rodzaju rzeczy.

Holcroft poczuł przyływ gniewu. Pomijając już niedogodności wynikające z zakłócenia rytmu życia, drażnił go protekcyjny sposób bycia bankiera.

— A to po co? Wie pan przecież, kim jestem. Nie otworzyłby pan tych drzwi, gdyby było inaczej. Moich fotografii i informacji na mój temat ma pan prawdopodobnie więcej niż Departament Stanu.

— Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, *sir* — powiedział bankier wkładając cały swój urok w samokrytyczne wzruszenie ramionami. — Wkrótce pan zrozumie.

Noel sięgnął z ociąganiem do kieszeni marynarki i wydobyl stamtąd skórzaną saszetkę z paszportem, świadectwem zdrowia, międzynarodowym prawem jazdy i dwoma licencjami Amerykańskiego Instytutu Architektury — A.I.A., poświadczającymi jego kwalifikacje w zawodzie architekta.

— Tu jest wszystko — oznajmił podając saszetkę Manfrediemu. — Proszę bardzo.

Bankier otworzył saszetkę z wyraźnym zażenowaniem.

— Czuję się, jakbym ingerował w czyjeś osobiste życie, ale sędzę...

— I dobrze się pan czuje — wpadł mu w słowo Holcroft. — Nie prosiłem o to spotkanie. Szczerze mówiąc, dochodzi do niego w bardzo dla mnie niedogodnym czasie. Pragnę wrócić do Nowego Jorku tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Tak. Tak, rozumiem — mruknął cicho Szwajcar przeglądając uważnie dokumenty. — Czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie było pierwsze architektoniczne zlecenie, jakie realizował pan poza granicami Stanów Zjednoczonych?

Noel stłumił narastające rozdrażnienie. Skoro doszedł już tak daleko, odmowa odpowiedzi nie miała sensu.

— Meksyk — odparł. — Dla sieci hotelowej Alvareza na północ od Puerto Vallarta.

— A drugie?

— Kostaryka. Dla rządu. Kompleks pocztowy w 1973 roku.

— Jaki był zeszłoroczny dochód brutto pańskiej firmy w Nowym Jorku?

— Nie pański interes.

— Zapewniam pana, że znamy jego wysokość.

Holcroft potrząsnął głową z pełną złości rezygnacją. — Sto siedemdziesiąt trzy tysiące dolarów z groszami.

— Uwzględniając czynsz za pomieszczenia biurowe, płace personelu, wyposażenie i koszty własne, nie jest to suma importująca, nieprawdaż? — spytał Manfredi nie odrywając oczu od trzymanyh w dłoniach papierów.

— To moja własna firma, a personel nie jest liczny. Nie mam wspólników, żony ani poważniejszych długów. Mogłoby być gorzej.

— Ale mogłoby też być i lepiej — powiedział bankier podnosząc wzrok na Holcrofta. — Zwłaszcza w przypadku kogoś tak utalentowanego.

— Mogłoby być lepiej.

— Tak też myślałem — ciągnął Szwajcar wkładając dokumenty z powrotem do skórzanej saszetki i oddając ją Noelowi. Nachylił się do Amerykanina. — Czy wie pan, kim był pański ojciec?

— Wiem, kim jest mój ojciec. Z prawnego punktu widzenia jest nim Richard Holcroft z Nowego Jorku, mąż mojej matki. Wciąż żyje i ma się dobrze.

— I jest na rencie — dokończył Manfredi. — Mój kolega po fachu, ale to żaden bankier z punktu widzenia szwajcarskich tradycji.

— Cieszył się poważaniem. Nadal się nim cieszy.

— Przez wzgląd na rodzinny majątek czy na zasługi na polu zawodowym?

— Moim zdaniem i na jedno, i na drugie. Kocham go. Jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia, proszę zachować je dla siebie.

— Jest pan bardzo lojalny, doceniam to. Holcroft pojawił się w momencie, kiedy pańska matka — nawiasem mówiąc, nadzwyczajna kobieta — przeżywała największe załamanie. Ale odbiegamy od tematu. Zostawmy Holcrofta w spokoju. Pytam o naturalnego ojca.

— Oczywiście.

— Trzydzieści lat temu Heinrich Clausen poczynił pewne ustalenia. Podróżował często między Berlinem, Zurychem i Genewą, nieoficjalnie, ma się rozumieć. Opracowany został pewien dokument, którego my, jako... — Manfredi urwał i uśmiechnął się — ...jako obywatele neutralnego, ale nie bezstronnego państwa, nie mogliśmy odrzucić. Do dokumentu dołączono list napisany przez Clausena w kwietniu 1945 roku. Jest zaadresowany do pana. Jego syna. — Bankier sięgnął po grubą, brązową kopertę leżącą na stoliku.

— Jedną chwileczkę — powiedział Noel. — Czy te „pewne ustalenia” dotyczą pieniędzy?

— Tak.

— Nie jestem zainteresowany. Proszę je przekazać na cele dobroczynne. Tam ich miejsce.

— Może zmieni pan zdanie, kiedy usłyszysz, o jaką sumę chodzi.

— A ile to?

— Siedemset osiemdziesiąt milionów dolarów.



## 2

Holcroft gapił się zbaraniałym wzrokiem na bankiera. Krew odpłynęła mu z twarzy. Dobiegające z zewnątrz hałasy wielkiej stacji zlewały się z kakofonią stłumionych akordów z ledwością przenikających grube ściany wagonu.

— Niech pan nie usiłuje pojąć wszystkiego naraz — doradził Manfredi kładąc list obok koperty. — Istnieją pewne warunki, na szczęście żaden z nich nie jest nie do przyjęcia. Przynajmniej ani jeden z tych, które znamy.

— Warunki?... — Holcroft zdawał sobie sprawę, że ledwie go słyszał; starał się odzyskać głos. — Jakie warunki?

— Są bardzo wyraźnie określone. Ta ogromna suma ma zostać spożytkowana dla dobra ludzi na całym świecie. I, ma się rozumieć, na ich mocy odnosi pan pewne osobiste korzyści.

— Co pan rozumie pod stwierdzeniem, że żaden ze znanych wam warunków nie jest nie do przyjęcia?

Powiększone oczy bankiera zamrugały za szklami okularów; odwrócił na moment wzrok, a na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. Sięgnął do brązowego, skórzanego nesese-  
ra leżącego na rogu stolika i wydobyl długą, wąską kopertę z dziwnymi oznakowaniami na odwrocie — stanowił je rząd czterech kółek, kojarzących się z czterema pociemniałymi monetami przytwierdzonymi do krawędzi klapki.

Manfredi wyciągnął nad stołem rękę z kopertą, podsuwając ją pod światło. Ciemne kółka nie były monetami, lecz woskowymi pieczęciami. Wszystkie były nietknięte,

— Zgodnie z instrukcjami, jakich udzielono nam trzydzieści lat temu, koperty tej — w odróżnieniu od dołączonego do niej listu pańskiego ojca — nie wolno było otworzyć dyrektorom genewskiego banku. Nie należy ona do dokumentu, który przygotowaliśmy i, o ile nam wiadomo, Clausen nic nie wiedział o jej istnieniu. Potwierdzą to jego własne słowa skierowane do pana. Dostarczono nam ją w kilka godzin po doręczeniu przez kuriera listu pańskiego ojca, który miał być naszą ostatnią przesyłką z Berlina.

— Co to jest?

— Nie wiemy. Powiedziano nam, że napisało to kilku ludzi świadomych działalności pańskiego ojca. Ludzi gorąco wierzących w jego racje, uważających go pod wieloma względami za prawdziwego męczennika Niemiec. Poinstruowano nas, aby oddać to panu z nie naruszonymi pieczęciami. Ma pan to przeczytać, zanim zapozna się pan z treścią listu ojca. — Manfredi przekreślił kopertę. Na górze widniał jakiś napis — kilka skreślonych ręcznie słów w języku niemieckim. — Ma pan się podpisać u dołu, stwierdzając w ten sposób, że otrzymał kopertę we właściwym stanie.

Noel wziął kopertę i przesyłabizował napis, którego nie rozumiał.

DIESER BRIEF IST MIT UNGEBROCHENEM SIEGEL  
EMPFANGEN WORDEN. NEUAUFBAU ODER TOD.

— Co to znaczy?

— Że sprawdził pan pieczęcie i nie ma żadnych zastrzeżeń.

— Skąd mogę mieć pewność?

— Młody człowieku, rozmawia pan z dyrektorem La Grande Banque de Geneve. — Szwajcar nie podniósł głosu, ale ton nagany przebijał z niego wyraźnie. — Ma pan na to moje słowo. A zresztą, co to za różnica?

Żadna — uświadomił sobie Holcroft, jednak to retoryczne pytanie zastanowiło go.

— Co pan zrobi z kopertą, jeśli złożę na niej swój podpis?

Manfredi milczał przez kilka chwil, jakby nie mógł się zdecydować na odpowiedź. Zdjął okulary z nosa, wyjął jedwabną chusteczkę z butonierki i przetarł szkła. W końcu odpowiedział z wahaniem:

— To informacja zastrzeżona...

— Mój podpis również — przerwał mu Noel. — On też jest zastrzeżony.

— Niech mi pan da skończyć — zaprotestował bankier zakładając z powrotem okulary. — Chciałem właśnie powiedzieć, że to informacja zastrzeżona, która pewnie nie ma już znaczenia. Minęło przecież tyle lat. Koperta ma zostać wysłana do Portugalii, do skrytki pocztowej w Sesimbrze. To miejscowość leżąca na południe od Lizbony, na przylądku Espichel.

— Dlaczego to już nie ma znaczenia?

Manfredi rozłożył ręce.

— Ta skrytka pocztowa już nie istnieje. Koperta trafi do działu mylnie zaadresowanych listów i po jakimś czasie powróci do nas.

— Jest pan pewien?

— Raczej tak.

Noel sięgnął do kieszeni po pióro, odwracając jednocześnie kopertę, żeby jeszcze raz spojrzeć na woskowe pieczęcie. Nikt przy nich nie majstrował. „A zresztą — pomyślał Holcroft — co za różnica”? Położył kopertę na stoliku przed sobą i podpisał się na niej swoim nazwiskiem.

Manfredi podniósł rękę.

— Pan rozumie, cokolwiek znajduje się w tej kopercie, nie może mieć nic wspólnego z naszym wkładem w dokument przygotowany przez La Grande Banque de Geneve. Nie konsultowano się z nami, nie zapoznano nas również z zawartością.

— Skąd ten niepokój? Wydawało mi się, że mówił pan, iż nie ma to już znaczenia. Upłynęło tyle czasu.

— Fanatycy zawsze mnie niepokoją, panie Holcroft. Czas i wydarzenia nie są w stanie zmienić tego osądu. To bankierska ostrożność.

Noel przystąpił do kruszenia wosku; stwardniał przez lata i trzeba było znacznej siły, by go usunąć. Rozerwał kopertę, wyjął ze środka pojedynczą kartkę papieru.

Papier skruszał ze starości, biel przeszła w bladobrazowawą żółć. Tekst był w języku angielskim, kaligrafowany ręcznie wielkimi literami o dziwnym, typowo niemieckim kroju. Atrament wyblakł, ale pozostał czytelny. Holcroft poszukał wzrokiem podpisu u dołu kartki. Nie znalazł go. Zaczął czytać.

List był makabryczny, zrodził się z rozpaczki trzydzieści lat temu. Jego lektura przywozowała na myśl niezrównoważonych ludzi siedzących w zaciemnionym pokoju i przewidujących przyszłość z cieni na ścianie, obserwujących nie ukształtowanego jeszcze człowieka i jego życie.

**OD TEJ CHWILI SYN HEINRICHA CLAUSENA PODDANY ZOSTANIE TESTOWI. ISTNIEJĄ TACY, KTÓRZY MOGĄ SIĘ DOWIEDZIEĆ O "DZIELE PODJĘTYM W GENEWIE I KTÓRZY BĘDĄ PRÓBOWALI GO POWSTRZYMAĆ, DLA KTÓRYCH JEDYNYM CELEM W ŻYCIU STANIE SIĘ ZABICIE GO, A TYM SAMYM ZNISZCZENIE MARZENIA ZRODZONEGO W UMYŚLE GIGANTA, JAKIM BYŁ JEGO OJCIEC.**

**NIE WOLNO DO TEGO DOPUŚCIĆ, BO ZOSTALIŚMY ZDRADZENI — MY WSZYSCY — I ŚWIAT MUSI SIĘ DOWIEDZIEĆ, JACY BYLIŚMY NAPRAWDĘ, A NIE JAK PRZEDSTAWIALI NAS ZDRAJCY, GDYŻ BYŁY TO PORTRETY ZDRAJCÓW. NIE NASZE. A ZWŁASZCZA NIE HEINRICHA CLAUSENA.**

**JESTEŚMY NIEDOBITKAMI WOLFSSCHANZE. PRAGNIEMY OCZYSZCZENIA NASZYCH NAZWISK, PRZYWRÓCENIA HONORU, Z KTÓREGO NAS OGRABIONO.**

TAK WIĘC LUDZIE Z WOLFSSCHANZE BĘDĄ CHRONIĆ SYNA DOPÓTY, DOPÓKI TEN REALIZOWAĆ BĘDZIE MARZENIE OJCA I PRZYWRACAĆ NAM DOBRE IMIĘ. ALE GDYBY SYN PONIECHAŁ MARZENIA, ZDRADZIŁ OJCA I POGRZEBAŁ NASZ HONOR, NIE BĘDZIE DLA NIEGO ŻYCIA. STANIE SIĘ ŚWIADKIEM UDREKI NAJBLIŻSZYCH, RODZINY, DZIECI, PRZYJACIOŁ. NIKT NIE ZOSTANIE OSZCZĘDZONY.

NIC NIE MOŻE CI PRZESZKODZIĆ. ZWRÓĆ NAM NASZ HONOR. MAMY DO NIEGO PRAWO I ŻĄDAMY TEGO.

Noel odsunął fotel od stolika i wstał.

— Co to jest, u diabła?

— Nie mam pojęcia — odparł cicho Manfredi. Głos miał spokojny, ale jego zimne, błękitne oczy zdradzały zaniepokojenie. — Powiedziałem już panu, że nie zapoznano nas...

— No to niech się pan teraz z tym zapozna! — krzyknął Holcroft. — Niech pan to przeczyta! Co to za pajace? Lunatycy na wariackich papierach?

Bankier zaczął czytać. Skończywszy odparł cicho, nie podnosząc wzroku:

— Najbliżsi kuzyni lunatyków. Ludzie, którzy utracili wszelką nadzieję.

— Co to za *Wolfsschanze*? Co to znaczy?

— Wilczy Szaniec. To nazwa polowej kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich, gdzie miała miejsce próba zamachu na jego życie. Był to spisek generałów: von Stauffenberga, Klugego, Hopnera — wszyscy oni byli zamieszani. Wszystkich rozstrzelano. Rommel sam odebrał sobie życie.

Holcroft wpatrywał się w kartkę papieru trzymaną przez Manfrediego.

— Twierdzi więc pan, że zostało to napisane trzydzieści lat temu przez tego rodzaju ludzi?

Bankier skinął głową, ale z jego przymrużonych oczu wyzierało zdziwienie.

— Tak, ale to nie jest język, jakiego należałoby od nich oczekiwać. To nic innego, jak groźba. To szalone. Tamci ludzie nie byli szaleńcami. Z drugiej strony, czasy były szalone. Zdarzało się, że przyzwoici ludzie, ludzie odważni, przekraczali granice zdrowego rozsądku. Przeżywali piekło, którego my dzisiaj nie jesteśmy w stanie sobie uzmysłować.

— Przyzwoici ludzie? — spytał z powątpiewaniem Noel.

— Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, co znaczyło brać udział w spisku w *Wolfsschanze*? Skończył się krwawą łaźnią. Ofiarami masakry padły tysiące, z czego ogromna większość nigdy o *Wolfsschanze* nie słyszała.

Było to jeszcze jedno ostateczne rozwiązanie, pretekst do stłumienia niezadowolenia ogarniającego Niemcy. To, co rozpoczęło się jako akt uwolnienia świata od szaleńca, skończyło się jako masakra. Niedobitki *Wolfsschanze* widziały, co się działo.

— Te niedobitki — zauważył Holcroft — przez długi czas szły za owym szaleńcem.

— Musi pan zrozumieć. I zrozumie pan. To byli ludzie zdesperowani. Wpadli w pułapkę i z ich punktu widzenia była to katastrofa. Świat, który pomagali tworzyć, okazał się nie takim światem, jaki sobie wyobrażali. Wychodziły na jaw okropieństwa, o których nawet im się nie śniło, nie mogli jednak zrzucić z siebie odpowiedzialności za nie. Byli przerażeni tym, co widzieli, nie mogli jednak wyprzeć się swojego udziału.

— Naziści z dobrymi intencjami — mruknął Noel. — Słyszałem o tym legendarnym rodzaju.

— Żeby to zrozumieć, trzeba by się cofnąć w czasie do ekonomicznych katastrof, do Traktatu Wersalskiego, do Układu z Locarno, do rozlewającego się bolszewizmu i tuzina rozmaitych czynników.

— Bardzo dobrze rozumiem to, co przed chwilą przeczytałem — powiedział Holcroft. — Pańscy biedni, nie zrozumiani żołdacy nie zawahali się zgrozić komuś, kogo nawet nie znali!

„Nie będzie dla niego życia... nikt nie zostanie oszczędzony... rodzina, przyjaciele, dzieci". To zapowiedź morderstwa. Niech mi pan tu nie opowiada o zabójcach z dobrymi intencjami.

— To słowa starych, załamanych, zrozpaczonych ludzi. Nie mają teraz żadnego znaczenia. W ten sposób wyrażali swój ból, szukali pokuty. Oni odeszli. Zostawmy ich w spokoju. Niech pan przeczyta list od ojca...

— On nie jest moim ojcem! — przerwał Manfrediemu Noel.

— Niech pan przeczyta list Heinricha Clausena. Wszystko stanie się jaśniejsze. Proszę go przeczytać. Mamy do przedyskutowania kilka kwestii, a czasu pozostało niewiele.

Pod filarem, na wprost siódmego wagonu stał mężczyzna w brązowym, tweedowym prochowcu i ciemnym tyrolskim kapeluszu. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic szczególnego, z wyjątkiem może brwi. Były krzaczaste, stanowiły kolorystyczną mieszaninę czerni i bieli, co dawało efekt szpakowatych łuków w górnych partiach nijakiej twarzy.

Na pierwszy rzut oka. Jeśli przyjrzało mu się uważniej, można było dostrzec stępione, ale stanowczo zdecydowane rysy człowieka bardzo zdeterminowanego. Pomimo podmuchów wiatru omiatających co rusz peron, człowiek ten spoglądał bez zmrużenia powiek. Koncentracja, z jaką wpatrywał się w siódmy wagon, była bezwzględna.

„Tymi drzwiami wyjdzie Amerykanin — myślał mężczyzna przy filarze — będzie to osoba bardzo różniąca się od Amerykanina, który nimi wszedł. W ciągu ostatnich kilku minut jego życie uległo zmianie, której doświadczyło niewielu ludzi na tym świecie. A to dopiero początek; podróż, którą ten człowiek miał właśnie rozpocząć, była czymś, czego współczesny świat nie jest w stanie pojąć. Wielką wagę miała zatem obserwacja jego pierwszych reakcji. Więcej niż wielką wagę. To była sprawa życia i śmierci".

— *Attention! Le train de sept heures...*

Z głośników rozległ się ostatni komunikat. Jednocześnie na sąsiedni tor wtoczył się pociąg z Lozanny. „Za kilka chwil peron zapełni się turystami przybywającymi trumnie na weekend do Genewy, podobnie jak mieszkańcy środkowej Anglii wlewający się na Charing Cross na krótki wypad do Londynu" — myślał mężczyzna przy kolumnie.

Pociąg z Lozanny zatrzymał się. Wagony pasażerskie zwymiotowały swoją treścią; peron ponownie zapchał się ciałami.

W westybulu wagonu numer siedem pojawiła się postać Amerykanina. Taszczący czyjeś bagaże tragarz zablokował go w drzwiach. Była to nerwowa chwila, która w normalnych okolicznościach mogłaby sprowokować kłótnię. Ale dla Holcrofta okoliczności nie były normalne. Nie wykazywał najmniejszego zdenerwowania; twarz miał ściągniętą, nieobecną, oczy, choć świadome tego fizycznego zamieszania, zupełnie nim nie zainteresowane. Unosiła się wokół niego aura wyizolowania z otoczenia; znajdował się w objęciach nie ustępującego zdziwienia. Podkreślał to sposób, w jaki przyciskał do piersi grubą, szarą kopertę — dłoń obejmowała krawędź, a palce wciskały się w papier z taką siłą, że formowały pięść.

Przyczyną jego konsternacji był ten właśnie dokument, sporządzony, zanim przyszedł na świat. To był ten cud, na który czekał, dla którego żył mężczyzna pod filarem i ci, którzy już odeszli. Ponad trzydzieści lat wyczekiwania. Które oto kończy się wreszcie!

Podróż się zaczęła.

Holcroft wmieszał się w potok ludzkich ciał sunący ku rampie wiodącej do wyjścia z peronu. Mimo że potrącany przez otaczających go podróżnych, nie zauważał tłumu; patrzył nieobecny oczami wprost przed siebie. W przestrzeń.

Nagle mężczyzna pod filarem drgnął. Lata treningu wyrobiły w nim umiejętność wychwytywania najbardziej niespodziewanych, najdrobniejszych odstępstw od normy. Właśnie coś dostrzegł: dwóch mężczyzn o fizjonomiach niepodobnych do żadnej z otaczającego ich

morza twarzy, fizjonomiach posepnych, nie zdradzających ani zaciekawienia, ani zaaferowania, wyrażających jedynie wrogie intencje.

Przepychali się przez tłum — jeden torował drogę, drugi parł tuż za nim. Nie odrywali oczu od Amerykanina, podążali jego śladem! Mężczyzna idący przodem trzymał prawą rękę w kieszeni. Lewa ręka jego towarzysza spoczywała na piersi, skryta za pazuchą rozpiętego płaszcza. Te niewidoczne dłonie zaciskają się na broni! Mężczyzna pod filarem był o tym przekonany.

Oderwał się sprężysto od betonowej kolumny i wpadł w ciżbę. Nie było sekundy do stracenia. Tamci dwaj doganiali Holcrofta. Chodzi im o kopertę! To jedyne możliwe wyjaśnienie. A jeśli tak jest w istocie, byłby to dowód, iż wieść o cudzie przeciekła z Genewy! Dokument znajdujący się w kopercie był bezcenny, jego wartości nie dało się oszacować. Życie Amerykanina było przy nim czymś tak nieistotnym, że gdyby zaszła taka konieczność, odebrano by mu je bez chwili wahania. Mężczyźni zbliżający się do Holcrofta zabijają go za tę kopertę bez namysłu, tak jak usuwa się natrętnego owada ze sztabki złota. I to była bezmyślność! Nie wiedzieli, że bez syna Heinricha Clausena cud się nie ziści!

Dzieliło ich teraz od niego zaledwie kilka metrów! Mężczyzna o czarno-białych brwiach przedzierał się przez zbite masy turystów niczym nawiedzone zwierzę. Taranował ludzi i bagaże, roztrącał na boki wszystkich i wszystko, co stało mu na drodze. Znalazłszy się nie opodal zabójcy, który krył rękę pod płaszczem, sam wsunął dłoń do kieszeni, zacisnął ją na pistolecie i wrzasnął do zamachowca:

— *Du suchst Clausens Sohn! Das Genfe Dokument!*

Zabójca wchodził już po rampie i od Amerykanina dzieliło go zaledwie kilka osób. Usłysawszy słowa wyrzaskiwane pod swoim adresem przez nieznanego, odwrócił się błyskawicznie z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

Tłum parł szybko rampą pod górę, opływając skwapliwie dwóch niewątpliwych przeciwników. Napastnik i obrońca stali teraz naprzeciw siebie niczym na miniaturowej arenie. Obserwator nacisnął raz i drugi spust skrytego w kieszeni pistoletu. Materiał płaszcza eksplodował równocześnie z ledwie słyszalnym hukem wystrzałów. W ciało niedoszłego mordercy Holcrofta weszły dwa pociski, jeden w podbrzusze, drugi o wiele wyżej, w szyję. Pierwszy zmusił mężczyznę do konwulsyjnego kroku w przód; drugi, rozrywając gardło, odrzucił mu głowę do tyłu.

Krew bluznęła z szyi z taką siłą, że opryskała najbliższe twarze wraz z ubraniami i walizkami do tych twarzy należącymi. Spłynęła w dół kaskadą, tworząc na rampie małe kałuże i strumyczki. Przejście wypełniło się okrzykami przerażenia.

Obserwator-obrońca poczuł dłoń chwytającą go za ramię i palce zagłębiające się w jego ciele. Odwrócił się błyskawicznie; drugi z napastników był już przy nim, ale nie miał pistoletu. Zbliżało się do niego ostrze myśliwskiego noża.

„To amator” — pomyślał obserwator zdając się na swe odruchy, nabyte podczas lat treningu. Odskoczył szybko w bok niczym toreador unikający rogów byka i zacisnął lewą dłoń powyżej nadgarstka zabójcy. Wyrwał prawą rękę z kieszeni i pochwycił palce napastnika obejmujące rękojeść noża. Szarpnął nadgarstek ku dołowi, ściskając jednocześnie jak w imadle palce trzymające rękojeść i miażdżąc chrząstkę przegubu napastnika, odwrócił ostrze ku niemu. Zatopił je w miękkim ciele brzucha i poderwał ostrą stal po przekątnej w górę, dopóki nie zatrzymała się na żebrach, rozcinając arterie serca. Twarz mężczyzny wykrzywiła się w grymasie cierpienia; wydał z siebie straszny wrzask, który przerwała śmierć.

Piekło narosło do nie kontrolowanego chaosu; krzyk wzmógł się. Krwawa jatka w samym środku tłumy rozgorączkowanych, zderzających się ze sobą ciał podsyciła wybuch paniki. Obserwator-obrońca wiedział dokładnie, jak się zachować. Rozrzucił ręce w geście pełnej przerażenia konsternacji, naglej, totalnej odrazy na widok krwi na swym ubraniu, i dołą-

czył do rozhisteryzowanej cizby, umykającej z betonowego miejsca zbrodni niczym przerażone stado owiec.

Pognał w górę rampy, mijając po drodze Amerykanina, któremu przed chwilą ocalił życie.

Holcroft usłyszał krzyki. Przebiły się poprzez otępiającą mgłę, którą czuł się spowity; poprzez kotłujące się wokół obłoki pary, odbierające mu zdolność widzenia i uniemożliwiające logiczne rozumowanie.

Usiłował odwrócić się w kierunku źródła zamieszania, ale nie pozwolił mu na to rozhisteryzowany tłum. Niesiony w górę rampy przecisnął się do wysokiego na metr cementowego murka, spełniającego rolę barierki. Przytrzymał się go i obejrzał, ale nie był w stanie zorientować się, co właściwie zaszło. Pod łukowym sklepieniem zobaczył człowieka, któremu z gardła buchała krew. Dostrzegł też drugiego mężczyznę rzucającego się w przód z ustami rozciągniętymi w agonii, ale dalszego ciągu zajścia nie mógł już oglądać, bo napór ciał porwał go znowu w górę betonowej rampy.

Jakiś przemykający obok mężczyzna potracił go brutalnie w ramię. Odwróciwszy głowę Holcroft zdążył jeszcze zauważyć przerażone oczy pod parą krzaczastych, czarno-białych brwi.

Niewątpliwie miał tu miejsce akt przemocy. Próba rabunku zakończona pobiciem, a może nawet zabójstwem. Spokojna Genewa nie była już odporna na gwałt bardziej niż dzikie ulice Nowego Jorku nocą, czy nędzne zaułki Marakeszu.

Ale Noel nie miał teraz czasu o tym myśleć, nie mógł się w to mieszać. Co innego go teraz absorbowало. Powróciły opary otępienia. Poprzez nie jak przez mgłę zaczynało doń docierać, że jego życie nigdy już nie będzie takie jak dotąd.

Ściskając w rękę kopertę, dał się ponieść rozwrzeszczanej masie ludzkiej, rwącej w górę rampy ku wyjściu z peronu.

### 3

Ogromny samolot przeleciał nad wyspą Cape Breton i pochylił się łagodnie na lewe skrzydło, schodząc na mniejszą wysokość i przyjmując nowy kurs. Wiódł on teraz na południowy wschód, w kierunku Halifaxu i Bostonu, a następnie do Nowego Jorku.

Holcroft spędził większość czasu w salce klubowej na górnym pokładzie, zagłębiony w pojedynczym fotelu w prawym kącie. Swój czarny nesesor oparł o tylną gródź. Łatwiej było mu się tu skoncentrować; żadne zabłąkane spojrzenie nie mogło paść na papiery, które czytał nie wiadomo już który raz z rzędu.

Zaczął od listu od Heinricha Clausena, tej nieznanej, ale wszechobecnej postaci. Był to dokument sam w sobie niezwykły. Zawarte w nim informacje zawierały tak alarmujące treści, że Manfredi wyraził zbiorowe życzenie rady dyrektorów Grande Banque, aby go zniszczyć zaraz po przeczytaniu. Wymieniał on bowiem w ogólnych zarysach źródła pochodzenia milionów zdeponowanych przed trzydziestoma laty w genewskim banku. Chociaż większość tych źródeł była nietykalna wedle obowiązującego współcześnie prawa — złodzieje i mordercy okradający skarb państwa rządzonego przez złodziei i morderców — istniały wśród nich i takie, których przed dociekliwością obecnych organów ścigania nie chronił podobny immunitet. Przez całą wojnę Niemcy prowadziły grabieżczą politykę. Uciekały się do terroru wewnętrznego i zewnętrznego. Łupiono własnych dysydentów, bezlitośnie okradano podbite kraje. Gdyby odgrzebać wspomnienia o tych grabieżach, trybunał międzynarodowy w Hadze zamroziłby zdeponowane fundusze na długie lata, w czasie których toczyłyby się przewlekłe procesy sądowe.

— Niech pan zniszczy ten list — powiedział Manfredi w Genewie. — Konieczne jest tylko, by zrozumiał pan dłaczego. Wiedza o metodach nie jest panu potrzebna; stanowią one komplikację nie posiadającą rozsądnego rozwiązania. Istnieją jednak osoby, które mogą podjąć próbę powstrzymania pana. Mogą też wmieszać się w to złodzieje — wchodzą tu w grę setki milionów.

Noel przeczytał list chyba po raz dwudziesty. Za każdym razem usiłował sobie wyobrazić człowieka, który go napisał. Swego naturalnego ojca. Nie miał pojęcia, jak wyglądał Heinrich Clausen; matka zniszczyła wszystkie jego fotografie, korespondencję, wszystko, co miało związek z człowiekiem, którego nienawidziła z całej duszy.

*Berlin, 20 kwietnia 1945*

*SYNU MÓJ!*

*Piszę te słowa, kiedy armie Rzeszy cofają się na wszystkich frontach. Wkrótce padnie Berlin, miasto rozszalałych pożarów i śmierci. Niech tak się stanie. Nie będę tracił ani chwili na to, co było, ani na to, jak mogłoby być. Na wypaczone idee ani na tryumf zła nad dobrem w wyniku zdrady moralnie zdegenerowanych przywódców. Wzajemne obwinianie się zrodzone w piekle jest zbyt podejrzane, a jego autorstwo zbyt łatwo przypisywane szatanowi.*

*Lepiej niech przemówią za mnie moje czyny. Możesz dopatrzeć się w nich czegoś na kształt dumy. To moja modlitwa.*

*Konieczne jest zadośćuczynienie. To credo, które przyjąłem. Podobnie zresztą, jak moi dwaj najdrożsi przyjaciele i najbliżsi współpracownicy, których personalia podaję w załączonym dokumencie. Zadośćuczynienie za zniszczenia, których dokonaliśmy, za postęпки tak haniebne, że świat nigdy*

*onich nie zapomni. Ani ich nie wybaczy. Nasze działania mają właśnie na celu choć częściowe odkupienie win.*

*Pięć lat temu twoja matka podjęła decyzję, której w swym zaślepionym oddaniu Nowemu Ładowi nie byłem w stanie pojąć. Dwie zimy temu — w lutym 1943 roku — słowa, które wypowiedziała we wściekłości, słowa, które arogancko nazwałem łgarstwami podsuniętymi jej przez zdrajców Ojczyzny, okazały się prawdą. My, pracujący w elitarnych kręgach finansjery i polityki, zostaliśmy oszukani. Od dwóch lat jasne było, że Niemcy chylą się ku upadkowi. Udawaliśmy, że tego nie dostrzegamy, ale w duchu doskonale zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Wiedzieli to też inni.*

*I postawili wszystko na jedną kartę. Wyszły na jaw rzeczy straszne, wydały się oszustwa, jakimi nas karmiono.*

*Dwadzieścia pięć miesięcy temu opracowałem pewien plan i zjednałem sobie poparcie moich drogich przyjaciół z Finanzministerium. Ich pomoc była dobrowolna. Postawiliśmy sobie za cel skierowanie do neutralnej Szwajcarii ogromnych sum pieniędzy, funduszy, które pewnego dnia można by wykorzystać na niesienie pomocy i wsparcia tym tysiącom tysięcy, którym zniszczyliśmy życie niewyobrażalnymi okrucieństwami popełnionymi w imię Niemiec przez zwierzęta nie wiedzące niczego o niemieckim honorze.*

*Znamy teraz prawdę o obozach. Te nazwy zapiszą się niechlubną sławą na kartach historii. Belsen, Dachau, Auschwitz.*

*Powiedziano nam o masowych egzekucjach, o bezbronnych mężczyznach, o kobietach i dzieciach ustawianych przed dolami, które własnoręcznie wykopali, i tam mordowanych.*

*Dowiedzieliśmy się o piecach — o Boże na niebie! — piecach opalanych ludzkim ciałem! O prysznicach, z których nie tryskała woda do mycia, a zabójczy gaz. O niedopuszczalnych, ohydnych eksperymentach przeprowadzanych na świadomych istotach ludzkich przez szalonych specjalistów nie znanego człowiekowi kierunku medycyny. Serca krajały nam się od tych obrazów i oczy wychodziły z orbit, ale nasze łzy nic nie pomogą. Nie są jednak bezradne nasze umysły. Mamy plan.*

*Konieczne jest zadośćuczynienie.*

*Nie możemy przywrócić życia. Nie możemy zwrócić tego, co w brutalny, okrutny sposób zostało odebrane. Ale możemy odszukać wszystkich tych, którzy przeżyli, oraz dzieci zarówno ocalałych, jak i pomordowanych, i zrobić dla nich, co w naszej mocy. Trzeba ich odszukać we wszystkich zakątkach świata i pokazać im, że nie zapomnieliśmy. Że się wstydzimy i że pragniemy przyjść im z pomocą. Tak jak tylko potrafimy. To nasz cel.*

*Ani przez chwilę nie łudzę się, że nasze działania są w stanie zmazać nasze grzechy, te zbrodnie, w których nieświadomie braliśmy udział. Czynimy jednak, co w naszej mocy — ja czynię, co w mojej mocy — prześladowany z każdym oddechem wizjami twojej matki. Dlaczego, o wieczny Boże, nie posłuchałem tej wielkiej i dobrej kobiety?*

*Wracam do planu.*

*Przyjmując amerykańskiego dolara jako walutę wymienną, postawiliśmy sobie za cel odprowadzanie dziesięciu milionów miesięcznie. Suma może się wydawać zbyt wielka, ale nie jest taka, jeśli wziąć pod uwagę przepływ kapitału przez ekonomiczny labirynt Finanzministerium w kulminacyjnej fazie wojny. Przekroczyliśmy nasz program minimum.*

*Za pośrednictwem Finanzministerium kierowaliśmy na nasze konta pieniądze pochodzące z setek źródeł z terenu Rzeszy i w wielkim stopniu spoza rozszerzających się wciąż niemieckich granic. Znikały pieniądze z podatków, Ministerstwo Uzbrojenia wydatkowało olbrzymie sumy na nie istniejące inwestycje, wystawiano zdublowane rachunki wypłat żołdu dla Wehrmachtu, bez przerwy gdzieś ginęła gotówka wysyłana na terytoria okupowane. Pieniądze z zagarniętych posiadłości oraz z wielkich fortun, fabryk i prywatnych firm zamiast zasilać ekonomię Rzeszy, trafiały na nasze konta. Na fundusz naszej sprawy wpływały dochody ze sprzedaży dzieł sztuki zrabowanych z dziesiątek muzeów w podbitych krajach. Był to mistrzowski pian po mistrzowsku realizowany. Wszelkie ryzyko, jakie podejmowaliśmy, i stresy,*



*jakim stawialiśmy czoło — a były one na porządku dziennym — nic nie znaczyły w zestawieniu z naszym credo: konieczne jest zadośćuczynienie.*

*Żaden plan nie zostanie jednak uwieńczony sukcesem, dopóki jego cele nie zostaną trwale zabezpieczone. Strategia wojskowa, której celem jest zajęcie portu po to tylko, by stracić go następnego dnia w wyniku desantu z morza, jest strategią wątpliwej jakości. Należy uwzględnić wszystkie możliwe zagrożenia, wszystkie przeszkody, które mogłyby postawić tę strategię pod znakiem zapytania. Trzeba planować tak dokładnie, jak wymaga tego sztuka planowania, modyfikować i chronić cel dotychczas osiągnięty. Jednym słowem, opracowanie skutecznej strategii wymaga czasu. Dokładaliśmy wszelkich starań, by wywiązać się z tego zadania, przyjmując założenia zestawione w załączonym dokumencie.*

*Bóg świadkiem, że mogliśmy udzielić pomocy ofiarom i ocalałym wcześniej, niż to przewidywał nasz plan, ale czyniąc to zwrócilibyśmy uwagę na sumy, które zdefraudowaliśmy. Wówczas wszystko mogłoby zostać stracone. Aby nasza strategia przyniosła sukces, przeminąć musi jedno pokolenie. I wtedy istnieć będzie ryzyko, ale czas je pomniejszy.*

*Syreny ostrzegające przed bombowymi nalotami bezustannie zawodzą. Czasu pozostało już niewiele. Co do mnie i moich dwóch współników, czekamy tylko na potwierdzenie, że list ten dotarł do Zurychu poprzez tajnego kuriera. Po nadejściu meldunku dopełnimy zawartej umowy. Naszej umowy ze śmiercią, którą każdy zada sobie własną ręką.*

*Wysłuchaj mojej modlitwy. Pomóż nam odpokutować. Zadośćuczynienie jest konieczne.*

*To nasz pakt, mój synu. Mój jedyny synu, którego nigdy nie znałem, ale na którego sprowadziłem tyle zgryzot. Dotrzymaj go, uhonoruj, bo proszę cię o rzecz szlachetną.*

*Twój ojciec  
HEINRICH CLAUSEN*

Holcroft położył list na stoliku zapisaną stroną do dołu i spojrzął przez okno na błękitne ponad chmurami niebo. W dali ciągnęła się smuga kondensacyjna wleczona przez inny samolot; przesuwiał po niej wzrokiem, dopóki na samym początku nie dostrzegł maleńkiej, srebrnej iskierki kadłuba.

Myślał o liście. Znowu. Pompatyczny styl, słowa z innej epoki żywcem wyjęte z melodramatu. Nie osłabiało to jego wymowy. Wręcz przeciwnie, nadawało mu pewną siłę przekonania. Szczerłość Clausena była bezsporna, jego emocje bardzo autentyczne.

Czymś, co zostało tylko ogólnikowo zasugerowane, była jednak genialność samego planu. Genialny w swej prostocie, nadzwyczajny, jeśli idzie o wykorzystanie czasu i praw rządzących światem finansów, zapewniał nie tylko osiągnięcie założonego celu, ale i bezpieczeństwo. Bo ci trzej ludzie zdawali sobie sprawę, iż tak wielkich kradzionych sum nie można zatopić w jeziorze ani zakopać w piwnicy. Te setki milionów musiały istnieć na finansowym rynku nie narażone na wycofanie z obiegu ani na machinacje maklerów, którzy musieliby obracać nieuchwytnymi aktywami.

Trzeba było zdeponować twardy pieniądz, a odpowiedzialność za jego bezpieczeństwo powierzyć jednej z najbardziej szanowanych w świecie instytucji — La Grande Banque de Geneve. Instytucja taka nie pozwoliłaby sobie — nie mogła sobie pozwolić — na jakiegokolwiek nadużycie, jeśli chodzi o zachowanie bankowej tajemnicy; była to międzynarodowa ekonomiczna skała. Można było mieć pewność, że dotrzymane zostaną wszystkie warunki umowy zawartej między nią a deponentami. Operacja miała być legalna w świetle szwajcarskiego prawa. Poufna — jak nakazywał utarty zwyczaj — ale respektująca rygorystycznie obowiązujące przepisy prawne, a zatem zgodna z duchem czasu. Istniała gwarancja, że intencje kontraktu — dokument — nie zostaną zafałszowane, a zawarte w nim ustalenia wypełnione co do joty.

Możliwość fałszerstwa czy malwersacji była nie do pomyślenia. W kategoriach kalendarza finansowego trzydzieści — pięćdziesiąt lat było przecież okresem stosunkowo krótkim.

Noel sięgnął do stojącego na podłodze neseseru i otworzył go. Wsunął do niego stronicę listu i wyciągnął stamtąd dokument z La Grande Banque de Geneve. Dokument znajdował się w skórzanej teczce, złożony jak ostatnia wola i testament, którym był w istocie, a w każdym razie w pewnym sensie. Holcroft poprawił się w fotelu, odpiął zatrzask, otworzył okładkę teczki i jego oczom ukazała się pierwsza strona dokumentu.

„Mój pakt” — przyszło mu na myśl.

Przebiegając wzrokiem po znajomych już słowach i paragrafach, przerzucał stronicę i koncentrował się na kluczowych punktach.

Dwoma współnikami Clausena w tej imponującej kradzieży byli: Erich Kessler i Wilhelm von Tiebolt. Znajomość tych nazwisk ważna była nie tyle z punktu widzenia zaspokojenia ciekawości co do tożsamości tych ludzi, ile dla odszukania i nawiązania kontaktu z najstarszym dzieckiem każdego z nich. Taki był pierwszy warunek dokumentu.

Chociaż wyznaczonym dysponentem zakodowanego numeru konta był niejaki Noel C. Holcroft, Amerykanin, odblokowanie złożonych na nim kwot miało nastąpić dopiero po zebraniu podpisów całej trójki najstarszych dzieci. I tylko wtedy, gdy dyrektorzy La Grande Banque upewnią się, że każde z tych dzieci z osobna zaakceptowało warunki i postanowienia dotyczące przeznaczenia tych kwot, zastrzeżone przez oryginalnych dysponentów.

Gdyby potomkowie ci nie zaspokoiли jednak wymagań szwajcarskich dyrektorów bądź zostali przez nich uznani za osoby niekompetentne, należało sprawdzić ich braci i siostry, poddając te osoby podobnej ocenie. Gdyby wszystkie dzieci uznano za niezdolne do udźwignięcia takiej odpowiedzialności, miliony miały zaczekać na następne pokolenie, kiedy to wykonawcy testamentu mieli otworzyć w obecności nie narodzonego jeszcze potomstwa kolejne opieczętowane instrukcje. Postanowienie było kategoryczne: następne pokolenie.

**PRAWOWITY SYN HEINRICHA CLAUSENA NOSI TERAZ NAZWISKO NOEL HOLCROFT, JEST DZIECKIEM, MIESZKA ZE SWĄ MATKĄ I OJCZYMEM W AMERYCE. W OKREŚLONYM TERMINIE WYBRANYM PRZEZ DYREKTORÓW LA GRANDE BANQUE DE GENEVE — NIE WCZEŚNIEJ JEDNAK NIŻ ZA TRZYDZIEŚCI LAT I NIE PÓŹNIEJ NIŻ ZA LAT TRZYDZIEŚCI PIĘĆ — NALEŻY NAWIĄZAĆ KONTAKT Z RZECZONYM PRAWOWITYM SYNEM HEINRICHA CLAUSENA I ZAPOZNAĆ GO Z NAŁOŻONYMI NAŃ OBOWIĄZKAMI. MA ON DOTRZEĆ DO SWYCH WSPÓLSPADKOBIERCÓW I ODBLOKOWAĆ KONTO NA USTANOWIONYCH WARUNKACH. BĘDZIE ON POŚREDNICZYŁ W ROZDZIELANIU ODSZKODOWAŃ OFIAROM HOLOCAUSTU, ICH RODZINOM I OCALAŁEMU POTOMSTWU...**

Trzej Niemcy podawali pobudki, które kierowały nimi przy wyborze jako pośrednika syna Clausena. Dziecko weszło do bogatej i szanowanej rodziny... rodziny amerykańskiej, pozostającej poza wszelkim podejrzeniem. Oddany swoim bliskim Robert Holcroft zatarł wszystkie ślady pierwszego małżeństwa matki chłopca i jej ucieczki z Niemiec. Dlatego też w trosce o rzetelne zatarcie tych śladów wystawiono w Londynie z datą 17 lutego 1942 roku świadectwo zgonu niemowlęcia płci męskiej nazwiskiem Clausen, a następnie świadectwo urodzenia wypełnione w Nowym Jorku na dziecko płci męskiej nazwiskiem Holcroft. Późniejsza data wystawienia tego ostatniego dokumentu zamazywała fakty z przeszłości, czyniąc je praktycznie niewykrywalnymi. Noworodek płci męskiej nazwiskiem Clausen miał się stać pewnego dnia mężczyzną o nazwisku Holcroft bez najmniejszych powiązań ze swym prawdziwym rodowodem. Pochodzenia tego nie można było jednak zakwestionować, był to zatem idealny wybór, spełniający zarówno wymagania, jak i cele dokumentu.

W Zurychu miała zostać założona międzynarodowa agencja stanowiąca centrum rozdziału funduszy, przy czym źródło tych funduszy miało pozostać na zawsze zachowane w tajemnicy. Gdyby okazała się konieczna instytucja rzecznika, miał nim zostać Amerykanin Holcroft, gdyż pozostałych nie wolno było nigdy wymieniać z nazwiska. Nigdy. Byli dziećmi nazistów i ujawniając się, niechybnie spowodowałiby wrzawę wokół konta i żądania publicznego ujawnienia źródeł zgromadzonych na nim kwot. A gdyby zbadano konto i natrafiono na najmniejszy choćby ślad pochodzenia tych pieniędzy, odżyłyby wspomnienia o konfiskatach i grabieżach. Międzynarodowe trybunały utonęłyby w morzu roszczeń.

Jeśli jednak rzecznikiem zostanie człowiek bez nazistowskiego piętna, nie będzie powodu do alarmu, do żądań wszczęcia dochodzenia, przeprowadzenia ekshumacji czy wysuwania roszczeń. Człowiek taki działałby w porozumieniu z pozostałymi spadkobiercami, z których każdy dysponowałby jednym głosem przy podejmowaniu wszelkich decyzji, ale tylko on miałby prawo występować publicznie. Dzieci Ericha Kesslera i Wilhelma von Tiebolta miały zachować anonimowość.

„Ciekawe, jak wyglądają dzieci Kesslera i von Tiebolta — pomyślał Noel. — Wkrótce się przekonam”.

Końcowe warunki dokumentu były nie mniej zaskakujące od wszystkiego, co je poprzedzało. Suma miała zostać rozdysponowana w przeciągu sześciu miesięcy, licząc od daty odblokowania konta. Pociągało to za sobą konieczność pełnego zaangażowania ze strony każdego z potomków. I tego właśnie żądali od nich deponenci. Odejścia od dotychczasowego trybu życia, poświęcenia. Takie zaangażowanie należało wynagrodzić. Tak więc, po upływie sześciomiesięcznego okresu i po pomyślnym rozdysponowaniu funduszy pomiędzy ofiary holocaustu agencja w Zurychu miała ulec rozwiązaniu, a każdy spadkobierca otrzymać sumę dwóch milionów dolarów.

Sześć miesięcy. Dwa miliony dolarów.

D w a miliony.

Noel spróbował sobie uświadomić, co oznaczała dla niego ta suma. Oznaczała wolność. Manfredi powiedział w Genewie, że uważa go za człowieka utalentowanego. Miał talent, ale rzadko ujawniał się on w efekcie końcowym. Musiał przyjmować zlecenia, których wolałby nie brać; był zmuszony iść w swych projektach na kompromisy, chociaż zżymała się przed tym jego dusza architekta; pod presją finansową musiał odrzucać propozycje, na które miał wielką ochotę, bo nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu przy pomniejszych zamówieniach. Powoli stawał się cynikiem.

Nic nie jest wieczne; uwzględniane w projektach starzenie się konstrukcji szło ręką w rękę z obniżaniem wartości i amortyzacją. Nikt nie wie tego lepiej od architekta, który miał kiedyś sumienie. Może znowu odnajdzie swoje. Będąc wolnym. Dysponując dwoma milionami.

Holcroft był wstrząśnięty tokiem własnego rozumowania. Zdecydował się, chociaż nie zamierzał tego uczynić, zanim nie przemyśli sprawy. Nie przemyśli wszystkiego. Uspokajał jednak nie do końca przekonane sumienie, wmawiając sobie, że na pieniądzech wcale mu nie zależy.

Jak wyglądają najstarsze dzieci Ericha Kesslera i Wilhelma von Tiebolta? Jedno jest kobietą, drugie — mężczyzną, naukowcem. Ale, pomijając różnice płci i wykonywanych zawodów, stanowiły one część czegoś, o czym nie miał pojęcia. Oni tam byli, widzieli to. Żadne z nich nie było na tyle małe, by nie pamiętać. Każde żyło w tym dziwnym, demonicznym świecie, jakim była Trzecia Rzesza. Amerykanin miałby do zadania wiele pytań.

Pytań do zadania? Pytań?

Zdecydował się. Manfrediemu powiedział, że potrzebuje czasu — przynajmniej kilku dni — zanim będzie w stanie podjąć decyzję.

— A czy w ogóle ma pan wybór? — spytał szwajcarski bankier.

— Naturalnie, że mam — odparł Noel. — Nie jestem na sprzedaż bez względu na warunki. I nie przerażają mnie groźby wysuwane przez maniaków sprzed trzydziestu lat.

— Bo nie powinny. Niech pan to omówi ze swoją matką.

— Co takiego? — Holcroft był zdezorientowany. — Wydawało mi się, że powiedział pan...

— Całkowita dyskrecja? Tak, z tym że pańska matka jest tu jedynym wyjątkiem.

— Dlaczego? Ja uważałbym ją za ostatnią...

— Jest pierwsza. I jedyna. Ona dochowa tajemnicy.

Manfredi miał rację. Gdyby dał pozytywną odpowiedź, byłby zmuszony do zawieszenia swojej dotychczasowej działalności i podróżowania, by nawiązać kontakt z potomkami Kesslera i von Tiebolta. Wzbudziłyby to ciekawość matki; nie należała do kobiet, które godzą się, by ich ciekawość pozostała niezaspokojona. Zaczęłyby zadawać pytania i gdyby przypadkiem — choć niewielkie było tego prawdopodobieństwo — dowiedziała się o spoczywających w Genewie milionach i roli Heinricha Clausena w tej potężnej defraudacji, zareagowałaby gwałtownie. W jej pamięci trwale odcisnęły się wspomnienia o paranoicznych gangsterach Trzeciej Rzeszy. Gdyby ujawniła je publicznie, międzynarodowe trybunały zamroziłyby konto na wiele lat.

— A jeśli matka nie da się przekonać?

— Musi pan być przekonywający. Przekonywający jest sam list, a jeśli zajdzie potrzeba, wkroczy my. Tak czy inaczej, lepiej poznać jej stanowisko od samego początku.

„Jakie to będzie stanowisko?” — zastanawiał się Noel. Althene nie była zwyczajną matką. Noel bardzo wcześnie zdał sobie sprawę, że Althene jest inna niż matki jego kolegów. Nie pasowała do szablonu bogatej matrony z Manhattanu. Przyczyniało się do tego — i nadal przyczynia — zamiłowanie do urozmaiconego trybu życia. Konie, łódzie, weekendy w Aspen i u Hamptona, ale nie można było tego nazwać gorączkową pogonią za coraz to większą popularnością i lepszą pozycją społeczną.

Wszystko to robiła już dawniej. Żyła przecież w Europie, w wirze lat trzydziestych jako młoda, beztraska Amerykanka z rodziny, której pozostało co nieco po krachu i która czuła się swobodniej z dala od swych mniej fortunnych ziomków. Bywała zarówno na dworze w St. James, jak i w emigracyjnych salonach Paryża... poznała też nowych, buńczucznych panów Niemiec. I z tych właśnie lat pochodziła pogoda ducha ukształtowana przez miłość, wyczerpanie, nienawiść i wściekłość.

Althene była osobą szczególną, po równi matką i przyjaciółką, przy czym była to przyjaźń głęboka, nie wymagająca ciągłej afirmacji. „Właściwie — myślał Holcroft — ona jest bardziej przyjaciółką niż matką. W tej drugiej roli nigdy nie czuła się za dobrze”.

— Popełniłam w życiu zbyt wiele błędów, mój drogi — powiedziała raz śmiejąc się — by egzekwować przysługujący mi z racji biologii autorytet.

Teraz miał ją poprosić, aby sięgnęła do wspomnień o człowieku, którego przez szmat swego życia starała się zapomnieć. Czy ją to przerazi? Mało prawdopodobne. Czy poda w wątpliwość intencje zawarte w dokumencie, który otrzymał od Ernsta Manfrediego? Jak mogłaby to zrobić po przeczytaniu listu Heinricha Clausena? Matka, jakiegokolwiek ma wspomnienia, jest kobietą inteligentną i światłą. Każdy może się zmienić, każdego może ruszyć sumienie. Będzie to musiała zaakceptować, bez względu na to, jak w tym szczególnym przypadku może to okazać się dla niej nieprzyjemne.

Jest weekend, jutro niedziela. Matka i ojczym spędzają koniec tygodnia w swoim domu na wsi, w Bedford Hills. Pojedzie tam rano i przeprowadzi tę rozmowę. A w poniedziałek postawi pierwsze kroki na drodze, która zawiedzie go z powrotem do Szwajcarii. Do jeszcze nie istniejącej agencji z siedzibą w Zurychu. W poniedziałek rozpocznie się polowanie.

Noel przypomniał sobie końcową wymianę zdań z Manfredim. Były to ostatnie słowa wypowiedziane przed opuszczeniem wagonu przez Holcrofta.

— Kesslerowie mieli dwóch synów. Najstarszy, Erich — imię otrzymał po ojcu — jest profesorem historii na Uniwersytecie Berlińskim. Jego młodszy brat, Hans, został lekarzem i mieszka w Monachium. Z tego, co wiemy, obaj są powszechnie szanowani w swoich środowiskach. Są ze sobą bardzo blisko. Zapoznawszy się z sytuacją, Erich może nalegać, by włączyć w to brata.

— Czy to dozwolone?

— W dokumencie nie ma niczego, co by tego zabraniało. Jednak wynagrodzenie pozostaje takie samo i każda rodzina ma tylko jeden głos we wszystkich decyzjach.

— A co z von Tieboltami?

— Przykro mi, ale to już inna historia. Z nimi może mieć pan problem. Z dokumentów wynika, że po wojnie matka z dwojgiem dzieci uciekła do Rio de Janeiro. Pięć czy sześć miesięcy temu zniknęli. Dosłownie. Policja nie ma o nich żadnych informacji. Ani adresu, ani miejsca zatrudnienia, nie figurują też w spisach mieszkańców innych większych miast. A to nie jest normalne. Matce przez jakiś czas wiodło się nie najgorzej. Wygląda na to, że nikt nie wie, co się z nimi stało, a jeśli tacy są, nie chcą mówić.

— Powiedział pan: dwoje dzieci. Kim one są?

— Ściślej mówiąc, jest ich troje. Najmłodsza córka, Helden, poczęta najwyraźniej podczas ostatnich dni Rzeszy, urodziła się już po wojnie w Brazylii. Najstarsze z rodzeństwa to też córka, Gretchen. Średnim dzieckiem jest syn, Johann.

— I mówi pan, że wszyscy zniknęli?

— Może użyłem zbyt melodramatycznego określenia. Jesteśmy bankierami, nie oficerami śledczymi. Nasze poszukiwania nie były zbyt szeroko zakrojone, a Brazylia jest wielkim krajem. Pan musi się do tego gruntownie zabrać. Trzeba odszukać i sprawdzić potomstwo każdego z tych ludzi. To pierwszy warunek. Bez jego spełnienia konto nie zostanie odblokowane.

Holcroft złożył dokument i wsunął go z powrotem do neseseru. Gdy cofał rękę, jego palce musnęły brzeg pojedynczej kartki zapisanej przed trzydziestu laty dziwaczными, wielkimi literami przez niedobitków *Wolfsschanze*. Manfredi miał rację. To byli chorzy ludzie, usiłujący grać swoje ostatnie, desperackie role w dramacie przyszłości, którą ledwie rozumieli. Gdyby ją rozumieli, zaapelowałiby do „syna Heinricha Clausena”. Błagaliby go, nie grozili. Pogróżka stanowiła zagadkę. Dlaczego ją wysunięto? W jakim celu? I tu, być może, znowu rację miał Manfredi. Ta osobliwa odezwa nie miała teraz żadnego znaczenia. Do przemyślenia pozostawało wiele innych spraw.

Holcroft dostrzegł stewardesę gawędzącą z dwoma mężczyznami przy stoliku po drugiej stronie przejścia i zasygnalizował jej skinieniem ręki, że prosi o jeszcze jedną szkocką. Dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie, kiwnęła głową i dała mu do zrozumienia, że za chwilę przyniesie drinka. Noel znowu oddał się rozmyśleniom.

Jak można się było tego spodziewać, do głosu doszły teraz wątpliwości. Czy jest przygotowany na poświęcenie blisko roku życia, aby realizować tak fantastyczne przedsięwzięcie? Na tyle fantastyczne, że przed sprawdzeniem dzieci Kesslera i von Tiebolta — o ile w ogóle zdoła je odszukać — przeegzaminować trzeba było jego własne kwalifikacje? Powróciły do niego echem słowa Manfrediego. *A czy w ogóle ma pan wybór?* Odpowiedź na to pytanie brzmiała zarówno tak, jak i nie. Dwa miliony oznaczające wolność stanowiły trudną do odparcia pokusę, której jednak potrafiłby się oprzeć. Doskwierał mu rzeczywiście brak satysfakcji z wykonywanej pracy, ale z zawodowego punktu widzenia interes szedł dobrze. Zdobywał coraz większe uznanie, jego fachowość była doceniana przez rosnącą liczbę klientów, którzy z kolei polecali go innym potencjalnym zleceniodawcom. Co by to było, gdyby nagle zawiesił działalność? Jakie skutki pociągnęłoby za sobą wycofanie się z kilkunastu zleceń, o które sam przecież zabiegał? Te pytania również wymagały dogłębnego przemyślenia. Nie rządziły nimi same pieniądze.

Błądząc tak myślami, Noel rozumiał jednak ich bezsens. W zestawieniu z jego... paktem... były to pytania mało znaczące. Jakkolwiek przedstawiały się jego sprawy osobiste, rozdział milionów pomiędzy ocalałych z nieludzkiej rzezi nie mającej precedensu w dziejach i tak już był znacznie spóźniony; od tego zobowiązania nie można się wykręcić. Krzyczał do niego głos sprzed lat, głos człowieka dogorywającego, głos ojca, którego nigdy nie poznał. Z przyczyn, których sam sobie nie potrafił wytłumaczyć, nie mógł pozostać głuchy na ten głos. Nie mógł odwrócić się plecami do tego konającego człowieka. Pojedzie rano do Bedford Hills i porozmawia z matką.

Podniósł wzrok zastanawiając się, gdzie podziewa się stewardesa z jego drinkiem. Stała za skąpo oświetlonym kontuarem, który w sali klubowej boeinga 747 spełniał rolę baru. Dotrzymywali jej towarzystwa dwaj mężczyźni od stolika, właśnie dołączył do nich trzeci. Czwarty mężczyzna siedział w fotelu pod tylną ścianą i czytał gazetę. Dwaj mężczyźni towarzyszący od początku stewardesie pili ostro, natomiast ten trzeci, który podszedł do nich dopiero teraz, bardziej udawał zawianego, niż był nim w istocie. Stewardesa przechwyciła spojrzenie Noela i uniosła w górę brwi w żartobliwym grymasie rozpacz. Nalała już dla niego szkocką, ale jeden z podpitych gości przewrócił szklanekę; wycierała zatem rozlany trunek ściereczką. Jeden z pijanych zatoczył się nagle do tyłu, wpadając na fotel i tracąc równowagę. Stewardesa wybiegła zza kontuaru, żeby pomóc wstać leżącemu na podłodze pasażerowi. Jego kompan wybuchnął śmiechem, przytrzymując się sąsiedniego fotela. Trzeci mężczyzna sięgnął po stojącego na barku drinka. Czwarty spojrzał z niesmakiem znad gazety szeleszcząc nią, co miało dać wyraz jego oburzeniu. Noel z powrotem odwrócił głowę do okna, nie mając ochoty wtrącać się w to drobne zamieszanie.

Kilka minut później dziewczyna podeszła wreszcie do jego stolika.

— Przepraszam pana, panie Holcroft. Chłopcy lubią się zabawić, zwłaszcza podczas przelotu przez Atlantyk. To miała być szkocka z lodem, prawda?

— Tak. Dziękuję. — Noel odebrał od niej szklaneczkę i napotkał wymowny wyraz oczu. Można go było odczytać następująco: *Dziękuję, miły panie, że nie wstawiłeś się, jak ci niesamowici nudziarze.* W innych okolicznościach pewnie nawiązałby z nią rozmowę, ale teraz myśli miał zajęte czym innym. Jego umysł zaabsorbowany był układaniem listy zajęć na poniedziałek. Zamknięcie biura nie będzie trudne — pracowników zatrudniał niewiele. Sekretarkę i dwóch kreślarzy mógłby łatwo umieścić u przyjaciół i to prawdopodobnie na lepszych warunkach finansowych. Ale dlaczego, na miłość boską, firma Holcroft, Incorporated, New York zwija interes, kiedy jej projekty są uważane za tak dobre, że mogłyby potroić liczbę zatrudnionych i czterokrotnie zwiększyć zyski brutto? Wyjaśnienie musi być zarówno sensowne, jak i przekonujące.

Nagle, bez ostrzeżenia, pasażer zajmujący miejsce po drugiej stronie kabiny zerwał się ze swego fotela, wydając z krtani chrapliwy, dziki okrzyk bólu. Wygiął się spazmatycznie w łuk, jak gdyby miał trudności z zaczerpnięciem powietrza, złapał się najpierw za żołądek, potem za pierś. Z twarzą wykrzywioną w obłądnym grymasie, wybałuszonymi oczami i purpurowymi, nabrzmiętymi żyłami na szyi wpadł na drewnianą półkę z czasopismami i rozkładami lotów. Poleciał w przód i rozciągnął się jak długi na podłodze kabiny.

Był to trzeci mężczyzna, ten, który przyłączył się do dwóch pijanych, dotrzymujących towarzystwa stewardesie przy barze.

Na następne kilka chwil zapanował chaos. Stewardesa podbiegła do leżącego mężczyzny, pochyliła się nad nim z troską i podjęła rutynowe czynności. Kazała pozostać na miejscach trzem pasażerom obecnym w kabinie, mężczyźni podłożyła poduszkę pod głowę i wróciła za kontuar, gdzie na ścianie wisiał aparat interkomu. Po kilku sekundach kręconymi schodkami wbiegł na górę szef personelu pomocniczego, a z pokładu nawigacyjnego wyłonił się kapitan *British Airways*. Naradzali się przez chwilę ze stewardesą nad nieprzytomnym cia-

łem, po czym szef personelu pomocniczego szybko zbiegł schodkami na dół i po paru chwilach wrócił ze skoroszytem. Była to najwyraźniej lista pasażerów.

Kapitan wstał i zwrócił się do reszty pasażerów przebywających w salce klubowej.

— Poproszę panów o powrót na dół, na swoje miejsca. Mamy na pokładzie lekarza. Już go wezwaliśmy. Dziękuję bardzo.

Schodzącego po stopniach Holcrofta minęła wspinająca się szybko w górę stewardesa z kocem. Potem usłyszał głos kapitana wydającego rozkaz przez interkom:

— Wywołaj przez radio lotnisko Kennedy'ego i poproś o podstawienie karetki. Pasażer nazwiskiem Thornton. Zdaje się, że atak serca.

Lekarz ukląkł przy postaci rozciągniętej na tylnym fotelu salki klubowej i poprosił o lartarkę. Pierwszy oficer pobiegł na pokład nawigacyjny, aby mu ją przynieść. Lekarz uniósł powieki mężczyzny nazwiskiem Thornton, po czym obejrzał się i przywołał skinieniem ręki kapitana; miał mu coś do zakomunikowania. Kapitan pochylił się nad nim.

— Nie żyje — powiedział cicho lekarz. — Trudno to stwierdzić bez odpowiedniego sprzętu, bez przeprowadzenia analizy tkanek i krwi, ale nie sądzę, aby ten człowiek doznał ataku serca. Według mnie został otruty. Powiedziałbym, że to strychnina.

W biurze inspektora służb celnych zapadła nagle cisza. Za biurkiem siedział detektyw z wydziału zabójstw nowojorskiej policji zarządu portu NYPA, a przed nim leżał skoroszyt *British Airways*. Inspektor przeżył się obok w postawie niezręcznego zakłopotania. W dwóch fotelach pod ścianą siedzieli kapitan boeinga 747 i stewardesa z salki klubowej pierwszej klasy samolotu. Przy drzwiach stał umundurowany funkcjonariusz policji. Detektyw patrzył z niedowierzaniem na inspektora służb celnych.

— Chce mi pan wmówić, że dwóch ludzi wysiadło z tego samolotu, przeszło niedostępnymi dla postronnych osób korytarzami do niedostępnej dla postronnych osób strzeżonej strefy odprawy celnej i rozplynęło się w powietrzu?

— Nie potrafię tego wyjaśnić — bąknął inspektor potrząsając z przygnębieniem głową. — To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

— Jest pani pewna, że byli pijani? — zwrócił się detektyw do stewardesy.

— Może nie tak od razu — odparła dziewczyna. — Muszę się zastanowić. Pili dużo, tego jestem pewna; nie mogli markować. Sama ich obsługiwałam. Wyglądali na porządnie nabuzowanych. Nieszkodliwie, ale nabuzowanych.

— Czy istnieje możliwość, że wylewali gdzieś swoje drinki? To znaczy, nie wypijając ich?

— A gdzie? — spytała stewardesa.

— Nie wiem. Do pustych popielniczek, w poduszki foteli. Czym jest pokryta podłoga?

— Wykładziną dywanową — odparł pilot.

— Połącz się przez radio z ekipą techniczną — zwrócił się detektyw do policjanta stojącego pod drzwiami. — Każ im sprawdzić dywan, poduszki foteli, popielniczki. Lewą stronę odgródzonej strefy od przodu maszyny. Wystarczy, jak stwierdzą zawilgocenia. Niech mi zaraz dadzą znać.

— Tak jest, *sir* — oficer wyszedł szybko, zamykając za sobą drzwi.

— Tolerancja na alkohol — wtrącił kapitan — może być, oczywiście, różna u różnych osób.

— Ale nie przy ilościach, o jakich mówi ta młoda dama — zgasił go detektyw.

— Na miłość boską, a cóż to ma za znaczenie? — zachnął się kapitan. — To na pewno ci, których szukacie. Rozplynęli się w powietrzu, jak to pan określił. Śmiem twierdzić, że wcho-

dzi tu w grę zaplanowana akcja.

— Wszystko ma znaczenie — pouczył go detektyw. — Zastosowane metody można dopasować do popełnionych wcześniej przestępstw. Szukamy jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Nie brakuje szaleńców. Bogatych szaleńców podróżujących samolotami dookoła świata w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Objawy chorób psychicznych nasilają się w stanie odurzenia — nieważne czy alkoholowego, czy narkotycznego.

O ile się orientujemy, ci dwaj podejrzani nie znali nawet tego Thorntona; pańska stewardesa twierdzi, że przedstawiali się sobie. Z jakiego powodu by go zamordowali? Zakładając, że faktycznie to zrobili, dlaczego wybrali tak brutalny sposób? To była strychnina, kapitanie, i proszę mi wierzyć na słowo, nie jest to najłagodniejszy sposób na zejście z tego świata.

Zadzwoił telefon. Słuchawkę podniósł inspektor służb celnych. Trzymał ją przez chwilę przy uchu, po czym oddał detektywowi NYPA.

— To Departament Stanu. Do pana.

— Departament Stanu? Tu porucznik Miles z policji NYPA. Macie dla mnie informacje, o które prosiłem?

— Mamy. Ale się panu nie spodobają...

— Chwileczkę — przerwał swemu rozmówcy Miles. Drzwi otworzyły się i do biura ponownie wszedł umundurowany funkcjonariusz. — No i co? — zapytał Miles.

— Poduszki foteli i dywan po lewej stronie salki klubowej są wilgotne.

— A więc byli zupełnie trzeźwi — stwierdził detektyw obojętnym głosem. Skinął głową policjantowi i ponownie podniósł do ucha słuchawkę telefonu. — Już można. Co mi się nie spodoba?

— Przed ponad czterema laty zgłoszono zaginięcie kwestionowanych paszportów. Należały do dwóch mężczyzn z Flint w stanie Michigan. Ścisłej mówiąc, sąsiadów. Pracowali w tej samej firmie w Detroit. W czerwcu 1973 roku obydwaj wybrali się w podróż służbową do Europy i nigdy z niej nie powrócili.

— Dlaczego zgłoszono zaginięcie paszportów?

— Zniknęli ze swych pokoi hotelowych. Trzy dni później wyłowiono z rzeki ich ciała. Zostali zastrzeleni.

— Jezu! Z jakiej rzeki? Gdzie?

— Z Izery. Przebywali w Monachium, w Niemczech.

Jeden po drugim zirytowani pasażerowie rejsu 591 przechodzili przez drzwi pomieszczenia kwarantanny. Przedstawiciel *British Airways* porównywał ich nazwiska, adresy i numery telefonów z manifestem boeinga 747. Obok niego siedział funkcjonariusz nowojorskiej policji NYPA, stawiając własne znaczki na kopii listy. Kwarantanna trwała blisko cztery godziny.

Po wyjściu z pomieszczenia, pasażerów kierowano korytarzem do wielkiej hali bagażowej, gdzie odbierali swoje skontrolowane sakwojaże i zmiierzali do drzwi głównego terminalu. Jednak jeden z pasażerów nie przejawiał ochoty do opuszczenia hali bagażowej. Człowiek ten, nie niosący żadnego bagażu prócz przerzuconego przez rękę płaszcza, ruszył prosto do drzwi opatrzonych wymalowanym tłustymi literami napisem:

KOMORA CELNA USA. KIEROWNIK ZMIANY  
NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY

Wyciągając przepustkę wszedł do środka.



Przy oknie w stalowych ramach stał siwowłosy mężczyzna w mundurze wysokiej rangi funkcjonariusza służb celnych i palił papierosa. Odwrócił się na dźwięk otwierających się drzwi.

— Czekałem na ciebie — powiedział. — Nie mogłem nic zrobić, dopóki siedziałeś w kwarantannie.

— Przygotowałem przepustkę na wypadek, gdybym cię tu nie zastał — odparł pasażer wsuwając przepustkę z powrotem do kieszeni marynarki.

— Trzymaj ją w pogotowiu. Może się jeszcze przydać, wszędzie kręci się policja. Co chcesz zrobić?

— Podejść do samolotu.

— Sądysz, że tam są?

— Tak. Gdzieś tam są. To jedyne wyjaśnienie.

Obaj mężczyźni opuścili biuro, przecięli szybkim krokiem halę bagażową, mijając po drodze kilka taśm przenośnikowych i stanęli przed stalowymi drzwiami opatrzonymi napisem WSTĘP WZBRONIONY. Celnik otworzył je kluczem i przekroczył próg. Młodszy mężczyzna z płaszczem przewieszonym przez rękę podążył za nim. Znaleźli się w długim tunelu prowadzącym na płytę lotniska. Po czterdziestu sekundach marszu dotarli do kolejnych stalowych drzwi strzeżonych przez dwóch ludzi, funkcjonariusza służb celnych USA i policjanta z NYPA. Ten pierwszy rozpoznał siwowłosego celnika.

— Czołem, kapitanie. Cholerna noc, co?

— Obawiam się, że to dopiero początek — odparł celnik. — Mimo wszystko mogą nas w to wciągnąć. — Spojrzał na policjanta. — To człowiek z biura federalnego — wskazał ruchem głowy towarzyszącego mu mężczyznę. — Prowadzę go do samolotu pięćset dziewięćdziesiąt jeden. Tu mogą wchodzić w grę narkotyki.

Funkcjonariusz policji sprawiał wrażenie zmieszanego. Najwyraźniej otrzymał rozkaz nieprzepuszczania nikogo.

— No, nie bądź taki — wtrącił się strażnik ze służb celnych. — Ten facet trzęsie całym lotniskiem Kennedy'ego.

Policjant wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

Na zewnątrz z czarnego, nocnego nieba siało nieprzerwanie, a znad Jamaica Bay napływały tumany rzadkiej mgiełki. Człowiek towarzyszący celnikowi włożył płaszcz. Ruchy miał szybkie, pod przewieszonym przez rękę płaszczem ukrywał pistolet. Zatknął go teraz niepostrzeżenie za pasek od spodni, pozostawiając guziki płaszcza na wysokości talii nie zapięte.

Stojący w świetle reflektorów boeing 747 połyskiwał strugami deszczu, spływającymi po jego kadłubie. Wokół krzątali się policjanci i pracownicy obsługi naziemnej, a można ich było rozróżnić po kontrastujących ze sobą czarnych i pomarańczowych pelerynach.

— Zagadam policję w środku — powiedział celnik pokazując na metalowe schodki biegnące w górę z platformy ciężarówki do drzwi w kadłubie. — Pomyślnych łowów.

Mężczyzna w płaszczu skinął głową, właściwie go nie słuchając. Jego oczy penetrowały teren. Punkt centralny tej sceny stanowił boeing 747; ze wszystkich stron otaczały go rozstawione co trzydzieści metrów słupki połączone linami. Pomiedzy każdymi dwoma słupkami stał policjant. Mężczyzna w płaszczu znajdował się wewnątrz ogrodzonej strefy; mógł się po niej swobodnie poruszać. Na początku biegnących równoległe lin odwrócił się w prawo i ruszył w kierunku ogona samolotu. Skinieniem głowy pozdrowił funkcjonariuszy policji trwających na posterunkach, migając od czasu do czasu legitymacją przed oczyma tych, którzy spoglądali nań pytająco. Zerkał wciąż poprzez strugi deszczu na twarze ludzi wchodzących i wychodzących z samolotu. Pokonawszy trzy czwarte drogi naokoło samolotu, usłyszał rozeźlony okrzyk robotnika obsługi naziemnej:

— Co się tak guzdrzesz, palancie? Zabezpiecz tę korbę!

Adresatem tej wiązanki był inny robotnik stojący na platformie cysterny. Człowiek ten nie miał na sobie peleryny, lecz przemoczony, biały kombinezon. Na miejscu kierowcy cysterny siedział jeszcze jeden robotnik, również bez przeciwdeszczowego okrycia.

„To jest to — pomyślał mężczyzna w płaszczu. — Zabójcy pod garniturami mieli kombinezony. Ale nie przewidzieli deszczu. Pomijając to drobne niedopatrzenie, ucieczka z miejsca zbrodni zaplanowana została genialnie”.

Mężczyzna podszedł do cysterny z ręką na wciąż ukrytym pod płaszczem rewolwerze. Przebijając wzrokiem mżawkę, spojrzął na postać za szybą wozu, zajmującą miejsce kierowcy. Drugi człowiek znajdował się na platformie nad nim, po jego prawej stronie i był odwrócony plecami. Twarz za szybą odwzajemniła spojrzenie i z rozszerzonymi niedowierzaniem oczami zanurkowała raptownie w głąb kabiny. Ale mężczyzna w płaszczu był szybszy. Otworzył drzwiczki, wy dobył rewolwer i strzelił. Odgłos wystrzału pochłonął tłumik. Człowiek z fotela kierowcy osunął się na deskę rozdzielczą, z czoła spływała mu krew.

Słyszając za sobą jakieś zamieszanie, człowiek stojący na platformie cysterny odwrócił się gwałtownie i spojrzął w dół.

— To ty! Z salki klubowej! Czytałeś gazetę!

— Właż do kabiny — zakomenderował donośnie pomimo bębnienia deszczu mężczyzna w płaszczu, chowając rewolwer za otwartymi drzwiczkami.

Postać na platformie zawahała się. Mężczyzna z rewolwerem rozejrzał się. Policjanci otaczający samolot byli zaabsorbowani dokuczliwościami stwarzanymi przez ulewę, na wpół oślepieni reflektorami. Nikt nie interesował się morderczą rozgrywką. Mężczyzna w płaszczu wyciągnął rękę, pochwycił białą tkaninę kombinezonu ocalałego zabójcy i jednym szarpnięciem wepchnął go w otwarte drzwiczki kabiny cysterny.

— Zawaliliście sprawę. Syn Heinricha Clausena nadal żyje — wycedził spokojnie. Po tem oddał drugi strzał. Postać w kombinezonie osunęła się na siedzenie.

Mężczyzna w płaszczu zatrzasnął drzwiczki i wsunął rewolwer z powrotem za pasek od spodni. Po chwili jak gdyby nigdy nic szedł pod kadłubem w stronę wytyczonego linami przejścia do tunelu. Zauważył celnika wynurzającego się z drzwi boeinga 747 i zbiegającego szybko po schodkach. Spotkali się i skierowali razem do drzwi tunelu.

— No i jak? — spytał celnik.

— Moje polowanie zakończyło się sukcesem. Ich nie. Pozostaje pytanie, co pocniemy z Holcroftem?

— To już nie twoje zmartwienie. Tinamou się tym zajmie. Trzeba go powiadomić.

Mężczyzna w płaszczu uśmiechnął się do siebie świadomy, że w ulewie nie będzie wi dać tego uśmiechu.

## 4

Holcroft wysiadł z taksówki przed swoją kamienicą na Wschodniej Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Był wykończony. Złożyło się na to napięcie ostatnich trzech dni wzmożone jeszcze przez tragedię na pokładzie samolotu. Współczuł temu nieszczęsnemu gościowi, który doznał ataku serca, ale jednocześnie przepępiała go dzika wściekłość na policję za potraktowanie wypadku w sposób godny międzynarodowego kryzysu. Dobry Boże! Poddany kwarantannie przez blisko cztery cholerne godziny! A do tego wszyscy pasażerowie pierwszej klasy mieli przez kolejne sześćdziesiąt dni informować policję o każdej zmianie miejsca pobytu.

— Tym razem krótka podróż, panie Holcroft — przywitał go portier. — Ale jest do pana sporo poczty. Aha, i wiadomość.

— Wiadomość?

— Tak, *sir* — powiedział portier wręczając mu wizytówkę. — Był tu wczoraj wieczorem jeden gentleman i pytał o pana. Był bardzo zdenerwowany, wie pan, co mam na myśli?

— Nie bardzo. — Noel wziął od niego wizytówkę i odczytał: Sz. P. PETER BALDWIN. Nic mu to nie mówiło. SYSTEMY ALARMOWE WELLINGTON, LTD. THE STRAND, LONDON, W1A. U dołu widniał jeszcze numer telefonu. Holcroft nigdy nie słyszał o takiej brytyjskiej firmie. Odwrócił wizytówkę, na odwrocie znajdował się ręczny dopisek HOTEL „ST. REGIS” POK. 411.

— Nalegał, żeby dzwonić do pańskiego mieszkania, bo może pan wrócił, a ja nie zauważyłem. Powiedziałem mu, żeby się puknął w czoło.

— Sam mógł do mnie zatelefonować — zauważył Noel zmierzając już do windy. — Mój numer jest w książce.

— Powiedział mi, że próbował, ale pański telefon był zepsuty. — To były ostatnie słowa portiera, jakie zdążyły wpaść do kabiny przez zamykające się drzwi. Stojąc we wspinającej się na piąte piętro windzie, Holcroft jeszcze raz przeczytał nazwisko. „Szanowny Pan Peter Baldwin”. Co to za jeden? I od kiedy to jego telefon jest zepsuty?

Otworzył drzwi swojego mieszkania i sięgnął do ściennego kontaktu, żeby włączyć światło. Zapaliły się jednocześnie dwie stołowe lampy; Noel puścił walizkę i z niedowierzaniem gapił się na pokój.

Wszystko było inaczej niż przed trzema dniami! Wszystko. Każdy element umeblowania, każde krzesło, stolik, wazę i popielniczkę przestawiono w inne miejsce. Kanapa stała przedtem pośrodku pokoju; teraz znajdowała się w przeciwległym prawym kącie. Pozamieniano miejscami wszystkie szkice i obrazy na ścianach. Ani jeden nie wisiał tam, gdzie do tej pory! Aparatury stereo nie było już na półce; ustawiono ją elegancko na stole. Barek, znajdujący się zawsze w głębi salonu, stał teraz na lewo od drzwi. Od deski kreślarskiej podsunętej normalnie pod okno dzieliły go teraz zaledwie trzy metry, a stółek gdzieś się zawieruszył, Bóg wie gdzie. To było najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał. Wszystko znajome, a mimo to zupełnie obce. Zwichrowana, nieostra rzeczywistość.

Stał w otwartych drzwiach. Przed oczami przelatowały mu zapamiętane wcześniej obrazy pokoju, po to tylko, by zaraz zastępowało je to, co miał teraz przed sobą.

— Co się stało? — Usłyszał własny głos. Nie był przy tym w pierwszej chwili pewien, czy aby na pewno jest jego.

Podbiegł do kanapy. Telefon stał zawsze przy kanapie, na stoliku dosuniętym do prawej poręczy. Tylko że kanapę przesunięto, ale telefonu już nie. Odwrócił się na pięcie i spojrzął na środek pokoju. Gdzie stolik? Nie było go; na miejscu stolika stał fotel. Telefonu też nie było! Gdzie telefon? Gdzie stolik? Gdzie, do diabła, jest telefon?!

Dostrzegł go pod wielkim, środkowym oknem. Stał tam kuchenny stolik, a na jego blacie telefon. Przewody telefonu wywleczono spod wykładziny dywanowej i przeniesiono pod okno. Wychodziło ono na kamienicę wznoszącą się po drugiej stronie szerokiego dziedzińca. To niedorzeczne! Kto by się fatygował, żeby odrywać przybitą gwoździami wykładzinę i przekładać telefoniczne przewody?

Doskoczył do stolika, podniósł słuchawkę i wduśił przycisk interkomu, by połączyć się z centralką w holu. Walił w przycisk raz po raz; nikt się nie zgłaszał. Przytrzymał go palcem; w słuchawce rozległ się wreszcie zaspany głos portiera Jacka.

— Dobrze, już dobrze. Tu hol...

— Jack, mówi Holcroft. Kto wchodził do mieszkania w czasie mojej nieobecności?

— Kto wchodził gdzie, *sir*?

— Na górę, do mojego mieszkania?

— Okradziono pana, panie Holcroft?

— Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że wszystko zostało poprzestawiane.

Kto tu był?

— Nie było nikogo. To znaczy, nikogo, o kim ja bym wiedział. A ci moi zmiennicy nic mi nie mówią. O czwartej rano zmienia mnie Ed i siedzi do południa. Po nim przychodzi Louie.

— Możesz do nich zatelefonować?

— Do diabła, lepiej będzie, jak zadzwonię na policję!

To słowo zabrzmiało jak zgrzyt. „Policja” oznaczało pytania: „Gdzie był? Z kim się widział?” — a Noel nie był przekonany, czy chce udzielać na nie odpowiedzi.

— Nie, nie dzwoń na policję. Jeszcze nie. Dopiero jak sprawdzę, czy czegoś nie brakuje. Może komuś się wydawało, że to dobry kawał. Zaraz dam ci znać.

— A ja zadzwonię do zmienników.

Holcroft odwiesił słuchawkę. Siedział na szerokim okiennym parapecie i rozglądał się po pokoju. Ani jeden element wyposażenia nie znajdował się na swoim dawnym miejscu!

Uświadomił sobie teraz, że trzyma coś w lewej ręce. Wizytówkę: Sz. P. PETER BALDWIN.

*...był bardzo zdenerwowany, wie pan, co mam na myśli? ...nalegał, żeby dzwonić do pańskiego mieszkania ...pański telefon był zepsuty...*

HOTEL „ST. REGIS” POK. 411.

Noel podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Znał ten numer dobrze; jadał często lunch w King Cole Grill.

— Słucham? Baldwin przy aparacie. — Akcent był brytyjski, ton oschły.

— Mówi Noel Holcroft, panie Baldwin. Chciał się pan ze mną skontaktować.

— Dzięki Bogu! Gdzie pan jest?

— W domu. W swoim mieszkaniu. Właśnie wróciłem.

— Wrócił pan? Skąd?

— Nie wydaje mi się, żeby to była pańska sprawa.

— Na miłość boską, przejechałem blisko pięć tysięcy kilometrów, żeby się z panem zobaczyć! To bardzo ważne. A więc, gdzie pan był?

W słuchawce słychać było oddech Anglika; napięcie tego człowieka zdawało się mieć jakiś związek ze strachem.

— Pochlebia mi, że przejechał pan taki kawał, żeby się ze mną zobaczyć, ale to nadal nie daje panu prawa do zadawania mi osobistych pytań.

— Mam do tego wielkie prawo! — przerwał mu Baldwin. — Przepracowałem dwadzieścia lat w MI 6 i mamy mnóstwo wspólnych tematów! Nie ma pan pojęcia, co czyni. Nie ma go nikt prócz mnie.

— Pan co? My co?

— Pan pozwoli, że zacznę z innej beczki. Niech pan nic nie robi w sprawie Genewy.

Niech pan w ogóle nic nie robi, panie Holcroft, dopóki nie porozmawiamy!

— Genewa?... — Noel poczuł nagle skurcz w żołądku. Skąd ten Anglik dowiedział się o Genewie? Skąd mógł się dowiedzieć?

Za oknem zamigotało światełko — ktoś w mieszkaniu po drugiej stronie dziedzińca zapalił papierosa. Pomimo zdenerwowania, w jakie wprawiła Holcrofta prowadzona rozmowa, ogień przyciągnął jego wzrok.

— Ktoś puka do drzwi — powiedział Baldwin. — Niech pan nie odkłada słuchawki. Pozbędę się go i zaraz wracam.

Noel usłyszał stukot odkładanej przez Baldwina słuchawki, a potem skrzypnięcie otwieranych drzwi i niewyraźne głosy. W oknie po drugiej stronie dziedzińca znowu zapłonęła zapalka i ogień oświetlił długie blond włosy kobiety stojącej za przejrzystą zasłoną.

Holcroft zdał sobie nagle sprawę z ciszy panującej na linii; nie słyszał teraz żadnych głosów. Mijały chwile, Anglik nie wracał.

— Baldwin? Baldwin, gdzie pan jest? Baldwin!

Po raz trzeci w oknie naprzeciwko zapłonęła zapalka. Noel wpatrywał się w płomyk, wydawało mu się, że zapalono ją bez potrzeby. Widział jarzącego się papierosa w ustach blondynki. I wtedy rozpoznał przedmiot trzymany przez kobietę w drugiej ręce mającej za przejrzystą zasłoną. Była to słuchawka telefonu. Trzymała ją przy uchu i spoglądała w jego okno. Patrzyła — był tego pewien — na niego.

— Baldwin? Gdzie pan, u diabła, zginął?

Coś trzasnęło; połączenie zostało przerwane.

— Baldwin?

Kobieta w oknie opuściła powoli słuchawkę, zawahała się chwilę i odeszła w głąb mieszkania, znikając mu z oczu.

Holcroft gapił się w okno, a potem przeniósł wzrok na trzymaną w ręce słuchawkę. Zaczekał aż znowu odezwie się sygnał, po czym jeszcze raz wykręcił numer hotelu „St. Regis”.

— Przykro mi *sir*, ale wygląda na to, że telefon w pokoju czterysta jedenaście jest zepsuty. Zaraz tam kogoś pošlemy. Może poda mi pan swój numer, przekażę go panu Baldwinowi.

...pański telefon był zepsuty...

Działo się coś, czego Noel nie rozumiał. Wiedział tylko, że nie poda swego nazwiska ani numeru telefonu operatorce centrali w hotelu „St. Regis”. Odłożył słuchawkę i znowu spojrzął w okno po drugiej stronie dziedzińca. Światełko, jakie w nim przed chwilą widział, czymkolwiek było, zniknęło. Okno było ciemne; dostrzegł tylko biel zasłon.

Zeskoczył z parapetu i zaczął się snuć bez celu pośród sprzętów stojących na nie swoich miejscach. Nie bardzo wiedział, co robić; chyba należałoby sprawdzić, czy czegoś nie brakuje. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nie, ale trudno to było stwierdzić na pewno.

Rozległ się brzęczyk telefonu: to interkom z centrali w holu. Podniósł słuchawkę.

— Tu Jack, panie Holcroft. Rozmawiałem właśnie z kolegami. Ani Ed, ani Louie nic nie wiedzą o tym, żeby ktoś wchodził do pańskiego mieszkania. To przyzwoici faceci. Nie kręćliby. Na nas trzech można polegać.

— Dzięki, Jack. Wierzę ci.

— Chce pan, żebym zadzwonił na policję?

— Nie. — Noel usiłował nadać swemu głosowi obojętny ton. — Przypomniał mi się jeden taki kawalarz z biura. Dwaj kumple mają klucze do mojego mieszkania.

— Ja nikogo nie widziałem. Ed i Louie też...

— Wszystko w porządku, Jack — przerwał mu Holcroft. — Zapomnij o tym. Tego wieczora, kiedy wyjeżdżałem, było u mnie paru znajomych. Jeden czy dwoje zostało na noc. — Nic więcej nie przychodziło Noelowi do głowy.

Nagle dotarło do niego, że nie zaglądał jeszcze do sypialni. Wszedł tam teraz i włączył światło.

Spodziewał się tego, ale mimo to doznał wstrząsu. Wrażenie dezorientacji osiągało teraz w pewien sposób swoją pełnię.

Również i tu wszystkie sprzęty zostały poprzestawiane. Jako pierwsze jego wzrok przyciągnęło łóżko; wionęło od niego dziwną grozą. Żadnym z boków nie dotykało ściany. Zostało wysunięte na środek pokoju. Biurko przyciągnięto pod samo okno; mały sekretarzyk ginał na tle rozległej połaci prawej ściany. Powtórzyło się wrażenie sprzed kilku minut, kiedy to po raz pierwszy ujrzał salon. Znów zaczęły przelatywać mu obrazy sypialni sprzed trzech dni na przemian z aktualnym jej wyglądem.

I wtedy zobaczył coś, na widok czego dech mu zaparło. Z sufitu, omotany czarną, matową taśmą, zwisał drugi aparat telefoniczny, a przewód biegł węzowymi splotami po ścianie i suficie do haka, na którym go zawieszono.

Aparat obracał się wolno wokół własnej osi.

Ból przemiescił się Noelowi z żołądka do klatki piersiowej. Nie mógł oderwać oczu od tego widoku, od zawieszzonego aparatu obracającego się leniwie w pół drogi między podłogą a sufitem. Bał się spojrzeć dalej, ale wiedział, że musi; musiał zrozumieć.

I uczyniwszy to odetchnął z ulgą. Telefon znajdował się na wprost drzwi do łazienki, a te stały otworem. Noel ujrzał wydymające się zasłonki w okienku nad wanną. Telefon obracał się pod wpływem przeciągu.

Wszedł szybko do łazienki, żeby zatrzęsnać okienko. Gdy miał już zaciągnąć zasłonki, ujrzał rozbłysk światła na zewnątrz. W innym oknie po drugiej stronie dziedzińca ktoś zapalił zapalniczkę, a ciemności wyolbrzymiły jasność ognika.

Zobaczył znowu tę samą kobietę! Za inną parą przejrzystych zasłon majaczyła sylwetka górnej połowy ciała blondynki. Holcroft wpatrywał się w jej postać jak zahipnotyzowany.

Kobieta odwróciła się, tak jak przedtem, i odeszła od okna, tak jak odeszła przed kilkunastu minutami. Znikła z oczu. Zgasł też nikły ognik w oknie.

Co tu się dzieje? Co to ma znaczyć? Wyreżyserowano przedstawienie, żeby go nastraszyć. Ale kto to robił i w jakim celu? I co się stało z „Sz. P. Peterem Baldwinem”, tym od napiętego głosu i polecenia, żeby nic nie robić w sprawie Genewy? Czy Baldwin grał jakąś rolę w tej akcji zastraszania, czy też był jej ofiarą?

Ofiarą... ofiarą? „Po co zaraz takie słowo — pomyślał. — Dlaczego miałyby tu być jakieś ofiary? I co miał na myśli Baldwin mówiąc, że *pracował dwadzieścia lat w MI 6?*”

MI 6? Komórka brytyjskiego wywiadu. Jeśli dobrze pamiętał, MI 5 był wydziałem do spraw wewnętrznych, a Szóstka zajmowała się problemami o zasięgu międzynarodowym. Taka angielska CIA.

Dobry Boże! Czy ten Brytyjczyk wiedział o genewskim dokumencie? Czy ten pracownik brytyjskiego wywiadu znał tajemnicę imponującej defraudacji sprzed trzydziestu lat? Z pozorów mogło się wydawać, że tak... Jednak nie to sugerował Peter Baldwin.

*Nie ma pan pojęcia, co czyni. Nie ma go nikt prócz mnie.*

A potem zaległa cisza i połączenie zostało przerwane.

Holcroft wyszedł z łazienki i zatrzymał się pod wiszącym telefonem; aparat poruszał się teraz ledwie dostrzegalnie, ale nie znieruchomiał. Był to odrażający widok, a nadmiar matowoczarnej taśmy, którą przymocowano słuchawkę do korpusu, czynił go wręcz makabrycznym. Można było pomyśleć, że telefon został zmumifikowany, by nigdy już z niego nie korzystano.

Ruszył dalej w kierunku drzwi sypialni, ale zaraz zatrzymał się instynktownie i odwrócił. Coś przyciągnęło jego wzrok, coś, czego wcześniej nie zauważył. Środkowa szuflada małego sekretarzyka była otwarta. W szufladzie leżała kartka papieru.

Spojrzał na tę kartkę i dech mu zaparło.

Nie może być. To niedorzeczne. Arkusz papieru był pożółkły. Ze starości. Wyglądał identycznie jak kartka przechowywana przez trzydzieści lat w genewskim sejfie. Jak pełen pogroźek list napisany przez fanatyków czczących męczennika nazwiskiem Heinrich Clausen. Literactwo było to samo: angielskie słowa kaligrafowane z niemiecka, wyblakły, ale nadal czytelny atrament.

A to, co było czytelne, zdumiewało. Bo tekst napisano ponad trzydzieści lat temu.

NOELU CLAUSENIE-HOLCROFCIE  
NIC NIE JEST JUŻ DLA CIEBIE, JAK BYŁO, NIC JUŻ NIGDY TAKIE NIE  
BĘDZIE...

Noel przerwał czytanie i uniósł arkusz za brzeg. Papier rozkruszył się pod jego dotykiem.

O Boże! To było pisane trzydzieści lat temu!

I ten fakt czynił dalszy ciąg przesłania przerażającym.

PRZESZŁOŚĆ BYŁA PRZYGOTOWANIEM, PRZYSZŁOŚĆ JEST POŚWIĘCONA PAMIĘCI CZŁOWIEKA I JEGO MARZENIU. BYŁ ON UOSOBNIENIEM ODWAGI I GENIUSZU W ŚWIECIE, KTÓRY OSZALAŁ. NIC NIE MOŻE STANAĆ NA DRODZE DO SPEŁNIENIA TEGO MARZENIA.

JESTEŚMY OCALAŁYMI Z WOLFSSCHANZE. CI Z NAS, KTÓRZY JESZCZE ŻYJĄ, POŚWIĘCĄ SWOJE ŻYCIE I CIAŁO DLA OCHRONY MARZENIA TEGO CZŁOWIEKA. ZOSTANIE ONO SPEŁNIONE, BO JEST WSZYSTKIM, CO POZOSTAŁO. AKTEM MIŁOSIĘDZIA, KTÓRY POKAŻE ŚWIATU, ŻE ZOSTALIŚMY ZDRADZENI, ŻE NIE BYLIŚMY TACY, ZA JAKICH ŚWIAT NAS UWAŻAŁ.

MY, LUDZIE WOLFSSCHANZE, WIEMY, DO CZEGO NAJLEPIEJ SIĘ NADAWALIŚMY. TAK JAK WIEDZIAŁ TO HEINRICH CLAUSEN.

TERAZ NA TOBIE, NOELU CLAUSENIE-HOLCROFCIE, SPOCZYWA OBOWIĄZEK DOPROWADZENIA DO KOŃCA TEGO, CO ZAPOCZĄTKOWAŁ TWÓJ OJCIEC. TY JESTEŚ TĄ DROGĄ. TEGO ŻYCZYŁ SOBIE TWÓJ OJCIEC.

WIELU BĘDZIE PRÓBOWAŁO CIĘ POWSTRZYMAĆ. OTWORZYĆ ŚLUZY I ZNISZCZYĆ MARZENIE. ALE LUDZIE WOLFSSCHANZE PRZETRWALI. MASZ NASZE SŁOWO, ŻE WSZYSCY, KTÓRZY BĘDĄ CI PRZESZKADZAĆ, ZOSTANĄ POWSTRZYMANI.

A KTO STANIE NA TWOJEJ DRODZE, KTO SPRÓBUJE ODWIEŚĆ CIĘ OD WYPEŁNIENIA TEJ MISJI, KTO SPRÓBUJE ZWIEŚĆ CIĘ KŁAMSTWAMI, ZOSTANIE WYELIMINOWANY.

TAK JAK WYELIMINOWANY ZOSTANIESZ TY I TWOI NAJBLIŻSI, JEŚLI SIĘ ZAWAHASZ ALBO ZAWIEDZIESZ.

TAKĄ SKŁADAMY CI PRZYSIĘGĘ.

Noel wyszarpnął kartkę z szuflady, rozpadła mu się w rękach. Pozwolił strzępom opaść na podłogę.

— Przekłęci maniacy! — Zatrzasnął z hukiem szufladę i wybiegł z sypialni. Gdzie telefon? Gdzie, u diabła, ten cholerny telefon? Aha! Pod oknem. Stoi na kuchennym stoliku pod tym pieprzonym oknem!

— Maniacy! — wrzasnął jeszcze raz w przestrzeń. Ale właściwie miał na myśli adresata: człowieka z Genewy, z którym spotkał się w pociągu odjeżdżającym do Zurychu. Tę stronę mogli przed trzydziestu laty zapełnić bredniami maniacy, ale kto ją dostarczył teraz, po trzydziestu latach?! Inni maniacy włamali się do jego mieszkania, wtargnęli w jego życie, dotyka-

li należących doń przedmiotów. „Bóg jeden wie, co jeszcze” — pomyślał przypominając sobie o „Sz. P. Peterze Baldwinie”. Człowieku, który przebył tysiące mil, żeby się z nim zobaczyć i porozmawiać... Cisza, trzask, przerwane połączenie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Która jest teraz godzina w Zurychu? Szósta? Siódma? Banki w Szwajcarii otwierają o ósmej. La Grande Banque de Geneve ma filię w Zurychu, Manfredi tam będzie.

Okno. Stał przy tym samym oknie, przy którym przed kilkoma minutami czekał na powrót Baldwina do aparatu. Okno. Po drugiej stronie dziedzińca w mieszkaniu naprzeciwko. Trzy krótkie rozbłyśki zapalniczki... blondynka w oknie!

Holcroft wsunął rękę do kieszeni, sprawdzając, czy ma przy sobie klucze. Miał. Podbiegł do drzwi, wypadł na korytarz, pognął do windy i wduślił przycisk. Wskaźnik sygnalizował, że kabina stoi na dziesiątym piętrze; strzałka nie poruszała się.

Diabli nadali!

Popędził do klatki schodowej i runął w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Dotarł na parter i wypadł do holu.

— O Jezu, panie Holcroft! — Jack gapił się na niego wytrzeszczając oczy. — Aleś mnie pan przestraszył!

— Znasz portiera z sąsiedniego budynku? — krzyknął Noel.

— Z którego?

— Chryste! Z tamtego! — Holcroft machnął ręką w prawo.

— A, spod trzydziestego ósmego. Jasne, że znam.

— Chodź ze mną!

— Zaraz, chwileczkę, panie Holcroft. Nie mogę się stąd oddalać.

— To zajmie tylko minutkę. Masz u mnie za to dwadzieścia dolarów.

— Tylko minutę...

Portier spod trzydziestego ósmego powitał ich i szybko zrozumiał, że ma udzielić rzetelnych informacji przyjacielowi Jacka.

— Przykro mi, *sir*, ale to mieszkanie stoi puste. Od prawie trzech tygodni. Ale obawiam się, że zostało już wynajęte; nowi lokatorzy będą się wprowadzać...

— Tam ktoś jest! — wpadł mu w słowo Noel, usiłując zapanować nad sobą. — Kobieta, blondynka. Muszę się dowiedzieć, kim jest.

— Blondynka? Tak coś średniego wzrostu, dosyć przystojna, dużo pali?

— Tak, to ona! Kto to jest?

— Panie, długo pan tam mieszka?

— Że co?

— Pytam, od kiedy pan zajmuje swoje mieszkanie?

— A co to ma do rzeczy?

— Bo tak sobie pomyślałem, że pan może trunkowy...

— O czym pan, do jasnej cholery, bredzi?! Kim jest ta kobieta?

— Nie jest, panie. Była. Blondynka, o którą pan pyta, to pani Palatynie. Zmarła przed miesiącem.

Noel siedział w fotelu podsunętym pod okno ze wzrokiem wlepionym w budynek wznoszący się po drugiej stronie dziedzińca. Ktoś usiłował doprowadzić go do obłądu. Ale dlaczego? To nie miało sensu! Fanatycy, maniacy sprzed trzydziestu lat przeskoczyli trzy dziesięciolecia, by rozkazywać młodszemu, nie znanym sobie żołnierzom, żyjącym trzydzieści lat później. I znowu, dlaczego?



Zatelefonował do hotelu „St. Regis”. Telefon w pokoju czterysta jedna działał, ale był bez przerwy zajęty. A kobieta, którą wyraźnie widział, nie istniała. Ale ona przecież istniała! I była w to wszystko zamieszana; wiedział to.

Wstał z fotela, podszedł do stojącego nie na swoim miejscu barku i nalał sobie drinka. Spojrzał na zegarek, pierwsza pięćdziesiąt. Ma jeszcze dziesięć minut do czasu, kiedy odtelefonuje do niego telefonistka centrali międzynarodowej — z bankiem będzie się można połączyć o drugiej w nocy czasu nowojorskiego. Wrócił ze szklaneczką na fotel pod oknem. Po drodze mijał radio. Nie stało oczywiście tam, gdzie zwykle; tylko dlatego zwrócił na nie uwagę. Włączył je machinalnie. Lubił muzykę, uspokajała go.

Ale zamiast muzyki usłyszał audycję słowną. Z *rat-tat-tat* stanowiącego tło dla głosu spikera wynikało, że to jedna ze stacji nadających na okrągło wiadomości. Ktoś zmienił ustawienie pokrętkła dostrojenia. Powinien się tego spodziewać. *Nic nie jest już dla Ciebie, jak było...*

Z dobywającego się z głośnika potoku słów coś przyciągnęło nagle jego uwagę. Odwrócił się gwałtownie w fotelu wylewając sobie na kolana część drinka.

— *...policja otoczyła kordonem wejście do hotelu. Nasz reporter, Richard Dunlop, jest na miejscu i komentuje przebieg wydarzeń na bieżąco z wozu transmisyjnego. A więc, Richard, czego się dowiedziałeś?*

Z trzasku zakłóceń elektrostatycznych wybił się podniecony głos sprawozdawcy.

— *Nazwisko tego mężczyzny brzmi Peter Baldwin, John. Był Anglikiem. Przyjechał wczoraj, a w każdym razie wczoraj zameldował się w „St. Regis”. Policja kontaktuje się właśnie z liniami lotniczymi, żeby zasięgnąć bliższych informacji. Z tego, co udało się do tej pory ustalić, wynika, że przyjechał tu na wakacje. Do karty meldunkowej hotelu nie wpisał miejsca zatrudnienia.*

— *Kiedy znaleziono ciało?*

— *Mniej więcej pół godziny temu. Do pokoju wszedł konserwator, żeby sprawdzić aparat telefoniczny, i znalazł pana Baldwina rozciągniętego na łóżku. Krążą tu różne fantastyczne plotki i nie wiadomo, w co wierzyć, ale kładzie się nacisk na sposób dokonania zabójstwa. Wszystko wskazuje na to, że był bestialski, brutalny. Mówią, że pan Baldwin został zgarotowany. Udużony drutem zadzierzgniętym wokół szyi. Słyszano, jak rozhisteryzowana pokojowa z czwartego piętra przestuchiwana przez policję krzyczała, że cały pokój był zbryzgany...*

— *Czy motywem był rabunek?* — przerwał mu ze studia w imię dobrego smaku prowadzący audycję.

— *Nie zdołaliśmy tego ustalić. Policja nabrała wody w usta. Zdaje się, że czekają na przybycie kogoś z konsulatu brytyjskiego.*

— *Dziękujemy Richardowi Dunlopowi. Pozostaniemy w kontakcie. ...Spod hotelu „St. Regis” na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na Manhattanie mówi! dla państwa Richard Dunlop. Przypominamy: dziś nad ranem, w jednym z najwytworniejszych hoteli Nowego Jorku dokonano brutalnego morderstwa. Obywatel brytyjski nazwiskiem Peter Baldwin...*

Holcroft zerwał się z fotela, dopadł do radia i wyłączył je. Zastygł nad aparatem oddychając szybko. Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co przed chwilą usłyszał. Nie było to coś, czego by nie brał pod uwagę; było to po prostu niewiarygodne.

Ale jednak było możliwe. Było realne, wydarzyło się. To śmierć. Maniacy sprzed trzydziestu lat nie byli karykaturami, postaciami z jakiegoś melodramatu. Byli bestialskimi mordercami. I działali ze śmiertelną powagą.

Peter Baldwin powiedział mu, żeby nie robił nic w sprawie Genewy. Baldwin wtrącił się do marzenia, wtrącił się do paktu. I teraz nie żyje, bestialsko zamordowany drutem zaciśniętym na szyi.

Noel z trudnością dowlókł się z powrotem do fotela. Podniósł do ust szklaneczkę i upił z niej kilka solidnych łyków whisky; szkocka nic mu nie pomogła. Łomot w piersiach przybrał tylko na częstotliwości.

Błysk zapałki! W oknie po drugiej stronie dziedzińca! Znow tam była! Za przejrzystymi zasłonami majaczyła w mdłym świetle sylwetka kobiety o blond włosach. Patrzyła w tę stronę, patrzyła na niego! Podniósł się z fotela przyciągany jakąś hipnotyczną siłą do okna, jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od szyby. Kobieta skinęła głową. Skinęła wolno głową. Chciała coś przekazać. Mówiła, że jego podejrzenia są trafne!

...*Blondynka, o którą pan pyta, to pani Palatynie. Zmarła przed miesiącem.*

Sylwetka zmarłej kobiety widniała w oknie po drugiej stronie ciemności i przesyłała mu straszną wiadomość. O Chryste, popadał w obłąd!

Zadzwoił telefon; aż podskoczył na dźwięk dzwonka. Wstrzymał oddech i jednym sussem dopadł aparatu. Nie mógł dopuścić, by zadzwonił jeszcze raz. Terkot przeraźliwie brzmiał wśród ciszy.

— Pan Holcroft? Tu centrala międzynarodowa. Pan zamawiał rozmowę z Zurychem...

Noel słuchał z niedowierzaniem przygnębionego głosu ze Szwajcarii. Człowiek na linii był kierownikiem zuryskiej filii La Grande Banque de Geneve. *Directeur* powtórzył dwukrotnie, podkreślając swoje stanowisko.

— Jesteśmy pogrążeni w głębokim żalu, panie Holcroft. Wiedzieliśmy, że *Herr Manfredi* nie czuje się najlepiej, nie mieliśmy jednak pojęcia, że choroba poczyniła takie postępy.

— O czym pan mówi? Co się stało?

— Nieuleczalna choroba różnie wpływa na psychikę. Nasz kolega był pełnym życia człowiekiem, człowiekiem energicznym, a kiedy tacy ludzie nie mogą funkcjonować w normalny sposób, popadają często w stan zniechęcenia i wielkiej depresji.

— Co się stało?

— To było samobójstwo, panie Holcroft. *Herr Manfredi* nie potrafił się pogodzić ze swoją niepełnosprawnością.

— Samobójstwo?

— Nie ma sensu ukrywać prawdy. Ernst rzucił się z okna swojego pokoju hotelowego. Miłosierny Bóg zesłał mu szybką śmierć. O dziesiątej. La Grande Banque uczci jego pamięć, zawieszając na minutę wszystkie interesy.

— O mój Boże...

— Wszystkie konta, którymi opiekował się osobiście *Herr Manfredi* — kończył głos z Zurychu — zostaną przejęte przez równie fachowe ręce. Spodziewamy się...

Noel odłożył słuchawkę kładąc kres potokowi wymowy tamtego człowieka. *Konta... zostaną przejęte przez równie fachowe ręce.* Jak zwykle, interesy; zabity został człowiek, ale sprawy szwajcarskiej finansjery muszą toczyć się dalej. A on został zabity.

Ernst Manfredi nie rzucił się z okna zuryskiego hotelu. Został z niego wyrzucony. Zamordowali go ludzie *Wolfsschanze*.

Na miłość boską, dlaczego?! I wtem Holcroft przypomniał sobie. Manfredi wyraził się lekceważąco o ludziach *Wolfsschanze*. Zapewniał Noela, że nie warto się przejmować ich makabrycznymi pogroźkami, rojeniami chorych starców szukających pokuty...

I to był błąd Manfrediego. Niewątpliwie opowiedział swoim współpracownikom, innym dyrektorom La Grande Banque o dziwnym liście dostarczonym adresatowi z nie naruszonymi woskowymi pieczęciami. Być może wyśmiał w ich obecności ludzi *Wolfsschanze*.

Zapałka! Błysk zapałki! Kobieta w oknie po drugiej stronie dziedzińca wolno skinęła głową! Znowu — jak gdyby czytając w jego myślach — potwierdzała słuszność jego domysłów. Zmarła kobieta mówiła mu, że ma rację!

Odwróciła się i odeszła od okna. Światelko w oknie zgasło.

— Wracaj! Wracaj! — wrzasnął Holcroft przyciskając dłonie do szyby. — Kim jesteś?

Ponownie rozległ się brzęczyk stojącego przed nim telefonu. Noel wpatrywał się weń z przerażeniem. Dygocząc na całym ciele, podniósł słuchawkę.

— Tu Jack, panie Holcroft. Coś mi się wydaje, że może wiem, co się stało tam u pana na górze. To znaczy, nie pomyślałem o tym wcześniej, ale parę minut temu przypomniało mi się.

— Co to było?

— Dwa dni temu w nocy, przyszło takich dwóch facetów. Ślusarzy. Pan Silverstein z pańskiego piętra zmieniał sobie zamek. Louie mnie o tym uprzedził. No to wszystko w porządku, myślę sobie. Potem zacząłem się zastanawiać. Dlaczego przyszli w nocy? Znaczą się, rozumiem, że czasem pracuje się po fajerancie i takie tam, ale dlaczego nie przyszli w dzień? No i zadzwoniłem do Louie, do domu. Powiedział mi, że ślusarze byli już poprzedniego dnia. No to kim, u diabła, byli ci dwaj?

— Pamiętasz, jak wyglądali?

— Jasne, że pamiętam! Szczególnie jednego. Można by go wyłuskać z tłumu przy Garden! Miał...

W słuchawce rozległ się głośny, ostry huk. Wystrzał!

Potem coś trzasnęło. Telefon w holu spadł na ziemię.

Noel cisnął słuchawką, pognął do drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem z taką siłą, że rąbnęły w wiszącą na ścianie, oprawioną w ramki reprodukcję, tłukąc szybkę. Nie było czasu na zabawę z windą. Zbiegł po schodach, bojąc się myśleć o czymkolwiek, koncentrując się tylko na szybkości i zachowaniu równowagi, pokładając w Bogu nadzieję, że nie potknie się na stopniach. Dotarł na parter i jak bomba wypadł przez drzwi prowadzące do holu.

Zatrzymał się jak wryty i patrzył zaszokowany. Stało się najgorsze. Portier Jack siedział na krześle wygięty w łuk z głową przewieszoną przez oparcie, a z szyi ciekła mu krew. Strzelono mu w gardło.

Wtrącił się. Miał właśnie zidentyfikować jednego z ludzi *Wolfsschanze* i został za to zabity.

Baldwin, Manfredi... Bogu ducha winny portier... Nie żyją.

*...wszyscy ci, którzy się wtrącają, zostaną powstrzymani. ...Każdy, kto stanie ci na drodze, kto spróbuje odwieść cię od spełnienia misji, kto spróbuje cię oszukać... zostanie wyeliminowany.*

*...Tak jak wyeliminowany zostaniesz ty i twoi bliscy, jeśli się zawahasz. Albo zawiedziesz.*

Manfredi spytał go, czy właściwie ma jakiś wybór. Już go nie miał.

Zewsząd otaczała go śmierć.

## 5

Althene Holcroft siedziała za biurkiem w swoim gabinecie i wpatrywała się w słowa trzymanego w dłoniach listu. Jej ostre, jakby rzeźbione rysy — wysokie kości policzkowe, orli nos, szeroko rozstawione oczy pod łukami gęstych brwi — były napięte i stężałe, podobnie jak cała postać. Arystokratyczne, wąskie wargi były mocno zaciśnięte. Oddychała miarowo, ale każdy oddech był przesadnie kontrolowany, przesadnie głęboki, by uznać go za normalny. Czytała list Heinricha Clausena, jak ktoś studiujący zestawienie statystyczne, przeczące informacjom traktowanym dotąd za nie podlegające dyskusji.

W drugim końcu pokoju, przy łukowatym oknie wychodzącym na] sfałdowany trawnik i ogrody za domem w Bedford Hills, stał Noel. Patrzył na przykryte jutowymi workami krzewy. Było zimno, na zielonej trawie skrzyły się gdzieniegdzie splachetki siwego, porannego szronu.

Holcroft odwrócił się od widoku za oknem i spojrzał na matkę, usiłując rozpaczliwie ukryć swój strach, kontrolować dreszcze wstrząsające nim wciąż na wspomnienie wydarzeń ostatniej nocy. Nie mógł dopuścić do tego, by matka zauważyła ogarniające go przerażenie. Zastanawiał się, jakież to nurtują ją myśli, jakie wspomnienia wyzwoliły słowa pisane niebieskim atramentem ręką człowieka, którego kiedyś kochała i którym potem zaczęła pogardzać. Cokolwiek myślała, pozostanie tajemnicą, dopóki nie zdecyduje się odezwać. Althene mówiła tylko to, co chciała powiedzieć.

Wyczuła chyba jego spojrzenie, bo podniosła wzrok, ale tylko na chwilę. Spuściła znowu oczy na list, poświęcając jeszcze krótszą chwilę na odgarnięcie z czoła kosmyka siwych włosów obramowujących jej twarz. Noel ruszył machinalnie w kierunku biurka, zerkając na półki z książkami i fotografie rozwieszona na ścianie. „Ten pokój odzwierciedla osobowość właścicielki” — przyszło mu do głowy. Jest pełen wdzięku, nawet elegancki, ale jednocześnie przenika go atmosfera witalności. Fotografie przedstawiają mężczyzn i kobiety na koniach podczas polowania, na jachtach wśród spienionych wód, na nartach w górskich śniegach. Nie można temu zaprzeczyć: w tym bardzo kobiecym pokoju unosi się nieuchwytna aura męskości. To gabinet jego matki, jej sanktuarium, gdzie zaszywa się, by rozmyślać w samotności. Ale równie dobrze mógłby należeć do mężczyzny.

Noel usiadł w skórzanym fotelu przed biurkiem i zapalił papierosa złotą zapalniczką Colibri, pożegnalnym podarunkiem od młodej damy, która wyprowadziła się przed miesiącem z jego mieszkania. Znowu dygotał; ścisnął zapalniczkę z całych sił.

— To zgubny nałóg — odezwała się Althene, nie odrywając oczu od listu. — Wydawało mi się, że zamierzasz rzucić palenie.

— Robiłem to. Wiele razy.

— To słowa Marka Twaina. Bądź przynajmniej oryginalny.

Holcroft poprawił się zakłopotany w fotelu.

— Przeczytałaś go już chyba kilka razy. Co o tym sądzisz?

— Nie wiem, co myśleć — powiedziała Althene kładąc list na biurku przed sobą. — On to napisał; to jego pismo, jego sposób formułowania myśli. Arogancki nawet w wyrażaniu skruchy.

— A zatem zgadzasz się, że to wyraz skruchy?

— Na to by wyglądało. W każdym razie z pozoru. Chciałabym wiedzieć o wiele więcej. Mam sporo wątpliwości co do tego nadzwyczajnego przedsięwzięcia finansowego. To przechodzi wszelkie wyobrażenie.

— Wątpliwości prowadzą do innych wątpliwości, mamó. Ludzie z Genewy nie są

skłonni do ich wyjaśniania.

— Czy to ważne, do czego są skłonni? Jak rozumiałam — chociaż nie powiedziałeś mi wszystkiego — zwrócili się do ciebie o poświęcenie co najmniej sześciu miesięcy życia, a prawdopodobnie o wiele więcej.

I znowu Noel poczuł się skrępowany. Zdecydował, że nie pokaże jej dokumentu z La Grande Banque. Gdyby upierała się, zawsze mógł go wyjąć. A jeśli nie, tym lepiej. Im mniej wiedziała, tym lepiej. Musiał trzymać ją z dala od ludzi *Wolfsschanze*. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Althene wtrąciłaby się.

— Nie taję przed tobą niczego istotnego — bąknął.

— Wcale tego nie twierdzą. Powiedziałam tylko, że nie mówisz mi wszystkiego. Powołujesz się na jakiegoś człowieka z Genewy, ale nie mówisz, kto to taki; wspominasz o warunkach, ale opisujesz je tylko w zarysie; mówisz o najstarszych dzieciach obu rodzin, ale nie podajesz ich nazwisk. Dużo pomijasz milczeniem.

— Dla twojego dobra.

— To mi trąci protekcyjnością i, biorąc pod uwagę ten list, jest bardzo uwłaczające.

— Nie chciałem, żebyś tak to odebrała. — Holcroft pochylił się. — Nikt nie chce, aby konto bankowe było choć w najmniejszym stopniu związane z tobą. Przeczytałaś list; wiesz, o co idzie gra. Tysiące tysięcy ludzi, setki milionów dolarów. Trudno przewidzieć, kto mógłby obarczyć cię odpowiedzialnością. Byłaś tą żoną, która wygarnęła mu prawdę. Rzuciłaś go, bo cię nie posłuchał. W końcu uświadomił sobie, że miałaś rację, na co masz dowód. Mogą jeszcze żyć ludzie, którzy byliby skłonni cię za to zabić. Nie pozwolę, abyś znalazła się w takiej sytuacji.

— Rozumiem — wycedziła przez zęby Althene, a potem powtórzyła to wstając z fotela i przechodząc wolno przez pokój do okna we wnęce. — Jesteś pewien, że o to właśnie chodziło ludziom z Genewy?

— Tak, oni... on... dawał to do zrozumienia.

— Podejrzewam, że chodziło nie tylko o to.

— Nie tylko.

— Czy mogę pozgadywać, o co jeszcze?

Noel zeszywniał. Nie mógł powiedzieć, że nie docenia przenikliwości matki — rzadko mu się to zdarzało — ale jak zawsze denerwowało go, kiedy wyrażała swoje spostrzeżenia słowami, zanim on miał szansę je sobie uzmysłowić.

— Wydaje mi się, że to oczywiste.

— Naprawdę? — Althene odwróciła się od okna i spojrzała na niego.

— Jest o tym w liście. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się o pochodzeniu tego konta, wynikłyby problemy natury prawnej. Do trybunałów międzynarodowych zaczęłyby wpływać różnego rodzaju pozwы.

— Tak. — Matka odwróciła wzrok. — A zatem to oczywiste. Dziwię się, że pozwolono ci cokolwiek mi powiedzieć.

Noel odchylił się lekko na oparcie fotela zbity z tropu słowami matki.

— A co w tym dziwnego? Naprawdę coś w tej sprawie zrobisz?

— Mam taką pokusę — odparła, wyglądając wciąż przez okno. — Nie wydaje mi się, aby komuś przechodziła żądza odwetu, tłuczenia kogoś czy czegoś, co spowodowało wielki ból. Nawet jeśli ten ból miałby mu odmienić życie na lepsze. Bóg świadkiem, że mnie — nam — odmienił. Wydostaliśmy się z piekła na poziom względnego szczęścia, z szukania którego już zrezygnowałam.

— Tata? — spytał Noel.

Althene odwróciła się.

— Tak. Nigdy się nie dowiesz, ile ryzykował chroniąc nas. Byłam skończoną idiotką, a on przygarnął tę idiotkę i jej dziecko. Dał nam coś więcej niż samą tylko miłość; dał nam po raz drugi życie. W rewanżu prosił tylko o miłość.

— Dałaś mu ją.

— I będę ją dawać aż do śmierci. Richard Holcroft jest człowiekiem, za jakiego uważałam kiedyś Clausena. Tak się pomyliłam, tak strasznie się pomyliłam... Fakt, że Heinrich zginął przed tyloma laty, nie ma znaczenia; nienawiść nie umiera. Pragnę odwetu.

Noel starał się zapanować nad głosem. Musiał odciągnąć matkę od tych myśli; dowiedziawszy się o nich, niedobitki *Wolfsschanze* nie pozostawiłyby jej przy życiu.

— Brałabyś odwet na człowieku, którego pamiętasz, a nie na autorze tego listu. Może to, co dostrzegłaś w nim z początku, naprawdę się tam znajdowało. W końcu wzięło w nim górę.

— To byłoby pokrzepiające, prawda?

— Sądzę, że tak właśnie było. Człowiek, który pisał ten list, nie kłamał. On cierpiał.

— Zasłużył sobie na cierpienie, wyrządził tyle krzywdy. Był najbezwzględniejszym człowiekiem, jakiego znałam. Ale zewnętrznie tak innym, tak pełnym zapału. I, mój Boże, czymże okazał się ten zapal!

— On się zmienił, mamó — przerwał jej Holcroft. — Ty miałaś w tej zmianie swój udział. Pod koniec życia pragnął tylko pomóc w naprawieniu tego, co zrobił. Wyraźnie to mówi: „Konieczne jest zadośćuczynienie”. Pomyśl, czego dokonał — czego dokonali wszyscy trzej — aby dopiąć celu.

— Wiem, nie mogę tego nie doceniać. Tak samo, jak nie mogę nie doceniać tych słów. Niemal słyszę, jak je wypowiada, ale mówi to bardzo młody mężczyzna. Młody człowiek pełen zapału z bardzo młodą, szaloną dziewczyną u boku... — Althene urwała na chwilę. — Dlaczego pokazałaś mi ten list? Dlaczego wywlokłaś znowu to wszystko?

— Ponieważ postanowiłem się tym zająć. Wiąże się to z zamknięciem biura, wieloma podróżami, a wreszcie z pracą przez kilka miesięcy w Szwajcarii. Człowiek z Genewy powiedział, że nie zaakceptowałabyś tego wszystkiego bez zadawania pytań. Obawiał się, że dowiedziałabyś się w ten sposób czegoś szkodliwego i zrobiła coś nierozważnego.

— Twoim kosztem? — spytała Althene.

— Chyba tak. On uważał, że istnieje taka możliwość. Powiedział, że twoje wspomnienia są jeszcze żywe. „Niezatarte”, tak to określił.

— Niezatarte — przyznała Althene.

— Chodziło mu o to, że nie istnieją prawne rozwiązania tej kwestii, że lepiej wykorzystać pieniądze w sposób zgodny z przeznaczeniem. Na zadośćuczynienie.

— Możliwe, że miał rację. O ile jest to w ogóle wykonalne. Minęło już tyle czasu. Czegokolwiek tknął się Heinrich, niewiele dobrego i wartościowego z tego wynikało. — Althene urwała ze ściągniętą nagle twarzą. — Ty byłeś jedynym wyjątkiem. Być może kolej teraz na drugi.

Noel podniósł się z fotela i podszedł do matki. Objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

— Ten człowiek z Genewy mówił, że jesteś niezwykła. Nie mylił się.

Althene oderwała się od niego.

— Tak powiedział? „Niezwykła”?

— Tak.

— Ernst Manfredi — wyszeptała.

— Znasz go? — spytał Holcroft zaskoczony.

— To nazwisko sprzed wielu lat. A więc jeszcze żyje.

— Skąd wiedziałaś, że to on?

— Pewnego letniego popołudnia był w Berlinie i pomagał nam się wydostać. Tobie i mnie. Wsadził nas do samolotu, dał mi pieniądze. Dobry Boże... — Althene wyzwoiliła się z objęć syna, przeszła przez pokój i stanęła przy biurku. — Nazwał mnie wtedy, tamtego popołudnia, „niezwykłą”. Powiedział, że będzie mnie szukał, że odnajdzie mnie. Że nas odnajdzie. Mówił, że uczyni, co w jego mocy. Pouczył, co robić, co mówić. Ten niepozorny, mały szwajcarski bankier był tego popołudnia olbrzymem. Dobry Boże, po tylu latach...

Noel patrzył na matkę z bezgranicznym zdumieniem.

— Dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego nic mi nie powiedział?

Althene odwróciła się twarzą do syna, ale nie patrzyła na niego.

Wzrok miała utkwiony w jakimś punkcie za jego plecami; widziała tam coś, czego on nie dostrzegł.

— Wydaje mi się, że chciał, abym sama do tego doszła. Chyba tak. Nie należał do ludzi żądających bez skrupułów spłaty starych długów. — Westchnęła. — Nie będę udawała, że dam sobie spokój z pytaniami. Niczego nie obiecuję. Jeśli zdecyduję się podjąć jakieś działania, uprzedzę cię o tym zawczasu. Ale na razie nie będę się wtrącała.

— To coś w rodzaju pozostawienia sobie otwartej furtki, prawda?

— To najlepsze, co mogłeś osiągnąć. Te wspomnienia są naprawdę niezatarte.

— Ale na razie nic nie będziesz robiła?

— Masz na to moje słowo. Nie dam go pochopnie, tak jak i pochopnie nie cofnę.

— Co mogłoby zmienić twoją decyzję?

— Na przykład twoje ewentualne zniknięcie.

— Będę z tobą w kontakcie.

Althene Holcroft patrzyła za wychodzącym z pokoju synem. Jej twarz — jeszcze przed chwilą tak napięta, tak ściągnięta — była teraz rozpułcona. Wąskie wargi ułożyły się w uśmiech; z szeroko rozstawionych, zamysłonych oczu wyzierała spokojna satysfakcja i siła.

Sięgnęła do stojącego na biurku telefonu, wcisnęła przycisk z literą O i po kilku sekundach powiedziała:

— Centrala międzynarodowa? Chciałabym zamówić rozmowę z Genewą w Szwajcarii.

Potrzebował możliwego do przyjęcia z zawodowego punktu widzenia pretekstu uzasadniającego zawieszenie działalności firmy *Holcroft, Incorporated*. Nie mogło paść ani jedno docieklive pytanie. Pozostali przy życiu ludzie *Wolfsschanze* byli zabójcami zbyt łatwo interpretującymi pytania jako ingerencję. Musiał zniknąć w sposób legalny... Ale nie znika się w sposób legalny, znajduje się wiarygodne wytłumaczenie, stwarzające pozory legalności.

Pozory legalności.

Sam Buonoventura.

Nie znaczyło to wcale, że z Samem jest coś nie w porządku, nic podobnego. Był jednym z najlepszych inżynierów budownictwa w branży, pięćdziesięcioletnim zawodowym obieżyświatem, absolwentem City College z Tremont Avenue w Bronksie, który upodobał sobie życie z dnia na dzień w cieplejszym klimacie.

Podczas krótkiej służby w wojskach inżynieryjnych Buonoventura przekonał się, że poza granicami Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza na południe od Keys, istnieje miłszy i bardziej szczodry świat. Trzeba było tylko być dobrym — dobrym w wywiązywaniu się z kontraktu stanowiącego część jeszcze większego kontraktu, w który zainwestowano spore pieniądze. A w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych eksplozja budowlana w krajach Ameryki Łacińskiej i na Karaibach osiągnęła takie rozmiary, że kto wie, czy nie została wywołana specjalnie dla kogoś takiego jak Sam. Wśród korporacji i w kręgach rządowych wyrobił sobie opinię budowlanego tyra, mającego na swym koncie spore osiągnięcia w tej dziedzinie.

Jeśli po przestudiowaniu planów, kosztorysów i budżetów Sam powiedział swoim pracodawcom, że hotel, lotnisko czy zaporą będzie gotowa w danym terminie, rzadko pomylił się o więcej niż cztery procent. Był również wymarzoną współpracownikiem architekta, co oznaczało, że nie uważał za architekta siebie.

Noel pracował z Buonoventurą na dwóch kontraktach poza granicami kraju. Po raz pierwszy w Kostaryce, gdzie, gdyby nie Sam, Holcroft postradałby życie. Inżynier nalegał tam, aby elegancki, dobrze ułożony architekt z szycowej części Manhattanu nauczył się posługiwania rewolwerem, a nie tylko myśliwską strzelbą od Abercrombiego & Fitcha. Budowali kompleks pocztowy na prowincji, daleko od koktajlowych salonów hoteli Plaza i Waldorf Astoria, jak też od San Jose. Architekt uważał zarządzane na weekend ćwiczenia z bronią za niepoważne, ale kurtuazja nie pozwalała mu się od nich wymigać. Kurtuazja i tubalny głos Buonoventury.

Jednak pod koniec następnego tygodnia architekt był niewymownie wdzięczny inżynierowi. Ze wzgórz zeszedli złodzieje, by zrabować materiały wybuchowe używane na budowie. Dwaj mężczyźni przebiegli w nocy przez obóz i wpadli do baraku, w którym smacznie spał Noel. Kiedy stwierdzili, że nic tam nie znajdują, jeden wybiegł na zewnątrz krzycząc do kamrata:

— *Matemos el gringo!*

Ale *gringo* rozumiał język. Sięgnął po broń — rewolwer, który dostał od Sama Buonoventury — i zastrzelił swego niedoszłego mordercę. Sam wygłosił tylko jeden komentarz:

— Cholera. W niektórych kulturach musiałbym się tobą zaopiekować na resztę życia.

Noel odszukał Buonoventurę poprzez firmę spedycyjną z Miami. Sam przebywał aktualnie na Antylach Holenderskich w miasteczku Willemstad na wyspie Curacao.

— Jak się masz, Noley, stary draniu?! — krzyknął Sam do słuchawki. — Chryste, to już chyba ze cztery, nie, pięć lat! Jak tam twoje oko rewolwerowca?

— Nie sprawdzałem go od czasu *colinas* i nie spodziewam się już sprawdzać. Co u ciebie?

— Ci skubańcy przypalają sobie tutaj pieniędzmi papierosy, dzięki czemu zużywam mniej zapalek. Szukasz roboty?

— Nie. Pomocnej dłoni.

— Wal.

— Zamierzam wybyć na kilka miesięcy z kraju w sprawie osobistej. Potrzebny mi pretekst tłumaczący moją nieobecność w Nowym Jorku, usprawiedliwiający moją nieosiągalność. Pretekst, który nie wzbudzi niczyich zastrzeżeń. Mam pewien plan, Sam, i pomyślałem sobie, czy nie pomógłbyś mi czasem w jego realizacji.

— Jeśli obaj myślimy o tym samym, to nie ma sprawy.

Myśleli o tym samym. W przypadku zakrojonych na szeroką skalę przedsięwzięć w zabitych deskami miejscach nie należało do rzadkości przyjmowanie do pracy architektów — konsultantów, których nazwiska nie pojawiały się na szkicach ani planach, ale doświadczenie których było w pełni wykorzystywane. Praktyka ta dotyczyła z zasady tych rejonów świata, gdzie za punkt narodowego honoru uważano zatrudnianie rodzimych talentów. Ma się rozumieć, że wiązał się z tym aż nazbyt często problem braku odpowiednich kwalifikacji i doświadczenia. Inwestorzy ubezpieczali swoje ryzyko, zatrudniając wysoko kwalifikowanych specjalistów, którzy korygowali i naprawiali ewentualne błędy miejscowych, nadzorując do końca realizację przedsięwzięcia.

— Masz jakieś propozycje? — spytał Noel.

— Jasne, że mam. Możesz wybierać z tuzina krajów rozwijających się: Afryka, Ameryka Południowa, a nawet kilka tutejszych wysp na Antylach. Międzynarodowcy walą tu jak w dym, ale tubylcy wciąż są przewrażliwieni. Dlatego prace konsultacyjne mają nieoficjalny status i głośno się o nich nie mówi, a przekupstwo osiąga horrendalne rozmiary.



— Nie szukam pracy, Sam. Potrzebna mi przykrywka. Jakiś adres, na który mogę się powoływać, ktoś, kogo mogę wymienić z nazwiska i kto się mnie nie wyprze.

— A co byś powiedział na moją kandydaturę? Będę siedział za grzebany w tej dziurze jeszcze przez dobry rok. Może nawet dłużej. Po ukończeniu hotelu mam do wyboru dwa porty i klub jachtowy z prawdziwego zdarzenia. Ja jestem tym, kogo potrzebujesz, Noel.

— Na to właśnie liczyłem.

— A ja tak sobie właśnie pomyślałem. Podam ci szczegóły, a ty dasz mi znać, gdzie mogę cię złapać w razie, gdyby twoi przyjaciele z wyższych sfer zapragnęli urządzić dla ciebie herbatkę z tańcami.

W środę Holcroft załatwił dwójce swoich kreślarzy i sekretarce nowe posady. Tak jak się spodziewał, nie było z tym najmniejszych trudności; mieli dobre kwalifikacje. Odbył czternaście rozmów telefonicznych z dyrektorami do spraw inwestycji firm, w których rozpatrywano jego projekty, i zaskoczył go fakt, że na czternastu ewentualnych klientów, spośród konkurencyjnych ofert, jego miała największe szanse wygrania przetargu u ośmiu. U ośmiu! Gdyby wszystkie przeszły, całkowity zysk zamknąłby się sumą przekraczającą dochody z ostatnich pięciu lat.

Ale nie wyniósłby dwa miliony dolarów; podświadomie o tym myślał. A jeśli nawet nie o tym, to na pewno o pozostałych przy życiu ludziach *Wolfsschanze*.

Nagrał na taśmie automatycznej sekretarki stosowne informacje. *Holcroft, Incorporated nie przyjmuje przez pewien czas zleceń na projekty architektoniczne. Firma podpisała poważny kontrakt na realizację projektu poza granicami kraju. Rozmówca proszony jest o pozostawienie swojego nazwiska i numeru...*

Dla tych, którym zależało na bliższych informacjach, podawał kontakt w postaci skrytki pocztowej spółki *Samuel Buonoventura, Limited*, z siedzibą na wyspie Curacao należącej do Antyli Holenderskich. A dla tych nielicznych, którzy pragnęliby kontaktu telefonicznego, był numer Sama.

Z Buonoventurą umówił się, że będzie telefonował raz w tygodniu. Z tą samą częstotliwością sprawdzać będzie zawartość pamięci automatycznej sekretarki.

W piątek rano zaczął odczuwać niepokój w związku z podjętą decyzją. Zmieniał wszystko: z dobrze znanego, własnego ogródka przenosił się na teren nieznanego lasu.

*Nic nie jest już dla ciebie, jak było. Nic już nigdy takie nie będzie.*

„A jeśli nie odnajdzie dzieci von Tiebolta? Jeśli nie żyją i tylko ich szczątki spoczywają w grobie na jakimś brazylijskim cmentarzu? Zniknęli przed pięcioma laty w Rio de Janeiro; skąd mógł mieć pewność, że zdoła ich odszukać? A jeśli nie, czy wówczas niedobitki *Wolfsschanze* uderzą? Bał się. Ale strach nie pokrywa wszystkiego” — myślał dochodząc do skrzyżowania Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy z Trzecią Aleją. Istnieją sposoby na uporanie się ze strachem. Mógł pokazać władzom, Departamentowi Stanu, dokument z Genewy i opowiedzieć o osobach Petera Baldwina, Ernsta Manfrediego i portiera o imieniu Jack. Mógł ujawnić potężną defraudację sprzed trzydziestu lat i tysiące wdzięcznych ludzi z całego świata dopilnowałoby już, żeby nic mu się nie stało.

To była najrozsądniejsza rzecz, jaką mógł zrobić, ale, nie wiedząc czemu, nie przywiązywał teraz wagi do rozsądnych zachowań i rozwiązań podsuwanych przez instynkt samozachowawczy. Nie czas na to. Teraz liczył się cierpiący człowiek sprzed trzydziestu lat. I ten człowiek był uzasadnieniem jego postępowania.

Machnął na taksówkę porażony dziwną myślą. Myślą, która, zdawał sobie z tego sprawę, wypłynęła z głębi jego wyobraźni. Istniało coś jeszcze, co pchało go do tego „nieznanego lasu”.

Poczuwał się do odpowiedzialności za nie swoje winy. Brał na siebie grzechy Heinricha Clausena.

*Konieczne jest zadośćuczynienie.*

— Róg Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Piątej Alei poproszę — rzucił do kierowcy, gramoląc się do taksówki. Był to adres Konsulatu Brazylijskiego.

Rozpoczęły się łowy.

## 6

— Nie wiem, czy pana dobrze zrozumiałem, panie Holcroft — powiedział niemłody już attache, odchylając się na oparcie fotela. — Mówi pan, że pragnie odszukać pewną rodzinę, której nazwiska nie chce pan ujawnić. Mówi mi pan, że ta rodzina przybyła do Brazylii mniej więcej w latach czterdziestych i, według najświeższych informacji, przed kilkoma laty ślad po niej zaginął. Zgadza się?

Noel dostrzegł wyraz otumanienia na twarzy attache i zrozumiał. Może obrona taktyka była i naiwna, ale Holcroft nie widział innej drogi. Nie zamierzał wymieniać nazwiska von Tieboltów, dopóki nie znajdzie się w Brazylii; nie zamierzał dawać komukolwiek okazji do jeszcze większego skomplikowania poszukiwań i tak już wystarczająco utrudnionych na samym starcie. Uśmiechnął się przymilnie.

— Niezupełnie tak się wyraziłem. Pytałem, jak można by w powyższych okolicznościach odnaleźć taką rodzinę. Nie powiedziałem, że ja jestem poszukującym.

— A zatem jest to pytanie natury hipotetycznej? Czy pan jest dziennikarzem?

Holcroft zastanowił się nad pytaniem zadany przez siedzącego przed nim dyplomatę średniego szczebla. Najprościej byłoby odpowiedzieć twierdząco; jakżeż wygodne byłoby to wyjaśnienie dla pytań, które jeszcze miał w zanadrzu. Z drugiej strony za kilka dni odlatuje do Rio de Janeiro. Przed wyjazdem trzeba wypełnić kartę imigracyjną i być może kwestionariusz wizowy; nie wiedział tego na pewno. Fałszywa odpowiedź udzielona teraz, później mogła urosnąć do rangi problemu.

— Nie, architektem.

Oczy attache zdradzały zaskoczenie.

— A zatem odwiedzi pan oczywiście Brazylię. To majstersztyk.

— Bardzo bym chciał.

— Zna pan portugalski?

— Słabo hiszpański. Pracowałem w Meksyku. I w Kostaryce.

— Ale odbiegamy od tematu — powiedział attache, pochylając się ku Noelowi. — Zapytałem pana, czy jest pan dziennikarzem, a pan się zawahał. Korciło pana, żeby odpowiedzieć twierdząco, bo to wygodne. Szczerze mówiąc, z tego wynika, że to właśnie pan jest osobą poszukującą zaginionej rodziny. Może teraz opowiedziałby mi pan resztę?

„Jeśli w poszukiwaniach po tym nieznanym lesie mam zamiar uciekać się do kłamstw — pomyślał Noel — lepiej będzie, jeśli nauczę się najpierw analizować swoje odpowiedzi na proste pytania. Lekcja pierwsza przygotowanie”.

— Nie ma właściwie o czym opowiadać — odparł z zażenowaniem. — Wybieram się w podróż do pańskiego kraju i obiecałem przyjacielowi, że rozejrzę się za tymi ludźmi, jego dawnymi znajomymi. — „To wariacja na temat prawdy i do tego niezła” — pomyślał. Może dlatego tak łatwo przeszła mu przez usta.

Lekcja druga: osadzać kłamstwo w aspektach prawdy.

— Przecież pański... przyjaciel próbował już ustalić miejsce ich pobytu, i nie udało mu się.

— Próbował tego z odległości tysięcy kilometrów. To nie to samo.

— Nie to samo, fakt. Tak więc, z uwagi na odległość i obawę pańskiego przyjaciela, że mogą wyniknąć jakieś, nazwijmy to, komplikacje, wolałby pan nie wymieniać tej rodziny z nazwiska.

— W tym rzecz.

— Nie, nie w tym. Wysłanie telegramu z poufną prośbą o wyciąg z rejestru do zaprzy-

jaźnionej firmy prawniczej w Rio de Janeiro to dla prawnika fraszka. Takie rzeczy robi się na co dzień. Rodzina, którą pragnie odszukać pański przyjaciel, nie figuruje w żadnym rejestrze, i dlatego ten przyjaciel zwraca się o podjęcie poszukiwań do pana. — Attache uśmiechnął się i wzruszył ramionami, jakby wygłosił przed chwilą wykład z podstaw arytmetyki.

Noel patrzył na Brazylijczyka z rosnącym rozdrażnieniem. Lekcja trzecia: nie dać się wciągnąć w pułapkę trafnymi, ale przypadkowo wyciągniętymi wnioskami.

— Wie pan co? — burknął. — Bardzo nieprzyjemny z pana facet.

— Przykro mi, że tak pan uważa — odparł szczerze attache. — Pragnę przyjść panu z pomocą. Od tego tutaj jestem. Rozmawiałem w ten sposób z jednego powodu. Bóg świadkiem, że nie jest pan pierwszą ani nie będzie ostatnią osobą, która poszukuje ludzi przybyłych do mojego kraju „gdzieś w latach czterdziestych”. Z pewnością nie muszę rozwijać tego stwierdzenia. Ogromną większość tych ludzi stanowili Niemcy, wielu z nich ściągnięto do Brazylii ogromne sumy pieniędzy za pośrednictwem sympatyzujących z Niemcami krajów neutralnych. Powiem bez ogródek: niech pan będzie ostrożny. Ludzie, o których pan mówi, nie znikają bez powodu.

— Co pan przez to rozumie?

— Oni musieli zniknąć, panie Holcroft. Musieli. Pomijając już trybunał norymberski i izraelskich łowców głów, wielu posiadało majątki, na które składały się dobra zagrabione obywatelom, instytucjom, często rządów podbitych krajów. O te majątki ktoś mógłby się upomnieć.

Noel napiął mięśnie brzucha. Istniał tu jakiś związek — abstrakcyjny, w tych okolicznościach nawet zwodniczy, ale istniał. Von Tieboltowie zamieszani byli w kradzież tak ogromną i zakamuflowaną, że nie przystawały do niej żadne procedury księgowania. Ale nie mogła być ona powodem ich zniknięcia.

Lekcja czwarta: bądź przygotowany na nieprzewidziane zgodności faktów, bez względu na to, jak naciągane; bądź przygotowany na skrywanie swoich reakcji.

— Nie sądzę, aby ta rodzina była w coś takiego wmieszana — powiedział.

— Ale, ma się rozumieć, nie jest pan tego pewien, bo przecież tak niewiele pan o niej wie.

— Powiedzmy, że jestem pewien. Chciałbym się teraz tylko dowiedzieć, w jaki sposób przystąpić do poszukiwań albo jak stwierdzić, co się z nimi stało.

— Wspominałem już o prawniku.

— Prawnicy nie wchodzą w grę. Chyba pan pamięta, że jestem architektem? Prawnicy są naszymi naturalnymi wrogami, na nich tracimy większość czasu. — Holcroft uśmiechnął się. — Czegokolwiek potrafi dokonać prawnik, potrafię i ja, i to dużo szybciej. Znam hiszpański. Poradzę sobie z portugalskim.

— Rozumiem. — Attache zawiesił na chwilę głos, sięgając po leżące na biurku pudełko cienkich cygar. Otworzył je i podsunął Holcroftowi, ale ten pokręcił głową.

— Na pewno? — spytał attache. — Hawańskie.

— Na pewno. Poza tym goni mnie czas.

— Tak, wiem. — Attache sięgnął teraz po stojącą na biurku srebrną, stołową zapalniczkę, pstryknął nią i zaciągnął się głęboko. Koniuszek cygara rozjarzył się. Attache podniósł nagle wzrok na Noela.

— Nie da się pan przekonać i nie wyjawi mi nazwiska tej rodziny?

— Och, na miłość boską... — Holcroft wstał. Miał tego dosyć, znajdzie jakieś inne dojsścia.

— Proszę usiąść — mruknął Brazylijczyk — bardzo proszę. Jeszcze tylko minutkę, najwyżej dwie. Zapewniam, że nie traci pan czasu.

Noel dostrzegł w oczach attache ponaglenie. Usiadł.

— O co chodzi?

— *La comunidad alemana*. Mówię po hiszpańsku, czyli w języku, który ponoć tak dobrze pan zna.

— Wspólnota niemiecka? W Rio istnieje wspólnota niemiecka — to ma pan na myśli?

— Tak, ale nie jest to wspólnota w sensie jedynie terytorialnym. Istnieje, co prawda, wyodrębniona dzielnica — niemieckie *barrio*, jeśli pan woli — ale nie o nią mi chodzi. Mówię o czymś, co nazywamy *la otra cara de los alemanes*. Zrozumiał pan?

— „Drugie oblicze”... to, co jest pod spodem, pod powierzchnią niemieckości.

— Dokładnie. Można by to nazwać podwaliną. Jest to coś, co czyni ich tym, kim są; coś, co każe im robić, co robią. To ważne, aby pan zrozumiał.

— Chyba rozumiem. Wydaje mi się, że dobrze pan to wyjaśnił. Większość z nich to naziści, którzy wymknęli się z norymberskiej sieci i przyjechali tu z pieniędzmi, które do nich nie należały, zatajając, ukrywając swoje prawdziwe personalia. Tacy ludzie będą naturalnie dążyć do trzymania się razem.

— Naturalnie — przytaknął Brazylijczyk. — Ale wydawałoby się, że po tylu latach proces asymilacji powinien poczynić większe postępy.

— A dlaczego? Pracuje pan przecież tutaj, w Nowym Jorku. Niech się pan przejdzie na dolną East Side albo na Mulberry Street lub na północ, do Bronx. Enklawy Włochów, Polaków, Żydów. Żyją w nich od dziesięcioleci. Pan mówi o mniej więcej dwudziestu pięciu, trzydziestu latach. To niewiele.

— Występują tu, oczywiście, pewne podobieństwa, ale to nie to samo, niech mi pan wierzy. Ludzie, o których pan wspomniał, łączą się w Nowym Jorku otwarcie. Z dumą obnoszą swoje pochodzenie. W Brazylii tak nie jest. Wspólnota niemiecka udaje, że się asymiluje, ale to tylko pozory. Jeśli chodzi o handel, to owszem, ale w innych obszarach życia społecznego w bardzo niewielkim stopniu. Dominuje tam atmosfera strachu i złości. Zbyt wielu z nich przez długi czas ścigano; ukrywanie tysięcy prawdziwych tożsamości przed wszystkimi, prócz członków wspólnoty, jest wśród nich na porządku dziennym. Mają swoją własną hierarchię. Na czele wspólnoty stoją trzy czy cztery rodziny. Nasz kraj jest usiany ich ogromnymi, germańskimi posiadłościami. Nazywają je, oczywiście, szwajcarskimi albo bawarskimi. — Attache znowu przerwał. — Czy zaczyna pan chwytac, do czego zmierzam? Konsul generalny nie powie tego panu; mój rząd na to nie zezwoli. Ale ja stoję nisko, na dolnych szczeblach drabiny. Pozostawia się to mnie. Rozumie pan?

Noel był zdezorientowany.

— Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem. Nie zaskakuje mnie nic z tego, co od pana usłyszałem. W Norymberdze nazywano to „zbrodniami przeciwko ludzkości”. Takie określenie wzbudza wielkie poczucie winy, a poczucie winy rodzi strach. To oczywiste, że ci ludzie, mieszkający w nie swoim kraju, będą się trzymali razem.

— Poczucie winy rodzi strach. Strach, z kolei, rodzi nieufność. Nieufność, wreszcie, wydaje na świat przemoc. To właśnie musi pan zrozumieć. Obcokrajowiec przybywający do Rio i przystępujący do poszukiwań Niemców, którzy zniknęli, podejmuje się potencjalnie niebezpiecznego zadania. *La otra cara de los alemanes*. Oni osłaniają się nawzajem. — Attache podniósł do ust cygaro. — Niech nam pan wyjawi to nazwisko, panie Holcroft. Niech pan nam powierzy poszukiwanie tych ludzi.

Noel patrzył, jak Brazylijczyk wciąga w płuca dym ze swojej drogiej hawany. Nie bardzo wiedział dlaczego, ale poczuł nagle niepokój. *Nie daj się wciągnąć w pułapkę trafnymi, ale przypadkowo wysnutymi wnioskami...*

— Nie mogę. Mam wrażenie, że pan przesadza i wyraźnie nie chce mi pomóc. — Podniósł się z fotela.

— Bardzo dobrze — powiedział Brazylijczyk. — Powiem panu, jak się do tego zabrać samemu. Po znalezieniu się w Rio de Janeiro proszę się udać do ministerstwa imigracji. Dysponuje pan nazwiskami i przybliżonymi datami, może panu pomogą.

— Bardzo dziękuję — powiedział Noel odwracając się do drzwi.

Brazylijczyk wyszedł zdecydowanym krokiem z gabinetu do wielkiego przedpokoju służącego za recepcję. Na widok przełożonego siedzący w fotelu młody człowiek zerwał się sprężysto na nogi.

— Możesz już wracać do swojego gabinetu, Juan.

— Dziękuję, ekscelencjo.

Starszy mężczyzna minął siedzącą w holu recepcjonistkę, kierując się ku dwuskrzydłowym drzwiom. Na lewym skrzydle widniało wielkie godło Federalnej Republiki Brazylii, na prawym wisiła tabliczka ze złotymi literami układającymi się w napis OFICIO DO CONSUL GENERAL.

Konsul generalny wszedł przez nie do drugiego, mniejszego przedpokoju, który spełniał rolę gabinetu jego sekretarki.

— Połącz mnie z ambasadą — poinstruował dziewczynę, zmierzając prosto do drzwi swojego gabinetu. — Poproś do telefonu ambasadora. Jeśli go tam nie ma, poszukaj go. Przekaż mu, że sprawa jest poufna. Niech sam zdecyduje, czy może swobodnie rozmawiać, czy nie.

Najwyższy rangą dyplomata brazylijski w wielkim amerykańskim mieście zamknął za sobą drzwi, podszedł do biurka i usiadł. Wziął z blatu plik kartek spiętych zszywką. Pierwsze z nich stanowiły fotokopie gazetowych artykułów dotyczących zabójstwa na pokładzie samolotu *British Airways*, rejs 591 z Londynu do Nowego Jorku i dwóch morderstw wykrytych później na ziemi. Ostatnie dwie strony były kopiami listy pasażerów samolotu. Dyplomata przesunął wzrokiem po nazwiskach: HOLCROFT, NOEL. ODLOT GENEWA. BA #577. O. LON. BA #591. X. NYC. Patrzył na tę pozycję jakby z ulgą, że wciąż tam widnieje.

Rozległ się brzęczyk telefonu; podniósł słuchawkę.

— Tak?

— Ambasador na linii, *sir*.

— Dziękuję. — Konsul generalny usłyszał echo, co oznaczało, że włączono urządzenie szyfrujące. — Pan ambasador?

— Tak, Geraldo. Cóż to takiego pilnego i poufnego?

— Przed kilkoma minutami zjawił się u mnie pewien człowiek z pytaniem, jak mógłby odnaleźć w Rio rodzinę, której miejsca pobytu nie potrafił ustalić normalnymi kanałami. Nazywa się Holcroft. Noel Holcroft, architekt z Nowego Jorku.

— Nic mi to nie mówi — mruknął ambasador. — A powinno?

— Jeśli tylko czytał pan ostatnio listę pasażerów sobotniego samolotu *British Airways* z Londynu.

— Rejs pięćset dziewięćdziesiąt jeden? — wyrzucił z siebie jednym tchem ambasador.

— Tak. Ten człowiek wyleciał tamtego ranka z Genewy liniami *British Airways* i przesiadł się na Heathrow na rejs pięćset dziewięćdziesiąt jeden.

— A teraz chce odszukać kogoś w Rio? Co to za rodzina?

— Nie chciał powiedzieć. Rozmawiałem z nim podając się, naturalnie, za attache.

— Naturalnie. Zreferuj mi wszystko. Zadepeszuję do Londynu. Sądziś, że to możliwe... — ambasador urwał.

— Tak — odparł cicho konsul generalny. — Sądzę, że bardzo możliwe, iż szuka von Tieboltów.

— Zreferuj mi wszystko — powtórzył człowiek z Waszyngtonu. — Brytyjczyk uważa, że te zabójstwa to robota Tinamou.

Rozglądając się po salce klubowej boeinga 747 linii *Braniff*, Noel nie mógł się oprzeć wrażeniu *deja vu* — żywsze kolory, modniejszy krój uniformów personelu pokładowego, ale poza tym samolot wyglądał identycznie jak ten z rejsu 591 *British Airways*. Różnica tkwiła w atmosferze. Był to wypad do Rio, beztroška eskapada, która rozpoczynała się pod niebem i miała trwać dalej na plażach Złotego Wybrzeża.

„Tylko, że to nie będą żadne wakacje — pomyślał Holcroft — nic z tych rzeczy”. Jedy-  
ną atrakcją, jaka go czekała, był moment odkrycia. Miejsca pobytu lub faktu bezpowrotnego  
zaginięcia rodziny von Tieboltów.

Znawali się już w powietrzu od ponad pięciu godzin. Przebrnął przez niezjadliwy  
posiłek, przespał jeszcze gorszy film i w końcu postanowił wejść na górę, do salki klubowej.

Wstępował po stopniach z nieprzyjemnym odczuciem. Wspomnienia sprzed siedmiu  
dni nadal napawały go niepokojem. Na jego oczach wydarzyło się wtedy coś niewiarygodne-  
go; w odległości metra od miejsca, gdzie siedział, został zabity człowiek. W pewnym mo-  
mencie mógł wyciągnąć rękę i dotknąć skręcającej się z bólu postaci. O centymetry od niego  
przeszła śmierć, śmierć nienaturalna, śmierć chemiczna, morderstwo.

Strychnina. Bezbarwny, krystaliczny alkaloid, powodujący paroksyzmy nieprawdopo-  
dobnego bólu. Dlaczego to zrobiono? Kto za tym stał i co nim powodowało? Skutki były na-  
macalne, teorie mgliste.

W fizycznej bliskości ofiary z salki klubowej rejsu 591 z Londynu znajdowało się  
dwóch mężczyzn. Każdy z nich mógł dosypać trucizny do drinka ofiary; przypuszczalnie któ-  
ryś to zrobił. Ale znowu, dlaczego? Zgodnie z opinią policji *Port Authority*, nic nie wskazy-  
wało na to, aby ci dwaj mężczyźni kiedykolwiek znali Thorntona. I ci sami mężczyźni —  
przypuszczalni zabójcy — ponieśli śmierć zastrzeleni w cysternie na ziemi. Zniknęli z samo-  
lotu, nie pojawili się w ściśle strzeżonej strefie odprawy celnej, nie było ich w pomieszczeniu  
kwarantanny i wreszcie zostali zamordowani. Dlaczego? Przez kogo?

Żadnych odpowiedzi. Same pytania. A potem nie było już nawet pytań. Zdarzenie speł-  
zło ze szpalt gazet i z doniesień radiowych w sposób równie nagły, jak się tam pojawiło, jak-  
by ogłoszono zaciemnienie. I znowu, dlaczego? I znowu, kto za tym stał?

— To miała być szkocka z lodem, tak, panie Holcroft?

Wrażenie *deja vu* dopełniło się. To były te same słowa, z tym że wypowiedziane przez  
kogoś innego. Stewardesa stojąca nad nim i stawiająca szklaneczkę na okrągłym stoliku była  
dziewczyną atrakcyjną — tak samo atrakcyjną jak stewardesa z rejsu 591. Z jej oczu wyziera-  
ła ta sama bezpośredniość, jaką pamiętał ze spojrzenia dziewczyny z *British Airways*. Słowa,  
nawet sposób wymawiania jego nazwiska, były wypowiedzane tym samym tonem; nie zgadzał  
się tylko akcent. Podobieństwo było aż nazbyt wielkie! A może jego umysł, oczy, uszy, zmy-  
sły były zbyt zaabsorbowane wspomnieniami sprzed siedmiu dni?

Podziękował stewardesie, lękając się na nią spojrzeć, pełen obaw, że lada moment usły-  
szy za sobą krzyk i ujrzy człowieka zrywającego się w paroksyzmach bólu z fotela, skręcają-  
cego w kurczowych drgawkach nad stojakiem z folderami.

Naraz uświadomił sobie coś jeszcze i to rozstroiło go do reszty. Siedział na tym samym  
miejsku, które zajmował podczas przerażających chwil w czasie rejsu 591, w salce klubowej  
urządzonej identycznie jak ta sprzed tygodnia. Nie było w tym właściwie nic niezwykłego;  
lubił to miejsce i często tu przesiadywał. Ale teraz sprawiało makabryczne wrażenie. I to sa-  
mo pole obserwacji wnętrza, identyczne oświetlenie.

*To miała być szkocka z lodem, tak, panie Holcroft?*

Wyciągnięta ręka, ładna twarz, szklanka.

Obraz, dźwięki.

Dźwięki. Ochrypiły, pijacki rechot. Porządnie wstawiony mężczyzna, który traci rów-  
nowagę, zatacza się do tyłu i pada na fotel. Jego kompan piejący z zachwytu na widok kolegi.  
Trzeci mężczyzna — ten, którego za chwilę nie będzie już wśród żywych — nachalnie usiłu-

jący wkręcić się do towarzystwa. Wychodzący ze skóry, żeby się przypodobać, za wszelką cenę się przyłączyć. Atrakcyjna stewardesa rozlewająca drinki, z uśmiechem wycierająca bar, na którym z dwóch drinków pozostał jeden, bo szklaneczka z drugim została przewrócona, wybiegająca zza kontuaru, żeby pomóc pijanemu pasażerowi. Ten trzeci, nadskakujący mężczyzna, być może trochę zakłopotany, wciąż pragnący się pobawić z dużymi chłopcami, sięgający...

Szklaneczka! Samotna szklaneczka stojąca wciąż na barku.

Trzeci mężczyzna sięgnął po tę szklaneczkę!

To była szkocka z lodem. Drink przeznaczony dla pasażera siedzącego przy małym stoliku po drugiej stronie salki. „O Boże!” — pomyślał Holcroft śledząc w podświadomości przesuujące się jeden za drugim, w przód i w tył, obrazy. Drink na barku — drink wypity przez nieznanego nazwiskiem Thornton — był przeznaczony dla niego!

Ta strychnina miała być dla niego! To on miał się skrecać w tych straszliwych, śmiertelnych konwulsjach! To jemu gotowano tę straszłą śmierć!

Spuścił wzrok na stojącą przed nim na stoliku szklaneczkę; obejmowały ją jego własne palce.

*To miała być szkocka z lodem, tak?...*

Odsunął od siebie drinka. Zdał sobie nagle sprawę, że nie wytrzyma ani chwili dłużej przy stoliku, że nie może pozostać w salce klubowej. Musi stąd wyjść, wyprzeć z pamięci te obrazy. Były zbyt wyraziste, zbyt realne, zbyt przerażające.

Wstał z fotela i ruszył szybkim, chwiejnym krokiem w kierunku schodków prowadzących na dolny pokład. Echa pijackiego śmiechu to przybierały na sile, to cichły na przemian z przesywającym wrzaskiem cierpienia, skrzekiem nagłej śmierci. Nikt poza nim nie słyszał tych głosów, ale jemu rozsadały one czaszkę.

Zbiegł na dolny pokład. Panował tu półmrok; kilkoro pasażerów czytało w świetle małych, punktowych lampek, ale większość spała.

Noel był oszołomiony. Łomot w uszach nie ustawał, obrazy nie odpływały. Czuł, że musi zwymiotować, wydalić z żołądka strach, który tam się zagnieździł. Gdzie toaleta? W przedsionku kuchenki... za kuchenką? Za kotarą; tak, tam. Czy aby na pewno? Rozsunął kotarę.

Wtem jego wzrok powędrował w prawo, ku fotelom pierwszego rzędu drugiego przedziału pasażerskiego boeinga 747. Jakiś mężczyzna poruszył się tam przez sen. Silnie zbudowany mężczyzna, którego już gdzieś widział. Nie przypominał sobie gdzie, ale był tego pewien! Twarz wykrzywiona paniką, przemykająca obok, tuż przy jego twarzy. Co było w tej twarzy? Coś, co wywarło na nim krótkotrwałe, ale silne wrażenie. Co to było?

Brwi, właśnie! Krzaczaste brwi, osobliwa gęstwina wijących się, matowych, czarnych i białych włosków. Szpakowate brwi. Gdzie to było? Dlaczego widok dziwnie przyciągających uwagę brwi wyzwała w nim mgliste wspomnienia innego aktu przemocy? Gdzie to było? Nie mógł sobie przypomnieć, a ponieważ nie mógł, poczuł, że krew uderza mu do głowy. Łomot w uszach przybrał na sile; skronie mu pulsowały.

Nagle mężczyzna z krzaczastymi, wijącymi się brwiami ocknął się, jakby wyczuwając, że jest obserwowany. Ich spojrzenia spotkały się; rozpoznanie było wzajemne.

U jego podstaw leżała przemoc. Ale jaka? Gdzie? Kiedy?

Holcroft skinął niepewnie głową niezdolny do zebrania myśli. Czuł rżnący ból w żołądku, czaszkę rozsadał mu teraz trzask piorunów. Na chwilę zapomniał, gdzie jest; potem przypomniawszy mu się i powróciły obrazy. Migawki i odgłosy zabójstwa, którego — gdyby nie przypadek — sam padłby ofiarą.

Musi wrócić na swoje miejsce. Opanować się, stłumić ten ból, ten grzmot i to łomotanie w klatce piersiowej. Odwrócił się, wszedł szybko za kotarę, minął kuchenkę i przejściem między fotelami dotarł do swojego miejsca.



Usiadł w półmroku, zadowolony, że obok nie ma nikogo. Wcisnął głowę w oparcie fotela i przymknął oczy, koncentrując się ze wszystkich sił na wyrzuceniu z pamięci straszego wspomnienia tamtej groteskowej twarzy wyrzaskującej z siebie ostatnie kilka sekund życia. Ale bez powodzenia.

Ta twarz stała się jego twarzą.

Potem jej kontury zaczęły się rozmazywać, niby topniejące ciało, po to tylko, by po chwili zastygnąć znowu w nowym kształcie. Twarzy, której rysy się teraz wyostrzyły, nie rozpoznawał. Była obca, kanciasta, fragmentami jakby kogoś przypominająca, ale jako całość nieznaną.

Mimowolnie wstrzymał oddech. Nigdy nie widział tej twarzy, ale nagle ją rozpoznał. Instynktownie. To była twarz Heinricha Clausena. Twarz konającego człowieka sprzed trzydziestu lat. Twarz nie znanego ojca, z którym zawarł swój pakt.

Holcroft otworzył oczy piekące od potu spływającego mu po policzkach. Istniała jeszcze jedna prawda i nie był pewien, czy chce ją uznać. Dwaj mężczyźni, którzy próbowali go otruć strychniną, zostali zamordowani. Wtrącili się.

Na pokładzie tamtego samolotu znajdowali się ludzie *Wolfsschanze*.

## 7

Pełniący dyżur recepcjonista hotelu „Porto Alegre” wyciągnął z akt rezerwację Holcrofta. Do karty przypięta była od tyłu mała, żółta koperta z wiadomością. Recepcjonista oderwał ją i wręczył Noelowi.

— To przyszło do pana dziś wieczór, zaraz po siódmej, *senior*.

Holcroft nie znał nikogo w Rio de Janeiro i nikomu z Nowego

Jorku nie zwierzał się z celu swojej podróży. Rozerwał kopertę i wyciągnął z niej liścik. Był od Sama Buonoventury. Noel miał się z nim telefonicznie skontaktować możliwie jak najszybciej, bez względu na porę.

Holcroft zerknął na zegarek, dochodziła północ. Złożył swój podpis w księdze meldunkowej.

— Muszę zatelefonować do Curacao — powiedział siląc się na nonszalancję i zachodząc w głowę, czegoż to może chcieć od niego Sam. — Czy będą z tym kłopoty o tej porze?

Recepcjonista sprawiał wrażenie lekko urażonego.

— Jeśli chodzi o nasze *telefonistas*, *senior*, na pewno nie. Nie mogę ręczyć za Curacao.

Wskutek trudności, jakie mimo wszystko wystąpiły, Noel usłyszał schrypnięty głos Buonoventury dopiero o pierwszej pięćdziesiąt nad ranem.

— Coś mi się wydaje, Noley, że masz problem.

— Mam, i to niejeden. Co się stało?

— Twoja automatyczna sekretarka podała mój numer temu gliniarzu z Nowego Jorku, porucznikowi Milesowi. Ten detektyw był wkurzony jak diabli. Powiedział, że powinienes informować policję o każdym zamiarze opuszczenia miasta, nie mówiąc już o wyjeździe z kraju.

Chryste, zapomniał o tym! Teraz zrozumiał, jaką wagę miały te instrukcje. Strychnina była przeznaczona dla niego! Czyżby policja doszła do tego samego wniosku?

— Co mu powiedziałeś, Sam?

— Wkurzyłem się. To jedyny sposób na wściekłych gliniarzy. Powiedziałem mu, że wybyłeś na zewnętrzne wyspy i przeprowadzasz tam rozpoznanie terenu pod instalację, którą interesuje się Waszyngton. Kawalek na północ i mamy Strefę Kanału; to może znaczyć wiele... O tym się nie mówi.

— Uwierzył?

— Trudno powiedzieć. Chce, żebyś do niego zatelefonował. Chyba załatwiłem ci trochę czasu. Powiedziałem, że łączyliśmy się tego popołudnia przez radio i że następnej wiadomości od ciebie spodziewam się nie wcześniej, niż za jakieś trzy, cztery dni, a sam nie mogę z tobą nawiązać kontaktu. I wtedy właśnie ryknął niczym rozjuszony byk.

— Ale kupił to?

— A co miał zrobić? Uważa, że wszyscy tutaj jesteśmy szurnięci i ja się z nim zgadzam. Dał mi dla ciebie dwa numery telefonów. Masz coś do pisania pod ręką?

— Dyktuj.

Holcroft zanotował numery — telefon policji *Port Authority* i domowy telefon Mileasa — podziękował Buonoventurze i umówił się z nim, że odezwie się w przyszłym tygodniu.

Był już rozpakowany. Zrobił to czekając na połączenie z Curacao. Usiadł teraz w trzcinowym fotelu podsuniętym pod okno i zapatrzył się w nocną biel plaży i ciemne wody, odbijające lśniący półksiężyc. Poniżej, na wydzielonym odcinku ulicy graniczącym z nadbrzeżną promenadą, ciągnęły się łukiem czarno-białe, równoległe linie, wyznaczając obrys Copacabany, złotego wybrzeża Guanabary. Krajobraz ział dziwną pustką, nie mającą nic wspólnego z

brakiem ludzi. Było tu zbyt perfekcyjnie, zbyt ładnie. Nigdy by tego tak nie zaprojektował; brakowało tu stylu. Skupił wzrok na szybie. Nie miał teraz nic innego do roboty, jak tylko rozmyślać, odpoczywać i mieć nadzieję na nadejście snu. Przez ostatnie tygodnie miewał trudności z zaśnięciem, teraz będzie miał jeszcze większe. Bo teraz wiedział coś, o czym nie miał pojęcia wcześniej: ktoś próbował go zabić.

Świadomość tego faktu wywoływała w nim dziwne uczucie. Nie mógł uwierzyć, że istnieje ktoś, komu zależy na jego śmierci. A jednak ktoś musiał podjąć decyzję, wydać rozkaz. Dlaczego? Co takiego zrobił? Czyżby chodziło o Genewę? O pakt?

*W grę wchodzi miliony.* To nie tylko słowa nieżyjącego już Manfrediego, to ostrzeżenie dla niego. Oto jedyne możliwe wyjaśnienie.

Informacja przedostała się na zewnątrz, ale nie wiadomo, jak szeroko się rozeszła ani kogo zaalarmowała, kogo rozwścieczyła. Nie wiadomo też, kim jest owa nieznana osoba — albo osoby — która chce przeszkodzić w odblokowaniu genewskiego konta, która pragnie wnieść jego sprawę do międzynarodowych trybunałów.

Manfredi miał rację. Jedynym moralnie słusznym rozwiązaniem było wypełnienie intencji zawartych w dokumencie sporządzonym przez trzech niezwykłych ludzi pośród zniszczenia, będącego dziełem stworzonego przez nich samego potwora. *Konieczne jest zadośćuczynienie.* To było *credo*, w które wierzył Heinrich Clausen, sprawa honoru, słuszna sprawa. Rozumieli to na swój pokrętny sposób ludzie *Wolfsschanze*.

Noel nalał sobie drinka, podszedł do łóżka, usiadł na brzegu i wpatrzył się w telefon. Obok aparatu leżał hotelowy notes z zapisanymi dwoma numerami telefonów, które podał mu Sam Buonoventura. Oba zapewniały mu kontakt z porucznikiem Milesem z policji *Port Authority*. Ale Holcroft nie mógł się zdecydować na rozmowę z tym człowiekiem. Rozpoczął łowy, postawił pierwszy krok w poszukiwaniach rodziny Wilhelma von Tiebolta. Diabła tam, krok! To był gigantyczny skok na odległość sześciu i pół tysiąca kilometrów.

Tyle było do zrobienia. Noel nie był pewien, czy podoła, czy zdoła przedrzeć się przez ten nieznany las.

Powieki ciążyły mu coraz bardziej. Nadchodził sen i Noel witał go z ulgą. Odstawił szklaneczkę i zrzucił z nóg buty, dając sobie spokój ze ściąganiem reszty ubrania. Wyciągnął się na wznak na łóżku i przez kilka sekund patrzył w biały sufit. Czuł się samotny, wiedział jednak, że nie jest sam. Krzyczał do niego konający człowiek sprzed trzydziestu lat. Myślał o tym człowieku, dopóki nie zmorzył go sen.

Holcroft wszedł za tłumaczem do skąpo oświetlonej izdebki bez okien. Rozmowa była krótka. Noel szukał konkretnych informacji. Nazwisko von Tiebolt — rodzina, narodowość niemiecka. Matka z dwojgiem dzieci — córką i synem — przybyła do Brazylii około 15 lipca 1945 roku. Trzecie dziecko, druga córka, urodziło się w kilka miesięcy później, prawdopodobnie w Rio de Janeiro. W rejestrach muszą się znajdować jakieś zapisy. Jeśli nawet użyte zostało fałszywe nazwisko, proste przejrzanie wpisów z kilku — dwóch lub trzech — tygodni sprzed i po podanej dacie na pewno naprowadzi na ślad wjeżdżającej do kraju ciężarnej kobiety z dwojgiem dzieci. Jeśli było takich kilka, jego już w tym głowa, aby znaleźć właściwą. Przynajmniej dowie się aktualnego nazwiska albo nazwisk.

Nie, to nie jest żadne oficjalne dochodzenie. Sprawa nie ma podłoża kryminalnego, nie ma też nic wspólnego z szukaniem zemsty za przestępstwa sprzed trzydziestu lat. Wprost przeciwnie, to „poszukiwanie w dobrych intencjach”.

Noel zdawał sobie sprawę, że zostanie poproszony o wyjaśnienia, i przypomniawszy mu się jedna z lekcji, jakie przerobił w konsulacie w Nowym Jorku: *Osadzaj kłamstwo w aspektach prawdy*. Rodzina von Tieboltów ma w Stanach Zjednoczonych krewnych, brzmiało kłamstwo. Ludzi, którzy przybyli do Ameryki w latach dwudziestych i trzydziestych. Niewie-

lu z nich pozostało, a w grę wchodzi wielka suma pieniędzy. Urzędnicy z *Ministerio do Imigracao* na pewno zechcą pomóc w odnalezieniu spadkobierców. Całkiem możliwe, że von Tieboltowie będą się chcieli odwdziaczyć... a on, jako pośrednik, z pewnością wspomni o ich współpracy.

Wydobyto księgi. Przestudiowano setki fotostatów z innej epoki. Spłowiałych, poplamionych kopii dokumentów, z których większość stanowiły wyraźnie fałszywe papiery nabyte w Bernie, Zurychu, Lizbonie.

Ale nie natrafiono na ślad dokumentów dotyczących von Tieboltów. Nie było najmniejszej wzmianki o ciężarnej kobiecie z dwojgiem dzieci wjeżdżającej do Rio de Janeiro w czerwcu lub lipcu 1945 roku. A przynajmniej żadna z kobiet nie przypominała z opisu żony Wilhelma von Tiebolta. Zdarzały się ciężarne kobiety, a nawet ciężarne kobiety z dziećmi, ale wśród tych z dziećmi nie trafiła się taka, która mogłaby być poszukiwaną. Zgodnie z tym, co mówił Manfredi, córka Gretchen miała wtedy dwanaście albo trzynaście lat, syn Johann — dziesięć. Każdej kobiecie wjeżdżającej wtedy do Brazylii towarzyszył albo mąż, albo mężczyzna podający się za męża, a z dzieci, jeśli takie były, ani jedno nie przekroczyło siódmego roku życia.

Prawidłowość ta uderzyła Holcrofta jako nie tylko niezwykła, ale i matematycznie niemożliwa. Wpatrywał się w stronicę zapisane wypłowiałym atramentem, w nierzadko nieczytelne wpisy dokonywane trzydzieści kilka lat temu przez umęczonych pracowników urzędu imigracyjnego.

Coś tu nie grało, coś raziło jego oko architekta. Odnosił wrażenie, że studiuje nie ukończone odbitki pełne ledwie dostrzegalnych poprawek — cienkie linie wymazano i bardzo misternie przeprawiono, tak żeby niej zakłócić harmonii całości.

Wymazano i przeprawiono. Wymazano chemicznie, misternie przeprawiono. To właśnie nie pasowało! Daty urodzin! Miniaturowe daty, strona po stronie z subtelnie przeprawionymi cyframi! Trójka na ósemkę, jedynka na dziewiątkę, dwójka na zero, zachowaj łuk, połączona do dołu kreska, dopisane zero. Strona po stronie, w rejestrach obejmujących okres od początku czerwca do końca lipca 1945 roku, daty urodzin dzieci wjeżdżających do Brazylii przeprawiono tak, że z wpisów wynikało teraz, iż żadne z nich nie urodziło się przed rokiem 1938!

To było diabelnie sprytne fałszerstwo, fortel, który musiał zostać dokładnie przemyślany i z pełną premedytacją wprowadzony w czyn. Powstrzymać polowanie u źródła. Ale zrobić to w sposób pozostający poza wszelkim podejrzeniem. Małe cyferki sumiennie — ale w pośpiechu — zapisywane przez anonimowy personel urzędu imigracyjnego ponad trzydzieści lat temu. Przepisywane z dokumentów, z których przeważająca część dawno już została zniszczona, bo w większości były fałszywe. Nie można było udowodnić, potwierdzić ani zakwestionować rzetelności danych. Czas i konspiracyjne działania uczyniły to niemożliwym. To oczywiste, że nie znajdzie nikogo przypominającego von Tieboltów! Dobry Boże, co za przebiegłe oszustwo!

Noel wydobył z kieszeni zapalniczkę — jej płomyk rzucił więcej światła na stronicę, gdzie jego oko wychwytywało liczne, mikroskopijne przeróbki.

— *Senior!* To zabronione! — szorstki zakaz wydany został pod niesionym głosem tłumacza. — Stare stronicę łatwo zajmują się ogniem. Nie możemy pozwalać na takie ryzyko.

Holcroft zrozumiał. Wyjaśniła się przy okazji skąpość oświetlenia w tym pozbawionym okien pomieszczeniu.

— Jasne, że nie możecie — odburknął gasząc zapalniczkę. — I, jak przypuszczam, nie można stąd wynosić tych ksiąg.

— Nie, *senior*.

— I, ma się rozumieć, nie ma tutaj dodatkowych lamp, a pan nie posiada latarki. Nieprawdaż?

— *Senior* — przerwał mu tłumacz uprzejmym teraz, nawet uległym tonem. — Poświęciliśmy panu blisko trzy godziny. Staraliśmy się współpracować, ale jak zapewne zdaje pan sobie sprawę, spoczywają na nas również inne obowiązki. Tak więc, jeśli pan skończył...

— Wydaje mi się, że zadbał pan o to, zanim jeszcze zacząłem — wpadł mu w słowo Holcroft. — Tak, skończyłem. Tutaj.

Wyszedł w jasne, popołudniowe słońce, próbując odnaleźć w tym wszystkim sens. Łagodna, oceaniczna bryza owiewała jego twarz, łagodząc gniew i frustrację. Ruszył wielkimi krokami białą, drewnianą promenadą, z której roztaczał się widok na nieskalany piasek zatoki Guanabara. Zatrzymywał się raz po raz i opierał o barierkę, obserwując igraszki przerośniętych dzieciaków. Piękni ludzie, tryskający radością życia i wprawiający obserwatora w zachwyt. Gracja i arogancja współistniała tu ze sztuczością. Wszędzie czuło się pieniądze, a odczucie to znajdowało potwierdzenie w złotych, namaszczonych olejkami ciałach, nazbyt często zbudowanych aż za perfekcyjnie, zbyt ładnych, bez widocznych skaz. Ale znowu, gdzie podział się charakter? Nie było go jakoś tego popołudnia na Copacabana.

Minął odcinek plaży przed hotelem, w którym mieszkał, i spojrzał w górę, próbując zlokalizować okna swego pokoju. Przez chwilę wydawało mu się już, że je widzi, ale zaraz zdał sobie sprawę, że jest w błędzie. Za szybą, za zasłonami spostrzegł dwie postacie.

Podszedł znowu do barierki i zapalił papierosa. Zapalniczka przypomniała mu o trzydziestoletnich rejestrach tak mistrzowsko spreparowanych. Czy sfałszowano je jedynie przez wzgląd na niego? A może przez te lata zdarzali się również i inni poszukujący von Tieboltów? Bez względu na odpowiedź, musi znaleźć inny punkt zaczepienia. Albo inne punkty zaczepienia.

*La comunidad alemana.* Holcroftowi przypomniły się słowa brazylijskiego attache z Nowego Jorku. Pamiętał, jak człowiek ten mówił, że istnieją trzy czy cztery rodziny, które są arbitrami niemieckiej wspólnoty. Sugerowało to, że tacy ludzie muszą znać najściślej strzeżone sekrety. *Ukrywanie tożsamości jest u nich na porządku dziennym... Obcokrajowiec przybywający do Rio i przystępujący do poszukiwań Niemców, którzy zniknęli, podejmuje się potencjalnie niebezpiecznego zadania... La otra cara de los alemanes. Oni osłaniają się nawzajem.*

„Jest sposób na zażegnanie niebezpieczeństwa” — pomyślał Noel. Znajduje się w wyjaśnieniu, jakiego udzielił tłumaczowi z ministerstwa imigracji. Sporo podróżował, było więc wielce prawdopodobne, że na wieść o jego locie do Brazylii ktoś dotarł doń i poprosił o odszukanie von Tieboltów. Musiała to być osoba mająca do czynienia z usankcjonowaną prawnie poufnością — prawnik albo bankier. Ktoś o niekwestionowanej reputacji. Nie wdając się w głębsze analizy, Holcroft wiedział, że ten, na kogo się zdecyduje, będzie kluczem do wyjaśnienia tajemnicy.

Przyszedł mu nagle do głowy kandydat. Ryzyko było wyraźne, wybór nie pozbawiony ironii. Richard Holcroft, jedyny ojciec, jakiego znał. Makler, bankier, oficer marynarki... ojciec. Człowiek, który dał dzikiej, młodej matce i jej dziecku szansę rozpoczęcia nowego życia. Człowiek nieustraszony, człowiek bez skazy.

Noel spojrzał na zegarek. Było dziesięć po piątej, w Nowym Jorku — po trzeciej. Wczesne poniedziałkowe popołudnie. Nie wierzył w omeny, ale właśnie natknął się na taki. Każde poniedziałkowe popołudnie Richard Holcroft spędzał w nowojorskim *Athletic Club*, gdzie ze starymi przyjaciółmi grywali w *squasha* i wspominali stare dobre czasy przy ciężkich dębowych stolikach w barze. Noel mógł go wywołać, porozmawiać z nim sam na sam — poprosić o pomoc. Pomoc, której miał udzielić poufnie, gdyż poufność stanowiła nie tylko esencję przykrywki, ale i podstawę jego zabezpieczenia. Ktoś, nieważne kto, skontaktował się z Richardem Holcrofem — człowiekiem ogólnie szanowanym — i poprosił go o odnalezienie

nie w Brazylii rodziny o nazwisku von Tiebolt. Ten, wiedząc, że syn udaje się do Rio, zupełnie logicznie poprosił go o przysługę. Sprawa była poufna; na ten temat nie będzie dyskusji. Nic nie mogłoby zniechęcić niedowiarków bardziej od powołania się na autorytet Richarda Holcrofta.

Ale nie mogła się o tym dowiedzieć Althene. To była najtrudniejsza część spisku. Dick ją adorował, między nimi nie było sekretów. Ale przecież ojciec — tam do diabła, ojczym — nie odmówi mu, skoro prośba wypływa z autentycznej potrzeby. Nigdy tego nie zrobił.

Przeszedł po gładkiej, marmurowej posadzce hotelowego holu do wind, nie widząc nic i nie słysząc. Koncentrował się na tym, co powie ojczymowi. Naraz podskoczył, klepnięty w ramię przez korpulentnego, amerykańskiego turystę.

— Ciebie wołają, kolego? — Mężczyzna wskazał na ladę recepcji.

Stojący za ladą recepcjonista patrzył na Noela. W rękę trzymał znajomą żółtą kopertę korespondencyjną. Podał ją *boyowi*, który ruszył przez hol w jego kierunku.

Nazwisko skreślone na świstku papieru było mu nie znane: CARARRA. Poniżej widniał tylko numer telefonu i nic więcej. Holcroft popadł w zakłopotanie. Dziwił go brak jakiegokolwiek wiadomości, nie był to cywilizowany sposób postępowania. *Senior* Cararra może za telefonować jeszcze raz, on musi skontaktować się z Nowym Jorkiem. Potrzebny mu jest nowy parawan.

W swoim pokoju Holcroft jednakże raz jeszcze odczytał nazwisko CARARRA. Obudziła się w nim ciekawość. Kim jest ten Cararra, że podając tylko nazwisko, które — jak dobrze wiedział — nic Noelowi nie powie, oczekuje jego telefonu? W kategoriach mieszkańca Ameryki Południowej był to nietakt graniczący z obelgą. Ojciec może poczekać, aż tego nie sprawdzi. Wykreślił numer.

Cararra nie było nazwiskiem mężczyzny, lecz kobiety, a z brzmienia niskiego, napiętego głosu wynikało, że jest to kobieta przestraszona. Jej angielski był znośny, ale kiepski. Nie miało to znaczenia. To, co mówiła, było zrozumiałe tak samo jak strach, którego nie kryła.

— Nie mogę rozmawiać, *senior*. Niech pan już nie dzwoni pod ten numer. To nie jest konieczne.

— Zostawiła go pani w recepcji. Czego się pani po mnie spodziewała?

— To był *ece...erro*.

— *Yerro*? Błąd?

— Tak, błąd. Zadzwońię do pana. To znaczy, zadzwonimy.

— W jakie sprawie? Kim pani jest?

— *Mas tarde!* — głos zniżył się do zachrypniętego szeptu i nagle urwał się wraz z trzaskiem na linii.

*Mas tarde... mas tarde*. Później. Ta kobieta jeszcze do niego zatelefonuje. Holcroft poczuł pustkę w żołądku, tak samo nagłą, jak nagle urwał się przestraszony szept. Nie mógł zatelefonować ponownie, skoro słyszał w głosie kobiety strach.

Pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, łączyła nieznaną z zaginioną rodziną von Tiebolt. Ale w jaki sposób? I skąd, na Boga, wiedziałyby o nim? Ogarnęło go znowu poczucie lęku... i powrócił obraz strasznej, wykrzywionej w grymasie śmierci twarzy, którą widział dziewięć tysięcy metrów nad ziemią. Był obserwowany, śledzili go obcy ludzie.

Pisk wydobywający się z telefonicznej słuchawki przerwał jego rozmyślenia; zapomniał ją odłożyć. Wdusił przycisk, puścił go i zamówił rozmowę z Nowym Jorkiem. Pilnie potrzebował zabezpieczenia, był tego świadom.

Stanął przy oknie i zapatrzył się na plażę, czekając na telefon z centrali. W dole na ulicy dostrzegł rozbłysk światła. Promienie słońca padły na chromowaną kratkę wlotu chłodnicy samochodu i odbiły się od niej. Samochód przejeżdżał właśnie obok tego miejsca na drewnianej promenadzie, w którym on sam stał przed kilkoma zaledwie minutami, patrząc bezmyślnie w górę i usiłując zlokalizować swój pokój.

Okna... Kąt widzenia. Noel przysunął się bliżej szyby i ocenił wzrokiem; wyimaginowaną, biegnącą po przekątnej linię prostą, wychodzącą z tamtego miejsca na dole — z miejsca, gdzie stał wtedy — i kończącą się w miejscu, w którym stał teraz. Oko architekta było okiem dobrze wytrenowanym, nie dawało się zwieść kątom. Poza tym okna nie znajdowały się zbyt blisko siebie, gdyż ich rozstaw musiał się zgadzać z odstępem między pokojami tego hotelu na Copacabana z widokiem na ocean. Patrzył z dołu w to okno sądząc, że nie należy do jego pokoju, gdyż wewnątrz, za szybą, zobaczył jakieś postaci. Ale to był jego pokój. A w środku znajdowali się jacyś ludzie.

Podszedł do szafy i stanął przed nią, wodząc wzrokiem po ubraniach. Swojej pamięci do szczegółów ufał tak samo, jak swojemu wyczuciu kątów. Odtworzył w pamięci stan szafy z ranka, kiedy się przebierał. Zasnął w garniturze, w którym przyleciał z Nowego Jorku. Jasnobeżowe spodnie wisiały po prawej stronie, z samego skraju, dotykając niemal bocznej ścianki szafy. To nawyk: spodnie po prawej, marynarki po lewej.

Spodnie nadal wisiały po prawej stronie, ale nie przy samej ściance bocznej; były teraz przesunięte o kilka centymetrów w kierunku środka szafy. Granatowy blezer wisiał teraz nie po lewej stronie, lecz pośrodku.

Przeszukiwano jego ubrania.

Podszedł do łóżka, na którym leżał otwarty neseser. W podróży pełnił funkcję jego biurka. Znał na pamięć każdy milimetr przestrzeni, zawartość wszystkich kieszeni, ułożenie dokumentów w każdej przegródce. Nie musiał patrzeć długo.

Przeszukiwano również jego neseser.

Rozległ się drażniący dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos telefonistki z centrali *Athletic Club*, ale zdawał sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji nie może poprosić do aparatu Richarda Holcrofta. Nie wolno mu go było w to mieszać. Sprawy zbyt się skomplikowały. Musi to przemyśleć.

— Tu nowojorski *Athletic Club*. Halo? Halo?... Halo, centrala w Rio? Rio, nikt się nie zgłasza. Halo? Tu nowojorski *Athletic Club*...

Noel odłożył słuchawkę. O mały włos nie palnął głupstwa. Przeszukiwano jego pokój! Zaabsorbowany koniecznością zorganizowania sobie w Rio de Janeiro jakiegoś parawanu, o mały nie naprowadził kogoś na trop osoby najbliższej matce, a niegdyś żonie Heinricha Clausena. Gdzie miał głowę?

I wtem uświadomił sobie, że jeszcze nic straconego.

Otrzymał kolejną lekcję: wysnuwaj kłamstwo zgodnie z zasadami logiki, potem jeszcze raz je przeanalizuj i wykorzystaj jego najbardziej wiarygodną część.

Jeśli w celu ukrycia tożsamości osób poszukujących von Tieboltów potrafił wymyślić powód dla człowieka takiego, jak Richard Holcroft, potrafi również wykoncypować takiego człowieka.

Noel oddychał z trudem. Omal nie popełnił strasznego błędu, ale zaczynał się uczyć, czego się wystrzegać w nieznanym lesie. Skraje ścieżek usiane były pułapkami; musiał mieć się na baczności i stąpać po nich ostrożnie. Nie mógł już sobie pozwolić na taki błąd, jakiego o mały włos nie popełnił. Był bardzo bliski wystawienia na niebezpieczeństwo życia ojca, którego miał, w imię ojca, którego nigdy nie poznał.

*Czegokolwiek tknął, niewiele dobrego i wartościowego z tego wynikało.* To były słowa matki i podobnie jak słowa Manfrediego, miały być dla niego ostrzeżeniem. Ale matka w odróżnieniu od Manfrediego myliła się. Heinrich Clausen był zarówno ofiarą, jak i katem swojego czasu. Dowodził tego pełen bólu list, który napisał w dogorywającym Berlinie, i to, co uczynił. Jego syn znajdzie sposób, aby tego dowieść.

*La comunidad alemana.* Trzy, cztery rodziny we wspólnocie niemieckiej, arbitrzy podejmujący nieodwołalne decyzje. Punktem zaczepienia może być jedna z nich. I wiedział dokładnie, gdzie ma szukać.

Stary, tęgi mężczyzna o mięsistych, obwisłych policzkach i stalowo siwych włosach podstrzyżonych krótko na junkierską modłę spojrział na intruza zza ogromnego stołu w jadalni. Spożywał posiłek w samotności, nie przygotowano innych nakryć dla rodziny czy gości. Dziwnie to wyglądało, bo gdy intruz otworzył drzwi, dały się słyszeć głosy, wskazujące na to, że w tym wielkim domu przebywała i rodzina, i goście.

— Mamy dodatkowe informacje o synu Clausena, *Herr Graff* — powiedział intruz podchodząc do krzesła, na którym siedział starzec. — O tej rozmowie z Curacao już pan wie. Dzisiaj po południu były jeszcze dwie rozmowy telefoniczne. Jedna z kobietą nazwiskiem Carrara, druga z klubem dla mężczyzn w Nowym Jorku.

— Na Cararrach można polegać — burknął Graff, zastygając z uniesionym w górę widelcem i spoglądając na intruza oczami w otoczce pomarszczonych fałdów twarzy. — A co to za klub w Nowym Jorku?

— Nowojorski *Athletic Club*. To...

— Wiem, co to takiego. Przybytek dla bogaczy. Do kogo telefonował?

— Połączył się tylko z centralą, ale nie poprosił nikogo do aparatu. Nasi ludzie z Nowego Jorku próbują ustalić, o kogo chodziło.

Starzec odłożył widelec.

— Nasi ludzie w Nowym Jorku działają ospale — powiedział cichym; oskarżycielskim głosem — wy zresztą też.

— Że co proszę?

— Na liście członków klubu znajdzie się niewątpliwie nazwisko Holcroft. Jeśli tak, będzie to oznaczać, że syn Clausena złamał dane! słowo i powiedział Holcroftowi o Genewie. To niebezpieczne. Richard Holcroft jest stary, ale jary. Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli pożyje zbyt długo, możemy się o niego potknąć. — Graff obrócił swoją wielką głowę i spojrział na intruza. — Ta koperta dotarła do Sesimbry; nie ma żadnego wytłumaczenia. Trzeba wyjaśnić synowi wypadki tamtej nocy. Zadepesuj do Tinamou. Nie ufam jego współnikowi z Rio. Skorzystaj z kodu orła i przekaż mu moją opinię. Nasi ludzie w Nowym Jorku dostaną kolejne zadanie. Eliminację niewygodnego starca. Trzeba usunąć Richarda Holcrofta. Tinamou tego zażąda.



## 8

Noel wiedział, czego szukać — księgarni, która jest czymś więcej, niż tylko miejscem, gdzie kupuje się książki. W każdym atrakcyjnym z turystycznego punktu widzenia mieście istniała zawsze jedna ogólnie znana placówka, zaspokajająca czytelnicze upodobania określonej narodowości. W tym przypadku jej nazwa brzmiała *A Livraria Alemao*, Księgarnia Niemiecka. Recepcjonista twierdził, że prowadzona jest tam sprzedaż wszystkich aktualnych czasopism niemieckich oraz bieżących dzienników *Lufthansy*. Właśnie o coś takiego chodziło Holcroftowi. Taka księgarnia będzie miała stałych klientów; ktoś tam będzie znał niemieckie rodziny osiadłe w Rio. Gdyby udało mu się uzyskać chociaż ze dwa nazwiska... Stamtąd należy zacząć.

*A Livraria Alemao* znajdowała się niecałe dziesięć minut drogi od hotelu.

— Jestem amerykańskim architektem — przedstawił się Noel sprzedawcy, który stał na środkowym szczeblu drabinki i przestawiał książki na górnej półce. — Przyjechałem tu, żeby zbadać bawarskie wpływy na architekturę dużych domów mieszkalnych. Czy ma pan jakieś materiały na ten temat?

— Nie wiedziałem, że w ogóle coś takiego istnieje — odparł mężczyzna świetną angielszczyzną. — Spotyka się tu trochę budynków alpejskich, takich w stylu górskich szałasów, ale nie nazwałbym ich bawarskimi.

Lekcja szósta, a może już siódma? Nawet jeśli kłamstwo oparte jest na aspektach prawdy, upewnić się, czy osoba, którą nim raczysz, wie mniej od ciebie.

— Alpejskie, szwajcarskie, bawarskie. To właściwie to samo.

— Naprawdę? Sądziłem, że różnice są znaczące.

Lekcja ósma albo i dziewiąta. Nie wdawać się w dyskusje. Pamiętać o głównym celu.

— Niech pan posłucha, prawdę mówiąc, jestem tutaj na koszt pewnego bogatego małżeństwa z Nowego Jorku, które oczekuje ode mnie trochę szkiców. Byli zeszłego lata w Rio. Jeżdżąc po okolicy zwrócili uwagę na kilka wielkich domów. Opisali mi je jako bawarskie.

— To pewnie gdzieś na północny zachód od miasta. Stoi tam kilka cudownych domów. Na przykład rezydencja Eisenstat, ale mnie się wydaje, że są żydowskie. Nie wiem, czy pan uwierzy, ale to dziwna mieszanka stylu mauretańskiego. No i, oczywiście, pałacyk Graffa. Moim zdaniem, może trochę zbyt pretensjonalny, ale naprawdę robi wrażenie. Chyba na pokaz. Graff jest multimilionerem.

— Jak się nazywa? Graff?

— Maurice Graff. Jest importerem, no ale czy oni wszyscy nimi nie są?

— Jacy oni?

— Och, proszę pana, niech pan nie udaje naiwnego. Jeśli nie był generałem albo jakąś inną szychą z Naczelnego Dowództwa, to ja siusiam portwajnem.

— Pan jest Anglikiem.

— Tak, jestem Anglikiem.

— Ale pracuje pan w księgarni niemieckiej.

— *Ich spreche gut deutsch.*

— Nie mogli znaleźć Niemca?

— Przypuszczam, że zatrudnienie kogoś takiego, jak ja, ma pewne zalety — powiedział tajemniczo Brytyjczyk.

— Naprawdę? — Noel udał zdziwienie.

— Tak — odparł sprzedawca wspinając się na następny szczebel drabinki. — Nikt nie zadaje mi pytań.

Sprzedawca popatrzył za wychodzącym Amerykaninem, zszedł szybko z drabinki i jednym pchnięciem ręki przestawił ją pod przeciwległą półkę. Był to gest wyrażający zadowolenie z dobrze wypełnionego zadania. Anglik ruszył szybko między pełnymi książek regałami i skręcił w biegnące prostopadle przejście tak gwałtownie, że zderzył się z klientem przeglądającym tom Goethego.

— *Verzeihung* — mruknął pod nosem sprzedawca tonem zupełnie nie wyrażającym skruchy.

— *Schwesterchen* — powiedział mężczyzna o krzaczastych, szpakowatych brwiach.

Sprzedawca poruszony podaniem w wątpliwość jego męskości, odwrócił się.

— To pan!

— Przyjaciele Tinamou zawsze są gdzieś w pobliżu — odparł mężczyzna.

— Pan przyszedł za nim? — spytał sprzedawca.

— Nic nie zauważył. Niech pan telefonuje.

Anglik ruszył dalej w kierunku drzwi do biura znajdującego się na zapleczu sklepu. Wszedł tam, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Telefon odebrał asystent najpotężniejszego człowieka w Rio.

— Rezydencja *seniora* Graffa. Dzień dobry.

— Nasz człowiek z hotelu zasłużył na solidną premię — powiedział sprzedawca. — Miał rację. Muszę rozmawiać z *Herr* Graffem. Zrobiłem dokładnie tak, jak się umówiliśmy, i to bezbłędnie. Nie mam wątpliwości, że zatelefonuje. Poproszę teraz z *Herr* Graffem.

— Przekażę mu wszystko, co masz do powiedzenia, motylku — powiedział asystent.

— Nic z tych rzeczy! Mam jeszcze coś, co powiem tylko jemu.

— Co to takiego? Nie muszę ci chyba mówić, że *Herr* Graff jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

— A jeśli sprawa dotyczy mojego krajana? Czy wyrażam się jasno?

— Wiemy, że jest w Rio; nawiązał już kontakt. Będziesz musiał wymyślić coś lepszego.

— On wciąż tu jest. W sklepie. Może czeka, żeby ze mną porozmawiać.

Asystent powiedział coś do kogoś znajdującego się w pobliżu. Jednak można było rozróżnić słowa.

— To ten aktor, *mein Herr*. Nalega na rozmowę z panem. Przez ostatnią godzinę wszystko szło zgodnie z planem, ale zdaje się, że nastąpiła jakaś komplikacja. W księgarni jest jego krajana.

Słuchawka przeszła w inne ręce.

— O co chodzi? — spytał Maurice Graff.

— Chciałem pana powiadomić, że wszystko odbyło się dokładnie tak, jak się tego spodziewaliśmy...

— Tak, tak, rozumiem — przerwał mu niecierpliwie Graff. — Świetnie się spisałeś. Ale co ten *Englnder*? Jest tam?

— Przyszedł za Amerykaninem. Stał nie dalej, niż trzy metry od niego. Nadal tu jest i wydaje mi się, że będzie chciał czegoś się ode mnie dowiedzieć. Mam mu powiedzieć?

— Nie — warknął Graff. — Jesteśmy idealnie przygotowani do samodzielnego pokierowania akcją bez czyjejkolwiek pomocy. Powiedz mu, że obawiamy się, aby nie został rozpoznany; że sugerujemy, aby pozostał w cieniu. Daj mu do zrozumienia, że nie pochwalamy jego metod. Możesz mu też przekazać, że usłyszałeś to ode mnie osobiście.

— Dziękuję *Hen* Graff! Sprawi mi to prawdziwą przyjemność.

— Wiem o tym.

Graff przekazał słuchawkę swemu asystentowi.

— Tinamou nie może dopuścić, aby do tego doszło — burknął. — Znowu się zaczyna.  
— Co, *mein Herr*?  
— Wszystko od początku — ciągnął stary. — Wtrącanie się, wzajem na nieufność, potajemne obserwacje. Władza ulega podziałowi, każdy staje się podejrzany.  
— Nie rozumiem.  
— Oczywiście, że nie. Ciebie tam nie było. — Graff odchylił się na oparcie fotela. — Wyślij drugą depezę do Tinamou. Powiedz mu, że żądamy, aby odwołał swojego wilka z powrotem nad Morze Śródziemne. Podejmuje zbyt wiele ryzykownych działań naraz. Protestujemy i w tych okolicznościach nie możemy przyjąć na siebie odpowiedzialności.

Trzeba było kilku rozmów telefonicznych i dwudziestu czterech godzin, ale w końcu, tuż po drugiej następnego popołudnia, nadeszła decyzja, że Graff go przyjmie. Holcroft wynajął samochód w przyhotelowej wypożyczalni i wyjechał z miasta, kierując się na pomocny zachód. Zatrzymywał się często, żeby przestudiować turystyczną mapę, którą otrzymał w agencji wynajmu samochodów. W końcu odnalazł właściwy adres i wjechał przez żelazną bramę w pnącą się pod górę alejkę dojazdową, która prowadziła do stojącego na szczycie wzgórza domu.

Droga wpadała na białą, betonową płytę wielkiego parkingu otoczonego zielonym żywopłotem. Odbiegały od niego wyłożone chodnikowymi płytami ścieżki, prowadzące między szpalerami owocowych drzew.

Sprzedawca z księgarni miał rację. Posiadłość Graffa robiła wrażenie. Roztaczał się stąd wspaniały widok — w bezpośrednim sąsiedztwie równiny, w oddali góry, a daleko na wschód mglisty lazur Atlantyku. Budynek składał się z trzech kondygnacji. Po obu stronach głównego wejścia — masywnych, dwuskrzydłowych podwoi z lakierowanego mahoni zaopatrzonych w zawiasy w postaci wielkich nabijanych trójkątów z czarnego żelaza — wyrastał szereg balkoników. Wyglądało to tak, jakby stopiono w jedną konstrukcję wielu szwajcarskich chat, u to, co z tego wyszło, ustawiono na tropikalnym wzgórzu.

Noel zaparkował wóz po prawej stronie frontowych schodów i wysiadł. Na parkingu stały jeszcze dwa samochody — biała limuzyna marki Mercedes i czerwony maserati o niskim zawieszeniu. Rodzina Graffów wygodnie podróżowała. Holcroft pochwyił swój neseser i aparat fotograficzny, po czym wstąpił na marmurowe stopnie.

— Pochlebia mi, że docenia się nasze skromne wysiłki na polu architektury — powiedział Graff. — Tworzenie w nowym otoczeniu namiastki rodzinnego kraju jest moim zdaniem naturalne dla przesiedleńców. Moja rodzina pochodzi ze Schwarzwald. ...Te wspomnienia są jeszcze żywe.

— Jestem panu wdzięczny za zaproszenie, *sir*. — Noel włożył pięć nakreślonych pośpiesznie szkiców do neseseru. — Oczywiście mówię również w imieniu moich klientów.

— Ma pan wszystko, czego panu potrzeba?

— Rolka filmu i pięć szkiców elewacji to więcej, niż mogłem się spodziewać. Nawiasem mówiąc, gentleman, który mnie oprowadzał po posiadłości, powie panu, że fotografowanie ograniczało się do wewnętrznych detali konstrukcyjnych.

— Nie rozumiem pana.

— Nie chciałbym, żeby pomyślał pan sobie, iż utrwalam na foto graficznej kliszy pańskie prywatne tereny.

Maurice Graff roześmiał się cicho.

— Moja rezydencja jest bardzo dobrze strzeżona, panie Holcroft. Poza tym, nie przyszło mi nawet przez myśl, że przeprowadza pan rekonesans przed włamaniem. Proszę, niech pan

siada.

— Dziękuję. — Noel usiadł naprzeciwko starca. — W dzisiejszych czasach nie wiadomo, kto może być podejrzany.

— No cóż, nie będę krył, że zatelefonowałem do hotelu „Porto Alegre” i sprawdziłem, czy jest tam pan zameldowany. Figurował pan w księdze meldunkowej. Nazywa się pan Holcroft, pochodzi z Nowego Jorku, rezerwacji dokonało szanowane biuro podróży, które najwyraźniej pana zna. Posługuje się pan kartami kredytowymi potwierdzonymi przez komputery. Wjechał pan do Brazylii na podstawie ważnego paszportu. Czegóż więcej trzeba? Czasy mamy zbyt skomplikowane technicznie, żeby człowiek mógł podawać się za kogoś, kim nie jest, zgodzi się pan ze mną?

— Tak, chyba tak — odparł Noel zastanawiając się jednocześnie, czy to czasem nie odpowiedni moment, by przejść do właściwego celu wizyty? Miał już zagaić rozmowę, ale Graff uprzedził go, próbując jakby wypełnia niezręczne milczenie, jakie na chwilę zapadło.

— Jak długo pozostanie pan w Rio? — spytał.

— Jeszcze tylko przez kilka dni. Mam nazwisko pańskiego architekta i skonsultuję się z nim. Naturalnie, jeśli znajdzie dla mnie trochę czasu.

— Każę zatelefonować do niego mojemu sekretarzowi i to bez zwłocznie. Nie mam pojęcia, jak wygląda finansowa strona tego typu spraw. Nie wiem nawet, czy taka istnieje. Jestem jednak przekonany] że udostępni panu kopie planów, jeśli tylko ma to ułatwić pańskie zadanie.

Noel uśmiechnął się, obudził się w nim profesjonalista.

— To kwestia wybiórczej adaptacji, panie Graff. Mój telefon do niego miałby charakter typowo grzecznościowy. Mógłbym go zapytać, gdzie zostały nabyte niektóre materiały albo jak rozwiązano określone problemy wytrzymałościowe, ale nic poza tym. Nie poprosiłbym go o plany i sądzę, że niechętnie zgodziłby się mi je udostępnić.

— Nie miałby żadnych obiekcji — zapewnił Graff przyjmując postawę i ton, które zdradzały jego wojskową przeszłość.

*...Jeśli nie był generałem albo jakąś inną szycią z Naczelnego Dowództwa, to ja siusiam portwajnem...*

— To nieważne, *sir*. Osiągnąłem już swój cel.

— Rozumiem. — Graff poprawił się w fotelu. Był to ruch znużonego: starca pod koniec długiego popołudnia. Jednak jego oczy nie zdradzały znużenia; wyzierała z nich dziwna czujność. — A zatem wystarczy! godzinna konferencja?

— W zupełności.

— Załatwię to.

— Jest pan bardzo uprzejmy.

— Potem może pan wracać do Nowego Jorku.

— Tak. — Nadeszła chwila, by napomknąć o von Tieboltach. Teraz. — Prawdę mówiąc, jest jeszcze jedna sprawa, którą powinienem załatwić przy okazji mojego tutaj pobytu. Nie jest to rzecz jakiejś wielkiej wagi, ale obiecałem, że spróbuję. Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Najlepiej będzie chyba zwrócić się z tym do policji...

— To brzmi złowieszczo. Jakieś przestępstwo?

— Wprost przeciwnie. Miałem na myśli wydział policji, który mógłby pomóc w ustaleniu miejsca pobytu pewnych ludzi. Nie ma ich w książce telefonicznej. Przeglądałem również numery zastrzeżone, ale nie mają telefonu.

— Jest pan pewien, że mieszkają w Rio?

— Mieszkali tu, kiedy ostatnio o nich słyszano. I, o ile wiem, sprawdzano również w innych brazylijskich miastach, też poprzez towarzystwa telefoniczne.

— Intryguje mnie pan, panie Holcroft. Czy odnalezienie tych ludzi jest takie ważne? Co

oni zrobili? Ale przecież powiedział pan, że nie chodzi tu o żadne przestępstwo.

— Nie. Niewiele wiem. Mój przyjaciel z Nowego Jorku, prawnik, dowiedział się, że tutaj jadę i poprosił mnie, żebym zrobił, co będzie można, by ustalić miejsce pobytu tej rodziny. Zdaje się, że krewni ze środkowego zachodu zostawili im pewną sumę pieniędzy.

— Jakiś spadek?

— Tak.

— To może tutejszy radca prawny z Rio...

— Przyjaciel rozesłał pisma, które określił jako „prośby o wyciąg z rejestru”, do kilku tutejszych firm prawniczych — powiedział Noel pomny słów attache z Nowego Jorku. — Nie doczekał się ani jednej pozytywnej odpowiedzi.

— I co on na to?

— Nic. Był po prostu zdenerwowany. Zdaje się, że tych pieniędzy nie było aż tyle, aby wciągnąć do sprawy trzech prawników.

— Trzech prawników?

— Tak — odparł Noel dziwiąc się sam sobie. Wypełniał lukę instynktownie, bez zastanawiania. — Prawnika z Chicago czy z St. Louis, firmę mojego przyjaciela z Nowego Jorku i tę miejscową, z Rio. Nie sądzę, aby to, co jest poufne dla osoby postronnej, było poufne między prawnikami. Może honorarium podzielone na trzy części nie jest warte zachodu.

— Ale pański przyjaciel jest człowiekiem sumiennym. — Graff uniósł brwi w wyrazie uznania. „A może czegoś innego” — przyszło do głowy Holcroftowi.

— Chciałbym tak myśleć.

— Może będę mógł pomóc. Mam przyjaciół. Holcroft potrząsnął głową.

— Nie śmiałybym pana o to prosić. Dostyc już pan dla mnie dzisiaj zrobił. No i, jak już powiedziałem, to nie jest takie ważne.

— Naturalnie — powiedział Graff wzruszając ramionami. — Nie chciałbym się wtrącać w poufne sprawy. — Niemiec spojrział przez okno mrużąc oczy. Słońce kryło się za rysującymi się na zachodzie górami; przez szyby wlewały się strugi pomarańczowego światła, wzbogacając odcień ciemnego drewna, którym wykończony był gabinet.

— Nazwisko tej rodziny brzmi von Tiebolt — powiedział Noel obserwując twarz starego. Ale cokolwiek spodziewał się z niej wyczytać, efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Oczy starego Graffa wyszły nagle z orbit, a spojrzenie rzuconej Holcroftowi przepętlone było nienawiścią.

— Ty świniu — wycedził Niemiec głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym. — To był podstęp, oszukańczy fortel, by wedrzeć się do mego domu. By mnie najść!

— Jest pan w błędzie, panie Graff. Może pan zatelefonować do| mojego klienta w Nowym Jorku...

— Świnia! — wrzasnął starzec. — Von Tieboltowie! *Verrater!* Szumowiny! *Schweinhunde!* Jak śmiesz!

Noel gapił się na niego zahipnotyzowany i bezsilny. Twarz Graffa poszarzała z wściekłości; na jego szyi, tuż pod skórą, pulsowały nabrzmiące żyły, w przekrwionych oczach kipiała furia, rozdygotane dłonie zaciskały się na poręczach fotela.

— Nie rozumiem — bąknął Holcroft wstając.

— Dobrze rozumiesz, ty... ty śmieciu! Szukasz von Tieboltów! Chcesz| ich z powrotem ożywić!

— To oni nie żyją?

— Dałby Bóg, żeby nie żyli!

— Graff, niech mnie pan posłucha. Jeśli wie pan coś...

— Precz z mojego domu! — Starzec poderwał się z wysiłkiem ze swojego fotela i wrzasnął w stronę zamkniętych drzwi gabinetu. — Werner! *Komm her!*

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie asystent Graffa.

— *Mein Herr? Was ist...*

— Wyprowadź tego oszusta! Wyrzuć go z mojego domu!

Asystent spojrział na Holcrofta.

— Tędy, proszę. Ale już!

Noel schylił się po swój neseser i ruszył szybkim krokiem w kierunku drzwi. Zatrzymał się w połowie drogi i obejrzał, żeby jeszcze raz spojrzeć na rozwścieczonego Graffa. Stary Niemiec stał sztywno niczym opasty, groteskowy manekin, nie potrafił jednak zapanować nad drgawkami wstrząsającymi jego ciałem!

— Precz! Gardzę tobą!

Ta ostatnia, dotkliwa obelga strzaskała samokontrolę Noela. To nie jemu należała się pogarda; godnym jej było stojące przed nim uosobienie arogancji, nadęte wyobrażenie popełdliwości i brutalności. Ten potwór, który przed trzydziestu laty zdradził, a następnie zniszczył cierpiącego człowieka... i tysiące jemu podobnych. Ten nazista.

— Nie ma pan prawa mi ubliżać.

— Jeszcze zobaczymy, kto tu ma do czego prawo. Wynocha!

— Dobrze, wyjdę, generale, czy kim tam, u diabła, jesteś. Nie mogę wyjść tak szybko, jakbyś tego chciał, bo teraz zrozumiałem. Nie widzisz różnicy między mną a ostatnim trupem, jakiego, sukinsyny, spaliliście, ale wymieniłem pewne nazwisko i nie wytrzymałeś. Szlag cię trafił, bo wiesz — tak samo dobrze jak ja — że von Tiebolt przejrzał was przed trzydziestu laty. Kiedy na stosach piętrzyły się ciała pomordowanych. On zrozumiał, kim naprawdę byliście.

— Nie ukrywaliśmy, kim jesteśmy! Świat to wiedział! Z naszej strony nie było żadnego szachrajstwa!

Holcrofta zamurowało. Przełknął mimowolnie ślinę. Pomimo gniewu, jaki nim targał, musiał szukać usprawiedliwienia dla człowieka, który krzyczał do niego zza grobu; musiał odparować cios tego symbolu przerażającej niegdyś potęgi i zgnilizny, które ukradły mu ojca. Nie mógł się powstrzymać.

— Postawmy sprawę jasno — wycedził. — Zamierzam odnaleźć von Tieboltów i nie powstrzymasz mnie przed tym. Nie łudź się, że potrafisz. Nie łudź się, że mnie nastraszyłeś. Nie udało ci się. To ja ciebie nastraszyłem. Wygarnąłem ci, kim naprawdę jesteś. Zbyt ostentacyjnie obnosisz się ze swoim Krzyżem Żelaznym.

Graff odzyskał już panowanie nad sobą.

— O tak, koniecznie znajdź von Tieboltów. My też tam będziemy!

— Znajdę ich. A jeśli coś im się przytrafi, kiedy już to zrobię, będę wiedział, kto za tym stoi. Rozgłoszę wszem i wobec, kim jesteście. Siedzisz tu na górze, w tym zamczysku, i wywarkujesz swoje rozkazy. Nadal nie dajesz za wygraną. Byliście skończeni już przed laty — jeszcze przed końcem wojny — i ludzie tacy, jak von Tiebolt, zdawali sobie z tego sprawę. Oni rozumieli, ale do was to nie docierało. I nigdy nie dotrze.

— Precz!

Do gabinetu wbiegł strażnik, jego dłonie pochwyciły Noela od tyłu. Ręka, która wysuwała się nad prawym ramieniem Amerykanina, opadła w poprzek klatki piersiowej. Zbity raptem z nóg pod wpływem silnego szarpnięcia, został powleczony tyłem w kierunku wyjścia. Machnął swoim neseserem i poczuł, jak walizeczka trafia w zwaliste, rozedrgane ciało mężczyzny. Wbił łokieć w brzuch tego niewidocznego ciała i kopnął na oślep, trafiając piętą w kość goleniową napastnika. Reakcja była natychmiastowa: mężczyzna zaskowyczał, a ucisk na piersi Noela osłabł na chwilę. To wystarczyło.

Holcroft poderwał w górę lewą rękę, złapał mężczyznę za rękaw i pociągnął zań z całej siły, odchylając jednocześnie tułów w prawo i wtłaczając prawe ramię w napierającą na niego pierś. Napastnik zachwiał się. Noel jeszcze silniej naparł prawym barkiem w uniesioną

klatkę piersiową i odrzucił napastnika na stylowe krzesło stojące pod ścianą. Mężczyzna i kruchy mebel zderzyli się. Z trzaskiem łamanego drewna szkielet krzesła zarwał się pod ciężarem ciała. Ogłuszony strażnik utracił na chwilę ostrość widzenia i mrugał szeroko rozwartymi oczyma.

Holcroft spojrział na rozciągniętego na podłodze mężczyznę. Strażnik był wielkoludem, ale tym, co najbardziej w nim przerażało, była masa. A ta masa była imponująca; podobnie, jak w przypadku starego Graffa — góra cielska upchnięta w ściśle dopasowaną marynarkę.

Przez otwarte drzwi Holcroft dostrzegł, że Graff rzuca się do stojącego na biurku telefonu. Asystent, którego Graff nazwał Wernerem, postąpił niepewny krok w kierunku Noela.

— Nie rób tego — syknął Holcroft. Ruszył przez wielki hol do głównego wyjścia. Po drugiej stronie foyer, pod łukowatym przejściem, stało kilkoro mężczyzn i kobiet. Nikt nie wykonał najmniejszego ruchu w jego kierunku; nikt nie podniósł nawet głosu. „Niemiecka karność” — pomyślał Noel, niezbyt uszczęśliwiony tym spostrzeżeniem. Pachołkowie czekali na rozkazy.

— Postępujcie zgodnie z moimi instrukcjami — powiedział Graff do telefonu spokojnym głosem, nie zdradzającym śladu furii, jaka biła z niego przed kilkoma zaledwie minutami. Był teraz oficerem w randze generała, wydającym rozkazy sumiennemu podwładnemu. — Zaczekajcie, aż znajdzie się w połowie zjazdu ze wzgórza i dopiero wtedy naciśnijcie wyłącznik bramy. Amerykanin powinien sądzić, iż udało mu się uciec. — Stary Niemiec odłożył słuchawkę i zwrócił się do asystenta. — Czy strażnik jest ranny?

— Tylko oszołomiony, *mein Herr*. Chodzi tam i z powrotem, otrząsając się ze skutków tego ciosu.

— Holcroft jest rozeźlony — mruknął w zadumie Graff. — Dumny z siebie, podniecony, przejęty swoim zadaniem. To dobrze. Teraz trzeba go nastraszyć, sprawić, by zadrzał pod wpływem czegoś brutalnego i nieoczekiwanego. Przekaż strażnikowi, żeby odczekał pięć minut i ruszył w pościg. Musi się dobrze spisać.

— Otrzymał już rozkazy. Jest wytrawnym strzelcem wyborowym.

— Dobrze. — Były *Wehrmachtsgeneral* podszedł wolno do okna i mrużąc oczy popatrzył w ostatnie promienie zachodzącego słońca. — Łagodne słowa, słowa kochanki... a potem ostra, histeryczna reprimenda. Czuły uścisk i nóż. Jedno musi następować szybko po drugim, dopóki Holcroft nie straci zupełnie orientacji. Dopóki nie będzie już w stanie odróżnić sprzymierzeńca od wroga, wiedząc tylko, że musi przeć naprzód. Kiedy się w końcu załamie, będziemy tam i będzie nasz.

## 9

Noel zatrzasnął za sobą ogromne podwoje i zszedł po marmurowych stopniach do samochodu. Zawrócił wóz maską ku wiodącej w dół wzgórza alejce wyjazdowej z rezydencji Graffa, nacisnął pedał gazu i ruszył w kierunku bramy.

Docierało do niego kilka rzeczy. Pierwsza, że wieczorne słońce kryje się z wolna za górami na zachodzie, tworząc na ziemi kałuże cienia. Gasło światło dnia, trzeba włączyć reflektory. Drugą sprawą, jaka zaprzętała jego umysł, było dwojakie znaczenie reakcji Graffa na dźwięk nazwiska von Tieboltów: von Tieboltowie żyją i stanowią zagrożenie. Ale zagrożenie dla czego? Dla kogo? I gdzie są?

Trzecia refleksja stanowiła raczej odczucie, niż konkretną myśl. Dotyczyła jego reakcji na fizyczną przemoc, której właśnie doświadczył. Przez całe życie, aż do tej pory, wszelką sprawność i siłę, jakimi dysponował, traktował jako coś oczywistego. Był mężczyzną dobrze zbudowanym, o stosunkowo niezłej koordynacji ruchowej, nie odczuwał więc nigdy potrzeby sprawdzania się w obliczu fizycznych wyzwań, chyba że we współzawodnictwie z samym sobą — w doskonaleniu swych umiejętności w grze w tenisa czy w narciarstwie zjazdowym. Dlatego też unikał walk. Nie wydawały mu się konieczne do szczęścia.

Taka właśnie postawa kazała mu się śmiać, kiedy ojczym nalegał, by zapisał się razem z nim do klubu na serię lekcji samoobrony. Miasto przeistaczało się w dżunglę, syn Holcrofta miał pojąć sztukę dbania o własne bezpieczeństwo.

Ukończył kurs i szybko zapomniał wszystko, czego się na nim nauczył. Jeśli rzeczywiście cokolwiek mu z tych lekcji pozostało, odbyło się to instynktownie.

„Coś jednak sobie przyswoiłem” — pomyślał Noel zadowolony z siebie. Przypomniawsobie szkliste oczy strażnika.

Ostatnia myśl, jaka przyszła mu do głowy, kiedy wjeżdżał w alejkę wiodącą w dół wzgórza, była również nie sprecyzowana. Coś było nie w porządku z przednim siedzeniem samochodu. Pełna furii aktywność ostatnich kilku minut zmała jego wyczulone na szczegóły oko, ale coś się nie zgadzało we wzorze pokrowca w kratę naciągniętego na fotel...

Przeraźliwy jazgot, jaki rozległ się w tej chwili, nie pozwolił mu się skoncentrować. Było to ujadanie psów. Tuż przy szybach po obu stronach wozu wyłoniły się nagle groźne pyski olbrzymich, długowłosych owczarków. Ciemne ślepia połyskiwały nienawiścią, porośnięte sierścią, ociekające śliną szczęki otwierały się i zamykały z trzaskiem, wydając piskliwy, zajadły skowyt bestii dopadających ofiary, ale niezdolnych do zatopienia kłów w jej ciele. To była sfera psów szturmowych — pięciu, sześciu, siedmiu — napierających teraz na wszystkie okna i szorujących pazurami po szkle. Jedno ze zwierząt wskoczyło na maskę, przyciskając pysk i wyszczerzone zębiska do przedniej szyby.

Za sylwetką psa u stóp wzgórza Holcroft widział ogromną bramę, która w snopach światła rzucanych przez reflektory zaczynała się właśnie zamykać. Podejmowała powolną drogę po łuku, na którego końcu zatrzaśnie się! Wdusił do dechy pedał gazu, zacisnął na kierownicy dłoń aż do bólu w ramionach i zjeżdżając na lewą stronę alejki, przemknął na pełnej szybkości pomiędzy kamiennymi kolumnami, uciekając o kilka zaledwie centymetrów żelaznym wrotom. Pies, skowycząc z przerażenia, zleciał z maski i poszybował w prawo.

Sfera ze wzgórza zatrzymała się w zapadającym zmierzchu, nie przekraczając bramy. Jedyne wyjaśnienie musiał być niesłyszalny dla człowieka gwizd o wysokiej częstotliwości, który osadził psy na miejscu. Noel zlany potem, dociskał pedał do podłogi wozu i gnał przed siebie na złamanie karku.



Dojechał do rozwidlenia dróg pośród pól. Czy jadąc tutaj skręcał w prawo czy w lewo? Nie mógł sobie przypomnieć. Sięgnął machinalnie po mapę leżącą na siedzeniu obok.

To właśnie nie dawało mu spokoju! Mapy już tam nie było. Skręcił w drogę odchodzącą od rozwidlenia w lewo, wsuwając jednocześnie rękę pod siedzenie, żeby sprawdzić, czy mapa nie zsunęła się na podłogę. Nie zsunęła się. Zabrano ją z samochodu!

Dojechał do skrzyżowania. Nie pamiętał, żeby przez nie wcześniej przejeżdżał, a jeśli nawet, w ciemnościach nie wydało mu się znajome. Skręcił instynktownie w prawo, wiedząc tylko, że nie wolno mu się zatrzymywać. Nie zmniejszając szybkości szukał jakichkolwiek cech podobieństwa z szosą wylotową z Rio. Ale ciemności były już egipskie; nie widział nic z tego, co zapamiętał. Droga weszła w szeroki, łagodny zakręt w prawo, a zaraz za nim zaczynał się ostry, stromy podjazd pod górę. Nie przypominał sobie takiego zakrętu, nie pamiętał żadnego wzgórza. Zabłądził.

Szczyt wzgórza był płaski na odcinku mniej więcej dziewięćdziesięciu metrów. Po lewej stronie znajdował się taras widokowy z parkingiem od strony drogi, zamknięty od strony urwiska wysokim do piersi murkiem. Wzdłuż murku ciągnął się rząd teleskopów w okrągłych obudowach — typ uruchamiany poprzez wrzucenie monety. Holcroft przyhamował i zatrzymał wóz. Na parkingu nie było innych pojazdów, ale może jakiś nadjedzie. Może, jeśli rozejrzy się po okolicy, zorientuje się, gdzie jest. Wysiadł z wozu i podszedł do murku.

Hen w dole połyskiwały odległe światła miasta. Jednak pomiędzy wzgórzem a światłami zalegały tylko ciemności... Nie, to nie były ciemności zupełne; przecinała je wijąca się nitka światła. Droga? Noel stał obok jednego z teleskopów. Wsunął monetę w szczelinę i zbliżył oczy do okularów, ustawiając ostrość na biegnącą meandrami, świetlistą nitkę, w której z nadzieją upatrywał drogi. To była droga.

Rozmieszczone w sporych odległościach od siebie światła były latarniami ulicznymi, co stanowiło widok dodający otuchy, nie pasujący jednak do zapamiętanego traktu wyciętego w brazylijskich lasach. Gdyby zdołał uchwycić początek tej drogi... Teleskop nie dawał się obrócić dalej w prawo. Jasna cholera! Gdzie ona się zaczyna? To musi być...

Za sobą usłyszał warkot silnika. Pod wzniesienie, na które przed chwilą wjechał, piął się jakiś samochód. Dzięki Bogu! Zatrzyma ten wóz, choćby miał w tym celu stanąć pośrodku drogi. Oderwał się od murka i pobiegł betonową płytą w kierunku chodnika dla pieszych.

Przy krawężniku zamarł. Samochodem, który wyłonił się zza ostatniego podjazdu i wpadł na płaszczyznę tarasu widokowego, była biała limuzyna marki Mercedes. Ten sam wóz, który wcześniej stał, połyskując w promieniach popołudniowego słońca, na szczycie innego wzgórza. Wóz Graffa.

Samochód zahamował z piskiem opon. Drzwiczki otworzyły się i wysiadł z niego jakiś mężczyzna. W zalewie odbitego światła reflektorów łatwo było go poznać: strażnik Graffa!

Mężczyzna sięgnął za pasek. Holcroft stał sparalizowany. Tamten uniósł pistolet i wycełował w niego. Niewiarygodne! To nie mogła być prawda!

Huknął pierwszy wystrzał; wstrząsnął ciszą niczym niespodziewane pęknięcie ziemi. Po nim nastąpił drugi. Droga o kilka centymetrów od Noela eksplodowała deszczem kamienia i pyłu. Resztki instynktowi opierających się jeszcze paraliżowi, który odbierał władzę w członkach, i niewierze w to, co widzi, nakazała mu szukać ratunku w ucieczce. Groziła mu śmierć! Oto za chwilę zostanie zabity na opustoszałym tarasie widokowym dla turystów nad miastem Rio de Janeiro! To niedorzeczne!

Nogi miał jak z waty, zmusił się do biegu w kierunku wynajętego samochodu. Bolały go stopy, było to najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznał. Nocną ciszę wypełniły hukami kolejne dwa wystrzały. Nastąpiły kolejne dwie eksplozje asfaltu i betonu.

Dopał do wozu i przywarł do ziemi, szukając osłony za płytą drzwiczek. Sięgnął w górę do klamki.

Jeszcze jeden wystrzał, tym razem głośniejszy, wzniecił ogłuszające wibracje. Towarzysząca mu detonacja stanowiła inny rodzaj eksplozji. Eksplozji, która rozbrzmiała brzękiem gwałtownie tłuczonego szkła. Poszła tylna szyba samochodu.

Nie było na co czekać! Holcroft jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. W panice przekręcił kluczyk tkwiący w stacyjce. Silnik ryknął, stopa sama docisnęła do dechy pedał gazu. Ze zgrzytem wrzucił bieg, samochód wyrwał przed siebie w ciemność. Noel skręcił gwałtownie kierownicą, wóz wszedł w ciasny wiraż, unikając o włos zderzenia z murkiem. Instynktownie włączył reflektory. Jak przez mgłę ujrzał drogę prowadzącą w dół wzgórza, desperacko pognał ku niej.

Zjazd był bardzo kręty. Wchodził w poślizgi na najwyższej szybkości, ledwie panując nad wozem. Czuł ból w ramionach. Dłonie miał tak wilgotne od potu, że aż ślizgały się po kierownicy. Był przekonany, że lada moment się rozbije, zginie w eksplozji.

Nie miał pojęcia, ile czasu mu to zajęło ani jak właściwie znalazł krętą drogę oświetlaną rozstawionymi z rzadka latarniami, ale w końcu ją znalazł. Płaską nawierzchnię prowadzącą w lewo, na wschód, w kierunku miasta.

Znajdował się w obfitej zadrzewionej okolicy. Po obu stronach asfaltu ciągnęły się wysokie drzewa i gęste lasy, niczym ściany ogromnego kanionu.

Z przeciwnego kierunku nadjeżdżały dwa samochody. Na ich widok miał ochotę krzyknąć z ulgi. Zbliżał się do peryferii miasta. Był już na przedmieściach. Latarnie uliczne stały teraz blisko siebie i nagle wszędzie pojawiły się skręcające, zajeżdżające drogę, przemykające obok samochody. Nigdy by nie podejrzewał, że widok ruchu ulicznego wprawi go w taki błogostan.

Dojechał do świateł na skrzyżowaniu. Paliło się czerwone. Powitał ja z wdzięcznością — za to, że tu jest, i za krótką chwilę wytchnienia, jakie mu ofiaruje. Sięgnął do kieszonki koszuli po papierosy. Boże, ależ chciało mu się palić!

Po lewej stronie zatrzymał się jakiś samochód. I Noel znowu z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Mężczyzna obok kierowcy — człowiek, którego nie widział w życiu — opuścił szybę i unosił pistolet. Lufę otaczał perforowany cylinder — tłumik. Nieznajomy mężczyzna mierzył do niego z pistoletu!

Holcroft wzdrygnął się, wtulił głowę w ramiona i wykręciwszy szyję, wrzucił bieg, dociskając do dechy pedał gazu. Usłyszał za sobą złowieszcze fuknięcie i brzęk tłuczonego szkła. Wynajęty samochód wyrwał do przodu, wpadając na skrzyżowanie, gdzie powitało go wściekłe wycie klaksonów. Pędził wprost pod nadjeżdżający z przeciwną stroną wóz. W ostatniej chwili skręcił, cudem unikając zderzenia.

Papieros wypadł mu z ust i wypalał dziurę w fotelu.

Do miasta wpadał na pełnej szybkości.

Słuchawka telefonu w dłoni Noela była wilgotna i połyskiwała od potu.

— Słucha mnie pan?! — wrzasnął do niej.

— Panie Holcroft, proszę się uspokoić. — W głosie attache ambasady amerykańskiej pobrzmiwało niedowierzanie. — Uczynimy, co w naszej mocy. Dysponujemy najważniejszymi faktami i podejmiemy stosowne kroki dyplomatyczne najszybciej, jak to tylko możliwe. Ale jest już po dziesiątej, o tej porze trudno będzie dotrzeć do pewnych ludzi.

— Trudno dotrzeć do pewnych ludzi? Może nie słyszał pan, co mówiłem? O mała mnie, cholera, nie zabili! Niech pan sobie obejrzy mój samochód! Ma powybijane szyby!

— Wysyłamy do pańskiego hotelu człowieka, który przejmie wóz — powiedział trzeźwo attache.

— Mam kluczyki przy sobie. Niech przyjdzie po nie na górę, do mojego pokoju.

— Tak, przekażemy mu. Niech pan nigdzie nie wychodzi. Jeszcze się skontaktujemy z

panem telefonicznie.

Attache rozłączył się. Chryste! Ten człowiek mówił takim tonem, jakby wysłuchiwał namolnego krewnego i nie mógł się doczekać chwili, kiedy odłoży wreszcie słuchawkę i pójdzie na obiad!

Noel był przerażony bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Strach ścisnął go za gardło, doprowadzał do paniki i utrudniał oddychanie. Jednak pomimo tego przyprawiającego o mdłości, wszechogarniającego uczucia, działo się z nim coś, czego nie rozumiał. Drobną cząstką swej osobowości był zły i czuł, że ta złość narasta. Nie chciał, żeby rosła; bał się jej, ale nie potrafił temu zaradzić. Został zaatakowany i pragnął oddać cios.

Pragnął też odegrać się na Graffie. Wygarnąć mu, kim naprawdę jest: potworem, kłamcą, sprzedawczykiem... nazistą.

Zadzwoił telefon. Noel odwrócił się gwałtownie, kojarząc sobie ten dźwięk z alarmem, który ostrzega przed kolejnym atakiem. Ścisnął dłonią nadgarstek, żeby opanować jego drżenie, i podszedł szybko do nocnego stoliczka przy łóżku.

— *Senior* Holcroft?

To nie był pracownik ambasady. Z głosu przebijał akcent łaciński.

— O co chodzi?

— Muszę z panem porozmawiać. To bardzo ważne, żebyśmy spotkali się zaraz.

— Kto mówi?

— Nazywam się Cararra. Jestem teraz w holu pańskiego hotelu.

— Cararra? Telefonowała do mnie wczoraj kobieta o nazwisku Cararra.

— To moja siostra. Jest tu ze mną. Oboje musimy z panem porozmawiać. Możemy przyjść do pańskiego pokoju?

— Nie! Nikogo nie przyjmuję! — Huk strzałów, eksplozje betonu i tłuczonego szkła — wszystko to było jeszcze zbyt żywe. Nie robi znów z siebie osamotnionego celu.

— Pan musi, *senior!*

— Nic nie muszę. Daj mi pan spokój albo zadzwonię na policję.

— Oni nie mogą panu pomóc. My możemy. Chcemy panu pomóc. Szuka pan informacji o von Tieboltach. My je mamy.

Noela zatkało. Jego oczy przesunęły się mimowolnie na mikrofon słuchawki telefonu. To pułapka. Mężczyzna na linii usiłuje go wciągnąć w pułapkę. Jeśli jednak tak jest, dlaczego o tej pułapce uprzedza?

— Kto pana tu przysłał? Kto kazał panu do mnie zatelefonować? Graff?

— Maurice Graff nie rozmawia z takimi, jak my. Moja siostra i ja... on ma nas w największej pogardzie.

*Gardzę tobą!* „Graff żywi pogardę dla większej części świata” — pomyślał Holcroft. Odetchnął i spróbował spokojniej.

— Pytałem, kto pana do mnie przysłał. Skąd pan wie, że interesuję się von Tieboltami?

— Mamy przyjaciół w urzędzie imigracyjnym. Nie jakichś tam ważnych ludzi, zwyczajnych urzędników. Ale oni mają uszy i oczy.

Zrozumie pan, kiedy porozmawiamy. — Brazylijczyk zaczął nagle mówić szybciej. Pospały się nieskładne zdania. Zbyt nieskładne, by można to uznać za wystudiowaną czy wyuczoną lekcję. — Błagam, *senior*, niech pan nas przyjmie. Dysponujemy pewnymi informacjami i są to informacje, z którymi powinien się pan zapoznać. Chcemy pomóc. Pomagając panu, pomagamy sobie.

Mózg Noela pracował na najwyższych obrotach. Hol hotelu „Porto Alegre” był zawsze zatłoczony, a we frazesie, że w tłumie bezpieczniej, było coś z prawdy. Jeśli Cararra i jego siostra rzeczywiście wiedzą coś o von Tieboltach, musi się z nimi zobaczyć. Ale nie na osobności, nie sam.

— Niech pan stanie przy recepcji — powiedział wolno — co najmniej trzy metry od kontuaru z obiema rękami wyciągniętymi z kieszeni. Siostra niech będzie po pana lewej ręce, a swoją prawą rękę niechaj trzyma na pańskim prawym ramieniu. Zaraz będę na dole, ale nie skorzystam z windy. I z początku mnie nie zauważycie. Podejdę do was.

Odłożył słuchawkę zaskoczony własną reakcją. Nauka nie szła w las. Były to, bez wątpienia, podstawy dla anormalnych ludzi z półświatka, ale dla niego coś zupełnie nowego: Cararra nie będzie ścisnąć pistoletu we wsuniętej w kieszeń dłoni, a jego siostra — czy ktokolwiek to jest — nie będzie mogła sięgnąć niepostrzeżenie do torebki. Swoją uwagę skupią na drzwiach od klatki schodowej, nie na windach, z których jedną zjedzie, ma się rozumieć, na dół. On zaś rozpozna ich łatwo.

Wysiadł z windy i wmieszał się w tłumek turystów. Udając członka grupy stanął na chwilę wśród nich i spojrzał dyskretnie na parę przy kontuarze recepcji. Zgodnie z instrukcjami, Cararra trzymał ręce opuszczone wzdłuż ciała, a prawa dłoń jego siostry spoczywała na ramieniu brata, jakby kobieta obawiała się, że tłum ich rozdzieli. Byli rodzeństwem, rysy ich twarzy nosiły niezaprzeczalne cechy podobieństwa. Cararra chyba niedawno przekroczył trzydziestkę, siostra była od niego o kilka lat młodsza. Oboje śniadzi, o ciemnych włosach i oczach. Żadne nie wyglądało ani trochę wyzywająco. Ubrani byli schludnie, ale skromnie. Nie pasowali do tego wnętrza rojącego się od futer i wieczorowych kreacji hotelowych gości. Świadomi niezręcznej sytuacji, w jakiej się znaleźli, stali z zakłopotanymi minami i przerażeniem w oczach. „Nieszkodliwi” — pomyślał Holcroft. I zaraz skarcił się w duchu za pochopne wysuwanie sądów.

Usiedli przy stoliku w łoży, w głębi skąpo oświetlonego baru koktajlowego, naprzeciwko Noela. Zanim tu weszli, Holcroft przypomniał sobie, że wciąż jeszcze oczekuje na telefon z ambasady. Poprosił w recepcji o przełączenie rozmowy do salki barowej. Ale tylko w przypadku telefonu z ambasady — poza tym nie ma go dla nikogo.

— Powiedzcie mi na początek, skąd dowiedzieliście się, że szukam von Tieboltów — zagał Noel, kiedy na stoliku pojawiły się zamówione drinki.

— Już panu mówiłem. Od pracownika urzędu imigracyjnego. Dyskretnie powiadomiono poszczególne wydziały, że wkrótce zjawi się jakiś Amerykanin pytający o niemiecką rodzinę o nazwisku von Tiebolt. Ten, do kogo się zwróci, miał wezwać człowieka z *policia do administracao*. To tajna policja.

— Wiem, co to jest. Wezwał sam siebie. Podał się za „tłumacza”. Chciałbym wiedzieć, dlaczego was o tym powiadomiono.

— Von Tieboltowie byli naszymi przyjaciółmi. Bardzo bliskimi przyjaciółmi.

— Gdzie oni są?

Cararra wymienił z siostrą szybkie spojrzenie. Teraz odezwała się dziewczyna.

— Dlaczego pan ich szuka? — spytała.

— Wyjaśniłem to w urzędzie imigracyjnym. Nie ma w tym niczego niezwykłego. Krewni ze Stanów Zjednoczonych zostawili im pewną sumę pieniędzy.

Rodzeństwo znowu spojrzało po sobie i znowu odezwała się siostra.

— Czy to duża suma?

— Nie wiem — odparł Holcroft. — To sprawa poufna. Ja jestem tylko pośrednikiem.

— Kim? — wtrącił się brat.

— *Un tercero* — odparł Noel nie odrywając wzroku od kobiety. — Co panią tak wczoraj przerażyło podczas naszej rozmowy telefonicznej? Zostawiła mi pani swój numer, a kiedy pod niego zatelefonowałem, powiedziała pani, że nie powinienem tego robić. Dlaczego?

— Popełniłam... błąd. Brat stwierdził, że to poważny błąd. Moje nazwisko, numer telefonu... pozostawianie ich było nieostrożnością.

— To mogło zdenerwować Niemców — wyjaśnił Cararra. — Gdyby pana śledzili, przechwytywali pozostawiane dla pana wiadomości, zorientowałyby się, że do pana telefono-

waliśmy. To byłoby dla nas niebezpieczne.

— Jeśli obserwują mnie teraz, wiedzą, że tu jesteście.

— Przedyskutowaliśmy to — podjęła kobieta. — Zdecydowaliśmy się. Musimy podjąć to ryzyko.

— Jakie ryzyko?

— Niemcy nami pogardzają. Pomijając wszystko inne, jesteśmy portugalskimi Żydami — powiedział Cararra.

— To oni nadal tak rozumują?

— Oczywiście. Powiedziałem, że przyjaźniliśmy się z von Tieboltami.

Może spróbowałbym to bliżej wyjaśnić. Johann był moim najdroższym przyjacielem, mieli się pobrać z moją siostrą. Niemcy by do tego nie dopuścili.

— A ktoś mógłby im przeszkodzić w zawarciu małżeństwa?

— Mnóstwo ludzi. Pociskiem w tył głowy Johanna.

— Jezu Chryste, to niedorzeczne! — Ale to nie było niedorzeczne i Holcroft dobrze o tym wiedział. Tam, na wzgórzach, sam był celem; w uszach rozbrzmiewał mu jeszcze huk strzałów.

— Dla niektórych Niemców takie małżeństwo stanowiłoby śmiertelną obelgę — ciągnął Cararra. — Są tacy, którzy utrzymują, że von Tieboltowie byli zdrajcami Niemiec. Ci ludzie nadal toczą wojnę, chociaż od jej zakończenia upłynęło już trzydzieści lat. Tu, w Brazylii, von Tieboltów spotkało wiele upokorzeń. Zasługują na to, żeby coś dla nich zrobić. Utrudniano im jak tylko można życie z powodów, które powinny były umrzeć śmiercią naturalną wiele lat temu.

— I doszliście do wniosku, że ja mogę coś dla nich uczynić? Co wam podsunęło tę myśl?

— To, że usiłovali pana powstrzymać potężni ludzie; Niemcy mają tutaj wielkie wpływy. A zatem pan też musi być potężnym człowiekiem, kimś, kogo brazylijscy Graffowie usiłują nie dopuścić do von Tieboltów. Oznacza to dla nas, że nie zamierzał pan zaszkodzić naszym przyjaciołom, a jeśli nie chce pan im zaszkodzić, ma pan dobre intencje. Potężny Amerykanin, który może im pomóc.

— Powiedział pan „brazylijscy Graffowie”. Chodziło o Maurice'a Graffa, prawda? Kim on jest? Co to za jeden?

— Najgorszy z nazistów. Powinni go powiesić w Norymberdze.

— Zna pan Graffa? — spytała kobieta nie odrywając wzroku od Holcrofta.

— Miałem z nim spotkanie. Użyłem pretekstu, że mój klient z Nowego Jorku prosił mnie o obejrzenie jego domu. Jestem architektem. W pewnej chwili napomknąłem o von Tieboltach i Graff się wściekł. Zaczął wrzeszczeć i kazał mi się wynosić. Kiedy zjeżdżałem ze wzgórza, za samochodem goniła sfora szturmowych psów. Później ścigał mnie strażnik Graffa. Próbował mnie zabić. Drugą taką próbę podjęto już na ulicach miasta. Jakiś inny mężczyzna strzelał do mnie z okna samochodu.

— Matko boska! — wstrząśnięty Cararra otworzył usta.

— Nie powinni nas z nim widzieć — powiedziała kobieta ściskając brata za ramię. Po-tem urwała przyglądając się uważniej Noelowi. — O ile mówi prawdę.

Holcroft zrozumiał. Jeśli miał się dowiedzieć od nich czegoś, musiał udowodnić, że na-prawdę jest tym, za kogo się podaje. — Mówię prawdę.

Powiedziałem ją również urzędnikowi amerykańskiej ambasady. Wysłali już kogoś, że- by przejął samochód w charakterze dowodu.

Rodzeństwo popatrzyło po sobie, po czym oboje zwrócili oczy z powrotem na Holcro-fta. Jego oświadczenie w pełni ich zadowalało, widać to było w ich spojrzeniach.

— Wierzmy panu — powiedziała siostra. — Musimy się pospieszyć.

— Czy von Tieboltowie żyją?

— Tak — powiedział brat. — Naziści sądzą, że ukrywają się gdzieś w górach na południu, w okolicach kolonii Santa Catarina. To stare niemieckie osady. Von Tieboltowie mogliby zmienić nazwisko i łatwo wtopić się w tamtejszą społeczność.

— Ale ich tam nie ma?

— Nie... — Cararra zawahał się wyraźnie niezdecydowany.

— Powiedźcie mi, gdzie są — naciskał Noel.

— Czy przynosi im pan dobrą wiadomość? — spytała dziewczyna z troską w głosie.

— O wiele lepszą niż wszystko, co możecie sobie wyobrazić — odparł Holcroft. — Powiedźcie mi.

Rodzeństwo ponownie wymieniło spojrzenia. Podjęli decyzję.

— Są w Anglii — powiedział Cararra. — Jak pan zapewne wie, matka nie żyje...

— Nie, nie wiem — przyznał Noel. — Właściwie nic nie wiem.

— Przyjęli nazwisko Tennyson. Johann nazywa się teraz John Tennyson, pracuje jako dziennikarz w gazecie *The Guardian*. Mówi kilkoma językami i obsługuje dla tego dziennika europejskie stolice. Gretchen, najstarsza z rodzeństwa, wyszła za mąż za brytyjskiego oficera marynarki wojennej. Nie wiemy, gdzie mieszka, ale jej mąż nazywa się Beaumont i jest komandorem *Royal Navy*. O Helden, najmłodszej córce, nie wiemy nic. Zawsze była jakaś sztywna, mało komunikatywna.

— Helden? Dziwne imię.

— Pasuje do niej — powiedziała cicho siostra Cararry.

— Podobno akt jej urodzenia wypisywał lekarz nie znający niemieckiego, który nie rozumiał, co mówi matka. *Seniора* von Tiebolt twierdziła, że nadała niemowlęciu imię Helga, ale w szpitalu panował bałagan. Przekręcili to na Helden. W tamtejszych czasach nikt nie protestował przeciw temu, co zostało zapisane w dokumentach. I tak już zostało.

— Tennyson, Beaumont... — powtórzył usłyszane nazwiska Holcroft. — Anglia? W jaki sposób udało im się wydostać z Brazylii i dotrzeć do Anglii bez wiedzy Graffa? Mówiliście, że Niemcy mają tutaj wielkie wpływy. Potrzebowali paszportów, musieli załatwić sobie trans port. Jak tego dokonali?

— Johann... John... jest nadzwyczajnym człowiekiem. To geniusz — powiedział Cararra.

— *A homen talentoso* — dorzuciła jego siostra i kiedy wypowiadała te słowa, napięte rysy jej twarzy złagodniały. — Bardzo go kocham. Wciąż się kochamy, chociaż upłynęło już pięć lat.

— A więc macie od niego wiadomości? To znaczy od nich?

— Sporadycznie — przyznał Cararra. — Kontaktują się z nami przyjezdni z Anglii. Nigdy nie dostajemy niczego w formie pisemnej.

Noel przyjrzał się zastraszonemu mężczyźnie.

— W jakim wy świecie żyjecie? — spytał z niedowierzaniem.

— W takim, gdzie może pan stracić życie — odparł Cararra.

„Ma rację” — pomyślał Noel i poczuł bolesny skurcz żołądka. Zwycięzeni nadal toczyli tu przegraną przed trzydziestu laty wojnę. Trzeba położyć temu kres.

— Pan Holcroft? — spytał nieśmiało jakiś nieznajomy, zatrzymując się przy stoliku, niepewny, czy dobrze trafił.

— Tak, to ja — odparł ostrożnie Noel.

— Anderson z ambasady amerykańskiej, *sir*. Mogę z panem porozmawiać?

Cararrowie podnieśli się równocześnie od stolika i wysunęli bokiem z łoży. Mężczyzna z ambasady odstąpił krok w tył, przepuszczając Cararrę, który zbliżył się do Holcrofta.

— *Adeus* — wyszeptał Cararra.

— *Adeus* — szepnęła również kobieta, wyciągając rękę i dotykając ramienia Holcrofta.

Nie patrząc na pracownika ambasady, rodzeństwo wyszło szybkim krokiem z sali.

Holcroft siedział obok Andersona w służbowym wozie ambasady. Mieli niecałą godzinę na dojazd do lotniska. Gdyby droga zajęła im choć trochę więcej czasu, spóźniłby się na samolot linii *Avianca* odlatujący do Lizbony, gdzie Noel miał się przesiąść na maszynę *British Airways* lecącą do Londynu.

Anderson, choć niechętnie, nie kryjąc rozdrażnienia, zgodził się go podwieźć.

— Będę pędził na złamanie karku i płacił z mojej miesięcznej diety mandaty za przekroczenie szybkości — cedził przez zęby Anderson — byle tylko pozbyć się pana z Rio. Urwanie głowy z panem.

— Nie wierzycie w ani jedno moje słowo, prawda? — skrzywił się Noel.

— Jasna cholera, Holcroft, ile razy mam panu powtarzać? Pod hotelem nie ma żadnego samochodu, nie wybito ani jednej szyby. Nie ma nawet wpisu o wynajęciu praw pana samochodu w rejestrze wypożyczalni.

— On tam był! Ja wynająłem ten wóz! Widziałem się z Graffem!

— Telefonował pan do niego, ale się z nim nie spotkał. Powtarzam: on twierdzi, że rozmawiał z panem telefonicznie — chodziło o obejrzenie domu — ale pan się nie zjawił.

— To kłamstwo! Byłem tam! W drodze powrotnej próbowało mnie zabić dwóch ludzi. Jednego z nich widziałem... diabła tam, biłem się z nim... w domu Graffa!

— Masz, chłopie, wybujałą wyobraźnię.

— Graff to pieprzony nazista! Po trzydziestu latach on dalej jest nazistą, a wy nadska-  
kujecie mu, jak jakiemuś mężowi stanu.

— Masz, cholera, rację — odparował Anderson. — Graff to szczególna osobistość. Znajduje się pod ochroną.

— Ja bym się tym nie chwalił.

— Wszystko ci się pokreśliło, Holcroft. Graff był w miejscu zwanym Wolfsschanze w Niemczech w czerwcu 1944. Jest jednym z ludzi, którzy próbowali zgładzić Hitlera.

# 10

Za oknem pokoju hotelowego, który zajmował, nie było teraz oślepiającego słońca; nie było złocistych, namaszczonych olejkami ciał wyrosniętych dzieciaków igrających w białych piaskach Copacabany. Ich miejsce zajęły londyńskie ulice zraszane mżawką, a między budynkami i w zaułkach hulał porywisty wiatr. Przechodnie wypadali z wyjść, spiesząc na przystanki autobusowe, do stacji kolejki, do pubów. Była to w Londynie godzina, o której Anglicy strząsają z siebie pęta codziennej harówki; zarabianie na życie to nie życie. Noel wiedział z własnego doświadczenia, że żadne miasto na świecie nie czerpie takiego zadowolenia z końca dnia pracy. Pomimo deszczu i wiatru, na ulicach wyczuwało się nastrój radości.

Odwrócił się od okna i podszedł do biurka, na którym stała jego srebrna piersiówka. Przelot do Londynu zajął piętnaście godzin i teraz, kiedy już tu się znalazł, nie bardzo wiedział, co dalej począć. Próbował obmyśleć plan działania w samolotach, ale wypadki z Rio de Janeiro były tak oszałamiające, a zebrane informacje tak sprzeczne, że czuł się zagubiony. Jego nieznany las okazywał się zbyt gęsty. A dopiero zaczynał się weń zagłębiać.

Graff — ocalały z *Wolfsschanze*!. Graff jednym z ludzi *Wolfsschanze*! To niemożliwe. Ludzie *Wolfsschanze* byli oddani sprawie Genewy, sprawie urzeczywistnienia marzenia Heinricha Clausena, a von Tieboltowie stanowili integralną część tego marzenia. Graff chciał zniszczyć von Tieboltów, tak samo jak wydał rozkaz zabicia syna Heinricha Clausena na opustoszałym w nocy tarasie widokowym wychodzącym na Rio i z okna samochodu, na ulicach samego miasta. On nie był z *Wolfsschanze*. Nie mógł do niego należeć.

Rodzeństwo Cararra. Również skomplikowana para. Co, w imię niebios, powstrzymało ich od wyjazdu z Brazylii? Przecież nie zamknięto przed nimi wstępu na lotniska i portowe nabrzeża. Wierzył w to, co mu powiedzieli, ale pozostawało zbyt wiele elementarnych pytań domagających się jeszcze odpowiedzi. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że z Cararrami coś jest nie tak. Ale co?

Nalał sobie drinka i ujął słuchawkę telefonu. Znał nazwisko i miejsce pracy: John Tennyson, *Guardian*. Redakcje gazet pracują do późnego wieczora. Za chwilę dowie się, czy wstępne informacje uzyskane od Cararrów są rzetelne. Jeśli istnieje John Tennyson pisujący dla dziennika *Guardian*, to znaczy, że znalazł Johanna von Tiebolta.

Jeśli tak, w myśl genewskiego dokumentu następnym krokiem będzie skontaktowanie się za pośrednictwem Johna Tennysona z jego siostrą Gretchen Beaumont, żoną komandora Beaumonta z *Royal Navy*. Musi się z nią spotkać, jest najstarszym żyjącym dzieckiem Wilhelma von Tiebolta. Kluczem.

— Niezmiernie mi przykro, panie Holcroft — oznajmił przez telefon uprzejmy głos z działu łączności z czytelnikami *Guardiana* — ale obawiam się, że nie wolno nam udostępniać adresów ani numerów telefonów naszych dziennikarzy.

— Ale John Tennyson współpracuje z wami. — Nie było to pytanie; mężczyzna po tamtej stronie drutu powiedział już, że Tennysona nie ma w Londynie. Holcroft chciał tylko usłyszeć bezpośrednio potwierdzenie.

— Pan Tennyson jest jednym z naszych stałych korespondentów na kontynencie.

— W jaki sposób mogę mu przekazać wiadomość? Niezwłocznie. To pilne.

Mężczyzna z redakcji wyraźnie się zawahał.

— To chyba nie byłoby takie proste. Pan Tennyson dużo podróżuje.

— Niech pan przestanie, mogę zejść na dół, kupić waszą gazetę i zobaczyć, skąd nadchodzi jego artykuły.

— Tak, oczywiście. Tylko że pan Tennyson nie podpisuje się pod codziennymi depe-



szami. Tylko w przypadku obszerniejszych opracowań o charakterze retrospektywnym...

— Jak się z nim kontaktujecie, kiedy jest wam potrzebny? — wpadł mu w słowo Holcroft przeświadczony, że jego rozmówca kręci.

Znowu zapadła pełna wahania cisza, potem rozległo się chrząknięcie. Dlaczego?

— No więc... istnieje taka skrzynka kontaktowa. To mogłoby potrwać kilka dni.

— Kilka dni to dla mnie za długo. Muszę się z nim skontaktować natychmiast. — Cisza, która ponownie zaległa w słuchawce, doprowadzała do szału. Człowiek z redakcji *Guardiana* nie miał zamiaru podsuwać Holcroftowi żadnego rozwiązania. Noel zdecydował się na inny fortel. — Niech pan posłucha, prawdopodobnie nie powinienem tego zdradzać... to sprawa poufna... ale tu chodzi o pieniądze. Panu Tennysonowi i jego rodzinie pozostawiono w spadku pewną sumę.

— Nie wiedziałem, że jest żonaty.

— Miałem na myśli jego rodzeństwo. Ma dwie siostry. Zna je pan? Nie orientuje się pan, czy mieszkają w Londynie? Najstarsza jest...

— Nie wiem nic o prywatnym życiu pana Tennysona, *sir*. Proponowałbym panu zwrócenie się z tą sprawą do radcy prawnego. — Z tymi słowami, nie wdając się w dalszą dyskusję, mężczyzna przerwał połączenie.

Holcroft, zdezorientowany, odłożył słuchawkę. Skąd tak ostentacyjny brak chęci do współpracy? Przedstawił się, podał nazwę swojego hotelu i przez kilka chwil człowiek z redakcji *Guardiana* zdawał się go słuchać uważnie, tak jakby był mu w stanie pomóc. Ale nie padła z jego strony żadna oferta pomocy i mężczyzna zakończył nagle rozmowę. To wszystko było bardzo dziwne.

Zadzwonił telefon, co jeszcze bardziej pogłębiło jego poczucie dezorientacji. Nikt nie wiedział, że jest w tym hotelu. Dyktując przez telefon dane do formularza imigracyjnego, celowo podał, że na czas pobytu w Londynie będzie mieszkał w „Dorchester”, nie w „Belgravia Arms”, gdzie się faktycznie zatrzymał. Nie życzył sobie, by ktokolwiek — zwłaszcza ktoś z Rio de Janeiro — odkrył miejsce jego pobytu. Podniósł słuchawkę, usiłując zapanować nad bolesnym skurczem żołądka.

— Tak?

— Panie Holcroft, tu recepcja. Dowiedzieliśmy się właśnie, że nie dostarczono panu na czas koszyka powitalnego. Bardzo przepraszamy. Będzie pan przez chwilę w pokoju, *sir*?

„Na miłość boską — pomyślał Noel. — W Genewie tkwią zablokowane nieprzeliczone miliony, a ten tu robi problem z głupiego koszyka z owocami”.

— Tak, będę.

— Bardzo dobrze, *sir*. Steward wkrótce do pana zastuka.

Holcroft odłożył słuchawkę. Skurcz żołądka zelżał. Jego wzrok padł na książki telefoniczne, leżące na dolnej półeczce nocnego stolika. Wziął jedną z nich i przekartkował do litery „T”.

Tennysonów było cztery centymetry, około piętnastu nazwisk. Nikt nie miał na imię John, ale imiona trójki zaczynały się na „J”. Zacznie od tych. Podniósł znowu słuchawkę i wykręcił pierwszy numer.

— Cześć, John?

Mężczyzna po tamtej stronie miał na imię Julian. Pozostałe dwa „J” okazały się kobietami. W książce figurowała tylko Helen Tennyson, żadnej Helden o tym nazwisku nie było. Wykręcił numer. Telefonistka z centrali poinformowała go, że telefon odłączono.

Wziął teraz z półki książkę z literą „B”. W Londynie było sześciu Beaumontów, jednak przy żadnym z nazwisk nie wyszczególniano stopnia wojskowego ani powiązań z *Royal Navy*. Ale co miał do stracenia? Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer.

Kończył właśnie czwartą rozmowę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi; przyniesiono zapowiadany angielski koszyk powitalny. Zaklął zirytowany, że mu przerwano. Odłożył słuchawkę i ruszył ku drzwiom, sięgając po drodze do kieszeni po trochę drobnych.

Na korytarzu stało dwóch mężczyzn, ale żaden z nich nie miał na sobie uniformu stewarda. Obaj ubrani byli w płaszcze i trzymali w dłoniach kapelusze. Wyższy przekroczył już pięćdziesiątkę, miał proste, siwe włosy i steraną życiem twarz; młodszy mężczyzna był mniej więcej w wieku Noela, miał jasnoniebieskie oczy, falujące, rudawe włosy i niewielką bliznę na czole.

— Słucham?

— Pan Holcroft?

— Tak.

— Noel Holcroft, obywatel Stanów Zjednoczonych, numer paszportu F-dwa-zero-cztery-siedem-osiem...

— Nazywam się Noel Holcroft. Numeru mojego paszportu nigdy nie nauczyłem się na pamięć.

— Czy możemy wejść?

— No, nie wiem. Kim panowie jesteście?

W dłoniach obu mężczyzn pojawiły się legitymacje w czarnych okładkach. Otworzyli je skromnie.

— MI 5 — Brytyjski Wywiad Wojskowy, Wydział Piąty — powiedział starszy.

— Czego ode mnie chcecie?

— To sprawa oficjalna, *sir*. Możemy wejść?

Noel skinął niepewnie głową; skurcz żołądka powrócił. Peter Baldwin, człowiek, który kazał mu „nie robić nic w sprawie Genewy”, był z MI 6. A Baldwina zabili ludzie *Wolfsschanze*, bo się wtrącił. Czy ci dwaj Brytyjczycy wiedzą, co się stało z Baldwinem? Czy wiedzą, że Baldwin telefonował do niego? O Boże, można przecież odtworzyć numery telefonów, z którymi centralki hotelowe łączą rozmowy! Na pewno wiedzą!... I nagle przypomniało mu się: Baldwin nie telefonował do niego; przyszedł osobiście do mieszkania. To on, Noel, telefonował do Baldwina.

*Nie ma pan pojęcia, co czyni. Nie ma go nikt prócz mnie.*

Jeśli wierzyć Baldwinowi, nic nikomu nie powiedział. Jeśli tak, to o co tu chodzi? Dlaczego wywiad brytyjski interesuje się Amerykaninem o nazwisku Holcroft? Skąd wiedzieli, gdzie go szukać? Skąd?

Anglicy weszli do pokoju. Młodszy, rudowłosy mężczyzna skierował się od razu do drzwi łazienki, zajrzał do środka, po czym odwrócił się i podszedł do okna. Jego starszy partner zatrzymał się przy biurku i badawczo rozejrzał po pokoju.

— No już, jesteście w środku — przerwał milczenie Noel. — O co chodzi?

— O Tinamou, panie Holcroft — powiedział siwowłosy.

— O co?

— Powtarzam. O Tinamou.

— A co to, u diabła, takiego?

— Zgodnie z tym, co można wyczytać w każdej popularnej encyklopedii, tinamou to ptak naziemny, którego barwy ochronne czynią nieodróżnialnym od tła; który przenosi się z miejsca na miejsce krótkimi zrywami do lotu.

— To bardzo pouczające, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— A nam się wydaje, że dobrze pan wie — wtrącił się młodszy mężczyzna stojący przy oknie.

— Mylicie się. Nigdy nie słyszałem o takim ptaku i nie widzę powodu, dla którego miałbym słyszeć. Jasne, że chodzi wam o coś innego, ale nie widzę związku.

— Oczywiście — podjął agent stojący przy biurku — że nie chodzi nam o ptaka. Tina-

mou to kryptonim pewnego człowieka. Pasuje do niego jak ulał.

— Nic mi to nie mówi. A powinno?

— Czy mogę udzielić panu przyjacielskiej rady? — warknął szorstko starszy.

— Proszę bardzo. I tak jej pewnie nie zrozumie.

— Lepiej będzie dla pana, jeśli zamiast udawać głupiego, zacznie z nami współpracować. Istnieje możliwość, że jest pan wykorzystywany, chociaż szczerze w to wątpimy. Jeśli jednak pomoże nam pan teraz, jesteśmy gotowi przyjąć, że działa się tak bez pana wiedzy. Uważam, że to bardzo przyzwoita umowa.

— Miałem rację — powiedział Holcroft. — Nie rozumiem pana.

— Niech więc pan pozwoli, że wyłuszczę szczegóły, a wtedy może pan zrozumie. Rozpytywał pan o Johna Tennysona, vel Johanna von Tiebolta, imigranta, który przybył do Zjednoczonego Królestwa mniej więcej przed sześciu laty, zatrudnionego aktualnie w charakterze wielojęzycznego korespondenta dziennika *Guardian*.

— To ten człowiek z redakcji *Guardiana* — wpadł mu w słowo Noel. — To on do was zatelefonował... albo kazał komuś zatelefonować. A więc dlatego tak kręcił, dlatego przeciągał rozmowę, a potem rozłączył się ni stąd, ni zowąd. I te cholerne owoce! Po to tylko, żeby się upewnić, iż nie wyjdę z pokoju. O co tu chodzi?

— Czy możemy wiedzieć, dlaczego stara się pan odszukać Johna Tennysona?

— Nie.

— Zarówno tutaj, jak i w Rio de Janeiro utrzymywał pan, że chodzi o jakieś pieniądze...

— Rio de... Jezu!

— ...że jest pan „pośrednikiem” — ciągnął Anglik. — Tak się pan sam określił.

— Sprawa jest poufna.

— A według nas, to sprawa o zasięgu międzynarodowym.

— Dobry Boże, a to niby dlaczego?

— Bo usiłuje pan przekazać pewną sumę pieniędzy. Jeśli wszystko odbywa się w zgodzie z prawami podziemia, wynosi ona trzy czwarte pełnej zapłaty.

— Zapłaty za co?

— Za zabójstwo.

— Zabójstwo?

— Tak. W bankach danych połowy cywilizowanego świata Tinamou charakteryzowany jest jednym słowem: „zabójca”. „Mistrzowski zabójca”, jeśli mam być dokładny. A mamy wszelkie podstawy sądzić, że pod pseudonimem Tinamou kryje się Johann von Tiebolt alias John Tennyson.

Noel oniemiał. W głowie kłębił mu się natłok myśli. Zabójca! Czy to właśnie chciał mu powiedzieć Peter Baldwin? Że jeden ze spadkobierców Genewy jest płatnym zabójcą?

*Nie wie tego nikt prócz mnie.* Słowa Baldwina.

Jeśli mówią prawdę, pod żadnym pozorem nie wolno mu zdradzić rzeczywistej przyczyny, dla której poszukuje Johna Tennysona. Kontrowersje rozsądziłyby Genewę; zamrożono by to potężne konto, wniesiono jego sprawę na wokandy międzynarodowych trybunałów, zniszczono jego pakt. Nie mógł do tego dopuścić.

Równie ważne było jednak i to, żeby powody, dla których poszukuje Tennysona, znalazły się poza wszelkim podejrzeniem, żeby nie miały żadnego związku z... ani nie sugerowały wiedzy o... Tinamou.

Tinamou! Zabójca! Była to potencjalnie najbardziej druzgocąca ze wszystkich możliwych wiadomości. Jeśli w podejrzeniach MI 5 tkwi choć ziarenko prawdy, genewscy bankierzy zawieszają wszystkie rozmowy, zamkną skarbce i zaczekają na następne pokolenie. Jednak-

że decyzja o zerwaniu paktu podjęta zostanie tylko w obliczu wyraźnego pogwałcenia jego warunków. Jeśli Tennyson naprawdę jest tym Tinamou, nawet gdyby został zdemaskowany i pojmany, a nie był w żaden sposób powiązany z genewskim kontem, pakt pozostałby nienaruszony. Zadośćuczynienie zostałoby spełnione. W myśl warunków postawionych w dokumencie, kluczową osobą była starsza siostra — ona wszak, nie brat, jest przecież najstarszym z żyjących dzieci von Tiebolta.

Płatny zabójca! O Boże!

Ale najpierw sprawy bieżące. Holcroft miał świadomość, że musi rozwiać podejrzenia obu obecnych w jego pokoju mężczyzn. Podeszedł chwiejnie do fotela, usiadł i pochylił się.

— Posłuchajcie mnie, panowie — wykrztusił słabym głosem wyrażającym pełne zaskoczenie. — Powiedziałem wam prawdę. Nic nie wiem o żadnym Tinamou, o żadnym zabójcy. Mam interes do całej rodziny von Tieboltów, a nie jakiegoś jej konkretnego członka. Próbowałem odnaleźć Tennysona, bo powiedziano mi, że jego prawdziwe nazwisko brzmi von Tiebolt i że pracuje w *Guardianie*. To wszystko.

— Jeśli tak — powiedział rudowłosy — może wyjaśni pan naturę tego interesu.

*Osadzaj kłamstwo w aspektach prawdy.*

— Powiem panom wszystko, czyli niewiele, tyle ile sam wydedukowałem na podstawie wiadomości uzyskanych w Rio. Sprawa jest poufna

i dotyczy pieniędzy. — Noel wziął głęboki oddech i sięgnął po papierosa. — Von Tieboltowie odziedziczyli spadek — nie pytajcie, po kim, bo nie wiem, a prawnik tego nie zdradzi.

— Jak brzmi nazwisko tego prawnika? — spytał siwowłosy.

— Musiałbym mieć jego zgodę, żeby je wyjawić — odparł Holcroft przypalając sobie papierosa i zastanawiając się gorączkowo, do kogo w Nowym Jorku mógłby zatelefonować z nie inwigilowanego londyńskiego automatu wrzutowego.

— Możemy zażądać, by pan o nią wystąpił — powiedział starszy agent. — Proszę kontynuować.

— W Rio stwierdziłem, że tamtejsza niemiecka społeczność odnosiła się do von Tieboltów z pogardą. Przypuszczam — ale to tylko przypuszczenie — że kiedyś, w przeszłości, występowali przeciwko nazistom znajdującym się w Niemczech u władzy i ktoś, może jakiś przeciwny nazizmowi Niemiec — albo Niemcy — zapisał im w testamencie pieniądze.

— W Ameryce? — spytał rudy.

Noel wyczuł tę pułapkę i był na nią przygotowany. *Bądź konsekwentny.*

— To zrozumiałe, że ten, kto zostawił von Tieboltom spadek, kimkolwiek był, musiał mieszkać tam od dawna. Jeśli osoba ta albo osoby przybyły do Stanów Zjednoczonych po wojnie, można przyjąć, że przeszłość miały nieposzlakowaną. Z drugiej strony, mogli to być krewni, którzy od lat mieszkali w Stanach. Naprawdę nie wiem.

— Dlaczego właśnie pan został wybrany na pośrednika? Nie jest pan przecież prawnikiem.

— Nie, ale prawnik zajmujący się tą sprawą jest moim przyjacielem — odparł Holcroft. — Wie, że wiele podróżuję, wiedział, że wybieram się do Brazylii na zlecenie pewnego klienta... jestem architektem. Poprosił mnie, żebym tam trochę potelefonował, podał mi parę nazwisk, wśród nich nazwisko kilku pracowników urzędu imigracyjnego w Rio.

*Nie kręć, unikaj komplikacji.*

— Nie za wiele od pana wymagał? — w pytaniu rudowłosego agenta dawało się wyczuć niedowierzanie.

— Nie powiedziałbym. Wyświadczył mi sporo przysług; ja też mogę czasem coś dla niego zrobić. — Noel zaciągnął się papierosem. — To niedorzeczne. Zaczęło się tak zwyczajnie... nie, to po prostu niedorzeczne.

— Powiedziano panu, że Johann von Tiebolt nazywa się teraz John Tennyson i że pra-

cuje w Londynie, a raczej osiadł w Londynie — powiedział starszy mężczyzna, nie wyjmując ręk z kieszeni płaszcza i spoglądając z góry na Noela. — I pan, w imię bezinteresownej uczynności, postanowił odbyć podróż z Brazylii do Zjednoczonego Królestwa, żeby go odszukać. W imię bezinteresownej uczynności... Tak, panie Holcroft, ja też skłaniam się ku opinii, że to niedorzeczne.

Noel spojrzał wyzywająco na siwowłosego. Przypomniały mu się słowa Sama Buonoventury: *Wkurzyłem się... to jedyny sposób na wściekłych gliniarzy.*

— Zaraz, chwileczkę! Nie odbyłem podróży z Rio do Londynu specjalnie w sprawie von Tieboltów. Jestem w drodze do Amsterdamu. Może pan sprawdzić w moim biurze w Nowym Jorku, że realizuję obecnie pewien kontrakt na Curacao. Dodam jeszcze, że to inwestycja holenderska i udaję się właśnie do Amsterdamu na serię konferencji poświęconych projektowi.

Wyraz oczu starszego mężczyzny jakby złagodniał.

— Rozumiem — mruknął cicho. — Bardzo możliwe, że nasze wnioski były pochopne, ale zgodzi się pan chyba, że doprowadziły nas do nich wiele mówiące fakty. Niewykluczone, że winni jesteśmy panu przeprosiny.

Noel, zadowolony z siebie, stłumił uśmiech. Odniósł korzyść z dotychczasowych lekcji, kłamał mając się cały czas na baczności.

— Nic takiego się nie stało — odparł. — Ale obudziliście, panowie, moją ciekawość. Ten Tinamou. Skąd wiecie, że to von Tiebolt?

— Pewności nie mamy — odparł siwowłosy agent. — Żywiliśmy nadzieję, że pan utwierdzi nas w tych podejrzeniach. Wygląda na to, że się myliliśmy.

— Na pewno. Ale dlaczego akurat Tennyson? Powinienem chyba poinformować tego prawnika z Nowego Jorku...

— Nie — przerwał mu Anglik. — Niech pan tego nie robi. Nie wolno panu poruszać z nikim tego tematu.

— Trochę na to za późno, nieprawdaż? — zaszarżował Holcroft. — Temat został już poruszony. Nie mam wobec was żadnych zobowiązań, ale mam je wobec tego prawnika. To przyjaciel.

Agenci MI 5 wymienili zaniepokojone spojrzenia.

— Pragnę panu uzmysłwić — odezwał się starszy — że poza zobowiązaniem wobec przyjaciela, ciąży na panu o wiele większa odpowiedzialność. Odpowiedzialność, do której może pana pociągnąć rząd pańskiego kraju. Jest to wysoce poufne, niezmiernie delikatne śledztwo. Tinamou jest zabójcą międzynarodowym. Wśród jego ofiar znajduje się kilka najwybitniejszych osobistości świata.

— I uważacie, że to Tennyson?

— Dowód jest pośredni, ale bardzo, bardzo przekonujący.

— Ale nie decydujący.

— Nie decydujący.

— Przed kilkoma minutami odnosiłem wrażenie, że jesteście pewni swego.

— Przed kilkoma minutami próbowaliśmy wciągnąć pana w pułapkę. To zwyczajna, rutynowa metoda.

— Bardzo uwłaczająca metoda.

— Bardzo skuteczna metoda — wtrącił rudowłosy mężczyzna z blizną na czole.

— Jaki jest ten pośredni dowód przeciwko Tennysonowi?

— Czy zachowa pan to w najściślejszej tajemnicy? — spytał starszy agent. — Jeśli pan sobie życzy, warunek ten mogą panu przekazać najwyższe organa wymiaru sprawiedliwości pańskiego kraju.

Holcroft zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

— Zgoda, nie zatelefonuję do Nowego Jorku, nic nie powiem. Ale chcę wiedzieć.

— My nie wdajemy się w targi — warknął zaczepnie młodszy agent, urwał jednak zgaszony spojrzeniem partnera.

— Tu nie ma mowy o targowaniu się — powiedział Noel. — Obiecałem odszukać członka tej rodziny i sądzę, że powinienem to zrobić. Gdzie mogę znaleźć siostry Tennysona? Jedna jest żoną komandora marynarki nazwiskiem Beaumont. Prawnik z Nowego Jorku wie o tym; jeśli tego nie zrobię, sam spróbuje ją odnaleźć. Równie dobrze ja mogę to uczynić.

— O wiele lepiej, żeby to był pan — przyznał siwowłoso. — Jesteśmy przekonani, że żadna z tych kobiet nie jest świadoma działalności brata. Z tego, co udało nam się ustalić, rodzina jest wewnątrznie skłócona. Na ile poważnie, nie wiemy, ale stosunki utrzymują sporadyczne albo zgoła żadne. Szczerze mówiąc, pańskie pojawienie się komplikuje sprawę, czego wolelibyśmy raczej uniknąć. Nie chcemy podnosić alarmu, kont rolowana sytuacja jest w tym przypadku nieskończenie bardziej pożądana.

— Alarmu nie będzie — zapewnił Noel. — Przekażę tylko, co mam do przekazania i wyjadę, żeby zająć się własnymi sprawami.

— Do Amsterdamu?

— Do Amsterdamu.

— Tak, oczywiście. A więc, starsza siostra wyszła za mąż za komandora Anthony'ego Beaumonta. Jest jego drugą żoną. Mieszkają niedaleko Portsmouth, kilka kilometrów na północ od bazy marynarki wojennej, na przedmieściu Portsea. Figuruje w książce telefonicznej. Młodsza dziewczyna wyjechała niedawno do Paryża. Pracuje jako tłumaczka w *Gallimard Publishers*, ale nie ma jej pod adresem, jaki podała w firmie. Nie wiem, gdzie zamieszkała.

Holcroft wstał z fotela i przeszedł między dwoma mężczyznami, zbliżył się do biurka. Wziął hotelowe pióro i zaczął notować na arkuszu papieru listowego.

— Anthony Beaumont... Portsmouth... *Gallimard Publishers*... Jak piszecie „Gallimard”?

Rudowłoso agent przeliterował mu to słowo. Noel odłożył pióro.

— Jutro potelefonuję i wyślę wiadomość do Nowego Jorku — powiedział zastanawiając się jednocześnie, ile czasu zajmie mu jazda samochodem do Portsmouth. — Powiem temu prawnikowi, że znalazłem siostry, ale nie zdołałem dotrzeć do brata. Tak będzie dobrze?

— Nie da pan sobie wyperswadować, żeby rzucić całą tę sprawę?

— Nie. Musiałbym wtedy wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem, a tego nie chcecie.

— No dobrze. To i tak więcej, niż spodziewaliśmy się osiągnąć.

— Powiedzcie mi teraz, panowie, dlaczego uważacie, że tym Tinamou jest John Tennyson? Jesteście mi to dłuźni.

Starszy z mężczyzn zawahał się.

— Może i jesteście — odezwał się w końcu. — Ale podkreślam jeszcze raz poufny charakter tej informacji.

— A komu miałbym ją powtórzyć? Nie jestem z waszej branży.

— No dobrze — westchnął siwowłoso. — Jesteśmy pana dłużnikami, jak pan to określił. Powinien pan jednak wiedzieć, że fakt, iż panu powiedzieliśmy, daje nam pewne prawa. Niewiele osób wie o tej sprawie.

Holcroft zeszytywniał; z okazaniem zdenerwowania nie miał najmniejszych trudności.

— A ja nie wyobrażam sobie zbyt wielu takich, do których drzwi zastukali podobni wam i oskarżyli ich o płacenie doli zabójcom. Gdyby to był Nowy Jork, zaciągnąłbym was do sądu. Jesteście moimi dłużnikami.

— No, już dobrze. Odkryto pewną prawidłowość, z początku zbyt oczywistą, by usprawiedliwiała wszczęcie oficjalnego dochodzenia przed dokładnym sprawdzeniem tego człowieka. Przez kilka lat Tennyson pojawiał się konsekwentnie w miejscach, w których popełniane były morderstwa lub w ich pobliżu. To dawało do myślenia. Relacjonował te zda-

zenia dla *Guardiana* w formie reportażu z miejsca zbrodni. Na przykład, przed mniej więcej rokiem, obsługiwał zabójstwo Amerykanina w Bejrucie, pracownika ambasady, który okazał się, oczywiście, agentem CIA. Trzy dni wcześniej był jeszcze w Brukseli. Zaraz potem znalazł się w Teheranie. Zaczęliśmy przyglądać mu się bliżej i stwierdziliśmy coś zdumiewającego. Uważamy, że to Tinamou. Jest niezwykle przebiegły i prawdopodobnie szalony.

— Co takiego stwierdziliście?

— Zakładam, że wie pan, kim był jego ojciec. Jednym z czołowych nazistów, najgorszego rodzaju rzeźnikiem...

— Jest pan tego pewien? — Noel zbyt szybko zadał to pytanie. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że z tego nie wynika jednoznacznie, że...

— Nie, nie przypuszczam, że wynika — przyznał siwowłosy agent. — Ale jest w tym coś, oględnie mówiąc, niezwykłego. Tennyson jest ogarnięty manią dominacji na każdym polu. Ukończył dwa fakultety na uniwersytecie brazylijskim w wieku, w którym większość studentów zdaje dopiero egzaminy wstępne. Opanował pięć języków; mówi nimi płynnie. Prowadził dobrze prosperujący biznes w Afryce Południowej, zgromadził tam wielką fortunę. Trudno to nazwać listami uwierzytelniającymi korespondenta gazety codziennej.

— Ludzie się zmieniają, zmieniają się ich zainteresowania. To niczego nie dowodzi. Bardzo słaba poszlaka.

— Umacniają ją jednak okoliczności, w jakich został zatrudniony — powiedział starszy z agentów. — Nikt w *Guardianie* nie pamięta, kiedy i przez kogo został przyjęty do pracy. Jego nazwisko pojawiło się po prostu pewnego dnia na komputerowym wydruku listy płac, na tydzień przed nadejściem pierwszej jego korespondencji z Antwerpii. Przedtem nikt o nim nie słyszał.

— Ktoś musiał go zaangażować.

— Tak, był taki ktoś. Człowiek, którego podpis pojawiał się pod wywiadem wstępnym i na kwestionariuszu przyjęcia do pracy, zginął w niezwyklej katastrofie kolejowej w metrze, która pociągnęła za sobą pięć ofiar.

— Londyńskie metro... — Holcroft urwał. — Przypominam sobie, że coś o tym czytałem.

— Wszystko zrzucono na błąd maszynisty, ale to mało prawdopodobne — dorzucił rudny. — Ten facet miał osiemnastoletnie doświadczenie. To było cholernie dobrze zaplanowane morderstwo. Wizytówka Tinamou.

— Nie można mieć pewności — zaoponował Holcroft. — Błędy się zdarzają. A jakie były te... inne... zbiegi okoliczności? Gdzie miały miejsce zabójstwa?

— O Bejrucie już wspominałem. Był też Paryż. Na du Bac, pod samochodem francuskiego ministra pracy wybuchła bomba, zabijając go na miejscu. Tennyson przebywał w tym czasie w Paryżu. Dzień wcześniej był jeszcze we Frankfurcie. Siedem miesięcy temu, podczas zamieszek ulicznych w Madrycie, z okna na czwartym piętrze zastrzelony został przedstawiciel rządu. Tennyson był wtedy w Madrycie, przyleciał tam z Lizbony na godzinę wcześniej. Są też inne przypadki, nadal się zdarzają.

— Czy wezwaliście go kiedykolwiek na przesłuchanie?

— Dwukrotnie. Oczywiście nie w charakterze podejrzanego, a eks perta obecnego na miejscu zbrodni. Tennyson jest uosobieniem arogancji. Utrzymywał, że analizuje na bieżąco sytuację w rejonach niepokojów społecznych i politycznych i podąża za swymi instynktami, mając niezbita pewność co do wybuchu w tych miejscach fali gwałtów i zamachów. Miał czelność nas pouczać; powiedział, że powinniśmy opanować sztukę przewidywania i nie dawać się tak często zaskakiwać.

— Czy jest możliwe, że mówił prawdę?

— Jeśli miała to być zniewaga, została odnotowana. W świetle wydarzeń dzisiejszego wieczora być może zasłużyliśmy sobie na nią.

— Przepraszam. Ale skoro badacie jego działalność, musicie wziąć pod uwagę również i tę możliwość. Gdzie jest teraz Tennyson?

— Zniknął cztery dni temu w Bahrajnie. Nasi funkcjonariusze szukają go od Singapuru po Ateny.

Dwaj agenci z MI 5 weszli do pustej windy.

— Co o nim sądzisz? — spytał rudowłosy zwracając się do swego kolegi.

— Sam nie wiem — padła cicha odpowiedź. — Podsunęliśmy mu wystarczającą dawkę informacji, żeby mógł ruszyć z miejsca; może się czegoś dowiemy. Jak na rasowego łącznika, o wiele za dużo w nim amatora. Płacący za zabijanie byłiby głupcami, przesyłając pieniądze przez Holcrofta. Tinamou nie przyjąłby ich, gdyby to zrobili.

— Ale on kłamał.

— Ma się rozumieć. Raczej marnie.

— A zatem jest wykorzystywany.

— Całkiem możliwe. Ale do czego?



# 11

Zgodnie z informacjami uzyskanymi w agencji wynajmu samochodów, Portsmouth dzieliło od Londynu mniej więcej siedemdziesiąt mil, drogi były czytelnie oznakowane, a możliwość natknięcia się na duży ruch wykluczona. Dochodziło pięć po szóstej. „Jeśli zrezygnuję z obiadu i zadowolę się kanapką — myślał Noel — mogę być w Portsea jeszcze przed dziewiątą”.

Początkowo zamierzał zaczekać do rana, ale zmienił plany po rozmowie telefonicznej, jaką odbył w celu sprawdzenia rzetelności informacji udzielonych mu przez ludzi z MI 5. Odnalazł Gretchen Beaumont i to, co mu powiedziała, skłoniło go do natychmiastowego wyjazdu.

Jej mąż, komandor, pełnił służbę na Morzu Śródziemnym; jutro w południe wyjeżdżała na „zimowe wakacje” do południowej Francji, gdzie czekał ją wspólny weekend z kapitanem. Jeśli pan Holcroft życzy sobie spotkać się z nią w sprawach rodzinnych, będzie się musiał pofatygować dzisiejszego wieczora.

Obiecał, że przyjedzie najszybciej, jak tylko zdoła, i odkładając słuchawkę pomyślał, iż głos tej kobiety należy do najdziwniejszych, jakie kiedykolwiek słyszał. Nie chodziło tu o osobliwą mieszaninę niemieckiego i portugalskiego w jej akcencie, to było zrozumiałe. Przyczyniał się do tego omdlewający, niezdecydowany charakter jej wymowy. Niezdecydowany albo próżny — trudno powiedzieć. Komandorowa — chociaż z wahaniem — dała do zrozumienia, że pomimo faktu, iż sprawy, które miały być poruszane, są poufne, w sąsiednim pokoju przebywać będzie adiutant męża. Z jej skrupułów wyłaniał się obraz pobłażającej sobie *Hausfrau* w średnim wieku o przesadnym wyobrażeniu o własnym wyglądzie.

Znalazłszy się pięćdziesiąt mil na południe od Londynu, Holcroft zdał sobie sprawę, że podróż zabrała mu mniej czasu, niż przypuszczał. Ruch był niewielki, a drogowskaz przy szosie schwytny w światła reflektorów informował: PORTSEA — 15 MIL.

Było dopiero dziesięć po ósmej. Mógł zwolnić i podjąć próbę zebrania myśli. Wskazówki Gretchen Beaumont okazały się przejrzyste, rezydencję odnalazł bez trudu.

Z próżnej, sądząc po głosie, kobiety przeistoczyła się w osobę bardzo konkretną, kiedy przyszło do udzielania instrukcji. Stało to w jakiejś sprzeczności ze sposobem jej mówienia, tak jakby ostre promienie rzeczywistości przebiły się raptownie przez opary sennej mgły.

Nic mu to nie mówiło. Był intruzem, obcym człowiekiem, który zatelefonował i bredził coś o najwyższej wagi sprawie, której nie można zreferować inaczej, jak tylko osobiście.

I jak ją zreferuje? Jak wyjaśni dojrzałej kobiecie, żonie oficera marynarki brytyjskiej, że stanowi klucz, który może otworzyć skarbce zawierające siedemset osiemdziesiąt milionów dolarów?

Zaczął się denerwować; w takim stanie nikogo nie przekona. Przede wszystkim musi być przekonujący. Nie może sprawiać wrażenia zalęknionego, niepewnego albo sztucznego. I nagle dotarło doń, że może jej wyjawić całą prawdę — jaką ją widział Heinrich Clausen. To była najlepsza taktyka, najbardziej trafiająca do przekonania.

O Boże, spraw, żeby zrozumiała!

Zjechał z autostrady w lewo, skręcił jeszcze raz w lewo i przemknął szybko dwukilometrowy odcinek wysadzanej drzewami alei biegnącej, według instrukcji, spokojnymi przedmieściami. Bez trudu znalazł dom, zaparkował od frontu i wysiadł z samochodu.

Otworzył furtkę i podszedł ścieżką do drzwi. Dzwonka nie było; zastępowała go mośięzna kołatka, zastukał więc nią delikatnie. Dom miał prostą konstrukcję. Szerokie okna salonu, małe od sypialni po przeciwnej stronie; fasada ze starych cegieł ułożonych na kamiennej

podmurówce — budynek solidny, obliczony na lata. Z pewnością nieokazały i prawdopodobnie niezbyt drogi. Projektował takie domy, zazwyczaj jako dachy na wybrzeżu, dla par do końca niepewnych, czy je stać na taką inwestycję. Była to idealna rezydencja dla wojskowego na wojskowej pensji. Skromna, schludna i łatwa w utrzymaniu.

Drzwi otworzyła Gretchen Beaumont we własnej osobie. Na jej widok rozplątał się gdzieś wizerunek, jakikolwiek był, podsuwany przez wyobraźnię po rozmowie telefonicznej. Znikł w przypiływie zaskoczenia, ze wstrząsem porównywalnym do ciosu w żołądek. Krótko mówiąc, kobieta stojąca w progu była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

Fakt, że jest kobietą, zaliczał się właściwie do wtórnych. Przywodziła na myśl statwę, ideał rzeźbiarza udoskonalany po wielokroć w glinie, zanim dłuto dotknie kamienia. Była średniego wzrostu, miała długie blond włosy, które okalały jej subtelną twarz o perfekcyjnie proporcjonalnych rysach. Była zbyt perfekcyjna, zbyt ucieleśniająca zamysł nie istniejącego rzeźbiarza... zbyt zimna. Jednak ten chłód łagodziły jej wielkie, szeroko rozstawione oczy. Były błękitne i badawcze, ani przyjazne, ani wrogie.

— Pan Holcroft? — spytała tym sennym, rozmarzonym głosem, w którym pobrzmiwały zarówno Niemcy, jak i Brazylia.

— Tak, pani Beaumont. Bardzo dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć. Przepraszam za kłopot.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Cofnęła się, żeby go przepuścić. Przekraczając próg skoncentrował się całkowicie na jej twarzy, na tym nadzwyczajnym pięknie, którego w żadnym stopniu nie pomniejszył wiek. Teraz nie można było nie zwrócić uwagi na jej ciało, którego kształty uwydatniała prześwitująca szmizjerka. Ciało również było nadzwyczajne, ale na inny sposób, niż twarz. Nie wiało od niego chłodem, emanowało ciepłem. Materiał prostej w kroju szmizjerki przylegał do skóry, zdradzając brak biustonosza. Szalowy kołnierz sukienki był rozpięty do środkowego punktu pomiędzy dużymi piersiami. Po obu stronach, pośrodku tych wezbranych wzgórków ciała, dostrzegał napierające na delikatną tkaninę, jakby nabrzmiałe podnieceniem, sutki.

Kiedy zaczęła iść, powolne, płynne ruchy jej ud, brzucha i bioder złożyły się w rytm zmysłowego tańca. Ona nie szła; ona sunęła — wspaniałe ciało pragnące za wszelką cenę stać się obiektem obserwacji, stanowiącej preludium do inwazji i zaspokojenia.

Twarz pozostawała jednak chłodna, a oczy niewidzące; badawcze, ale niewidzące. I to wprawiało Noela w zakłopotanie.

— Ma pan za sobą długą podróż — powiedziała wskazując mu miejsce na kanapie stojącej pod ścianą w głębi pokoju. — Proszę, niech pan siada. Czy mogę zaproponować panu drinka?

— Byłbym wdzięczny.

— Czego się pan napije? — Stała nieporuszenie naprzeciw niego, blokując mu przez chwilę najkrótszą drogę do kanapy, a jej błękitne oczy patrzyły badawczo w jego. Jej piersi rysowały się wyraźnie — takie bliskie — pod prostą tkaniną. Naprężone sutki unosiły się przy każdym oddechu, wciąż w niedwuznacznym rytmie seksualnego tańca.

— Szkockiej, jeśli ją pani ma — odparł.

— W Anglii nazywają to whisky, prawda? — spytała podchodząc do stojącego pod ścianą barku.

— Tak, whisky — przytaknął tonąc w miękkich poduchach kanapy, usiłując skoncentrować się na twarzy Gretchen. Nie było to łatwe i zdawał sobie sprawę, że ona celowo stara się mu to utrudnić. Komandorowa nie musiała prowokować seksualnej reakcji, nie musiała się specjalnie ubierać na tę okazję. Ale ubrała się tak i prowokowała. Dlaczego?

Przyniosła mu szkocką. Sięgając po szklaneczkę dotknął jej dłoni i zauważył, że nie tylko nie przerwała tego kontaktu, ale jeszcze docisnęła na moment do jego zgiętych palców

swoje. Potem zrobiła coś dziwnego: usiadła na skórzanym pufie w odległości zaledwie metra i podniosła na niego wzrok.

— Nie napije się pani ze mną? — spytał.

— Ja nie piję.

— To może wolałaby pani, abym i ja nie pił?

Roześmiała się gardłowo.

— Nie mam najmniejszych obiekcji natury moralnej, chociaż niezbyt z tym do twarzy żonie oficera. Chodzi po prostu o to, że nie mogę ani pić, ani palić. Jedno i drugie uderza mi od razu do głowy.

Spojrzał na nią ponad krawędzią szklaneczki. Jej oczy pozostawały dziwnie utkwione w jego oczach. Patrzyły bez drgnienia powiek, nieruchome, wciąż niewidzące, sprawiając, że pragnął gorąco, by odwróciła wzrok.

— Powiedziała pani przez telefon, że w sąsiednim pokoju przebywać będzie jeden z adiutantów męża. Czy chciałaby pani, żebyśmy się poznali?

— Nie mógł przyjść.

— Och? Przykro mi.

— Naprawdę?

To było niedorzeczne. Ta kobieta zachowywała się niczym kurtyzana niepewna swojej reputacji albo droga dziwka, szacująca grubość portfela nowego klienta. Pochyliła się na pufie, żeby podnieść wyimaginowaną nitkę z dywanika, na którym trzymał stopy. Gest był naiwny, efekt aż nazbyt oczywisty. Dekolt sukienki rozchylił się odsłaniając piersi. Nie mogła uczynić tego nieświadomie. Musiał na to jakoś zareagować, oczekiwała tego. Ale nie zareagował w sposób, którego się spodziewała. Krzyczał do niego ojciec, nic nie mogło go rozpraszają. Nawet domniemana dziwka.

Domniemana dziwka, będąca kluczem do Genewy.

— Pani Beaumont — chrząknął, niezdarnie odstawiając szklaneczkę na mały stoliczek przy kanapie — jest pani bardzo atrakcyjną kobietą i nie pragnąłbym niczego więcej, jak tylko przesiedzieć tu kilka godzin i wypić w pani towarzystwie parę drinków, ale musimy przejść do rzeczy.

Prosiłem panią o spotkanie, ponieważ mam dla pani nadzwyczajne wiadomości. Dotyczą one nas obojga.

— Nas obojga? — spytała Gretchen kładąc nacisk na to drugie słowo. — Ależ proszę mówić, panie Holcroft. Nigdy pana wcześniej nie spotkałam. Nie znam pana. W jaki sposób te wiadomości mogą dotyczyć nas obojga?

— Nasi ojcowie znali się przed laty.

Na dźwięk słowa „ojcowie” kobieta zeszytniała.

— Nie mam ojca.

— Ale miała go pani, podobnie jak ja — odparł. — Ponad trzydzieści lat temu w Niemczech. Z domu nazywa się pani von Tiebolt. Jest pani najstarszym dzieckiem Wilhelma von Tiebolta.

Gretchen odetchnęła głęboko i odwróciła wzrok.

— Nie sądzę, abym chciała słuchać tego dalej.

— Wiem, co pani czuje — odparł Noel. — Sam z początku podobnie reagowałem. Ale jest pani w błędzie. Ja też byłem w błędzie.

— W błędzie? — spytała odgarniając energicznym ruchem głowy długie pasmo jasnych włosów, które opadło jej na policzek. — Bardzo pan pewny siebie. Może nie przeszedł pan w życiu tego, co my. Proszę mi nie mówić, że jestem w błędzie. Nie ma pan do tego żadnego prawa.

— Niech mi pani pozwoli powiedzieć tylko, czego się dowiedziałem. Kiedy skończę, będzie pani mogła zdecydować. To ważne, żeby się pani wszystkiego dowiedziała. A potem

pomogła, rzecz jasna.

— W czym mam pomagać? Czego się dowiedzieć?

Noel odczuwał dziwne wzruszenie, jakby to, co miał za chwilę powiedzieć, było najważniejszymi słowami w jego życiu. Gdyby miał do czynienia z osobą normalną, wystarczyłaby prawda, ale Gretchen Beaumont nie była osobą normalną; objawiały się jej blizny. Trzeba będzie czegoś więcej niż samej prawdy; trzeba będzie czegoś wielkiego, co ją przekona.

— Przed dwoma tygodniami polecałem do Genewy na spotkanie z bankierem o nazwisku Manfredi...

Opowiedział jej wszystko, nie tając niczego, prócz kwestii ludzi *Wolfsschanze*. Opowiadał prostymi słowami, z przekonaniem, nawet elokwentnie, odczuwając w duchu głębokie zaangażowanie i bolesne ciarki emocji w piersiach.

Przytoczył jej liczby: siedemset osiemdziesiąt milionów dla ocalałych z holocaustu i potomków tych ocalałych nadal pozostających w potrzebie. Z całego świata. Dwa miliony dla każdego z najstarszych żyjących dzieci do rozporządzenia według uznania. Sześć miesięcy — może trochę dłużej — kolektywnego zaangażowania.

Na zakończenie powiedział jej o pakcie, jaki zawarli ze śmiercią trzej ojcowie, odbierając sobie życie dopiero po zapięciu wszystkiego na ostatni guzik i potwierdzeniu najdrobniejszych szczegółów w Genewie.

Czuł, jak pot spływa mu po czole.

— Wszystko zależy teraz od nas — powiedział. — I od człowieka mieszkającego w Berlinie — syna Kesslera. Nasza trójka musi dokończyć dzieła, które oni rozpoczęli.

— To wszystko brzmi tak nieprawdopodobnie — powiedziała cicho. — Ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego miałoby to dotyczyć mnie.

Jej opanowanie, jej niewzruszony spokój zbiły go z tropu. Słuchała go w milczeniu przez blisko pół godziny, usłyszała rewelacje, które musiały nią wstrząsnąć, a mimo to nie okazała po sobie żadnej reakcji. Nic.

— Czy nie zrozumiała pani sensu tego, co powiedziałem?

— Zrozumiałam, że jest pan bardzo zdenerwowany — odparła Gretchen Beaumont swoim cichym, zmysłowym głosem. — Ale ja jestem bardzo zdenerwowana przez większość swego życia, panie Holcroft. Zawdzięczam to Wilhelmowi von Tieboltowi. On nic mnie nie obchodzi.

— On to wiedział, czy pani tego nie rozumie? Próbował to naprawić.

— Pieniędzmi.

— Czymś więcej niż pieneđdzmi.

Gretchen pochyliła się i wyciągnęła wolno rękę, żeby dotknąć jego czoła. Wyprostowanymi palcami otarła z niego kropelki potu. Noel siedział bez ruchu, niezdolny do oderwania od niej wzroku.

— Czy wiedział pan, że jestem drugą żoną kapitana Beaumonta? — spytała.

— Tak, słyssałem o tym.

— Rozwód był dla niego trudnym okresem. Mnie, oczywiście, też było trudno, ale jemu bardziej. Z tym że dla niego już się to skończyło; dla mnie nie skończy się nigdy.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Jestem tu intruzem. Cudzoziemką. Rozbijam małżeństwa. On ma swoją pracę; wypływa, w morze. Ja żyję wśród tych, którzy pozostają. Życie żony oficera marynarki jest zawsze samotne. Ale może się ono stać bardzo trudne, kiedy ktoś jest wykluczony z towarzystwa.

— Musiała się pani spodziewać, że tak będzie.

— Oczywiście.

— No więc, skoro się pani spodziewała?... — pozostawił to pytanie w zawieszaniu, nie dopowiadając do końca.

— To dlaczego wysłałam za komandora Beaumonta? O to chciał pan spytać?

Nie chciał o nic pytać! Nie interesowały go intymne szczegóły życia Gretchen Beaumont. Liczyła się tylko Genewa; pakt był najważniejszy. Ale jej współpraca była niezbędna.

— Przypuszczam, że z przyczyn emocjonalnych. To one przeważnie popychają ludzi do małżeństwa. Chodziło mi tylko o to, że mogła pani przedsięwziąć pewne kroki, by złagodzić to napięcie. Mogłaby pani zamieszkać dalej od bazy marynarki wojennej, mieć innych przyjaciół. — Mówił chaotycznie, ni w pięć, ni w dziesięć, trochę rozpaczliwie. Chciał się tylko przedrzeć przez tę doprowadzającą do szału rezerwę.

— Moje pytanie jest bardziej interesujące. Dlaczego wyszłam za Beaumonta? — Jej głos znowu falował, wznosił się cicho w powietrze. — Ma pan rację. To kwestia emocji. Zupełnie podstawowych.

Ponownie dotknęła jego czoła. Gdy pochylała się w przód, jej sukienka znowu się rozchyliła, odsłaniając jeszcze raz kuszące, nagie piersi. Noel był zmęczony, podniecony i zły. Musi jej przetłumaczyć, że jej prywatne rozterki są wobec Genewy bez znaczenia! Wiedział, że by to osiągnąć, musi wzbudzić jego sympatię. Nie mógł się jednak zdobyć na to, by jej dotknąć.

— Naturalnie, że to podstawowa sprawa — powiedział. — Pani go kocha.

— Ja go nienawidzę.

Jej dłoń znajdowała się teraz blisko jego twarzy. Tak blisko, że kontury palców rozmywały się w polu widzenia — były zamglone, bo patrzyli sobie w oczy, a on nie śmiał uciec spojrzeniem w bok. I nie śmiał jej dotknąć.

— To dlaczego pani za niego wyszła? Dlaczego go pani nie zostawi?

— Powiedziałam panu. To podstawowa sprawa. Komandor Beaumont nie należy do ludzi bogatych. Jest bardzo szanowanym oficerem w służbie swego rządu i nudnym, nieciekawym mężczyzną, którego domem jest przede wszystkim okręt. Wszystko to składa się na bardzo zaciszną, bardzo bezpieczną niszę. Żyję w wygodnym kokonie.

To był ten wytrych! Dostarczała go Genewa.

— Dwa miliony dolarów mogłyby pomóc w zbudowaniu bardzo bezpiecznego kokonu, pani Beaumont. Daleko lepszego schronienia od tego, które ma pani tutaj.

— Być może. Ale żeby go zbudować, musiałabym opuścić ten. Musiałabym wyjść na zewnątrz...

— Tylko na chwilę.

— I co by się stało? — ciągnęła, jakby wcale jej nie przerwał. — Tam na zewnątrz? Gdzie musiałabym mówić „tak” lub „nie”. Nie chcę nawet o tym myśleć, to byłoby zbyt trudne. Wie pan, panie Holcroft, przez większą część życia jestem nieszczęśliwa, ale nie szukam współczucia.

Swoim zachowaniem doprowadzała go do furii! Miał ochotę wymierzyć jej policzek.

— Chciałbym wrócić do sprawy Genewy — mruknął.

Wyprostowała się na pufie i założyła nogę na nogę. Prosta sukienka uniosła się ponad kolana, odsłaniając delikatne uda. Poza była uwodzicielska, jej słowa nie.

— Ależ ja do niej wróciłam — zaoponowała. — Być może niezbyt mi to wychodzi, ale próbuję panu coś wyjaśnić. Wyjechałam z Berlina jako dziecko. Uciekałam bez przerwy, dopóki wraz z matką i bratem nie znaleźliśmy w Brazylii azylu, który okazał się dla nas piekłem. Przez te ostatnie lata dawałam się biernie nieść na fali życia. Zdawałam się na instynkty, okazje, mężczyzn, ale zawsze pozostawałam bierna. Nie starałam się świadomie kierować swoim losem. Podejmowałam możliwie najmniej decyzji.

— Nie rozumiem.

— Jeśli ma pan sprawę, która dotyczy mojej rodziny, powinien pan rozmawiać z moim bratem, Johannem. On jest od podejmowania decyzji. To on wywiózł nas po śmierci matki z Ameryki Południowej. To on jest von Tieboltem, do którego musi się pan zwrócić.

Noel zdusił w sobie pragnienie wrzaśnięcia na nią. Zamiast tego westchnął cicho, ogarnięty poczuciem znużenia i frustracji. Johann von Tiebolt był akurat tym członkiem rodziny, którego powinien unikać, ale nie mógł wyjawić Gretchen Beaumont, dlaczego.

— Gdzie on jest? — spytał retorycznie.

— Nie wiem. Pracuje dla gazety *Guardian* i przebywa w Europie.

— A gdzie w Europie?

— Też nie mam pojęcia. Często zmienia miejsce pobytu.

— Powiedziano mi, że ostatnio widziano go w Bahrajnie.

— A więc wie pan więcej ode mnie.

— Pani ma siostrę.

— Tak, Helden. Jest w Paryżu. Nie znam adresu.

*Wszystkie dzieci zostaną dokładnie sprawdzone... podejmie się decyzje.*

Johann został już sprawdzony i wydano werdykt — słuszny, czy niesłuszny — dyskwalifikujący go i odsuwający od Genewy. Jego kandydatura była problematyczna, na co nie można było sobie pozwolić; mógłby ściągnąć uwagę. Również ta dziwna, piękna kobieta siedząca na pufie — nawet jeśli sama uważa inaczej — zostanie odrzucona przez Genewę jako niekompetentna. To pewne.

Paryż. Helden von Tiebolt.

Noel sięgnął machinalnie po papierosy, wybiegając teraz myślami do nieznanym kobiety pracującej w charakterze tłumaczki dla paryskiej oficyny wydawniczej. Był tak skoncentrowany, że ledwie dostrzegł poruszenie przed sobą. Zaraz jednak otrząsnął się z zadumy i spojrzał na Gretchen Beaumont.

Komandorowa podniosła się z pufa i rozpięła do talii guziki sukienki. Powolnym ruchem rozchyliła fałdy jedwabiu. Uwolnione piersi wyskoczyły spod nich sprężyste, celując wprost w niego nabrzmiałymi, powiększonymi, wezbranymi pożądaniem sutkami. Stojąc przed nim podciągnęła obiema rękami sukienkę i zebrała materiał powyżej ud. Czuł zapach, który zdawał się od niej emanować — delikatną woń perfum równie prowokująco oddziałującą na zmysły, co widok jej obnażonego ciała. Usiadła przy nim drząc na całym ciele; sukienkę miała teraz podciągniętą powyżej talii. Jęknęła, wyciągnęła rękę i kładąc mu dłoń na karku, przyciągnęła jego twarz do swojej, jego wargi do swoich warg. Rozchyliła usta na przywitanie jego ust, wessała go dysząc gwałtownie i jej ciepły oddech zmieszał się z sokami napływającymi z jej krtani. Położyła dłoń na jego spodniach i poszukała po omacku penisa... mocno, delikatniej, mocno. Mocniej. Nagle straciła nad sobą wszelką kontrolę i zaczęła spazmatycznie pojękiwać. Wtuliła się w niego.

Jej rozchylone wargi ześlizgnęły się z jego ust i wyszeptwała:

— Jutro wyjeżdżam nad Morze Śródziemne. Do człowieka, którego nienawidzę. Nic nie mów. Daj mi tylko dzisiejszą noc. Tylko tę noc!

Odsunęła się nieco. Usta jej połyskiwały, oczy miała tak rozszerzone, że zdawało się z nich wyzierać szaleństwo. Uniosła się powoli nad nim, wszędzie widział jej alabastrową skórę. Nie drżała już. Przesunęła nad jego nogą swoje nagie udo i wstała. Przyciągnęła jego twarz do swojej talii i sięgnęła po jego rękę. Podniósł się i objął ją. Tuląc w dłoniach jego rękę, pociągnęła go w kierunku drzwi do sypialni. Gdy tam weszli, usłyszał słowa wypowiedane z tą niesamowitą, głuchą monotonią.

— Johann uprzedził mnie, że pewnego dnia pojawi się jakiś mężczyzna i opowie o dziwnej umowie. Miałam być dla niego miła i zapamiętać wszystko, co powie.

## 12

Drgnął i ocknął się; przez kilka sekund nie bardzo wiedział, gdzie jest. Potem przypomniał sobie. Gretchen Beaumont wprowadziła go do sypialni i wypowiedziała niewiarygodne słowa. Usiłował wycisnąć z niej coś więcej, próbował dowiedzieć się, co jeszcze powiedział jej brat, ale nie była w stanie sensownie odpowiadać na jego pytania. Znajdowała się w stanie amoku, rozpaczliwie pragnęła seksu; nie potrafiła się skoncentrować na niczym innym.

Kochali się jak szaleni, przy czym stroną aktywną była ona; wiła się na łóżku w konwulsyjnych drgawkach to pod nim, to nad nim, to znów obok niego. Była nienasycona; nic nie mogło jej zaspokoić. W pewnej chwili krzyknęła, zaciskając nogi wokół jego talii i wpijając paznokcie w jego ramiona. A potem zmoгло go wyczerpanie. Zapadł w głęboki, ale niespokojny sen.

Teraz obudził się i nie wiedział, co wyrwało go ze snu. Jakiś hałas, niezbyt głośny, za to ostry i przenikliwy. Nie mógł się zorientować, co to było ani skąd doszło.

Nagle zdał sobie sprawę, że jest w łóżku sam. Uniósł głowę. Pokój był ciemny, drzwi zamknięte; w szparze między nimi a podłogą majaczyła linia przytłumionego światła.

— Gretchen?... — Nie doczekał się odpowiedzi. W pokoju nie było poza nim nikogo.

Odrzucił kołdrę i wstał z łóżka wykończony, zdezorientowany, usiłując uspokoić drżenie osłabionych nóg. Dopadł drzwi i otworzył je silnym szarpnięciem. Za nimi, w małym salonie paliła się jedna nocna lampa, której światło rzucało cienie na ściany i podłogę.

Znowu dobiegł go hałas! Metaliczny trzask, który poniósł się echem po domu, ale nie pochodził z jego wnętrza. Podbiegł do okna i popatrzył przez szybę. W mdłym świetle ulicznej latarni dostrzegł mężczyznę stojącego z latarką w ręku przy masce jego wynajętego samochodu.

Nie zdążył jeszcze ochłonąć, kiedy usłyszał stłumiony głos dochodzący gdzieś z zewnątrz, i w okno, w niego, wystrzelił snop światła. Instynktownie uniósł rękę, żeby osłonić oczy. Światło zgasło i ujrzał, jak tamten mężczyzna biegnie w kierunku samochodu zaparkowanego po przekątnej, po drugiej stronie ulicy. Noel był tak skoncentrowany na własnym samochodzie i na nieznanym mężczyźnie z latarką, że do tej pory nie zauważył tego drugiego wozu. Teraz spróbował skupić na nim wzrok; na przednim siedzeniu obok fotela kierowcy majaczyła jakaś postać. Poza zarysem głowy i ramion nie potrafił odróżnić innych szczegółów.

Biegnący mężczyzna dopadł do drzwiczek od strony jezdni, otworzył je gwałtownie i wskoczył za kierownicę. Ryknął silnik; wóz wyrwał ostro z miejsca, zawrócił z poślizgiem i odjechał na pełnym gazie.

W powodzi światła spływającej z ulicznej latarni Noel widział przez moment osobę zajmującą miejsce obok kierowcy. Na niecałą sekundę twarz za szybą przemykającego samochodu znalazła się w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów od niego.

Była to twarz Gretchen Beaumont. Patrząc prosto przed siebie, kiwała głową, jakby coś szybko mówiła.

W kilku domach naprzeciwko rezydencji Beaumontów zapaliły się światła. Ryk silnika i pisk opon stanowiły drastyczne, niemile widziane pogwałcenie nocnej ciszy na spokojnej uliczce Portsea. W oknach pojawiły się zaintrygowane twarze.

Holcroft cofnął się w głąb pokoju. Był nagi, a zdawał sobie sprawę, że widok nagiego mężczyzny w środku nocy w salonie komandora Beaumonta podczas nieobecności gospodarza nie przyniesie nikomu niczego dobrego, a już najmniej jemu samemu.

Gdzie odjechała? Co robiła? Jaki dźwięk słyszał?

Nie było czasu na roztrząsanie tego rodzaju kwestii; musi wynieść się z domu Beaumonta. Odwrócił się od okna, wbiegł z powrotem do sypialni i usiłując przebić wzrokiem panujące w niej ciemności zaczął po omacku szukać wyłącznika górnego światła albo nocnej lampy. Przypomniał sobie, że Gretchen, przerzucając w miłosnym szale rękę nad jego głowę, trafiła w abażur lampy stojącej przy łóżku i zwaliła ją ze stolika. Ukląkł i odnalazł lampę na podłodze. Na szczęście żarówka ochraniająca płóciennym abażurem nie stłukła się. Nacisnął przycisk. Pokój zalała fala światła rozplywająca się z poziomu podłogi i pełną w górę po ścianach. Pośród wydłużonych cieni i kałuży mroku dostrzegł swoje ubranie rzucone na fotel i skarpetki leżące wraz z szortami przy łóżku.

Podniósł się i ubrał najszybciej, jak potrafił. Gdzie marynarka?

Rozejrzał się dookoła, przypominając sobie jak przez mgłę, że Gretchen zsunęła mu ją z ramion i upuściła gdzieś w pobliżu drzwi. Zgadza się, leżała tam. Idąc przez pokój w tamtym kierunku, zerknął na swe odbicie w wielkim lustrze nad biurkiem.

Naraz zamarł. Jego wzrok przykuła stojąca na biurku fotografia w srebrnych ramkach. Przedstawiała mężczyznę w mundurze marynarki wojennej.

Ta twarz. Gdzieś już ją widział. Nie tak dawno. Parę tygodni... może nawet parę dni temu. Nie był pewien skąd, wiedział jednak, że zna tę twarz. Podeszedł do biurka i uważnie przyjrzał się fotografii.

To te brwi! Były dziwne, inne niż u wszystkich; sterczały z czoła niby niezależny twór... niczym absurdalna włochata strzecha nad nieokreślonym gobelinem. Stanowiły grubą, krzaczastą gęstwę splecionych ze sobą białych i czarnych włosów... szpakowaty gąszcz. Oczy, które nagle się rozszerzyły, oczy, które się na niego podniosły. Już wiedział!

Samolot do Rio de Janeiro! I coś jeszcze. To była również twarz z epizodu w samolocie lecącym do Brazylii. Wywołała zatem jeszcze inne wspomnienie — zamglonej, biegnącej postaci, wspomnienie aktu przemocy.

Odwrócił srebrną ramkę, wysunął tekturkę z rowków i wyjął fotografię. Na błyszczącej powierzchni dostrzegł leciutkie wypukłości. Odwrócił zdjęcie. Widniał tam jakiś napis. Podniósł fotografię do światła i na chwilę dech mu zapało. Były to słowa w języku niemieckim: NEUAUFBAU ODER TOD.

Podobnie, jak twarz z fotografii, te słowa też już gdzieś widział! Ale nie zrozumiał wtedy ich znaczenia; niemieckie słowa, których nie rozumiał..

Oszołomiony, złożył fotografię na pół i wsunął do kieszeni spodni.

Otworzył drzwi ściennej szafy, wepchnął srebrną ramkę między ułożone na półce ubrania, podniósł z ziemi marynarkę i wszedł do salonu. Miał świadomość, że musi niezwłocznie opuścić ten dom, ale zżerała go ciekawość, kim jest człowiek z fotografii. Musi się o nim czegoś dowiedzieć.

W przeciwległych ścianach pokoju widniało dwoje drzwi. Jedne stały otworem i prowadziły do kuchni; drugie były zamknięte. Otworzył je i wszedł do gabinetu komandora. Zapalił światło. Pokój obwieszony był fotografiami statków i ludzi oraz dyplomami i odznaczeniami wojskowymi. Komandor Beaumont był zawodowym oficerem o niepośledniej pozycji. Przykry rozwód, a zaraz potem wątpliwe z moralnego punktu widzenia małżeństwo mogłoby przysporzyć wielu nieprzyjemnych problemów natury osobistej, jednak *Royal Navy* patrzyła na to przez palce.

Ostatni dyplom pochodził zaledwie sprzed sześciu tygodni; za wykazanie się wybitnymi zdolnościami przywódczymi w czasie przybrzeżnych patroli wokół Wysp Balearskich podczas utrzymującej się przez tydzień sztormowej pogody.

Pobieżny przegląd papierów leżących na biurku i znajdujących się w szufladach nie wniósł niczego nowego. Były tam dwie książeczki bankowe opiewające na cztery konta, z których żadne nie przekraczało sumy trzech tysięcy funtów; list od adwokata eks-żony, w któ-



rym domagano się posiadłości w Szkocji; posegregowane kopie dzienników okrętowych i grafików służby na morzu.

Holcroft z chęcią zostałby jeszcze trochę w tym pokoju, by skrupulatniej rozejrzeć się za jakimiś bliższymi informacjami na temat mężczyzny o dziwnych brwiach, ale z góry wiedział, że się na to nie odważy. I tak już przeciągnął strunę, musi stąd jak najszybciej zniknąć.

Wyszedł przed dom i spojrzął w okna po drugiej stronie ulicy, które jeszcze przed kilkoma minutami pełne były światła i zaciekawionych twarzy. Nigdzie już się nie świeciło i nikt nie wyglądał na ulicę. Na Portsea znowu spłynął sen. Szybko przeszedł ścieżką do furtki i uchylił ją energicznym szarpnięciem, krzywiąc się na przenikliwy zgrzyt zawiasów. Otworzył drzwiczki wynajętego samochodu i wskoczył za kierownicę. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic. Przekręcił go jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze. Nic!

Zwolnił zatrząsk maski i wybiegł przed wóz, nie dbając o zachowanie ciszy. Obawiał się teraz czegoś o wiele poważniejszego. Nie widział powodu, dla którego rozładowaniu miałby ulec akumulator wynajętego samochodu, a nawet gdyby do tego doszło, i tak byłoby słychać cichutki trząsk zapłonu. Na odsłonięty silnik spłynęło światło ulicznej latarni, wyławiając z mroku to, czego się obawiał.

Przewody były przerwane. Odcięto je z chirurgiczną precyzją w miejscu, skąd wychodziły. Nie było mowy o uruchomieniu samochodu poprzez splecenie ze sobą ich końców. Wóz należało wziąć na hol.

Ktokolwiek to zrobił, wiedział, że w środku nocy, w nie znanej okolicy, Amerykanin pozostanie bez środków lokomocji. Jeśli nawet na tym odległym przedmieściu były jakieś taksówki, wątpliwe, aby o tej porze — po trzeciej w nocy — jeszcze jeździły. Ten, kto unieruchomił samochód, kimkolwiek był, chciał, żeby Noel tu pozostał. Prowadziło to do wniosku, że niebawem zjawią się po niego inni. Musi uciekać. Tak daleko od tego miejsca i tak szybko, jak tylko potrafi... dotrzeć do autostrady... zatrzymać jakiś samochód jadący na północ i wydostać się stąd.

Zatrzasnął maskę. Ostry, metaliczny huk rozszedł się echem po uliczce. Całe szczęście, że wcześniej też się bez tego nie obyło.

Ruszył w kierunku wyłączonej o tej porze sygnalizacji świetlnej. Przeszedłszy przez skrzyżowanie przyspieszył kroku, potem puścił się biegiem. Starał się utrzymywać równe tempo, do szosy miał cztery kilometry. Pocił się obficie i czuł, że za chwilę odezwie się przykry skurcz żołądka.

Zobaczył światła, zanim jeszcze dobiegł go wściekły ryk silnika. W oddali, bezpośrednio przed nim, na prostej jak strzelił ulicy, wykuł się z ciemności blask reflektorów. Zbliżały się w takim tempie, że samochód, do którego należały, musiał pędzić z ogromną prędkością.

W ciągnącym się wzdłuż uliczki, wysokim do pasa, ligustrowym żywopłocie, Noel dostrzegł po swojej prawej stronie lukę, wylot ścieżki prowadzącej do jakiegoś domu. Zanurkował w nią i wtoczył się po ziemi pod krzaki, nie mając pewności, czy nie został już zauważony. Nagle stało się dla niego bardzo ważne, by nikt nie skojarzył go sobie z Gretchen Beaumont. Prócz tego, że była nieszczęśliwą, naładowaną erotyzmem... piękną kobietą, stanowiła nieprzeniknioną zagadkę. Ale, podobnie jak jej brat, *zagrażała* Genewie.

Nadjeżdżający samochód przemknął w wielkim pędzie obok jego kryjówki. A więc nie zauważono go. Po chwili ryk silnika utonął w pisku opon. Holcroft wyczołgał się do połowy przez lukę w żywopłocie i zwróciwszy twarz w lewo, utkwiał wzrok w odcinku ulicy, który przed chwilą przebiegł.

Samochód zatrzymał się dokładnie przed frontem domu Beaumonta. Z wozu wyskoczyli dwaj mężczyźni i pognali ścieżką. Noel usłyszał zgrzyt zawiasów furtki. Dalsze pozostawanie w kryjówce nie miało sensu. Nadszedł odpowiedni moment, by podjąć ucieczkę. Jego uszu dobiegł stukot kołatki u odległych o sto metrów drzwi.

Podźwignął się na czworaki i skręciwszy w prawo, podpełzł chodnikiem, tuż przy ligustrowym żywopłocie, do cienia zalegającego pomiędzy dwoma ulicznymi latarniami. Tam zerwał się na równe nogi i ruszył biegiem.

Gnał przed siebie ciemną, wysadzaną drzewami uliczką, zostawiając za sobą kwartał za kwartałem, skrzyżowanie za skrzyżowaniem, pokładając w Bogu nadzieję, że rozpozna przecznicę, w którą należało skręcić, żeby dostać się do głównej szosy. Dyszał coraz ciężiej, łapiąc powietrze w płuca bolesnymi haustami i przeklinając papierosy. Pot spływał mu po twarzy, a łomot w piersiach stawał się nie do zniesienia. Przerazał go szybki tupot własnych stóp o płyty chodnika. Był to odgłos powodowany przez człowieka uciekającego w panice w środku nocy, a tym człowiekiem ogarniętym paniką był on sam.

Tupot stóp. Tupot biegnących stóp. Jego stóp, ale nie tylko! Czyichś jeszcze, za plecami, miarowy, ciężki, coraz bliższy. Ktoś go ścigał! Ścigał w milczeniu, nie wołając za nim, nie żądając, żeby się zatrzymał... A może to słuch płata mu figle? Łomot w piersiach przenosił się wibracjami na całe ciało; czyżby to tupot własnych stóp odbijał się echem w uszach? Nie śmiał się obejrzeć, nie wolno mu się było oglądać. Biegł zbyt szybko — w światło, w cień.

Dopał końca jeszcze jednego kwartału, jeszcze jednego skrzyżowania, i skręcił w prawo, zdając sobie w pełni sprawę, że nie jest to jeden z zakrętów, które powinien wziąć, aby dotrzeć do głównej szosy. Mimo to skręcił. Musiał sprawdzić, czy rzeczywiście ktoś za nim biegnie. Wpadł w przecznicę.

Tamten tupot różnił się w rytmie od jego, zbliżał się, coraz bardziej połykał dzielącą ich odległość. Nie mógł tego dłużej znieść i nie potrafił już przyspieszyć. Odwrócił się całą górną połową ciała usiłując zerknąć za siebie przez ramię.

Tupot nie był przywidzeniem, tam ktoś był! W świetle ulicznej latarni rysowała się sylwetka mężczyzny. Barczystego mężczyzny biegnącego w milczeniu, zmniejszającego dystans, znajdującego się zaledwie kilka metrów za nim.

Pokonując ból w nogach, Noel zdobył się na ostatni zryw i jego stopy, przyspieszając, zaczęły wybijać po trotuarze jeszcze gwałtowniejszy rytm. Zupełnie już oszalały z paniki, skręcił znowu.

I wtedy nogi, spętane dezorientacją i straszliwym napięciem pościgu, odmówiły mu posłuszeństwa. Runął jak długi na jezdnię, szorując twarzą po asfalcie, czując lodowate zimno i piekący ból w wyciągniętych przed siebie rękach. Przekręcił się na plecy i instynktownie zerwał na nogi, żeby stawić czoło swemu prześladowcy — tej milczącej, rozpędzonej postaci, która wypadła z ciemności i wyrosła nagle przed nim.

Wszystko zlało się w rozmazaną plamę; do jego zalanych potem oczu przebijały się tylko zarysy młócących wściekle w mroku ramion i nóg. I nagle stwierdził, że nie może się poruszyć. Jakiś ogromny ciężar miażdżył mu klatkę piersiową, czyjeś przedramię — niczym ciężki, żelazny łom — wciskało mu się w gardło, tłamsząc wszelkie dźwięki.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była uniesiona wysoko ręka, ciemny pazur na tle nocnego nieba, zgięte ramię trzymające jakiś przedmiot. A potem nie było już nic. Tylko bezmierna otchłań wypełniona wichrami. Spadał w ciemnościach w niewidzialną głębię.

Najpierw poczuł chłód. Zadygotał pod jego wpływem. Potem przyszło wrażenie wilgoci; była wszędzie/Otworzył oczy, by ujrzeć tuż przy twarzy zniekształcony bliskością obraz trawy i gruntu. Otaczała go zroszona murawa i hałdy zimnej ziemi. Przekręcił się na plecy i z ulgą dostrzegł nad sobą nocne niebo; po lewej nieco jaśniejsze niż po prawej.

Bolała go głowa, twarz piekła, ręce rwały. Podźwignął się powoli na łokciach i rozejrzał wkoło. Znajdował się na polu. Na długim, płaskim pasie gruntu, który wyglądał na pastwisko. W oddali dostrzegł niewyraźne zarysy ogrodzenia z drutu — kolczastego drutu rozciągniętego

między grubymi palami rozmieszczonymi co dziesięć, a może dwadzieścia metrów. To faktycznie było pastwisko.

Śmierdział tanią whisky albo skwaśniałym winem.

Było tym nasiąknięte całe jego ubranie, z przemoczonej koszuli unosiły się do nozdrzy mdlące opary. Ubranie... portfel, pieniądze! Wstał niepewnie na miękkie nogi i sprawdził kieszenie. Obie dłonie paliły niemiłosiernie w zetknięciu z przemoczonym materiałem.

Portfel, futerał z banknotami w zacisku, zegarek — niczego nie brakowało. Nie został więc obrabowany, a tylko pobity do nieprzytomności i zabrany z okolicy, w której mieszkali Beaumontowie. To niedorzeczne!

Obmacał głowę. Rósł na niej guz, ale skóra nie była przecięta. Uderzono go czymś w rodzaju owiniętej w szmatę pałki albo rurki. Postąpił kilka chwiejnych kroków; mógł iść, a to było teraz najważniejsze. I już lepiej widział; wkrótce zacznie świtać.

Za ogrodzeniem teren wznosił się lekko, tworząc skarpe, która ciągnęła się w obu kierunkach, jak daleko sięgał wzrokiem. Na przebiegającej górą szosie dostrzegł światła. Ruszył przez pole w kierunku ogrodzenia, skarpy i szosy z nadzieją, że uda mu się przekonać kogoś kierowcę, by go podwiózł. Gdy przełaził przez siatkę, coś mu się nagle przypomniało. Ponownie przetrząsnął kieszenie.

Fotografia zniknęła!

Zatrzymała się cysterna z mlekiem. Wspiął się do szoferki i obserwował, jak pod wpływem odoru rozchodzącego się po kabinie, z warg kierowcy spełza z wolna uśmiech. Usiłował obrócić to w żart — niewinny Amerykanin, który znalazł się w kłopotliwym położeniu po pijatyce z ostro tankującymi brytyjskimi marynarzami w Portsmouth — ale kierowca nie dostrzegwał w tym niczego zabawnego. Holcroft wysiadł w pierwszym napotkanym miasteczku.

Była to typowo angielska wioska — rynecek w tudorskim stylu, zeszpecony mnóstwem dostawczych ciężarówek sfłoczonych przed przydrożnym zajazdem.

— Mają tu telefon — poinformował go mleczarz. — Jest też toaleta. Trochę wody z mydłem panu nie zaszkodzi.

Noel wkroczył w gwarny tłumek kierowców ciężarówek, nad którym unosił się pokrzepiający aromat gorącej kawy. Świat toczył się dalej realizowano zamówienia i bez wielkich ceregieli przyjmowano drobne napiwki. Znalazł toaletę i uczynił, co się dało, żeby zminimalizować skutki tej nocy. Potem zajął miejsce przy stoliku w pobliżu wiszącego na ścianie automatu wrzutowego, zamówił czarną kawę i czekał cierpliwie, aż rozeźlony kierowca ciężarówki skończy sprzeczkę z jeszcze bardziej rozeźlonym dyspozytorem po drugiej stronie linii. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Noel wstał od stolika i podszedł do telefonu z numerem Gretchen Beaumont w ręku. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko spróbować wyjaśnić, co się stało, porozmawiać z nią na spokojnie, jeśli w ogóle wróciła. Wykręcił numer.

— Rezydencja Beaumontów — odezwał się w słuchawce męski głos.

— Poproszę z panią Beaumont.

— Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

— Przyjaciół komandora. Słyszałem, że pani Beaumont wyjeżdża dzisiaj do niego. Chciałbym mu przez nią przekazać pewną wiadomość.

— Przepraszam, ale kto mówi?

Noel odwiesił słuchawkę. Nie wiedział, kto odebrał telefon; wiedział tylko, że potrzebuje pomocy. Profesjonalnej pomocy. Szukanie jej stwarzało być może zagrożenie dla Genewy, ale było nieodzowne. Będzie ostrożny — bardzo ostrożny — i dowie się tyle, ile potrafi.

Przetrząsnął kieszenie marynarki w poszukiwaniu wizytówki, którą dał mu człowiek z MI 5 w „Belgravia Arms”. Widniała na niej jedynie nazwisko — Harold Payton-Jones — i numer telefonu. Zegar na ścianie wskazywał za dziesięć siódmą; Noel nie był pewien, czy ktoś w ogóle odbierze telefon. Zamówił rozmowę z Londynem.

— Tak?

— Tu Holcroft.

— Ach, tak. Zastanawialiśmy się, czy pan zatelefonuje.

Noel rozpoznał ten głos. Należał do siwowłosego agenta wywiadu, który odwiedził go ze swym partnerem w hotelu.

— O czym pan mówi? — spytał zaskoczony.

— Miał pan ciężką noc — stwierdził głos.

— Spodziewaliście się, że zatelefonuję! Byliście tam. Obserwowaliście!

Payton-Jones nie odpowiedział wprost.

— Wynajęty samochód znajduje się na stacji w Aldershot. Do południa powinien zostać naprawiony. Nazwę stacji łatwo zapamiętać. Brzmi Boofs. Boofs Garage, Aldershot. Nie będzie opłaty, rachunku ani potwierdzenia odbioru.

— Chwileczkę! Co to, u diabła, znaczy? Kazaliście mnie śledzić! Nie macie do tego żadnego prawa.

— Według mnie, cholernie dobrze się stało, że to zrobiliśmy.

— To wy jechaliście tym samochodem o trzeciej nad ranem! Wy weszliście do domu Beaumonta!

— Obawiam się, że ani jedno, ani drugie. — Człowiek z MI 5 urwał na chwilę. — A jeśli pan tak uważa, chyba nie przyjrzał im się pan zbyt dobrze, prawda?

— Nie. Kim oni byli?

— Sami chcielibyśmy to wiedzieć. Nasz człowiek zjawił się tam przed piątą.

— To kto mnie ścigał? Kto mnie grzmotnął w głowę i zostawił na tym przeklętym polu?

Agent znowu zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Nic nam o tym nie wiadomo. Wiemy tylko, że opuścił pan dom. W pośpiechu, oczywiście, i że pański samochód został unieruchomiony.

— To był sabotaż! Ktoś mi zrobił głupi kawał!

— W tym rzecz. Doradzałbym panu zachowanie większej ostrożności. Wykorzystywanie żony komandora *Royal Navy*, podczas gdy jej mąż pełni służbę na morzu, jest postępkim zarówno niesmacznym, jak i niebezpiecznym.

— Gówno prawda! Komandor tak samo jest na morzu, jak ja. Niespełna dwa tygodnie temu znajdował się na pokładzie samolotu lecącego do Rio. Widziałem go tam! On ma coś wspólnego z von Tieboltami.

— Niewątpliwie — przyznał Payton-Jones. — Poślubił najstarszą córkę von Tiebolta. Co do jego obecności w samolocie przed dwoma tygodniami, to absurd. Od trzech miesięcy pływa po Morzu Śródziemnym.

— Nieprawda! Widziałem go na własne oczy. Niech pan posłucha. W sypialni stała jego fotografia. Zabrałem ją stamtąd. To był on! I coś jeszcze. Na odwrocie było coś napisane. Po niemiecku.

— Co?

— Nie wiem. Nie znam niemieckiego. Ale to cholernie niezwykle, nie sądzi pan? — Holcroft urwał. Nie zamierzał posuwać się tak daleko. Gniew odbierał mu panowanie nad sobą! A niech to szlag!

— Co w tym niezwykłego? — spytał agent. — Niemiecki jest rodzimym językiem pani Beaumont; jej rodzina używała go od lat. Jakaś okolicznościowa dedykacja, wyrazy oddania od lub dla nowo poślubionego męża? To zupełnie normalne.

— Chyba ma pan rację — wycofał się Noel. I nagle uświadomił sobie, że zrobił to zbyt pośpiesznie. Człowiek z MI 5 powziął jakieś podejrzenia. Noel wyczuł to w jego następnych słowach.

— Jeśli już o tym mowa, może przyniesie nam pan tę fotografię.

— Nie mogę. Nie mam jej.

- Wydawało mi się, że powiedział pan, iż ją zabrał.
- Już jej nie mam. Ja... no po prostu nie mam jej.
- Gdzie pan jest, Holcroft? Sądzę, że powinien pan wpaść do nas z wizytą.

Nie podejmując tej decyzji świadomie, Noel nacisnął widełki i przerwał połączenie. Działanie poprzedziło myśl, ale kiedy było już po wszystkim, zrozumiał dokładnie, dlaczego tak postąpił. Nie wolno mu się bratać z MI 5, nie wolno umacniać jakichkolwiek z nim związków. Wprost przeciwnie, musi trzymać się najdalej, na ile jest to tylko możliwe od wywiadu brytyjskiego. Nie może mieć z nim żadnych powiązań. MI 5 śledził go. Zapewniali, że zostawią go w spokoju i złamali słowo.

Ocalali członkowie *Wolfsschanze* wyraźnie to podkreślili: *Istnieją tacy, którzy mogą się dowiedzieć o dziele podjętym w Genewie... którzy będą próbowali cię powstrzymać, oszukać... zabić.*

Holcroft wątpił w to, by Brytyjczycy chcieli go zabić, ale powstrzymać już próbowali. Gdyby im się udało, równałoby się to dla niego z wyrokiem śmierci. Ludzie *Wolfsschanze* działali bez skrupułów. Sz.P. Peter Baldwin. Ernst Manfredi. Jack. Wszyscy nie żyli.

Ludzie *Wolfsschanze* zabiliby go, gdyby zawiódł. I w tym właśnie tkwiła straszliwa ironia. Nie chciał przecież zawieść. Dlaczego nie potrafili tego zrozumieć? Pragnął urzeczywistnienia marzenia Heinricha Clausena być może jeszcze goręcej od ocalałych z *Wolfsschanze*.

Pomyślał o Gretchen Beaumont, kobiecie zdającej się na instynkty, okazje i mężczyzn. I o jej bracie, aroganckim, błyskotliwym dziennikarzu podejrzanym o to, że jest zawodowym mordercą. Żadne z nich nie miało szans na akceptację ze strony Genewy.

Pozostało jeszcze jedno dziecko. Helden von Tiebolt — obecnie Helden Tennyson — mieszkająca w Paryżu. Adres nieznany. Ale miał wskazówkę. Oficyna *Gallimard*.

Paryż.

Musi się dostać do Paryża. Musi się wymknąć MI 5.

# 13

W Londynie mieszkał pewien człowiek, scenograf z zawodu, dekorator wnętrz, który cieszył się wzięciem w kręgach bogaczy po obu stronach Atlantyku. Noel podejrzewał, że Willie Ellis angażowany był bardziej przez wzgląd na jego skandalizującą osobowość i gawędziarskie talenty niż na wrodzone zdolności dekoratorskie. Pracował z nim przy czterech zleceniach, przyrzekając sobie za każdym razem solennie, że nigdy już nie da się w coś takiego wrobić. Za każdym razem wiedział jednak, że prawdopodobnie się złamie. Bo prawda była taka, że Noel ogromnie lubił Willie'go. Spod maski sztuczności i elegancji, jaką wdziewał ten zwariowany Anglik, przeziarała głębia. Był to myślący, utalentowany człowiek teatru, który o historii scenografii wiedział więcej niż ktokolwiek znany Holcroftowi. Kiedy nie skandalizował, potrafił zafascynować.

Utrzymywali kontakty od lat i przy każdej bytności w Londynie Noel zawsze znajdował czas dla Willie'go. Początkowo myślał, że w tej podróży nie będzie miał okazji się z nim spotkać, ale teraz sytuacja uległa zmianie. Potrzebował Ellisa. Jego numer telefonu uzyskał w londyńskiej informacji.

— Noel, przyjacielu, tyś chyba na głowę upadł! Toż poza śmierdzącymi ptaszyskami i zamiataczami ulic wszyscy jeszcze śpią!

— Mam kłopoty, Willie. Potrzebuję pomocy.

Ellis znał wioskę, z której telefonował Holcroft, i obiecał, że będzie tam możliwie jak najprędzej, czyli według jego szacunków, gdzieś za godzinę. Spóźnił się trzydzieści minut, klnąc idiotów jeżdżących po drogach. Noel wsiadł do samochodu, ściskając wyciągniętą rękę Willie'go i wysłuchując charakterystycznej dla niego wiązanki pod swoim adresem.

— Aleś się utyłał, a śmierdzi od ciebie jak bufetowej spod pachy. Otwórz okno i opowiadaj, co się, u diabła, stało.

Holcroft w prostych słowach wyjaśnił wszystko, nie podając żadnych nazwisk i zatajając niektóre fakty.

— Muszę się dostać do Paryża, a pewni ludzie chcą mi w tym przeszkodzić. Nie mogę ci wiele więcej powiedzieć poza tym, że nie zrobiłem niczego złego, niczego nielegalnego.

— To pierwsze jest zawsze względne, prawda? A drugie, ogólnie rzecz biorąc, zależy od interpretacji i kwalifikacji adwokata. Mam przyjąć, że to urocza kobitka i rozsierdzony małżonek?

— Niech ci będzie.

— To mi pozwoli zachować czyste sumienie. Co ci przeszkadza w udaniu się na lotnisko, aby wsiąść w najbliższy samolot do Paryża?

— Moje ubranie, neseser i paszport zostały w hotelu w Londynie. Jeśli tam po nie pójde, znajdą mnie ludzie, którzy chcą mnie zatrzymać.

— Z twojego wyglądu wynika, że mają całkiem poważne zamiary, co?

— Tak, coś w tym rodzaju, Willie.

— Rozwiązanie nasuwa się samo — oświadczył Ellis. — Zabiorę z hotelu twoje rzeczy i wymelduję cię. Jesteś zdesperowanym kolonistą, którego znalazłem w rymsztokach Soho. Kto będzie kwestionował moje preferencje seksualne?

— Mogą być problemy z recepcją.

— Nie bardzo sobie wyobrażam, jakie? Moje pieniądze pochodzą z królewskiej mennicy, a od ciebie będę miał liścik. Mogą sobie porównać podpisy. Pod tym względem nie jeste-

śmy nawet w przybliżeniu takimi paranoikami, jak nasi kuzyni zza morza.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Obawiam się jednak, że obsługa hotelu działa w porozumieniu z tymi, którzy chcą mnie odszukać. Zanim wydadzą ci moje rzeczy, mogą zażądać, żebyś im wyjawiał moje aktualne miejsce pobytu.

— No to im powiem — oznajmił z uśmiechem Willie. — Zostawię im umówiony wcześniej adres i numer telefonu, pod którym będą mogli uzyskać potwierdzenie twojej obecności.

— Co takiego?

— Zostaw to mnie. A tak nawiasem mówiąc, w skrytce na rękawiczki jest trochę wody kolońskiej. Pokrop się nią, na miłość boską.

Ellis załatwił co trzeba, by pralnia zabrała przesiąknięte whisky ubranie i zwróciła je przed południem, po czym opuścił mieszkanie w Chelsea, by udać się do hotelu „Belgravia Arms”.

Holcroft wziął prysznic, ogolił się i zatelefonował do agencji wynajmu samochodów. Doszedł do wniosku, że jeśli pojedzie do Aldershot po wóz, MI 5 już tam będzie. A w drodze powrotnej Brytyjczycy będą mu deptać po piętach.

Agencja wynajmu samochodów nie była zachwycona, ale Holcroft nie dał im żadnego wyboru. Jeśli chcą z powrotem samochód, muszą odebrać go sobie sami. On przeprasza, ale wynikała pewna niecierpiąca zwłoki sprawa; rachunek mogą przesłać na adres jego biura w Nowym Jorku.

Musi wydostać się z Anglii, ściągając na siebie jak najmniej uwagi. MI 5 weźmie niewątpliwie pod obserwację lotniska i promy kursujące przez Kanał. Być może dobrym wyjściem byłoby nabycie biletu na zatłoczony samolot do Paryża w ostatniej chwili. Przy odrobinię szczęścia mógł wylądować na Orly, zanim MI 5 zorientuje się, że opuścił Anglię. Promy powietrzne do Paryża kursowały często, a odprawa celna była na nich tylko formalna. Może też wykupić dwa bilety — jeden do Amsterdamu, jeden do Paryża — przejść przez bramkę linii KLM, potem pod jakimkolwiek pretekstem wrócić na zewnątrz i przebiec do strefy odprawy pasażerów odlatujących do Paryża, gdzie będzie czekał Willie z jego bagażem.

Co za myśli przychodzą mu do głowy? Jakieś fortele, uniki, mylenie tropów. Stał się przestępcą bez przestępstwa na koncie, człowiekiem, któremu nie wolno mówić prawdy, bo ta prawda może zniszczyć tak wiele.

Znowu zaczął się pocić, a do żołądka powrócił ból. Czuł się słaby i dezorientowany. Położył się w szlafroku Willie'go na kanapie i zamknął oczy. Ukazał mu się znowu obraz topniejącego ciała. Wyłoniła się twarz; słyszał wyraźnie rozpaczliwy krzyk, który dźwięczał mu w uszach, zanim zapadł w sen.

Obudził się świadom, że ktoś nad nim stoi. Przerażony przekręcił się gwałtownie na plecy i odetchnął na widok sterczącego przy kanapie Willie'go.

— Odpocząłeś trochę, czego rezultaty od razu widać. Lepiej wyglądasz i, Bóg mi świadkiem, przyjemniej pachniesz.

— Odebrałeś moje rzeczy?

— Tak. Miałeś rację. Bardzo chcieli się dowiedzieć, gdzie jesteś. Kiedy regulowałem rachunek, zjawił się kierownik, który zachowywał się, jakby grał główną rolę w teatralnej wersji Scotland Yardu. Ale jest już spokojny, jeśli nie zakłopotany. Dysponuje też numerem telefonu, pod którym aktualnie rezydujesz.

— Rezyduję?

— Tak. Obawiam się, że twoja reputacja trochę ucierpi, jeżeli nie zmienisz obiektu uczuć. To numer takiego szpitala w Knightsbridge, który nie dostaje ani pensa z krajowych ubezpieczeń społecznych. Specjalizuje się w chorobach wenerycznych. Znam tam dosyć do-

brze jednego lekarza.

— Przechodzisz sam siebie — powiedział Noel wstając. — Gdzie moje rzeczy?

— W pokoju gościnnym. Pomyślałem sobie, że będziesz chciał się przebrać.

— Dzięki. — Holcroft skierował się do drzwi.

— Znasz człowieka o nazwisku Buonoventura? — rzucił za nim Ellis.

Noel zatrzymał się. Z lotniska w Lizbonie wysłał do Sama telegram składający się z trzech słów: BELGRAVIA ARMS LONDYN.

— Tak. Telefonował?

— Kilkakrotnie. Jak się zdołałem zorientować, był dosyć podminowany. W hotelowej centralce dowiedziałem się, że rozmowa była łączona z Curacao.

— Znam ten numer — powiedział Holcroft. — Muszę się z nim skontaktować. Zamówię tę rozmowę na swoją kartę kredytową.

Upłynęło pięć minut, zanim usłyszał chrapliwy głos Sama, i nie minęło nawet pięć sekund, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie fair wymagać od inżyniera budownictwa, by dalej brnął w kłamstwa.

— Miles już nie żartuje, Noley. Powiedział mi, że stara się o sądowy nakaz twojego powrotu do Nowego Jorku. Zamierza przedstawić go tutejszym zleceniodawcom, zakładając, że to Amerykanie. Wie, że nie mogą cię zmusić do powrotu, ale jego zdaniem wiedzą, że jesteś poszukiwany. Sprawa jest trochę śliska, Noley, bo nie figurujesz na żadnej liście płac.

— Czy powiedział coś więcej?

— Tylko tyle, że spodziewa się uzyskać od ciebie informacje, które są mu potrzebne.

„Gdyby udało mi się przedostać do Paryża — pomyślał Noel — byłoby lepiej, żeby Buonoventura wiedział, gdzie mnie szukać, z drugiej jednak strony bezpieczniej jest nie podawać mu konkretnego adresu”.

— Posłuchaj, Sam, jeszcze dzisiaj wyjeżdżam do Paryża. Jest tam filia *American Express* z siedzibą przy Polach Elizejskich. Jeśli wyjdzie coś nowego, łap mnie tam telegraficznie.

— Co mam powiedzieć Milesowi, jeśli znowu zatelefonuje? Nie chciałbym, żeby mnie wzięli za dupę.

— Powiedz, że ze mną rozmawiałeś i wszystko mi przekazałeś. Powiedz, że obiecałem skontaktować się z nim, jak tylko będę mógł. Tyle tylko wiesz. — Noel zawahał się. — Powiedz mu też, że mam coś pilnego do załatwienia w Europie. Nie wychylaj się z tym sam, ale jeśli będzie naciskał, zdradź mu kontakt poprzez biuro *American Express*. Mogę tam telefonować i sprawdzać, czy nie ma dla mnie jakichś wiadomości.

— Jest jeszcze coś — bąknął niepewnie Sam. — Telefonowała twoja matka. Cholernie idiotycznie się czułem, kłamiąc przed nią. Nie powinieneś oszukiwać własnej matki, Noley.

Holcroft uśmiechnął się. Pełne krętych dróg życie nie wyplenilo z Sama włoskiej mentalności.

— Kiedy to było?

— Przedwczoraj wieczorem. Sądząc ze sposobu, w jaki mówi, jest prawdziwą damą. Powiedziałem jej, że spodziewam się wiadomości od ciebie następnego dnia, czyli wczoraj; no i od wczoraj usiłuję cię dopaść.

— Zatelefonuję do niej z Paryża — obiecał Noel. — Coś jeszcze?

— A to ci nie wystarczy?

— Aż nadto. Odezwę się za kilka dni, a w razie czego wiesz, gdzie mnie łapać.

— Tak, ale jeśli odezwie się twoja matka, też jej to powiem.

— Nie przejmuj się tak. I dzięki, Sam. Mam u ciebie dług wdzięczności.

Noel odłożył słuchawkę i dopiero teraz zauważył, że Willie wyszedł do kuchni i włączył tam radio. Willie zawsze był gentlemanem. Przez kilka chwil Noel siedział jeszcze przy



aparacie i próbował zebrać myśli. Telefon od matki nie był zaskoczeniem. Nie rozmawiał z nią od tamtego niedzielnego poranka w Bedford Hills, czyli od niemal dwóch tygodni.

Co innego Miles. Holcroft nie myślał o detektywie jak o konkretnej osobie. Nie kojarzył mu się on z żadną twarzą ani głosem. Ale Miles doszedł do pewnych wniosków, tego Noel był pewien. I te wnioski łączyły go z trzema zabójstwami związanymi z rejssem numer 591 linii *British Airways* z Londynu do Nowego Jorku. Miles nie popuści, a jeśli się uprze, może tak namieszać, że Noel z tego nie wybrnie. Kto wie, czy nie wystąpi z prośbą o pomoc do międzynarodowych organów ścigania. Gdyby to uczynił, poczynania obywatela Stanów Zjednoczonych, który uchyla się od współpracy z prowadzącymi śledztwo w sprawie zabójstwa, znalazłyby się pod lupą.

Genewa nie zlekceważyłaby takiego obrotu sprawy; pakt zostałby zerwany. Milesa trzeba powstrzymać. Ale j a k?

Jego nieznaną las najeżony był pułapkami; resztki instynktu samozachowawczego, jakie się w nim jeszcze tliły, kazały mu zawrócić, póki nie jest za późno. Genewie potrzebny był człowiek nieskończenie bardziej od niego przebiegły i doświadczony. Nie mógł jednak zawrócić. Nie pozwoliliby mu na to ludzie *Wolfsschanze*. I głębią swej podświadomości czuł, że nie chce zawracać. Była tam twarz, która objawiła się mu w ciemnościach. Musiał odnaleźć swego ojca i, odnajdując go, przedstawić światu jako człowieka cierpiącego, który był wystarczająco odważny i wystarczająco wrażliwy, by dojść do wniosku, że zadośćuczynienie jest koniecznością. I. wystarczająco inteligentny, by wprowadzić to *credo* w życie.

Noel podszedł do drzwi prowadzących do kuchni. Ellis stał przy zlewie i zmywał filiżanki.

— Odbiorę moje rzeczy w ciągu dwóch tygodni, Willie. Jedźmy na lotnisko.

Ellis odwrócił się i spojrzał na niego uważnie.

— Mogę ci zaoszczędzić czasu — powiedział sięgając po chiński pucharek stojący na półce. — Dopóki nie zawrócisz ze złej drogi, będzie ci potrzeba trochę francuskich pieniędzy. Trzymam ich tu pełen dzbanek na moje eskapady, które odbywam dwa razy w miesiącu w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Bierz, ile ci potrzeba.

— Dzięki. — Holcroft wziął pucharek spoglądając na wystające spod podwiniętych rękawów przedramiona Willie'go. Były to najsilniejsze i najbardziej muskularne ręce, jakie kiedykolwiek widział. Noela uderzyła myśl, że Willie mógłby przełamać człowieka na pół.

Szaleństwo zaczęło się na Heathrow, a rozpętało na dobre na Orly.

W Londynie wykupił bilet na lot liniami KLM do Amsterdamu, wychodząc z założenia, że historyjka, którą poczęstował agentów MI 5, została już sprawdzona i uznana za wiarygodną. Podejrzewał, że w obu przypadkach się nie myli, ponieważ ujrzał zaskoczonego mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym patrzącego zbaraniałym wzrokiem, jak wybiega z bramek dla odlatujących liniami KLM i galopuje do strefy *Air France*. Czekał tam na niego Willie z biletem na zatłoczony samolot do Paryża.

Procedura kontroli paszportów na Orly była pobieżna, ale kolejki długie. Czekając w jednej z nich, Noel miał czas na obserwację tłumów przelewających się przez komorę celną i falujących za wahadłowymi drzwiami, które prowadziły do właściwego terminalu. Za tymi drzwiami zauważył dwóch mężczyzn; było w nich coś, co przyciągnęło jego uwagę. Może sprawiły to ich posępne twarze, ponure miny nie pasujące do miejsca, gdzie witają się ludzie. Rozmawiali ze sobą cicho i, nie poruszając głowami, przyglądali się bacznie pasażerom wychodzącym po odprawie celnej do hali przylotów. Jeden z nich ścisnął w dłoni papierowy prostokącik; był mały i błyszczący. Fotografia? Tak. Jego fotografia.

To nie byli ludzie *Wolfsschanze*. Ludzie *Wolfsschanze* znali go z widzenia; i ludzie z *Wolfsschanze* nie rzucali się nigdy w oczy. MI 5 uaktywnił swoich agentów w Paryżu. Czekali na niego.

— *Monsieur*. — Celnik podstemplował rutynowo paszport Holcrofta. Noel podniósł bagaż i skierował się do wyjścia ogarnięty paniką człowieka mającego za chwilę wpaść w pułapkę, której nie sposób uniknąć.

W rozchylających się drzwiach zobaczył, jak obaj mężczyźni odwracają się, żeby ich nie zauważył. Nie zamierzali do niego podejść; zamierzali go... śledzić.

To spostrzeżenie dało bolesny początek nie sprecyzowanej jeszcze strategii. Bolesny, ponieważ było to dlań tak obce, nie sprecyzowanej, bo nie bardzo wiedział, jak to się w praktyce robi. Wiedział tylko, że musi przedostać się z punktu A do punktu B i z powrotem do punktu A, gubiąc prześladowców gdzieś w okolicach punktu B.

W górze, nad tłumem wypełniającym terminal, dostrzegł tablicę informacyjną: LIGNES AERIENNES INTERIEURES.

Krajowe linie lotnicze obsługiwały obszar Francji z podziwu godną regularnością. Poszczególne miasta wymienione były w trzech kolumnach: ROUEN, HAWR, CAEN... ORLEAN, LE MANS, TOURS... DIJON, LYON, MARSYLIA.

Noel szybkim krokiem minął dwóch mężczyzn, starając się sprawiać wrażenie ślepego i głuchego na wszystko, co się wokół dzieje, i pochłoniętego tylko własnymi sprawami. Podszedł spieszenie do kontuaru przedstawicielstwa linii krajowych. Ustawił się w ogonku jako piąty.

Przyszła jego kolej. Zapytał o połączenia z południem kraju. Z wybrzeżem Morza Śródziemnego. Z Marsylią. Chciał dokonać wyboru spośród kilku godzin odlotu.

Urzędniczka poinformowała go, że jest taki rejs z Orly nad Morze Śródziemne, który po drodze ląduje w pięciu miastach w łuku południowo-zachodnim. Międzyładowania miały miejsce w Le Mans, Nantes, Bordeaux, Tuluzie i Marsylii.

Le Mans. Czas przelotu do Le Mans wynosił czterdzieści minut, Szacunkowy czas przejazdu samochodem — trzy do trzech i pół godziny. Teraz była za dwadzieścia czwarta.

— Polecę tym — zdecydował się Noel. — Znajdę się w Marsylii dokładnie na czas.

— Przepraszam, *monsieur*, ale są loty bardziej bezpośrednie.

— Ktoś ma mnie oczekiwać na lotnisku. Nie ma sensu, żebym przyleciał za wcześnie.

— Jak pan sobie życzy, *monsieur*. Zobaczę, czym dysponujemy. Samolot odlatuje za dwanaście minut.

W pięć minut później Noel stał już przy bramce dla odlatujących, trzymając przed sobą rozpostartą *Herold Tribune*. Wyjrzał dyskretnie sponad górnej krawędzi stronicy. Jeden z dwóch smutnolich Brytyjczyków rozmawiał z panią, która sprzedawała Holcroftowi bilet.

Piętnaście minut później samolot był już w powietrzu. Noel dwukrotnie przeszedł między fotelami do toalety, przyglądając się po drodze pasażerom w kabinie. Na pokładzie samolotu nie było śledzących go mężczyzn. Nikt inny nie wydawał się nim ani trochę zainteresowany.

W Le Mans czekał, aż wysiadający pasażerowie opuszczą kabinę. Liczył: było ich siedmioro. Na pokład zaczęli wchodzić nowi.

Ściągnął swoją walizkę ze stelażu na bagaże, przeszedł szybko do drzwi wyjściowych i zbiegł po metalowych schodkach na ziemię. Wszedł do budynku terminalu i przystanął przy oknie.

Z samolotu nikt za nim nie wysiadł, nikt go nie śledził.

Jego zegarek wskazywał za siedemnaście piątą. Ciekawe, czy zdąży się jeszcze skontaktować z Helden von Tiebolt. I znowu dysponował esencją tego, co było mu potrzebne —

nazwiskiem i miejscem pracy. Podszedł do najbliższego telefonu, błogosławiąc w duchu pu-  
charek Willie'go z francuskimi pieniędzmi.

— *S'il vous plait, le numero de Gallimard a Paris...* — zwrócił się w łamanej francusz-  
czyźnie do telefonistki.

Zastał ją. *Mademoiselle* Tennyson nie ma telefonu na swoim biurku, ale jeśli rozmówca  
poczeka chwilę, ktoś poprosi ją zaraz do aparatu. Kobieta, obsługująca centralkę w wydaw-  
nictwie *Gallimard*, mówiła po angielsku lepiej niż większość Teksasńczyków.

W głosie Helden von Tiebolt pobrzmiewała ta sama dziwaczna mieszanina portugal-  
skiego i niemieckiego, co w głosie jej siostry, ale nawet w przybliżeniu nie była tak wyraźnie  
zaakcentowana. Noel wyłowił w nim też ślad echa, które tak żywo pamiętał z wymowy Gre-  
tchen, nie zauważył jednak charakterystycznego dla pani Beaumont zacinania się. Helden von  
Tiebolt — *Mademoiselle* Tennyson — wiedziała, co chce powiedzieć, i powiedziała to.

— Dlaczego miałabym się z panem spotykać? Nie znam pana, panie Holcroft.

— To sprawa nie cierpiąca zwłoki. Proszę mi wierzyć.

— Spraw nie cierpiących zwłoki było już w moim życiu aż za wiele. Jestem nimi trochę  
zmęczona.

— Żadna z nich nie może się równać z tą.

— Jak mnie pan znalazł?

— Pewni ludzie... ludzie z Anglii, których pani nie zna, powiedzieli mi, gdzie pani pra-  
cuje. Zaznaczyli jednak, że nie mieszka pani pod adresem, który podała pracodawcy, musia-  
łem więc zatelefonować do pani pod ten numer.

— Byli mną tak zainteresowani, że aż sprawdzali, gdzie mieszkam?

— Tak. To ma związek z tym, co chcę pani powiedzieć.

— Skąd to zainteresowanie moją osobą z ich strony?

— Powiem pani, kiedy się spotkamy. Muszę to pani powiedzieć.

— To niech pan powie teraz.

— Nie przez telefon.

Nastąpiła chwila ciszy. Kiedy dziewczyna odezwała się ponownie, jej słowa były uci-  
nane, precyzyjne... zdradzały obawę.

— A konkretnie, dlaczego chce się pan ze mną zobaczyć? Co takiego nie cierpiącego  
zwłoki może być między nami?

— To dotyczy pani rodziny. Naszych obu rodzin. Widziałem się z pani siostrą. Próbo-  
wałem ustalić miejsce pobytu pani brata...

— Nie rozmawiałam z nimi od ponad roku — przerwała mu Helden Tennyson. — Nie  
mogę panu pomóc.

— To, o czym musimy porozmawiać, dotyczy spraw sprzed trzydziestu lat.

— Nie!

— Chodzi o pieniądze. Duże pieniądze.

— Nie narzekam na swój standard życia. Moje potrzeby...

— One nie są tylko dla pani — powiedział z naciskiem Noel wpadając jej w słowo. —  
Są dla tysięcy. Ze wszystkich zakątków świata.

I znowu na chwilę zapadło milczenie. Potem podjęła cichym głosem:

— Czy to dotyczy wypadków... ludzi z czasów wojny?

— Tak. — Czyżby wreszcie do niej dotarło?

— Spotkajmy się — zdecydowała Helden.

— Czy możemy to tak zaaranżować, by... żeby nas... — nie bardzo wiedział, jak to  
sformułować, żeby jej nie spłoszyć.

— ... nie zobaczyli ci, którzy mogą nas obserwować? Tak, możemy.

— W jaki sposób?

— Mam w tym doświadczenie. Niech pan zrobi dokładnie tak, jak panu powiem. Gdzie

pan jest?

— Na lotnisku w Le Mans. Wynajmę tu samochód i przyjadę do Paryża. Zajmie mi to dwie do trzech godzin.

— Zostawi pan samochód w garażu i przyjedzie taksówką na Montmartre. Pod katedrę Sacre-Coeur. Wejdzie pan do środka, w głąb kościoła do kaplicy Ludwika Dziewiątego. Zapali pan świecę i wstawi ją najpierw do jednego lichtarza, a potem zmieni zdanie i przeniesie do innego. Podejdzie do pana człowiek, który wyprowadzi pana z kościoła na plac i wskaże stolik w jednej z kafejek na świeżym powietrzu. Tam otrzyma pan dalsze instrukcje.

— Nie musimy tak tego komplikować. Nie możemy spotkać się po prostu w barze? Albo w restauracji?

— To nie dla pańskiego bezpieczeństwa, panie Holcroft, lecz dla mojego. Jeśli okaże się, że nie jest pan tym, za kogo się podaje, jeśli nie będzie pan sam, nie podejdę do pana. Jeszcze dzisiaj wieczora wyjadę z Paryża i nigdy już mnie pan nie znajdzie.

# 14

Granitowy, średniowieczny splendor katedry Sacre-Coeur wznosił się w nocne niebo niczym nie kończąca się pieśń kamienia. Przepastna pieczara za ogromnymi, brązowymi podwojami pogrążona była w półmroku, a migotliwe płomyki świec grały na ścianach symfonię cieni.

Od pobliskiego ołtarza do uszu Noela dolatywały ciche tony *Te Deum Laudamus*. Śpiewał, stojący przed ołtarzem w uroczystej zadumie, chór zakonników.

Noel wkroczył w skąpo oświetlony krąg za apsydą, w której mieściły się kaplice królów. Zaczekał, aż wzrok przywyknie do roztańczonych cieni, po czym ruszył wzdłuż balustrad oskrzydających wejścia do małych krypt. Rzędy z rzadka rozmieszczonych świec przyświecały mu na tyle, że był w stanie odczytywać inskrypcje: Ludwik IX, Ludwik Pobożny, Ludwik Sprawiedliwy, Syn Aquitaine, Władca Francji, Sędzia Chrześcijaństwa.

*Pobożny... Sprawiedliwy... Sędzia.*

Czy Helden von Tiebolt próbowała mu w ten sposób coś przekazać?

Wsunął monetę do puszeki modlitewnej, w zamian wyjął cienką, zwężającą się ku górze świecę i przysunął ją do płomienia innej, palącej się w pobliżu. Zgodnie z instrukcjami zatkaną świecę w lichtarzu, a po kilku sekundach wyjął z niego i wsunął w inny, kilka rzędów dalej.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia, czyjeś palce ujęły go za łokieć i czyjś głos z cienia za plecami szepnął mu do ucha:

— Proszę się powoli odwrócić, *monsieur*. Ręce proszę trzymać opuszczone po bokach.

Holcroft posłuchał. Mężczyzna mierzył około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, miał wysokie czoło i przerzedzone, ciemne włosy. Nie liczył sobie więcej niż trzydzieści kilka lat, a jego łagodna twarz sprawiała sympatyczne wrażenie. Jeśli było w nim coś szczególnie rzucającego się w oczy, to tym czymś było jego ubranie. Nawet przytłumione światło nie mogło ukryć faktu, że jest drogie.

Od tego człowieka emanowała aura elegancji wzmagana jeszcze przez dyskretną woń wody kolońskiej. Ale jego manier nie można było uznać za eleganckie ani łagodne. Zanim Noel zdążył się zorientować, dłonie mężczyzny wsunęły się obcesowo pod jego pachy i silne palce zaczęły szybkimi, wprawnymi ruchami przeszukiwać materiał, zatrzymując się dopiero na pasku i kieszeniach spodni.

Holcroft szarpnął się w tył.

— Powiedziałem, stój spokojnie! — syknął mężczyzna.

W blasku świec, przy kaplicy Ludwika IX w katedrze Sacre-Coeur na szczycie Montmartre, obmacywano Noela w poszukiwaniu broni.

— Idź za mną — warknął mężczyzna. — Będę szedł ulicą w kierunku placu, zachowuj spory dystans. Podejdę do dwojga przyjaciół siedzących przy stoliku w ogródku jednej z kafejek na świeżym powietrzu, będzie to prawdopodobnie *Boheme*. Obejdź plac dookoła, nie śpiesz się, przystawaj, żeby popatrzeć na prace artystów. Idź powoli. Potem podejdź do stolika i przysiadz się do nas. Przywitaj się ze wszystkimi, jak ze znajomymi, niekoniecznie jak z przyjaciółmi. Rozumiesz?

— Rozumiem.

Jeśli tylko w ten sposób można dotrzeć do Helden von Tiebolt, niech i tak będzie. Noel podążał w dyskretnej odległości za nieznanym, nie mając większych trudności z odróżnieniem modnie skrojonego płaszcza w gęstwie mniej eleganckich ubrań turystów.

Dotarli do zatłoczonego placu. Mężczyzna przystanął na chwilę, żeby przypalić sobie papierosa, po czym ruszył dalej, przechodząc na drugą stronę ulicy i zbliżając się do stolika oddzielnego od trotuaru skrzynkami kwiatów. Tak jak zapowiedział, przy stoliku siedziało dwoje ludzi. Mężczyzna w obszarpanej wojskowej kurtce oraz kobieta w czarnym płaszczu z białym szalem wokół szyi. Szal kontrastował z jej bardzo ciemnymi, prostymi włosami, tak ciemnymi, jak czarny był płaszcz. Na nosie miała okulary w oprawce ze skorupy żółwia, które przy jej bladej twarzy nie noszącej śladów makijażu stanowiły dysonans. Noel zastanawiał się, czy ta przeciętnie wyglądająca kobieta nie jest czasem Helden von Tiebolt. Jeśli tak, niewiele przypomina swoją siostrę.

Rozpoczął nakazaną przechadzkę wokół placu, udając zainteresowanie wystawianymi wszędzie dziełami sztuki. Były wśród nich płótna z wielkimi barwnymi plamami i grubymi, pociągniętymi bezmyślnie krechami, były szkicowane węglem portrety dzieci o wybałuszonych oczach... Wprawa, szybkość, sztuczność. Niewiele dostrzegało się tu prac wartościowych i z założenia tak właśnie miało być. Był to turystyczny jarmark, bazar, gdzie handluje się tandetą.

„Nic się nie zmieniło na Montmartrze” — myślał Noel skręcając po raz ostatni i torując sobie drogę do kafejki.

Mijając skrzynki z kwiatami, skinął głową dwóm mężczyznom i kobiecie siedzącym przy stoliku w kawiarnianym ogródku. Odkłonili mu się; przeszedł dalej do wejścia, wkroczył do środka i zbliżył się do „znajomych, niekoniecznie przyjaciół”. Usiadł na wolnym krzeselku, które stało obok ciemnowłosej kobiety w okularach o oprawkach ze skorupy żółwia.

— Jestem Noel Holcroft — przedstawił się ogólnie.

— Wiemy — mruknął w odpowiedzi mężczyzna w wojskowej kurtce, przyglądając się obojętnie tłumom przelewającym się po placu.

— Czy mam przyjemność z panią Helden von...? Przepraszam, z Helden Tennyson?

— Nie, nigdy jej nie widziałam — odparła ciemnowłosa kobieta, rzucając wymowne spojrzenie mężczyźnie w wojskowej kurtce. — Ale cię do niej zaprowadzę.

— Jesteś sam? — zwrócił się do Holcrofta mężczyzna w eleganckim płaszczu.

— Naturalnie. Możemy zaczynać? Helden... Tennyson... powiedziała, że otrzymam tu jakieś instrukcje. Chciałbym się z nią zobaczyć, a potem poszukać hotelu. Przez ostatnie kilka dni niewiele spałem. — Zaczął się podnosić od stolika.

— Siadaj! — warknęła kobieta.

Usiadł bardziej z ciekawości aniżeli w reakcji na komendę. I nagle odniósł wrażenie, że ci ludzie wcale go nie sprawdzają. Oni byli przerażeni. Elegancko ubrany mężczyzna przygryzł knykieć wskazującego palca, wpatrując się intensywnie w jakiś punkt pośrodku placu. Jego kolega w wojskowej kurtce trzymał rękę na ramieniu przyjaciela i kierował wzrok dokładnie w tę samą stronę. Patrzyli na kogoś, kogoś, kto poważnie ich zaniepokoił.

Holcroft też tam spojrział, usiłując zobaczyć coś pomiędzy postaciami kłębiącymi się na ulicy przed kafejką. Wstrzymał oddech. Po drugiej stronie ulicy stało dwóch mężczyzn, którym, jak mu się wydawało, wymknął się w Le Mans. To nie miało sensu! Przecież z samolotu nikt za nim nie wysiadł.

— To oni — powiedział.

Elegancko ubrany mężczyzna odwrócił szybko głowę; ten w wojskowej kurtce był wolniejszy, na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania; ciemnowłosa kobieta popatrzyła badawczo na Noela.

— Którzy? — spytała.

— Ci dwaj, tam, przy wejściu do restauracji. Jeden w prochowcu, drugi z płaszczem przewieszonym przez rękę.

— Co to za jedni?

— Dzisiaj po południu byli na Orly, czekali na mnie. Poleciałem do Le Mans, żeby się

im urwać. Jestem niemal pewien, że są brytyjskimi agentami. Ale skąd wiedzieli, gdzie mnie szukać? Nie było ich w samolocie. Nikt mnie nie śledził, mógłbym przysiąc!

Trójka przy stoliku wymieniła spojrzenia; wierzyli mu i Holcroft wiedział, dlaczego. Sam wypatrzył tych dwóch Anglików, z własnej inicjatywy podzielił się tym spostrzeżeniem ze swymi nowymi znajomymi.

— Jeśli są Brytyjczykami, czego mogą od ciebie chcieć? — spytał mężczyzna w wojskowej kurtce.

— To sprawa między Helden von Tiebolt a mną.

— Ale uważasz, że to Brytyjczycy? — nie ustępował mężczyzna w kurtce.

— Tak.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Mężczyzna w płaszczu nachylił się ku niemu.

— Po co poleciałeś do Le Mans? Co się stało?

— Myślałem, że ich zgubię. Byłem przeświadczony, że mi się to udało. Wykupiłem bilet do Marsylii. Dziewczynie za kontuarem dałem do zrozumienia, że muszę się dostać do Marsylii, a potem wybrałem lot z międzylądowaniami. Pierwsze było w Le Mans i tam wysiadłem. Widziałem, jak ją wypytywali. O Le Mans nawet nie wspomniałem!

— Nie gorączkuj się tak — upomniał go mężczyzna w kurtce. — To tylko ściąga uwagę.

— Jesteście szaleni, jeśli sądzicie, że jeszcze mnie nie zauważyli. Ale jak to zrobili?

— To nie takie trudne — odezwała się kobieta.

— Wynajmowałeś samochód? — zapytał elegancko ubrany mężczyzna.

— Oczywiście. Musiałem przecież jakoś wrócić do Paryża.

— Na lotnisku?

— Naturalnie.

— I naturalnie poprosiłeś o mapę. Albo przynajmniej o wskazanie drogi, niewątpliwie wspominając o Paryżu. Z czego wynikało, że wcale nie zamierzasz jechać do Marsylii.

— No tak, ale mnóstwo ludzi tak robi.

— Nie takie znowu mnóstwo i nie na lotnisku, które ma połączenie lotnicze z Paryżem. A już na pewno nikt z twoim nazwiskiem. Nigdy nie uwierzę, że posługujesz się fałszywymi dokumentami. Holcroft zaczynał rozumieć.

— Sprawdzili — powiedział z niesmakiem.

— Wystarczyła jedna osoba i telefon; nie zajęło to więcej niż kilka minut — powiedział mężczyzna w wojskowej kurtce. — A nawet mniej, jeśli zgłoszono, że wysiadłeś z samolotu w Le Mans.

— Francuz nie przepuściłby okazji odsprzedania biletu na zwolnione miejsce — do rzucił mężczyzna w eleganckim płaszczu. — Teraz rozumiesz? Na lotniskach nie ma tak wielu agencji wynajmujących samochody. Znają już pewnie markę wozu, kolor, numery. Reszta to fraszka.

— Dlaczego fraszka? Znaleźć jeden samochód w wielkim Paryżu?

— Nie w Paryżu, *monsieur*. Na szosie do Paryża. Prowadzi do niego tylko jedna główna autostrada. Jest wielce prawdopodobne, że ją właśnie wybierze obcokrajowiec. Wypatrzyli cię, zanim dojechałeś do Paryża.

Noel popadł w depresję. Jego bezmyślność aż nadto rzucała się w oczy.

— Przepraszam. Naprawdę, bardzo przepraszam.

— Nie zrobiłeś tego umyślnie — powiedział elegancki mężczyzna, koncentrując się znowu na Anglikach, którzy siedzieli teraz w pierwszej łoży restauracji pośrodku placu. Dotknął ramienia mężczyzny w wojskowej kurtce.

— Siedzą.

— Widzę.

— Co zrobimy? — spytał Holcroft.  
— Zaraz zobaczysz — odparła ciemnowłosa kobieta. — Rób dokładnie to, co ci powiemy.  
— Teraz — syknął mężczyzna w eleganckim płaszczu.  
— Wstań! — rozkazała kobieta. — Wyjdź ze mną na ulicę i skręć w prawo. Szybko! — Holcroft podniósł się oszołomiony z krzeselka i wyszedł z kafejki. Palce kobiety wpijały mu się w ramię. Zeszli z krawężnika.  
— W prawo! — powtórzyła.  
Skręcili w prawo.  
— Szybciej! — ponagliła go.  
Usłyszał za sobą brzęk tłuczonego szkła, a zaraz potem gniewne okrzyki. Obejrzał się. Anglicy opuszczając swoją łóżę zderzyli się z kelnerem i teraz wszyscy spływali winem.  
— Jeszcze raz w prawo! — zakomenderowała kobieta.— W te drzwi!  
Posłuchał i zaczął łokciami torować sobie drogę przez tłum tarasujący wejście do innej kafejki. Gdy znaleźli się w środku, kobieta poleciła mu się zatrzymać. Instynktownie odwrócił się i spojrzał na rozgrywającą się na placu scenę.  
Anglicy usiłowali się uwolnić od rozwścieczonego kelnera. Mężczyzna w płaszczu rzucał właśnie pieniądze na stolik. Jego towarzysz poczynił większe postępy, był już przy drewnianej kratownicy oddzielającej wnętrze restauracji od ulicy i spoglądał z przejęciem w lewo — w kierunku, w którym odszedł Holcroft z dziewczyną.  
Noel usłyszał jakieś krzyki. Niespełna sześć metrów od miejsca, w którym stali agenci, dostrzegł ciemnowłosą kobietę w czarnym, połyskliwym płaszczu przeciwdeszczowym, w okularach w grubej oprawce ze skorupy żółwia i w białym szalu na szyi. Stała tam krzycząc na kogoś wystarczająco głośno, by ściągnąć na siebie uwagę wszystkich znajdujących się w pobliżu. Nie wyłączając Anglików.  
Nagle umilkła i pobięła zatłoczoną ulicą w kierunku południowego końca Montmartre'u. Brytyjscy agenci rzucili się za nią w pogoń. Ich pościg został niespodziewanie spowolniony przez kilku młodych ludzi ubranych w dżinsowe stroje. Zdawali się celowo blokować drogę. Wybuchła dzika wrzawa, nad którą wkrótce rozległy się przenikliwe gwizdki żandarmerów.  
Rozpętało się istne piekło.  
— Teraz! Szybko! — ciemnowłosa kobieta stojąca obok Noela pochwyciła go za ramię i wypchnęła na ulicę. — W lewo! — rzuciła pchając go przez ciżbę. — Z powrotem tam, gdzie byliśmy.  
Zmierzali do stolika za skrzynkami kwiatów. Siedział przy nim już tylko mężczyzna w eleganckim płaszczu, który na ich widok wstał.  
— Może być ich więcej — powiedział. — Trudno powiedzieć. Pośpieszcie się!  
Holcroft i kobieta pobiegli dalej. Wpadli w boczną uliczkę, nie szerszą od dużej parkowej alei, po której obu stronach ciągnęły się małe sklepiki. Ich skąpo iluminowane witryny stanowiły jedyne źródło oświetlenia.  
— Tędy! — rzuciła kobieta trzymająca teraz Noela za rękę i biegnąca z nim ramię w ramię. — Po prawej stronie czeka samochód. Ten pierwszy od narożnika.  
Był to citroen. Wyglądał solidnie, ale nie rzucał się w oczy. Jego karoserię pokrywały warstwy kurzu, a koła były brudne, upačkane zeschlým błotem. Warstewka kurzu osiadła nawet na szybach.  
— Wsiadaj za kierownicę! Będiesz prowadził — zakomenderowała kobieta wręczając mu kluczyki. — Ja pojedę na tylnym siedzeniu.  
Holcroft wsiadł do samochodu i usiłował pozbierać myśli. Zapуścił silnik. Jego wibracje wprawiły w drżenie karoserię. Był potężny, przeznaczony dla cięższego samochodu, lżejszemu zaś gwarantował rozwijanie ogromnej szybkości.



— Jedziemy prosto w dół — poleciła siedząca za nim kobieta. — Powiem ci, gdzie masz skręcić.

Następne czterdzieści pięć minut rozmazały się w serii zrywów i nagłych zmian kierunku. Kobieta wydawała instrukcje w ostatnim momencie, zmuszając starającego się sumiennie je wypełniać Noela do gwałtownych skrętów kierownicą. Z krętego ślimaka na północnych peryferiach Paryża wypadli na pełnym gazie na autostradę. Citroen wszedł w wiraż z poślizgiem, zatoczył się i przechylił, wjeżdżając lewymi kołami na trawiastą, biegnącą środkiem autostrady skarpę oddzielającą pasy ruchu. Holcroft, ściskając z całej siły kierownicę, wyprowadził najpierw wóz z poślizgu, a następnie przemknął pomiędzy dwoma wyprzedzającymi go, sunącymi niemal równoległe do siebie, samochodami.

— Szybciej! — wrzasnęła z tylnego siedzenia ciemnowłosa kobieta. — Nie możesz szybciej?

— Jezu! Mamy ponad sto pięćdziesiąt na liczniku!

— Ty patrz tylko w lusterka! Ja będę uważała na boczne drogi! I dodaj gazu!

Przez dziesięć minut jechali w milczeniu. Ciszę mącił jedynie świst powietrza, rozcinanego masą pędzącego wozu i doprowadzający do szaleństwa wysoko tonowy wizg opon po asfalcie. „Wszystko prowadzi do szaleństwa” — pomyślał Noel przenosząc wzrok z przedniej szyby to na lusterko wsteczne, to na zasnutę kurzem lusterko boczne. O co tu chodzi? Wyjeżdżają z Paryża. Uciekają. Przed kim tym razem? Nie było czasu na zastanawianie, kobieta znowu wrzeszczała.

— Następny zjazd z autostrady!

Ledwie zdążył przyhamować i skręcić we wskazany zjazd. Z piskiem opon zatrzymał samochód przed znakiem stop.

— Jedź! Teraz w lewo!

Trwający ułamki sekund postój stanowił jedyną przerwę w trwającym szaleństwie. Znowu się zaczęło: jazda na złamanie karku ciemnymi, bocznymi drogami, nagłe skręty, rozkazy rzucane do ucha ochrypłym głosem.

Księżycowa poświata oblewająca splendor katedry Sacre-Coeur wyłuskiwała teraz z mroku połacie usianych kamieniami pól uprawnych. Wśród nich majaczyły nieregularne sylwetki stodół i spichlerzy; pojawiały się i znikwały małe chaty o krytych słomą strzechach.

— W tę drogę! — krzyknęła kobieta.

Ale nie była to właściwie droga, lecz bity trakt, odbiegający pod kątem od asfaltowej nawierzchni, którą aktualnie jechali. Ktoś, kto nie wiedział, gdzie ani kiedy spojrzeć, nie dostrzegłby go pośród drzew. Noel zwolnił i skręcił w gościniec. Wóz podskakiwał na wybojach, ale głos zza pleców nie zezwalał na ostrożniejszą jazdę.

— Szybciej! Musimy przemknąć przez szczyt wzgórza niepostrzeżenie, by nie zauważono naszych świateł!

Podjazd pod wzniesienie był stromy, a droga tak wąska, że nie zmieściłyby się na niej dwa pojazdy obok siebie. Holcroft wcisnął mocniej pedał gazu. Citroen wyrwał pod górę prymitywnym traktem. Osiągnęli szczyt. Noel ścisnął kierownicę obawiając się utraty kontroli nad samochodem. Zjazd był karkołomny; droga zakreślała ostro w lewo, aby znów powrócić do poziomu. W końcu znaleźli się na płaskim terenie.

— Stąd już niecałe pół kilometra — powiedziała kobieta.

Holcroft był wykończony. Dłonie miał wilgotne od potu. Znajdowali się w najodludniejszym i najciemniejszym miejscu, jakie potrafił sobie wyobrazić. Pośród gęstego lasu, na drodze nie zaznaczonej na żadnej mapie.

I wtedy ją zobaczył. Małą, krytą słomą chatynkę stojącą na kawałku ziemi wydartej lasom. W środku paliło się przytłumione światło.

— Zatrzymaj się tutaj — padł rozkaz.

Ustawił wóz przed ścieżką prowadzącą do chaty. Kilka razy głęboko odetchnął i otarł pot z twarzy, zamykając na moment oczy i modląc się o ustąpienie bólu rozsadzającego mu głowę.

— Proszę zawrócić, panie Holcroft — powiedziała kobieta zupełnie już spokojnym tonem.

Uczynił to i obejrzał się w ciemnościach. Kobieta wciąż zajmowała tylne siedzenie. Błyszczące, czarne włosy i okulary w grubych oprawkach gdzieś znikły. Biały szal pozostał, ale przysłaniały go częściowo długie blond włosy spływające kaskadą na ramiona. Zobaczył też twarz, bardzo ładną twarz, którą już widział. Nie akurat tę, ale podobną; delikatne rysy wymodelowane pięknie w glinie, zanim dłuto dotknęło kamienia. Ta twarz nie była chłodna ani oczy nieobecne. Wyzierały z nich wrażliwość i zaangażowanie. Kobieta odezwała się cicho, odwzajemniając w ciemnościach jego spojrzenie.

— Jestem Helden von Tiebolt i trzymam w ręku pistolet. A więc czego pan ode mnie chce?

# 15

Spojrzał w dół i dostrzegł nagle refleksy światła na lufie pistoletu automatycznego. Lufa była wymierzona w jego głowę; wylot dzieliło od niej zaledwie kilka centymetrów, a zgięty palec kobiety spoczywał na spuście.

— Po pierwsze chcę — mruknął — aby pani to odłożyła.

— Przykro mi, ale nie mogę tego uczynić.

— Jest pani ostatnią osobą na ziemi, którą chciałbym widzieć skrzywdzoną. Z mojej strony nie ma się pani czego obawiać.

— Pańskie słowa są pokrzepiające, ale już nieraz słyszałam takie zapewnienia. Nie zawsze okazywały się szczerze.

— Moje są szczerze. — Przebijając wzrokiem półmrok, popatrzył jej bez zmrużenia powiek w oczy. Napięcie ścinające jej rysy zelżało. — Gdzie jesteśmy? — spytał. — Czy całe to szaleństwo było konieczne? Ta rozróża na Montmartrze, ta zwariowana jazda polnymi drogami? Przed czym pani ucieka?

— O to samo mogłabym spytać pana. Pan też ucieka. Zaleciał pan aż do Le Mans.

— Chciałem uniknąć spotkania z pewnymi ludźmi. Ale się ich nie obawiam.

— Ja też unikam ludzi, ale ich się boję.

— Kogo? — nawiedziło go widmo Tinamou. Spróbował się od niego uwolnić.

— Może panu powiem, a może nie, zależnie od tego, co pan ma mi do powiedzenia.

— Niech będzie. W tej chwili jest pani najważniejszą osobą w moim życiu. Może to ulec zmianie, kiedy spotkam się z pani bratem, ale teraz tą osobą jest pani.

— Nie pojmuję dlaczego. Nie znamy się. Powiedział pan, że chce się ze mną zobaczyć w sprawach sięgających swymi korzeniami czasów wojny.

— Mówiąc ściślej, mających związek z pani ojcem.

— Nigdy nie poznałam ojca.

— Żadne z nas ich nie znało.

Powtórzył to, co powiedział już jej siostrze, nie wspominając jednak o ludziach *Wolfsschanze*. I tak była dostatecznie przerażona. I ponownie, niczym echa ostatniej nocy, wysłuchał swoich własnych słów z Portsea. To było zaledwie wczoraj, a kobieta, do której mówił teraz, przypominała tamtą kobietę — ale tylko zewnętrznie. Gretchen Beaumont słuchała w milczeniu, Helden nie. Przerzywała mu spokojnie, ustawicznie, zadając pytania, które sam powinien już sobie zadać.

— Czy ten Manfredi okazał ci dowód swojej tożsamości?

— Nie musiał, miał dokumenty z banku. Były autentyczne.

— Jak nazywają się ci dyrektorzy?

— Jacy dyrektorzy?

— Z Grande Banque de Geneve. Nadzorcy tego niezwykłego dokumentu.

— Nie wiem.

— Powinieneś zostać o tym poinformowany.

— Zapytam.

— Kto zajmie się prawnymi aspektami działalności agencji w Zurychu?

— Przypuszczam, że bankowi radcy prawni.

— Przypuszczasz?

— Czy to ważne?

— To sześć miesięcy twojego życia. Według mnie, to ważne.

— Naszego życia.

— Jeszcze zobaczymy. Nie jestem najstarszym dzieckiem Wilhelma von Tiebolta.  
— Telefonując z Le Mans powiedziałem ci, że spotkałem się z twoją siostrą — przypomniał jej Holcroft.

— No i?

— Chyba się domyślasz. Ona się nie nadaje. Dyrektorzy z Genewy nie zaakceptują jej.

— Jest jeszcze mój brat, Johann. On jest następny pod względem starszeństwa.

— Wiem. Właśnie chcę o nim porozmawiać.

— Nie teraz. Później.

— Jak mam to rozumieć?

— Wspomniałam przez telefon, że w moim życiu było już aż za wiele spraw nie cierpiących zwłoki. Aż za wiele było w nim też kłamstw. Jestem ekspertem w tej dziedzinie, poznaję kłamcę po jego słowach. Ty nie kłamiesz.

— Dzięki za to. — Noelowi ulżyło, mieli podstawę do dalszych rozmów. To był pierwszy konkretny krok. W pewnym sensie czuł się mimo wszystko radośnie podniecony. Dziewczyna opuściła pistolet na kolana.

— Teraz musimy wejść do środka. Czeka tam człowiek, który chce z tobą porozmawiać.

Jej słowa podziały na podniecenie Holcrofta jak zimny prysznic. Nie mógł się dzielić informacjami o Genewie z nikim, poza członkami rodziny von Tieboltów.

— Nie — burknął potrząsając głową. — Z nikim nie będę rozmawiał. To, o czym mówiliśmy, musi pozostać między nami. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć.

— Daj mu szansę. Musi się przekonać, że nie zamierzasz wyrządzić krzywdy mnie ani komukolwiek. Musi nabrać pewności, że nie bierzesz udziału w niczym innym.

— W czym?

— On ci to wyjaśni.

— Będzie zadawał pytania.

— Odpowiadaj według swojego uznania.

— Nie! Nic nie rozumiesz. O Genewie nie wolno mi nic powiedzieć. Ani słowa, tobie zresztą także. Staralem się ci wytłumaczyć...

Urwał. Helden uniosła automat.

— Mam ciągle w ręku pistolet. Wsiadaj z wozu.

Mając ją za plecami, ruszył krótką ścieżynką w kierunku drzwi chaty. Otaczające ją drzewa przesączały tylko rachityczną poświatę księżycowego blasku. Tak słabą, że zdawała się rozpraszać w powietrzu.

Noel poczuł naraz rękę Helden obejmującą go w pasie i ucisk lufy pistoletu na nasadę kręgosłupa.

— Masz tu klucz. Otwórz drzwi. On ma trudności z poruszaniem.

Mała izdebka, do której weszli, była taka, jakiej można się było spodziewać w tego rodzaju chacie na zapadłej francuskiej wsi. Z jednym wszakże wyjątkiem: wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się półki z książkami. Poza tym, wszystko tu było proste, rzecz można prymitywne — solidne bezstylowe sprzęty, ciężkie, staromodne biurko, kilka zgaszonych lamp z prostymi abażurami, drewniana podłoga, grube, wyprawione gipsem ściany. Książki jakoś tu nie pasowały.

W głębi izby, w kącie, w fotelu na kółkach siedział wymizerowany mężczyzna. Wpasował się ze swoim fotelem pomiędzy krótki stolczyk a stojącą lampę, której światło padało ponad jego lewym ramieniem na trzymaną na kolanach książkę. Włosy miał siwe, przerezione, starannie zaczesane. W ocenie Holcrofta był dobrze po siedemdziesiątce. Pomimo widocznego wyniszczenia, jego twarz zachowała zdecydowany wyraz, a oczy za okularami w drucianej oprawce, czujność. Miał na sobie wełniany blezer zapięty pod szyję i sztruksowe spodnie.

— Dobry wieczór, *Herr Oberst* — przywitała go Helden. — Mam nadzieję, że nie kazał panu długo czekać.

— Dobry wieczór, Helden — odparł starzec odkładając książkę. — Jesteś tutaj i wyraźnie nic ci nie grozi. To najważniejsze.

Noel gapił się jak zahipnotyzowany na wymizerowaną postać. Starzec położył dłonie na poręczach fotela i dźwignął się z niego powoli. Był nadzwyczaj wysoki, mierzył sobie ponad metr osiemdziesiąt. Mówił dalej z wyraźnym niemieckim i równie wyraźnie arystokratycznym akcentem.

— A więc to pan jest tym młodym człowiekiem, który telefonował do panny Tennyson — stwierdził. — Mnie nazywają po prostu *Oberst* — pułkownik — której to rangi nie nosiłem, ale obawiam się, że będę musiał.

— To Noel Holcroft. Jest Amerykaninem i tym właśnie człowiekiem. — Helden odstąpiła krok w lewo, tak by widać było pistolet, który wciąż trzymała w ręku. — Jest tutaj wbrew swojej woli. Nie chciał z panem rozmawiać.

— Miło mi pana poznać, panie Holcroft — pułkownik skinął głową i wyciągnął rękę. — Czy mogę spytać, czemu nie kwapił się pan do rozmowy ze starym człowiekiem?

— Nie wiem, kim pan jest — odparł Noel tak chłodno, jak tylko potrafił. — Ponadto, sprawy, które omawiałem z panną... Tennyson... są poufne.

— Czy ona też tak uważa?

— Niech pan ją zapyta. — Holcroft wstrzymał oddech. Za parę sekund dowie się, na ile był przekonujący.

— Jeśli to, co mówił, jest prawdą, to tak — powiedziała Helden. — A sędzę, że nie kłamał.

— Rozumiem. Ale musisz się upewnić, a ja jestem adwokatem diabła bez uprawnień. — Starzec znowu opadł na fotel.

— Co to znaczy? — spytał Noel.

— O poufne sprawy nie będzie pan nagabywany, muszę jednak zadać kilka pytań, na które odpowiedzi rozproszą być może pańskie obawy. Widzi pan, panie Holcroft, mnie nie trzeba się bać. Wprost przeciwnie, to my możemy mieć wszelkie podstawy, by obawiać się pana.

— Dlaczego? Nie znam pana, pan nie zna mnie. W cokolwiek jest pan zaangażowany, nie ma to nic wspólnego ze mną.

— Wszyscy musimy się co do tego upewnić — powiedział starzec. — W czasie rozmowy telefonicznej z Helden wspominał pan, iż sprawa jest pilna, dotyczy dużej sumy pieniędzy i sięga korzeniami trzydziestu lat wstecz.

— Przykro mi, że to panu powiedziała — przerwał mu Noel. — Nawet to już za wiele.

— Powiedziała niewiele więcej — ciągnął pułkownik. — Tylko tyle, że widział się pan z jej siostrą i że interesuje się pan jej bratem.

— Powtórzę to jeszcze raz: sprawa jest poufna.

— I na koniec — kontynuował starzec, jakby w ogóle nie słyszał słów Noela — że pragnie pan spotkać się z nią potajemnie. Przynajmniej tak to odebrała.

— Kierowały mną względy osobiste — powiedział Noel. — Nic panu do tego.

— Czyżby?

— Tak.

— A więc podsumujmy. — Pułkownik, nie odrywając oczu od Holcrofta, zetknął ze sobą palce obu dłoni. — W grę wchodzi pośpiech, duża suma pieniędzy, sprawy sięgające korzeniami trzech dziesięcioleci wstecz, zainteresowanie potomstwem wysokiego rangą członka Naczelnego Dowództwa Trzeciej Rzeszy oraz — co być może najważniejsze — potajemne spotkanie. Czy to wszystko czegoś nie sugeruje?

Noel nie miał ochoty wdawać się w spekulacje.

— Nie mam pojęcia, co to panu sugeruje.  
 — Powiem więc prosto z mostu. Pułapkę.  
 — Pułapkę?  
 — Kim pan jest, panie Holcroft? Agentem ODESSY? A może żołnierzem *Rache*?  
 — ODESSY?... albo... czego? — bąknął Holcroft.  
 — *Rache* — powtórzył starzec z naciskiem w głosie.  
 — Rah-kuh? — Noel nie umknął wzrokiem przed przenikliwym spojrzeniem kaleki. — Nie wiem, o czym pan mówi.  
*Oberst* zerknął na Helden, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Noela.  
 — Nie słyszał pan o tych organizacjach?  
 — O ODESSIE słyszałem. Ale o tej... Rah-kuh... czy jak ją pan tam nazwał, nie wiem nic.  
 — To werbownicy i mordercy. Jedni i drudzy prowadzą werbunek. Jedni i drudzy zabijają. I ODESSA, i *Rache*. To prześladowcy dzieci.  
 — Prześladowcy dzieci? — Noel potrząsnął głową. — Musi pan wyrażać się jaśniej, bo nie mam zielonego pojęcia, o czym mowa.  
 Starzec i Helden ponownie wymienili spojrzenia. Znaczenia tej wymiany Noel nie potrafił rozszyfrować. Po chwili *Oberst* znowu zwrócił na niego wzrok i jego badawcze oczy wwierciły się weń, jakby studiując wytrawnego kłamcę, szukając oznak fałszu albo szczerości.  
 — Wyłożę to panu w prostych słowach — powiedział. — Czy jest pan jednym z tych, którzy polują na dzieci nazistów? Którzy tropią je po całym świecie, zabijając w odwecie za zbrodnie, których nie popełniły. Albo grożąc im dokumentami, z których wynika, że ich rodzice byli potworami, obiecując przedstawić je opinii publicznej, ich zaś napiętnować jako potomków psychopatów i morderców, jeśli nie dadzą się zwerbować? Tacy są ludzie polujący na te dzieci, panie Holcroft. Czy jest pan jednym z nich?  
 Noel zamknął z ulgą oczy.  
 — Nie mogę panu powiedzieć, jak bardzo się myli. Nic więcej panu nie powiem, ale jest pan w wielkim błędzie.  
 — Musimy mieć pewność.  
 — Możecie być pewni. Nie mam z tym nic wspólnego. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Ci ludzie nie są normalni.  
 — Tak, oni nie są normalni — przyznał *Oberst*. — Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wisenthalowie z prawdziwego zdarzenia poszukują rzeczywistych potworów, przestępców, którzy uszli kary i wciąż jeszcze śmieją się z Norymbergi, i przeciw temu nie możemy występować. Ale prześladowaniu dzieci trzeba położyć kres.  
 Noel zwrócił się do Helden.  
 — Czy przed tym właśnie uciekasz? Po tylu latach wciąż cię tropią?  
 — Akty gwałtu mają miejsce co dnia — odpowiedział za nią stary. — Wszędzie.  
 — To dlaczego o tym się nie mówi? — zapytał Holcroft. — Dlaczego nie ma nic o tym w gazetach? Dlaczego te historie są wyciszane?  
 — A czy to kogoś w ogóle obchodzi? — spytał pułkownik. — Czy los dzieci nazistów coś dla kogoś znaczy?  
 — Na miłość boską, przecież to dzieci! — Noel znowu spojrzął na Helden. — Czy dzisiejsze wypadki miały z tym coś wspólnego? Musicie się wzajemnie ochraniać.  
 — Nazywają nas „dziećmi piekiel” — powiedziała spokojnie córka von Tiebolta. — Potępionymi za to, czym jesteśmy i czym nie jesteśmy.  
 — Nic nie rozumiem — zaprotestował Holcroft.  
 — Nie ma potrzeby, żebyś rozumiał. — Stary żołnierz podniósł się znowu, powoli próbując wyprostować się na swą dawną, imponującą wysokość. — Ważne jest tylko to, żeby-

śmy zyskali pewność, iż nie należysz do żadnej z tych armii. Czy to ci wystarczy, Helden?

— Tak.

— Czy to wszystko, o czym chciałaś mnie poinformować?

Kobieta skinęła głową.

— To mi wystarczy.

— A zatem mnie też. — Pułkownik wyciągnął do Noela rękę. — Dziękuję, że pan przyszedł. Helden wyjaśni panu, że wieść o moim istnieniu nie jest szeroko rozpowszechniona, nie chcemy też, aby się rozeszła. Będziemy zobowiązani, jeśli zachowa pan dyskrecję.

Holcroft przyjął oferowaną dłoń zaskoczony siłą uścisku starca.

— O ile mogę liczyć na to samo z waszej strony.

— Ma pan na to moje słowo.

— A więc pan ma moje — powiedział Noel.

Reflektory cięły mrok przed maską wozu. Holcroft siedział za kierownicą, Helden, zajmująca teraz miejsce obok niego, na przednim siedzeniu, spełniała rolę pilota to kiwając ze znużeniem głową, to pokazując palcem zakręty. Nie było już krzyków ani szorstkich rozkazów wywarkiwanych w ostatniej chwili. Jechali w milczeniu. Wypadki tej nocy zdawały się wyczerpać Helden tak samo, jak jego. Ale ta noc jeszcze się nie skończyła; musieli porozmawiać.

— Czy to wszystko było konieczne? — zagaił. — Czy takie ważne było, żeby mnie sobie obejrzał?

— Bardzo. Musiał się upewnić, czy nie masz powiązań z ODESSĄ. Albo z *Rache*.

— Co to właściwie za organizacje? Mówił tak, jakby zakładał, że wiem. Szczerze mówiąc, nie rozumiałem go.

— To dwie ekstremistyczne, zwalczające się nawzajem organizacje. Obie skupiają fanatyków i obie nastają na nas.

— Na jakich nas?

— Na dzieci dawnych liderów partii. Gdziekolwiek jesteśmy, gdziekolwiek rzucił nas los.

— Dlaczego?

— ODESSA dąży do reaktywowania partii nazistowskiej. Członkowie ODESSY są wszędzie.

— Mówisz poważnie? Oni naprawdę istnieją?

— Naprawdę. Jak najpoważniej. Wachlarz metod werbunkowych ODESSY rozciąga się od szantażu po przymus fizyczny. To gangsterzy.

— A ta... Rah-kuh?

— *Rache*. To po niemiecku „zemsta”. Z początku było to stowarzyszenie utworzone przez ludzi, którzy przeżyli piekło obozów koncentracyjnych. Tropili sadystów i morderców, tysiące katów, którzy nigdy nie stanęli przed sądem.

— A więc to organizacja żydowska?

— Tak, w *Rache* są też i Żydzi, ale teraz stanowią tam mniejszość. Izraelici utworzyli własne grupy o podobnym charakterze i działają z Tel-Awihu oraz z Hajfy. *Rache* jest organizacją przede wszystkim komunistyczną. Wielu uważa, że została opanowana przez KGB. Inni sądzą, że przyciąga rewolucjonistów z Trzeciego Świata. „Zemsta”, na którą powoływali się na początku, przeistoczyła się w coś innego. *Rache* stanowi obecnie azyl dla terrorystów.

— Ale czego chcą od was?

Helden popatrzyła na niego w ciemnościach.

— Żebyśmy się do nich przyłączyli. Tak jak wszędzie, i w naszych szeregach zdarzają się elementy rewolucyjne. *Rache* ich przyciąga. Reprezentuje przeciwieństwo tego, przed

czym uciekają. Jednak dla większości z nas nie różni się ona niczym od partii w najgorszym tego słowa znaczeniu. A wobec tych z nas, którzy nie chcą wstąpić w jej szeregi, *Rache* stosuje mniej przyjemną taktykę. Stajemy się kozłami ofiarnymi, faszystami, których tępią. Wykorzystują nasze nazwiska — często nasze trupy — by wmawiać ludziom, że naziści nadal istnieją. Podobnie, jak w przypadku ODESSY, sprowadza się to często do hasła „zwerbować albo zabić”.

— To niedorzeczne — zachnął się Noel.

— Owszem, niedorzeczne — przytaknęła Helden. — Ale bardzo realne. My nic nie mówimy; nie dążymy do zwracania na siebie uwagi. A zresztą, kogo by to obchodziło? Jesteśmy przecież dziećmi nazistów.

— ODESSA, *Rache*... Nikt z moich znajomych nic o nich nie wie.

— Nikt z twoich znajomych nie ma powodu, żeby wiedzieć.

— Kim jest *Oberst*?

— Wielkim człowiekiem, który musi pozostać przez resztę życia w ukryciu, ponieważ ma sumienie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Był członkiem Naczelnego Dowództwa i widział te okropieństwa. Zdawał sobie sprawę, że otwarty protest nic nie da. Ci którzy tego próbowali, zostali zgładzeni. Zamiast tego pozostał na swoim stanowisku i wykorzystując je, cofał rozkaz za rozkazem. Ocalił w ten sposób Bóg wie ile istnień ludzkich.

— Nie ma w tym niczego haniebnego.

— Robił to w jedyny możliwy sposób. Po cichu, wykorzystując biurokratyczny bałagan, jaki panował w dowództwie, bez rozgłosu. A potem alianci postawili go przed sądem z racji jego pozycji w Rzeszy i spędził w więzieniu osiemnaście lat. Kiedy wreszcie wyszła na jaw jego działalność, został znieawidzony przez tysiące Niemców, którzy obwołali go zdrajcą. Przez niedobitki korpusu oficerskiego została wyznaczona cena za jego głowę.

— Potępiony za to, czym był, i za to, czym nie był — mruknął Noel przypominając sobie słowa Helden.

— Właśnie — odparła pokazując nagle zakręt, którego omal nie przegapiła.

— Na swój sposób — powiedział Noel skracając kierownicę — *Oberst* przypomina tych trzech ludzi, którzy sporządzili genewski dokument. Czy nie przyszło ci to do głowy?

— Owszem, przyszło.

— Musiało cię kusić, żeby mu powiedzieć.

— Właściwie to nie. Prosiłeś mnie przecież, żebyśmy tego nie robiła.

Spojrzał na nią; obserwowała drogę. Twarz miała zmęczoną, ściągniętą, skórę bladą, co podkreślały ciemne sińce pod oczami. Sprawiała wrażenie osamotnionej i w tę samotność nie wolno się było beztrudno wdzierać. Ale noc jeszcze się nie skończyła. Mieli sobie wiele do powiedzenia; na podjęcie czekały decyzje.

Noel powoli nabierał przekonania, że na reprezentanta rodziny von Tieboltów w Genewie wybrane zostanie najmłodsze dziecko Wilhelma von Tiebolta.

— Czy możemy zatrzymać się w jakimś spokojnym miejscu? Wydaje mi się, że odrobina czegoś mocniejszego przydałaby się nam obojgu.

— Jest taki mały zajazd jakieś siedem kilometrów stąd. Stoi daleko od szosy, nikt nas tam nie zobaczy.

Gdy zjeżdżali z szosy, wzrok Noela przyciągnęło coś we wstecznym lusterku. Błysk odbijających się w nim reflektorów. Był to nietypowy zjazd z paryskiej autostrady, nietypowy w tym sensie, że nie sygnalizował go żaden drogowszak; był nie oznakowany. Fakt, że jadący za nimi kierowca miał powód, by wybrać ten akurat zjazd, stanowił chyba zbyt wielki zbieg okoliczności. Holcroft chciał to skomentować, kiedy stała się rzecz dziwna.



Światła, jeszcze przed chwilą widoczne w lusterku wstecznym, znikły. Po prostu już ich tam nie było.

Zajazd był kiedyś wiejskim domem; część pastwiska wysypano żwirem i urządzono parking. Małą salkę jadalną oddzielało od baru łukowate przejście. W środku siedziały jeszcze dwie pary. Byli to najwyraźniej paryżanie spożywający dyskretne obiady w towarzystwie osób, z którymi nie mogli się pokazywać w Paryżu. W czujnych spojrzeniach rzuconych nowo przybyłym nie było śladu sympatii. W głębi salki znajdował się kominek pełen płonących szczap. To miejsce dobrze się nadawało na rozmowę przy kieliszku.

Wskazano im stolik na lewo od paleniska. Po chwili przyniesiono dwie zamówione brandy.

— Miło tutaj — stwierdził Noel rozgrzany ciepłem bijącym od płomieni i alkoholem.  
— Jak odkryłaś to gniazdko?

— Jest po drodze do pułkownika. Zatrzymujemy się tu często z przyjaciółmi, żeby sobie pogawędzić.

— Nie masz nic przeciwko temu, żebym zadał ci kilka pytań?

— Pytaj.

— Kiedy wyjechałaś z Anglii?

— Około trzech miesięcy temu. Kiedy zaproponowano mi tę pracę.

— Czy w londyńskiej księżce telefonicznej figurowałaś jako Helen Tennyson?

— Tak. W języku angielskim imię „Helden” zdaje się wymagać ciągłego wyjaśniania, byłam już tym zmęczona. W Paryżu to zupełnie co innego. Francuzi nie interesują się takimi sprawami.

— Ale nie używasz nazwiska „von Tiebolt”. — Holcroft dostrzegł cień urazy przemijający przez jej twarz.

— Nie.

— Dlaczego zmieniłaś je na „Tennyson”?

— Wydaje mi się, że to dosyć oczywiste. „Von Tiebolt” nazwisko rdzennie niemieckie. Gdy wyjeżdżaliśmy z Brazylii do Anglii, taka zmiana wydawała się uzasadniona.

— Chodziło po prostu o formalną zmianę? O nic więcej? Obserwował ją uważnie; w jej głosie wyczuwał fałsz. Nie umiała

dobrze łączyć. Coś ukrywała, ale wypominanie jej tego teraz tylko by ją sprowokowało. Dał sobie z tym spokój.

— Co wiesz o swoim ojcu? — zmienił temat.

Znowu spojrzała na niego.

— Bardzo niewiele. Matka go kochała i z tego, co mówiła, był człowiekiem lepszym, niż świadczyłyby lata, które spędził w służbie Trzeciej Rzeszy. Ale przecież sam to potwierdziłeś, nieprawdaż? Pod koniec stał się człowiekiem wielkiej moralności.

— Opowiedz mi o swojej matce.

— Ledwie uszła z życiem. Uciekła z Niemiec z zaledwie kilkoma sztukami biżuterii, dwójkiem dzieci i płodem w łonie. Nie miała zawodu, nie posiadała żadnych umiejętności, ale potrafiła pracować i wzbudzała... zaufanie. Zaczęła jako sprzedawczyni w sklepach odzieżowych. Pozyskiwała klientów, robiła użytek ze swego wycucia w kwestii eleganckiego ubierania się, budując w ten sposób podwaliny do otwarcia własnego interesu. W praktyce było to kilka interesów. Nasz dom w Rio de Janeiro był dość komfortowy.

— Twoja siostra określiła go jako... azyl, który przeistoczył się w rodzaj piekła.

— Moja siostra lubuje się w melodramatach. Nie było aż tak źle. Jeśli nawet patrzono na nas z ukosa, istniał po temu pewien powód.

— Jaki?

— Moja matka była bardzo atrakcyjną kobietą...  
— Podobnie jak jej córki — wpadł jej w słowo Noel.  
— Tak mi się wydaje — przyznała obojętnie Helden. — Nigdy nie przykładałam do tego wagi. Nie musiałam wykorzystywać swej atrakcyjności — jeśli taką posiadam. Ale matka musiała.

— W Rio?

— Tak. Utrzymywało ją... a właściwie nas... kilku mężczyzn. Dwóch czy trzech rozwiodło się z jej powodu, ale nie wyszła za nich. Rozbijała małżeństwa, czerpiąc z tego pieniądze i rozwijając swój interes. Kiedy umarła, byliśmy zupełnie dobrze urządzeni. Społeczność niemiecka traktowała ją jak pariasa. I, naturalnie, przeniosło się to na jej dzieci.

— Z twoich słów wynika, że była fascynującą kobietą — powiedział Noel uśmiechając się. — Jak umarła?

— Została zamordowana. Przestrzelono jej głowę, kiedy jechała w nocy samochodem.

Uśmiech spętał nagle z jego twarzy. Powróciły obrazy: wyludniony taras widokowy wysoko nad Rio, huk strzałów i eksplozje cementu, brzęk tłuczonego szkła... Szkła. Odgłos zgłuszonego tłumikiem wystrzału i rozpryskująca się szyba samochodu. Ciężki, czarny pistolet wymierzony w jego głowę...

I nagle rozbrzmiały mu w uszach słowa wypowiedziane w łożu hotelowego barku. Słowa, które uważał za śmieszne, za wytwór niczym nie uzasadnionego strachu.

Rodzeństwo Cararra; brat i siostra. Siostra, najdroższa przyjaciółka i narzeczona Johanna von Tiebolta.

*Mieli się pobrać z moją siostrą. Niemcy by do tego nie dopuścili.*

*A któż mógłby im przeszkodzić w zawarciu małżeństwa?*

*Mnóstwo ludzi. Pociskiem w tył głowy Johanna.*

Cararrowie. Drodzy przyjaciele wstawiający się za wygnanymi z kraju von Tieboltami. Noela uderzyła nagle myśl, że gdyby Helden dowiedziała się o ich pomocy, stałaby się może bardziej skłonna do współpracy.

Cararrowie ryzykowali życiem, żeby ułatwić mu odnalezienie von Tieboltów. Wiedząc, że oni mu zaufali, sama z pewnością też to zrobi.

— Powinienem ci chyba coś powiedzieć — odezwał się. — Tymi, którzy skontaktowali się ze mną w Rio, było rodzeństwo Cararra. Doradzili mi, skąd rozpocząć poszukiwania waszej rodziny. To oni mi powiedzieli, jak brzmi wasze nowe nazwisko.

— Jacy oni?

— Wasi przyjaciele. Narzeczona twojego brata.

— Cararrowie? Z Rio de Janeiro?

— Tak.

— Nigdy o takich nie słyszałam. Nie znam żadnych Cararrów.

## 16

Przyjęta taktyka obróciła się naraz przeciwko niemu. Helden zaczęła się nagle mieć przed nim na baczności, straciła ochotę do dalszych zwierzeń na temat swej rodziny.

Kim było rodzeństwo Cararra?

Dlaczego podali mu nieprawdziwe fakty?

Kto ich do niego przysłał? Helden nie przypominała sobie, aby jej brat miał narzeczoną albo najlepszego przyjaciela.

Noel mógł dochodzić prawdy tylko w drodze spekulacji. Z sobie tylko znanych powodów Cararrowie wymyślili związki, które nie istniały. Nie dawało to jednak podstaw, by uznać ich za wrogów von Tieboltów. Skontaktowali się z nim w imię pomocy rodzinie, którą zmuszono do opuszczenia Brazylii. W Rio żyli ludzie — jednym z nich był potężny Graff — którzy dużo by zapłacili za informację o miejscu pobytu von Tieboltów. Ale Cararrowie, którzy mieli wiele do zyskania i mało do stracenia, przekazali ją jemu.

— Oni chcieli pomóc — bąknął Noel. — W tym wypadku nie kłamali. Powiedzieli mi, że was szykanowano; chcieli wam przyjść z pomocą.

— To możliwe — powiedziała Helden. — Rio jest pełne ludzi nadal toczących wojnę, nadal polujących na tych, których obwołali zdrajcami. Tam nie można mieć nigdy pewności, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Wśród Niemców to niemożliwe.

— Znałaś Maurice'a Graffa?

— Wiem, oczywiście, kim jest. Wszyscy to wiedzą. Ale nigdy go nie spotkałam.

— A ja tak — powiedział Noel. — W mojej obecności nazwał von Tieboltów zdrajcami.

— Wierzę ci. Byliśmy pariasami, ale nie w sensie narodowościowym.

— No to w jakim?

Dziewczyna znowu odwróciła wzrok, unosząc do ust kieliszek brandy.

— W innym.

— Chodziło o waszą matkę?

— Tak — odparła Helden. — Chodziło o matkę. Powiedziałam ci już, że społeczność niemiecka odnosiła się do niej z pogardą.

Holcroft ponownie odniósł wrażenie, że dziewczyna nie mówi mu całej prawdy. Ale nie będzie teraz naciskał. Jeśli zdobędzie jej zaufanie, sama mu powie. Musi mu powiedzieć, cokolwiek ukrywa. Może to mieć wpływ na Genewę. Wszystko teraz miało wpływ na Genewę.

— Powiedziałaś, że twoja matka rozbijała małżeństwa — podjął. — Twoja siostra użyła niemal tych samych słów w odniesieniu do siebie. Powiedziała, że oficerowie z Portsmouth i ich żony unikają jej.

— Jeśli szukasz w tym jakiejś prawidłowości, spróbuję ci to wyperswadować. Moja siostra jest sporo ode mnie starsza. Była z matką bliżej, obserwowała jej poczynania, widziała korzyści wypływające z trybu życia matki. Dobrze te rzeczy rozumiała. Była świadkiem tragedii Berlina po wojnie. W wieku trzynastu lat sypiała z żołnierzami w zamian za żywność. Z amerykańskimi żołnierzami, panie Holcroft.

Nie musiał wiedzieć więcej o Gretchen Beaumont. Obraz był już kompletny. Dziwka — obojętne z jakich powodów — w wieku lat trzynastu. Dziwka — obojętne z jakich powodów — po przekroczeniu czterdziestu pięciu lat. Dyrektorzy genewskiego banku odrzuciliby jej kandydaturę z uwagi na niestabilność emocjonalną i niekompetencję.

Ale Noel wiedział też, że istnieją ważniejsze powody przemawiające za podjęciem takiej decyzji. Krył się za tym człowiek, o którym Gretchen Beaumont wyraziła się, że go nie-

nawidzi, ale z którym jednak żyła. Człowiek o dziwnych, krzaczastych brwiach, który przyjechał za Noelem do Brazylii.

— A jej mąż?

— Ledwie go znam.

Znowu odwróciła wzrok. Patrzyła na płonący w kominku ogień. Była przestraszona, coś jednak ukrywała. Mówiła z wyraźnie wystudiowaną nonszalancją. To, czego nie chciała powiedzieć, cokolwiek to było, miało COŚ wspólnego z Beaumontem. Nie było sensu unikać dłużej tego tematu. Szczerość między nimi powinna być obopólna. Im wcześniej Helden to sobie uświadomi, tym lepiej dla nich obojga.

— Wiesz coś o nim? Skąd pochodzi? Co robi w marynarce wojennej?

— Nie, nic nie wiem. Jest kapitanem okrętu, to wszystko.

— A mnie się wydaje, że on jest czymś jeszcze, i wydaje mi się też, że ty o tym wiesz. Proszę cię, nie okłamuj mnie.

Jej oczy zapłonęły naraz gniewem, który tak samo nagle gdzieś się ulotnił.

— Też coś. Dlaczego miałabym cię okłamywać?

— Sam chciałbym to wiedzieć. Mówisz, że ledwie go znasz, ale sprawiasz wrażenie śmiertelnie przerażonej. Proszę cię.

— Do czego zmierzasz?

— Jeśli coś wiesz, podziel się tym ze mną. Jeśli słyszałeś już o genewskim dokumencie, to powiedz mi co?

— Ja nic nie wiem. Nic nie słyszałam.

— Widziałem Beaumonta dwa tygodnie temu w samolocie do Rio. W tym samym samolocie, do którego wsiadłem w Nowym Jorku. On mnie śledził.

W oczach Helden widział wyraźnie strach.

— Chyba ci się przywidziało — mruknęła.

— Nie, nie przywidziało mi się. Widziałem jego fotografię w domu twojej siostry. W jego domu. To był ten sam mężczyzna. Ukradłem tę fotografię, a potem mnie ją ukradziono. Tylko że przedtem ktoś dał mi za nią piekielny wycisk.

— Dobry Boże... zostałeś pobity za tę f o t o g r a f i ę?

— Niczego więcej nie brakowało. Nie zabrano mi ani portfela, ani pieniędzy, ani zegarka. Tylko tę fotografię. Na jej odwrocie było coś napisane.

— Co?

— Nie wiem. Było po niemiecku, a ja nie znam niemieckiego.

— Pamiętasz jakieś słowa?

— Chyba jedno. Ostatnie. T-O-D. *Tod*.

— *Ohne dich sterbe ich*. Może to to?

— Nie wiem. Co to znaczy?

— „Umrę bez ciebie”. Moja siostra mogła coś takiego wymyślić. Mówiłam ci, że jest melodramatyczna. — Znowu kłamała, był tego pewien!

— Jakaś dedykacja?

— Tak.

— To samo twierdzili ci Brytyjczycy i im też nie uwierzyłem. Beaumont był w tym samolocie. To zdjęcie zabrano mi dlatego, że znajdowała się na nim jakaś wiadomość dla niego. Na miłość boską, co tu się dzieje?

— Nie wiem!

— Nie, ty coś wiesz. — Noel starał się opanować. Rozmawiali cicho, niemal szeptem, ale ich sprzeczka zaczynała zwracać już uwagę pozostałych gości. Holcroft wyciągnął przez stół rękę i przykrył jej dłoń swoją. — Jeszcze raz cię proszę. Ty coś wiesz. Powiedz mi. Wyczuł lekkie drżenie jej ręki.

— To, co wiem, jest tak pogmatwane, że właściwie nic z tego nie wynika. Więcej w tym moich domysłów niż rzeczywistych faktów. — Wyswobodziła dłoń z jego uścisku. — Kilka lat temu Anthony Beaumont był wojskowym attache morskim w Rio de Janeiro. Nie znałam go dobrze, ale pamiętam, że dosyć często bywał w naszym domu. Był wtedy żonaty, ale interesował się moją siostrą — chyba dla odmiany. Matka to popierała. Był wysokiej rangi oficerem marynarki wojennej, mogły z tego wynikać jakieś przywileje. Ale siostra kłóciła się z matką zawzięcie. Gardziła Beaumontem i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. A jednak, kiedy kilka lat później przenieśliśmy się do Anglii, wyszła za niego za męża. Dotąd nie potrafię tego zrozumieć.

Noel pochylił się ku niej z wyraźną ulgą.

— Może to nie jest takie trudne do zrozumienia, jak sądzisz. Powiedziała mi, że poślubiła go dla bezpieczeństwa, jakie mógł jej zapewnić.

— I ty jej uwierzyłeś?

— Jej zachowanie zdawało się potwierdzać te słowa.

— A więc nie wierzę, że osoba, z którą rozmawiałeś, była moją siostrą.

— To była twoja siostra. Jesteście do siebie podobne, tak samo piękne.

— Teraz moja kolej na pytania. Naprawdę sądzisz, że przy swojej urodzie z własnej woli zadowoliliby się wegetacją za marną oficerską pensyjką i zgodziła na pełne ograniczeń życie żony oficera marynarki? Ja jakoś w to nie wierzę. Nikt mnie nie przekona.

— No więc, co o tym myślisz?

— Według mnie została zmuszona do poślubienia Anthony'ego Beaumonta.

Noel odchylił się na oparcie krzesła. Jeśli miała rację, musiało się to wiązać z Rio de Janeiro. Być może z jej matką. Z mordercą jej matki.

— W jaki sposób Beaumont mógł ją zmusić do małżeństwa? I dla czego?

— Setki razy zadawałam już sobie te pytania. Nie wiem.

— Nie zapytałaś jej?

— Nie chce ze mną rozmawiać.

— Co się przydarzyło twojej matce w Rio?

— Już powiedziałam: manipulowała mężczyznami dla pieniędzy. Niemcy nią pogardzali, nazywali ją osobą niemoralną. Trudno im odmówić racji.

— Czy z tego właśnie powodu została zastrzelona?

— Wydaje mi się, że tak. Nikt tego nie wie na pewno, mordercy nigdy nie ujęto.

— Ale to mogłaby być odpowiedź na poprzednie pytanie, nie sądzisz? Czy nie istnieje możliwość, że Beaumont wiedział o waszej matce coś, co było na tyle kompromitujące, że mógł tym szantażować twoją siostrę?

Helden odwróciła trzymane przed sobą dłonie wnętrzem do góry.

— A cóż mogłoby być takie kompromitujące? Zakładając nawet, że wszystko, co mówiło się o mojej matce, było prawdą, dlaczego miałyby to wywrzeć wpływ na życie Gretchen?

— Zależy, co to było.

— To nie do pomyślenia. Ona mieszka teraz w Anglii. Jest panią samej siebie i od Brazylii dzieli ją tysiące kilometrów. Dlaczego miałyby się tym przejmować?

— Nie mam pojęcia. — I wtem coś się Noelowi przypomniało. — Użyłaś określenia „dzieci piekiel”. Potępione za to, czym były i czym nie były. Czy tego nie można odnieść również do twojej siostry?

— Beaumont nie interesuje się takimi rzeczami. To zupełnie inna sprawa.

— Czyżby? Skąd możesz to wiedzieć? Ty się tylko domyślasz, że zmusił ją do małżeństwa. A jeśli wcale tak nie było? Co mogłoby ją skłonić do tego związku?

Helden zamyśliła się głęboko.

— Coś o wiele bardziej nam współczesnego.

— Dokument z Genewy? — podsunął. W uszach rozbrzmiało mu echo ostrzeżenia Manfrediego, myśli opanowało znowu widmo *Wolfsschanze*.

— Jak zareagowała Gretchen, kiedy powiedziałaś jej o Genewie? — zapytała Helden.

— Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

— Tak?...

— To mogła być gra. Zachowywała się z ostantacyjną obojętnością — podobnie jak ty, kiedy przed kilkoma minutami wspomniałem o Beaumencie. Być może była na to przygotowana.

— To tylko twoje domysły.

„Teraz — pomyślał Noel. — Znajdzie to teraz w jej oczach — resztę prawdy, której nie chciała wyjawić. Czy padnie wreszcie nazwisko Johanna von Tiebolta?”

— Niezupełnie domysły — powiedział. — Twoja siostra wspomniała, że wasz brat mówił jej o człowieku, który *pojawi się pewnego dnia i opowie o dziwnej umowie*. To jej słowa.

Ale oczekiwanej isierki zrozumienia lub ognika strachu nie zobaczył. Zamiast tego w jej oczach pojawiło się coś, czego nie potrafił zdefiniować. Spojrzała na niego jakby usiłując zrozumieć, do czego zmierza. A w jej spojrzeniu dominowała niewinność i tego nie pojmował.

— *Pewnego dnia pojawi się człowiek*. To bez sensu — stwierdziła.

— Opowiedz mi o swoim bracie.

Milczała przez kilka chwil. Jej oczy powędrowały w dół, zatrzymując się na czerwonym obrusie, a usta rozchyliły się w wyrazie zaskoczenia. Potem, jakby otrząsając się z transu, zapytała:

— O Johannie? A o czym tu opowiadać?

— Twoja siostra powiedziała mi, że wy dostał całą waszą trójkę z Brazylii. Czy były z tym jakieś trudności?

— Były. Nie mieliśmy paszportów, a pewni ludzie usiłowali nie dopuścić do tego, byśmy je otrzymali.

— Byliście przecież imigrantami. Byli nimi przynajmniej twoja matka, siostra i brat. Musieli mieć jakieś dokumenty.

— Wszelkie dokumenty, jakie miało się w tamtych czasach, były palone, gdy tylko spełniły swoją rolę.

— Kto próbował was powstrzymać przed opuszczeniem Brazylii?

— Ludzie, którzy chcieli postawić Johanna przed sądem.

— Za co?

— Po śmierci matki Johann przejął jej interesy. Kiedy żyła, nigdy nie pozwalała mu się zbyt w nie mieszać. Wiele osób zarzucało mu bezwzględność, nawet nieuczciwość. Oskarżano go o ukrywanie dochodów, oszustwa podatkowe. Nie wydaje mi się, żeby coś z tego było prawdą; był po prostu bystrzejszy i bardziej inteligentny od innych.

— Rozumiem — powiedział Noel przypominając sobie opinię agenta MI 5 *mania dominacji*. — W jaki sposób udało mu się uniknąć sądu i wy dostać was z Brazylii?

— Za pomocą pieniędzy. I całonocnych spotkań w dziwnych miejscach z ludźmi, których tożsamości nigdy nam nie wyjawiał. Pewnego ranka wszedł do domu i kazał Gretchen i mnie spakować tyle tylko rzeczy, żeby starczyło na krótką nocną wycieczkę. Pojechaliśmy potem na lotnisko i przelecieliśmy małym samolotem do Recife, gdzie czekał na nas jakiś mężczyzna. Otrzymaliśmy paszporty; były wystawione na nazwisko Tennyson. Wkrótce potem znaleźliśmy się z Gretchen w samolocie lecącym do Londynu...

Holcroft przyglądał jej się badawczo. Wydawała się mówić prawdę.

— ...żeby rozpocząć nowe życie pod nazwiskiem Tennyson — dokończył.

— Tak. Zupełnie nowe. Zostawialiśmy za sobą wszystko. — Uśmiechnęła się. — Cza-

sami myślę, że uczyniliśmy to w ostatniej chwili.

— Prawdziwy z niego mężczyzna. Dlaczego nie utrzymujecie ze sobą kontaktów? Wi-  
dać przecież, że nie czujesz do niego nienawiści.

Helden zmarszczyła czoło, jakby sama nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Nie czuję do niego nienawiści? Nie, może mam do niego żal, ale o nienawiści nie ma  
mowy. Uważa, że do niego należy decydowanie o wszystkim, podobnie jak większość ludzi  
inteligentnych. Chciał pokierować moim życiem, a ja nie mogłam na to przystać.

— Dlaczego jest zwykłym dziennikarzem? Z tego, czego się o nim dowiedziałem, wy-  
nika, że mógłby sobie kupić całą gazetę.

— I pewnego dnia prawdopodobnie to uczyni, jeśli będzie miał taki kaprys. Znajac Jo-  
hanna podejrzewam, że dziennikarstwem zajmuje się dla rozgłosu, który znana gazeta może  
mu zapewnić. Zwłaszcza na polu polityki, w czym jest bardzo dobry. Postąpił słusznie.

— Naprawdę?

— Na pewno. Pracuje w tym zawodzie dopiero dwa czy trzy lata, a już uważany jest za  
jednego z najlepszych korespondentów w Europie.

„Teraz — pomyślał Noel. — Co tam MI 5, liczy się tylko Genewa”. Pochylił się ku  
Helden.

— Jest też uważany za kogoś jeszcze... Na Montmartrze obiecałem, że ci powiem — i  
tylko tobie — dlaczego Brytyjczycy mnie przesłuchiwali. Chodziło o twój brata. Podej-  
rzewają, że próbuję się z nim skontaktować z przyczyn, które nie mają z Genewą nic wspól-  
nego.

— Co to za przyczyny?

Holcroft patrzył jej w oczy bez zmrużenia powiek.

— Czy słyszałaś kiedykolwiek o człowieku, którego nazywają Tinamou?

— O tym płatnym zabójcy? Naturalnie. A kto o nim nie słyszał?

W jej oczach nie było nic. Nic, prócz nieokreślonego zakłopotania.

— Choćby ja — powiedział. — Czytałem o mordercach do wynajęcia i tajnych stowa-  
rzyszeniach zabójców, ale o Tinamou nie słyszałem nigdy.

— Jesteś Amerykaninem. Jego wyczyny są w prasie europejskiej opisywane dokładniej  
niż w waszej. Ale co to ma wspólnego z moim bratem?

— Wywiad brytyjski podejrzewa, że to on może być tym Tinamou. Twarz Helden naraz  
zastygła. Zaskoczenie było tak zupełne, że jej

oczy stały się martwe niczym oczy ślepca. Próbowała coś powiedzieć drżącymi ustami,  
ale nie potrafiła znaleźć słów. Kiedy je w końcu znalazła, były ledwie dosłyszalne.

— Nie mówisz tego poważnie.

— Zapewniani cię, że jak najpoważniej. Co więcej, Brytyjczycy również nie żartują.

— To oburzające. To przekracza wszystko, co w życiu słyszałam! Na jakiej podstawie  
śmiały wysnuwać takie wnioski?

Noel powtórzył jej to, czego dowiedział się od ludzi z MI 5.

— Mój Boże! — westchnęła Helden, kiedy skończył. — Obsługuje dla swojej gazety  
całą Europę i Środkowy Wschód! Ci Anglicy mogą to bez trudu sprawdzić u jego wydawców.  
Nie wybiera przecież miejsc, do których go wysyłają. To absurdalne!

— Dziennikarzom pisującym interesujące artykuły, nadsyłającym korespondencje, któ-  
re przyczyniają się do atrakcyjności gazety, daje się wolną rękę w sprawie wyboru tematu.  
Tak jest w przypadku twój brata. Wygląda to zupełnie tak, jakby z góry wiedział, że zyska  
rozgłos, o którym wspominałaś; jakby wiedział, że za kilka krótkich lat dostąpi przywileju  
wolnego doboru tematów.

— Chyba sam w to nie wierzysz.

— Nie wiem, w co wierzyć — powiedział Holcroft. — Wiem tylko, że twój brat może  
zaszkodzić sprawie Genewy. Bankierów może przestraszyć sam fakt, że jest podejrzewany

przez MI 5. Nie życzą sobie afer tam, gdzie w grę wchodzi konto Clausena.

— Ale to w niczym nie uzasadnione podejrzenia!

— Jesteś tego pewna?

W oczach Helden pojawiły się iskielki gniewu.

— Tak, jestem pewna. Kim jak kim, ale zabójcą Johann na pewno nie jest. Znowu zaczyna się nagonka: tym razem na dzieci nazistów.

Noelowi przypomniały się słowa siwowłosego agenta MI 5: *Zakładam, że wie pan, kim był jego ojciec...* Czy to możliwe, że Helden ma rację? Czy podejrzenia MI 5 nie wypływają czasem ze wspomnień i zadawnionej wrogości wobec bezwzględnego przeciwnika w wojnie sprzed trzydziestu lat? *Tennyson jest uosobieniem arogancji...* To było możliwe.

— Czy Johann interesuje się polityką?

— Bardzo, ale nie w ogólnie przyjętym sensie. Nie opowiada się za żadną określoną ideologią. Przeciwnie, jest wobec nich bardzo krytyczny. Wytyka słabe punkty i nie toleruje hipokryzji. To dlatego mnóstwo ludzi z kręgów władzy nie może go ścierpieć. Ale nie jest płatnym zabójcą!

„Jeśli Helden ma rację — pomyślał Noel — Johann von Tiebolt byłby nieocenionym nabytkiem dla Genewy, a konkretnie dla mającej powstać w Zurychu agencji. Wielojęzyczny dziennikarz, z którego opinią się liczą, który ma doświadczenie w finansach... mógłby się okazać osobą idealnie predysponowaną do rozdziału milionów na cały świat.

Gdyby z Johanna von Tiebolta dało się zetrzeć cień Tinamou, dyrektorzy La Grande Banque de Geneve nigdy by się nie dowiedzieli o zainteresowaniu MI 5 Johnem Tennysonem. Średnie dziecko Wilhelma von Tiebolta stałoby się dla nich idealnym kandydatem. Tennyson nie jest może najmniej konfliktowym człowiekiem pod słońcem, ale Genewa nie sponsoruje przecież konkursu osobowości. Mógł stanowić nieoceniony nabytek. Ale najpierw zetrzeć trzeba z niego cień Tinamou, uśmierzyć podejrzenia MI 5”.

Holcroft uśmiechnął się. *Pewnego dnia zjawi się mężczyzna i opowie o dziwnej umowie...* Johann von Tiebolt — John Tennyson — czekał na niego!

— Co cię tak rozbawiło? — spytała Helden obserwując go ze zdziwieniem.

— Muszę się z nim spotkać — odparł Noel ignorując jej pytanie. — Możesz to zorganizować?

— Wydaje mi się, że tak. Zajmie to kilka dni. Nie wiem, gdzie teraz przebywa. Co mu powiesz?

— Prawdę. Może odwzajemni mi się tym samym. Jestem niemal przekonany, że wie o Genewie.

— Mam numer telefonu, który podał na wypadek, gdybym kiedykolwiek chciała się z nim skontaktować. Nigdy z niego nie korzystałam.

— A więc skorzystaj z niego teraz. Proszę cię.

Skinęła głową. Noel doskonale zdawał sobie sprawę, że wiele pytań wciąż jeszcze pozostawało bez odpowiedzi. Jak choćby zagadka człowieka nazwiskiem Beaumont i zdarzenie z Rio de Janeiro, o którym Helden nie chciałyby rozmawiać. Zdarzenie związane z oficerem marynarki wojennej o krzaczastych, czarao-białych brwiach. Nie można było jednak wykluczyć, że Helden nic na ten temat nie wie.

Prawdę znać może John Tennyson, który z pewnością wiedział o wiele więcej niż to, co przekazał siostrze.

— Czy twój brat utrzymuje jakieś stosunki z Beaumontem? — spytał.

— Pogardza nim. Nie zjawił się nawet na ślubie Gretchen.

„O co tu chodzi? — pomyślał Noel. — Jaką zagadkę kryje w sobie Anthony Beaumont?”



Przed małym zajazdem, od strony drogi, w samym narożniku parkingu stał w cieniu rozłożystego dębu ciemny, czterodrzwiowy sedan. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn — jeden w mundurze oficera brytyjskiej marynarki wojennej, drugi w ciemnoszarym urzędniczym garniturze i w czarnym płaszczu. Spod rozpiętej marynarki tego drugiego wystawała krawędź brązowej, skórzanej kabury.

Oficer marynarki zajmował miejsce za kierownicą. Jego pospolita twarz stężała z napięcia. Brwi, które stanowił gęszcz szpakowatych włosków, raz po raz wyginały się ledwie zauważalnym łukiem w górę, jakby za sprawą nerwowego tik.

Mężczyzna siedzący obok niego dobiegał już czterdziestki. Był szczupły, ale nie chudy; z całej jego postaci emanowała prężność, jakiej nabywa się poprzez dyscyplinę i trening. Szerokość ramion, długa, muskularna szyja i wypukły zarys klatki piersiowej, rozpierającej dopasowaną koszulę świadczyły, że to ciało przeszło surowy proces nadawania mu fizycznej tężyzny i siły. Każdy rys twarzy mężczyzny został uszlachetniony i każdy skoordynowano z całością. Rezultat był imponujący, a jednak zimny, jakby tę twarz wykuto w granicie. Jasnoblękitne, niemal prostokątne oczy patrzyły nieruchomo i obojętnie. Były to oczy pewnego siebie zwierzęcia, zwierzęcia szybkiego, o nie dających się przewidzieć reakcjach. Rzeźbioną głowę wieńczyła połyskliwa korona blond włosów, które odbijały blask odległych latarni, oświetlających teren parkingu. W zestawieniu z twarzą, włosy te sprawiały wrażenie skorupy jasnożółtego lodu. Mężczyzna nazywał się Johann von Tiebolt i od pięciu lat znany był jako „John Tennyson”.

— No i zadowolony? — spytał oficer marynarki z wyraźnym szacunkiem w głosie. — Nie ma nikogo.

— Ale ktoś był — odparł blondyn. — Zważywszy środki ostrożności, jakie podejmowali od Montmartre'u, wcale mnie nie dziwi, że teraz nikogo tu nie ma. Helden i reszta dzieci działają nad podziw sprawnie.

— Uciekają przed idiotami — powiedział Beaumont. — W *Rache* roi się od marksowskich podludzi.

— Kiedy przyjdzie pora, *Rache* spełni swój cel. Nasz cel. Ale to nie *Rache* mnie niepokoi. Chcę wiedzieć, kto próbował go zabić. — Tennyson odwrócił w ciemnościach głowę; jego zimne oczy błyszczały. Rąbnął dłonią w wierzch pokrytej skórą deski rozdzielczej. — Kto próbował zabić syna Clausena?

— Przysięgam, że powiedziałem ci wszystko, co wiem! Wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Nie popełniliśmy żadnego błędu.

— Popełniliście, bo omal do tego nie doszło — upomniał go Tennyson spokojnym już tonem.

— To Manfredi; to musiał być Manfredi — ciągnął Beaumont. — To jedyne wytłumaczenie, Johann...

— Na imię mi John. Nie zapominaj o tym.

— Przepraszam. To jedyne wytłumaczenie. Nie wiem, co Manfredi powiedział Holcroftowi w pociągu na stacji w Genewie. Całkiem możliwe, że próbował go nakłonić do wycofania się. A kiedy Holcroft odmówił, wydał rozkaz jego egzekucji. Nie udało się na stacji, bo im przeszkodziłem. Chyba powinieneś o tym pamiętać.

— Już ty mi nie pozwolisz zapomnieć — przerwał mu Tennyson. — Może masz i rację. Spodziewał się przejęcia kontroli nad agencją w Zurychu; jego pragnienie nie miało szans na spełnienie. A wypuszczenie z rąk aktywów opiewających w sumie na siedemset osiemdziesiąt

milionów dolarów okazało się operacją zbyt bolesną.

— Tak jak obietnica dwóch milionów stanowi, być może, nieodpartą pokusę dla Holcrofta.

— Te dwa miliony odkłada sobie tylko na koncie w głowie. Ale jego śmierć nadejdzie z naszych rąk, z niczyich innych.

— Wierz mi, Manfredi działał sam. Jego kaci nie mają teraz od kogo odbierać rozkazów. Od akcji w hotelowym pokoju w Zurychu nie było już dalszych prób.

— Holcroftowi trudno będzie zaakceptować tę prawdę... O, już są. — Tennyson pochylił się. Przez przednią szybę samochodu dostrzegł Noela i Helden wychodzących z drzwi po drugiej stronie parkingu. — Czy dzieci pułkownika często się tu spotykają?

— Tak — odparł Beaumont. — Dowiedziałem się tego od agenta ODESSY, który śledził je pewnej nocy.

Blondyn parsknął stłumionym śmiechem.

— ODESSA! — warknął pogardliwie. — Karykatury pochlipujące w piwnicach nad baterią kufli piwa. Są żałosni.

— Są wytrwali.

— Oni też się przydadzą — powiedział Tennyson patrząc, jak Noel i Helden wsiadają do samochodu. — Tak jak poprzednio, utworzą szarą żołnierską masę, przyjmą na siebie rolę mięsa dla armat wroga. Pierwsi się ujawnią, pierwsi zostaną poświęceni. Perfekcyjne odwrócenie uwagi od poważniejszych spraw.

Dał się słyszeć głośny warkot podrasowanego silnika citroena. Holcroft wycofał wóz z zatoczki i między słupkami bramy wjazdowej wyprowadził go na wiejską drogę.

Beaumont przekręcił kluczyk w stacyjce.

— Będę się trzymał w sporej odległości. Nie zauważaj mnie.

— Nie, daj spokój — powiedział Tennyson. — To mi wystarczy. Podrzuc mnie na lotnisko. Załatwiłeś wszystko?

— Tak. Polecisz miragem do Aten. Grecy odstawią cię z powrotem do Bahrajnu. To transport wojskowy, status kurierski ONZ, immunitet Rady Bezpieczeństwa. Twoje dokumenty ma pilot.

— Dobra robota, Tony.

Oficer marynarki uśmiechnął się, dumny z komplementu. Wcisnął pedał gazu; sedan wypadł z rykiem z parkingu i zanurzył się w mroku wiejskiej drogi.

— Co będziesz robił w Bahrajnie?

— Zaznaczał swoją obecność, spisując historię negocjacji w sprawie pola naftowego. Współpraca z księciem Bahrajnu układa się bez zastrzeżeń. Nie ma innego wyboru. Zawarł układ z Tinamou. Biedak żyje w ciągłym strachu, że to się wyda.

— Jesteś nadzwyczajny.

— A ty lojalny i oddany. Zresztą zawsze taki byłeś.

— A co po Bahrajnie?

Blondyn rozparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy.

— Z powrotem do Aten, a potem do Berlina.

— Do Berlina?

— Tak. Sytuacja rozwija się pomyślnie. To będzie następny etap podróży Holcrofta. Czeka tam na niego Kessler.

Radiowy głośnik pod deską rozdzielczą zaniósł się nagle trzaskiem zakłóceń elektrostatycznych. Gdy ścichły, nastąpiła seria czterech krótkich, wysokotonowych szumów. Tennyson otworzył oczy. Cztery szumy powtórzyły się.

— Przy autostradzie są budki telefoniczne. Podwieź mnie do najbliższej. Szybko!

Anglik docisnął pedał gazu do deski. Sedan pomknął drogą, rozwijając w kilka sekund szybkość stu kilometrów na godzinę. Dojechali do skrzyżowania.

— O ile się nie mylę, gdzieś tutaj jest stacja benzynowa.  
— Pośpiesz się!  
— Tak, na pewno jest — stwierdził z przekonaniem Beaumont. Faktycznie była; stała przy drodze ciemna, z wygaszonymi światłami.  
— Cholera, zamknięta! — rzucił oficer.  
— A czego się spodziewałeś? — spytał Tennyson.  
— Telefon jest w środku...  
— A na pewno jest?  
— Tak...  
— Zatrzymaj wóz.

Beaumont wykonał polecenie. Blondyn wysiadł i podszedł do oszklonych drzwi stacji. Wyjął z kabury pistolet i rękocięciem wytknął szybę.

Ze środka, z ujadaniem i warczeniem, szczerząc kły i kłapiąc szczękami, wyskoczył na niego pies. Było to podeszłe wiekiem zwierzę nieokreślonej rasy, trzymane bardziej dla efektu niż fizycznej ochrony obiektu. Tennyson sięgnął do kieszeni, wydobył stamtąd perforowany cylinder i nakręcił go na lufę pistoletu. Uniósł broń i strzelił psu w łeb. Zwierzę upadło. Tennyson wytknął resztki szkła przy zatrasku nad klamką.

Wszedł spokojnie do środka, poczekał chwilę, aż wzrok przywyknie do ciemności, po czym podszedł do telefonu. Połączył się z telefonistką centrali i podał jej paryski numer człowieka, który, z kolei, przełączy tę rozmowę na aparat zainstalowany w Anglii.

Po dwudziestu sekundach usłyszał w słuchawce zdyszany, omdlewający głos.

.— Przepraszam za kłopot, Johann, ale mamy sytuację awaryjną.

— Co się stało?

— Zabrano fotografię. Jestem bardzo zaniepokojona.

— Jaką fotografię?

— Zdjęcie Tony'ego.

— Kto ją zabrał?

— Ten Amerykanin.

— Z czego wynika, że go rozpoznał. Graff miał rację: twojemu oddanemu mężowi nie wolno ufać. Jego entuzjazm bierze górę nad dyskrecją. Ciekawe, gdzie Holcroft go widział?

— Może w samolocie. Albo skojarzył go sobie z opisem portiera. Zresztą nieważne. Zabij go.

— Tak, oczywiście. — Blondyn zawiesił głos, po czym spytał z naciskiem: — Masz książeczki bankowe?

— Mam.

— Zdeponuj na nich dziesięć tysięcy funtów. Zadbaj o to, żeby przelew nastąpił z Pragi.

— KGB? Bardzo dobrze pomyślane, Johann.

— Brytyjczycy przeżyją szok kolejnej zdrady. Zaprzyjaźnieni dyplomaci zaczną się między sobą wyklócać, oskarżając jeden drugiego.

— Bardzo dobrze pomyślane.

— Od następnego tygodnia jestem w Berlinie. Skontaktuj się tam ze mną.

— Już do Berlina?

— Tak, Kessler czeka. *Neufbau oder Tod*.

— *Oder Tod*, bracie.

Tennyson odwiesił słuchawkę i spojrział poprzez nocny mrok na martwe zwierzę. Nie żywił dla tej nieruchomej bryły futra więcej współczucia niż dla czekającego w samochodzie mężczyzny. Uczucia zachowywał dla rzeczy ważniejszych, nie trwonił ich dla zwierząt i nie potrafiących się dostosować — bez względu na ich oddanie.

Beaumont był głupcem. Taką opinię zawierało dossier przesłane przed laty ze Szkocji do Brazylii. Ale dysponował energią głupca i właściwym głupcom zmysłem do działań pozornych. Został wybitnym oficerem marynarki wojennej. Ten syn *Reichsoberfuhrera* wspiął się po drabinie królewskiej marynarki wojennej aż na szczebel, na którym powierzono mu wysoce odpowiedzialne stanowisko. Zbyt odpowiedzialne, jak na jego intelekt. Tym intelektem trzeba było zatem kierować. Kiedyś planowali, że Beaumont zostanie kimś wpływowym w Admiralicji, ekspertem, z którym konsultować się będzie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Byłaby to sytuacja optymalna; poprzez Beaumonta mogliby wtedy wyciągnąć maksymalne korzyści. Pozostawał *Sonnenkind*, pozwalano mu żyć.

Ale koniec z tym. Po kradzieży fotografii Beaumont był skończony, bo wiązała się z tym groźba wpadki. A o wpadce nie mogło być mowy — byli zbyt blisko. Wciąż jednak pozostawało wiele do zrobienia. Gdyby Holcroft przekazał fotografię w Szwajcarii niewłaściwym ludziom, opowiedział im o bytności Beaumonta w Nowym Jorku czy w Rio, mogłoby to zaalarmować władze wojskowe. Dlaczego ten wysoko postawiony oficer tak interesuje się genewskim dokumentem? To pytanie nie mogło się zrodzić! Trzeba usunąć syna *Reichsoberfuhrera*, choć w pewnym sensie, szkoda. Będzie brakowało komandora, czasami był nieoceniony.

Gretchen знаła jego wartość. Gretchen była nauczycielką Beaumonta, jego przewodniczką... jego intelektem. Była nadzwyczaj dumna ze swej pracy, a teraz sama żąda śmierci Beaumonta. Niech tak będzie. Znajdą innego na jego miejsce.

„Są wszędzie — myślał Johann von Tiebolt idąc do drzwi. — Wszędzie. *Die Sonnenkinder*. Dzieci Słońca nigdy nie mylone z potępionymi. Potępieni byli wędrującymi, do niczego nie upoważnionymi uchodźcami.

*Die Sonnenkinder*. Wszędzie. We wszystkich krajach, we wszystkich rządach, w armiach i flotach, w przemyśle i w związkach zawodowych, w wydziałach wywiadu wojskowego i w policji. Wszystkie czekają spokojnie. Dorosłe dzieci Nowego Ładu. Tysiące. Rozwiezione statkami, samolotami i łodziami podwodnymi po wszystkich zakątkach cywilizowanego świata. Wybijające się ponad przeciętność — co potwierdzają dzień w dzień ich postępy wszędzie, gdzie się znajdują. Stanowią dowód słuszności koncepcji o wyższości rasowej. Ich rasa jest czysta, ich wyższość niekwestionowana. A najczystszy ze wszystkich, wszystkie je przewyższający jest Tinamou”.

Von Tiebolt otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Beaumont odjechał tymczasem pięćdziesiąt metrów wiejską drogą i wóz stał tam teraz z wygaszonymi światłami. Komandor przestrzegał ściśle reguł gry; jego wyszkolenie dawało o sobie znać we wszystkim, co robił — z tymi wyjątkami, kiedy entuzjazm brał górę nad dyskrecją. Ten entuzjazm będzie go teraz kosztował życie.

Tennyson ruszył wolno w kierunku sedana. Zastanawiał się beznamiętnie, jak się to wszystko dla Anthony'ego Beaumonta zaczęło. Syn *Reichsoberfuhrera* wysłany został do pewnej rodziny w Szkocji; głębiej Tennyson nigdy nie wnikał. Powiedziano mu o wytrwałości Beaumonta, o jego uporze, jego oddaniu sprawie, ale ani słowa o sposobie, w jaki został wywieziony z Niemiec. Nie musiał tego wiedzieć. Takich były tysiące, wszystkie zapisy zniszczono.

Tysiące. Dobór genetyczny, przebadani rodzice, rodziny sprawdzone na kilka pokoleń wstecz pod kątem występowania wad organicznych i psychicznych. Wysyłano tylko najczystsze, i wszędzie uważnie obserwowano te dzieci, pomagano im, szkolono, indoktrynowano — ale nie mówiono im nic, dopóki nie dorosły. A i wtedy nie wszystkim. Tym, które nie spełniały oczekiwań, które okazywały słabość charakteru lub skłonność do kompromisów, nigdy nie powiedziano — te eliminowano.

Te, które pozostały, byty prawdziwymi spadkobiercami Trzeciej Rzeszy. Cieszyły się wszędzie zaufaniem i autorytetem. Czekwały... czekały na sygnał ze Szwajcarii, przygotowane do zrobienia z milionów natychmiastowego użytku.

Z milionów rozdzielanych rozsądnie, politycznie. Podporządkują się, jeden po drugim, narody ukształtowane wewnętrznie przez *Sonnenkinder*, które będą miały do dyspozycji ogromne sumy na umacnianie i konsolidację swoich wpływów. Dziesięć milionów tu, czterdzieści tam, a gdzie to konieczne, nawet sto milionów.

W wolnym świecie będzie się kupowało kampanie wyborcze, elektoraty będą miały coraz to mniejszy i mniejszy wybór, tylko echa. To nic nowego; przeprowadzono już z pomyslnym skutkiem eksperymenty. Chile nie kosztowało nawet dwudziestu siedmiu milionów, Panama nie więcej niż sześć. W Ameryce miejsca w Senacie i Kongresie można było mieć już za kilkaset tysięcy. Ale kiedy nadejdzie sygnał ze Szwajcarii, miliony będą rozdzielane w sposób naukowy, na podstawie metod demograficznych. I w końcu całym zachodnim światem rządzić będą dorosłe dzieci Rzeszy. *Die Sonnenkinder*.

Potem przyjdzie kolej na blok wschodni, na Związek Radziecki i jego satelity kuszone pięknymi słówkami własnej, rodzącej się burżuazji. Kiedy nadejdzie sygnał, wysunięte zostaną pewne obietnice i kolektywy ludzkie zdadzą sobie nagle sprawę, że istnieje lepsza droga. Bo naraz otworzy się dostęp do wielkich funduszy; ubóstwu będzie można położyć kres. Wystarczy, by dokonał się odwrót od dotychczasowych idei ku innym, lepszym.

Narodzi się Czwarta Rzesza nie wtłoczona w granice jednego czy dwóch krajów, a rozciągająca się na cały świat. Dzieci Słońca będą prawowitymi władcami globu. *Die Sonnenkinder*.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to absurdalna, nieprawdopodobna wizja. Myliłby się; to już się zaczynało. Wszędzie.

„Ale zdarzają się też błędy — myślał Tennyson zbliżając się do sedana. — Są nieuchronne, tak jak nieuchronny był fakt, że należy je naprawiać. Dzisiaj błędem był Beaumont”.

Tennyson wsunął pistolet z powrotem do kabury; nie pozostanie tam długo. Obszedłszy wóz dookoła, zatrzymał się przy oknie od strony kierowcy. Szyba była opuszczona, z wnętrza spoglądała na niego zaniepokojona twarz komandora.

— O co chodzi? Stało się coś?

— Nic takiego, czego nie można by naprawić. Przesuń się, ja poprowadzę. Będiesz mi pokazywał drogę.

— Dokąd jedziemy?

— Powiedzieli mi, że gdzieś w okolicy, jakieś osiem do dziesięciu kilometrów stąd, jest jezioro. Słabo było słyszeć z powodu zakłóceń na linii.

— Jedyne jezioro w tych stronach leży na wschód od Saint-Gratien. To ponad dwanaście kilometrów drogi.

— To pewnie o nie chodzi. Są tam lasy?

— Jeszcze jakie.

— To ono — zawyrokował Tennyson wsiadając do wozu na miejsce zwolnione przez Beaumonta. — Znam kody świetlne. Mów, jak jechać; ja skoncentruję się na reflektorach.

— Dziwne.

— Nie dziwne. Skomplikowane. Mogą nas przechwycić po drodze. Wiem, na co zwracać uwagę. No, szybko. W którą stronę?

— Na początek zawróć. Dojedź z powrotem do tej diabelnej drogi i skręć w lewo.

— Rozumiem. — Tennyson zapaścił silnik.

— O co tu chodzi? — zapytał Beaumont. — To pewnie jakaś cholerna sytuacja awaryjna. Cztery krótkie sygnały słyszałem dotąd tylko raz i chodziło wtedy o naszego człowieka w Entebbe.

— To nie był nasz człowiek, Tony. To była nasza marionetka.

— No tak, oczywiście. Terrorysta z *Rache*. Mimo wszystko był naszym łącznikiem, jeśli wiesz, co przez to rozumiem.

— Wiem. Tutaj skrócić? W lewo?

— Tak, tutaj. No, na miłość boską, powiedz mi wreszcie! Co, u diabła, się dzieje? Tennyson wyprowadził samochód na prostą i przyspieszył.

— Prawdę mówiąc, to może dotyczyć ciebie. Nie jesteśmy pewni, ale istnieje taka możliwość.

— Mnie?

— Tak. Czy Holcroft kiedykolwiek cię zauważył? Widział cię więcej niż raz? Zorientował się, że za nim chodzisz?

— Zauważył mnie? Nigdy! Po trzykroć nigdy. Przysięgam.

— A w Genewie? Pomyśl.

— Na pewno nie.

— W Nowym Jorku?

— Ani razu nie znalazłem się bliżej niż na kilometr od niego! Niemożliwe.

— W samolocie do Rio de Janeiro?

Beaumont nie odpowiedział od razu.

— Nie... Przechodził za kotarę, był chyba wstawiony. Ale nie zwrócił uwagi, najmniejszej uwagi. Ja go widziałem, on mnie nie.

„To wtedy — pomyślał Tennyson. — To oddane dziecko Rzeszy wierzy w to, w co musi wierzyć. Nie ma sensu roztrząsać dalej tej sprawy”.

— A więc to wszystko pomyłka, Tony. Zmarnowane pół godziny. Rozmawiałem z twoją żoną, a moją drogą siostrą: Powiedziała, że jesteś zbyt dyskretny, by mogło dojść do takiej sytuacji.

— Miała rację. Jak dobrze wiesz, ona zawsze ma rację. Nadzwyczajna dziewczyna. Niezależnie od tego, co sobie myślisz, nasz związek nie jest jedynie małżeństwem z wypracowania.

— Wiem o tym, Tony. I jestem z tego powodu szczęśliwy.

— Skręć w następną w prawo. Biegnie na północ, w kierunku jeziora.

W lesie było zimno, jeszcze zimniej nad wodą. Zaparkowali na końcu leśnej drogi i ruszyli wąską ścieżką prowadzącą nad brzeg jeziora. Tennyson niósł latarkę, którą zabrał ze skrytki na rękawiczki sedana. Beaumont ścisnął w rękę wąską łopatkę. Postanowili rozpalic małe ognisko w dołku dla ochrony przed chłodem.

— Tak długo tu zostaniemy? — spytał Beaumont.

— Jeszcze nie wiem. Jest kilka spraw do omówienia i chciałbym się ciebie poradzić. To wschodni brzeg jeziora?

— Tak. Dobre miejsce na spotkania. O tej porze roku nie ma tutaj nikogo.

— Kiedy masz wrócić na okręt?

— Zapomniałeś? Spędzam weekend z Gretchen.

— A więc dopiero w poniedziałek?

— Albo we wtorek. Mój zastępca to porządny chłop. Zakłada po prostu, że uganiam się gdzieś w sprawach służbowych. Nie zadaje pytań, nawet jeśli spóźnię się o dzień.

— A dlaczego miałby zadawać? Jest jednym z nas.

— Tak, ale trzeba się trzymać harmonogramu rejsów patrolowych. Nie wolno się z niego wyłamywać.

— Jasne, że nie. Kop tutaj, Tony. Rozpalimy ognisko trochę dalej od wody. Ja wrócę do wozu i będę wypatrywał sygnałów.

— Dobrze.

— Kop głęboko. Lepiej, żeby płomienie nie były zbyt widoczne.

— Jasne.

Ogień. Woda. Ziemia. Spalone ubranie, zwęglone ciało, zmiażdżona, rozrzucona po okolicy proteza dentystyczna. John Tennyson wrócił ścieżką i czekał. Po kilku minutach wyjął pistolet z kabury i myśliwski nóż o długim ostrzu z kieszeni płaszcza. Robota będzie brudna, ale trzeba ją wykonać. Nóż, podobnie jak łopatką, znajdował się w bagażniku sedana. Były to narzędzia na specjalne okazje i zawsze tam spoczywały.

Błąd wyszedł na jaw. Tinamou go naprawi.

# 18

Holcroft sączył kawę i patrzył przez okno na chłodny paryski poranek. To już drugi, od kiedy ostatni raz widział się z Helden, a ona nadal nie była bliższa skontaktowania się z bratem niż przedwczorajszej nocy.

— On do mnie zadzwoni. Wiem, że to zrobi — powiedziała mu przez telefon przed kilkoma minutami.

— A gdybym tak wyszedł na chwilę? — spytał.

— Nie przejmuj się tak. Dam ci znać.

*Nie przejmuj się tak.* Łatwo jej było mówić, zważywszy, gdzie się znajdował i jak się tu dostał — a właściwie, jak się tu dostali.

To był dalszy ciąg szaleństwa. Wyszli z wiejskiego zajazdu i przyjechali z powrotem na Montmartre, gdzie z jakiejś bramy wyłonił się nieznajomy mężczyzna i odebrał od nich citroena. Ruszyli pieszo rojnymi uliczkami, mijając po drodze dwie kawiarenki na świeżym powietrzu, skąd skinienia dwóch głów poinformowały ich, że mogą bezpiecznie wracać do wynajętego samochodu Noela.

Wskazywała mu drogę przez Paryż z Montmartre'u przez Sekwanę, aż do Saint-Germain-des-Pres, gdzie zatrzymali się przed hotelem. Tam zameldował się i zapłacił za jedną noc. To był podstęp; nie udał się do swojego pokoju. Zamiast tego pojechali do drugiego hotelu przy ulicy Chevalle, gdzie zainspirowany reklamą napoju orzeźwiającego zameldował się pod nazwiskiem „N. Fresca”.

Zostawiła go w holu, obiecując zatelefonować, kiedy dowie się czegoś o bracie.

— Wyjaśnij mi coś — poprosił. — Dlaczego to wszystko robimy? Co za różnica, gdzie się zatrzymam albo czy używam swojego nazwiska, czy nie?

— Widziano cię ze mną.

Helden. Dziwne imię, dziwna kobieta. Niepojęta mieszanina bezbronności i siły. Cokolwiek wycierpiała przez te lata, nie popadła w manierę użalania się nad sobą. Uznawała swoje dziedzictwo. Rozumiała, że dzieci nazistów, choć tropione przez ODESSE i *Rache*, muszą z tym żyć. Potępione za to, czym były i czym nie były.

Genewa mogła tym dzieciom pomóc i p o m o ż e im. Noel stawiał się w ich położeniu. Łatwo mu się było z nimi utożsamiać. Gdyby nie odwaga jego nadzwyczajnej matki, mógł być teraz jednym z nich.

Ale istniały jeszcze inne, bardziej doraźne problemy. Pytania związane z Genewą. Kim był ten nieodgadniony Anthony Beaumont? Dla kogo pracował? Co się naprawdę przydarzyło von Tieboltom w Brazylii? Ile wiedział Johann von Tiebolt o pakcie?

Jeśli ktokolwiek zna na nie odpowiedzi, tym kimś jest Johann... John Tennyson.

Holcroft wrócił do okna. Nad pobliskim dachem przelatywało właśnie stado gołębi, wzbijając się z trzepotem skrzydeł w poranne niebo. Von Tieboltowie. Jeszcze przed trzema tygodniami w ogóle nie znał tego nazwiska, a teraz jego los był nierozzerwalnie związany z noszącą je rodziną.

Helden. Dziwne imię, dziwna dziewczyna. Pełna powikłań i sprzeczności. Nigdy dotąd nie spotkał kogoś takiego. Sprawiała wrażenie, że pochodzi z innego czasu, z innego miejsca i walczy ze spuścizną wojny, która przeszła już do historii.

*Rache.* ODESSA... *Wolfsschanze.* Sami fanatycy. Przeciwnicy w krwawej łaźni, która nie miała już znaczenia. Skończyło się, skończyło przed ponad trzydziestu laty. Martwa historia, zamknięta karta.



Gołębie sfrunęły znowu w dół i w ich zmasowanym szturmie na dach Noel nagle coś dostrzegł — zrozumiał coś, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy. Tkwiło to w nim od tamtej nocy — od spotkania z *Herr Oberstem* — a on nawet sobie tego nie uświadamiał.

Nic się nie skończyło. Wojna została wskrzeszona. Przez Genewę.

*Wielu będzie cię próbowało powstrzymać, zwieść kłamstwami, zabić...*

ODESSA, *Rache*. Oto wrogowie Genewy! Fanatycy i terroryści, którzy uczyniliby wszystko, by zniszczyć pakt. Kto inny ujawniłby konto, wnosząc apelację do trybunałów międzynarodowych. Ani ODESSA, ani *Rache* nie mogły tak postąpić. Helden myliła się, przynajmniej częściowo. Zainteresowanie obu organizacji dziećmi liderów partii nazistowskiej uległo zawieszeniu na czas walki ze sprawą Genewy! Do czasu powstrzymania jego, Noela Holcrofta. Dowiedzieli się — jakoś, gdzieś — o szwajcarskim koncju i byli zdecydowani nie dopuścić do jego odblokowania. Jeśli w dopięciu celu przeszkadzać im będzie jego osoba, zabiją go bez skrupułów. Jego życie nic tu nie znaczyło.

To wyjaśniało tę strychninę w samolocie — tę straszliwą śmierć, która była przeznaczona dla niego. *Rache* ze swą taktyką terroru. To stawiało w nowym świetle wypadki w Rio de Janeiro — strzały na opustoszałym tarasie widokowym i szybę samochodu roztrzaskaną w środku nocy na ulicach miasta. Maurice Graff i psychopatyczni członkowie brazylijskiej ODESSY. Oni wiedzieli — oni wszyscy wiedzieli — o Genewie!

A jeśli tak, wiedzieli również o von Tieboltach. To by wyjaśniało wypadki, które zaszły w Brazylii. Tam wcale nie chodziło o matkę, tylko o Johanna von Tiebolta. To on uciekał przed ODESSĄ Graffa; brat ratujący to, co pozostało z rodziny, brawurowo wymykający się z Rio wraz z dwoma siostrami. A wszystko po to, by żyć i wypełnić postanowienia genewskiego paktu.

*Pewnego dnia zjawi się mężczyzna i opowie o dziwnej umowie... A w tej dziwnej umowie tkwiły pieniądze i siła wystarczająca do zniszczenia ODESSY oraz Rache — bo takie były z pewnością właściwe cele paktu.*

Noel rozumiał to teraz wyraźnie. On, John Tennyson i mężczyzna, o nazwisku Kessler mieszkający w Berlinie, mieli kierować Genewą, mieli prowadzić agencję w Zurychu. Mieli wykorzystać ODESSĘ, gdziekolwiek się rozpanoszyła. Mieli zmiażdżyć *Rache*. Do programu zadośćuczynienia należało unieszkodliwienie fanatyków, gdyż fanatycy byli ojcami morderstw i ludobójstwa.

Zaprzagnął zatelefonować do Helden i powiedzieć jej, że wkrótce nie będzie już musiała uciekać — że oni wszyscy nie będą musieli uciekać — nie będą się ukrywać, nie będą żyć w ciągłym strachu. Pragnął jej to powiedzieć. I pragnął ujrzeć ją znowu.

Ale dał słowo, że nie będzie do niej telefonował do *Gallimard* ani próbował się z nią skontaktować pod żadnym pozorem. Ten zakaz doprowadzał go do szału; ona doprowadzała go do szału, nie mógł jednak złamać słowa.

Telefon. Musi zatelefonować do biura *American Express* na Polach Elizejskich. Powiedział Samowi Buonoventurze, żeby zostawiał tam dla niego wiadomości.

Odbiór wiadomości przez telefon to prosta sprawa; już tak kiedyś robił. Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie przebywa. Odstawił filiżankę z kawą i podchodząc do aparatu przypomniał sobie nagle, że ma zatelefonować gdzieś jeszcze. Do matki. Na telefon do Nowego Jorku było za wcześnie; zadzwoni do niej trochę później.

— Przykro mi, *monsieur* — oznajmił pracownik biura *American Express*. — Musi pan osobiście pokwitować odbiór telegramów. Naprawdę bardzo mi przykro.

Telegramów! Noel odłożył słuchawkę poirytowany, ale nie zły. Wyjście z hotelowego pokoju dobrze mu zrobi, odciągnie jego myśli od oczekiwania na wiadomość od Helden.

Szedł ulicą Chevalle, a zimny wiatr chłostał go po twarzy. Na Pola Elizejskie, po drugiej stronie rzeki, dojechał taksówką. Świeże powietrze i jasne słońce działały orzeźwiająco. Opuścił szybę. Po raz pierwszy od kilku dni czuł się pewien siebie, wiedział, dokąd zmierza.

Genewa była już bliżej, rozmyte granice, oddzielające wrogów od przyjaciół, nabierały ostrości.

To, co oczekiwało na niego w biurze *American Express*, wydało mu się mało istotne. Ani w Nowym Jorku, ani w Londynie nie mogło się wydarzyć nic, z czym by się nie uporał. Teraz wszystkie jego myśli krążyły wokół Paryża. Spotkają się z Johnem Tennysonem, porozmawiają, a potem nakreślą plan postępowania, którego pierwszym krokiem będzie udanie się do Berlina i odnalezienie Ericha Kesslera. Znali swoich wrogów, pozostawała tylko kwestia wyprowadzenia ich w pole. Może pomogliby w tym przyjaciele Helden.

Wysiadając z taksówki spojrzął przez przyciemnioną szybę witryny *American Express* i wtedy uderzyła go pewna myśl. Czy odmowa odczytania mu depeszy przez telefon nie sygnalizowała czasem pułapki? Czy nie chciano go w ten sposób sprowokować do ujawnienia się? Jeśli tak, podstęp był aż nazbyt przejrzysty i bez wątpienia stał za tym wywiad brytyjski.

Noel uśmiechnął się. Wiedział dokładnie, co powie, jeśli zatrzymają go Brytyjczycy: „John Tennyson jest zabójcą w takim samym stopniu, co ja, i prawdopodobnie w o wiele mniejszym od niejednego funkcjonariusza MI 5”.

Posunie się może nawet o krok dalej i zasugeruje, aby *Royal Navy* dobrze się przypatrzyła jednemu ze swych najbardziej udekorowanych oficerów. Wszystkie dowody wskazują na prawdopodobieństwo, że komandor Anthony Beaumont jest członkiem ODESSY zwerbowanym w Brazylii przez niejakiego Graffa.

Wydało mu się, że leci w otchłań głową w dół niezdolny do zaczerpnięcia oddechu. W żołądku miał pustkę, a klatkę piersiową przeszywał przenikliwy ból. Targały nim mieszane uczucia — żalu, strachu... i gniewu. Telegram informował:

CZTERY DNI TEMU ZMARŁ OJCIEC STOP NIE MOGŁAM SIĘ Z TOBĄ SKONTAKTOWAĆ STOP ZATELEFONUJ PROSZĘ POD NUMER BEDFORD HILLS STOP  
MATKA

Był jeszcze jeden telegram, od porucznika Davida Milesa z departamentu policji miasta Nowy Jork, NYPD.

WOBEC ŚMIERCI RICHARDA HOLCROFTA SPRAWĄ NAJWYŻSZEJ WAGI STAJE SIĘ NATYCHMIASTOWY KONTAKT PANA ZE MNĄ STOP JAKO PROFESJONALISTA ZALECAM ABY PRZED POROZUMIENIEM SIĘ ZE MNĄ NIE ROZMAWIAŁ PAN Z KIMKOLWIEK INNYM STOP

Na blankiecie widniały jeszcze te same dwa numery telefonów, jakie przekazał mu Buonoventura w Rio de Janeiro i sześć — sześć — zawierających datę i godzinę adnotacji o prośbach potwierdzenia doręczenia, z jakimi zwracał się nadawca od chwili odebrania oryginalnego telegramu przez biuro *American Express*. Miles sprawdzał dwa razy dziennie, czy jego telegram dotarł do adresata.

Noel szedł Polami Elizejskimi, usiłując zebrać myśli, usiłując zapanować nad przepelniającym go żalem.

Jedyny ojciec, jakiego kiedykolwiek znał. Tata... ojciec, Richard Holcroft. Kojarzący się zawsze z uczuciem i miłością. I zawsze z ciepłem i humorem, bo Richard Holcroft był człowiekiem wielu zalet, z których nie najpośledniejszą stanowiła umiejętność żartowania z samego siebie. Był przewodnikiem swego syna — pasierba — nie, do cholery, swego syna. Był mu przewodnikiem, ale nigdy nie narzucał swej woli, chyba że nie było innej możliwości.

Boże, on nie żyje!

To, co powodowało ostre napady bólu — bólu, który wiązał się ze strachem i złością — miało swe źródło w depeszy Milesa. Czyżby ponosił odpowiedzialność za śmierć Richarda Holcrofta? O Chryste! Czyżby ta śmierć miała związek z fiolką strychniny dolaną do drinka dziewięć tysięcy metrów nad Atlantykiem? Czyżby była wpleciona w materię Genewy? Czyżby nieświadomie poświęcił ojca, którego znał całe życie, dla człowieka, którego nigdy nie widział?

Doszedł do rogu alei George'a V. Po drugiej stronie szerokiego, rojnego skrzyżowania dostrzegł szyld rozciągający się nad markizami na całą długość kafejki z ogródkiem: FOUQUETS. Wszystko tu było znajome. Po lewej miał hotel „George V”. Rok temu mieszkał w nim przez kilka dni na koszt nieprzyzwoicie bogatego hotelarza, który żywił złudną — jak się później okazało — nadzieję, że wewnątrz budynku można powielić w Kansas City.

Holcroft zaprzyjaźnił się wtedy z wicedyrektorem. Jeśli ten człowiek jeszcze tam pracuje, zapewne pozwoli mu skorzystać z telefonu. Jeśli rozmowy telefoniczne prowadzone z hotelu są rejestrowane, łatwo można będzie wykryć, skąd dzwonił. I jeszcze łatwiej dojść do fałszywego wniosku o miejscu jego pobytu.

Przewidywać.

— Ależ oczywiście, cała przyjemność po mojej stronie, Noelu. Cieszę się, że cię znowu widzę. Przykro mi, że nie zatrzymałeś się u nas, ale przy tych cenach wcale ci się nie dziwię. Proszę bardzo, skorzystaj z mojego gabinetu.

— Oczywiście, należność za rozmowy pokryję z mojej karty kredytowej.

— Nie ma sprawy, przyjacielu. Może wypijemy później aperitif?

— Z przyjemnością — przystał Noel.

Była dziesiąta czterdzieści pięć czasu europejskiego. Za piętnaście szósta w Nowym Jorku. Jeśli Miles jest tak podminowany, jak to wynika z jego depeszy, nie obrazi się o tę godzinę. Podniósł słuchawkę i zamówił rozmowę.

Raz jeszcze spojrzął na telegram.

WOBEC ŚMIERCI RICHARDA HOLCROFTA... JAKO PROFESJONALISTA ZALECAM ABY PRZED POROZUMIENIEM SIĘ ZE MNĄ NIE ROZMAWIAŁ PAN Z KIMKOLWIEK INNYM...

To zalecenie miało jakąś złowieszczą wymowę, sformułowanie „z kimkolwiek innym” musiało się odnosić do matki.

Odłożył blankiet na biurko i sięgnął do kieszeni po telegram od Althene.

CZTERY DNI TEMU ZMARŁ OJCIEC... NIE MOGŁAM SIĘ Z TOBĄ SKONTAKTOWAĆ...

Poczucie winy, iż nie jest teraz z nią, dorównywało niemal poczuciu winy, strachowi i złości, jakie zżerały go, kiedy rozważał możliwość, iż ponosi odpowiedzialność za tę śmierć. Możliwość? On był o tym przeświadczony, on to czuł.

„Ciekawe — pomyślał z niepokojem — czy Miles rozmawiał z Althene. A jeśli tak, co jej powiedział?”

Zadzwoił telefon.

— Noel Holcroft?

— Tak. Przepraszam, że miał pan kłopoty z nawiązaniem kontaktu ze mną...

— Nie będę tracił czasu na rozwodzenie się nad tą sprawą — przerwał mu Miles. — Powiem tylko, że pogwałcił pan prawa federalne.

— Chwileczkę — zdenerwował się Noel. — Co ja takiego zrobiłem? Znalazł mnie pan przecież. Nie ukrywam się.

— Ustalenie miejsca pańskiego pobytu po trwających prawie cały cholerny tydzień staniach nazywa się jawnym ignorowaniem i lekceważeniem prawa. Bez powiadomienia nas nie miał pan prawa opuszczać miasta.

— Wynikły pewne nie cierpiące zwłoki sprawy natury osobistej. Zostawiłem wiadomość. Pański zarzut jest bezpodstawny.

— Zatem nazwijmy to „utrudnieniem śledztwa”.

— Czym?

— Przebywał pan w salce klubowej boeinga siedemset czterdzieści siedem i obaj wiemy, co tam zaszło. A może należałoby raczej powiedzieć, do czego tam nie doszło?

— O czym pan mówi?

— O tym, że śmiertelny drink nie był przeznaczony dla Thorntona, a dla pana.

Holcroft dobrze wiedział, co usłyszysz, ale ta wiedza wcale nie złagodziła wstrząsu. Nadal jednak nie zamierzał poddawać się bez walki.

— To, cholera, najbardziej piramidalna bzdura, jaką w życiu słyszałem — zaprotestował.

— Daj pan spokój! Jest pan inteligentnym, szanowanym obywatelem pochodzącym z inteligentnej, szanowanej rodziny, ale pańskie zachowanie przez ostatnie pięć dni jest bezsensowne, jeśli nawet nie podejrzane.

— Pan mnie obraża, ale nic mi nie wyjaśnia. Wspomniał pan w telegramie...

— Zaraz do tego dojdziemy — przerwał mu detektyw. — Chcę, żeby się pan zdecydował, po czyjej stoi stronie. Widzi pan, chcę, aby pan z nami współpracował, a nie przeszkadzał.

— Niech pan mówi.

— Wiem, że był pan w Rio. Rozmawialiśmy z...

— Co zrobiliście? — Czyżby Sam go wydał?

— To nie było takie trudne. Nawiasem mówiąc, pański przyjaciel Buonoventura nie ma z tym nic wspólnego. Nadal pana osłania. Powiedział nam, że wypłynął pan łodzią z Curacao, ale holenderski urząd imigracyjny nie odnotował pana wjazdu na swoje terytorium. Zdobyliśmy wykaz zamorskich numerów telefonów, z którymi się pan łączył i sprawdziliśmy linie lotnicze. Wyleciał pan z Nowego Jorku liniami *Braniff* i zatrzymał się w hotelu „Porto Alegre” w Rio.

Amator nie mógł się mierzyć z profesjonalistą.

— Sam mówił mi, że telefonował pan parę razy — mruknął Noel.

— Zgadza się — przytaknął Miles. — Opuścił pan Rio i chcieliśmy się dowiedzieć, dokąd się pan udał. Wiedzieliśmy, że Buonoventura będzie się z panem kontaktował. Nie dostał pan żadnej przesyłki w hotelu w Londynie?

— Nie.

— Wierzę panu na słowo. Zdarza się, że przesyłki giną.

„Ale ta nie zginęła — pomyślał Noel. — Ukradli ją ludzie *Wolfsschanze*”.

— Teraz wiem, na czym stoję — powiedział. — Przejdźmy do sedna sprawy.

— Niezupełnie pan wie — zgasił go Miles. — Rozmawialiśmy z naszą ambasadą w Rio, z człowiekiem o nazwisku Anderson. Powiedział, że uraczył go pan interesującą historią. Jak to zwabiono pana w pułapkę, ścigano, strzelano do pana. Wyznał, że nie uwierzył w ani jedno słowo, uznał za intryganta i z wielką ulgą pozbył się pana z Brazylii.

— Wiem. Odwiózł mnie nawet na lotnisko.

— Czy nie zechciałby mi pan o tym opowiedzieć? — spytał detektyw.

Noel utkwiał wzrok w ścianie. Jakże łatwo byłoby zrzucić z siebie brzemię, zwrócić się o oficjalną ochronę. Porucznik Miles, którego twarzy nie pamiętał, stanowił symbol władzy. Ale był to niewłaściwy symbol w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie.

— Nie. Nie ma już o czym mówić. Sprawa się wyjaśniła.

— Czyżby?

— Tak.

Obaj nie odzywali się przez kilka sekund.

— W porządku, panie Holcroft. Mam nadzieję, że zmieni pan zdanie, bo sądzę, że mogę panu pomóc. Sądzę, że pan potrzebuje pomocy. — Miles zawiesił głos. — Żądam teraz formalnie, aby powrócił pan do Nowego Jorku. Jest pan uznawany za głównego świadka zabójstwa i osobę mogącą się w istotny sposób przyczynić do powodzenia trwającego śledztwa.

— Przykro mi. Teraz nie mogę.

— Wcale się nie spodziewałem, że pan posłucha. Spróbuję więc nieformalnie. To dotyczy pańskiego ojca.

W powietrzu wisiały straszne wiadomości i Noel nie potrafił się powstrzymać. Cichym głosem zapytał:

— Został zamordowany, prawda?

— Ja tego nie słyszałem. Rozumie pan, gdybym słyszał, byłbym zmuszony udać się do mojego zwierzchnika i zameldować mu o tym. Powiedział pan to niczym nie sprowokowany. Wyciągnął pan wniosek, którego w żaden sposób nie można było wysnuć z czegokolwiek, co panu do tej pory powiedziałem. Musiałbym zażądać ekstradycji.

— Przestań, Miles! Twoja depesza wcale nie była subtelna! „Jako profesjonalista zalecam”, et cetera! Co, u diabła, miałem sobie pomyśleć?!

I znowu po stronie Nowego Jorku zapadła chwila ciszy.

— Okay — odezwał się wreszcie Miles. — To szach i mat. Jest pan usprawiedliwiony.

— Został zamordowany, tak?

— Tak podejrzewamy.

— Co pan powiedział mojej matce?

— Nic. To nie leży w moich kompetencjach. Nie zna nawet mojego nazwiska. I to jest odpowiedź na moje następne pytanie. Nie rozmawiał pan z nią jeszcze?

— Oczywiście że nie. Niech mi pan powie, co się stało.

— Pański ojciec padł ofiarą czegoś, co najprościej opisać można jako nieprawdopodobny wypadek. Zmarł w szpitalu w godzinę później w wyniku odniesionych obrażeń.

— Jaki wypadek?

— W pobliżu hotelu „Plaza” starszy mężczyzna z Bronksu stracił panowanie nad kierownicą. Samochód skręcił gwałtownie, wjechał na krawężnik i wpadł w tłum przechodniów na trotuarze. Trzy osoby zginęły na miejscu. Pańskiego ojca odrzuciło na mur, a właściwie został do niego przygnieciony, niemal zmiażdżony.

— Sugeruje pan, że ten samochód polował specjalnie na niego?

— Trudno powiedzieć. Wybuchło, oczywiście, ogromne zamieszanie.

— A więc do czego pan zmierza?

Miles zawahał się.

— Tak, ten samochód na niego polował.

— Kim był kierowca?

— Siedemdziesięciodwuletni emerytowany księgowy chory na serce, z wszytym rozrusznikiem, samotny, i z nieważnym od kilku lat prawem jazdy. Wskutek wypadku w rozruszniku nastąpiło zwarcie, człowiek ten zmarł w drodze do szpitala.

— Czy był w jakiś sposób powiązany z moim ojcem?

— Jak dotąd nie ma na to dowodów. Ale mam pewną teorię. Chce ją pan usłyszeć?

— Oczywiście!

— A wróci pan do Nowego Jorku?

— Niech mnie pan nie naciska. Co to za teoria?

— Podejrzewam, że ten stary został zmuszony do spowodowania wypadku. Wydaje mi

się, że w samochodzie był ktoś jeszcze, prawdopodobnie na tylnym siedzeniu, i przykładał mu pistolet do głowy. Korzystając z zamieszania, rozbił staremu rozrusznik i wysiadł. Wydaje mi się, że to była egzekucja przeprowadzona tak, aby wszystko wyglądało na niezwykle wypadek, w którym śmierć poniósł nie tylko skazany.

Noel wstrzymał oddech. Przypomniawszy mu się inny „niezwykły wypadek”: błąd motorniczego londyńskiego metra, który pociągnął za sobą pięć śmiertelnych ofiar. A wśród zabitych znajdował się jedyny człowiek, który mógłby rzucić światło na zagadkę zatrudnienia Johna Tennysona w redakcji *Guardiana*.

„To było cholernie dobrze zaplanowane morderstwo...” Nasuwający się związek napawał przerażeniem.

— Czy pan nie przesadza, Miles? — spytał Holcroft.

— Powiedziałem, że to tylko teoria, ale nie pozbawiona pewnych podstaw. Kiedy w meldunku z miejsca wypadku ujrzałem nazwisko Holcroft, zainteresowałem się sprawą bliżej. Ten stary z Bronksu ma interesujący życiorys. Przybył do Stanów w czterdziestym siódmym, przypuszczalnie jako żydowski imigrant bez centa przy duszy, ofiara Dachau. Tylko że, jak wynika z tuzina książeczek bankowych, on nie był bez centa przy duszy, a jego mieszkanie to istna forteca. Ponadto od czasu osiedlenia się tutaj odbył trzynaście podróży do Niemiec i z powrotem.

Na czoło Noela wystąpiły kropelki potu.

— Do czego pan zmierza?

— Nie wydaje mi się, aby ten stary był kiedykolwiek w Dachau. A jeśli już, to jako funkcjonariusz komendantury. W jego kamienicy prawie nikt go nie zna. Nikt nigdy nie widział go w synagodze. Podejrzewam, że był nazistą.

Holcroft przełknął z trudnością ślinę.

— W jaki sposób wiąże go to z moim ojcem?

— Poprzez pana. Nie bardzo jeszcze wiem jak, ale poprzez pana.

— Poprzez mnie? — serce Noela zabiło szybciej.

— Tak. W Rio powiedział pan Andersonowi, że ktoś o nazwisku Graff jest nazistą i próbował pana zabić. Anderson twierdzi, że w obu przypadkach plół pan trzy po trzy, ale ja jestem odmiennego zdania. Ja panu wierzę.

— Byłem wściekły jak diabli. Wcale mi nie chodziło o wiązanie jednego z drugim. To było nieporozumienie... — Noel szukał rozpaczliwie słów. — Graff to ogarnięty paranoją, w gorącej wodzie kąpany Niemiec, nazwałem go więc nazistą i to wszystko. Myślał, że sporządzam szkice, że fotografuję jego tereny...

— Powiedziałem, że panu uwierzyłem, Holcroft — przerwał mu detektyw. — I mam po temu powody.

— Co to za powody? — Noel zdawał sobie sprawę, że ledwie słyszy; ogarnął go raptem strach. Śmierć ojca był ostrzeżeniem. *Rache*. ODESSA. Którakolwiek z tych organizacji za tym stała, było to kolejne ostrzeżenie. Trzeba roztoczyć opiekę nad matką!

Miles coś mówił, ale Holcroft nie słyszał detektywa; jego ogarnięty paniką umysł pracował na najwyższych obrotach. Trzeba powstrzymać Milesa! Nie wolno dopuścić go w pobliże Genewy!

— Ci ludzie w samolocie, którzy próbowali pana zabić, byli Niemcami — wyjaśniał Miles. — Używali paszportów odebranych dwóm Amerykanom zamordowanym przed pięciu laty w Monachium, ale byli narodowości niemieckiej. Wykazały to badania stanu uzębienia. Zostali zastrzeleni na lotnisku Kennedy'ego; ich ciała znaleziono w cysternie. Pociski, od których zginęli, wystrzelono z dziewięćmilimetrowego niemieckiego pistoletu Heckler & Koch. Tłumik wykonany został w Monachium. Niech pan zgadnie, dokąd udawał się nasz staruszek, kiedy wyjeżdżał do Niemiec — przynajmniej podczas sześciu wypraw, których trasę udało nam się odtworzyć.

— Do Monachium — wyszeptał Noel.

— Zgadza się. Do Monachium. Tam gdzie się to wszystko zaczęło i gdzie to nadal trwa. Trzydzieści lat po zakończeniu tej cholernej wojny jakaś banda nazistów walczy między sobą, a pan znajduje się w samym środku tej awantury. Chcę wiedzieć dlaczego.

Noel czuł się skonany. Wyczerpało go zmęczenie i strach.

— Niech pan da sobie z tym spokój. Nic pan nie może zrobić.

— Jasna cholera, znowu zdarzyło się coś, czemu byłbym może w stanie zapobiec! Jeszcze jedno morderstwo.

— Czy pan nie rozumie? — powiedział z cierpieniem w głosie Noel. — Mam prawo tak mówić, ponieważ był to mój ojciec. W Nowym Jorku niczego nie da się rozwiązać. Można to rozwiązać tylko tutaj. Niech mi pan da czas. Na miłość boską, niech mi pan da czas. Zrewanżuję się panu.

— Ile?

— Miesiąc.

— Za długo. Połowę tego. Ma pan dwa tygodnie.

— Miles, błagam...

W słuchawce rozległ się trzask: w Nowym Jorku przerwano połączenie.

Dwa tygodnie. Boże, to niemożliwe!

Nie, to musi być możliwe! Ma dwa tygodnie na przygotowanie się do powstrzymania Milesa przed dalszym węszeniem. Może tego dokonać wykorzystując zasoby Genewy. Filantropijna agencja dysponująca majątkiem na sumę siedmiuset osiemdziesięciu milionów dolarów zostanie wysłuchana. Po odblokowaniu konta będzie można poczynić kroki wstępne, zawrzeć porozumienia, przyjmując ewentualną ofertę współpracy. ODESSA zostanie ujawniona, *Rache* zniszczona.

Nastąpi to dopiero wtedy, gdy w genewskim banku stawi się trójka spełniających określone wymagania potomków. Tak się stanie, Noel był o tym przeświadczony. Do tego czasu jednak powinien chronić matkę. Musi skontaktować się z Althene i przekonać ją, żeby zniknęła na kilka najbliższych tygodni.

Co jej powiedzieć? Nie posłucha go. Nigdy nie spełni jego prośby, jeśli poweźmie choćby najmniejsze podejrzenie, że jej mąż został zamordowany. Co, na Boga, ma jej powiedzieć?!

— *Allo? Allo, monsieur?* — ze słuchawki wydobył się głos telefonistki. — Pańska rozmowa z Nowym Jorkiem...

Holcroft odłożył słuchawkę tak gwałtownie, że aż brzęknął dzwonek aparatu. Nie był gotowy do rozmowy z matką. Jeszcze nie teraz. Może za jakąś godzinę, ale nie teraz. Musi się zastanowić. Tyle ma do przemyślenia, tyle do zrobienia...

Popadał w obłąd.

## 19

— On oszaleje — oznajmił blondyn do słuchawki telefonu na lotnisku Hellenikon w Atenach. — Musiał się już dowiedzieć. Ten wstrząs może go załamać; nie będzie wiedział, co robić. Przekaż naszemu człowiekowi w Paryżu, żeby przez następne dwadzieścia cztery godziny nie odstępował go na krok. Nie wolno mu wracać do Ameryki.

— Nie wróci — zapewniła go Gretchen Beaumont z odległości tysięcy kilometrów.

— Nigdy nic nie wiadomo. Stresy pogłębiają się. Nasz obiekt ma delikatną konstrukcję psychiczną. Można nim jednak kierować. Czekaj na mnie; postrzega mnie teraz jako swoją odpowiedź na wiele kwestii. Trzeba tylko mocniej napiąć strunę. Chcę go najpierw nakłonić do podróży do Berlina. Na dzień albo dwa. Do Kesslera.

— Wykorzystamy jego matkę? Moglibyśmy podsunąć mu ten pomysł przez nią.

— Nie. Nie wolno jej tknąć pod jakimkolwiek pozorem. To byłoby zbyt niebezpieczne.

— No to jak zasugerujesz mu Berlin? — spytała z Anglii Gretchen Beaumont.

— Nie ja — odparł John Tennyson z Aten. — Przekonam naszą siostrę, żeby podsunęła mu tę myśl. Ona stara się, oczywiście, nawiązać kontakt ze mną.

— Uważaj na nią, Johann.

— Będę ostrożny.

Holcroft szedł wybetonowanym brzegiem Sekwany nie dbając, że zimne poddmuchy wiatru od rzeki przenikają go na wskroś. Jeszcze godzinę temu rozsadzała go pewność siebie, teraz czuł się zagubiony. Wiedział tylko, że musi brnąć dalej, otrząsnąć się z przygnębienia, podjąć jakieś decyzje.

Konieczne jest też dokonanie pewnych przewartościowań. Przed godziną jedynym człowiekiem, któremu wierzył, na którego mógł liczyć, był brat Helden. Ta wiara stała się teraz podejrzana. Wypadek, w którym stracił życie jedyny ojciec, jakiego znał, spowodowany przez wpadający na chodnik samochód, miał aż za wiele wspólnych cech z nie wyjaśnioną katastrofą w londyńskim metrze.

*Ten człowiek zginął w niewiarygodnym wypadku, który pociągnął za sobą pięć ofiar...*  
MI 5.

*Egzekucja... niezwykle wypadek, w którym śmierć poniósł nie tylko skazany.* David Miles z departamentu policji miasta Nowy Jork.

Spotkanie z Tennysonem przestawało być nagle odpowiedzią na wszystko; pojawiał się znowu cień Tinamou. *Pewnego dnia zjawi się mężczyzna i opowie o dziwnej umowie.* Tennyson na niego czekał, ale czekał być może z innych, niż mu się dotąd wydawało, powodów. Może sprzedał ich pakt za wyższą cenę.

Jeśli tak, był odpowiedzialny za śmierć Richarda Holcrofta tak samo, jakby to jego noga naciskała pedał gazu, a ręce spoczywały na kierownicy. Gdyby tak właśnie było, Tennyson nie wyszedłby ze spotkania żywy. Syn zabiłby w odwecie za ojca. Był to winien Richardowi Holcroftowi.

Noel zatrzymał się i przyłożył dłonie do betonowej ściany, dziwiąc się sam sobie... swoim myślom. Wcielał się przecież w rolę mordercy! Jego pakt pociągał za sobą koszty straszliwsze, niż się tego spodziewał.

Zapozna Tennysona z faktami, które zostały mu przedstawione. Będzie uważnie obserwował syna Wilhelma von Tiebolta. Szczerość albo fałsz: znajdzie je w słowach Tennysona, w jego oczach. Pokładał w Bogu nadzieję, że dokona właściwej oceny.



Krok za krokiem. Przejaśniało mu się w głowie. Każdy ruch trzeba dokładnie przemyśleć, ostrożność jednak nie może go spowalniać.

Najpierw sprawy najważniejsze, a najważniejszy był nie podlegający dyskusji fakt, że nie może już działać na oślep, bez zachowania środków ostrożności. Otrzymał najbardziej niehumanitarne ostrzeżenie ze wszystkich: zabito kogoś, kogo kochał. Przyjął to ostrzeżenie ze strachem i wściekłością. Strach uczyni go ostrożnym, wściekłość doda odwagi. Musi dodać, od niej zależy wszystko.

Matka. Co jej powiedzieć, żeby nie powzięła żadnych podejrzeń? Cokolwiek to będzie, musi mu uwierzyć. Jeśli choć przez chwilę pomyśli, że śmierć jej męża była dziełem ludzi spłodzonych przez Trzecią Rzeszę, wpadnie w furję. A pierwszy krzyk będzie ostatnim. Co jej powiedzieć, żeby zabrzmiało to wiarygodnie?

Pogrążony w myślach ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń ruszył znowu wolnym krokiem. Do rzeczywistości przywołało go dopiero zderzenie z niskim mężczyzną nadchodzącym z przeciwka.

— Przepraszam. *Pardon, monsieur* — wybąkał.

Francuz szedł przeglądając gazetę; wzruszył teraz ramionami i uśmiechnął się uprzejmie.

— *Rien.*

Noel przystanął. Francuz kogoś mu przypominał. Krągła, miła twarz, okulary.

Ernst Manfredi.

Matka wyrażała się o Manfredim z szacunkiem, nadal miała wobec tego szwajcarskiego bankiera ogromny dług wdzięczności. A może porozmawiać z Althene w imieniu Ernsta Manfrediego, wymyślić informację, której udzielił mu rzekomo bankier. Dlaczego by nie? Nikt nie mógłby tego zakwestionować; Manfredi nie żyje.

To Manfredi niepokoił się o swą starą przyjaciółkę Althene Clausen. To on się o nią lękał. To on się obawiał, że podczas nadchodzących tygodni, w trakcie odblokowywania nadzwyczajnego konta w Genewie, wypłynie nazwisko Clausena. Znajdą się tacy, którzy przypomną sobie upartą, młodą kobietę, która porzuciła męża i której słowa stały się przyczynkiem do moralnego nawrócenia Heinricha Clausena, w efekcie czego zdefraudowano setki milionów dolarów. Mogą się rozbudzić uśpione namiętności, ktoś może zacząć szukać na tej kobiecie zemsty.

To Manfrediego, a nie jego obawy będzie musiała uszanować. Stary bankier wiedział więcej niż każde z nich. Jeśli uważał, że najlepiej będzie zniknąć, dopóki nie osłabnie wstrząs wywołany odblokowaniem konta, powinna posłuchać jego rady. Schorowany, stary człowiek u kresu życia nie wyciąga pochopnych wniosków.

Takie wyjaśnienie miało ręce i nogi. Było logicznie związane z ich rozmową sprzed trzech tygodni w Bedford Hills. Matka dostrzeże tę zgodność. Posłucha „słów” Ernsta Manfrediego.

Noel zerknął instynktownie przez ramię, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Wchodziło mu to już w nawyk. Strach czynił go ostrożnym; wściekłość dodawała mu sił. Pragnął zobaczyć wroga. Przyzwyczajał się do swego „nieznanego lasu”.

Skierował się z powrotem do hotelu „George V”. Wpadł stamtąd roztrzęsiony i oszołomiony, w ostatniej chwili, unikając spotkania ze znajomym wicedyrektorem. Chciał ochłodzić się w chłodzie ulicy. Teraz przyjmie zaproszenie na aperitif i poprosi o umożliwienie mu odbicia jeszcze jednej transatlantyckiej rozmowy telefonicznej. Z matką.

Szedł szybko, zatrzymując się dwukrotnie znienacka i odwracając gwałtownie. Czyżby ktoś za nim podążał?

Całkiem możliwe. Przecznicę za nim zwolnił ciemnozielony fiat. W porządku.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, wpadł frontowym wejściem do kafejki i po kilku sekundach wybiegł z niej drzwiami wychodzącymi na aleję George'a V. Zatrzymał się przed kioskiem przy następnej przecznicy, żeby kupić gazetę.

Dostrzegł zielonego fiata wyjeżdżającego powoli zza narożnika przy kafejce. Samochód nagle się zatrzymał. Kierowca zaparkował przy krawężniku i spuścił głowę. W porządku. Noel już wiedział, co zrobi po aperitifie i rozmowie z Althene.

Zobaczy się z Helden, Powinien też zorganizować sobie pistolet.

Von Tiebolt wpatrywał się z niedowierzaniem w mikrofon słuchawki automatu wrzutowego na ateńskim lotnisku.

— Co powiedziałaś? — wykrztusił.

— To prawda, Johann — potwierdziła Helden z Paryża. — Wywiad brytyjski podejrzewa, że to ty jesteś Tinamou.

— To niewiarygodne. — Zaskoczony blondyn przeciągał słowa. — Oburzające!

— To samo powiedziałam Holcroftowi. Wyjaśniłam mu, że uwzięli się na ciebie za to, co wypisujesz... i za to, kim jesteś. Kim jesteśmy.

— Tak, chyba tak. — Von Tiebolt ze złością ścisnął słuchawkę. Nie mógł się skoncentrować na wywodzie siostry. Gdzieś został popełniony błąd, trzeba podjąć natychmiastowe kroki w celu jego naprawienia. Co skierowało nań uwagę MI 5? A przecież zacierał za sobą ślady! Ale może w każdej chwili wskazać Tinamou. To jego zabezpieczenie na wypadek, gdyby nie było już innego wyjścia. Nikomu nie ufa się tak, jak podejrzanemu, który wskazał ściganego zabójcę. To genialna taktyka, którą sam obmyślił. Być może będzie musiał z niej skorzystać szybciej, niż sądził.

— Johann, jesteś tam?

— Tak, przepraszam cię.

— Musisz jak najszybciej spotkać się z Holcroftem.

— Oczywiście. Będę w Paryżu za cztery, pięć dni...

— Nie możesz wcześniej? — przerwała mu Helden. — Jemu jest bardzo pilno.

— To zupełnie niemożliwe.

— Tyle mam ci jeszcze do powiedzenia... — Opowiedziała mu o genewskim koncju, o agencji w Zurychu, która miała rozdysponować setki milionów, o amerykańskim synu Heinricha Clausena, o Erichu Kesslerze mieszkającym w Berlinie i o von Tieboltach z Rio. Na koniec, zacinając się, powtórzyła słowa swojej siostry: *Pewnego dnia zjawi się mężczyzna i opowie o dziwnej umowie...* — Naprawdę to powiedziałaś? — spytała brata.

— Tak. Jest wiele spraw, o których nic nie wiesz. Nie wiedziałem tylko, kiedy ani w jakich okolicznościach do tego dojdzie. Uprzedziłem o tym Gretchen. Ten Holcroft odwiedził ją przedwczoraj wieczorem. Obawiam się, że niewiele mu pomogła. Cięży na nas zobowiązanie tak ogromne, że nie ma równego sobie w najnowszej historii. Konieczne jest zadośćuczynienie...

— Tak samo powiedział Holcroft — wpadła mu w słowo Helden.

— Jestem tego pewien.

— On się boi. Stara się tego nie okazywać, ale się boi.

— Wcale się nie dziwię. To wielka odpowiedzialność. Jeśli mam mu pomóc, muszę się dowiedzieć, co wie.

— No to przyjedź teraz do Paryża.

— Nie mogę. To tylko kilka dni.

— Martwię się. Jeśli Noel jest tym, za kogo się podaje, a nie widzę powodów, dla których miałabym mu nie wierzyć...

— Noel? — spytał brat z umiarkowanym zdziwieniem w głosie.

— Lubię go, Johann.

— Mów dalej.

— Jeśli jest tym, który ma przyprowadzić waszą trójkę do bankierów La Grande Banque, nic bez niego w Genewie nie może się stać.

— A więc?

— Według mnie to *Rache*. Albo ODESSA.

— Wątpię — powiedział John Tennyson. — Żadna z nich nie byłaby zdolna utrzymać w tajemnicy takiej rewelacji. Masz na to słowo dziennikarza.

— Obydwie zabijają, a Noela ktoś próbował wyprawić na tamten świat.

Tennyson uśmiechnął się do siebie. Zdarzały się błędy, ale ogólna strategia dawała wyniki. Holcroft jest nękany ze wszystkich stron. Kiedy w końcu dojdzie do finału w Genewie, będzie wyczerpany, podatny na wszystko.

— Musi więc być bardzo ostrożny — powiedział. — Naucz go tego, co umiesz, Helden. Tyle, ile będziesz mogła. Tych sztuczek, których wszyscy uczyliśmy się od siebie wzajemnie.

— Widział trochę tych sztuczek — powiedziała dziewczyna cicho. — Nie lubi ich stosować.

— Lepsze to, niż skończyć jako trup. — Blondyn urwał na chwilę. Zmiana tematu musiała wypaść zdawkowo. — Gretchen wspominała coś o fotografii, o zdjęciu Beaumonta. Podejrzewa, że Holcroft ją zabrał.

— Tak, zabrał ją. Jest przekonany, że widział Beaumonta w samolocie lecącym z Nowego Jorku do Rio. Uważa, że Beaumont go śledził. To należy do spraw, które chce poruścić, kiedy się spotkacie.

„A więc to jednak samolot — pomyślał Tennyson. — Amerykanin był bardziej spostrzegawczy, niż pragnął to sobie wmówić Beaumont. Zniknięcie Beaumonta wyjaśni się w przeciągu kilku dni, ale trudno będzie wyjaśnić sprawę fotografii znajdującej się w posiadaniu Holcrofta, jeśli ten pokaże ją niewłaściwym ludziom w Szwajcarii. Fanatyczny komandor pozostawił za sobą aż nazbyt wyraźny ślad ciągnący się z Rio do Admiralicji. Muszą odzyskać tę fotografię”.

— Nie wiem, co o tym myśleć, Helden — powiedział. — Nigdy nie przepadałem za Beaumontem. Nigdy mu nie ufałem. Ale on od paru miesięcy pływa po Morzu Śródziemnym. Nie bardzo sobie wyobrażam, jak mógłby zejść ze statku i pojawić się ni stąd, ni zowąd na pokładzie samolotu wylatującego z Nowego Jorku. Holcroft jest w błędzie... — Tennyson znowu urwał. — Wydaje mi się jednak, że Noel powinien wziąć ze sobą tę fotografię, kiedy będzie szedł na spotkanie ze mną. Lepiej, żeby się z nią nie obnosił. Nie powinien też rozpowiadać o Beaumoncie. Przekaż mu to. To mogłoby naprowadzić kogoś na trop Gretchen. Na nasz trop. Tak, najlepiej chyba będzie, jeśli przyniesie tę fotografię ze sobą.

— Nic z tego. Ukradziono mu ją.

Blondyn zmartwiało. Niemożliwe! Fotografii nie zabrał nikt z nich! Żadne *Sonnenkind*. Pierwszy by o tym wiedział. A więc kto? Zniżył głos.

— Co to znaczy, ukradziono?

— Dokładnie tak. Jakiś człowiek ścigał go, dogonił, pobił do nieprzytomności i zabrał zdjęcie. Tylko fotografię, nic poza tym.

— Kto to był?

— On nie wie. Była noc, nie widział. Ocknął się na polu kilka kilometrów od Portsmouth.

— Napadnięto go w Portsmouth?

— Około dwóch kilometrów od domu Gretchen, o ile dobrze zrozumiałam. Coś tu brzydko pachniało. Bardzo brzydko.

— Jesteś pewna, że Holcroft nie kłamał?

— A dlaczego miałby kłamać?

— Co ci dokładnie powiedział?

— Że ścigał go mężczyzna w czarnym swetrze, który uderzył go czymś ciężkim, owiniętym w szmatę. Kiedy Noel stracił przytomność, tamten zabrał mu z kieszeni fotografię. Nic więcej. Nie ruszył pieniędzy ani niczego innego.

— Rozumiem. — Ale nie rozumiał! I to go niepokoiło. Nie wolno mu się było zdradzić ze swymi obawami przed Helden. Jak zawsze musi sprawiać wrażenie całkowicie opanowanego. Trzeba jednak zbadać to niespodziewane, tajemnicze zakłócenie. — Helden, chciałbym coś zrobić... dla nas wszystkich. Czy mogłabyś załatwić sobie w pracy wolny dzień?

— Chyba tak. A po co?

— Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować dowiedzieć się, kto tak bardzo interesuje się Holcroftem. Może zaproponujesz mu przejażdżkę za miasto do Fontainebleau albo Barbizon.

— Ale po co?

— Mam w Paryżu przyjaciela, który często wykonuje dla mnie różne nietypowe zadania. Poproszę go, żeby za wami pojechał, bardzo dyskretnie, ma się rozumieć. Może ktoś jeszcze wybierze się na tę wycieczkę.

— Mógłby to zrobić jeden z naszych ludzi.

— Nie, nie sądzę. Nie mieszejmy do tego naszych przyjaciół. *Herr Oberst* nie może mieć z tym nic wspólnego.

— W porządku. Wyjedziemy około dziesiątej rano. Z jego hotelu. „Douzaine Heures” przy ulicy Chevalle. Jak poznam tego człowieka?

— Nie poznasz go. On sam was znajdzie. Nie mów nic Holcroftowi, to by go niepotrzebnie zdenerwowało.

— Zgoda. Zadzwońisz do mnie po przyjeździe do Paryża?

— Bezzwłocznie, *meine Schwester*.

— *Danke, mein Bruder*.

Tennyson odwiesił słuchawkę. Przed wejściem na pokład samolotu odlatującego do Berlina powinien przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę telefoniczną. Ale nie zadzwoni teraz do Gretchen, nie chce z nią rozmawiać. Jeśli poczynania Beaumonta okażą się katastrofalne w skutkach i zaszkodzą sprawie *Wolfsschanze*, trzeba będzie przerwać wszystkie nitki prowadzące do niego, a poprzez niego — do Genewy. To niełatwa decyzja. Kochał Gretchen tak, jak kocha swe siostry niewielu ludzi pod słońcem; w sposób, którego świat nie pochwała, gdyż go nie rozumie. Gretchen zaspokajała jego wszystkie potrzeby, wszystkie pragnienia. Jego umysł mógł się bez przeszkód i zewnętrznych komplikacji koncentrować na nadzwyczajnej życiowej misji. Ale kto wie, czy to również się nie skończy... Kto wie, czy Gretchen, jego siostra, jego kochanka, nie będzie musiała umrzeć...

Holcroft słuchał ostatnich słów Althene oszołomiony jej opanowaniem, zaskoczony, że tak łatwo poszło. Pogrzeb odbył się poprzedniego dnia.

— Robisz, co musisz, Noelu. Niepotrzebnie, w głupi sposób zginął dobry człowiek, i to jest plugawe. Ale stało się, żadne z nas nic na to nie poradzi.

— Chciałem cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

— Co takiego?

Opowiedział jej o śmierci Manfrediego — tak jak mu ją przedstawił Szwajcar, z którym rozmawiał. Stary człowiek nękany bólem, przedkładający szybką śmierć ponad długie cierpienia i wegetację kaleki.

— Ostatnią rzeczą, którą zrobił jako bankier, było spotkanie ze mną w Genewie.

Althene milczała przez chwilę, wspominając przyjaciela. Tak wiele kiedyś dla niej znaczył!

— To do niego podobne. Wypełnił warunki umowy tak samo ważnej, jak ta, z którą cię zapoznał. On nie zostawiłby tego innym.

— Było coś jeszcze, dotyczyło ciebie. Powiedział, że zrozumiesz. — Holcroft ścisnął mocno słuchawkę. Własne niepokoje włożone w usta Manfrediego brzmiały przekonująco. Otóż wielu z tych, którzy mogą pamiętać tę upartą kobietę, może ją obarczyć odpowiedzialnością za nawrócenie Heinricha Clausena i za jego decyzję zdradzenia Rzeszy. Tłumaczył, że nie jest wcale wykluczone, iż żyją jeszcze fanatycy, którzy mogą szukać zemsty. Althene Clausen, stara przyjaciółka Manfrediego, nie powinna ryzykować. Powinna wyjechać na jakiś czas tam, gdzie w przypadku wypłynięcia nazwiska Clausena nikt by jej nie znalazł. — Rozumiesz to, mamó?

— Tak — odparła Althene. — Bo kiedyś, wiele lat temu, już mi to mówił. Pewnego ciepłego popołudnia w Berlinie. Wtedy też ostrzegął, że będą nas szukać. Miał rację. I teraz ma rację. Świat roi się od maniaków.

— Dokąd wyjedziesz?

— Jeszcze nie wiem. Może na jakąś wycieczkę. To bardzo odpowiednia pora, nie sądzisz? Ludzie są tak krępująco troskliwi w obliczu śmierci.

— Wolałbym raczej, żebyś zaszła się w jakimś zakątku, gdzie nie będziesz rzucać się w oczy. Tylko na parę tygodni.

— To nie jest takie znów trudne. Mam w tym pewne doświadczenie. Po wyjeździe z Berlina, przez dwa lata, ty i ja nie zagraliśmy nigdzie miejsca. Ścisłej mówiąc, aż do Pearl Harbor. Działalność Związku była w tamtych czasach zbyt urozmaicona, by można się było czuć bezpiecznie — wciąż nadchodziły rozkazy z Wilhelmstrasse.

— Nie wiedziałem o tym — mruknął Noel poruszony.

— Dużo by opowiadać... Nieważne. Richard położył temu wszystkiemu kres. Dzięki niemu mogliśmy przestać uciekać, przestać się ukrywać. Dam ci znać, gdzie jestem.

— Jak?

Matka nie odzywała się przez chwilę.

— Poprzez twójgo przyjaciela z Curacao, pana Buonoventurę, Zrobił na mnie wrażenie człowieka zdecydowanie godnego zaufania. Skontaktuję się z nim.

— W porządku. — Holcroft uśmiechnął się. — Będę telefonował do Sama.

— Nigdy nie opowiadałam ci o tamtych czasach, zanim w naszym życiu nie pojawił się Richard, prawda? Naprawdę muszę wreszcie to zrobić, to może cię zainteresować.

— To by mnie bardzo interesowało. Manfredi miał rację. Jesteś niezwykłą kobietą.

— O nie, kochanie. Jedynie kobietą, której udało się przeżyć.

Pożegnali się, jak zawsze, zdawkowo. Byli przecież przyjaciółmi. Noel wyszedł z gabinetu wicedyrektora i ruszył przez hol hotelu „George V” w kierunku baru, gdzie czekał z aperitifem przyjaciel. Po przejściu kilku kroków zdecydował się jednak nadłożyć nieco drogi. Zbliżył się do ogromnego okna na lewo od wejścia i wyjrzał pomiędzy fałdami czerwonych welwetowych kotar. Zielony fiat wciąż stał na ulicy.

Odwrócił się i ruszył przez hol do baru. Spędzi z piętnaście minut na przyjemnej konwersacji z wicedyrektorem, podczas której przekaże mu bardzo szczególne, tylko że nieprawdziwe informacje i poprosi o przysługę, no, może o dwie.

A potem Helden. Jeśli nie doczeka się wiadomości od niej do piątej po południu, sam skontaktuje się z nią w *Gallimard*. Musi się z Helden zobaczyć; potrzebny mu też jest pistolet.

— Cztery do pięciu dni? — wybuchnął Noel do słuchawki telefonu. — Nie chcę czekać czterech, a tym bardziej pięciu dni. Spotkam się z nim gdziekolwiek! Nie mogę tracić czasu.

— Powiedział, że nie jest w stanie przyjechać do Paryża wcześniej i zasugerował, żebyś w tym czasie wybrał się do Berlina. Zabierze ci to mniej więcej dzień.

— Wiedział coś o Kesslerze?

— Nie znał może samego nazwiska, ale wiedział o Berlinie.

— Skąd dzwonił?

— Z lotniska w Atenach.

Noel pamiętał. *Zniknął cztery dni temu w Bahrajnie. Nasi funkcjonariusze szukają go od Singapuru po Ateny.* Wywiad brytyjski doczeka się wkrótce swej upragnionej konfrontacji z Johnem Tennysonem, jeśli ona już nie nastąpiła.

— Co powiedział o Brytyjczykach? — spytał.

— Był wściekły, tak jak się spodziewałam. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Johann napisał artykuł, który wprawi w zakłopotanie ministerstwo spraw zagranicznych. Był rozjuszony.

— Mam nadzieję, że to mu minie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnie każde z nas, jest trafienie na łamy gazet. Możesz się z nim skontaktować telefonicznie? Albo umożliwić to mnie? Mógłby przylecieć jeszcze dziś wieczorem. Spotkałbym go na Orly.

— Przykro mi, ale nie. Wsiadał właśnie do samolotu. Znam tylko numer telefonu do Brukseli, tam ma swoją skrynkę kontaktową. Moja wiadomość dotarła do niego dopiero po dwóch dniach.

— A niech to szlag!

— Za bardzo się przejmujesz.

— Śpieszy mi się.

— Noel... — zaczęła niepewnie Helden. — Nie muszę iść jutro do pracy. Moglibyśmy się spotkać. Może gdzieś pojedziemy? Chciałabym porozmawiać.

Holcroft był zaskoczony. Pragnął z nią być.

— Po co czekać do jutra? Zjedzmy razem obiad.

— Nie mogę. Na dziś wieczór jestem umówiona. Będę u ciebie w hotelu jutro rano o dziesiątej. Do Berlina możesz polecieć w południe.

— Umówiłaś się z przyjaciółmi?

— Tak.

— Helden, zrób coś dla mnie. Nigdy nie myślałem, że o to poproszę, ale... Potrzebny mi pistolet. Nie wiem, jak go zdobyć, jakie obowiązują przepisy.

— Rozumiem. Przyniosę ci go. No to do jutra rana.

— Do jutra. — Holcroft odwiesił słuchawkę i spojrzął na otwarty neseser leżący na hotelowym krześle. Jego wzrok zatrzymał się na okładce genewskiego dokumentu. Przypomniała mu o zagrożeniu ze strony ludzi *Wolfsschanze*. *Nic nie jest już dla ciebie, jak było...* Wiedział teraz, jak bardzo było to prawdziwe. Kiedyś pożyczył w Kostaryce pistolet. Zabił z niego człowieka, który chciał zabić jego. Wolałby nigdy, jak długo będzie żył, więcej nie zobaczyć pistoletu w swojej dłoni. Ale i to postanowienie uległo zmianie. Zmieniło się wszystko, bo krzyczał do niego zza grobu człowiek, którego nigdy nie znał.

## 20

— Lubisz górskie pstrągi? — spytała Helden wręczając mu automat. Zajmowała przednie siedzenie wynajętego samochodu.

— Uwielbiam pstrągi — odparł Noel ze śmiechem.

— Co cię tak rozbawiło?

— Nie wiem. Dajesz mi pistolet, co nie jest w końcu najzwyczajszą rzeczą, jaką można robić, i jednocześnie pytasz mnie, co chciałbym zjeść na lunch.

— Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyś na kilka godzin przestał rozmyślać o swoich problemach.

— Wydawało mi się, że właśnie o nich chcesz porozmawiać.

— Bo chcę. Ale chcę też lepiej cię poznać. Kiedy spotkaliśmy się tamtego wieczora, bez przerwy zadawałeś pytania.

— A ty pohukiwałaś na mnie, zanim zacząłem je zadawać.

Helden roześmiała się.

— Przepraszam cię. Głupio wyszło, prawda?

— To było szalone. Ładnie się śmiesz. Nie sądziłem, że potrafisz się śmiać.

— Robię to dosyć często. Co najmniej dwa razy w miesiącu z dokładnością zegara.

Holcroft zerknął na nią.

— Nie powinienem tego mówić, ale nie wydaje mi się, żebyś miała wiele powodów do śmiechu.

Odwzajemniła jego spojrzenie, uśmiech nie zniknął z jej warg.

— Może więcej, niż myślisz. I wcale się nie obraziłam. Jestem pewna, że bierzesz mnie za osobę raczej poważną.

— Naszą rozmowę z tamtej nocy trudno uznać za beczkę śmiechu.

— Z pewnością. — Helden odwróciła wzrok. Dłonie trzymała na siedzeniu, pod kolanami przykrytymi białą, plisowaną sukienką. Emanował od niej smutek, którego Noel wcześniej nie zauważył. Utwierdziły go w tym spostrzeżeniu jej słowa.

— Czy myślałaś kiedyś o nich? — spytała.

— O kim?

— O naszych nigdy nie poznanych ojcach. Dokonali rzeczy nieprawdopodobnych, zdobyli się na akt wielkiej odwagi.

— Nie tylko jeden akt. Setki... tysiące aktów. Różnorodnych, skomplikowanych, rozciągających się na miesiące. Trzy lata manipulacji.

— Musieli żyć w nieustannym strachu.

— Nie wątpię.

— Co ich do tego popychało?

— To, co... — Noel, sam nie wiedząc dlaczego, urwał. — To, co Heinrich Clausen wyraził w liście do mnie. Kiedy dowiedzieli się o obozach „rehabilitacyjnych”, ich szok przekroczył wszystko, co możemy sobie wyobrazić. Auschwitz, Belsen — te nazwy rozsadały im umysły. Nam wydaje się to teraz nieprawdopodobne, ale nie zapominaj, że to był rok czterdziesty trzeci. Obowiązywała zmowa milczenia.

Helden dotknęła jego ramienia. Kontakt był przelotny, ale zdecydowany.

— Nazwałaś go Heinrichem Clausenem. Nie przechodzi ci przez gardło słowo „ojciec”, prawda?

— Ja miałem ojca. — Noel zamilkł. To nie była odpowiednia chwila na szczerą rozmowę o Richardzie Holcrofcie; musiał trzymać się w karchach. — Już nie żyje. Zamordowano

go przed pięcioma dniami w Nowym Jorku.

— O Boże... — Helden popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Była zaskoczona. — Zamordowano? Z powodu Genewy? — spytała.

— Nie wiem.

— Ale tak myślisz?

— Tak. — Zacisnęła dłonie na kierownicy i milczała. Tworzyła się skorupa i było to okropne uczucie.

— Tak mi przykro, Noel. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Chciałabym cię jakoś pocieszyć, ale nie wiem jak.

Spojrzał na nią, na piękną twarz i jasne, brązowe oczy przepełnione niepokojem.

— Biorąc pod uwagę wszystkie twoje problemy, wystarczy słowna pociecha. Bardzo cię lubię, Helden. Nie spotkałem w życiu zbyt wielu podobnych do ciebie osób.

— Mogłabym powiedzieć to samo... i ja cię lubię.

— No więc, co z tym pstrągiem? Może byś zdradziła, dokąd jedziemy?

— Do Barbizon. Jest tam przemiła restauracyjka w samym środku miasta. Byłeś kiedyś w Barbizon?

— Kilkakrotnie — powiedział Noel zatrzymując nagle wzrok na małym, prostokątnym lusterku za oknem samochodu.

Odbijała się w nim sylwetka ciemnozielonego fiata. Nie miał pojęcia, czy to ten sam samochód, który czekał na niego wczoraj w alei George'a V, ale zamierzał się tego dowiedzieć i to nie alarmując Helden. Zwolnił; fiat nie wykonał manewru mijania. Zamiast tego zjechał na prawy pas, przepuszczając inny wóz.

— Coś się stało? — zapytała Helden.

Holcroft popuścił pedał gazu. Samochód zwolnił jeszcze bardziej.

— Nie, nic takiego. Już wczoraj miałem kłopoty z tą kupą złomu. Ma chyba źle wyregulowany gaźnik. Zapowietrza się co i rusz. Potem wraca do normy, trzeba go tylko odpowiednio potraktować...

— Bardzo fachowo się wyrażasz.

— Jestem niezłym mechanikiem. Bez tego trudno poradzić sobie w Meksyku i dalej na południe. — Nacisnął na pedał i przytrzymał go w tym położeniu. Wóz wyrwał do przodu.

Widział teraz zielonego fiata w lusterku wstecznym. Tamten skręcił gwałtownie w lewo, wymijając blokujący mu drogę samochód, po czym powrócił na prawy pas i trzymał się w niewielkiej odległości za nimi. Pytanie znalazło swoją odpowiedź. Śledzono ich.

Strach sprawiał, że Noel stał się ostrożny. Ktokolwiek siedzi w tym fiacie, jest bezpośrednio zamieszany w śmierć Richarda Holcrofta, tego był pewien. I zamierzał wciągnąć tego człowieka w pułapkę.

— No. Już wszystko w porządku — powiedział do Helden. — Odpowietrzyło się. Lunch w Barbizon to chyba bardzo dobry pomysł. Zobaczymy, czy pamiętam drogę.

Nie pamiętał. Rzekomo. Skręcił kilka fazy nie tam, gdzie trzeba, pokrywając swe pomyłki śmiechem. Przeistaczało się to w idiotyczną grę o śmiertelnie poważną stawkę: musi zobaczyć twarz mężczyzny we fiacie. W Paryżu twarz tę przesłaniała przednia szyba i chmura papierosowego dymu; trzeba, by był w stanie rozpoznać ją potem w tłumie.

Kierowca fiata nie był jednak amatorem. Jeśli nawet zdezorientowały go zakręty brane przez Noela na chybił trafił i nagłe zmiany szybkości jazdy, nie dawał tego po sobie poznać. Trzymał się za nimi w dyskretnej odległości, ani na chwilę nie dopuszczając do zmniejszenia dzielącego ich dystansu. Na poboczu wąskiej szosy, na południe od Corbeil-Essonnes, stał zepsuty samochód; dobry pretekst do zatrzymania się. Zrównawszy się z nim, Holcroft przyhamował, by zaoferować swoją pomoc. Kierowca fiata nie miał wyjścia. Nie zwalniając przejechał obok dwóch stojących samochodów. Noel odprowadził go wzrokiem. Mężczyzna sie-



dający za kierownicą był przystojny i miał jasnorude włosy. Uwagi Holcrofta nie uszło coś jeszcze: pieprzyki albo blizny po ospie na jego policzkach.

Teraz rozpozna już tę twarz. O to mu tylko chodziło.

Kierowca zepsutego samochodu podziękował Holcroftowi dając mu do zrozumienia, że pomoc jest już w drodze.

Noel skinął głową i ruszył ciekawy, czy ponownie ujrzy zielonego fiata. Czy będzie nań czekał na jakiejś bocznej drodze, czy też po prostu jak spod ziemi pojawi się nagle we wstecznym lusterku?

— To było bardzo uprzejme z twojej strony — powiedziała Helden.

— My, odrażający Amerykanie, świadczymy od czasu do czasu drobne uprzejmości. Wróć na autostradę.

Jeśli zielony fiat przywarował na bocznej drodze, Noel go nie zauważył. Po prostu pojawił się w lusterku, kiedy byli już na autostradzie. Zjechali z niej przy Seine-et-Marne i znaleźli się na przedmieściach Barbizon. Zielony fiat trzymał się daleko z tyłu, ale uparcie za nimi podążał.

Ich zachowanie przy lunchu stanowiło dziwną mieszankę bezpośredniości i skrępowania: pośpiesznych wstępów i nagłych zamilknięć. Jednak fakt, że byli razem, w fizycznej bliskości siebie, rodził bezpośredniość. Holcroft przypuszczał, że Helden wyczuwa ją tak samo nieomylnie, jak on.

Owo poczucie bliskości znajdowało swe potwierdzenie w spontanicznym zachowaniu Helden: dotykała go raz po raz. To wyciągnęła rękę i muskała przelotnie jego rękaw, to znów, jeszcze szybciej, dłoń. Dotykała go dla podkreślenia swoich słów albo zadając pytania, ale robiła to tak, jakby była to dla niej najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. On zaś zupełnie naturalnie reagował na jej dotknięcia i odwzajemniał je.

— Czy twój brat mówił coś o Beaumencie? — spytał w pewnej chwili Noel.

— Tak, mówił. Był bardzo zdenerwowany. Denerwuje go wszystko, co ma związek z Beaumontem. Uważa jednak, że mylisz się twierdząc, iż widziałeś go w samolocie. Prosił, żebyś przyniósł tę fotografię. Powiedziałam mu, że już jej nie masz. Wściekł się.

— Z powodu fotografii?

— Tak. Stwierdził, że może być niebezpieczna. Że może naprowadzić na trop Gretchen, na twój trop. Na trop Genewy.

— A mnie się wydaje, że odpowiedź jest prostsza. *Royal Navy* nie różni się od innych organizacji militarnych. Oficerowie osłaniają się nawzajem.

— Masz na myśli moją roztrzepaną siostrę?

Holcroft skinął głową; nie miał ochoty rozmawiać na temat Gretchen Beaumont, w każdym razie nie z Helden.

— Poniekąd.

Dotknęła jego palców.

— W porządku, Noel. Nie wydaję sądów w sprawach dotyczących mojej siostry. — Zabrała rękę zakłopotana. — Nie mam prawa... Nie, to nieprawda. Chodzi mi o to, że tam gdzie sprawa dotyczy ciebie, nie mam żadnego prawa...

— Sądzę, że oboje wiemy, o co ci chodzi — przerwał Holcroft przykrywając jej dłoń swoją. — Daję ci to prawo. Nie mam żadnych obiekcji.

— Sprawiasz, że czuję się głupio.

— Naprawdę? To ostatnie uczucie, które chciałbym w tobie wzbudzić. — Cofnął rękę i spojrzął w ślad za jej wzrokiem, za okno. Patrzyła na małą, kamienną sadzawkę na tarasie, ale jego uwaga nie zatrzymała się tam długo. Za bramą restauracji przechadzały się grupki turystów, a na chodniku po drugiej stronie ulicy stał mężczyzna o jasnorudych włosach i ospowa-

tej twarzy. W ustach trzymał papierosa, a w rękach coś, co wyglądało na przewodnik turystyczny. Ale mężczyzna nie patrzył w broszurę. Stał z uniesioną lekko głową, a jego oczy zezowały w stronę wejścia do restauracji.

„Czas na mój ruch” — pomyślał Noel. Znowu zakipiała w nim wściekłość, pragnął dopaść tego człowieka.

— Mam pewien pomysł — powiedział najobojętniej, jak potrafił. — Przy drzwiach widziałem afisz, który — w moim szkolnym francuskim — obwieszczał chyba *Fete d'Hiver*. W miejscowości o nazwie Montreau-coś-tam. Czy to czasem nie jakiś odpust?

— Coś w tym rodzaju, ale to chyba około dwunastu kilometrów na południe stąd.

— Co to takiego? No, ten odpust?

— *Fetes d'hiver*? Są dosyć popularne i organizowane zwykle przez lokalne parafie. Wiążą się z zasady z dniem jakiegoś świętego. To coś w rodzaju pchlego targu.

— Jedźmy tam.

— Naprawdę chcesz?

— A dlaczego by nie? To może być zabawne. Kupię ci prezent.

Helden spojrzała na niego zagadkowo.

— Zgoda — powiedziała.

Jasne popołudniowe słońce odbijało się ostrymi refleksami w bocznym lusterku, zmuszając Holcrofta do mrużenia oczu i częstego mrugania powiekami. Ciemnozielony fiat to pojawiał się, to znikał. Jechał daleko za nimi, ale chwile, w których nie było go widać, nie trwały długo.

Noel zaparkował wóz za kościołem stanowiącym centralny punkt małej wioski. Obeszli z Helden probostwo i wmieszali się w falujący tłum przed frontem świątyni.

Wiejski rynek miał typowo francuski charakter: brukowane kocimi łbami uliczki odchodzące od niego niczym krzywe szprychy sfuszerowanego koła, wszędzie stare budynki i kręte chodniki. Kramy z markizami w różnych stadiach ruiny rozstawiono bez żadnej myśli przewodniej — na ladach piętrzyły się wyroby rzemieślnicze i rozmaite artykuły żywnościowe. W polerowanych tacach i oferowanych w wielkiej obfitości ceratach połyskiwały promienie słońca, a przez tłum przebijały snopy światła. Ten odpust nie był przeznaczony dla turystów. Sezon na obcokrajowców ograniczał się do wiosennych i letnich miesięcy.

Mężczyzna o ospowatej twarzy stał przed straganem rozstawionym pośrodku rynku. Przeżuwał pasztecik, rzucając ukradkowe spojrzenia w kierunku Holcrofta. Nie wiedział, że już go dostrzeżono; tego Noel był pewien. Zachowywał się zbyt nonszalancko, zbyt był pochłonięty jedzeniem. Miał swoich podopiecznych na oku, wszystko szło dobrze. Holcroft zwrócił się do idącej obok niego Helden.

— Widzę prezent, który chcę ci podarować! — wykrzyknął.

— Nie wygłupiaj się...

— Poczekaj! Zaraz wracam.

— Będę tam — powiedziała wskazując na prawo — przy straganie z naczyniami.

— Świetnie. Zaraz wracam.

Noel zaczął przeciskać się przez ciżbę. Jeśli będzie wystarczająco zwinny, wystarczająco sprytny i wystarczająco szybki, zdoła przedostać się na obrzeża tej ludzkiej masy nie zauważony przez jasnorudego mężczyznę. Wydostawszy się z tłumu na brukowany chodnik, będzie mógł się podkraść na odległość kilku metrów do straganu z pasztecikami. Niepostrzeżenie dotarł do chodnika. Mężczyzna zamówił jeszcze jeden pasztecik i jadł go machinalnie, kołysząc się na piętach i spoglądając nerwowo ponad głowami tłoczących się ludzi. Chyba się odprężył i uspokoił, gdyż poświęcał swoim podopiecznym tylko część uwagi. Dostrzegł Helden i był najwyraźniej przekonany, że jeśli widzi ją, jej towarzysz nie może być daleko.

Noel zamarkował zwichnięcie nogi w kostce i pokuśtykał wokół obrzeża tłumu, mając pretekst do pochylania się z rzekomego bólu. Mężczyzna nie miał szans, aby go zauważyć.

Gdy tak stał nieruchomo, jedząc niedbale, prostując się co chwila, by sprawdzić, czy ofiary nadal tam są, było w nim coś prymitywnego. Holcroftowi przyszło nagle na myśl, że obserwuje drapieżnika. Nie widział jego oczu, ale nie wiadomo skąd wiedział, że są zimne i czujne. Ta myśl rozżłościła go, wyzwoliła wyobraźnię. Widział teraz tego mężczyznę siedzącego za kierownicą, być może z pistoletem przyłożonym do głowy kierowcy i czekającego, aż na nowojorskim trotuarze pojawi się Richard Holcroft. Do wściekłości doprowadzało go to poczucie zimnokrwistej, złowieszczej manipulacji.

Noel zanurkował w tłum z prawą ręką wsuniętą do kieszeni i zaciśniętą na automatycznym pistolecie, a lewą wyciągniętą przed siebie z napiętymi palcami. Płomiennowłosa mężczyzna nigdy nie zapomni uścisku Noela!

Nagle ktoś zablokował mu drogę. Zablokował! Gdy rozepchnął na boki tarasujących mu przejście mężczyznę i kobietę, wpadła na niego trzecia postać. Zatrzymywano go rozmyślnie!

— Z drogi! Daj mi przejść, do ciężkiej cholery!

Zauważył, że te krzyki, a może jego angielski albo i jedno, i drugie, zaalarmowały stojącego zaledwie o metr dalej jasnorudego mężczyznę, który odwrócił się na pięcie, wypuszczając z rąk pasztecik. Z dzikim wzrokiem i poczerwieniałą twarzą odwrócił się gwałtownie jeszcze raz i zaczął przepychać przez tłum byle dalej od Noela.

— Zejdz mi z...! — Holcroft poczuł to, zanim zobaczył. Coś przeniknęło przez jego marynarkę rozpruwając materiał nad lewą kieszenią. Z niedowierzaniem w oczach spojrzął w dół. Pchnięto go nożem w bok. Gdyby nie wykonał skrętu tułowiem, ostrze weszłoby w ciało!

Pochwycił nadgarstek ręki trzymającej nóż, odepchnął ją od siebie, bojąc się puścić, napierając barkiem na pierś nożownika. Mężczyzna przez cały czas odwracał głowę kryjąc twarz. Kim jest? Nie było czasu na zastanawianie się. Trzeba odsunąć ten straszny nóż jak najdalej od siebie!

Krzyknął. Ściskając w obu dłoniach przegub napastnika, pochylił się. Ostrze zataczało groźne łuki w zatłoczonej przestrzeni. Wężowymi ruchami ciała wcisnął się między otaczających go przechodniów. Szarpnął pięść ze sterującym z niej ostrzem i pchnął w dół, napierając na nią jednocześnie całym ciężarem ciała i padając na ziemię. Nóż wysunął się napastnikowi z ręki i zabrzęczał na kocich łbach.

Poczuł uderzenie w kark. Mimo chwilowego zamroczenia wiedział, co to było: uderzono go metalową rurką. Leżał zwinięty w kłębek, ogarnięty przerażeniem i zdezorientowany, ale instynkt kazał mu się zerwać na nogi, a strach przyjął postawę obronną, czekać na atak i przygotować się do jego odparcia. Wściekłość zaś kazała mu poszukać wzrokiem napastników.

Nie było ich. Nie było ciała należącego do niewidocznej twarzy. Nie było noża, który upadł na ziemię! A ludzie wokół odwracali się i gapili na niego jak na pomyłonego.

Naraz uświadomił sobie straszliwą prawdę. Gdyby został zabity, śmierć spotkałaby też Helden! Jeśli zabójcy osłaniali człowieka o ospowatej twarzy i zorientowali się, że go zauważył, przyjmą, że działo się to za wiedzą Helden. Pójdą za nią! Zabiją ją, bo brała udział w pułapce, którą on zastawił!

Przedarł się przez krąg gapiów i unikając setki rozeźlonych ramion i rąk zaczął się przepychać w kierunku, który dziewczyna wskazała przed kilkoma minutami i który instynktownie zapamiętał. Stragan z jakimiś dzbankami czy talerzami albo... dzbanki, talerze, naczynia. Tak, cynowe naczynia! Stragan z cynowymi naczyniami. Gdzie to jest?

Dostrzegł go wreszcie, ale Helden przy nim nie było. Nigdzie jej nie widział. Podbiegł do lady straganu i krzyknął z rozpaczą w głosie:

— Kobieta! Była tu taka blondynka!

— *Pardon? Je ne parle pas...*

— *Une femme... Aux cheveux blonds. Elle a ete ici!*

Kramarz wzruszył ramionami i dalej polerował mały pucharek.

— *Ou est elle?* — wrzasnął Holcroft.

— *Vous etes fou! Fou!* — ryknął kramarz. — *Voleur! Police!*

— *Non! S'il vous plait! Une femme aux...*

— *Ah* — przerwał mu kramarz. — *Une blonde.* — Pokazał na lewo.

Holcroft ponownie zanurkował w tłum. Torując sobie drogę, ciągnął za płaszcze i marynarki. O Chryste, zabił ją! Jego oszalały wzrok błędził, gdzie się dało, zapuszczał się w przejścia między straganami, zaglądał w oczy, wyławiał każdą burzę włosów. Nigdzie jej nie było.

— Helden!

Nagle czyjaś pięść wylądowała na jego prawej nerce, a znad barku wyprysnęło czyjeś ramię, zaciskając się wokół jego szyi i wyduszając mu powietrze z krtani. Wpakował łokieć w ciało znajdującego się teraz za nim napastnika, wlokącego go tyłem przez ciżbę. Walcząc rozpaczliwie o haust powietrza, rąbnął zwinną, trzymającą go postać najpierw lewym, potem znowu prawym łokciem. Trafił napastnika w klatkę piersiową; chwyt wokół szyi zelżał na chwilę i ta chwila wystarczyła. Noel obrócił się błyskawicznie w lewo, wpijając palce w obejmujące go za szyję przedramię i pociągnął je w dół, przerzucając napastnika przez biodro. Obaj mężczyźni upadli na ziemię.

Noel zobaczył wreszcie tę twarz! Na czole, pod zmierzwioną strzechą rudych włosów, widniała mała blizna, a jeszcze niżej rozjuszony, niebieskie oczy. To był młodszy z dwóch agentów MI 5, którzy przesłuchiwali go w londyńskim hotelu. Wściekłość Noela dopełniła się: szaleństwo oparte na straszliwym błędzie wymknęło się spod kontroli. Wtrącił się brytyjski wywiad, a ta ingerencja może kosztować Helden życie.

Ale dlaczego? Dlaczego tutaj, w zabitej deskami francuskiej wiosce? Nie znajdował odpowiedzi. Wiedział tylko, że człowiek, którego dusi teraz za gardło, jest jego wrogiem, kimś tak samo dla niego niebezpiecznym, jak *Rache* albo ODESSA.

— Wstawaj! — Holcroft podźwignął się z ziemi i szarpnął mężczyznę, ale popełnił błąd, puszczając na moment agenta. Bez żadnego ostrzeżenia na jego żołądku wylądował paraliżujący cios. W oczach mu pociemniało i przez kilka chwil wydawało mu się, że jest ciągnięty poprzez morze zaskoczonych twarzy. Naraz pchnięto go brutalnie na ścianę jakiegoś budynku; słyszał łomot, z jakim jego głowa wali w twardą płaszczyznę.

— Przeklęty głupcze! Co ty, u diabła, wyprawiasz? O mało cię tam nie zakatrupili!

Człowiek z MI 5 nie krzyczał, ale jego głos równie dobrze można było uznać za krzyk, tak był naładowany emocją. Noel przejrzał trochę na oczy; agent trzymał go jak w kleszczach, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Jego przedramię znowu napierało na krtań Noela.

— Skurwysyny! — wykrztusił z trudem. — Próbowaliście mnie zabić...

— Patentowany dureń z ciebie, Holcroft! Tinamou by cię nie tknął. Muszę cię stąd jakoś wyprowadzić.

— Tinamou? Tutaj?

— Chodźmy!

— Nie! Gdzie jest Helden?

— Na pewno nie z nami! Masz nas za idiotów?

Noel gapił się zbaraniały na mężczyznę; ten człowiek mówił prawdę. To wszystko było nedorzeczne.

— A więc ktoś ją porwał! Zniknęła!

— Jeśli zniknęła, to z własnej woli — powiedział agent. — Próbowaliśmy cię ostrzec. Daj sobie z tym spokój!

— Nie, mylicie się! Był tu taki człowiek... ze śladami po ospie...

— Z tego fiata?

— Tak! Ten. Jechał za nami. Ci ludzie dopadli mnie, kiedy go podchodziłem. Próbowali mnie zabić!

— Chodź ze mną — warknął agent rozkazującym tonem, chwytając Holcrofta za ramię i popychając przed sobą chodnikiem.

Doszli do mrocznego, wąskiego zaułka między dwoma budynkami.

Nie docierał tu ani jeden promień słońca; wszystko spowite było cieniem. Po obu stronach zaułka ciągnęły się rzędy pojemników na śmieci. Za trzecim po prawej Noel dostrzegł parę nóg. Resztę postaci zasłaniał pojemnik.

Agent wepchnął Noela w zaułek; wystarczyło cztery czy pięć kroków, aby znaleźć się w miejscu, z którego widać było górną część ciała leżącego.

Na pierwszy rzut oka mężczyzna o ospowatej twarzy wyglądał na pijanego. W ręku ścisnął butelkę wina; część zawartości wychlapała mu się na krocze spodni. Ale jej czerwień różniła się odcieniem od plamy rozlewającej się na piersi mężczyzny.

Zastrzelono go.

— Oto twój niedoszły zabójca — powiedział agent. — Czy teraz nas posłuchasz? Wracaj do Nowego Jorku. Powiedz nam wszystko, co wiesz, i wycofaj się.

Noel miał mętlik w głowie, spowiła go mgiełka dezorientacji. Nagła śmierć w powietrzu, śmierć w Nowym Jorku, śmierć w Rio, śmierć tutaj, w małej francuskiej wiosce. *Rache*, ODESSA, niedobitki *Wolfsschanze*...

*Nic nie jest już dla ciebie takie, jak było...*

— Czy wy nie rozumiecie — zwrócił się niemal szeptem do człowieka z MI 5 — ja nie mogę...

U wylotu zaułka powstało nagłe zamieszanie. Przebiegły tamtędy dwie postacie, z których jedna popychała przed sobą drugą. Dały się słyszeć gardłowe, chrapliwe rozkazy; słów nie można było rozróżnić, ale ich emocjonalny ładunek był wyraźny. Wołanie o pomoc zostało zdławione w pół słowa przez odgłos ciała uderzającego o ciało, brutalne pacnięcie, które powtórzyło się jeszcze kilka razy. Potem szamoczące się postaci zniknęły z pola widzenia, ale Holcroft nadal słyszał krzyk.

— Noel! Noel...

To krzyczała Helden! Holcroft otrząsnął się z oszołomienia i już wiedział, co musi zrobić. Z całej siły wyrzwał agenta barkiem w bok, a ten runął z impetem na pojemnik na śmieci, zasłaniający martwe ciało mężczyzny o ospowatej twarzy.

Noel wypadł z zaułka.

## 21

Krzyki słyhać było nadal, ale określenie odległości, z jakiej dobiegały, uniemożliwiało harmider panujący na zatłoczonym rynku. Z licznych harmonii i kornetów wydobywała się muzyka. Tu i ówdzie tworzyły się wysepki wolnej przestrzeni dla par podrygujących i wirujących w rytm ludowych tańców. *Fete d'hiver* przeistoczyło się w karnawał.

— Noel! Noel!

Po lewej stronie rynku chodnik zakręcał — stamtąd dolatywały krzyki. Holcroft zerwał się do szaleńczego biegu, wpadając na parę kochanków obejmujących się pod ścianą.

— Noel!

Wpadł w boczną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się dwupiętrowe budynki. Ponownie usłyszał krzyk, ale nie odróżnił w nim słów, był to tylko krzyk przerwany nagle ciosem, któremu towarzyszył jęk bólu. Drzwi! Były częściowo uchylone i stanowiły wejście do czwartego budynku po prawej. Krzyk dobiegał właśnie stamtąd.

Pocwałował ku nim przypominając sobie po drodze, że ma w kieszeni pistolet. Wyciągnął go i trzymając niewprawnie w dłoni, uświadomił sobie, że dotąd nawet nie rzucił nań okiem. Zrobiwszy to teraz, zatrzymał się jak wryty i wytrzeszczył oczy.

Niewiele wiedział o ręcznej broni palnej, ale tę sztukę znał. Był to samopowtarzalny pistolet TP-70 Budziszewskiego, broń tego samego typu, jaką pożyczył mu Sam Buonoventura w Kostaryce. Ta zbieżność nie dodała mu pewności siebie, przyprawiła go raczej o mdłości. To nie był jego świat.

Sprawdził bezpiecznik i uchylił drzwi ku sobie, kryjąc się za ich płytą. Za progiem zaczął się długi i wąski, skąpo oświetlony korytarz.

W lewej ścianie widniało dwoje drzwi odległych od siebie o jakieś cztery metry. Z tego, co pamiętał o budowlach tego typu, wynikałoby, że w prawej ścianie również znajdują się identycznie rozmieszczone drzwi, których z miejsca, gdzie stał, nie mógł widzieć.

Wpadł w korytarz z wyciągniętą przed siebie ręką, ściskając pewnie pistolet. W prawej ścianie rzeczywiście widniało dwoje drzwi. W sumie było ich czworo. Za jednymi z nich przetrzymywano Helden. Ale za którymi? Podszedł do pierwszych z lewej strony i przyłożył ucho.

Usłyszał dziwny, trudny do zidentyfikowania chrobot. Nie miał pojęcia, co go powoduje. Materiał, tkanina... pruta tkanina? Położył dłoń na gałce i przekręcił ją. Drzwi drgnęły. Uchylił je ostrożnie z pistoletem gotowym do strzału.

W głębi ciemnego pokoju stara kobieta szorowała na klęczkach podłogę. Widział ją z profilu; miała wychudłą, pomarszczoną twarz, a jej ramię zataczało kręgi po miękkim drewnie. Była tak stara, że ani go nie zauważyła, ani nie usłyszała. Zamknął drzwi.

U drzwi po prawej stronie zwisała czarna wstążka przybita gwoździem. Zagościła tu śmierć, rodzina pogrążona była w żałobie. Śmierć za t y m i drzwiami. Ta myśl odbierała odwagę; nadstawił ucha.

To tu! Wewnątrz trwała szamotanina. Ciężkie oddechy, ruch, napięcie. Z pokoju emanowała desperacja. Za tymi drzwiami jest Helden!

Noel cofnął się o krok, wymierzył pistolet i uniósł prawą stopę. Odetchnął głęboko i rąbnął nogą niczym taranem w drewnianą płytę na lewo od gałki. Pod wpływem kopniaka drzwi odskoczyły z hukiem do środka.

Wewnątrz, w rozmętanym barłogu kotłowała się dwójka nagich nastolatków — ciemnowłosa chłopak na grubej dziewczynie o bladej skórze. Rozkraczone nogi dziewczyny celowały w sufit, chłopak leżał między nimi z dłońmi na jej piersiach. Dziewczyna, zaskoczona

niespodziewanym łomotem i widokiem obcego, wrzasnęła dziko. Chłopak zsunął się z niej i sturlał na podłogę z rozdziawionymi ustami.

Łomot! Ten łomot był alarmem. Holcroft wyskoczył na korytarz i dopadł następnych drzwi po lewej. Nie było czasu na nic, co nie prowadziło do odnalezienia Helden. Uderzył barkiem w drzwi, niezgrabnie przekręcając gałkę lewą dłonią i ściskając w prawej rękoięść pistoletu. Użycie siły nie było konieczne, drzwi ustąpiły.

Stanął na progu ogarnięty na chwilę uczuciem zażenowania. Pod ścianą przy oknie stał ślepiec. Był stary, dygotał przerażony niewidocznym, nieznanym aktem przemocy, który wtargnął w jego mroczny, intymny świat.

— *Nom de Dieu...* — wyszeptał wyciągając przed siebie ręce.

W korytarzu rozległ się przybierający na sile tupot biegnących stóp.

Ktoś pędził na łeb na szyję, krzesząc skórzanymi podszewkami iskry. Holcroft odwrócił się w samą porę, by ujrzeć przemykającą obok postać agenta MI 5. Gdzieś na zewnątrz rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Noel wypadł z pokoju ślepca, zerkając w lewo, skąd dobiegł brzęk. Przez otwarte drzwi na końcu korytarza wlewał się słoneczny blask. Szyby w drzwiach zamalowano na czarno, dlatego nie zauważył ich wcześniej w przytłumionym świetle.

Skąd agent wiedział, że tam są drzwi? Dlaczego otworzył je kopniakiem i wybiegł na zewnątrz? Czyżby myślał, że o n z nich skorzystał? Instynkt podpowiadał, że agent nie udzieliłby takiego kredytu amatorowi, maniakowi, za jakiego w jego oczach uchodził. Nie, człowiek z MI 5 ścigał kogoś innego.

To mogła być tylko Helden! Ale Helden jest za drzwiami naprzeciwko pokoju ślepca; zostało tylko to mieszkanie. Z pewnością tak jest. Agent popełnił błąd!

Holcroft kopnął drzwi, przed którymi stał. Zamek puścił, drzwi otworzyły się na oścież i Noel wpadł do środka.

Pokój był pusty, od dawna nikogo tu nie było. Wszędzie zalegały warstwy kurzu... i nie było śladów stóp. Od tygodni nikt tu nie wchodził.

Człowiek z MI 5 nie popełnił błędu. Amator nie dostrzegł czegoś, co profesjonalista zauważył od razu.

Noel wybiegł z pustego pokoju, popędził ciemnym korytarzem, wypadł przez drzwi ze stłuczoną szybą i znalazł się na podwórku. Po lewej znajdowały się ciężkie, drewniane wrota prowadzące z powrotem na boczną uliczkę. Stały otworem i Holcroft, niewiele się zastanawiając, wybiegł przez nie. Z rynku dolatywały jego uszu odgłosy trwającego festynu, ale nie były to jedyne dźwięki. Daleko w głębi opustoszałej uliczki, po swojej prawej ręce, usłyszał krzyk, tak jak poprzednio zaraz zdławiony. Ruszył biegiem w tamtym kierunku, w kierunku Helden, ale nie widział nikogo.

— Wracaj! — Rozkaz padł ze skrytej w niszy bramy.

Huknął strzał. Na głowę posypały mu się odpryski kamienia i usłyszał wizg rykoszetującego pocisku.

Rzucił się na twardą, wyboistą jezdnię brukowaną kocimi łbami. Gdy do nich przypadał, jego palec dotknął spustu pistoletu. Broń wypaliła mu tuż przy twarzy. W panice poturlał się po ziemi w kierunku bramy w niszy. Stamtąd pochwytyły go czyjeś ręce i wciągnęły w cień. Człowiek z brytyjskiego wywiadu, młody mężczyzna z blizną na czole, pchnął go z całej siły na kamienną ścianę sieni.

— Jesteś cholernym durniem! Sam powinienem cię zatłuc i oszczędzić im kłopotu. — Agent siedział w kucki pod ścianą. Teraz ostrożnie przesunął głowę w stronę węgła.

— Nie wierzę wam — wysapał Noel. — Nie wierzę w ani jedno słowo. Gdzie ona jest?

— Ten sukinsyn trzymają po drugiej stronie ulicy, jakieś dwadzieścia metrów stąd. Po-dejrzewam, że ma radio i skontaktował się przez nie z samochodem.

— Oni chcą ją zabić!

— Nie, teraz tego nie zrobią. Nie to im w głowie. Może dlatego, że jest jego siostrą.

— Nie pleć bzdur! To pomyłka. Powiedziałem jej, żeby się z nim skontaktowała. On jest takim samym Tinamou, jak ty. I wściekł się jak diabli. Prawdopodobnie napisze o tym do swojej gazety, obsmaruje was tak, że wyjdziecie na durniów razem z ministerstwem spraw zagranicznych i całym cholernym brytyjskim rządem!

Człowiek z MI 5 spojrział na Holcrofta jak ktoś, kogo zmuszono do słuchania bredzenia psychopaty. W jego spojrzeniu zawarte były na równi: zaniepokojenie, odraza i zdumienie.

— Co zrobi?!

— Słyszałeś, co powiedziałem.

— Mój Boże... Kimkolwiek jesteś, w cokolwiek jesteś zamieszany, nie masz z tym wszystkim nic wspólnego.

— Powiedziałem wam to w Londynie — burknął Noel siadając. Z trudem chwytał oddech. — Myśleliście, że kłamię?

— Wiedzieliśmy, że kłamiesz. Nie wiedzieliśmy tylko dlaczego. Podejrzewaliśmy, że jesteś wykorzystywany przez ludzi pragnących skontaktować się z von Tieboltem.

— W jakim celu?

— W celu nawiązania ślepego kontaktu, w którym nie ujawnia się żadna ze stron. Przykrywka była niezła: pieniądze w Ameryce pozo stawione w spadku rodzinie.

— Ale w jakim celu?

— O tym później! Ty chcesz odbić dziewczynę, ja dorwać tego sukinsyna, który ją porwał. Posłuchaj mnie... — agent wskazał na pistolet w dłoni Noela. — Umiesz się z tym obchodzić?

— Kiedyś byłem zmuszony posłużyć się podobną bronią. Ekspertem nie jestem.

— I nie musisz, cel nie będzie wymagał precyzji. Jeśli się nie mylę, mają samochód krążący gdzieś po okolicy.

— A wy nie?

— Nie, jestem sam. Teraz posłuchaj. Jeśli ten wóz nadjedzie, będzie się musiał zatrzymać. W momencie, kiedy to nastąpi, ja przeskoczę przez ulicę do tamtej bramy naprzeciwko. Kiedy będę biegł, osłaniaj mnie, strzelając w samochód. Celuj w przednią szybę. Wal w opony, w chłodnicę. Nieważne w co, ale przede wszystkim staraj się trafić w przednią szybę. Rozwal ją, unieruchom ten przeklęty wóz, jeśli potrafisz. I módl się do Boga, żeby miejscowi trzymali się z dala i diabli ich tu nie przynieśli z tej pieprzonej imprezy na rynku.

— A gdyby się nie trzymali, gdyby ktoś...

— Staraj się ich nie trafić, dupku! — nie dał mu skończyć Anglik. — I prowadź ogień do prawej strony samochodu. Prawej z twojego punktu widzenia. Jak najmniej się wychylaj!

— Do prawej strony samochodu?

— Tak, jeżeli nie chcesz trafić dziewczyny, która, szczerze mówiąc, nic mnie nie obchodzi. Ale jego chcę dostać. Oczywiście, jeśli się mylę, wszystko bierze w łeb i będziemy musieli wymyślić coś innego.

Z twarzą przyciśniętą do ściany Anglik wychylił się ostrożnie zza węgła i popatrzył w głąb ulicy. „Nieznajomy las” należał do takich Właśnie ludzi, a nie do architektów z dobrymi intencjami.

— Nie straciłeś głowy — powiedział Noel. — Wiedziłeś, gdzie jest drugie wyjście.

— Droga ewakuacyjna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby się zapuszkować w środku.

Profesjonalista znowu miał rację. Noel usłyszał pisk opon. Zza niewidocznego narożnika wypadł z poślizgiem wóz i szybko się zbliżał. Agent wstał dając Noelowi znak, żeby zrobił to samo. Wyjrzał z bramy z przyciśniętą do piersi ręką, w której trzymał pistolet.

Znowu zapiszczały opony; samochód zatrzymał się. Krzyknawszy do Holcrofta, agent wyskoczył z bramy, oddał do samochodu dwa strzały i przebiegł na drugą stronę ulicy.

— Teraz!



Był to rozgrywający się w przyśpieszonym tempie koszmar, któremu soczystej rzeczywistości nadawał huk strzałów i szaleńcza biegania. Noel naprawdę brał w tym udział. Widział przed sobą, na końcu własnego ramienia, automat trzymany przez własną dłoń. Czuł wibracje przechodzące go od stóp do głów za każdym naciśnięciem spustu.

*Do prawej strony samochodu. Prawej z twojego punktu widzenia. Jeśli nie chcesz...* Rozpaczliwie starał się być dokładny. Ujrzał zaskoczony, jak przednia szyba samochodu pęka i rozsypuje się w proch; słyszał, jak pociski przebijają drzwiczki; słyszał wrzaski istoty ludzkiej... a potem zobaczył, jak ta istota wypada z samochodu i osuwa się na kocie łby. To był kierowca. Ręce miał wyciągnięte przed siebie, z głowy ciekła mu krew i nie ruszał się.

Wtem Noel dostrzegł pochylonego człowieka z MI 5, który z pistoletem w dłoni wyłonił się z bramy po drugiej stronie ulicy. I wtedy usłyszał rozkaz:

— Puśćcie ją! Jesteście otoczeni!

— *Nie und nimmer!*

— No to niech z wami idzie! Gówno mnie to obchodzi!... W prawo, panienko! Teraz!

Dwie eksplozje, jedna po drugiej, przeszły ciszę. Po uliczce przetoczył się echem kobiecy krzyk. Noel stracił nagle kontrolę nad swymi odruchami. Jak oszalały przebiegł przez trotuar bojąc się nawet pomyśleć, bojąc się zobaczyć to, czego za nic w świecie nie chciałby zobaczyć, bo pewnie popadłby w obłęd.

Helden klęczała dygocząc na całym ciele, a jej oddech był właściwie serią nie kontrolowanych, spazmatycznych szlochów. Wpatrywała się w ciało mężczyzny rozciągnięte na ulicy. Ale ona żyła! Dla Noela tylko to się liczyło. Podbiegł do niej i osunął się na kolana, przyciągając jej trzęsącą się głowę do swojej piersi.

— Jego... jego — wyszeptwała Helden odciągając Noela. — Szybko.

Noel poszedł za jej spojrzeniem.

Agent MI 5 próbował się czołgać, jego usta otwierały się i zamykały. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Na przodzie jego koszuli rozrastała się plama czerwieni.

W miejscu, gdzie uliczka wpadała na rynek, zbierał się mały tłumek. Wysunęło się z niego trzech czy czterech mężczyzn.

— Bierz go — wydusiła z siebie Helden. — Bierz go, szybko. Zachowała zdolność rozumowania, której jemu zabrakło. Była w sta nie podejmować decyzje, podczas gdy on nie mógł się nawet poruszyć.

— Co teraz zrobimy? Dokąd pójdziemy? — Tyle tylko zdołał z siebie wydusić, niepewny nawet, czy to jego słowa.

— Między tymi uliczkami i zaułkami są przejścia. Musimy go stąd zabrać.

— Dlaczego?

Helden spojrzała mu w oczy.

— Ocalił mi życie. Ocalił tobie. Szybko!

Pozostała mu tylko zdolność do wykonywania poleceń, nie był w stanie myśleć samodzielnie. Zerwał się, podbiegł do agenta i pochylił nad nim, ich twarze dzieliły od siebie centymetry. Ujrzał rozwścieczone niebieskie źrenice pływające błędnie w oczodołach, usta, które daremnie usiłowały coś powiedzieć.

Ten człowiek umierał.

Noel podźwignął agenta. Anglik nie mógł ustać, więc wziął go na ręce, dziwiąc się własnej sile. Odwrócił się i zobaczył, jak Helden dopada zaparkowanego przy krawężniku samochodu; silnik nadal pracował. Z agentem w ramionach ruszył w kierunku podziurawionego kulami wozu.

— Ja poprowadzę — rzuciła Helden. — Ładuj go na tylne siedzenie.

— A przednia szyba? Nie zauważyłaś?

— Daleko z nim nie ujdiesz.

Następne minuty były dla Noela tak samo nierealne, jak widok pistoletu we własnej dłoni. Helden zawróciła ostro, wjeżdżając kołami na chodnik i odbijając szybko na środek jezdni. Siedzący obok niej Noel, pomimo paraliżującej go paniki, nagle coś sobie uświadomił. Uczynił to chłodno, niemal beznamiętnie — oto zaczynał przywykać do tego straszego, nowego świata. Zahamowania ustępowały, co potwierdzał fakt, że zdobył się na działanie, że nie uciekł. Próbowano go zabić. Próbowano zabić siedzącą obok niego dziewczynę. Może już wystarczy.

— Potrafisz odnaleźć ten kościół? — spytał zaskoczony teraz własnym opanowaniem.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

— Chyba tak. A co?

— Nie możemy jechać tym samochodem, nawet jeśli coś przed sobą widzisz. Musimy znaleźć nasz. — Wskazał wymownym gestem na roztrzaskaną przednią szybę; spod maski wydobywały się kłęby pary. — Chłodnica jest przedziurawiona. Szukaj tego kościoła.

Dokonała tego niemal instynktownie, klucząc wąskimi uliczkami i zaułkami łączącymi nieregularnie rozmieszczone szprychy głównych ulic odchodzących od wiejskiego ryneczku. Jazda przez ostatnie kilka przecznic była straszna. Obok samochodu biegli krzyczący z podniecenia ludzie. Przez kilka chwil Noel myślał, że uwagę wieśniaków przyciąga roztrzaskana przednia szyba, podziobana dziurami po pociskach, ale nie o to chodziło. Ci ludzie biegli w kierunku rynku; wieść już się rozeszła.

*Des gens assassinees! La tuerie!*

Helden skręciła w uliczkę przebiegającą przed probostwem i wjazdem na parking. Wprowadziła wóz w bramę i zatrzymała się obok ich wynajętego samochodu. Holcroft obejrział się przez ramię. Człowiek z MI 5 siedział wciśnięty w kąt z głową odrzuconą na oparcie. Oddychał jeszcze i wpatrywał się intensywnie w Noela. Poruszył ręką, jakby chciał go przywołać bliżej siebie.

— Zamieniamy wóz — powiedział Holcroft. — Zawieziemy cię do lekarza.

— Najpierw... mnie wysłuchaj, dupku — wyszeptał Anglik. Jego oczy przesunęły się na moment na Helden. — Powiedz mu.

— Wysłuchaj go, Noel — powiedziała.

— O co chodzi?

— Payton-Jones... masz jego numer?

Holcroft przypomniał sobie. Nazwisko na wizytówce, którą wręczył mu starszy, siwo-włosy agent wywiadu w Londynie, brzmiało: Harold Payton-Jones. Skinął głową.

— Zadzwoń do niego... — Człowiek z MI 5 zakasłał. — Opowiedz mu, co się tu wydarzyło... wszystko.

— Sam możesz do niego zatelefonować — powiedział Noel.

— Nie pieprz, palancie. Przekaż mu, że wystąpiła komplikacja, której nie przewidzieliśmy. Człowiek, którego uważaliśmy za wysłannika Tinamou, człowiek von Tiebolta...

— Mój brat nie jest Tinamou! — krzyknęła Helden.

Agent spojrział na nią spod na w półprzymkniętych powiek.

— Może i masz rację, panienko. Byłem dotąd odmiennego zdania, ale może masz i rację. Wiem tylko, że człowiek, który jechał za wami fiatem, pracuje dla von Tiebolta.

— Jechał za nami, żeby nas chronić! Żeby wykryć, kto śledzi Noela.

Holcroft obrócił się gwałtownie w fotelu i wytrzeszczył oczy na Helden.

— Wiedziałaś o nim?

— Tak — odparła. — Nasz dzisiejszy lunch był pomysłem Johanna.

— Wielkie dzięki.

— Proszę cię. Nie rozumiesz wielu spraw. Mój brat je rozumie. Ja też.

— Helden, próbowałem wciągnąć tego człowieka w pułapkę! Zabito go!

— Co? O Boże...

— I to jest właśnie ta komplikacja — wyszeptał agent zwracając się do Noela. — Jeśli von Tiebolt nie jest Tinamou, kim wobec tego jest? Dlaczego zastrzelono jego człowieka? Dlaczego ci dwaj próbowali ją porwać i ciebie zabić? Kim byli? Ten samochód... sprawdźcie go. — Anglikowi zabrakło tchu. Noel wyciągnął do niego rękę nad oparciem fotela, ale agent zbył go zniecierpliwionym machnięciem. — Tylko słuchaj. Dowiedźcie się, kim byli, do kogo należy ten wóz. Stanowią problem.

Człowiek z MI 5 miał już wielkie trudności z powstrzymaniem opadających powiek, jego szept był ledwie słyszalny. Było jasne, że za chwilę umrze. Noel przechylił się przez oparcie swego fotela.

— Czyżby ten problem miał coś wspólnego z człowiekiem o nazwisku Peter Baldwin?

Wydawało się, że umierającego mężczyznę poraził prąd. Jego powieki rozwarły się jak podciągnięte sprężyną, zamierające źrenice ożyły na chwilę.

— Baldwin?... — Szept był omdlewający i dziwnie płaczliwy.

— Zatelefonował do mnie w Nowym Jorku — wyjaśnił Holcroft. — Poradził mi, że bym zaprzestał tego, co robię, że bym się w to nie angażował. Powiedział, że wie o rzeczach, o których nikt prócz niego nie ma pojęcia. Zamordowano go w godzinę później.

— Mówił prawdę! Baldwin mówił prawdę! — Wargi agenta zaczęły drżeć, w kąciку ust pojawiła się kropelka krwi. — Nie wierzyliśmy mu; nie żądał nic w zamian! Byliśmy pewni, że kłamie...

— Że na jaki temat kłamie?

Człowiek z MI 5 wpatrywał się przez chwilę w Noela; potem, z wielkim trudem przesunął wzrok na Helden.

— Nie ma już czasu... — zdobył się na wysiłek, by spojrzeć znowu na Holcrofta. — Ty jesteś czysty. Musisz być... inaczej nie powiedziałbyś tego wszystkiego. Zaufam ci... wam obojgu. Skontaktujcie się z Paytonem Jonesem... najszybciej, jak to możliwe. Powiedzcie mu, żeby wrócił do akt Baldwina. Kryptonim *Wolfsschanze*... To *Wolfsschanze*.

Głowa opadła agentowi na piersi. Nie żył.

Pędzili na północ paryską autostradą, a późnopołudniowe słońce zalewało krajobraz promieniami barwy pomarańczy i zimnej żółci. Zimowe słońce jest wszędzie takie samo. Nie zmienia się. I Holcroft był z tego rad.

*Kryptonim Wolfsschanze. To Wolfsschanze.*

Peter Baldwin wiedział o Genewie. Próbował podzielić się swymi informacjami z MI 5, ale zakute łby z brytyjskiego wywiadu nie uwierzyły mu.

*Nie żądał nic w zamian!*

A cóż takiego oferował? Jakiego targu chciał dobić? Kim był Peter Baldwin?

Kim jest Peter Baldwin?

Kim jest von Tiebolt... Tennyson?

*Jeśli von Tiebolt nie jest Tinamou, kim wobec tego jest? Dlaczego zastrzelono jego człowieka? Dlaczego próbowali porwać Helden? Zabić ciebie?*

Dlaczego?

Wyjaśnił się przynajmniej jeden problem: John Tennyson nie jest Tinamou. Kimkolwiek jest syn Wilhelma von Tiebolta — chociaż i we własnym wcieleniu może stanowić zagrożenie dla Genewy — nie jest jednak płatnym zabójcą. Ale w takim razie, kim jest? Co takiego zrobił, że padło nań podejrzenie o przynależność do grona morderców? Dlaczego nstawano na niego — a w rezultacie i na jego siostrę?

Te pytania odciągały Noela od roztrząsania wypadków ostatnich godzin. Nie mógł o nich myśleć. Ekspłodowałby, gdyby to robił. Trzech zabitych — w tym jeden z jego ręki! Zabitych w strzelaninie na odludnej uliczce zapadłej francuskiej wioski podczas odpustu. Obłąd.

— Co według ciebie znaczy „Wolfsschanze”? — spytała Helden.

— Ja wiem, co to znaczy — odparł.

Spojrzała na niego zaskoczona.

Powiedział jej zatem wszystko. Ukrywanie faktów nie miało teraz sensu. Kiedy skończył, milczała. Naszła go obawa, że wprowadził ją zbyt głęboko. Zbyt głęboko w konflikt, w którym nie chciała brać udziału. Przed kilkoma zaledwie dniami ostrzegła go, że jeśli nie będzie postępował zgodnie z instrukcjami, jeśli nie okaże się tym, za kogo się podaje, ona wyjedzie z Paryża i nigdy już jej nie znajdzie. Czy robi to teraz? Czy groźba *Wolfsschanze* nie stanie się przeważającym szalę ciężarem, którego nie będzie już w stanie udźwignąć?

— Boisz się? — spytał.

— Głupie pytanie.

— Sądzę, że wiesz, o co mi chodzi.

— Wiem. — Odchyliła głowę na oparcie fotela. — Chcesz się dowiedzieć, czy ucieknę.

— Chyba tak. Uciekniesz?

Nie odpowiadała przez kilka chwil, a on jej nie ponaglał. Kiedy się wreszcie odezwała, w jej głosie pobrzmiwał smutek. Był podobny do tego w głosie jej siostry, a jednak jakże inny.

— Nie mogę uciec, tak samo zresztą jak ty. Pomijając już stronę moralną i strach, takie wyjście jest po prostu niepraktyczne, nie sądzisz? Znaleźliby nas. Zabili.

— Dostyc fatalistyczna wizja.

— Ale prawdziwa. Poza tym, dostyc już mam uciekania. Nie mam już na to dość siły. *Rache*, ODESSA, teraz *Wolfsschanze*. Trzech myśliwych podchodzących i nas, i siebie nawzajem. Trzeba położyć temu kres. Pod tym względem *Herr Oberst* ma rację.

— Wczoraj po południu doszedłem do tego samego wniosku. Uświadomiłem sobie, że

gdyby nie matka, uciekałbym teraz tak jak ty.

— Syn Heinricha Clausena — mruknęła w zadumie Helden.

— I czyjś jeszcze. — Odwzajemnił jej spojrzenie. — Jesteśmy zgodni? Nie skontaktujemy się z Paytonem-Jonesem?

— Jesteśmy zgodni.

— MI 5 będzie nas szukać. Nie pozostaje im nic innego. Wysłali za nami człowieka; stwierdzą wkrótce, że został zamordowany. Zrodzą się pytania.

— Na które my nie potrafimy odpowiedzieć. To nie my śledziliśmy, to nas śledzono.

— Zastanawiam się, kim byli ci dwaj mężczyźni... — powiedział Noel.

— Według mnie byli z *Rache*. To ich styl.

— Albo z ODESSY.

— Możliwe. Ale niemiecki, jakim posługiwał się ten, który mnie porwał, był jakiś dziwny. Nie mogłam rozpoznać dialektu. Nie był monachijczykiem i na pewno nie berlińczykiem. Podejrzone.

— I co o tym sądzisz?

— Mówił bardzo gardłowo, a jednocześnie miękko, jeśli to ma jakiś sens.

— Nie za wiele. A więc uważasz, że byli z *Rache*?

— A czy to ma znaczenie? Musimy się strzec przed jednymi i drugimi. Nic się nie zmieniło. Przynajmniej dla mnie. — Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. — Ale przykro mi z twojego powodu.

— Dlaczego?

— Bo teraz uciekasz z nami. Jesteś teraz jednym z dzieci — *die verwunschene Kinder*. Potępionym. A nie masz żadnego przygotowania.

— Wydaje mi się, że zdobywam je w przyśpieszonym tempie.

— Powinieneś pojechać do Berlina — powiedziała cofając rękę.

— Wiem. Musimy działać szybko. Trzeba skontaktować się z Kesslerem i wtajemniczyć go. Jest ostatnim z... — Holcroft urwał — ...z potomstwa.

Helden uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Jesteś już ty i mój brat. Obaj jesteście wprowadzeni, obaj gotowi do działania. Kesslera też trzeba przygotować... Zurych jest wyjściem. I rozwiązaniem tylu problemów.

Noel zerknął na nią z ukosa. Nietrudno był odgadnąć, co myślała. Zurych oznaczał niewyobrażalne środki finansowe; część z nich zostanie z pewnością wykorzystana na poskrośnienie, jeśli nie całkowitą eliminację fanatyków z ODESSY i *Rache*. Holcroft zdawał sobie sprawę, że Helden wie, iż na własnej skórze doświadczył ich makabrycznych metod. Miała prawo ubiegać się o należną jej jedną trzecią głosu. Jej brat nie będzie się sprzeciwiał.

— Rozkręcimy ten Zurych — powiedział. — Wkrótce przestaniesz uciekać. Wszyscy przestaniemy.

Popatrzyła na niego melancholijnie. Potem przysunęła się bliżej, wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła się. Położyła głowę na barku Noela a jej długie blond włosy spłynęły na jego marynarkę.

— Wołałam cię i przyszedłeś — powiedziała swym dziwnym, omdlewającym głosem. — Omal nie zginęliśmy dzisiejszego popołudnia. Nieznajomy człowiek oddał za nas życie.

— Był profesjonalistą — odparł Noel. — Być może uratował nam życie mimochodem. Szukał informacji, człowieka, który, jak sądził, mógłby mu ich udzielić.

— Wiem o tym. Widziałam już takich ludzi, takich profesjonalistów. Ale ten był przynajmniej przyzwoity, wielu z nich trudno takimi nazwać. Zbyt łatwo — w imię swego profesjonalizmu — poświęcają innych.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie jesteś przeszkolony. Zrobiłbyś, co by ci kazał. Mógłby cię wykorzystać w charakterze przynęty, żebyś ściągnął na siebie ogień. Byłoby mu łatwiej, gdybyśmy to my, naj-

pierw ty, a potem ja, stali się celami dla pocisków. Ja się dla niego nie liczyłam. W zamieszaniu mógł zastrzelić tego człowieka, zachowując jednocześnie własne życie. A jednak ocalił nas.

— Gdzie się zatrzymamy w Paryżu?

— Nie w Paryżu — oznajmiła Helden. — W Argenteuil. Znam tam mały hotelik nad rzeką. Jest uroczy.

Noel oderwał od kierownicy lewą rękę i opuścił ją na spadające mu kaskadą po marynarce włosy Helden.

— Ty jesteś urocza — mruknął.

— Jestem przerażona. Muszę się pozbyć strachu.

— Argenteuil? — powtórzył w zadumie. — Mały hotelik w Argenteuil. Jak na kogoś, kto przebywa we Francji od kilku zaledwie miesięcy, znasz mnóstwo takich zacisznych miejsc.

— Trzeba wiedzieć, gdzie nie zadają pytań. Szybko uczysz innych i sam szybko się uczysz. Zjedź do Billancourt. Pośpiesz się, proszę.

Pokój wychodził na Sekwanę, przepływającą dosłownie pod małym balkonikiem, na który prowadziły oszklone drzwi. Stali tam kilka minut przytuleni do siebie, rozkoszując się rześkim, nocnym powietrzem i wpatrując w sunące dołem ciemne wody. Milczeli, kontakt ciał dodawał otuchy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Helden zmartwiała.

— Odpreż się — uspokoił ją z uśmiechem Noel. — Kiedy się myślaś, zamówiłem butelkę brandy.

Odwzajemniła uśmiech i odetchnęła.

— Powinieneś zostawić to mnie. Twój francuski jest tragiczny.

— Ale *Renty Martin* potrafię jeszcze wydukać — zażartował puszczając ją. — To była pierwsza rzecz, jakiej nauczyłem się tam, gdzie chodziłem do szkoły. — Wszedł do pokoju i skierował się do drzwi wejściowych.

Odebrawszy od kelnera tacę, stał przez chwilę i obserwował Helden. Zamknęła drzwi balkonowe i patrzyła przez szybę na nocne niebo. Była tajemniczą, śliczną kobietą i wyciągała do niego rękę. Zrozumiał to.

Pragnął zrozumieć i inne rzeczy. Była piękna; to niekwestionowana prawda, nie wymagająca żadnych elaboratów. Nie mogła nie zdawać sobie sprawy ze swej urody. Poza tym natura obdarzyła ją inteligencją, i to również był atrybut tak oczywisty, że nie wymagał żadnego komentarza. A obok inteligencji wykazywała świetną orientację w poruszaniu się po swoim mrocznym świecie. Uliczny cwaniak w większym wydaniu, w wydaniu międzynarodowym. Reagowała szybko, zdecydowanie. Dla osiągnięcia określonych korzyści musiała pewnie mnóstwo razy posługiwać się seksem, ale podejrzewał, że robiła to z zimnym wyrachowaniem. Nabywco, ostrzegam, oddaję ci tylko ciało. Moje myśli należą do mnie, nie będziesz ze mną dzielił ani jednej z nich.

Odwróciła się od przeszklonych drzwi. Oczy miała rozmarzone, na twarzy malowało się ciepło, a jednak nadal unosiła się wokół niej aura rezerwy, nadal obserwowała.

— Wyglądasz jak *maitre d'hotel* czekający niecierpliwie, kiedy wreszcie będzie mógł mnie zaprowadzić do stolika.

— Tędy, *mademoiselle* — powiedział Noel, przechodząc z tacą przez pokój i stawiając ją na blacie małego biurka. — Czy życzy pani sobie stolik nad wodą? — Podsunął mały szeslong pod oszklone drzwi, po czym odwrócił się do niej uśmiechnięty i zgięty w ukłonie. — Jeśli zechce pani usiąść, podam zaraz brandy i zacznie się pokaz sztucznych ogni. Ludzie z pochodniami czekają w łodziach tylko na panią.

— A gdzie pan usiądzie, mój przystojny *garcon*?

— U twych stóp, o pani. — Pochylił się, ujął ją za ramiona i pocałował niepewny jej

reakcji.

Czegokolwiek oczekiwał, nie był przygotowany na to, co nastąpiło. Miękkie i wilgotne wargi rozchyliły się, muskając zapraszająco jego usta. Uniosła obie ręce i ujęła w dłonie jego twarz. Delikatnie pieściła palcami policzki, powieki, skronie. Jej usta nie przestawały go desperacko wabić. Wstali nie przerywając pocałunku. Przez koszulę czuł jej piersi, jej nogi napierały nań, odpowiadając siłą na siłę, podniecając go.

I nagle stała się rzecz dziwna. Zaczęła drżeć, a jej palce przesunęły się po jego szyi i wpiły w ciało, przytrzymując go rozpaczliwie, jakby obawiała się, że może się od niej odsunąć. Usłyszał szloch, dobywający się z jej krtani. Czuł spazmy, jakie zaczęły nią wstrząsać. Opuścił rękę na jej talię i łagodnie oderwał twarz od jej twarzy, zmuszając, by na niego spojrziała.

Płakała. Kiedy spojrziała na niego przez moment, z jej oczu wyzierał ból. Cierpienie tak głębokie, że Noel poczuł się jak intruz podglądający czyjaś udramę.

— O co chodzi? Co się stało?

— Odpędź strach — wyszeptwała płaczliwie. Sięgnęła do guzików bluzki i rozpięła je, odstaniając wzgórki nabrzmiałych piersi. — Nie mogę być sama. Błagam, odpędź go.

Przyciągnął ją do siebie, tuląc do piersi. Jej włosy pod jego brodą były miękkie i śliczne, tak jak miękka i śliczna była ona.

— Nie jesteś sama, Helden. Ja też nie.

Leżeli nadzy pod prześcieradłem. On obejmował ją ramieniem, ona opierała głowę na jego piersi. Wolną ręką unosił pasma jej długich blond włosów i puszczał je tak, że spadając przykrywały jej twarz.

— Nic nie widzę — poskarżyła się ze śmiechem.

— Wyglądasz jak owczarek.

— A ty jesteś moim pasterzem?

— I mam kij.

— To okropne. Masz niewyparzoną gębę. — Uniosła rękę i dotknęła kilkakrotnie palcem wskazującym jego warg. Pochwycił palec zębami i zawarczał. — Nie przestraszysz mnie — wyszeptwała unosząc głowę, by spojrzeć na niego z góry. Przycisnęła mu figlarnie język palcem. — Jesteś tchórzliwym lwem. Robisz dużo hałasu, ale nie gryziesz.

Chwycił ją za rękę.

— Tchórzliwy lew? *Czarodziej z krainy Oz*?

— Oczywiście — odparła. — Uwielbiam *Czarodzieja z krainy Oz*. Widziałam ten film z tuzin razy w Rio. To wtedy zaczęłam się uczyć angielskiego. Tak bardzo chciałam mieć na imię Dorothy. Nawet mojego pieska nazwałam Toto.

— Trudno sobie ciebie wyobrazić jako małą dziewczynkę.

— Byłam nią. Nie od razu rozkwitłam pełnym kwiatem... — urwała i roześmiała się. Uniosła się nad nim na łokciach, tak że jej piersi znalazły się tuż nad jego twarzą. Sięgnął odruchowo ręką do lewej sutki. Jęknęła z rozkoszy i przytrzymała tam jego dłoń opadając na niego z powrotem. — Tak czy inaczej, byłam małą dziewczynką. Zdarzały się chwile, kiedy byłam bardzo szczęśliwa.

— Kiedy?

— Kiedy byłam sama. Zawsze miałam własny pokój, matka już o to dbała. Zawsze znajdował się w głębi domu albo mieszkania, albo — jeśli zatrzymywaliśmy się w hotelu — był z dala od pokoiw rodzeństwa. Matka mówiła, że jestem najmłodsza i nie może mi przeszkadzać ich nie uregulowany tryb życia.

— Wyobrażam sobie, jaka byłaś samotna.

— Och, nie! Nigdy nie byłam samotna. Wyobrażałam sobie, że jestem wśród przyja-

ciół, którzy siedzą w fotelach i na łóżku, i że gawędzimy sobie. Potrafiliśmy tak gawędzić całymi godzinami, zwierając się sobie ze swoich sekretów.

— A szkoła? Nie miałaś przyjaciół z krwi i kości?

Helden milczała przez chwilę.

— Kilkoro, niezbyt wielu. Gdy oglądam się teraz wstecz, nie mam do nich pretensji. Wszyscy byliśmy dziećmi. Słuchaliśmy rodziców. Ci z nas, którym pozostało chociaż jedno z nich.

— A co mówili rodzice?

— Że jestem von Tiebolt. Dziewczynką o śmiesznym nazwisku. Że moja matka jest... no cóż, moją matką. Wydaje mi się, że uważali moje piętno za zaraźliwe.

„Być może została naznaczona piętnem — pomyślał Noel — ale przyczyną tego nie była jej matka. ODESSIE Maurice'a Graffa chodziło o znacznie ważniejsze rzeczy. O grube miliony wyssane z ich ukochanej Rzeszy, by posłużyć takim zdrajcom jak von Tiebolt do realizacji imponującego aktu skruchy”.

— Sytuacja poprawiła się, kiedy dorostaś, prawda?

— Poprawiła? Na pewno. Przyzwyczajasz się, dojrzewasz, zaczynasz rozumieć uprzedzenia, których nie rozumiałeś jako dziecko.

— Zdobyłaś więcej przyjaciół.

— Nie tyle więcej, co bliższych. Nie byłam komunikatywna. Przywykłam do bycia sobą; rozumiałam, dlaczego nie jestem zapraszana na przyjęcia i obiady. Przynajmniej do tak zwanych szanowanych domów. Trzeba przyznać, że te lata wpłynęły hamująco na towarzyską aktywność mojej matki, ale nie na jej interesy. Była rekinem; unikali nas ci, którzy powinni być naszymi przyjaciółmi. Poza tym Niemcy nie zostali nigdy tak naprawdę zaakceptowani przez resztę Rio, a przynajmniej w tamtych latach.

— Dlaczego nie? Przecież wojna się skończyła.

— Wojna tak, ale nie kłopoty. Niemcy stanowili wtedy nie wysychające źródło kłopotów. Nielegalne pieniądze, zbrodniarze wojenni, izraelscy łowcy głów... to ciągnęło się latami.

— Jesteś taką piękną kobietą, że trudno wyobrazić sobie ciebie... nazwijmy to, w izolacji.

Helden uniosła się i spojrzała na niego z góry. Uśmiechnęła się i prawą ręką odgarnęła do tyłu włosy, przytrzymując je Sobie na karku.

— Wyglądałam bardzo nieprzystępnie, mój kochany. Proste włosy związane w kok, wielkie okulary i zawsze o numer za duża sukienka. Nie obejrzałbyś się za mną na ulicy... Nie wierzysz mi?

— Nie o tym myślałem.

— A o czym?

— Nazwałaś mnie przed chwilą „swoim kochanym”. Wytrzymała jego spojrzenie.

— Tak, nazwałam. Wydawało mi się to zupełnie naturalne. Masz coś przeciwko temu?

Objął ją i to była jego odpowiedź.

Siedziała w halce na szezlongu i sączyła brandy. Noel zajął miejsce na podłodze, opierając się plecami o małą kozetkę, a szorty i rozpięta koszula zastępowały mu szlafrok. Trzymali się za ręce i patrzyli na iskrzące się na wodzie światła łodzi.

Noel odwrócił głowę i spojrzał na Helden.

— Lepiej się czujesz?

— O wiele lepiej, kochany. Jesteś bardzo subtelnym mężczyzną. Niewielu takich spotkałam w życiu.

— Oszczędź mi tych wspomnień.



— Och, nie to miałam na myśli. Dla twojej informacji, w szeregach *Herr Obersta* jestem znana jako *Fraulein Eiszapfen*.

— Co to znaczy?

— „Sopel lodu”. Panna Sopel Lodu. W pracy są przekonani, że jestem lesbijką.

— Przyślij ich do mnie.

— Wolalabym nie.

— Powiem im, że z ciebie takie ziółko, co używa do tych celów pejczy i łańcuchów rowerowych. Będą zwiewać na sam twój widok.

— To rozkoszne. — Pocałowała go. — Jesteś serdeczny i pogodny. Bardzo cię lubię, Noelu Holcrofcie, i wcale nie jestem pewna, czy to dobrze.

— Dlaczego?

— Bo rozstaniemy się, a ja będę o tobie myślała.

Noel uściskał jej dłoń, która wciąż dotykała jego twarzy. Nagle coś go zaniepokoiło.

— Dopiero się poznaliśmy, dlaczego mielibyśmy się rozstawać?

— Ty masz coś do zrobienia. Ja mam coś do zrobienia.

— Oboje mamy Zurych.

— To t y masz Zurych. Ja mam swoje życie w Paryżu.

— Te rzeczy nie wykluczają się wzajemnie.

— Nie możesz tego wiedzieć, kochany. Nic o mnie nie wiesz. Gdzie mieszkam, jak żyję.

— Wiem o małej dziewczynce, która ma własny pokój i oglądała mnóstwo razy *Czarodzieja z krainy Oz*.

— Wspominaj ją czule. Ona będzie cię tak wspominać. Zawsze.

Holcroft odsunął jej rękę od swojej twarzy.

— Co, u diabła, próbujesz mi powiedzieć? Dzięki za przemiły wieczór, a teraz żegnaj?

— Nie, kochany. Nic z tych rzeczy. Jeszcze nie teraz.

— No to do czego zmierzasz?

— Sama nie bardzo wiem. Może po prostu głośno myślę... Mamy przed sobą wiele dni, wiele tygodni, jeśli tylko tego chcesz.

— Chcę.

— Ale obiecaj mi, że nigdy nie będziesz próbował dowiedzieć się, gdzie mieszkam, nigdy nie będziesz się starał ze mną skontaktować. Zawsze znajdę cię sama.

— Jesteś zamężna?

Helden roześmiała się.

— Nie.

— A więc żyjesz z kimś.

— Tak, ale nie na zasadach, które masz na myśli.

Noel przyjrzał się jej badawczo.

— I co ja mam na to powiedzieć?

— Powiedz, że obiecujesz.

— Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. Poza pracą nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym się z tobą skontaktować. Nie wolno mi dociekać, gdzie mieszkasz ani jak cię znaleźć.

— Zostawię ci numer przyjaciółki. W nagłych wypadkach da mi znać.

— Myślałem, że też jestem przyjacielem.

— Jesteś. Ale w inny sposób. Nie złość się, proszę. To dla twojego własnego bezpieczeństwa.

Holcroft przypomniał sobie noc sprzed trzech dni. Nękana podejrzeniami, Helden obawiała się zagrożenia z jego strony. Bała się, że został nasłany przez niewłaściwych ludzi.

— Powiedziałaś w samochodzie, że Zurych rozwiązałby wiele spraw. Czy również i twoje problemy? Czy Zurych mógłby zmienić tryb twojego życia?

Zawahała się.

— To możliwe. Tyle jest do zrobienia...

— A tak mało czasu — dokończył za nią Holcroft. Dotknął jej policzka zmuszając, żeby na niego spojrzała. — Ale zanim te pieniądze zostaną odblokowane, czeka nas jeszcze Genewa i konieczność spełnienia ściśle określonych warunków.

— Rozumiem. Wymieniłeś je i jestem pewna, że Johann też je zna.

— A ja nie jestem tego taki pewien. Uwikłał się w wiele awantur, co może wyłączyć go z gry.

— Wyłączyć z gry?

— Zdyskwalifikować go. Przestraszyć ludzi z Genewy, skłonić ich do zamknięcia skarbców. Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw chciałbym porozmawiać o Beaumencie. Wydaje mi się, że przejrzałem jego tajemnicę, ale potrzebna mi twoja pomoc, abym mógł się utwierdzić w domysłach.

— Jak mogę ci pomóc?

— Czy przebywając w Rio, Beaumont miał jakiegokolwiek powiązania z Maurice'em Graffem?

— Nie mam pojęcia.

— Czy możemy to jakoś sprawdzić? Czy są w Rio ludzie, którzy mogliby to wiedzieć?

— Ja takich nie znam.

— A niech to cholera, musimy się dowiedzieć. Dowiedzieć o nim wszystkiego, co tylko można.

Helden zmarszczyła czoło.

— To będzie trudne.

— Dlaczego?

— Trzy lata temu, kiedy Gretchen oznajmiła, że wychodzi za Beaumonta, byłam wstrząśnięta; już ci to mówiłam. Pracowałam wtedy dla małej firmy detektywistycznej niedaleko Leicester Square — no wiesz, w jednym z tych okropnych miejsc, do których wysyłasz pięć funtów, a oni udzielają ci wszelkich informacji na dowolny temat. Są powierzchowni, ale wiedzą, jak wykorzystywać swe źródła... — Helden urwała.

— Sprawdziłaś Beaumonta? — spytał Noel.

— Próbowалам. Nie wiedziałam, czego szukać, ale próbowałam. Cofnęłam się aż do jego czasów uniwersyteckich, dokopałam się wszystkich dostępnych informacji na temat jego służby w marynarce wojennej. Wszędzie roiło się od pochwał i wyróżnień, nagród i awansów. Nie umiem ci powiedzieć dlaczego, ale wydawało mi się, że dostrzegam tam pewną niekonsekwencję. Cofnęłam się jeszcze bardziej i wyszperałam wszystko, co się dało, o jego rodzinie w Szkocji.

— Co to za niekonsekwencja?

— No więc, zgodnie z aktami marynarki wojennej, jego rodzice byli przeciętnymi ludźmi. Odniosłam wrażenie, że nie posiadali majątku. Mieli sklep warzywny czy kwaciarnię w miasteczku o nazwie Dunheath, na południe od Aberdeen, nad Morzem Północnym. Kiedy jednak Beaumont studiował na uniwersytecie — nawiasem mówiąc, w Cambridge — był normalnym studentem.

— Normalnym?... A jakim miałby być?

— Według mnie stypendystą. Był w potrzebie i spełniał wszelkie warunki, nie występował jednak o przyznanie stypendium. Wydało mi się to dziwne.

— I zainteresowałaś się jego rodziną w Szkocji. Czego się dowiedziałaś?

— W tym właśnie rzecz. Niczego. Wyglądało to tak, jakby zniknęli. Nie znalazłam ani ich adresu, ani informacji, gdzie ich szukać. Wysłałam kilka zapytań do obu urzędów —

miejskiego i pocztowego. Z odpowiedzi, jakie nadeszły, wynikało, że Beaumontowie byli angielską rodziną, która pewnego dnia, wkrótce po zakończeniu wojny, przybyła do Szkocji, pozostawała tam przez kilka lat, a potem wyjechała z kraju.

— A nie umarli czasem?

— Zgodnie z tym, co zapisano w aktach, nie. Marynarka wciąż je uaktualnia. Figurowali w nich wciąż jako mieszkańcy Dunheath, ale wyjechali. Urząd pocztowy nie miał o nich żadnych informacji.

Teraz Holcroft zmarszczył czoło.

— To brzmi dziwnie.

— Jest jeszcze coś. — Helden podsunęła się pod krzywiznę szelongu. — Na ślubie Gretchen był oficer z okrętu Beaumonta. Chyba jego zastępca. Ten człowiek, o rok czy dwa młodszy od Beaumonta, był najwyraźniej jego podwładnym, ale panowała między nimi zażyłość wykraczająca poza granice przyjaźni, poza granice stosunków łączących oficera z oficerem.

— Co rozumiesz przez słowo „zażyłość”?

— Wyglądało to tak, jakby zawsze myśleli dokładnie tak samo. Jeden mógł rozpocząć zdanie, a drugi je skończyć. Jeden mógł się odwrócić w określonym kierunku, a drugi, nie patrząc, skomentować to, co ten pierwszy widzi. Rozumiesz, o co mi chodzi? Miałaś już do czynienia z takimi ludźmi? Z takimi mężczyznami?

— Jasne. Tak zachowują się blisko ze sobą związani bracia albo kochankowie. I często wojskowi, którzy służyli razem przez dłuższy czas. Co zrobiłaś?

— Sprawdziłam tego mężczyznę. Wykorzystałam te same źródła. Rozesłałam takie same pytania jak w przypadku Beaumonta. Z odpowiedzi, które nadeszły, wynikało coś nadzwyczajnego. Oni byli tacy sami, różnili się tylko nazwiskami. Ich akademickie i wojskowe życiorysy były niemal identyczne, wzorowe pod każdym względem. Obaj pochodzili z mało znanych miasteczek, mieli niczym nie wyróżniających się rodziców, i z pewnością niezbyt dobrze sytuowanych. Mimo to każdy z nich studiował na renomowanym uniwersytecie, nie korzystając z pomocy finansowej. I każdy został oficerem, nie wykazując wcześniej żadnych skłonności do wstąpienia na drogę kariery wojskowej.

— A co z rodziną tego przyjaciela Beaumonta? Zdołałaś ustalić miejsce jej zamieszkania?

— Nie. W aktach figurowali jako mieszkańcy górniczego miasteczka w Walii, ale tam ich nie było. Wyprowadzili się przed laty i nikt nic o nich nie wiedział.

Rewelacje Helden pasowały jak ulał do teorii Noela, że Anthony Beaumont jest agentem ODESSY. Teraz trzeba było tylko usunąć Beaumonta i jego „wspólników” ze sceny. Nie można dopuścić, aby dalej przeszkadzali w urzeczywistnieniu genewskiej misji. Być może popełniają z Helden błąd. Być może powinni skontaktować się z Paytonem-Jonesem i rzucić problem rozpracowania Beaumonta na jego barki. Ale trzeba było wziąć pod uwagę uboczne skutki takiego posunięcia, wśród których występowała groźba zwrócenia uwagi brytyjskiego wywiadu na akta Petera Baldwina, zawierające informacje opatrzone kryptonimem „Wolfsschanze”.

— Wróćmy teraz do twojego brata — powiedział Noel. — Wydaje mi się, że wiem, co wydarzyło się w Rio. Czy miałabyś ochotę o tym porozmawiać?

Oczy Helden rozszerzyły się.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Twój brat dowiedział się czegoś w Rio, prawda? Zdemaskował Graffa i brazylijską ODESSĘ. Dlatego na niego nastawano, dlatego musiał uciekać. To nie z powodu waszej matki ani stylu, w jakim wasz brat prowadził interesy, ani jakiegokolwiek innego powodu. Stał za tym Graff i ODESSA.

Helden wypuściła powoli powietrze z płuc.

— Nigdy o tym nie słyszałam, uwierz mi.

— No to co to było? Powiedz mi, Helden.

Jej oczy patrzyły nań błagalnie.

— Proszę cię, Noel. Tyle ci zawdzięczam, nie każ mi się w ten sposób odpłacać. To, co przydarzyło się Johannowi w Rio, nie ma z tobą nic wspólnego. Z Genewą też.

— Nie możesz tego wiedzieć, podobnie jak ja. Wiem tylko, że musisz mi powiedzieć. Muszę być przygotowany. Tylu rzeczy nie rozumiem. — Uścisnął jej dłoń. — Postępuj. Dzisiaj po południu wtargnąłem do pokoju niewidomego człowieka. Wyważyłem drzwi. Był straszny łomot. Niespodziewany i głośny. Mężczyzna był stary i, oczywiście, nie widział mnie. Nie mógł więc zobaczyć strachu w moich własnych oczach. Ręce mu drżały i modlił się szeptem po francusku... Przez chwilę chciałem do niego podejść, wziąć go za ręce i powiedzieć, że wiem, jak się czuje. Rozumiesz, on nie widział strachu w moich oczach. Boję się, Helden. Nie jestem z tych, co włamują się do czyichś pokoi, strzelają z pistoletów i sami są celem dla kul. Nie mogę zawrócić, ale się boję. Musisz mi więc pomóc.

— Chcę ci pomóc, dobrze o tym wiesz.

— Wobec tego powiedz mi, co zaszło w Rio. Co się przydarzyło twojemu bratu?

— To po prostu nieistotne — wyjąkała.

— Wszystko jest istotne. — Noel wstał i podszedł do fotela, na który wcześniej rzucił marynarkę. Pokazał Helden przecięcie w materiale. — Spójrz na to. Ktoś w tym tłumie dzisiejszego popołudnia próbował poczęstować mnie nożem. Nie wiem, jak tobie, ale mnie się to jeszcze nie zdarzyło. Z czymś takim nie miałem dotąd do czynienia. To mnie paraliżuje... i doprowadza do szewskiej pasji. A pięć dni temu, w Nowym Jorku, człowiek, pod którego okiem dorastałem — jedyny człowiek, jakiego nazywałem ojcem — szedł sobie chodnikiem i dostał się pod koła samochodu, który został na niego umyślnie skierowany i rozgniół go o ścianę budynku! Jego śmierć była ostrzeżeniem. Ostrzeżeniem dla mnie! A więc nie opowiadaj mi o *Rache*, ODESSIE ani o ludziach *Wolfsschanze*. O tych chorych na umyśle sukinyśnach, których pragnę usunąć ze swej drogi do ostatniego! Dysponując pieniędzmi z Zurychu możemy tego dokonać. Bez nich nikt nie będzie chciał nas słuchać. Życiem rządzi ekonomia. Nie lekceważy się ludzi posiadających siedemset osiemdziesiąt milionów dolarów. Takich ludzi się słucha. — Holcroft upuścił marynarkę na podłogę. — Jedynym sposobem dotarcia do Zurychu jest spełnienie wymagań genewskiego banku, a jedynym sposobem dotarcia do Genewy jest ruszenie głową. Nie mamy właściwie nikogo po swojej stronie, jesteśmy osamotnieni. Von Tieboltowie, Kesslerowie... i jeden Clausen. No, co się stało w Rio?

Helden spuściła wzrok, spojrzała na rozprutą marynarkę i podniosła oczy z powrotem na Noela.

— Johann kogoś zabił.

— Kogo?

— Nie wiem... naprawdę nie wiem. Ale to był ktoś ważny.

## 23

Holcroft słuchał jej, wyczulając ucho na ewentualne fałszywe nuty. Nie stwierdzał ich. Dzielili się z nim tym, co wiedziała, a nie było tego wiele.

— Około sześciu tygodni przed naszym wyjazdem z Brazylii — mówiła — wróciłam pewnej nocy samochodem do domu z seminarium na uniwersytecie; mieszkaliśmy wtedy pod miastem, na wsi. Przed domem stała limuzyna ciemnego koloru, zaparkowałam więc za nią. Gdy wchodziłam na ganek, usłyszałam dochodzące z wewnątrz wrzaski. Toczyła się tam straszna bójka i nie mogłam się zorientować, kto bierze w niej udział. Nie poznawałam po głosie tego, który krzyczał. Wykrzykiwał takie słowa, jak „zabójca”, „morderca”, „to byłeś ty”, coś w tym rodzaju. Wbiegłam do środka i zastałam Johanna stojącego w holu przed jakimś mężczyzną. Zobaczył mnie i kazał temu mężczyźnie nie ruszać się. Tamten próbował uderzyć Johanna, ale mój brat jest bardzo silny; złapał mężczyznę za ramiona i wypchnął za drzwi. Nieznajomy krzyczał, że inni też wiedzą, że dopilnują, aby Johann został powieszony jako morderca, a jeśli tak się nie stanie, sami go zabiją. To były jego ostatnie słowa. Krzycząc przewrócił się na schodkach, a kiedy podniósł się i pobiegł do limuzyny, Johann rzucił się za nim w pogoń. Powiedział coś do niego przez uchyloną szybę, a wtedy mężczyzna splunął Johannowi w twarz i odjechał.

— Spytałaś brata, o co chodziło?

— Naturalnie. Ale w odpowiedzi usłyszałam tylko, że ten człowiek jest wariatem. Stracił dużo pieniędzy na jakimś przedsięwzięciu finansowym i oszalał.

— Nie uwierzyłaś mu?

— Chciałam uwierzyć, ale wtedy zaczęły się te potajemne spotkania. Johann zniknął na całe godziny, a czasem nawet dni. Zachowywał się dosyć nienormalnie. W kilka tygodni później poleciliśmy do Recife z nowym nazwiskiem i nowym obywatelstwem. Zabity człowiek musiał być kimś bardzo bogatym, bardzo potężnym. Musiał być taki, skoro miał takich przyjaciół.

— Nie orientujesz się, co to za mężczyzna był tamtej nocy w waszym domu?

— Nie. Widziałam go już gdzieś, ale nie mogłam sobie przypomnieć gdzie, a Johann nie chciał mi powiedzieć. Zakazał mi powracać do tego incydentu. Oświadczył, że są sprawy, o których nie powinnam wiedzieć.

— I zaakceptowałaś to?

— Tak. Spróbuj zrozumieć. Byliśmy dziećmi nazistów i zdawaliśmy sobie sprawę, co to znaczy. Często lepiej było nie zadawać pytań.

— Ale musiałaś się orientować, co się dzieje.

— Och, uczono nas, jak nie popełniać błędów — powiedziała Helden. — Szkolono nas w sztuce wymykania się Izraelczykom, gdyby chcieli siłą wydobywać od nas informacje. Uczyliśmy się rozpoznawać werbownika ODESSY, maniaka z *Rache*; jak uciekać i jak ich zgubić za pomocą stu różnych forteli.

Noel potrząsnął w osłupieniu głową.

— Tak wyglądała wasza codzienna próba szkolnego chóru. To niedorzeczne.

— Mogłeś używać tego słowa trzy tygodnie temu — powiedziała sięgając po jego rękę. — Teraz już nie. Nie po tym, co się dzisiaj wydarzyło.

— Co masz na myśli?

— Powiedziałam w samochodzie, że żał mi ciebie, bo nie masz żadnego przygotowania.

— A ja chyba odpowiedziałem, że zdobywam je w przyśpieszonym tempie.

— Ale tak niewiele i tak późno. Johann kazał mi ciebie nauczyć, czego będę mogła. Chcę, żebyś mnie posłuchał, Noel. Postaraj się zapamiętać wszystko.

— Co? — Holcroft poczuł silny uścisk. W jej oczach dostrzegł determinację.

— Jedziesz do Berlina. Pragnę, żebyś wrócił.

Z tymi słowami zaczęła. Chwilami Noel miał ochotę się uśmiechnąć — albo, co gorsza, roześmiać w głos — ale powstrzymało go przed tym jej skupienie; była śmiertelnie poważna. Tego popołudnia zginęło troje ludzi. On i Helden o mało nie stali się kolejnymi ofiarami. Słuchał więc i starał się wszystko zapamiętać. Wszystko.

— Nie ma czasu na załatwienie fałszywych dokumentów — to trwa kilka dni. Masz pieniądze. Wykup dodatkowe miejsce na samolot. Nie zaniedbuj ani na chwilę czujności i nie pozwalaj nikomu się do siebie przysiąść; nie daj się osaczyć. I nie jedz ani nie pij niczego poza tym, co weźmiesz ze sobą.

Wrócił na moment myślami do brytyjskiego boeinga 747 i fiołki ze strychniną.

— Tej rady nie zapomnę.

— Możesz. Tak łatwo poprosić o kawę albo nawet o szklankę wody. Nie wolno ci tego robić.

— Nie zrobię tego. Jak mam się zachować w Berlinie?

— Nie tylko w Berlinie, również w każdym innym mieście — poprawiła go. — Wyszukaj sobie mały hotelik w ruchliwej dzielnicy, gdzie podstawowym interesem jest pornografia, gdzie kwitnie prostytutka i narkomania. W takich miejscach recepcja nie wnika nigdy w personalia. Znam kogoś, kto poleci nam taki hotel w Berlinie...

Zalewała go potokiem słów, opisując rozmaite taktyki, definiując metody postępowania, pouczając, jak obmyślać własne warianty...

Używać fałszywych nazwisk, zmieniać co dzień pokoje, a hotel dwa razy w tygodniu. Telefonować z rozmównic publicznych, broń Boże, z hotelowych pokoi czy mieszkań. Mieć zawsze ze sobą co najmniej trzy zmiany wierzchniej odzieży, włączając w to kapelusze, czapki, różniące się wyglądem okulary; nosić buty na gumowej podeszwie. Najlepiej i najciszej się w nich biega, najlepiej zatrzymuje i zrywa do biegu, najlepiej idzie bez szmeru. W przypadku przesłuchiwania łąć tonem oburzenia, ale nie arogancji i nigdy podniesionym głosem. Ten rodzaj okazywania złości wzbudza wrogość, a wrogość równa się zwłoce i prowokuje dociekliwsze pytania. Podczas przelotu z jednego lotniska na inne przewozić pistolet w stanie rozmontowanym, z lufą oddzieloną od rękojeści, z wyjętą iglicą. Takie postępowanie zadawała zwykle europejskich celników. Broń nie przygotowana do natychmiastowego użycia nie wzbudza podejrzeń. Kontrabanda, owszem. Gdyby jednak mieli jakieś zastrzeżenia, dać sobie bez protestu broń skonfiskować; wszędzie można kupić inną. Jeśli przepuszczą broń, natychmiast ją złożyć, najlepiej w kabinie męskiej toalety jeszcze na lotnisku.

Ulica... Powiedział Helden, że wie co nieco o ulicach i tłumach. Odparowała, że nikt nigdy nie wie wszystkiego i poradziła, żeby chodził możliwie najbliżej krawężnika, by w każdej chwili z powodu najmniejszej oznaki wrogości czy inwigilacji być gotowym do wyskoczenia na jezdnię i wmieszania się między pojazdy.

— Zapamiętaj — mówiła — jesteś amatorem, a oni profesjonalistami. Wykorzystuj ten fakt, czyn swój brak doświadczenia atutem. Zachowania amatora nie da się z góry przewidywać, i to nie dlatego, że jest bystry lub doświadczony, ale dlatego, że nic lepszego nie przychodzi mu do głowy. Rób rzeczy nieoczekiwane spontanicznie, ostentacyjnie, jakbyś stracił głowę. Potem zatrzymuj się i czekaj. Konfrontacja jest zwykle ostatnią rzeczą, której pragnie śledzący. Jeśliby jednak do niej dążył, musisz być na to przygotowany. Wtedy strzelaj. Powinieneś mieć tłumik. Zorganizujemy go rano. Wiem, gdzie go zdobyć.

Odwrócił się oszołomiony, niezdolny do wyduszenia z siebie słowa. W jego oczach dostrzegła zaskoczenie.

— Przykro mi — powiedziała. Pochyliła się ze smutnym uśmiechem i pocałowała go.

Rozmawiali przez większą część nocy jak nauczycielka z uczniem, kochanka z kochankiem. Helden mówiła z natchnieniem, wymyślała rozmaite sytuacje i kazała mu odpowiadać, jak by się zachował w różnych hipotetycznych okolicznościach.

— Jesteś w pociągu i idziesz przez wagon wąskim korytarzem. Niesiesz ważne dokumenty. Z przeciwka nadchodzi mężczyzna. Znasz go, wiesz, że jest twoim wrogiem. Za tobą tłoczą się ludzie i nie możesz zawrócić. Co robisz?

— Czy ten mężczyzna — ten wróg — ma wobec mnie złe zamiary?

— Nie wiesz tego. Co robisz? Szybko!

— Chyba idę dalej. Czujny, przygotowany na najgorsze.

— Nie, kochany! Masz przecież dokumenty. Musisz je chronić! Potykasz się, padasz na podłogę!

— Dlaczego?

— W ten sposób zwrócisz na siebie uwagę. Podbiegną do ciebie ludzie, żeby pomóc ci wstać. W tej sytuacji wróg nie wykona swego ruchu. Uprzedzasz jego zamiary.

— Przejmując inicjatywę — mruknął Noel przyjmując zasadę.

— Właśnie.

Ciągnęło się to i ciągnęło aż do ostatniego tchu nauczycielki i ucznia. Kochali się potem bez pośpiechu, dodając sobie nawzajem otuchy ciepłem swoich ciał, sprawiając, że zewnętrzny świat stał się bardzo odległy. W końcu Helden usnęła z głową na jego piersi i z twarzą ukrytą we włosach.

Noel leżał jeszcze przez jakiś czas z otwartymi oczyma, obejmując ją ramieniem i zastanawiał się, w jaki sposób dziewczynka zachwycająca się *Czarodziejem z krainy Oz* mogła wyrosnąć na tak wytrawną specjalistkę w sztuce podstępów i ucieczki. Była z innego świata, a on wkraczał w ten świat z alarmującą szybkością.

Obudzili się zbyt późno, by Helden mogła jeszcze zdążyć do pracy.

— No i dobrze — powiedziała sięgając po telefon. — Mamy przecież zrobić zakupy. Mój kierownik uwierzy bez zastrzeżeń w drugi dzień choroby. Podejrzewam, że się we mnie podkochuje.

— Coś mi się wydaje, że ja też — mruknął Noel sunąc palcami po krzywiznie jej pleców. — Gdzie mieszkasz?

Uśmiechnęła się do niego, dyktując jednocześnie numer telefonistce. Potem przykryła dłonią mikrofon słuchawki.

— Wyciągasz ważne informacje, odwołując się do moich niższych instynktów. Jestem przeszkolona, zapomniałeś? — Znowu się uśmiechnęła.

I znowu doprowadzała go do szaleństwa.

— Pytam poważnie. Gdzie mieszkasz?

Uśmiech znikł.

— Nie mogę ci powiedzieć. — Zdjęła dłoń ze słuchawki i zaczęła coś szybko mówić po francusku do telefonistki z centrali w redakcji *Gillimard*.

W godzinę później byli już na przedmieściach Paryża. Podjechali najpierw pod jego hotel, skąd zabrał rzeczy, a potem skierowali się do dzielnicy obfitującej w sklepiki z używaną odzieżą. Nauczycielka jeszcze raz dowiodła swojej fachowości. Przebierała w ciuchach z wprawą. Części garderoby, które wybierała dla swego ucznia, były nijakie, nie rzucające się w oczy.

Do płaszcza doszła jeszcze kurtka z grubego sukna i brązowe palto, a także sfatygowany kapelusik turystyczny, ciemny kapelusz filcowy ze zniszczonym denkiem, czarna czapka z opadającym daszkiem. Wszystko było porządnie znoszone. Tylko nie buty. Buty były nowe. Jedna para na grubych, gumowych podszewkach i druga, bardziej elegancka na podszewkach

skórzanych, które posłużyły za podłoże dla warstwy gumy przymocowanej na poczekaniu przez szewca prowadzącego zakład usługowy przy tej samej ulicy.

Cztery przecznice od warsztatu szewskiego znajdowała się witryna nędznego sklepiku. Helden weszła tam sama, każąc Noelowi pozostać na zewnątrz. Wyszła po dziesięciu minutach z perforowanym cylindrem — tłumikiem do pistoletu automatycznego.

Wyposażono go w mundur i stosowną broń. Przechodził zaprawę i był wysyłany na pole bitwy po najkrótszym okresie podstawowego szkolenia, jaki można sobie wyobrazić. Widział już wroga. Żywego i śledzącego go... a potem martwego pośród uliczek i zaułków wioski o nazwie Montereau-faut-Yonne. Gdzie czaił się wróg teraz?

Helden była przekonana, że na jakiś czas go zgubili. Sądziła, że wróg może podjąć jego trop na lotnisku, ale znalazłszy się w Berlinie, Noel będzie mógł go znowu zgubić.

Będzie musiał. Chciała jego powrotu, zaczeka.

Zatrzymali się w małej kafejce na lunch i wino. Helden jeszcze raz gdzieś zatelefonowała i wróciła do stolika z nazwą berlińskiego hotelu. Znajdował się w *Hurenviertel*, tej części miasta, gdzie seks był towarem powszechnie dostępnym.

Ujęła Noela za rękę i zbliżyła twarz do jego twarzy; za kilka minut wyjdzie sam na ulicę i złapie taksówkę na lotnisko Orly.

— Uważaj na siebie, kochany.

— Będę uważał.

— Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałam. To może pomóc.

— Będę pamiętał.

— Najtrudniej zaakceptować fakt, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przyłapiesz się w pewnym momencie na zastanawianiu: „dlaczego ja?“, „dlaczego to?“ Nie myśl o tym; po prostu pogódź się z tym.

*Nic nie jest już dla ciebie, jak było. Nic już nigdy takie nie będzie.*

— Już to zrobiłem. Znalazłem też ciebie.

Odwróciła wzrok, potem znowu na niego spojrzała.

— Kiedy będziesz już w Berlinie, niedaleko hotelu, weź sobie dziwkę z ulicy. To dobra tarcza ochronna. Trzymaj ją przy sobie, dopóki nie skontaktujesz się z Kesslerem.

Boeing 707 linii *Air France* wszedł w ostatnią fazę podchodzenia do lądowania na lotnisku Tempelhof. Noel siedział po prawej stronie samolotu, w trzecim fotelu od przejścia, a miejsce obok niego pozostawało wolne.

*Masz pieniądze; wykup dodatkowe miejsce na samolot... i nie pozwalaj nikomu przysiąść się do siebie; nie daj się osaczyć.*

„Metody przetrwania wykładane przez tę, która przetrwała” — pomyślał Holcroft. I wtedy przypomniało mu się, że matka też zaliczała siebie do tych, którzy przetrwali. Althene czerpała z tego określenia jakąś dumę, sądząc po jej głosie dobiegającym telefonicznym kablem z odległości sześciu i pół tysiąca kilometrów.

Powiedziała, że wybiera się na wycieczkę. To był jej sposób na zniknięcie na kilka tygodni, metoda polegająca na zmyleniu otoczenia i zejściu ludziom z oczu, której nauczyła się ponad trzydzieści lat temu. Boże, ona była niezwykła! „Ciekawe, gdzie się uda — zastanawiał się Noel — co zrobi”. Za kilka dni zatelefonuje do Sama Buonoventury na Curacao. Do tego czasu Sam będzie może miał od niej jakieś wiadomości.

Kontrola celna na Tempelhof była pobieżna. Holcroft wkroczył do terminalu, znalazł męską toaletę i złożył w niej na powrót pistolet.

Trzymając się instrukcji, złapał taksówkę i kazał się zawieźć do parku *Tiergarten*. W taksówce otworzył walizkę, przebrał się w znoszone, brązowe palto i sfatygowany kapelusik turystyczny. Wóz zatrzymał się.



Zapłacił za kurs, wysiadł, wszedł prosto na teren parku i unikając spacerowiczów krążył po nim dopóty, dopóki nie znalazł wolnej ławki. Usiadł na niej. Przesunął wzrokiem po mijających go przechodniach; Nikt się nie zatrzymał ani nie zawahał. Wstał szybko i skierował się w stronę wyjścia. W pobliżu znajdował się postój taksówek. Zajął miejsce w kolejce i rozglądając się ukradkiem na boki sprawdzał, czy nie dostrzeże czasem wroga. Trudno było teraz wyłowić z otoczenia coś czy kogoś szczególnego; późnopołudniowe cienie stawały się coraz dłuższe i ciemniejsze.

Przyszła jego kolej. Podał kierowcy nazwy dwóch przecinających się ulic. Skrzyżowanie znajdowało się trzy przecznice na północ i cztery na zachód od hotelu. Kierowca uśmiechnął się i odezwał w silnie akcentowanym, ale doskonale zrozumiałym angielskim.

— Chce się pan trochę zabawić? Mam przyjaciółeczki, *Herr Amerikaner*. Żadnego ryzyka złapania francuskiej choroby.

— Źle mnie pan zrozumiał. Prowadzę badania socjologiczne.

— *Wie?*

— Mam spotkanie z żoną.

Jechali ulicami Berlina w milczeniu. Na każdym zakręcie Noel oglądał się i sprawdzał, czy nie skręca za nimi któryś z samochodów sunących z tyłu. Wypatrzył kilka takich, ale żaden nie podążał długo ich śladem. Przypomniały mu się słowa Helden: *Używają często krótkofalówek. Można im się urwać stosując taki prosty fortel, jak założenie płaszcza czy kapelusza. Ci, którzy odbierają instrukcje przekazywane przez radio, będą szukać człowieka w marynarce i bez kapelusza, ale nie znajdą takiego.*

Czy jacyś niewidoczni ludzie wypatrują teraz określonej taksówki z określonym pasażerem mającym na sobie określone ubranie? Nigdy się tego nie dowie. Był tylko pewien, że nie dostrzegł nikogo, kto by go śledził.

W przeciągu tych dwudziestu kilku minut, jakie zabrał dojazd do wskazanego skrzyżowania, zapadła noc. Ulice obwieszane były krzykliwymi neonami i dwuznacznymi plakatami. Młody, jasnowłosy kowboj sąsiadował tu z dziwkami w rozciętych spódniczkach i głęboko wydekoltowanych bluzkach. „To jeszcze jeden rodzaj odpustu” — pomyślał Holcroft idąc na południe, by minawszy — jak go poinstruowano — trzy przecznice skrócić na rogu w lewo.

Ujrzał w drzwiach prostytutkę nakładającą sobie szminkę na wydatne usta. Należała do tego nieokreślonego przedziału wiekowego, w którym kurwy i nadobne gospodynie domowe z przedmieść tak usilnie i bez większego powodzenia maskują swoje lata — gdzieś między trzydziestym piątym a czterdziestym ósmym rokiem życia. Włosy miała kruczoczarne, bladą twarz i zapadnięte podkrążone oczy. Trochę dalej, przed następnym blokiem, dostrzegł wystrzepioną markizę nad wejściem do hotelu i neon, w którym nie paliła się jedna litera.

Podszedł do prostytutki niezupełnie pewny, jak zagaic rozmowę.

Nieznajomość niemieckiego nie była tu jedyną przeszkodą; nigdy nie podrywał dziwek na ulicy. Chrząknął.

— Dobry wieczór, *Fraulein*. Mówi pani po angielsku?

Kobieta spojrzała na niego chłodno, szacując jego niezbyt okazałe palto. Potem jej wzrok zsunął się na walizkę i na neseser. Rozchyliła usta i uśmiechnęła się. Zęby miała żółte.

— *Ja, mein* amerykański przyjacielu. Mówię dobrze. Pokażę ci dobrą zabawę.

— Reflektuję. Ile?

— Dwadzieścia pięć marek.

— No to negocjacje dobiegły końca. Pójdiesz ze mną? — Holcroft wyjął z kieszeni saszetkę z pieniędzmi, odliczył trzy banknoty i wręczył je kobiecie. — Trzydzieści marek. Chodźmy do tego hotelu za skrzyżowaniem.

— *Wohin?*

Noel wskazał palcem na hotel w następnym budynku.

— Tam — powiedział.

— *Gut* — zgodziła się kobieta biorąc go pod ramię.

Pokój był taki, jak wiele innych w tanich hotelach w wielkim mieście. Jeśli wyróżniała go jakaś pozytywna cecha, była nią goła żarówka zwisająca z sufitu. Dawała tak mało światła, że nie rzucał się w oczy stan zniszczonych, połamanych mebli.

— *Dreissig Minuten* — oznajmiła prostytutka, zdejmując płaszcz i układając go na krześle z jakąś wojskową pieczołowitością. — Masz pół godziny ani minuty więcej. Jestem, jak to nazywacie wy, Amerykanie, człowiekiem interesu. Mój czas to pieniądz.

— Nie wątpię — przyznał Holcroft. — Odpocznij sobie albo poczytaj coś. Za piętnaście do dwudziestu minut wychodzimy. Pójdiesz ze mną i pomożesz mi zatelefonować. — Otworzył neseser i odszukał w nim kartkę papieru z informacjami o Erichu Kesslerze. Pod ścianą stało krzesło. Usiadł na nim i zaczął czytać w mdłym świetle.

— *Ein Telephonanruf?* — spytała kobieta. — Płacisz mi trzydzieści marek tylko za to, żebym pomogła ci *mit dem Telephon*?

— Zgadza się.

— To jest... *verriickt!*

— Nie znam niemieckiego. Mogę mieć kłopoty z porozumieniem się z człowiekiem, do którego muszę zadzwonić.

— No to na co tu czekamy? Telefon jest na rogu.

— Chyba dla zachowania pozorów.

Prostytutka uśmiechnęła się.

— Wykorzystujesz mnie jako *Deckung*.

— Co?

— Zabierasz mnie na górę, do pokoju, nikt nie zadaje pytań.

— Nie powiedziałbym — odparł Noel z zakłopotaniem.

— To nie mój interes, *mein Herr*. — Podeszła do jego krzesła. — Ale dopóki tu jesteśmy... czemu by się nie zabawić? Zapłaciłeś. Nie jestem taka zła. Kiedyś lepiej wyglądałam, ale taka zła jeszcze nie jestem.

Holcroft odwzajemnił jej uśmiech.

— Wcale nie jesteś taka zła. Ale dziękuję. Jestem teraz zajęty.

— No to rób, co masz robić — burknęła dziwka.

Noel przystąpił do lektury danych, które otrzymał od Ernsta Manfrediego wieczność temu w Genewie.

*Erich Kessler, profesor historii, Wolny Uniwersytet Berliński. Dzielnica Dahlen. Mówi płynnie po angielsku. Kontakty: telefon na uniwersytecie — 731-426. Domowy — 812-114. Brat Hans, lekarz. Mieszka w Monachium.*

Dalej następowało zwięzłe podsumowanie przebiegu akademickiej kariery Kesslera, uzyskane stopnie naukowe, przyznane odznaczenia. Profesor był człowiekiem uczonym, a uczeni ludzie są zazwyczaj sceptykami. Jak zareaguje Kessler na telefon od nie znanego Amerykanina, który przybył do Berlina bez wcześniejszego zapowiedzenia się, by zobaczyć się z nim w sprawie, o której nie chce mówić przez telefon?

Dochodziła szósta trzydzieści, pora znalezienia odpowiedzi. I pora na zmianę ubrania. Wstał, podszedł do walizki i wyjął z niej sukienną kurtkę oraz czapkę z daszkiem.

— Idziemy — rzucił do prostytutki.

Noel nakręcał numer, a prostytutka stała obok budki telefonicznej. Chciał mieć ją pod ręką na wypadek, gdyby słuchawki nie podniósł Kessler, a ktoś, kto nie zna angielskiego.

Linia była zajęta. Wszędzie wokół siebie słyszał język niemiecki — urywki konwersacji prowadzonych przez mijające budkę pary i włączące się grupy poszukiwaczy wrażeń.

Zamyślił się. Gdyby jego matką nie była Althene, a jakaś inna kobieta, czy byłby teraz jednym z tych za szybą budki? Nie tu, gdzie akurat teraz stał, ale gdzieś w Berlinie, w Bremerhaven albo w Monachium? Noel Clausen, Niemiec.

Jak wyglądałoby jego życie? Ta myśl była fascynująca, budząca odrazę... i obsesyjna. Poczuł się dziwnie. Jak gdyby cofnął się w czasie i na drodze spowitej warstwami mgły natrafił na odgałęzienie, którym mógł pójść, ale nie poszedł. Badał teraz na nowo to odgałęzienie; dokąd prowadziło?

A Helden? Czy poznałby ją w tym innym życiu? Teraz ją znał. I wiedział, że chce do niej wrócić tak szybko, jak tylko się da. Pragnął znowu ją zobaczyć, znowu wziąć w ramiona i zapewnić, że... sprawy... pójdą dobrze. Pragnął patrzeć, jak się śmieje i wieść życie, w którym o przetrwaniu nie decydują trzy zmiany wierzchniej odzieży, pistolety i tłumiki, a *Rache* i ODESSA nie stanowią zagrożenia dla zdrowych zmysłów i życia.

Słuchawkę podniósł mężczyzna o niskim, łagodnym głosie.

— Czy pan Kessler? Doktor Kessler?

— Nie leczę żadnych przypadłości, *sir* — padła uprzejma odpowiedź w języku angielskim — ale tytuł się zgadza. Czym mogę służyć?

— Moje nazwisko brzmi Holcroft. Noel Holcroft. Pochodzę z Nowego Jorku. Jestem architektem.

— Holcroft? Mam wielu amerykańskich przyjaciół i znam, oczywiście, sporo ludzi z uniwersytetów, z którymi prowadzę korespondencję, ale tego nazwiska sobie nie przypominam.

— Nic dziwnego, pan mnie nie zna. Mimo to przybyłem do Berlina specjalnie po to, żeby się z panem zobaczyć. Zależy mi na omówieniu pewnej poufnej sprawy, która dotyczy nas obu.

— Poufnej?

— Nazwijmy to... sprawą rodzinną.

— Chodzi o Hansa? Coś się stało z Hansem?

— Nie...

— Innej rodziny nie mam, panie Holcroft.

— To dotyczy wydarzeń sprzed wielu lat. Przykro mi, ale przez telefon nie mogę nic więcej powiedzieć. Proszę mi zaufać; to pilne. Czy moglibyśmy spotkać się jeszcze dziś wieczorem?

— Dziś wieczorem? — Kessler zawiesił głos. — Czy przybył pan do Berlina dzisiaj?

— Późnym popołudniem.

— I chce się pan ze mną spotkać dziś wieczorem... Ta sprawa musi być rzeczywiście pilna. Dziś wieczorem muszę jeszcze wrócić na jakąś godzinę do mojego biura. Czy odpowiadałaby panu godzina dziewiąta?

— Tak — Noel odetchnął z ulgą. — Bardzo by mi odpowiadała. Gdzie tylko pan zechce.

— Zaprosiłbym pana do siebie, ale niestety mam gości. Jest taki lokal na Kurfurstendamm. Często pęka w szwach, ale mają tam zaciszne łóżka w głębi sali i znamy się z kierownikiem.

— To byłoby idealne miejsce.

Kessler podał mu nazwę i adres lokalu.

— Proszę spytać o mój stolik.

— Rozumiem. I bardzo dziękuję.

— Rad się z panem spotkam. Ale powinienem pana o czymś uprzedzić: zawsze zapewniam kierownika, że dania mają wyśmienite. W praktyce różnie z tym bywa, ale to taki miły facet i życzliwy dla studentów. A więc do zobaczenia o dziewiątej.

— Przyjdę. Jeszcze raz dziękuję — Holcroft odwiesił słuchawkę ogarnięty nagle poczuciem pewności siebie. Jeśli wnioskować z głosu, Erich Kessler jest człowiekiem inteligentnym, dowcipnym i niezmiernie sympatycznym. Co za ulga!

Wyszedł z budki i uśmiechnął się do kobiety.

— Dzięki — powiedział wciskając jej w rękę dodatkowe dziesięć marek.

— *Auf Wiedersehen*. — prostytutka odwróciła się i odeszła.

Holcroft patrzył za nią przez chwilę, ale jego uwagę przyciągnął nagle stojący nieopodal mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Tkwił przed księgarnią, ale nie wykazywał zainteresowania wyeksponowaną na wystawie pornografią. Zamiast tego zerkał bez przerwy w stronę Noela. Gdy ich spojrzenia spotkały się, mężczyzna odwrócił szybko głowę.

Czy to jeden z wrogów? Fanatyk z *Rachel* Maniak z ODESSY? A może ktoś z zastępów *Wolfsschanze*? Musi to wyjaśnić.

*Konfrontacja jest zwykle ostatnią rzeczą, o którą chodzi śledzącemu. Jeśli jednak do niej dąży, musisz być na to przygotowany...*

Słowa Helden. Spróbuje sobie przypomnieć właściwą taktykę i zastosuje ją teraz. Namacał wybruszenie w materiale swej sukiennej kurtki; broń i tłumik spoczywały na swoich miejscach. Odpiął daszek czapki z zatrzasku, chwycił za rączkę neseseru i szybkim krokiem zaczął oddalać się od miejsca, w którym stał mężczyzna w skórzanej kurtce.

Maszerował ulicą trzymając się blisko krawężnika, gotowy w każdej chwili zeskoczyć na jezdnię między przejeżdżające samochody. Dotarł do narożnika i skręciwszy w prawo, wmieszał się zwinnie w tłum gapiów obserwujących dwa naturalnej wielkości plastikowe manekiny kopulujące na czarnej niedźwiedziej skórze. Ktoś go potrącił; neseser najpierw przyciśnięto mu do nogi, a potem odciągnięto, jakby walizeczkę odtrącała od siebie przypadkowa ofiara jej ostrych kantów... Odtrącała, ciągnęła — wyrwała! Gdyby wyrwano mu neseser, znajdujące się w nim papiery mogłyby wpaść w ręce osób niepowołanych. Nie był tak beznadziejnie głupi, nie miał przy sobie listu Heinricha Clausena i co ważniejszych fragmentów genewskiego dokumentu. Żadnych liczb, żadnych źródeł, tylko papier firmowy banku i nazwiska — niezrozumiały prawniczy bełkot dla zwykłego złodziejaszka, ale zupełnie coś innego dla złodzieja specjalnego.

Helden przestrzegała go przed noszeniem i tego, ale nie było wykluczone, że nie znany mu Erich Kessler może go wziąć za szaleńca i zażądać przedstawienia przynajmniej próbek dokumentów potwierdzających jego nieprawdopodobną historię.

Teraz jednak, gdyby rzeczywiście był śledzony, musi zostawić walizeczkę w miejscu, skąd nie będzie jej można ukraść. Tylko gdzie? Na pewno nie w hotelu. W schowku na dworcu kolejowym albo autobusowym? Nie do przyjęcia — do obu łatwo się dostać. Spenetrowanie takich skrytek byłoby dla doświadczonego złodzieja dziecinną igraszką. — Poza tym tych dokumentów potrzebował dla Ericha Kesslera. *Kessler. Lokal. Znamy się z kierownikiem. Niech pan zapyta o mój stolik.*

Lokal na Kurfurstendamm. Po drodze może sprawdzić, czy rzeczywiście jest śledzony. Potem będzie mógł albo tam zostać, albo zostawić tylko swój neseser kierownikowi.

Przepchnął się przez tłumek gapiów, rozglądając się w poszukiwaniu wolnej taksówki. Zerkał przy tym za siebie, czy nikt za nim nie idzie, a zwłaszcza mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Kilkanaście metrów dalej dostrzegł taksówkę. Podbiegł do niej.

Wsiadając odwrócił się zniemacka. Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce siedział na siodełku małego motocykla i odpychając się od ziemi lewą stopą, prowadził go wzdłuż krawężnika. Na jezdni roіło się od innych motocykli lawirujących między samochodami.

Mężczyzna w kurtce zaprzestał naraz popychania swojej maszyny i odwrócił głowę, udając, że rozmawia z kimś stojącym na chodniku. Ta demonstracja była aż nazbyt oczywista; nie widać tam było nikogo, kto nawiązałby z nim konwersację. Noel wsiadł do taksówki i podał kierowcy nazwę i adres lokalu. Ruszyli.

To samo uczynił mężczyzna. Noel obserwował go przez tylną szybę. Podobnie jak człowiek z zielonego fiata w Paryżu, berlińczyk również był ekspertem. Trzymał się o kilka długości samochodu za taksówką, a w nieprzewidzianych momentach gwałtownie skręcał, by upewnić się, czy nadal ma przed sobą obiekt swojej inwigilacji.

Obserwowanie go nie miało sensu. Holcroft rozparł się wygodnie na siedzeniu i podjął próbę obmyślenia swego następnego posunięcia.

*Konfrontacja jest zwykle ostatnią rzeczą, o którą chodzi śledzącemu... Jeśli jednak do niej dąży... musisz być na to przygotowany.*

Czy chce się przekonać? Czy jest przygotowany na taką konfrontację? Odpowiedzi na te pytania nie były łatwe. Nie należał do tych, którzy dążą z rozmysłem do testowania swej odwagi. Ale na pierwszym planie jego wyobraźni widniał obraz Richarda Holcrofta rozgniatanego o ścianę budynku na nowojorskim chodniku.

Strach wyostrzał ostrożność, wściekłość dodawała siły. Jasna była jedna odpowiedź. Pragnął dopaść mężczyznę w czarnej, skórzanej kurtce. I dopadnie go.

## 24

Zapłacił kierowcy i wysiadł z taksówki, dbając o to, by widział go mężczyzna na motocyklu, który zatrzymał się kawałek dalej.

Jak gdyby nigdy nic przeciął chodnik i wszedł do lokalu. Znalazłszy się w środku, przystanął na podeście prowadzących w dół schodków i zlustrował wnętrze: wysokie sufity, poniżej wielka sala konsumpcyjna. Lokal był wypełniony w połowie. W powietrzu unosiły się warstwy papierosowego dymu, a schodami dryfował w górę ostry zapach aromatycznego piwa. Z systemu nagłaśniającego wydobywały się tony bawarskiej *Biermusik*. Pośrodku sali stały rzędy drewnianych stołów. Całe umeblowanie było ciężkie, masywne.

W głębi dostrzegł łoże, o których wspominał mu Kessler. Ciągnęły się wzdłuż tylnej ściany i po bokach: stoły obstawione krzesłami o wysokich oparciach. Przed frontami łoż biegły mosiężne pręty, na których zawieszono czerwone kotary. Każdą łoż można było odseparować od otoczenia poprzez zaciągnięcie kotary w poprzek stołu, ale ktoś siedzący niemal w dowolnej łoży przy odsuniętej kotarze mógł obserwować każdą osobę wchodzącą z ulicy przez drzwi na szczycie schodów.

Holcroft zszedł po stopniach do pulpitu umieszczonego tuż przy schodach i zwrócił się do stojącego za nim potężnego mężczyzny.

— Przepraszam, czy mówi pan po angielsku?

Mężczyzna podniósł wzrok znad leżącej przed nim książki rezerwacji.

— A czy jest w Berlinie restaurator, który nie włada tym językiem?

— To dobrze. — Noel uśmiechnął się. — Szukam kierownika.

— Już go pan znalazł. Czym mogę służyć? Życzy pan sobie stolik?

— Chyba mam już zarezerwowany. Na nazwisko Kessler.

W oczach kierownika pojawił się natychmiast błysk potwierdzenia.

— Ach, tak. Telefonował niecałe piętnaście minut temu. Ale prosił o rezerwację na dziewiątą. Jest dopiero...

— Wiem — przerwał mu Holcroft. — Przyszedłem wcześniej. Widzi pan, chciałem prosić o przysługę. — Uniósł znacząco neseser. — Przyniosłem to dla profesora Kesslera. Trochę historycznych dokumentów wypożyczonych mu przez amerykański uniwersytet, na którym wykładam. Za mniej więcej godzinę mam się spotkać z pewnymi ludźmi i pomyślałem sobie, że może mógłbym to tu zostawić.

— Ależ oczywiście — powiedział kierownik. Wyciągnął rękę po neseser.

— Rozumie pan, zawartość jest bardzo cenna. Nie w kategoriach materialnych, ale z naukowego punktu widzenia.

— Zamknę walizkę w moim biurze.

— Bardzo panu dziękuję.

— *Bitte schon*. Pańskie nazwisko, *sir*?

— Holcroft.

— Dziękuję, *Herr* Holcroft. Pański stolik będzie gotowy o dziewiątej. — Kierownik skłonił głowę, odwrócił się i poniósł neseser w kierunku zamkniętych drzwi pod schodami.

Noel stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, co począć dalej. Od kiedy tu wszedł, nie przybył ani jeden gość. Oznaczało to, że mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce czeka na niego na zewnątrz. Nadszedł czas na zastawienie pułapki, czas na przyparcie tego człowieka do muru.

Wstąpił na schody i nagle uderzyła go myśl, od której zrobiło mu się słabo. Palnął największe głupstwo, jakie można sobie wyobrazić! Przyprowadził śledzącego go mężczyznę w

czarnej, skórzanej kurtce prosto na miejsce, w którym miał nawiązać kontakt z Erichem Kesslerem. I jakby tego było jeszcze mało, podał kierownikowi swoje prawdziwe nazwisko.

*Kessler i Holcroft. Holcroft i Kessler.* Byli ze sobą związani. Zdekonspirował nieznanego do tej pory trzeciego z Genewy! Zdemaskował go tak niezawodnie, jakby podał ogłoszenie do gazety.

Pytanie, czy jest zdolny do zastawienia pułapki, nie było już aktualne. M u s i ją zastawić, chce, czy nie chce. Musi zneutralizować mężczyznę w czarnej, skórzanej kurtce.

Pchnął drzwi i wyszedł na chodnik. Kurfurstendamm była rzęsiście oświetlona. Było chłodno, a księżyc w górze otaczał wianuszek mgiełki. Ruszył w prawo, wciskając ręce w kieszenie dla ochrony przed zimnem. Minał stojący przy krawężniku motocykl i szedł dalej w kierunku narożnika. Przed sobą, jakieś trzy bloki dalej, po lewej stronie Kurfurstendamm, widział zarysy kościoła cesarza Wilhelma; reflektory oświetlały zbombardowaną podczas wojny, celowo nie remontowaną wieżę, mającą przypominać Berlinowi czasy hitlerowskiej Rzeszy. Ta wieża może mu posłużyć za punkt orientacyjny.

Szedł pod ciągnącymi się wzdłuż chodnika drzewami wolniej od większości mijających go przechodniów, zatrzymując się często przed witrynami sklepów. Co jakiś czas zerkał na zegarek w nadziei, że sprawi w ten sposób wrażenie kogoś, dla kogo liczy się każda minuta, kto idzie specjalnie wolno, aby zjawić się w umówionym miejscu dokładnie o umówionej porze.

Znalazłszy się naprzeciwko kościoła cesarza Wilhelma przystanął na chwilę przy krawężniku w blasku ulicznej latarni. Zerknął w lewo. Trzydzieści metrów za nim odwrócony doń plecami mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce śledził z zainteresowaniem ruch uliczny.

A więc idzie za nim; tylko to się liczyło.

Noel ruszył znowu, przyśpieszając teraz kroku. Doszedł do kolejnego narożnika i spojrział na tabliczkę z nazwą ulicy: Schonbergstrasse. Odchodziła pod kątem od Kurfurstendamm, a po obu jej stronach ciągnęły się sklepy. Chodniki sprawiały tu wrażenie bardziej zatłoczonych, a przechodnie mniej się śpieszących niż ci na Kurfurstendamm.

Zaczekał na przerwę w sznurze pojazdów sunących jezdnią i przeszedł na drugą stronę ulicy. Znalazłszy się na chodniku, skręcił w prawo i ustępując z drogi nadchodzącym z przeciwnika, ruszył przed siebie. Trzymał się cały czas blisko krawężnika. Dotarł do przecznicy, przeciął ją i zwolnił kroku. Zatrzymywał się tak samo, jak na Kurfurstendamm, przed sklepowymi wystawami i z rosnącym skupieniem spoglądał na zegarek.

Człowieka w czarnej, skórzanej kurtce dostrzegł dwukrotnie.

Przeciął drugą przecnicę. Nie dalej niż piętnaście metrów od narożnika od głównej ulicy odchodził wąski zaułek — przejście między Schonbergstrasse a ulicą przebiegającą równoległe do niej w odległości jakichś stu metrów. Zaułek był ciemny, upstrzony po obu stronach jeszcze ciemniejszymi cieniami bram. Panujące w nim mrok i ciemność nie wyglądały zachęcająco i najwyraźniej odstraszały przechodniów od korzystania z tej drogi w późnych godzinach wieczornych.

Ale w tej chwili ten nie oświetlony odcinek betonu i cegieł stanowił idealne miejsce do zastawienia pułapki, w którą wciągnie śledzącego go człowieka.

Minąwszy wejście do zaułka, szedł dalej ulicą w kierunku skrzyżowania, przyśpieszając z każdym krokiem. W uszach rozbrzmiewały mu słowa Helden.

*Zachowania amatora nie da się z góry przewidzieć, i to nie dlatego, że jest bystry czy doświadczony, ale dlatego, że nic lepszego nie przychodzi mu do głowy... Rób rzeczy nieoczekiwane spontanicznie, ostentacyjnie, jakbyś stracił głowę...*

Dotarłszy do narożnika zatrzymał się jak wryty pod uliczną latarnią. Rozejrzał się dookoła, obracając się całym ciałem, jakby czymś przestraszony. Jak człowiek niezdecydowany, który ma świadomość, iż musi podjąć decyzję. Spojrzał w kierunku zaułka i nagle zerwał się

do biegu, by — potracając po drodze przechodniów — dopaść go i zniknąć w mroku niczym człowiek ogarnięty paniką.

Biegł, dopóki nie spowiły go niemal zupełne ciemności, dopóki nie znalazł się w miejscu, gdzie cienie nakładały się na cienie, gdzie nie docierał blask światła z obu odległych krańców. Znajdowało się tu jakieś wejście dostawcze zaopatrzone w szerokie, metalowe drzwi. Rzucił się w ich kierunku i wcisnął w kąt, wpierając się plecami w stal i cegłę. Wsunął rękę do kieszeni kurtki i zacisnął palce na rękojeści automatu. Nie zamontował tłumika, nie było to konieczne. I tak nie miał zamiaru strzelać. Planował użyć pistoletu na postrach, a i tego nie był pewien.

Nie czekał długo. Usłyszał tupot nadbiegających stóp i wsłuchując się weń pomyślał, że wróg również docenia zalety butów na gumowej podeszwie.

Mężczyzna przebiegł obok. Potem, jakby wietrząc podstęp, zwolnił i rozejrzał się w mroku. Noel wystąpił z ciemnego kąta, w którym się krył z ręką w kieszeni kurtki.

— Czekałem na ciebie. Zostań tam, gdzie jesteś. — Mówił z napięciem w głosie przerażony własnymi słowami. — Trzymam w ręku pistolet. Nie chcę go używać, chyba że spróbujesz ucieczki.

— Dwa dni temu we Francji nie wahałeś się — odparł spokojnie mężczyzna. — Dlaczego miałbym oczekiwać, że teraz się opanujesz? Ty świnię. Możesz mnie zabić, ale i tak was powstrzymamy.

— Kim jesteście?

— Czy to ważne? Wiedz tylko, że was powstrzymamy.

— Jesteś z *Rache*, tak?

Pomimo panujących ciemności Noel dostrzegł wyraz pogardy malujący się na twarzy mężczyzny.

— Z *Rache*? — wycodził przez zęby. — To terroryści bez żadnych ideałów, rewolucjonisci, których nikt nie chce w swoim obozie. Rzeźnicy. Nie należę do *Rache*!

— A więc do ODESSY.

— Chciałbyś, co?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wykorzystacie ODESSĘ, kiedy przyjdzie na to pora. O tyle rzeczy można ją obwiniać. Tak łatwo możecie zabijać w jej imieniu. Cała ironia tkwi chyba w tym, że unicestwilibyśmy ODESSĘ tak samo chętnie jak wy. Ale nam chodzi o was; odróżniamy jeszcze kłownów od potworów. Powstrzymamy was, wierz mi.

— Pleciesz jak potłuczony! Nie należycie do *Wolfsschanze*? Nie możecie należeć!

Mężczyzna zniżył głos.

— Przecież wszyscy stanowimy część *Wolfsschanze*, czyż nie? W taki czy inny sposób — powiedział z wyzwaniem w oczach. — Jeszcze raz powtarzam. Możesz mnie zabić, ale moje miejsce zajmie ktoś inny. Zabijesz jego, przyjdzie po nim następny. Powstrzymamy was. No, strzelaj, *Herr Clausen*. A właściwie należałoby powiedzieć, synu *Reichsführera* Heinricha Clausena.

— Co ty, u diabła, bredzisz? Nie chcę cię zabijać. Nikogo nie chcę zabijać.

— Zabiłeś we Francji.

— Jeśli zabiłem tego mężczyznę, to tylko dlatego, że on próbował zabić mnie.

— *Aber natürlich, Herr Clausen*.

— Przestań mnie tak nazywać.

— A to dlaczego? Czyż to nie twoje nazwisko?

— Nie! Nazywam się Holcroft.

— Oczywiście — parsknął szyderczo mężczyzna. — Na tym między innymi polegał plan. Szanowany Amerykanin bez wyraźnych powiązań z przeszłością. I jeśli nawet ktoś go zdemaskuje, będzie już za późno.



— Za późno na co? Kim jesteś? Kto cię przysłał?

— Nie wyciśniesz tego ze mnie nawet siłą. Wasz plan nas nie uwzględnił. Holcroft wyjął pistolet z kieszeni i podszedł bliżej.

— Jaki plan? — spytał w nadziei, że dowie się czegoś, czegokolwiek.

— Genewa.

— Co „Genewa”? To miasto w Szwajcarii.

— Wiemy wszystko i koniec z tym. Nie powstrzymacie orłów. Tym razem to się wam nie uda. To my was powstrzymamy!

— Orły? Co za orły? Jacy „my”?

— Nigdy. Naciskaj na spust. Nie powiem ci. Nie wykryjecie nas.

Chociaż zimowe powietrze było chłodne, Noel pocił się. Nic z tego, co powiedział ten wróg, nie miało sensu. Niewykluczone, że popełniony został niewybaczalny błąd. Stojący przed nim człowiek był gotów umrzeć, ale nie wyglądał na fanatyka. Był na to zbyt inteligentny.

— Nie z *Rache*, nie z ODESSY. Na miłość boską, dlaczego chcecie powstrzymać Genewę? *Wolfsschanze* do tego nie dąży, na pewno to wiecie!

— Wasz *Wolfsschanze* jest bez szans! Jedyne my potrafimy wykorzystać tę fortunę do wielkich celów.

— Nieprawda! Jeśli wieszacie się, nic z tego nie będzie. Nigdy nie dostaniecie tych pieniędzy.

— Obaj wiemy, że wcale tak nie musi być.

— Mylisz się! Pójdą z powrotem do ziemi na kolejne trzydzieści lat.

Nieznany wróg wyprostował się w ciemnościach.

— To słaby punkt, prawda? Dobrze to określiłeś: „z powrotem do ziemi”. Ale, jeśli wolno mi wypowiedzieć swoje zdanie, nie będzie wtedy spalonej ziemi.

— Czego nie będzie?

— Spalonej ziemi. — Mężczyzna cofnął się o krok. — Dostyc już się nagadaliśmy. Masz teraz szansę, jeszcze ją masz. Możesz mnie zabić, ale nic ci to nie da. Mamy fotografię. Zaczynamy rozumieć.

— Fotografię? Tę z Portsmouth? Wy?

— Najbardziej poważany komandor *Royal Navy*. Zainterесowało nas, że ją zabrałeś.

— Na miłość boską! K i m jesteście?

— Tymi, którzy występują przeciwko tobie, synu Heinricha Clausena.

— Powiedziałem ci już...

— Wiem — syknął Niemiec. — Nie powinienem tego mówić. I nic już nie powiem. Odwróć się i odejdę tym zaułkiem. Strzelaj, jeśli musisz. Jestem przygotowany. Wszyscy jesteśmy gotowi.

Mężczyzna odwrócił się powoli i zaczął iść. Tego było już dla Noela za wiele.

— Stój! — wrzasnął rzucając się w pogoń za Niemcem. Chwycił go lewą ręką za ramię. Mężczyzna obrócił się na pięcie.

— Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

— Właśnie że mamy! Jeśli trzeba będzie, zostaniemy tu przez całą noc! Powiesz mi, kim jesteś, skąd i co, u diabła, wiesz o Genewie i Beaumencie, i...

Tyle tylko udało mu się z siebie wyrzucić. Ręka mężczyzny wystrzeliła w górę, a palce zacisnęły się na przegubie Noela, wykręcając go do wewnątrz i ku dołowi, gdy tymczasem prawe kolano nieznajomego wylądowało w kroczu Holcrofta. Noel zgiął się z bólu, ale nie wypuścił z ręki pistoletu. Rąbnął napastnika łokciem w brzuch, usiłując odrzucić go od siebie. Ból w jądrach rozprzestrzenił się do żołądka i klatki piersiowej. Mężczyzna wyprowadził cios pięścią, trafiając Noela w podstawę czaszki; po żebrach i wzdłuż kręgosłupa rozeszły się fale wstrząsu. Ale nie wypuścił pistoletu! Ten człowiek nie może wejść w jego posiadanie!

Noel ścisnął rękojeść broni, jakby była to ostatnia stalowa klamra szalupy ratunkowej. Mobilizując wszystkie siły, jakie jeszcze pozostały mu w nogach, szarpnął się w bok niczym pchnięty sprężyną i wyrwał dłoń z automatem z uścisku mężczyzny.

Huknął strzał; zadudnił echem w zaułku. Mężczyzna opuścił rękę i zatoczył się w tył, chwytając za ramię. Został raniony, ale nie upadł. Oparł się tylko o ścianę i wysapał, z trudem chwytając oddech:

— Powstrzymamy was. Mamy na to sposób. Genewa będzie nasza!

Z tymi słowami powlókł się zaułkiem czepiając ścian, by zachować równowagę. Holcroft odwrócił się: u wylotu zaułka, od strony Schonbergstrasse, tworzyło się zbiegowisko. Usłyszał policyjne gwizdki i ujrzał błyskające snopy światła. Nadciągała berlińska policja.

Był w potrzasku.

Ale nie może dać się złapać. Czekają na niego Kessler, czeka Genewa. Nie może się dać teraz aresztować!

Przypomniały mu się słowa Helden: *Łgaj głosem pełnym oburzenia... z pewnością siebie... obmyślaj własne warianty.*

Wsunął pistolet do kieszeni i ruszył w kierunku zbliżających się wolno latarek i trzymających je dwóch umundurowanych ludzi.

— Jestem Amerykaninem — wrzasnął drżącym z przerażenia głosem. — Czy ktoś tu mówi po angielsku?

— Ja! — odkrzyknął jakiś mężczyzna z tłumu. — Co się stało?

— Szedłem tędy i ktoś usiłował mnie obrabować! Miał pistolet, ale nie wiedziałem o tym! Odepchnąłem go i wtedy broń wypaliła...

Berlińczyk przetłumaczył to szybko policjantom.

— Gdzie uciekł? — spytał po chwili mężczyzna.

— Wydaje mi się, że wciąż gdzieś tu jest. W którejś z bram. Muszę usiąść...

Berlińczyk dotknął ramienia Holcrofta.

— Niech pan idzie ze mną. — Utorował Noelowi drogę przez tłum na chodnik.

Policjant krzyknął coś w ciemną alejkę. Nie było odpowiedzi; nieznanemu wrogowi udało się zbiec. Umundurowani ludzie posuwali się ostrożnie coraz dalej w głąb zaułka.

— Bardzo panu dziękuję — powiedział Noel. — Muszę tylko odetchnąć trochę świeżym powietrzem, ochłoniąć, no wie pan, o co chodzi?

— *Ja.* To straszne przeżycie.

— Chyba go mają. — Noel wyprostował się nagle, spoglądając w kierunku policjantów i zbiegowiska.

Berlińczyk odwrócił się; Noel zszedł z krawężnika na jezdnię i ruszył przed siebie, wolno z początku, dopóki nie znalazł luki w sznurze przejeżdżających pojazdów. Wtedy przeciął ulicę i postawiwszy nogę na chodniku po drugiej stronie, odwrócił się i puścił biegiem w kierunku Kurfurstendamm tak szybko, jak na to pozwalały tłumy przechodniów.

„Udało się” — myślał Holcroft siedząc bez płaszcza i kapelusza, cały rozdygotany, na opuszczonej ławce, z której widać było kościół cesarza Wilhelma. Przyswoił sobie jednak materiał z lekcji i wykorzystał go teraz w praktyce, obmyślił własny wariant i wymknął się z pułapki, którą zastawił na kogoś innego i w którą sam omal nie wpadł. Oprócz tego zneutralizował mężczyznę w czarnej, skórzanej kurtce. Ten człowiek wypadnie z obiegu, choćby tylko na czas poszukiwania lekarza.

A co najważniejsze, przekonał się, że Helden była w błędzie. I że nieżyjący Manfredi — chociaż nie wymienił żadnych nazw — też się mylił. To nie członkowie ODESSY czy *Rache* byli najpotężniejszymi wrogami Genewy. Największe zagrożenie stanowiła inna grupa, grupa nieskończenie lepiej poinformowana i bardziej zdeterminowana. Zagadkowa organiza-

cja zdecydowanych na wszystko ludzi, którzy bez wahania, z inteligencją w oczach i sensowną argumentacją oddawali życie.

Rywalkami w wyścigu do Genewy były trzy potężne, pragnące zerwania paktu siły, z których jedna zdecydowanie przewyższała geniuszem pozostałe dwie. Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce wyrażał się o ODESSIE i *Rache* z tak niekłamany lekceważeniem, że nie można było tego uznać za pozę pokrywającą zawiść czy strach. Nazywał ich z pogardą niekompetentnymi rzeźnikami i kłownami, z którymi nie chce mieć nic do czynienia. Bo sam stanowił część czegoś innego, czegoś o wiele poważniejszego.

Holcroft spojrzął na zegarek. Siedział już na zimnie blisko godzinę; tępe pulsowanie w kroczu nie ustępowało, a podstawa czaszki drętwiała z bólu. Sukienną kurtkę i czapkę z daszkiem upchnął do kubła na śmieci kilka przecznic dalej. Były zbyt charakterystyczne, a nie wiadomo, czy nie szuka go berlińska policja.

Czas iść. Wokół ani śladu policji czy kogokolwiek, kto by się nim interesował. Zimne powietrze nie złagodziło bólu, ale pomogło zebrać myśli, a bez tego nie ważył się ruszyć. Teraz mógł już iść. Musiał iść. Dochodziła dziewiąta. Zbliżała się pora umówionego spotkania z Erichem Kesslerem, trzecim kluczem do Genewy.

Lokal, tak jak się tego spodziewał, był teraz wypełniony do ostatniego miejsca. Warstwy dymu były gęstsze, a bawarska muzyka głośniejsza. Kierownik powitał go uprzejmie, ale jego oczy zdradzały, co sobie pomyślał: w ciągu ostatniej godziny temu Amerykaninowi coś się przytrafiło. Noel poczuł się nieswojo; przeszło mu przez myśl, że może jest podrapany albo brudny na twarzy.

— Chciałbym się umyć. Przewróciłem się nieszczęśliwie.

— Ależ proszę bardzo, *sir*. Tam, *sir*. — Kierownik wskazał mu męską toaletę. — Profesor Kessler już jest. Czeka na pana. Przekazałem mu pańską walizeczkę.

— Jeszcze raz dziękuję — powiedział Holcroft odwracając się ku drzwiom łazienki.

Obejrzał twarz w lustrze. Nie było na niej żadnych otarć, brudu czy krwi. Ale w oczach malowało się coś nienaturalnego. Zdradzały ból, szok i wyczerpanie. A także strach. Tego właśnie dopatrzył się kierownik.

Przemył twarz, przyczesał włosy, nie potrafił jednak pozbyć się wyrazu swoich oczu. Wrócił do kierownika, który poprowadził go do łoży najbardziej oddalonej od gwarne centrum sali. Czerwona kotara przed stołern była zaciągnięta.

— *Herr Professor?*

Kotara rozsunęła się ukazując korpulentnego mężczyznę w wieku około czterdziestu pięciu lat, o pełnej twarzy okolonej krótko przystrzyżoną brodą i gęstych, kasztanowych włosach zaczesanych gładko do tyłu. Była to łagodna twarz z żywymi, głęboko osadzonymi oczami zabarwionymi wyczekiwaniem, nawet humorem.

— Pan Holcroft?

— Doktor Kessler?

— Proszę siadać, proszę siadać. — Kessler wyciągnął rękę i przez chwilę próbował podnieść się z miejsca, ale udaremnił mu to kontakt brzucha ze stołem. Roześmiał się i spojrzął na kierownika lokalu. — W przyszłym tygodniu! *Ja, Rudi?* To ta nasza dieta!

— *Ach, natürlich, Professor.*

— To mój nowy przyjaciel z Ameryki, pan Holcroft.

— Wiem, już się poznaliśmy.

— Ach, rzeczywiście. Dałeś mi jego walizeczkę. — Kessler poklepał neseser Noela leżący na krześle obok. — Ja piję szkocką. Pan to samo, panie Holcroft?

— Może być szkocka. Z lodem.

Kierownik skłonił się i oddalił. Noel zajął miejsce. Kessler wydzielał jakiś rodzaj rozleniwionego ciepła. Był to wyraz tolerancji przejawianej przez intelekt ciągle wystawiony na obcowanie z pośledniejszymi umysłami, ale zbyt skromny, by uciekać się do porównań. Holcroft znał kilku podobnych ludzi. Byli wśród nich najznakomitsi nauczyciele. Dobrze się czuł w towarzystwie Ericha Kesslera; niezły początek.

— Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać. Mam panu wiele do powiedzenia.

— Niech pan najpierw złapie oddech — powiedział Kessler. — Napije się. Ochłonie.

— Co?

— Miał pan jakieś trudne przejścia. Ma pan to wypisane na twarzy.

— Aż tak to widać?

— Powiedziałbym, że jest pan lekko zamroczony, panie Holcroft.

— Proszę mi mówić Noel. Powinniśmy się poznać.

— Z wielką przyjemnością. Mam na imię Erich. Chłodno dzisiaj wieczorem na ulicy. Za zimno na chodzenie bez płaszcza. Ale ty, jak widzę, przyszedłeś bez niego. Szatni tu nie ma.

— Miałem płaszcz. Musiałem się go pozbyć. Zaraz to wyjaśnię.

— Nie musisz.

— Przykro mi, ale muszę. Wolałbym tego nie robić, ale to ma związek z historią, którą chcę ci opowiedzieć.

— Rozumiem. O, jest twoja szkocka.

Kelner postawił przed Holcrofem szklaneczkę, wycofał się i zasunął za sobą czerwoną kotarę.

— Jak powiedziałem, ma to związek z moją historią. — Noel pociągnął łyk alkoholu.

— Nie śpiesz się. Mamy czas.

— Powiedziałeś, że masz w domu gości.

— Gościa. Przyjaciela mego brata z Monachium. Cudowny facet, ale gaduła. Cecha nie znana wśród doktorów. Wybawiłeś mnie na dzisiejszy wieczór.

— Czy żona nie będzie się boczyć?

— Nie jestem żonaty. Byłem, ale obawiam się, że dzieląc wraz ze mną uniwersyteckie życie, moja była małżonka czuła się jak w klatce.

— Przykro mi.

— Jej nie. Wyszła za akrobatę. Wyobrażasz sobie? Z akademickich gajów na podniebne wyżyny bujających się trapezów. Nadal jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. .

— Odnoszę wrażenie, że trudno byłoby nie żyć z tobą na przyjacielskiej stopie.

— Och, w salach wykładowych przeistaczam się w terrorystę. Istnego lwa.

— Który ryczy, ale nie może się zdecydować na ugryzienie — powiedział Noel.

— Przepraszam, nie zrozumiałem.

— Nie, nic. Przypomniała mi się rozmowa, którą odbyłem z kimś zeszłej nocy.

— Lepiej się już czujesz?

— To zabawne.

— Co takiego?

— To, co mówiłem zeszłej nocy.

— Temu komuś? — Kessler znowu się uśmiechnął. — Twarz ci się trochę rozluźniła.

— Jak się jeszcze trochę rozluźni, będzie ją można rozpostrzeć na stole.

— Może coś zjesz?

— Nie w tej chwili. Chciałbym zacząć. Mam ci wiele do powiedzenia, a ty będziesz miał dużo pytań.

— A więc zamieniam się w słuch. Ach, zapomniałem. Twoja walizeczka.

Niemiec sięgnął po neseser i położył go na blacie stołu. Holcroft odpiął zatrzaski, ale nie podniósł wieka.

— Znajdują się tu dokumenty, które na pewno będziesz chciał przestudiować. Nie są kompletne, ale posłużą do potwierdzenia tego, co ode mnie usłyszysz.

— Potwierdzenia? Czy to, co — jak utrzymujesz — musisz mi powiedzieć, jest tak trudne do zaakceptowania?

— Może być — przyznał Noel. Żał mu było tego dobrodusznego naukowca. Za chwilę zawali się spokojny świat, w którym dotąd żył. — Ta historia może zburzyć twoje dotychczasowe życie, tak jak zburzyła moje. Nie sądzę, aby dało się tego uniknąć. Przynajmniej mnie się to nie udało, bo nie potrafiłem przejść obok tego obojętnie. Częściowo powodował mną egoizm. Wchodzi tu w grę duża suma pieniędzy, która przypadnie mi w udziale — podobnie zresztą jak i tobie. Istnieją jednak i inne czynniki, o wiele ważniejsze niż moja czy twoja osoba. Wiem, że to prawda, bo gdyby tak nie było, dawno już bym się wycofał. Ale nie cofnę się. Zamierzam zrobić to, o co mnie poproszono, gdyż uważam to za słuszne. I dlatego, że nienawidzę ludzi, którzy usiłują mnie powstrzymać. Zabili człowieka, którego bardzo kochałem. Próbowali też zabić inną taką osobę... — Holcroft urwał nagle. Nie zamierzał posuwać się w zwierzeniach tak daleko. Powracały wspólnie strach i wściekłość. Stracił nad sobą panowa-

nie; za dużo mówi. — Przepraszam. Mógłbym tu wtrącić całą litanię osobistych refleksji, które nie mają związku ze sprawą. Nie miałem zamiaru cię straszyć.

Kessler położył dłoń na ramieniu Holcrofta.

— Nie ma obawy, że mnie przestraszysz. Jesteś zdenerwowany i wyczerpany, przyjacielu. Od razu widać, że miałeś straszne przeżycia.

Holcroft upił kilka łyków whisky, próbując zagłuszyć ból w kroczu i w karku.

— Nie zaprzeczę. Miałem. Ale nie od tego chciałem zacząć. Niezbyt zręcznie to wyszło.

Kessler zabrał dłoń z ramienia Noela.

— Pozwól, że coś powiem. Znam cię niespełna pięć minut i nie sądzę, by kwestia zręczności była tu istotna. Jesteś najwyraźniej człowiekiem bardzo inteligentnym, bardzo prawym i znajdujesz się pod wpływem wielkiego stresu. Dlaczego nie zaczniesz po prostu od początku, nie przejmując się tym, jak to na mnie wpłynie?

— Okay. — Holcroft położył łokcie na stole i objął dłońmi szklaneczkę whisky. — Zacznę od pytania: czy słyszałeś kiedykolwiek nazwiska von Tiebolt i... Clausen.

Kessler przypatrywał się przez chwilę Noelowi.

— Tak — odezwał się w końcu. — To nazwiska sprzed wielu lat — z lat mojego dzieciństwa, ale słyszałem je, oczywiście. Clausen i von Tiebolt. Byli przyjaciółmi mojego ojca. Miałem wówczas dziesięć czy jedenaście lat. Jeśli sobie dobrze przypominam, pod koniec wojny byli częstymi gośćmi w naszym domu. Pamiętam Clausena, przynajmniej tak mi się wydaje. Był wysokim mężczyzną o istic magnetycznej osobowości.

— Opowiedz mi o nim.

— Niewiele sobie przypominam.

— Ile pamiętasz, proszę cię.

— Nie wiem, czy potrafię. Clausen bez najmniejszego wysiłku podporządkowywał sobie rozmówców. Kiedy mówił, wszyscy słuchali. Nie przypominam sobie jednak, żeby podnosił głos. Sprawiał wrażenie człowieka dobrze ułożonego, liczącego się z innymi, ale o bardzo silnej woli. Robił na mnie wtedy wrażenie — i pamiętam to, chociaż był to osąd dziecka — że żyje w wielkim cierpieniu.

*Krzyczał do niego człowiek cierpiący.*

— W jakiego rodzaju cierpieniu?

— Nie mam pojęcia. To było tylko dziecięce odczucie. Żeby zrozumieć, musiałbyś zobaczyć jego oczy. Obojętne, na kogo patrzył, młodego czy starego, ważnego czy nie, poświęcał tej osobie całą uwagę. Pamiętam. Nie była to w owych czasach powszechnie spotykana cecha. W pewnym sensie zapamiętałem Clausena lepiej niż własnego ojca i na pewno lepiej niż von Tiebolta. Z jakiego powodu się nim interesujesz?

— Był moim ojcem.

Usta Kesslera rozwarły się w wyrazie zaskoczenia.

— Ty? — wyszeptał. — Ty jesteś synem Clausena?

Noel skinął głową.

— Był moim naturalnym ojcem, ale nie tym ojcem, którego znałem.

— A więc twoją matką była... — Kessler urwał.

— Althene Clausen. Czy słyszałeś kiedyś, żeby ktoś o niej wspominał?

— Nigdy z imienia i nigdy w obecności Clausena. Nigdy. Szeptano coś o niej po kątach. O kobiecie, która porzuciła wielkiego człowieka, o amerykańskim wrogu, który czmychnął z ojczyzny z ich... Z tobą! To ty byłeś tym niemowlęciem, które mu zabrała!

— Zabrała ze sobą, żeby nie było z nim, tak to określa.

— To jeszcze żyje?

— I ma się dobrze.

— Jakie to wszystko niewiarygodne. — Kessler potrząsnął głową. — Tyle lat minęło, a ja

tak wyraźnie pamiętam tego człowieka. Był nadzwyczajny.

— Oni wszyscy byli nadzwyczajni.

— Kto?

— Cała trójka: Clausen, von Tiebolt i Kessler. Powiedz mi, czy wiesz, jak umarł twój ojciec?

— Odebrał sobie życie. Nie należało to do rzadkości. Wielu ludzi tak robiło w obliczu walącej się Rzeszy. Dla wielu z nich było to łatwiejsze.

— Dla niektórych nie było innego wyjścia.

— Norymberga?

— Nie, chodziło o Genewę. O ochronę Genewy.

— Nie rozumiem cię.

— Zrozumiesz. — Holcroft otworzył neseser, wyjął z niego spięte ze sobą stronicie i podał je Kesslerowi. — Pewien bank w Genewie prowadzi konto, które może zostać odblokowane i spożytkowane na ściśle określone cele za zgodą trzech osób.

Noel po raz trzeci opowiedział historię potężnej defraudacji sprzed trzydziestu lat. Ale Kesslerowi zrelacjonował ją w całości. Nie zataił poszczególnych faktów, jak to czynił w przypadku Gretchen, ani nie opowiadał jej fragmentami, jak w przypadku Helden. Nie opuścił niczego.

— ...przechwytywano pieniądze płynące z okupowanych krajów, pochodzące ze sprzedaży dzieł sztuki i grabieży muzeów. Dublowano listy płac dla Wehrmachtu, podkradano miliony ministerstwu uzbrojenia i — nie przypominam sobie w tej chwili nazwy, jest w liście — z pewnego kompleksu przemysłowego. Wszystko lokowano na koncie w Szwajcarii, konkretnie w Genewie, za pośrednictwem człowieka o nazwisku Manfredi.

— Manfredi? Pamiętam to nazwisko.

— Nic dziwnego — powiedział Holcroft. — Chociaż nie chce mi się wierzyć, by zbyt często je wymieniano. Gdzie je słyszałeś?

— Nie wiem. Chyba po wojnie.

— Od swojej matki?

— Raczej nie. Zmarła w lipcu czterdziestego piątego i przeważnie leżała w szpitalu. Od kogoś innego... nie, nie wiem.

— Gdzie mieszkaliście po śmierci rodziców?

— Przenieśliśmy się z bratem do wuja, brata matki. Mieliśmy szczęście. Był starszym człowiekiem i nigdy nie zadawał się zbyt z nazistami. Władze okupacyjne były mu życzliwe. Ale kontynuuj, proszę.

Noel podjął swoją opowieść. Zrelacjonował szczegółowo warunki stawiane przez dyrektorów La Grande Banque de Geneve, które skłoniły go do odrzucenia kandydatury Gretchen Beaumont. Opowiedział Kesslerowi o tajemniczych okolicznościach wjazdu von Tieboltów do Rio, o przyjeździe na świat Helden, o zamordowaniu ich matki i wreszcie o ucieczce z Brazylii.

— Przyjęli nazwisko Tennyson i od pięciu lat mieszkają w Anglii. Johann von Tiebolt występuje teraz pod nazwiskiem John Tennyson. Jest reporterem i współpracuje z gazetą *Guardian*. Gretchen wyszła za mąż za człowieka o nazwisku Beaumont, a Helden przeniosła się przed kilkoma miesiącami do Paryża. Nie widziałem się jeszcze z ich bratem, ale... zaprzyjaźniłem się z Helden. To nadzwyczajna dziewczyna.

— Czy to ona jest tym „kimś”, z kim spędziłeś wczorajszą noc?

— Tak — przyznał Holcroft. — Muszę ci o niej opowiedzieć, o tym, co przeszła i co teraz przechodzi. Ona i tysiące podobnych do niej są częścią mojej historii.

— Chyba coś o tym wiem — mruknął Kessler. — *Die Verwunschte Kinder*.

— Co?

— *Verwunschte Kinder*. *Verwunschung* to po niemiecku klątwa. Albo ktoś potępiony.

— Dzieci Potępionego — powiedział Noel. — Użyła tego określenia.  
— Sami tak się nazwali. Tysiące młodych ludzi — teraz już nie tak młodych — które uciekły z kraju, bo doszły do wniosku, że nie mogą żyć z brzemieniem nazistowskich Niemiec. Odrzucili wszystko, co niemieckie, szukali nowych tożsamości, nowych stylów życia. Przypominali owe hordy młodych Amerykanów, którzy porzucili Stany Zjednoczone dla Kanady i Szwecji w proteście przeciw polityce wobec Wietnamu. Te grupy tworzą własne subkultury, ale żadna nie jest w stanie odciąć się całkowicie od swych korzeni. Są Niemcami, są Amerykanami. Migrują stadami i trzymają się ich kurczowo, czerpiąc siłę z tej właśnie przeszłości, której się wyparli. Poczucie winy to ciężkie brzemie. Potrafisz to zrozumieć?

— Nie bardzo — przyznał Holcroft. — No, ale ja nie jestem z tej samej gliny. Nie zamierzam brać na siebie cudzych win.

Kessler spojrzał Noelowi w oczy.

— Podejrzewam, że będziesz musiał. Mówisz, że nie odżegnasz się od swojego paktu, a przecież doświadczyłeś z jego powodu okropnych rzeczy.

Holcroft zastanowił się nad słowami naukowca.

— W tym może być trochę prawdy, ale okoliczności są inne. Ja niczego nie odrzuciłem. Wydaje mi się, że zostałem wybrany.

— I myślisz, że nie zaliczasz się do potępionych — powiedział Kessler — a do wybranych?

— W każdym razie do uprzywilejowanych.

Naukowiec pokiwał głową.

— Można to i tak nazwać. Może słyszałeś o *Sonnenkinder*?

— *Sonnenkinder*? — Noel zmarszczył z namysłem brwi. — O ile dobrze pamiętam, jest to jedno z tych zaklęć, na których nie bardzo się wyznaję. Chyba coś związanego z antropologią.

— Albo z filozofią — podpowiedział Kessler. — To pojęcie filozoficzne wprowadzone w latach dwudziestych naszego wieku w Anglii przez Thomasa J. Perry'ego, a przed nim przez Bachofena w Szwajcarii i jego uczniów w Monachium. Teoria głosi, że *Sonnenkinder* — Dzieci Słońca — są wśród nas od wieków. To one kształtują historię, są najgenialniejszymi z nas, są władcami epok... uprzywilejowanymi.

Holcroft pokiwał głową.

— Teraz sobie przypominam. Przywileje doprowadziły je do upadku. Zdegenerowały się czy coś takiego. Chyba zaczęły uprawiać kazirodztwo.

— To tylko teoria — powiedział Kessler. — Znowu odbiegliśmy od tematu. Dobrze się z tobą gawędzi. Mówiłeś o córce von Tiebolta, która ma teraz ciężkie życie.

— Wszystkim im niełatwo. Ciężkie to mało powiedziane. Ich życie to obłąd. Cały czas uciekają. Muszą żyć jak zbiegowie.

— Stanowią łatwy łup dla fanatyków — przytaknął Erich.

— W rodzaju ODESSY i *Rache*?

— Tak. Takie organizacje nie mogą skutecznie funkcjonować na terytorium samych Niemiec. Nie są tu tolerowane. Prowadzą więc swą działalność w innych krajach, tam gdzie znaleźli schronienie emigranci z wyboru w rodzaju *Verwunschkinden*. Chcą jedynie utrzymać się przy życiu i zachować żywotność, oczekując na szansę powrotu do Niemiec.

— Powrotu?

Kessler uniósł rękę.

— Dobry Boże, nigdy tu nie wrócą, ale oni nie potrafią się z tym pogodzić. *Rache* zwróciła się kiedyś do rządu w Bonn z propozycją zostania zbrojnym ramieniem *Kominternu*, ale nawet Moskwa odrzuciła ten pomysł. Nie różnią się już wiele od zwykłych terrorystów. ODESSA zawsze dążyła do reaktywowania nazizmu. W Niemczech nikt nie bierze ich poważnie.



— Mimo wszystko nadal tropią dzieci — zauważył Noel. — Helden użyła określenia „potepione za to, czym były i za to, czym nie były”.

— Trafna charakterystyka.

— Należałoby ich powstrzymać. Część tych pieniędzy z Genewy powinno się użyć na ukrócenie działalności ODESSY i *Rache*.

— Nie powiem, że się z tobą nie zgadzam.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Holcroft. — Ale wróćmy do Genewy.

— Otóż to.

Noel zreferował cele paktu i zdefiniował warunki, jakie muszą spełniać spadkobiercy. Przyszła pora na opowieść o j e g o przygodach.

Zaczął od morderstwa w samolocie, niesamowitych wypadków w Nowym Jorku, prze-meblowanego mieszkania, listu od ludzi *Wolfsschanze*, telefonu od Petera Baldwina i późniejszych zabójstw, jakie ta rozmowa za sobą pociągnęła. Mówił o locie do Rio i o mężczyźnie z krzaczastymi brwiami: Anthonym Beaumencie, agencie ODESSY. Opowiedział o spreparowanych rejestrach departamentu imigracji w Rio i o dziwnym spotkaniu z Maurice'em Graffem. Położył nacisk na ingerencję MI 5 w Londynie i zaskakujące oświadczenie, iż wywiad brytyjski uważa Johanna von Tiebolta za płatnego zabójcę znanego pod pseudonimem Tinamou.

— Tinamou? — wtrącił oszołomiony Kessler z poczerwieniałą twarzą.

Po raz pierwszy przerywał narrację Holcrofta.

— Tak. Wiesz coś o nim?

— Tylko to, co wyczytałem.

— O ile dobrze zrozumiałem, niektórzy obarczają go odpowiedzialnością za kilkanaście zabójstw.

— I Brytyjczycy uważają, że jest nim Johann von Tiebolt?

— Są w błędzie — powiedział Noel. — Jestem pewien, że już to odkryli. Wczoraj po południu wydarzyło się coś, co potwierdza ich pomyłkę. Zrozumiesz, kiedy do tego dojdę.

— Mów dalej.

Wspomniał pokrótce o wieczorze z Gretchen i o fotografii Anthony'ego Beaumonta. Przeszedł do Helden i *Herr Obersta*, potem napomknął o śmierci Richarda Holcrofta. Streścił rozmowy telefoniczne z detektywem z Nowego Jorku Milesem, jak również ze swoją matką.

Powiedział o zielonym fiacie, który jechał za nimi do Barbizon, i o mężczyźnie z bli-znami po ospie na twarzy.

Potem przyszła kolej na opisanie szaleństwa *fete d'hiver*. Opowiedział o próbie zasta-wienia pułapki na mężczyznę z zielonego fiata i o tym, jak ledwie udało mu się ująć z życiem.

— Powiedziałem ci przed kilkoma minutami, że Brytyjczycy myślą się co do Tennysona — ciągnął Noel. — Tennysona? Ach tak, to nazwisko, które przybrał von Tiebolt.

— Zgadza się. MI 5 było przekonane, że wszystko, co wydarzyło się w Montereau, włącznie ze śledzącym nas człowiekiem o ospowatej twarzy, jest robotą Tinamou. Ale ten człowiek został zabity, a pracował dla von Tiebolta. Oni wiedzieli o tym. Nawet Helden to potwierdziła.

— A Tinamou — wpadł mu w słowo Kessler — nie zabiłby przecież swojego człowieka.

— Właśnie.

— A zatem agent przekaze swoim przełożonym...

— Nic nie przekaze — nie dał mu skończyć Noel. — Został zastrzelony, ratując Helden życie. Ale Brytyjczycy przeprowadzą identyfikację i sami do tego dojdą.

— Ale czy Brytyjczycy odnajdą tego agenta, który zginął?

— Na pewno. Wszędzie kręciła się policja. Znajdą jego ciało i zawiadomią ich.

— Czy mogą go skojarzyć z tobą?

— To niewykluczone. Biliśmy się na rynku. Ludzie będą pamiętali. Ale, jak to ujęła Hel-

den, nie my śledziliśmy, tylko nas śledzono. Niby dlaczego mielibyśmy coś wiedzieć.

— Mówisz to bez przekonania.

— Zanim agent zmarł, zdecydowałem się wymierne przy nim nazwisko Baldwina w nadziei, że się czegoś dowiem. Zareagował tak, jakbym mu pod samym nosem wypalił z pistoletu. Błagał mnie i Helden, żebyśmy się skontaktowali z człowiekiem o nazwisku Payton-Jones. Mieliśmy mu opisać wszystkie wydarzenia, powiedzieć, żeby ustalił sprawcę napadu na nas i zabójcę człowieka von Tiebolta oraz, co najważniejsze, przekazać MI 5 jego przyznanie, że wszystko to ma związek z Peterem Baldwinem.

— Z Baldwinem? Czy nie powiedziałaś, że on był z MI 6?

— Tak. Zwrócił się do nich jakiś czas temu z informacjami o ocalałych z *Wolfsschanze*.

— Z *Wolfsschanze*? — powtórzył cicho Kessler. — W Genewie Manfredi wręczył ci list napisany przed ponad trzydziestu laty.

— Zgadza się. Agent powiedział, że mamy przekazać Pytonowi Jonesowi, aby wrócił do akt Baldwina. Do kryptonimu *Wolfsschanze*. Tak się wyraził.

— Czy rozmawiając z tobą przez telefon w Nowym Jorku Baldwin wspomniał coś o *Wolfsschanze*? — spytał Kessler.

— Nic. Powiedział tylko, że powinienem trzymać się z dala od Genewy; że wie o rzeczach, o których nikt inny nie ma pojęcia. Potem odszedł na chwilę, bo ktoś pukał do drzwi, i więcej już nie wrócił.

Oczy Kesslera były teraz chłodniejsze.

— A więc Baldwin dowiedział się o Genewie i zaangażowaniu się w nią *Wolfsschanze*.

— Ile się dowiedział, nie wiemy. Mogło być tego niewiele, jakieś pogłoski.

— Ale te pogłoski wystarczają, by powstrzymać cię przed zgłoszeniem się do MI 5. Nawet korzyści, jakie odniósłbyś z ostrzeżenia ich, że Beaumont jest agentem ODESSY, stanowiłyby zbyt wielką cenę. Brytyjczycy poddali cię i dziewczynę dociekliwym przesłuchaniom; istnieją tysiące sposobów, są eksperci. W ich trakcie mogłoby wypłynąć nazwisko Baldwina i zainteresowałoby się ponownie jego aktami. Nie możesz tego ryzykować.

— Doszedłem do tego samego wniosku — powiedział Holcroft z podziwem w głosie.

— Być może jest inny sposób na to, by Beaumont się od ciebie odczepił.

— Jaki?

— ODESSA jest tutaj, w Niemczech, znenawidzona. Słowo szepnięte odpowiednim osobom mogłoby doprowadzić do usunięcia go ze sceny. Nie musiałbyś kontaktować się osobiście z Brytyjczykami, ryzykować wyciągnięcia na światło dzienne nazwiska Baldwina.

— Można by to jakoś zorganizować?

— Bez trudu. Jeśli Beaumont rzeczywiście jest agentem ODESSY, wystarczyłaby krótka notka od rządu w Bonn do ministerstwa spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Znam mnóstwo ludzi, którzy mogliby coś takiego wysłać.

Na Holcrofta spłynęło odprężenie. Usunięta została jeszcze jedna przeszkoda.

— Jak to dobrze, że się spotkaliśmy... że ty to ty, a nie ktoś inny.

— Nie bądź pochopny w swoich sądach. Chcesz usłyszeć moją odpowiedź. Czy przyłączyć się do was? Szczerze mówiąc...

— Nie wymagam od ciebie natychmiastowej odpowiedzi — nie dał mu skończyć Noel. — Grałeś ze mną w otwarte karty i muszę ci się odwzajemnić tym samym. Jeszcze nie skończyłem. Pozostał dzisiejszy wieczór.

— Dzisiejszy wieczór? — spytał niecierpliwie Kessler tracąc wątek.

— Tak. A ściślej, ostatnie dwie godziny.

— Co się stało... dzisiaj wieczorem?

Noel pochylił się ku niemu.

— Wiemy o *Rache* i o ODESSIE. Nie jesteśmy pewni, ile wiedzą o Genewie, ale cholernie dobrze się orientujemy, co zrobiliby, gdyby wiedzieli wystarczająco wiele. Wiemy o

ludziach *Wolfsschanze*. Kimkolwiek są, to pomyłczy — nie lepsi od innych — ale na swój pogmatwany sposób stoją po naszej stronie; pragną sukcesu Genewy. Jest jednak ktoś jeszcze. Ktoś — coś — o wiele potężniejszego od pozostałych. Odkryłem to dzisiaj wieczora.

— O czym ty mówisz? — ton głosu Kesslera nie uległ zmianie.

— Od chwili opuszczenia hotelu śledził mnie jakiś człowiek. Jechał na motocyklu za moją taksówką przez cały Berlin.

— Człowiek na motocyklu?

— Tak. A ja, jak ostatni dureń, przyprowadziłem go tutaj. Uświadomiłem sobie poniewczasie własną głupotę i doszedłem do wniosku, że muszę się go jakoś pozbyć. Udało mi się, chociaż nie przyszło mi nawet do głowy, że odbędzie się to w taki sposób! Nie był z *Rache* ani z ODESSY. Nienawidził i jednych, i drugich, nazwał ich rzeźnikami i kłownami...

— Nazwał ich... — Kessler milczał przez chwilę. Potem podjął, odzyskując spokój, który na moment go opuścił. — Opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło. Powtórz wszystko, co powiedział.

— Przychodzi ci coś do głowy?

— Nie... Zupełnie nic. Jestem tylko ciekaw. No, mów.

Holcroft nie miał trudności z odtworzeniem całego zajścia. Pościg, pułapka, wymiana zdań, strzał. Kiedy skończył, Kessler poprosił go o powtórzenie rozmowy, którą prowadził z mężczyzną w czarnej, skórzanej kurtce. Potem poprosił o to samo jeszcze raz. I jeszcze.

— Kim on był? — Holcroft orientował się, że myśli Kesslera wyprzedzają jego. — Kim oni są?!

— Istnieje kilka możliwości — powiedział Niemiec — ale, oczywiście, to naziści. Ściślej mówiąc, neonaziści. Spadkobiercy partii, jakiś odłam nie mający znaczenia dla ODESSY. To się zdarza.

— Ale skąd się mogli dowiedzieć o Genewie?

— Miliony skradzione z okupowanych krajów, z pensji Wehrmachtu, z *Finanzministerium* zostały zdeponowane w szwajcarskim banku. Takich potężnych operacji finansowych nie można utrzymać w całkowitej tajemnicy.

Noela coś zastanowiło, coś w wypowiedzi Kesslera, ale nie potrafił sobie uzmysłwić, co to konkretnie było.

— Ale jaką odniosą korzyść? Nie są przecież w stanie dobrać się do tych pieniędzy. Mogą je jedynie latami blokować, procesując się po sądach. Co im z tego przyjdzie?

— Nie rozumiesz zatwardziałego nazisty. Nikt z was go nigdy nie rozumiał. Jemu nie chodzi tylko o własne korzyści. Równie ważne jest dla niego to, żeby inni ich n i e o d n i e ś l i. Na tym właśnie zasadzała się niszczycielska siła nazizmu.

W pobliżu ich łoży powstało nagle głośnie zamieszanie. Rozległ się pojedynczy trzask, potem jeszcze kilka; kobiecy krzyk wyzwolił całą wrzawę.

Ktoś gwałtownym szarpnięciem rozsunął kotarę ich łoży. W otwartym przejściu chwiała się postać mężczyzny. Nagle zatoczył się w przód i upadł na stół z wytrzeszczonymi oczyma. Z ust i szyi buchała mu krew. Twarz miał wykrzywioną cierpieniem; jego ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki. Rozkrzyżował ręce na blacie i wczepił się kurczowo w krawędzie stołu pomiędzy Holcrofem a Kesslerem.

— *Wolfsschanze! Soldaten von Wolfsschanze!* — Wychrypiał, z trudem chwytając oddech. Poderwał głowę, by krzyknąć i w tym samym momencie wydał ostatnie tchnienie. Jego głowa opadła z łomotem na stół.

Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce nie żył.

## 26

Noel czuł się oszołomiony chaosem, jaki zapanował. Wrzawa i harmider stawały się coraz gwałtowniejsze, przez lokal przetaczały się fale paniki. Zalany krwią mężczyzna zsunął się ze stołu i leżał teraz rozciągnięty na podłodze.

- Rudi! Rudi!
- *Herr Kessler!* Proszę za mną!
- Szybko! — wrzasnął Erich.
- Co?
- Za mną, przyjacielu. Nie mogą cię tu zobaczyć.
- Ale to on.
- Nic nie mów, Noel. Błagam cię, złap mnie za ramię.
- Co? Dokąd?...
- Twój nesesor! Dokumenty!

Holcroft porwał ze stołu papiery i upchnął je roztrzęsionymi rękami do neseseru. Czuł, jak go wciągają w krąg gapiów. Nie miał pojęcia, dokąd idzie, ale wystarczyło mu, że jest coraz dalej od zabitego mężczyzny w czarnej, skórzanej kurtce. Podążał ślepo za swym przewodnikiem.

Kessler ciągnął go przez gęstniejące zbiegowisko. Przed Kesslerem, rozgarniając na boki ciała i torując im drogę ku zamkniętym drzwiom pod schodami, parł kierownik lokalu. Kierownik wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i wepchnął ich do środka. Zatrzasnął za sobą drzwi i zwrócił się do Kesslera:

- Nie wiem, co powiedzieć, panowie! To straszne! Taka pijacka burda.
  - Niewątpliwie, Rudi. Dziękujemy ci — odparł Kessler.
  - *Natürlich.* Człowiek o pańskiej pozycji nie powinien być w to zamieszany.
  - Jesteś bardzo miły. Można się stąd jakoś wydostać?
  - Tak. Moim prywatnym wyjściem.
- Drzwi wychodziły na zaułek.
- Mój wóz stoi na ulicy — oznajmił Kessler.

Wyszli szybkim krokiem z zaułka na Kurfurstendamm i skręcili w lewo. Przed wejściem do lokalu gromadził się podekscytowany tłum. Noel dostrzegł nadbiegającego ulicą policjanta.

- Szybko! — syknął Kessler.

Samochód Kesslera okazał się najnowszym modelem mercedesa. Wsiedli. Kessler ruszył ostro z miejsca, kierując się na zachód.

- Ten człowiek... w kurtce... To on mnie śledził — wysapał Holcroft.
- Zdążyłem się zorientować — odparł Kessler. — Mimo wszystko trafił tam za tobą.
- Mój Boże! — krzyknął Noel. — Co ja zrobiłem?
- Nie ty go zabiłeś, jeśli to masz na myśli.
- Co? — Holcroft gapił się zbaraniałym wzrokiem na Kesslera.
- Nie ty zabiłeś tego człowieka.
- Pistolet sam wypalił! Został postrzelony.
- Nie wątpię. Ale on nie zginął od kuli.
- No to od c z e g o?
- Widzę, że nie zwróciłeś uwagi na jego gardło. Został zgarotowany.
- Jak Baldwin w Nowym Jorku!
- *Wolfschanze* w Berlinie — odparł Kessler. — Jego śmierć zaplanowano z do-

kładnością ułamka sekundy. Ktoś znajdujący się w tej restauracji, poza lożą, podprowadził go do naszego stolika i korzystając z gwaru i tłoku, dokonał egzekucji.

— O, Jezu! A więc ktokolwiek to był... — Noel nie zdołał dokończyć zaczętego zdania, strach przyprawił go o mdłości. Chciało mu się wymiotować.

— Ktokolwiek to był — dokończył za niego Kessler — wie, że mam coś wspólnego z Genewą. Masz więc swoją odpowiedź — dla mnie nie ma już innego wyjścia, jestem z tobą.

— Przykro mi — powiedział Holcroft. — Chciałem, żebyś gruntownie przemyślał swoją decyzję.

— Wiem, że tego chciałeś i dziękuję ci za to. Muszę jednak postawić jeden warunek.

— Jaki?

— Do paktu musi zostać dopuszczony mój brat Hans mieszkający w Monachium.

Noel przypomniał sobie słowa Manfrediego, że pod tym względem nie ma żadnych ograniczeń. Jedyne zastrzeżenie polegało na tym, że każda rodzina dysponuje jednym głosem.

— Jeśli chce, nic nie stoi na przeszkodzie.

— Będzie chciał. Jesteśmy bardzo zżyci. Polubisz go. Jest świetnym lekarzem.

— Według mnie obaj jesteście świetni.

— On leczy. Ja tylko przekazuję wiedzę... I jadę na oślepie. Zaprosiłbym cię do siebie, ale w tych okolicznościach lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię.

— Dostyc już narozrabiałem. Ale ty powinienes jak najszybciej wracać.

— A to dlaczego?

— Jeśli dopisze nam szczęście, nikt nie poda twojego nazwiska policji i będzie to bez znaczenia. Jeśli jednak ktoś to zrobi — jakiś kelner albo znajomy — będziesz mógł powiedzieć, że w krytycznej chwili byłeś już w drodze do domu.

Kessler potrząsnął głową.

— Jestem człowiekiem pasywnym. Takie myśli nigdy nie przysłyby mi do głowy.

— Trzy tygodnie temu i mnie by nie przysły. Wysadź mnie w pobliżu postoju taksówek. Pojadę do mojego hotelu po walizkę.

— Nonsens. Podwiozę cię.

— Nie powinniśmy już być widziani razem. To najlepszy sposób na napytanie sobie kłopotów.

— Muszę się nauczyć ciebie słuchać. A więc kiedy się zobaczymy?

— Zatelefonuję do ciebie z Paryża. Wkrótce mam spotkanie z von Tieboltem. Potem wszyscy trzej musimy się udać do Genewy. Zostało nam bardzo mało czasu.

— Chodzi o tego człowieka z Nowego Jorku? Milesa?

— Między innymi. Wyjaśnię ci to podczas naszego następnego spotkania. Zatrzymaj się, na rogu stoi taksówka!

— Co teraz zrobisz? Wątpię, czy o tej porze będą jakieś samoloty...

— No to zaczekam na lotnisku. Nie chcę być sam w hotelowym pokoju. — Kessler zatrzymał wóz, Holcroft sięgnął do klamki. — Dziękuję, Erich. I przepraszam.

— Nie ma za co, Noelu. Czekam na twój telefon.

W bibliotece Kesslera za biurkiem siedział mężczyzna o blond włosach. W jego oczach płonąła furia, głos miał napięty, naładowany emocją.

— Powtórz wszystko jeszcze raz — mówił. — Każde słowo. Nie zaniedbaj niczego.

— Po co? — zachnął się Kessler spod przeciwległej ściany pokoju. — Przeważkowaliśmy to już z dziesięć razy. Powiedziałem wszystko, co pamiętam.

— No to przeważkujemy to jeszcze dziesięć razy! — krzyknął Johann von Tiebolt. — Trzydzieści razy, czterdzieści razy! Kto to b y ł? Skąd się wziął? Kim byli ci dwaj ludzie w Montereau? Są ze sobą powiązani; skąd się wzięła ta trójka?

— Nie wiemy — mruknął naukowiec. — Trudno powiedzieć.

— Wcale nietrudno! Czy to do ciebie nie dociera? Odpowiedź zawarta jest w tym, co ten człowiek powiedział Holcroftowi w zaułku. Jestem tego pewien. Słyszałem już gdzieś te słowa. W nich trzeba szukać wyjaśnienia!

— Na miłość boską, miałeś przecież tego człowieka! — W głosie Kesslera pojawiła się stanowczość. — Jeśli sam nie zdołałeś z niego nic wyciągnąć, na jakiej podstawie sądzisz, że potrafimy coś wywnioskować ze słów Holcrofta? Trzeba go było dobrze przycisnąć.

— Nie zdążyłby puścić farby. Był za bardzo przeżarty narkotykami.

— A więc udusiłeś go drutem i podrzuciłeś Amerykaninowi. — Obłąd!

— To nie obłąd — powiedział Tennyson — tylko konsekwencja. Holcroft musi dojść do przekonania, że *Wolfsschanze* jest wszędzie. Depcze po piętach, grozi, chroni... Wróćmy do tego, co powiedział. Według Holcrofta ten człowiek nie bał się śmierci. Prawda? *...jestem przygotowany. Wszyscy jesteśmy gotowi. Powstrzymamy cię. Zabij mnie, a inny zajmie moje miejsce; zabij jego, po nim przyjdzie następny.* To słowa fanatyka. Ale on nie był fanatykiem; wiem, bo sam go widziałem. Nie był agentem ODESSY, nie był rewolucjonistą z *Rache*. Reprezentował coś innego. Holcroft miał pod tym względem rację. Coś innego.

— Zabrnęliśmy w ślepą uliczkę.

— Niezupelnie. Mam w Paryżu człowieka, który ustala tożsamości ciał znalezionych w Montereau.

— La Surete?

— Tak. On jest najlepszy. — Tennyson westchnął. — Jakie to wszystko niewiarygodne! Po trzydziestu latach podejmuje się pierwsze jawne kroki, a tu, w przeciągu dwóch tygodni, nie wiadomo skąd pojawiają się dziwni ludzie. Zupełnie jakby przez te trzy dziesięciolecia czekali wraz z nami na tę chwilę. Nie występują jednak otwarcie. Dlaczego nie? Tu widzę punkt zaczepienia. Dlaczego n i e?

— Ten człowiek powiedział to w zaułku Holcroftowi. *Potrafimy wykorzystać tę fortunę do wielkich celów.* Nie mieliby szans na jej zagarnięcie, jeśli ujawniliby pochodzenie genewskiego konta.

— To zbyt proste; stawka jest za wysoka. Gdyby chodziło tylko o pieniądze, nic nie stałoby na przeszkodzie, żeby przyszli do nas — konkretnie, do dyrektorów banku — i rozpoczęli negocjacje z pozycji siły. To prawie osiemset milionów. Z ich punktu widzenia mogliby zażądać dwóch trzecich. Ich koniec byłby marny, ale nie wiedzieliby tego z góry. Nie, Erichu, tu chodzi nie tylko o pieniądze. Musimy rozejrzeć się za czymś jeszcze.

— Musimy zająć się bliżej tym drugim kryzysem! — krzyknął Kessler. — Bez względu na to, kim był ten człowiek dziś wieczorem i kimkolwiek byli tamci w Montereau, są to sprawy drugorzędne wobec bezpośredniego zagrożenia. Spójrz prawdzie w oczy, Johann! Brytyjczycy wiedzą, że jesteś Tinamou! Nie lekceważ tego dłużej. Oni wiedzą, że jesteś Tinamou!

— Poprawka. Podejrzewają, że nim jestem. Nie mogą mieć pewności. I, jak prawidłowo wyłożył to Holcroft, będą wkrótce przekonani, że się pomylili, o ile już nie są. To nawet bardzo korzystna pozycja.

— Jesteś szalony! — wrzasnął Kessler. — Możesz wszystko zepsuć.

— Wręcz przeciwnie — powiedział spokojnie Tennyson. — Wszystko ugruntuję. Czy moglibyśmy sobie wymarzyć lepszego sprzymierzeńca od MI 5? Dla ścisłości, mamy już swoich ludzi w brytyjskim wywiadzie, ale żaden z nich nie stoi tak wysoko jak Payton-Jones.

— O czym ty, na miłość boską, mówisz?! — Naukowiec pocił się; na szyi pulsowały mu nabrzmiałe żyły.

— Usiądź, Erichu.

— Nie!

— Siadaj!

Kessler usiadł.

— Nie będę tego dłużej tolerował, Johann.

— Niczego nie toleruję, tylko słuchaj. — Tennyson pochylił się ku niemu. — Zamieńmy się na chwilę rolami; ja będę profesorem.

— Nie naciskaj. Nie możemy zrobić porządku z intruzami, którzy się nie ujawniają. Oni mają coś do ukrycia. Nie poradzimy sobie z tym. Co nam pozostanie, jeśli cię dopadną?

— To mi pochlebia, ale nie wolno ci w ten sposób rozumować. Gdyby coś mi się stało, są przecież jeszcze listy nazwisk naszych ludzi rozsianych po całym świecie. Można spośród nich wyłonić odpowiedniego kandydata. Czwarta Rzesza będzie miała swego lidera, cokolwiek się wydarzy. Ale mnie nic się nie stanie. Moją tarczą, moim zabezpieczeniem jest Tinamou. Wraz z jego ujęciem nie tylko zostanę oczyszczony ze wszystkich podejrzeń, ale i zyskam wielki szacunek.

— Postradałeś zmysły! Przecież ty jesteś Tinamou!

Tennyson rozparł się z uśmiechem w fotelu.

— Przypatrzmy się naszemu płatnemu zabójcy, zgoda? Przed dziesięcioma laty zgodziłeś się, że jest to mój najlepszy pomysł. O ile dobrze sobie przypominam, powiedziałeś, że Tinamou może się okazać naszą najważniejszą bronią.

— Teoretycznie. Tylko teoretycznie. To była ocena akademicka, od razu to wtedy zastrzegłem!

— Prawda, ty często wycofujesz się w zacisze swojej klasztornej wieży i tak powinno być. Ale czy wiesz, że miałeś rację? Z ostatniej analizy wynika, że te miliony ze Szwajcarii na nic nam się zdadzą, jeśli nie będzie ich można w odpowiedni sposób wykorzystać. Wszędzie obowiązują jakieś prawa. Już nie tak łatwo przekupić Reichstag albo klub poselski w Parlamencie, czy też kupić wybory w Ameryce. Ale dla nas nie jest to nawet w przybliżeniu tak trudne, jak byłoby dla innych. Nasza teza sprzed dziesięciu lat jest obecnie jeszcze bardziej słuszna. Jesteśmy w stanie wysuwać nadzwyczajne żądania pod adresem większości wpływowych ludzi wchodzących w skład każdej ważniejszej ekipy rządzącej. Płacili Tinamou za zabijanie swoich przeciwników politycznych. Od Waszyngtonu poprzez Paryż do Kairu, od Aten poprzez Bejrut do Madrytu, od Londynu poprzez Warszawę nawet do samej Moskwy. Na Tinamou nie ma mocnych. On jest naszą bombą nuklearną.

— I nas może obsypać swoim pyłem radioaktywnym.

— Mógłby — zgodził się Tennyson — ale nie zrobi tego. Przed laty, Erichu, umówiliśmy się, że nie będziemy mieli przed sobą tajemnic i dotrzymałem tej umowy we wszystkich aspektach, z jednym małym wyjątkiem. Nie, przepraszam, była to — jak to nazywają — odgórna decyzja i czułem, że jej podjęcie jest konieczne.

— Co zrobiłeś? — spytał Kessler.

— Wyposażyłem nas w tę najważniejszą broń, o której mówiłeś dziesięć lat temu.

— Jak to?

— Przed chwilą byłeś pewny swego. Podniosłeś głos i powiedziałeś, że jestem Tinamou.

— Bo nim jesteś!

— Nie jestem.

— Co?

— Jestem tylko połową Tinamou. Ściślej mówiąc, tą lepszą połową, ale mimo wszystko połową. Od lat mam ucznia; jest moim drugim ja w terenie. Jego mistrzostwo jest wyszkolone, przebiegłość nabyta. Jest najlepszy na tej planecie zaraz po prawdziwym Tinamou.

Naukowiec wpatrywał się w blondyna ze zdumieniem... z nabożnym uwielbieniem.

— Czy jest jednym z nas? Czy to *ein Sonnenkind*?

— Oczywiście że nie! Jest płatnym zabójcą, nie ma pojęcia o niczym i rozkoszuje się fantastycznym stylem życia, w którym każda jego potrzeba i kaprys zostają zaspokojone z ogromnych sum, jakie zarabia. Jest też świadomy, że pewnego dnia będzie może musiał za-

płacić cenę za raj na ziemi, w jakim się pławi, i godzi się z tym. Jest profesjonalistą.

Kessler poprawił się w fotelu i poluzował kołnierzyk.

— Muszę przyznać, że nie przestajesz mnie zadziwiać.

— Jeszcze nie skończyłem — ciągnął Tennyson. — Wkrótce w Londynie będzie miało miejsce ważne wydarzenie — narada głów państw. To idealna okazja. Tinamou zostanie ujęty.

— Zostanie co?

— Dobrze słyszałeś. — Tennyson uśmiechnął się. — Tinamou zostanie pojmany z bronią w rękę. Z bronią nietypowego kalibru o charakterystycznych cechach otworu lufy, które posłużą za dowód, że dokonano z niej pewnych trzech wcześniejszych zabójstw. Zostanie zdemaskowany i zabity przez człowieka, który tropił go od ponad sześciu lat. Przez człowieka, który dla własnego bezpieczeństwa nie pragnie rozgłosu, nie chce, by wymieniano jego nazwisko. Który powiadamia telefonicznie służby wywiadowcze swej przybranej ojczyzny. Przez Johna Tennysona, europejskiego korespondenta dziennika *Guardian*.

— Mój Boże — wyszeptał Kessler. — Jak to zrobisz?

— Nawet tobie nie mogę tego zdradzić. Ale dywidenda będzie tak samo potężna jak sama Genewa. Za pośrednictwem prasy rozejdzie się pogłoska, że Tinamou prowadził osobiste notatki. Nie zostaną znalezione, a zatem można będzie założyć, że ktoś je skradł. Tym kimś będziemy my. I w ten sposób Tinamou, chociaż martwy, będzie nam dalej służył.

Kessler potrząsnął z podziwem głową.

— Doprawdy rozumiesz nieszablonowo. To twój największy dar.

— Ale nie jedyny — powiedział niedbale blondyn. — Może nam też pomóc przemyśle, jakie zawrzemy z MI 5. Inne służby wywiadowcze są być może bardziej wyrafinowane, ale nie znam lepszej. — Tennyson walnął otwartą dłońią w poręcz swojego fotela. — A teraz wróćmy do naszego tajemniczego wroga. Jego tożsamość tkwi w słowach wypowiedzianych w zaułku. Już je gdzieś słyszałem! Znam je.

— Od tej strony już próbowaliśmy.

— Dopiero zaczęliśmy próbować. — Blondyn sięgnął po papier i ołówek. — No to od początku. Zapiszemy sobie wszystko, co powiedział, wszystko, co zdołasz sobie przypomnieć.

Naukowiec westchnął.

— Od początku — powtórzył. — No więc tak. Według Holcroft pierwsze słowa tego człowieka odnosiły się do zabójstwa we Francji, do faktu, że Holcroft nie zawahał się wtedy strzelić z pistoletu...

Kessler mówił. Tennyson słuchał, przerywał mu, prosił o powtarzanie pewnych słów i sformułowań. Notował wszystko pilnie. Tak upłynęło im czterdzieści minut.

— Dłużej już nie dam rady — poskarżył się Kessler. — Nic więcej nie mogę dodać.

— Jeszcze raz o tych orłach — rzucił szorstko blondyn. — Powtórz dokładnie słowa Holcrofta.

— O orłach?... *Nie powstrzymacie orłów. Tym razem wam się to nie uda.* Czy to czasem nie odnosi się do Luftwaffe? Albo do Wehrmachtu?

— Mało prawdopodobne. — Tennyson spuścił wzrok na leżące przed nim kartki. Postukał palcem w coś, co przed chwilą na nich zapisał. — O, tutaj. *Wasz Wolfsschanze. Wasz Wolfsschanze...* to znaczy nasz, nie ich.

— O czym ty mówisz? — spytał Kessler. — *Wolfsschanze* to my, ludzie *Wolfsschanze* to *Sonnenkinder!*

Tennyson zignorował ten wtępot.

— Von Stauffenberg, Olbricht, von Falkenhausen i Hopner. Rómmel nazywał ich „prawdziwymi orłami Niemiec”. Byli buntownikami, niedoszłymi zabójcami Hitlera.



Wszystkich rozstrzelano; Rommel otrzymał rozkaz odebrania sobie życia. O te orły mu chodziło. Ich *Wolfsschanze*, nie nasz.

— Do czego to nas prowadzi? Na miłość boską, Johann, ja mam już dosyć. Już nie mogę!

Tennyson zapisał kilkanaście kartek papieru; wertował je teraz, podkreślając słowa, zakreślając zdania w ramki.

— Może rzeczywiście dosyć już powiedziałeś — odparł. — To jest gdzieś tu... w tym fragmencie. Użył słów *rzeźnicy i kłowni*, a potem powiedział *nie powstrzymacie orłów*... Kilka zaledwie sekund później Holcroft ostrzegł go, że konto zostanie zablokowane na wiele lat, że muszą zostać spełnione określone warunki... *pieniądze zostaną zamrożone, pójdą z powrotem do ziemi*. Tamten powtórzył zwrot *z powrotem do ziemi*, nazywając to słabym punktem. Ale potem dorzucił, że nie będzie już *spalonej ziemi*. *Spalona ziemia. Nie będzie spalonej ziemi*.

Blondyn opadł na oparcie fotela, skupienie wykrzywiło jego doskonałą twarz, zimne oczy wpatrywały się bez drgnienia powiek w zapisane na papierze słowa.

— To niemożliwe... Po tylu latach... Operacja „Barbarossa”! Taktyka „spalonej ziemi”! O Boże, *Nachrichtendienst*. To *Nachrichtendienst*!

— O czym ty mówisz? — jęknął Kessler. — „Barbarossa” to pierwsze uderzenie Hitlera na północ, uwieńczone wspaniałym zwycięstwem.

— On nazywał to zwycięstwem, Prusacy klęską. Fałszywe zwycięstwo zapisane krwią. Całe dywizje nie przygotowane, zdziesiątkowane... „Zdobyliśmy tereny — mówili generałowie — zajęliśmy bezwartościową, spaloną ziemię «Barbarossy»”. Z tego zrodził się *Nachrichtendienst*.

— Co to było?

— Komórka wywiadu. Doborowy korpus arystokratów, w którego skład wchodził wyłącznie junkrowie. Niektórzy uważali później, że była to grupa Gehlena powołana do siania nieufności pomiędzy Rosjanami a Zachodem. Ale to nieprawda; oni byli zupełnie niezależni. Nienawidzili Hitlera, gardzili formacją *Schutzstaffel* — mówili o niej „SS-owski śmieć”, nienawidzili dowódców *Luftwaffe*. Wszystkich nazywali „rzeźnikami i kłownami”. Byli ponad wojną, ponad partią. Istnieli tylko dla Niemiec. Dla swoich Niemiec.

— Mów, co to znaczy, Johann! — krzyknął Kessler.

— Ocalali z *Nachrichtendienst*. To ten intruz. Chcą zniszczyć Genewę. Nie powstrzymają się przed niczym, byle tylko zdławić Czwartą Rzeszę, zanim ta się narodzi.

Noel czekał na moście, obserwując światła Paryża migoczące niczym skupiska maleńkich świeczek. Zadzwoił do Helden do wydawnictwa *Gallimard*; zgodziła się z nim spotkać po pracy na Pont Neuf. Próbował ją namówić na wypad samochodem do hotelu w Argenteuil, ale odrzuciła jego propozycję.

— Obiecałaś mi dni, tygodnie, jeśli tylko zapragnę — poskarżył się.

— Obiecałam je nam obojgu, kochany, i będziemy je mieli. Ale Argenteuil odpada. Wyjaśnię ci dlaczego, kiedy się spotkamy.

Była dopiero piąta piętnaście. Na Paryż opuszczała się szybko zimowa noc i Noela przenikał dreszczem chłodny wiatr od rzeki. Żeby ochronić się przed zimnem, postawił kołnierz palta kupionego w sklepiku ze starzyzną. Spojrzał znowu na zegarek, wskazówki nawet nie drgnęły. Jak miały drgnąć? Uptęło nie więcej niż kilka sekund.

Uświadomił sobie, że czuje się jak sztubak czekający na dziewczynę, którą poznał na wiejskiej zabawie przy świetle letniego księżycy, i uśmiechnął się do siebie zażenowany, nie dopuszczając do głosu zaczynającego go ogarniać niepokoju. Nie stał w blasku księżycy przyświecającego w letnią noc. Sterczał na moście w Paryżu, było zimno, na sobie miał palto ze sklepu ze starzyzną, a w kieszeni pistolet.

Dostrzegł ją, gdy wchodziła na most. Była w czarnym płaszczu, jasne włosy ukryła pod ciemną chustką. Szła miarowo, bez pośpiechu, ale nie bez celu; samotna kobieta wracająca z pracy. Gdyby nie uderzające piękno rysów jej twarzy — z tej odległości jeszcze nie w pełni widoczne — nie odróżniałaby się od tysięcy paryskich kobiet zdążających wczesnym wieczorem do domu.

Zobaczyła go. Ruszył jej na spotkanie, ale podniosła rękę, dając mu znak, żeby pozostał na swoim miejscu. Nie zwrócił na to uwagi owładnięty pragnieniem jak najszybszego znalezienia się obok niej i szedł dalej z wyciągniętymi przed siebie ramionami. Weszła między nie i objęli się. Poczuli ciepłą radość bycia znowu z nią. Cofnęła głowę i spojrzała na niego, usiłując nadać swym roześmianym oczom twardy wyraz.

— Nie wolno ci nigdy biec, kiedy jesteś na moście — powiedziała. — Człowiek biegnący mostem rzuca się w oczy. Przez wodę się idzie, nie pędzi.

— Stęskniłem się za tobą. Mam wszystko w nosie.

— Musisz się uczyć. Jak było w Berlinie?

Otoczył ją ramieniem i ruszyli w kierunku *quai Saint-Bernard* i Lewego Brzegu.

— Mam ci dużo do opowiedzenia. Trochę wiadomości dobrych, trochę mniej dobrych. Jeśli zdobycie kilku informacji można nazwać postępek, chyba zrobiłem parę gigantycznych kroków. Brat się odezwał?

— Tak. Dziś po południu. Zadzwoił na pół godziny przed tobą. Zmienił plany i jutro może przyjechać do Paryża.

— To najlepsza wiadomość, jaką mogłaś mnie poczęstować. Tak mi się przynajmniej wydaje. — Zeszli z mostu i skręciwszy w lewo, ruszyli brzegiem rzeki. — Tęskniłaś za mną?

— Nie wygłupiaj się, Noel. Wyleciałaś wczoraj po południu. Ledwie zdążyłam wrócić do domu, wziąć kąpiel, zażyć bardzo-mi-potrzebnego snu i pójść do pracy.

— Poszłaś od razu do domu? Do swojego mieszkania?

— Nie, ja... — urwała i podniosła na niego wzrok uśmiechając się. — Bardzo dobrze, nowy rekrucie Noelu. Zadawaj pytania niby od niechcenia.

— Wcale nie zadawałem ich od niechcenia.

— Obiecałaś mnie o to nie pytać.

— Niezupełnie. Spytałem cię, czy jesteś zamężna albo czy z kimś żyjesz — i na pierwsze pytanie uzyskałem odpowiedź przeczącą, a na drugie bardzo mętną — ale nigdy nie obiecywałem, że nie będę próbował dowiedzieć się, gdzie mieszkasz.

— Dałeś to do zrozumienia, kochany. Pewnego dnia ci powiem i przekonasz się, jaki byłeś niemądry.

— Powiedz mi teraz. Jestem zakochany. Chcę wiedzieć, gdzie mieszka moja kobieta.

Uśmiech spełził z jej warg, potem powrócił i znowu podniosła na niego oczy.

— Jesteś jak mały chłopczyk ćwiczący nowe słówko. Nie znasz mnie na tyle dobrze, żeby mnie pokochać; już ci to powiedziałam.

— Ach, zapomniałem. Przecież ty wolisz kobiety.

— Zaliczają się do moich najlepszych przyjaciół.

— Ale nie chciałabyś poślubić któregoś z nich.

— Nie chcę nikogo poślubić.

— No i słusznie. Po co komplikować sobie życie? Zamieszkaś po prostu ze mną na najbliższe dziesięć lat i podzielimy się sprawiedliwie obowiązkami.

— Co za miła perspektywa!

Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Odwrócił Helden ku sobie, kładąc obie dłonie na jej ramionach.

— Mówię całkiem poważnie.

— Wierzę ci — powiedziała. W jej spojrzeniu malował się zarówno strach, jak i niedowierzenie.

Dostrzegł ten strach i poczuł niepokój, ale pokrył go uśmiechem.

— Kochasz mnie choć troszkę?

Nie potrafiła się uśmiechnąć.

— Wydaje mi się, że kocham cię bardziej niż troszkę. Jesteś problemem, którego chciałam uniknąć. Nie wiem, czy sobie z nim poradzę.

— To już lepiej. — Roześmiał się i wziął ją za rękę, żeby przejść przez ulicę. — To miło wiedzieć, że nie na wszystko masz odpowiedzi.

— A sądziłeś, że mam?

— Myślałem, że ty tak myślisz.

— Nie myślę.

— Wiem.

Restauracja była wypełniona w połowie. Helden poprosiła o stół w głębi sali, niewidoczny od wejścia. Właściciel skinął ze zrozumieniem głową. Widać było, że nie bardzo potrafi pojąć, dlaczego ta *belle femme* przychodzi do jego knajpki z tak nędznie odzianym towarzyszem. Komentarz można było wyczytać z jego oczu: źle się ostatnio dzieje paryskim dziewczynom. I w dzień, i w nocy.

— Nie spodobałem się mu — mruknął Noel.

— Ale jest jeszcze dla ciebie nadzieja. Zyskasz w jego oczach, zamawiając drogą whisky. Uśmiechnął się, nie widziałeś?

— Patrzył na moją kurtkę. Pochodzi z trochę lepszego wieszaka niż palto.

Helden roześmiała się.

— Ten płaszcz nie miał odpowiadać najnowszym wymogom mody. Nosiłeś go w Berlinie?

— Nosilem. Miałem go na sobie, kiedy podrywałem dziwkę. Nie jesteś zazdrosna?

— W każdym razie nie o kogoś, kto przyjmuje ofertę od tak ubranego faceta.

— Była okazem powabu i wdzięku.

— Masz szczęście. Była prawdopodobnie agentką ODESSY i tak, jak to zostało zapla-

nowane, na pamiątkę tej przygody pozostała ci choroba społeczna.

Noel wziął ją za rękę. Kiedy się odezwał, w jego głosie nie było już rozbawienia.

— ODESSY nie musimy się obawiać. *Rache* też nie. To jedna — a właściwie dwie — z rzeczy, których dowiedziałem się w Berlinie. Bardzo wątpliwe, czy któraś z nich wie cokolwiek o Genewie. Helden sprawiała wrażenie ogłuszonej.

— A Beaumont? Twierdziłeś, że jest z ODESSY, że śledził cię do Rio.

— Dalej utrzymuję, że jest z ODESSY i że mnie śledził, ale nie z powodu Genewy. On ma powiązania z Graffem. Wywąchał, że szukam Johanna von Tiebolta i dlatego za mną chodził. Genewa nie miała z tym nic wspólnego. Będę wiedział więcej jutro, po rozmowie z twoim bratem. Tak czy inaczej, Beaumont za kilka dni wypadnie z gry. Kessler już się tym zajmie. Obiecał mi, że zatelefonuje do kogoś z bońskiego rządu.

— Takie to proste?

— Nie takie trudne. Najmniejszy ślad ODESSY, zwłaszcza w wojsku, wywołuje lawinę pytań i dociekań. Ta lawina porwie Beaumonta.

— Jeśli to nie ODESSA ani *Rache*, to kto?

— Między innymi to właśnie muszę ci powiedzieć. Musiałem pozbyć się tej sukiennej kurtki i czapki z daszkiem.

— Och? — Helden była zakłopotana pozornym brakiem związku.

Noel wszystko jej wyjaśnił, opisując dramatyczne zajście w ciemnym zaułku. Streścił też rozmowę z Kesslerem i kończąc uświadomił sobie, że nie musi pomijać milczeniem faktu zamordowania nieznanego mężczyzny w czarnej, skórzanej kurtce. I tak opowie o tym jutro jej bratu; zatajenie epizodu przed Helden nie miało w takim razie sensu. Kiedy skończył, drżała wpijając palce w poduszkę jego dłoni.

— Jakie to straszne! Czy Kessler domyślał się chociaż, kim był, skąd pochodził?

— Nie miał pojęcia. Sto razy analizowaliśmy każde jego słowo, próbowaliśmy coś z tego wywnioskować, ale niewiele to dało. W opinii Kesslera był to członek jakiejś neonazistowskiej grupy — Kessler nazwał ich spadkobiercami partii; jakiegoś odłamu nie mającego znaczenia dla ODESSY.

— Skąd mógł się dowiedzieć o genewskim koncie?

— Spytałem o to Kesslera. Powiedział, że tego rodzaju manipulacji finansowych wymagających wywożenia pieniędzy z Niemiec nie można było utrzymać w tak całkowitym sekrecie, jak to sobie wyobrażaliśmy.

— Ale przecież zachowanie tajemnicy leży u podstaw Genewy. Bez tego wszystko by się zawałiło.

— A zatem jest to kwestia stopnia poufności. Kiedy tajemnica jest tajemnicą? Gdzie leży granica między informacjami poufnymi a danymi ściśle tajnymi? Garstka ludzi dowiedziała się o Genewie i chce nam przeszkodzić w pozyskaniu tych pieniędzy. Chcą je zagarnąć dla siebie, nie zamierzają więc ujawnić faktu istnienia konta.

— Ale jeśli tak daleko sięga ich wiedza, mają też świadomość, że nie mogą ich dostać.

— Niekoniecznie.

— A więc należy im to wytłumaczyć.

— Próbowałem to zrobić w owym zaułku. Ale nie przekonałem tego człowieka. A jeśli nawet bym przekonał, nic by to teraz nie zmieniało.

— Ale czy ty tego nie rozumiesz? Ktoś musi dotrzeć do tych ludzi — kimkolwiek są — i przetłumaczyć im, że powstrzymując cię, mojego brata i Kesslera, nic nie zyskują.

Holcroft upił łyk.

— Nie jestem pewien, czy powinniśmy to robić. Kessler powiedział coś, co mnie zastanowiło i nadal nie daje mi spokoju. Powiedział, że my — „my”, jak się domyślam, odnosi się do nas wszystkich, którzy nie studiowaliśmy dogłębnie tego problemu — nigdy nie zrozumiemy zatwardziałego nazisty. Z punktu widzenia nazisty odniesienie korzyści

nie było najważniejsze. Dla niego równie ważne było, aby korzyści nie odnieśli inni. Kessler nazwał to „właściwą im niszczycielską siłą”.

Helden znowu się zachmurzyła.

— A więc mogą was zaatakować. Zabiją waszą trójkę, bo bez was nie będzie Genewy.

— Będzie, tylko że dopiero dla następnego pokolenia. To wystarczający motyw. Pieńiądze wracają z powrotem do skarbców na kolejne trzydzieści lat.

Helden uniosła rękę do ust.

— Poczekaj chwileczkę, wyczuwam tu jakieś straszliwe nieporozumienie. Próbowali cię zabić. Ciebie. Od samego początku... ciebie.

Holcroft potrząsnął głową.

— Nie możemy być tego pewni...

— Nie możemy być pewni? — wpadła mu w słowo Helden. — Mój Boże, a czego jeszcze chcesz? Sam pokazywałaś mi marynarke. A strychnina w samolocie, a strzały w Rio? Czego jeszcze ci potrzeba?

— Chcę się dowiedzieć, kto naprawdę stał za tymi incydentami. Dlatego właśnie muszę porozmawiać z twoim bratem.

— A czego się spodziewasz dowiedzieć od Johanna?

— Kogo zabił w Rio. — Helden otworzyła usta, żeby zaprotestować. Ponownie wzięła ją za rękę. — Pozwól, że ci wyjaśnię. Uważam, że znajdujemy się pomiędzy — że ja jestem pomiędzy — dwoma walczącymi stronami, z których jedna nie ma z drugą nic wspólnego. Cokolwiek przydarzyło się twojemu bratu w Rio, nie ma to związku z Genewą. Tu właśnie popełniłem błąd. Wszystko wiązałem z Genewą. Tak nie jest, tu chodzi o coś innego.

— Próbowalam ci to wytłumaczyć — powiedziała Helden.

— Przechodziłem chwilowe zacięcie umysłu. No, ale nikt nigdy nie strzelał do mnie z pistoletu, nie próbował mnie otruć ani nie pakował mi noża w brzuch. Tego rodzaju rzeczy wpływają druzgocąco na proces myślowy. Tak przynajmniej wpłynęły na mój.

— Johann jest człowiekiem skomplikowanym, Noelu — powiedziała. — Może być bardzo czarujący, wylewny, ale potrafi też zachowywać się niezwykle powściągliwie. Taki już jest. Miał trudne życie. Czasem kojarzy mi się z bakiem. Przemieszcza się szybko z miejsca na miejsce, zmienia zainteresowania, zawsze inteligentny, zawsze pozostawiający po sobie ślad, ale nie zawsze życzący sobie, żeby ten ślad został rozpoznany...

— Jest tu, jest tam, jest wszędzie — przerwał jej Holcroft. — Opisujesz mi odmianę kurzyślepa szkarłatnego.

— Dokładnie. Johann może ci nie powiedzieć, co się wydarzyło w Rio.

— Musi. Ja muszę to wiedzieć.

— Może odmówić, bo nie ma to żadnego związku z Genewą.

— Spróbuję go więc przekonać. Musimy rozpoznać jego słabe strony.

— Powiedzmy, że ma swoje słabe strony. I co z tego?

— Zostanie odsunięty od Genewy. Wiemy, że kogoś zabił. Słyszałaś, jak jakiś mężczyzna — twoim zdaniem mężczyzna bogaty i wpływowy — mówił, że chce ujrzyć twojego brata na stryczku za morderstwo. Wiem, że kombinował z Graffem, a to oznacza ODESSE. Radował się ucieczką. Zabrał ze sobą ciebie i twoją siostrę, ale uciekał, by ocalić własne życie. Jest zamieszany w wiele afer. Ścigają go i być może szantażują. Mógłby wstrząsnąć Genewą; a od takiego wstrząsu ległaby w gruzach.

— Czy trzeba informować o tym wszystkim bankierów? — spytała Helden.

Noel dotknął jej policzka i zmusił, by na niego spojrzała.

— Musiałbym im powiedzieć. Mówimy o siedmiuset osiemdziesięciu milionach dolarów, o trzech ludziach, którzy dokonali czegoś nad zwyczajnego. To był ich gest wobec historii, naprawdę w to wierzę. Jeśli twój brat wystawia ich dzieło na niebezpieczeństwo lub przyczynia się do wypaczenia całej idei, to może lepiej, żeby te miliony czekały na

następne pokolenie. Ale wcale nie twierdzą, że tak musi się stać. Zgodnie z zasadami ty stała-bys się wykonawczynią paktu ze strony von Tieboltów.

Helden wpatrywała się w niego z napięciem.

— Nie mogę na to przystać, Noelu. To musi być Johann. On jest nie tylko bardziej moralnie predysponowany do udziału w Genewie, on na to zasługuje. Nie mogę mu tego odebrać.

— A ja nie mogę mu tego dać. Nie mogę, jeśli miałyby to zaszkodzić paktowi. Wrócimy do tego po rozmowie z nim.

Patrzyła na niego tak badawczo, że aż poczuł się niezręcznie. Odsunęła jego dłoń od swojego policzka i uściśnęła ją.

— Jesteś prawym człowiekiem, prawda?

— Niekoniecznie. Po prostu zdenerwowanym. Dostaję mdłości na widok zepsucia w elitarnych kręgach finansjery. Ogromnie tego dużo w moim kraju.

— „W elitarnych kręgach finansjery”?

— To zwrot, którego użył mój ojciec w liście do mnie.

— Dziwne — mruknęła Helden.

— Co w tym dziwnego?

— Zawsze nazywałeś go Clausenem albo Heinrichem Clausenem. Formalnie, raczej z dystansem.

Holcroft pokiwał głową, potwierdzając słuszność jej uwagi.

— To ciekawe, bo naprawdę nie wiem o nim teraz ani trochę więcej niż przedtem. Ale opisano mi go. Jego wygląd, sposób mówienia, umiejętność zjednywania sobie słuchaczy i jaki wpływ na nich wywierał.

— A więc wiesz o nim więcej.

— Właściwie nie. To tylko wrażenia. Dziecięce odczucia. Ale w pewnym sensie chyba go odnalazłem.

— Kiedy rodzice ci o nim powiedzieli?

— To nie rodzice, nie mój... ojczym. Powiedziała mi Althene. Parę tygodni po moich dwudziestych piątych urodzinach. Pracowałem już wtedy.

— Pracowałeś?

— Jestem architektem, nie pamiętasz? Ja już prawie zapomniałem.

— I twoja matka czekała z wyjawieniem ci tego aż do twoich dwudziestych piątych urodzin?

— Postąpiła słusznie. Nie jestem pewien, jak bym to wcześniej zniósł. Dobry Boże! Noel Holcroft, amerykański chłopiec. Hot dogi i francuskie frytki, stadion Shea i drużyna Metsów, Garden i Knicks; i szkoła, i koledzy, których ojcowie byli żołnierzami na wielkiej wojnie i wygrali ją, każdy na swój sposób. A tu mówi się chłopakowi, że jego prawdziwym ojcem był jeden z tych trzaskających obcasami sadystów z wojennych filmów. Chryste, dzieciak dostałby świra!

— A zatem po co ci w ogóle powiedziała?

— Miała na uwadze nikłą szansę, że sam pewnego dnia odkryję prawdę, a tego nie chciała. Nie wierzyła, aby do tego doszło. Zatarli z Dickiem wszystkie ślady aż po świadectwo urodzenia, które stwierdzało, że jestem ich synem. Ale istniało jeszcze jedno świadectwo urodzenia. W Berlinie. „Clausen, noworodek płci męskiej. Matka — Althene. Ojciec — Heinrich". I żyli przecież ludzie, którzy wiedzieli, że go porzuciła, że wyjechała z Niemiec. Chciała mnie przygotować na wypadek, gdyby wyszło to kiedyś na jaw, gdyby ktoś z jakiegoś powodu przypomniał sobie o tym i próbował wykorzystać tę informację. Nawiasem mówiąc, przygotować na zdementowanie tej rewelacji. Miałem mówić, że było jeszcze jedno dziecko — o którym nigdy nie wspominało się w domu — które umarło w wieku niemowlęcym w Londynie.

— Co oznacza, że było jeszcze jedno świadectwo. Świadectwo zgonu.  
— Tak. Przechowywane jak należy gdzieś w Londynie.  
Helden opadła na oparcie łoża.  
— Mimo wszystko nie różnisz się zbyt od nas. Nasze życie roi się od fałszywych dokumentów. Jakież to musi być luksus: żyć normalnie!  
— Dokumenty niewiele dla mnie znaczą. Nigdy ich nie wymagałem zatrudniając kogoś ani nie wywalałem nikogo na bruk, bo ktoś inny mi je przedstawił. — Noel dopił swego drinka. — Sam zadaję sobie rozmaite pytania. A twemu bratu zamierzam zadać bardzo brutalne. W Bogu pokładam nadzieję, że zna odpowiedzi, które pragnę usłyszeć.  
— Ja również.  
Pochylił się ku niej i ich ramiona zetknęły się.  
— Kochasz mnie choć troszkę?  
— Bardziej niż troszkę.  
— Zostań ze mną na noc.  
— Mam taki zamiar. W twoim hotelu?  
— Nie w tym przy Chevalle. Ten pan Fresca, którego wymyśliliśmy tamtego wieczora, przeniósł się na lepszą kwaterę. Widzisz, ja też mam w Paryżu paru przyjaciół. Jeden z nich jest wicedyrektorem w „George'u V”.  
— Co za ekstrawagancja.  
— To nie zabronione. Jesteś bardzo szczególną kobietą; poczynając zaś od jutra nie wiemy, co się jeszcze wydarzy. A tak nawiasem mówiąc, nie moglibyśmy pojechać do Argentini? Obiecałaś, że się zastanowisz.  
— Widziano nas tam.  
— Co? Kto nas widział?  
— Pewien człowiek — właściwie widział tylko ciebie. Nie znamy jego nazwiska, ale wiemy, że był z Interpolu. Mamy tam swoje doświadczenia. Z paryskiego biura rozesłano okólnik z twoim rysopisem. Zlecenie podjęcia twego tropu nadeszło z Nowego Jorku. Wystawił je oficer policji nazwiskiem Miles.

John Tennyson przeszedł przez zatłoczoną salę przylotów portu lotniczego Heathrow i skierował swe kroki prosto do czterodrzwiowego jaguara czekającego przy krawężniku. Kierowca palił papierosa i czytał książkę. Na widok zbliżającego się blondyna wysiadł z wozu.

— Dzień dobry, panie Tennyson — powitał go z gardłowym, walijskim akcentem.

— Długo czekałeś? — spytał zdawkowo Tennyson.

— Nie bardzo — odparł kierowca odbierając od Tennysona neseser i torbę. — Zakładam, że życzy pan sobie prowadzić.

— Tak. Podrzucę cię po drodze. Gdzieś, gdzie można złapać taksówkę.

— Tu ją mogę złapać.

— Nie, chcę parę minut porozmawiać. — Tennyson zajął miejsce za kierownicą, a Walińczyk otworzył tylne drzwiczki i umieścił w środku bagaż. Po kilku minutach byli już za bramami lotniska i pędzili autostradą w kierunku Londynu.

— Dobrą miał pan podróż? — spytał Walińczyk.

— Pracowitą.

— Czytałem pański artykuł o Bahrajnie. Bardzo zabawny.

— Bo Bahrajn jest zabawny. Jedyni ekonomiści na tym archipelagu, to hinduscy sklepikarze.

— Ale przyzwoicie się pan obszedł z szejkami.

— Dobrze mnie przyjmowali. Są jakieś wiadomości z Morza Śródziemnego? Utrzymałeś kontakt ze swoim bratem na pokładzie okrętu Beaumonta?

— Bez przerwy. Korzystaliśmy z radiofonu zainstalowanego w pobliżu przylądka Camarat. Wszystko idzie zgodnie z planem. W porcie rozeszła się pogłoska, że widziano komandora z jakąś kobietą wypływającego na pokładzie małej łodzi z Saint-Tropez. Ani o łodzi, ani o nich nie ma wiadomości już od ponad czterdziestu ośmiu godzin, a od lądu wieją szkwały. Brat zamelduje jutro o wypadku. Obejmie, ma się rozumieć, dowództwo.

— Ma się rozumieć. A więc idzie dobrze. Śmierć Beaumonta nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Wypadek podczas złej pogody. Nikt nie zakwestionuje takiego wyjaśnienia.

— Nie powie mi pan, co się naprawdę stało?

— Wolę nie. To byłoby dla ciebie niepotrzebne brzemie. Ale ogólnie mówiąc, Beaumont przedobrzył. Był widziany, gdzie nie trzeba, przez nie tych, co trzeba, ludzi. Zrodziły się spekulacje, że nasz wybitny oficer jest w rzeczywistości powiązany z ODESSĄ.

— To niebezpieczne. Cholerny idiota! — Wyraz twarzy Walińczyka zdradzał jego zdenerwowanie.

— Mam ci jeszcze coś do powiedzenia... — powiedział Tennyson. — To prawie już.

— A więc stało się? — W głosie Walińczyka pojawił się nabożny zachwyt.

— Według mnie wszystko rozegra się w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

— Nie mogę w to uwierzyć!

— Dlaczego? — spytał Tennyson. — Wszystko przebiega przecież zgodnie z harmonogramem. Trzeba przystąpić do rozsyłania depech. Wszędzie.

— Wszędzie... — powtórzył mężczyzna.

— Kryptonim brzmi „Wolfsschanze”.

— „Wolfsschanze”?... O Boże, a więc to już wkrótce!

— Już się zaczęło. Uaktualnisz ostateczną główną listę liderów regionalnych, oczywiście ma być tylko jedna kopia. Zbierzesz wszystkie mikrofilmy z aktami — kraj po kraju, miasto po mieście, wszelkie powiązania polityczne — i umieścisz je w opieczętowanej stalo-



wej kasce. Przyniesiesz tę kasetę wraz z główną listą osobiście do mnie za tydzień od dzisiaj. W przyszłą środę. Spotkamy się na ulicy przed moim mieszkaniem w Kensington. O ósmej wieczorem.

— Za tydzień od dzisiaj. W przyszłą środę. O ósmej wieczorem. Z kasetą.

— I z główną listą. Liderów.

— Oczywiście. — Walijczyk przygryzł zębami knykieć zgiętego palca wskazującego.

— To rzeczywiście już wkrótce — wyszeptał.

— Jest pewna mała przeszkoda, ale ją usuniemy.

— Mogę w czymś pomóc? Zrobię wszystko.

— Wiem to, Ianie. Należysz do najlepszych. Powiem ci w przyszłym tygodniu.

— Wszystko.

— Oczywiście. — Tennyson zwolnił przed zjazdem z autostrady. — Podwiózłbym cię do Londynu, ale skręcam teraz na Margate. Muszę się tam szybko dostać.

— Niech pan się mną nie przejmuje. Boże, człowieku, musisz mieć tyle na głowie! — Ian nie odrywał wzroku od twarzy Tennysona, od jego zdecydowanych, rzeźbionych rysów, z których wycierała wielka obietnica i wielka siła. — Być teraz tutaj; dostąpić zaszczytu obecności przy początku, przy odrodzeniu. Nie ma takiej ofiary, której bym nie poniósł!

Tennyson uśmiechnął się.

— Dziękuję ci — powiedział.

— Niech mnie pan wysadzi byle gdzie. Złapię taksówkę... Nie wiedziałem, że mamy swoich ludzi w Margate.

— Mamy ich wszędzie — powiedział blondyn zatrzymując wóz.

Tennyson pędził znajomą autostradą w kierunku Portsea. Dotrze do domu Gretchen przed ósmą i tak właśnie miało być; spodziewa się go o dziewiątej. Będzie mógł sprawdzić, czy nie ma gości — przyjaźnie nastawionych sąsiadów płci męskiej, którzy wpadli na drinka.

Uśmiechnął się do siebie. Jego siostra, chociaż już dobrze po czterdziestce, nadal przyciągała mężczyzn jak przysłowiowy ogień ćmy: przypaleni do sytości przez ciepło, chronieni przez niezdolność do dotarcia do samego płomienia. Bo Gretchen nie zaspokajała obietnicy, którą kusił jej seksualizm, jeśli się jej tego nie nakazało. To była broń wykorzystywana tak samo jak wszystkie potencjalnie śmiertelne bronie — z zachowaniem dyskrecji.

Tennyson nie był zachwycony tym, co musiał zrobić, ale wiedział, że nie ma wyboru. Trzeba przeciąć wszystkie nici prowadzące do Genewy, a jego siostra była jedną z nich. Tak jak był nią Anthony Beaumont. Gretchen po prostu za dużo wiedziała. Wrogowie *Wolfsschanze* mogliby ją złamać — i zrobiliby to.

Istniały trzy informacje, których nie posiadał *Nachrichtendienst*: terminarz, metody rozdysponowania milionów i lista. Gretchen znała terminy poszczególnych operacji, orientowała się w metodach rozdysponowania i, ponieważ metody te wiązały się ściśle z nazwiskami odbiorców na całym świecie, aż za dobrze pamiętała listę.

Jego siostra musi umrzeć.

Podobnie jak Walijczyk musi ponieść ofiarę, do której się tak szlachetnie zobowiązał. Po dostarczeniu hermetycznie szczelnego pojemnika i głównej listy jego rola dobiegnie końca. Stanowił tylko zagrożenie.

Oprócz synów Ericha Kesslera i Wilhelma von Tiebolta, przy życiu nie mógł pozostać nikt, kto widział tę listę. Tysiące nazwisk z wielu krajów, nazwisk prawdziwych spadkobierców *Wolfsschanze*, perfekcyjnej rasy, *Sonnenkinder*.

Blondyn docisnął mocniej pedał gazu. Jaguar wyrwał do przodu.

— Nareszcie — powiedziała Gretchen Beaumont siedząc obok Tennysona na miękkiej, obitej skórą kanapie. Gładziła go dłonią po twarzy, co chwilę wsuwając i wysuwając palce spomiędzy jego warg. Podniecała go, jak zawsze od dzieciństwa. — A ty jesteś taki piękny. Nie ma takiego drugiego jak ty. Nigdy nie będzie.

Pochyliła się, a jej rozpięta bluzka odsłoniła piersi, zapraszając do pieszczot. Przywarła ustami do jego warg, pomrukując gardłowo, co zawsze budziło w nim dzikie zwierzę.

Ale nie mógł ulec żądzy. Kiedy to zrobi, będzie to ostatni akt tajemnego rytuału, który pozwalał mu zachować czystość i niezależność... od dziecka. Ujął ją za ramiona i delikatnie popchnął z powrotem na kanapę.

— Tak, to już — powiedział. — Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co się wydarzyło, dopóki potrafię jasno myśleć. Mamy mnóstwo czasu. Wyjadę na Heathrow około szóstej rano, żeby złapać pierwszy samolot do Paryża. No, a teraz zastanów się, czy nie zapomniałaś mi powiedzieć czegoś o tym Amerykaninie? Jesteś pewna, że nigdy nie skojarzył sobie ciebie z Nowym Jorkiem?

— Nigdy. O zmarłej kobiecie z okna naprzeciwko jego mieszkania wiadomo było, że jest nałogową palaczką. Ja nie palę i wyraźnie to podkreśliłam, kiedy tu był. Dałam mu też do zrozumienia, że od tygodni nie wychodziłam z domu. W razie potrzeby mogłabym tego, oczywiście, dowieść. No i, ma się rozumieć, byłam jak najbardziej żywa.

— A więc, wychodząc, nie miał pojęcia, że ta zmysłowa kobieta, niewierna żona, z którą poszedł do łóżka, jest kobietą z Nowego Jorku.

— Oczywiście, że nie. A nawiasem mówiąc, on nie wyszedł — powiedziała ze śmiechem Gretchen. — On zwiewał, aż się kurzyło. Ogłupiały, ogarnięty paniką, przeświadczony o moim niezrównoważeniu — tak jak zaplanowaliśmy — i siłą rzeczy stawiający na ciebie jako następnego w kolejce do Genewy. — Przestała się śmiać. — Tylko że uciekł z fotografią Tony'ego, czego nie mieliśmy w planie. Zakładam, że ją odnosisz.

— Tak. — Tennyson skinął głową.

— Co powiesz Holcroftowi?

— On uważa, że Beaumont jest agentem ODESSY, że ja miałem jakieś konszachty z Graffem i że musiałem uciekać z Brazylii, bo inaczej zostałbym zastrzelony. Tak powiedział Kesslerowi. Tak naprawdę nie bardzo wie, co zaszło w Rio, poza tym, że kogoś zabiłem. Bardzo się tym gryzie. — Tennyson uśmiechnął się. — Zagram na tej strunie. Wymyślę coś wstrząsającego. Coś, co go ściśnie za gardło, przekona, że jestem bardziej święty od samego Jana Baptisty. No i, oczywiście, wyrażę swoją radość z faktu, że nasz wspólnik usunął z naszej drogi tego strasznego Beaumonta.

Gretchen wzięła go za rękę, wcisnęła ją między swoje uda i zaczęła pocierać o majteczki w górę i w dół.

— Jesteś nie tylko piękny. Jesteś genialny.

— Potem zamienimy się rolami i dam mu odczuć, że musi mnie przekonać, iż jest wart Genewy. To on będzie musiał uzasadnić swój udział w pakcie. To ważne z psychologicznego punktu widzenia, aby postawić go w tym położeniu; jego uzależnienie się ode mnie musi się nasilać.

Gretchen zwarła uda na jego dłoni i schwyciła go za nadgarstek; uścisk był nagły i znaczący seksualnie.

— Potrafisz podniecić mnie samymi słowami. Wiesz o tym przecież, prawda?

— Za chwilę, moja miłości... moja jedyna miłości. Musimy jeszcze porozmawiać. — Tennyson wpił się palcami w nogę siostry; jęknęła z rozkoszy. — Oczywiście, po rozmowie z Helden będę lepiej wiedział, co mówić.

— A więc zobaczysz się z nią przed spotkaniem z Holcroftem?

— Tak. Zadzwońię do niej i powiem, że muszę się z nią natychmiast widzieć. Po raz pierwszy w życiu ujrzy mnie w męce samozwątpienia, szukającego rozpaczliwie potwierdzenia słuszności swych działań.

— Znowu genialny. — Wyjęła jego rękę spomiędzy ud i położyła ją sobie pod piersi. — A czy nasza mała siostrzyczka wciąż zadaje się z tymi mętami i wyrzutkami? Z tymi brodatymi *Verwunschkindern* z własnego wyboru o popsutych zębach?

— Oczywiście. Musi czuć, że jest potrzebna; to zawsze było jej słabością.

— Nie urodziła się w Rzeszy.

Tennyson zaśmiał się szyderczo.

— Idąc za głosem swojego społecznikowskiego instynktu, została niańką. Mieszka w domu *Herr Obersta* i opiekuje się tym kalekim sukinsynem. Każdego wieczora zmienia dwa razy samochód, żeby nie przywlec za sobą do niego zabójców z ODESSY albo *Rache*.

— Pewnego dnia mogą ją zabić — mruknęła Gretchen. — Trzeba się nad tym zastanowić. Zaraz po odblokowaniu konta przez bank będzie musiała umrzeć. Nie jest głupia, Johannie. Jeszcze jedno morderstwo złożone na karb *Rache*. Albo ODESSY.

— Już o tym myślałem... a jeśli już mowa o morderstwie, powiedz mi, czy Holcroft wspominał coś o Peterze Baldwinie?

— Ani słowem. Zważywszy na komedię, jaką przed nim odegrałam, nawet nie oczekiwałam, że to zrobi. Byłam niezrównoważoną, sfrustrowaną żoną. Nie chciał mnie straszyć, ale też nie zamierzał dzielić się ze mną informacjami mogącymi stanowić zagrożenie dla Genewy.

Tennyson pokiwał głową. Zaplanowali wszystko dokładnie.

— Jak się zachowywał, kiedy mówiłaś o mnie?

— Dałam mu bardzo mało czasu na reakcję — powiedziała Gretchen. — Powiedziałam mu po prostu, że występujesz w imieniu von Tieboltów. Dlaczego Baldwin usiłował go przechwycić w Nowym Jorku? Orientujesz się?

— Wydedukowałam to jedynie na podstawie posiadanych informacji. Baldwin działał z Pragi czeskiej, był agentem MI 6, który — jak niosła wieść — swoją wierność gwarantował temu, kto da więcej. Sprzedawał informacje każdemu, aż wreszcie ściągnął na siebie podejrzania własnych kolegów. Wylali go, ale nie postawili przed sądem, bo nie mieli stu-procentowej pewności. Działał w przeszłości jako podwójny agent i utrzymywał, że była to jego przykrywka. Przysięgał, że tworzył dwustronną siatkę szpiegowską. Znał nazwiska wszystkich brytyjskich kontaktów w Europie środkowej i niewątpliwie dał swoim przełożonym do zrozumienia, że jeśli coś mu się stanie, te nazwiska wypłyną. Zachował niewinność. Twierdził potem, że spotkała go kara za zbyt sumienne wywiązywanie się z obowiązków.

— Co to ma wspólnego z Holcroftem?

— Żeby to zrozumieć, trzeba sobie uzmysłwić, kim był Baldwin. Był dobry, a jego źródła najlepsze. Poza tym uchodził za specjalistę od operacji kurierskich, potrafił wywąchać wszystko. Pogłoski o wielkiej fortunie przechowywanej w Genewie, o nazistowskim łupie usłyszał w Pradze. Ta plotka nie była niczym niezwykłym. Podobne opowieści krążyły po świecie od upadku Berlina. Tę od innych odróżniało tylko to, że wspomniane w niej było nazwisko Clausena. Ale i w tym nie było niczego zaskakującego — Clausen był finansowym geniuszem Rzeszy. Baldwin jednak sprawdził wszystko do najdrobniejszego szczegółu; tak właśnie zwykł pracować.

— Dotarł do archiwów kurierskich — wtrąciła Gretchen.

— Tak. Skoncentrował się na *Finanzministerium*. Prześledził tam setki kursów. Osobą docelową w kilkunastu z nich był Manfredi. Gdy miał już nazwisko Manfrediego, pozostawało mu tylko cierpliwie obserwować — i wręczać ostrożnie łapówki pracownikom banku. Przełom nastąpił z chwilą, gdy Baldwin dostał cynk o organizowaniu przez Manfre-

diego spotkania z Amerykaninem nazwiskiem Holcroft, o którym dotąd nic nie słyszał. Po co?! Sprawdził Holcrofta i natrafił na jego matkę.

— Odgrywała główną rolę w strategii Manfrediego — wtrąciła znowu Gretchen.

— Od samego początku — przytaknął Tennyson kiwając głową. — Przekonał Clausena, że ona musi wyjechać z Niemiec. Miała własne pieniądze i obracała się w zamożnych kręgach społeczeństwa. W Ameryce mogła być bardzo użyteczna. W nakłonieniu jej do tego kroku miał swój udział Clausen, ale główna rola przypadła tu Manfrediemu.

— Pod tą maską gнома — powiedziała Gretchen — krył się istny Machiavelli.

— Wątpię, czy poradziłby sobie z tym wszystkim, gdyby nie jego prawdziwie niewinny wygląd. Ale Machiavelli to niezbyt trafne po równanie. Manfrediego interesowały tylko pieniądze. Tylko o nie mu chodziło. Był zaprzysiężonym wyznawcą złotego cielca. Miał w planach przejęcie kontroli nad agencją w Zurychu, dlatego właśnie go zabiliśmy.

— Ile wywahał Baldwin?

— Nigdy się tego nie dowiemy. Jednak bez względu na to, czego się dowiedział, mogło go to oczyścić w oczach brytyjskiego wywiadu. Bo widzisz, on nie był podwójnym agentem. Był dokładnie tym, za kogo się podawał: bardzo operatywnym człowiekiem MI 6 w Pradze czeskiej.

— Skontaktował się z Manfredim?

— O, tak. To się samo nasuwało, skoro wiedział o genewskim spotkaniu. Po prostu trochę się spóźnił i to wszystko. — Blondyn uśmiechnął się. — Już sobie wyobrażam tę konfrontację: dwóch krążących wokół siebie specjalistów, z których każdy chce coś rozpaczliwie osiągnąć — jeden wydobyć informacje, a drugi za wszelką cenę zachować je dla siebie, świadom, że stoi w obliczu potencjalnej katastrofy. Musiało tam dojść do pewnej ugody i — formalnie rzecz biorąc — Manfredi złamał swoje słowo, nie odwołał spotkania z Holcrofem, a następnie ostrzegł nas przed Baldwinem. Nie zaniedbał niczego. Gdyby twojego męża nakryto na morderstwie Petera Baldwina, nikt nie powiązałby tego faktu z osobą Ernsta Manfrediego. Był człowiekiem poważanym. Mógłby wygrać.

— Ale nie z Johannem von Tieboltem — powiedziała Gretchen ściskając jego rękę pod swoimi piersiami i podsuwając ją w górę. — Przy okazji, dostałam kolejny szyfrogram od Graffa z Rio. Znowu jest wściekły. Zarzuca nam, że nie informujemy go na bieżąco.

— Wyłazi z niego starość. On też spełnił już swoją rolę. Wiek czyni go nieostrożnym. To nie jest pora, żeby śłać depesze do Anglii. Obawiam się, że nadszedł już czas na *unser Freund* z Brazylii.

— Wyślesz rozkaz?

— Rano. Odpada jeszcze jedna macka zniecierpliwionej ODESSY. Za dobrze mnie wyszkolił. — Tennyson pochylił się, ujmując w dłoń pierś siostry. — Chyba na tym skończymy. Rozmowa z tobą zawsze rozjaśnia mi w głowie. Nie mam już więcej pytań, tematy się wyczerpały.

— No to zacznij wysuwać żądania. Tyle czasu minęło od naszego ostatniego razu! Musisz cały płonąć! Zajmę się tobą jak zawsze.

— Od dzieciństwa — powiedział Tennyson przykrywając ustami jej usta i sięgając po omacku do spodni. Oboje drżeli.

Naga Gretchen, wyczerpana i zaspokojona, leżała obok niego oddychając miarowo. Blondyn uniósł rękę i spojrział na fosforyzującą tarczę zegarka. Była druga trzydzieści. Czas na popełnienie strasznego czynu, do którego zobowiązywał go pakt *Wolfsschanze*. Trzeba zażreć wszelkie tropy prowadzące do Genewy.

Sięgnął pod łóżko po buty. Uniósł jeden w górę i palcami wymacał w ciemnościach obcas. Pośrodku wyczuł mały, metalowy krążek. Wcisnął go i obrócił w lewo zwalniając sprę-

żyne. Odłożył krążek na nocny stoliczek, z buta zaś wysunął stalową igłę długości dwudziestu pięciu centymetrów ukrytą w wąziutkim otworze przewierconym od obcasa do podeszwy. Igła była elastyczna, ale niełamliwa. Wbita prawidłowo pomiędzy czwarte a piąte żebro przebijała serce pozostawiając ślad, który nawet podczas sekcji zwłok częściej bywał przeoczany niż zauważany.

Ujął ją delikatnie pomiędzy kciuk, a palec wskazujący prawej ręki. Lewą dłonią dotknął prawej piersi siostry, a potem jej nagiego ramienia. Otworzyła oczy.

— Jesteś nienasycony — wyszeptła z uśmiechem.

— Tylko z tobą. — Przyciągnął ją do siebie tak, że zetknęli się ciałami. — Jesteś moją jedyną miłością — powiedział przesuwając nad nią prawe ramię i wyciągając je na odległość trzydziestu centymetrów od jej pleców. Skręcił nadgarstek do wewnątrz; igła przyjęła właściwe położenie. Pchnął ku sobie.

Boczne drogi stanowiły istny labirynt, ale Tennyson zapamiętał trasę. Znał drogę do ukrytej chaty zamieszkiwanej przez tajemniczego *Herr Obersta*, zdrajcę Rzeszy. Nawet tytuł *Oberst* był tu pełnym ironii komentarzem. Ten zdrajca nie był żadnym pułkownikiem, był generałem Wehrmachtu. Nazywał się Klaus Falkenheim i był swego czasu czwartym z najwyższych rangą przywódców Niemiec. Nie szczędzili mu pochwał towarzysze broni, a nawet sam *Fuhrer*. A ten szakal przez cały czas żył w swej błyszczącej, pustej skorupie.

Boże, jakże Johann von Tiebolt nienawidził tego niedostosowanego kłamcę, jakim był *Herr Oberst!* Ale John Tennyson nie okaże nienawiści. Wręcz przeciwnie, Tennyson pochyli czoło przed tym starcem, wyrazi mu swoje uwielbienie i szacunek. Bo jeśli istniał jakiś sposób na pozyskanie współpracownicy w osobie siostry, było nim złożenie takiego właśnie hołdu.

Zadzwoił do Helden, do wydawnictwa *Gallimard*, i powiedział, że chce się z nią spotkać w jej mieszkaniu. Tak, wie, że mieszka w małej chatce *Herr Obersta*, wie też, gdzie to jest.

— Jestem teraz dziennikarzem. Nie byłbym dobry w tym fachu, gdybym nie miał swoich źródeł informacji.

Była zaskoczona. Nalegał, by zobaczyła się z nim późnym rankiem, przed popołudniowym spotkaniem z Holcroftem. Nie pójdzie na spotkanie z Amerykaninem, o ile i dopóki nie zobaczy się z nią. Być może *Herr Oberst* pomoże wyjaśnić tę sytuację. Być może ten starej daty gentleman potrafi rozwiązać zrodzone nagle obawy.

Dojechał do gruntowej drogi prowadzącej wśród wybujałych traw w zarośniętą dolinkę, która osłaniała domostwo *Herr Obersta* przed wścibskim okiem. W trzy minuty później zatrzymał się przed wylotem ścieżki wiodącej do chaty. Otworzyły się drzwi i na spotkanie wyszła mu Helden. Jak ślicznie wyglądała, jak bardzo przypominała Gretchen!

Wymienili bratersko-siostrzany uścisk; obojgu pilno było do spotkania się z *Herr Oberstem*. Oczy Helden odbijały jego zakłopotanie. Wprowadziła go do małego, po spartańsku urządzonego domu. *Herr Oberst* stał przy kominku. Helden przedstawiła sobie obu mężczyzn.

— Jest to chwila, którą będę z największym wzruszeniem wspominał przez całe życie — zaczął Tennyson. — Zasłużył pan sobie na wdzięczność wszystkich Niemców rozsianych po całym świecie. Gdybym kiedyś mógł się panu na coś przydać, proszę powiedzieć Helden, a zrobię wszystko, o co pan poprosi.

— Jest pan bardzo miły, *Hen von Tiebolt* — odparł starzec. — Ale jeśli wierzyć pańskiej siostrze, to pan czegoś ode mnie potrzebuje, a nie potrafię sobie wyobrazić, co to takiego. W czym mogę pomóc?

— Mój problem ma związek z owym Amerykaninem. Z tym Holcroftem.

— Co to za problem? — spytała szybko Helden.

— Trzydzieści lat temu dokonano wspaniałego wyczynu, niezwyklej sztuki zaplanowanej i zrealizowanej przez trzech niezwyklej ludzi, którzy pragnęli wynagrodzić krzywdy wyrządzone przez rzeźników i maniaków. Biorąc pod uwagę okoliczności, które wtedy wydawały się sprzyjające, na osobę spełniającą kluczową rolę w rozdziale na cały świat milionowych sum wybrano Holcrofta. Prosi się mnie teraz, żebym się z nim spotkał, zaczął z nim współpracować... — Tennyson urwał, jakby zabrakło mu słów.

— No i? — *Herr Oberst* przesunął się ku niemu.

— Ja mu nie ufam — wyrzucił z siebie blondyn. — Spotykał się z nazistami. Z ludźmi, którzy najchętniej by nas zabili, Helden. Z takimi ludźmi, jak Maurice Graff z Brazylii.

— Co ty wygadujesz?

— Więzy krwi dają o sobie znać. Holcroft jest nazistą.

W oczach Helden malowała się mieszanina złości i niedowierzania.

— To absurd! Johann, to niedorzeczne!

— Czyżby? Ja jestem innego zdania.

Noel zaczekał, aż Helden wyjdzie do pracy i dopiero wtedy zamówił rozmowę telefoniczną z Nowym Jorkiem, podając numer Mileasa. Noc wypełniła im miłość i rodząca się otucha. Wiedział, że zdołał ją przekonać. Nic nie wskazywało, by w dającej się przewidzieć przyszłości ich związek miał się rozpaść. Nie dopuściłby do tego.

Zadzwonił telefon.

— Tak, proszę pani, tu Fresca; zamawiałem rozmowę z porucznikiem Milesem.

— Od razu wiedziałem, że to pan — odezwał się mężczyzna, którego głos nie kojarzył się Noelowi z żadną twarzą. — Interpol pana dorwał?

— Dorwał? Łażą za mną jacyś ludzie, jeśli o to panu chodzi. To się chyba nazywa „śledzenie”. To pan ich na mnie napuścił?

— Ja.

— Dał mi pan dwa tygodnie! Co pan, u diabła, wyrabia?

— Próbuję pana odszukać. Próbuję przekazać panu pewną wiadomość, która według mnie powinna do pana dotrzeć. Dotyczy pańskiej matki.

Noel poczuł ostre ukłucie w klatce piersiowej.

— Co z moją matką?

— Uciekła. — Miles zawiesił głos. — Nie będę ukrywał; jest cholernie dobra. To był profesjonalny ruch. Wyjechała na wycieczkę do Meksyku i zanim zdążyłby pan powiedzieć „Althene Holcroft” była już miłą staruszką udającą się do Lizbony pod nowym nazwiskiem i z nowym paszportem wystawionym przez fałszerzy z Tulancingo. Tak się nie szczęśliwie składa, że ta taktyka jest już przestarzała. Znamy ich wszystkich.

— Może odniosła wrażenie, że pan ją prześladowuje — powiedział Noel sam nie bardzo w to wierząc. — Może chciała po prostu uciec od pana.

— Nikt jej nie prześladował. I jakiegokolwiek przyświecają jej pobudki, lepiej, żeby zdała sobie sprawę, iż ktoś jeszcze wie o istnieniu tych ludzi. Ktoś bardzo poważny.

— Co mi pan tu opowiada?

— Była śledzona przez człowieka, którego danych nie możemy odszukać w aktach. Jego dokumenty, tak samo, jak i pańskiej matki, zostały podrobione. Zatrzymaliśmy go na lotnisku w Mexico City. Zanim ktokolwiek zdążył go przesłuchać, wsadził sobie do ust kapsułkę z cyjankiem.

## 29

Wybrano miejsce spotkania. Na Montmartrze, na ostatnim piętrze starego budynku znajdowało się puste mieszkanie, którego właściciel, artysta, przebywał aktualnie we Włoszech. Helden podała Noelowi przez telefon adres i godzinę. Będzie tam, żeby poznać go z bratem, ale nie zostanie z nimi.

Noel pokonał ostatni stopień i zapukał do drzwi. Usłyszał szybkie kroki, drzwi otworzyły się. W wąskim przedpokoju stała Helden.

— Cześć, kochany — powitała go.

— Cześć — odpowiedział z zakłopotaniem, całując ją w usta i zerkając w głąb mieszkania.

— Johann jest na tarasie — powiedziała ze śmiechem. — A zresztą pocałunek to nic zdrożnego. Powiedziałam mu... jak cię lubię.

— Czy to było konieczne?

— Może to zabrzmie dziwnie, ale tak. Jestem rada, że to zrobiłam. Od razu lepiej się czuję. — Zamknęła drzwi trzymając go pod ramię. — Nie potrafię tego wytłumaczyć — ciągnęła. — Nie widziałam się z bratem ponad rok. Ale on się zmienił. Sytuacja w Genewie tak na niego wpłynęła; bardzo mu zależy, żeby się udało. Nigdy nie widziałam go tak... och, sama nie wiem... w takiej rozterce.

— Nadal mam wiele pytań, Helden.

— On też. Dotyczą twojej osoby. Dzisiaj rano była już chwila, że nie chciał się z tobą spotkać. Nie ufa ci. Sądzi, że ktoś cię skaptował, zapłacił za zdradę Genewy.

— Mnie?

— Pomyśl tylko. Dowiedział się od ludzi z Rio, że spotkałeś się z Graffem. Potem udałeś się prosto do Londynu, do Beaumonta. Miałeś co do niego rację: jest z ODESSY... — Helden przerwała na chwilę. — Powiedział, że... spędziłeś noc z Gretchen, że poszedłeś z nią do łóżka...

— Zaraz, zaraz — przerwał jej Noel.

— Nie, kochanie, to nieważne. Powiedziałam ci, że znam swoją siostrę. Ale to układa się w pewną logiczną całość, nie sądzisz? ODESSA traktuje kobiety jedynie instrumentalnie. Jesteś sympatykiem ODESSY; miałeś długą, męczącą podróż. To zupełnie naturalne, że twoje potrzeby musiały zostać zaspokojone.

— Barbarzyństwo!

— Tak to widzi Johann.

— Myli się.

— Teraz się już o tym przekonał. Przynajmniej tak mi się wydaje. Powiedziałam mu o wszystkich twoich — naszych — przejściach i o tym, jak cię o mało nie zabito. Był zaskoczony. Może mieć jeszcze do ciebie parę pytań, ale sądzę, że jest przekonany.

Holcroft potrząsnął z niedowierzaniem głową. *Nic już nie jest dla ciebie jak było... nic już nigdy takie nie będzie.* Nie dość, że nic nie było już takie jak dawniej, to jeszcze było tym, czym być nie powinno. Nie istniała linia prosta z punktu A do punktu B.

— Miejmy to już za sobą — powiedział. — Spotkamy się później?

— Oczywiście.

— Wracasz jeszcze do pracy?

— Dzisiaj mam wolne.

— Zapomniałem. Cały ranek spędziłaś z bratem. Powiedziałeś, że idziesz do pracy, ale spotkałaś się z nim.

— To było kłamstwo konieczne.

— Wszystkie kłamstwa są konieczne, no nie?

— Noelu, proszę cię. Mam po ciebie wrócić? Powiedzmy, za dwie godziny?

Holcroft zastanowił się. Wciąż był zaniepokojony informacjami przekazanymi mu przez Milesa. Próbował złapać Sama Buonoventurę na Curacao, ale Sam był w terenie.

— Lepiej wyświadczyć mi przysługę — powiedział do Helden. — Opowiadałem ci o Buonoventurze z Karaibów. Zamówiłem do niego rozmowę telefoniczną z hotelu; nie oddzwonił. Jeśli jesteś wolna, może posiedziałybyś w moim pokoju na wypadek, gdyby się odezwał? Nie fatygowałbym cię, ale to pilne. Coś się wydarzyło; później ci powiem co. Zrobisz to dla mnie?

— Nie ma problemu. Co mam mu przekazać?

— Powiedz mu, żeby przez kilka godzin czekał pod telefonem. Albo niech ci da numer, pod którym będę go mógł później zastać. Między szóstą a ósmą. Czasu paryskiego. Powiedz mu, że to ważne. — Noel sięgnął do kieszeni. — Tu masz klucz. I pamiętaj, nazywam się Fresca.

Helden wzięła od niego klucz, a potem wsunęła mu rękę pod ramię i wprowadziła do pracowni.

— I ty też pamiętaj, że mój brat nazywa się Tennyson. John Tennyson.

Holcroft zobaczył Tennysona poprzez grube tafle wychodzącego na taras okna z szybami ze szkła ołowiowego. Stał tam bez płaszcza i kapelusza, w samym tylko ciemnym garniturze w prążki. Trzymając się dłońmi bariereki, spoglądał na panoramę Paryża. Wysoki, smukły, o sylwetce aż za idealnej. Było to ciało atlety, kojarzyło się z zespołem zwiniętych sprężyn, czekających w napięciu na zwolnienie. Odwrócił się nieco w prawo i ukazał twarz. Takiej twarzy Noel jeszcze nie widział. Była niczym dzieło sztuki, o rysach zbyt zbliżonych do ideału, by mogła być naprawdę z krwi i kości. A ponieważ nie szpeciła jej najmniejsza nawet skaza, z twarzy tej wiało chłodem. Była to twarz wykuta z marmuru, zwieńczona połyskliwymi blond włosami idealnie przy strzyżonych, tworzącymi harmonijną całość z kamieniem.

I wtedy von Tiebolt-Tennyson dostrzegł go przez okno. Ich oczy spotkały się i wrażenie marmuru przyszło. Oczy blondyna były żywe i przenikliwe. Odepchnął się od bariereki i ruszył ku drzwiom tarasu.

Wkroczył do pokoju z wyciągniętą ręką.

— Jestem synem Wilhelma von Tiebolta.

— Noel Holcroft. Moim... ojcem był Heinrich Clausen.

— Wiem. Helden dużo mi o tobie opowiadała. Sporo przeszedłeś.

— Oboje przeszliśmy — skorygował Holcroft. — To znaczy, twoja siostra i ja. O ile zdążyłem się zorientować, tobie też nie było lekko.

— Takie już to nasze dziedzictwo... — Tennyson uśmiechnął się. — Krępujące są podobne spotkania, prawda?

— Bywało, że czułem się swobodniej.

— A ja nie odezwałam się słowem — wtrąciła się Helden. — Zupełnie przyzwoicie poradziliście sobie z prezentacją sami. Teraz wychodzę.

— Wcale nie musisz — powiedział Tennyson. — To, co my dwaj mamy sobie do powiedzenia, dotyczy chyba i ciebie.

— Nie jestem pewna. Nie w tej chwili. Poza tym mam coś do załatwienia — odparła Helden. Ruszyła w kierunku przedpokoju. — Wydaje mi się, że to ogromnie ważne — dla bardzo wielu ludzi — żebyście doszli do porozumienia. Mam nadzieję, że potraficie. — Otworzyła drzwi i wyszła.

Przez kilka chwil panowała cisza, obaj mężczyźni patrzyli na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Helden.



— Jest nadzwyczajna — mruknął wreszcie Tennyson. — Bardzo ją kocham.  
 Noel odwrócił głowę.  
 — Ja również.  
 Tennyson odwzajemnił jego spojrzenie, ale i nie omieszkał skomentować ostatniej deklaracji.  
 — Mam nadzieję, że nie komplikuje ci to życia.  
 — Mnie nie, ale jej może.  
 — Rozumiem. — Tennyson podszedł do okna i zapatrzył się w przestrzeń. — Nie mam żadnego prawa udzielać wam swojego błogosławieństwa — chadzamy z Helden własnymi drogami — a nawet gdybym je miał, nie jestem pewien, czy bym to uczynił.  
 — Dziękuję za szczerość.  
 Blondyn odwrócił się.  
 — Tak, jestem szczerzy. Nie znam ciebie. Wiem o tobie tylko tyle, ile usłyszałem od Helden i ile sam się dowiedziałem. Ona powtarza mi w zasadzie to, co ty jej powiedziałaś, podkoloryzowując to, oczywiście, uczuciami. To, czego sam się dowiedziałem, nie jest już tak kryształowe. Tak samo zresztą, jak kombinacja obu wersji nie przystaje zbyt do raczej entuzjastycznego wizerunku przedstawianego przez moją siostrę.  
 — Obaj mamy pytania. Chcesz zaczynać?  
 — To chyba nie ma znaczenia, prawda? Ja mam ich niewiele i są bardzo bezpośrednie.  
 — W głosie Tennysona pojawiły się nagle szorstkie nuty. — Jaki miałeś interes do Maurice'a Graffa?  
 — Sądziłem, że Helden ci wyjaśniła.  
 — Jak już zaznaczyłem, powtórzyła tylko twoje słowa. Chcę to usłyszeć jeszcze raz od ciebie. Mam trochę więcej doświadczenia niż moja siostra. Nie wierzę bezkrytycznie we wszystko tylko dlatego, że ty to mówisz. Życie mnie tego nauczyło. Dlaczego spotkałeś się z Graffem?  
 — Szukałem was.  
 — Mnie?  
 — Nie ciebie konkretnie. Szukałem rodziny von Tieboltów. Informacji o was.  
 — Dlaczego zwróciłeś się z tym do Graffa?  
 — Podano mi jego nazwisko.  
 — Kto ci je podał?  
 — Nie pamiętam...  
 — Nie pamiętasz? W Rio mieszkają tysiące tysięcy ludzi, a przypadek sprawia, że tobie podają akurat nazwisko Maurice'a Graffa.  
 — To prawda.  
 — To absurd.  
 — Chwileczkę. — Noel usiłował odtworzyć kolejność wydarzeń, które zaprowadziły go do Graffa. — Zaczęło się w Nowym Jorku...  
 — C o się zaczęło? Graff był w Nowym Jorku?  
 — Nie, konsul. Udałem się do konsulatu brazylijskiego i roz mawiałem z attache. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób można ustalić miejsce pobytu rodziny, która przyjechała do Brazylii w latach czterdziestych. Z faktów, które mu podałem, attache wywnioskował, że szukam Niemców. Dał mi wykład o... jest na to takie hiszpańskie określenie. *La otra cara de los alemanes*. Oznacza drugie oblicze Niemca, ukryte pod zewnętrzną maską.  
 — Wiem coś o tym. Mów dalej.  
 — Poinformował mnie, że w Rio istnieje silna, zwarta gmina niemiecka, na której czele stoi kilku potężnych ludzi. Ostrzegł mnie przed poszukiwaniem niemieckiej rodziny, która zniknęła. Uznał to za niebezpieczne. Może celowo przesadzał, bo nie chciałem mu podać waszego nazwiska.

— Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłeś.

— Po przyjeździe do Rio nie byłem w stanie znaleźć punktu zaczepienia. Nawet dokumenty w urzędzie imigracyjnym były prze robione.

— Wielkim kosztem poniesionym przez bardzo wielu ludzi — wtrącił gorzko Tennyson. — To było nasze jedyne zabezpieczenie.

— Utknąłem w martwym punkcie. I wtedy przypomniałem sobie, co attache mówił o społeczności niemieckiej, kierowanej przez kilku potężnych ludzi. Wszedłem do niemieckiej księgarni i zapytałem sprzedawcę o domy. O duże domy, rezydencje na wieloakrowych posiadłościach. Nazwałem je „bawarskimi”, ale on wiedział, o co mi chodzi. Jestem architektem i przyszło mi do głowy...

— Rozumiem — Tennyson skinął głową. — Wielkie niemieckie posiadłości, najbardziej wpływowi przywódcy społeczności niemieckiej.

— No właśnie. Sprzedawca podał mi dwa nazwiska. Jedno żydowskie, drugie Graffa. Powiedział, że posiadłość Graffa zalicza się do najbardziej imponujących w Brazylii.

— Bo tak jest.

— No i to tyle. Właśnie tak trafiłem do Graffa.

Tennyson stał bez ruchu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— To nawet prawdopodobne.

— Cieszę się, że tak uważasz — odetchnął Noel.

— Powiedziałem tylko, że to prawdopodobne. Nie mówiłem, że ci wierzę.

— Nie mam powodu kłamać.

— Nawet gdybyś go miał, nie jestem pewien, czy starczyłoby ci talentu. Jestem bardzo dobry w demaskowaniu kłamców.

Oświadczenie Tennysona zbiło Noela z tropu.

— Praktycznie to samo oznajmiła mi Helden tego wieczora, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— Dobrze ją wyszkoliłem. Łganie jest sztuką. Nad jej doskonaleniem trzeba pracować. Ty masz o niej mgliste pojęcie.

— Co, u diabła, próbujesz mi zasugerować?

— Mówię, że jesteś bardzo zdolnym amatorem. Dobrze konstruujesz swoją wersję zdarzeń, ale brakuje ci wyraźnie profesjonalnego podejścia. Zapominasz o klamrze łączącej. Jako architekt na pewno rozumiesz, o co mi chodzi.

— Niech mnie diabli, jeśli coś z tego rozumiem. Wytłumacz mi.

— Z przyjemnością. Wyjechałeś z Brazylii znając tylko nazwisko von Tiebolt. Przybywasz do Anglii i w niespełna dwanaście godzin jesteś już w miasteczku pod Portsmouth u mojej siostry i idziesz z nią do łóżka. Nie znałeś wtedy nawet nazwiska Tennyson. Jak to więc możliwe, że wiedziałeś o Beaumencie?

— Ależ ja dysponowałem już nazwiskiem Tennyson.

— Jak to? Skąd się dowiedziałeś?

— Mówiłem już o tym Helden. Przyszła do mnie do hotelu para — brat z siostrą. Nazywali się Cararra.

— Ach tak. Cararra. Bardzo popularne w Brazylii nazwisko. Czy mówi ci ono coś?

— Oczywiście że nie.

— A więc ci Cararrowie zjawili się u ciebie nie wiadomo skąd, utrzymując, że są naszymi najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Ale, jak już wiesz od Helden, my nigdy o nich nie słyszeliśmy. No, Holcroft, będziesz się musiał bardziej postarać. — Tennyson podniósł głos. — Nazwisko Beaumonta dostałeś od Graffa, tak? Od ODESSY o ODESSIE.

— Nie. Graff nic nie wiedział. On sądzi, że wciąż ukrywacie się gdzieś w Brazylii.

— Powiedział to?

— Dał do zrozumienia. Cararrowie to potwierdzili. Wspominali coś o koloniach na po-

łudniu kraju — „Catarinas” czy jakoś tak. O górzystym regionie zasiedlonym przez Niemców.

— Dobrze odrobiłeś swoją pracę domową. Santa Catarinas to niemieckie osiedla. Ale znowu wracamy do tych podejrzanych Cararrów.

Noel przypomniał sobie autentyczny strach wyzierający z twarzy młodego rodzeństwa z Rio.

— Może dla ciebie są podejrzani, ale nie dla mnie. Albo masz kiepską pamięć, albo kiepski z ciebie przyjaciel. Powiedzieli, że Helden jak Helden, ale ciebie znają bardzo dobrze. Piekielnie ryzykowali spotykając się ze mną. Portugalscy Żydzi, którzy...

— Portugalscy... — wpadł mu w słowo Tennyson tknięty nagłym przecuciem. — O Boże! I przedstawili ci się nazwiskiem Cararra. Opisz mi ich.

Kiedy Holcroft skończył, Tennyson wyszeptał:

— Stare dzieje... Stare dzieje, Holcroft. Wszystko pasuje. Użycie nazwiska Cararra. Portugalscy Żydzi. Santa Catarina... Wrócili do Rio.

— Kto wrócił?

— Montealegre — tak brzmi ich prawdziwe nazwisko. To już dziesięć, a może nawet dwanaście lat... To, co ci powiedzieli, to tylko kamuflaż, żebyś nigdy, nawet nieświadomie, nie mógł odkryć ich prawdziwej tożsamości.

— Co się wydarzyło dwanaście lat temu?

— Szczegóły nie są ważne, ale musieli zniknąć z Rio, wysłaliśmy ich więc do Catarinas. Ich rodzice pomagali Izraelczykom i zostali za to zamordowani. Zarządzono polowanie na tych dwoje dzieciaków; miały podzielić los rodziców. Trzeba je było wywieźć na południe.

— A więc w Catarinas mieszkają ludzie, którzy wiedzą o tobie?

— Tak, jest tam takich paru. Nasza baza wypadowa znajdowała się w Santa Catarina. Rio było zbyt niebezpieczne.

— Jaka baza wypadowa? Kim są owi „my”?

— Ci z nas, którzy występowali w Brazylii przeciwko ODESSIE. — Tennyson potrząsnął głową. — Muszę przeprosić. Helden miała rację: źle cię osądziłem. Nie kłamałeś.

Noel poczuł się zrehabilitowany za coś, co nie wymagało rehabilitacji. Krępował się zadawać pytania człowiekowi zwalczającemu ODESSE, człowiekowi, który uratował życie dzieciom tak samo skutecznie, jakby wyrwał je z Auschwitz albo Belsen, który szkolił w sztuce przetrwania kobietę, którą on, Noel, kochał. Ale miał pytania. Mimo wszystko musiał je zadać.

— Teraz moja kolej — powiedział. — Jesteś bardzo inteligentny i wiesz rzeczy, o których ja nawet nie słyszałem, ale sprawiasz na mnie wrażenie niezbyt skorego do zwierzeń.

— Jeśli jedno z twoich pytań dotyczy Tinamou — uprzedził Tennyson — przykro mi, ale nie odpowiem. Nie będę nawet dyskutował na ten temat.

— Czego nie zrobisz? — spieszył się Holcroft.

— Słyszałeś. Nie będę dyskutował na temat Tinamou. To nie twój interes.

— A ja uważam, że jest to jak najbardziej mój interes! Wyjaśnijmy sobie od razu: jeśli nie chcesz rozmawiać o Tinamou, w ogóle nie mamy o czym ze sobą rozmawiać.

Tennyson zaniemówił z wrażenia.

— Mówisz serio?

— Absolutnie.

— A więc postaraj się mnie zrozumieć. Nie można sobie teraz pozwolić na najmniejsze potknięcie, na ewentualne ryzyko — nieważne, jak mało prawdopodobne — że niewłaściwe słowo dotrze do niewłaściwej osoby. O ile się nie mylę, a sędzę, że nie, będziesz miał swoją odpowiedź w ciągu najbliższych kilku dni.

— To mi wystarcza!

— Uchylę zatem przed tobą rąbka tajemnicy. Tinamou był szkolony w Brazylii. Przez

ODESSĘ. Przypatrywałem mu się tak bacznie, jak nikt na świecie. Tropię go od sześciu lat.

Minęło kilka sekund, zanim Noel odzyskał mowę.

— Tropisz... od sześciu lat?

— Tak. Już pora, żeby Tinamou znowu zaatakował. Należy się spodziewać kolejnego zabójstwa. To dlatego skontaktowali się z tobą Brytyjczycy. Oni też to wiedzą.

— Dlaczego nie nawiążesz z nimi współpracy? Na miłość boską, wiesz przecież, co podejrzewają!

— Wiem, co ktoś próbował im zasugerować. I dlatego nie mogę z nimi współpracować. Tinamou ma swoje wtyczki wszędzie. Nie znają go, ale on je wykorzystuje.

— Powiedziałeś, że to kwestia kilku dni.

— Jeśli się mylę, podzielę się z tobą wszystkim, co wiem. Pójdę nawet z tobą do Brytyjczyków.

— Kwestia kilku dni... No dobrze. Odłożmy zatem sprawę Tinamou na kilka dni.

— Odpowiem ci na każde inne pytanie, jeśli tylko potrafię. Nie mam nic do ukrycia.

— Znałeś Beaumonta w Rio. Wiedziałeś, że należy do ODESSY. Zarzuciłeś mi nawet, że uzyskałem jego nazwisko od Graffa. A mimo to poślubił twoją siostrę. ODESSA z ODESSĄ? Czy ty też z niej jesteś?

— To kwestia priorytetów — odparł bez zmruczenia powieki Tennyson. — Mówiąc prosto, zostało to zaplanowane. Moja siostra Gretchen nie jest już tą kobietą co dawniej, ale nigdy nie zatraciła swej nienawiści do nazistów. Poświęciła więcej niż ktokolwiek z nas. Zналиśmy każdy ruch Beaumonta.

— Ale on przecież wie, że jesteś von Tieboltem! Dlaczego nie mówi tego Graffowi?

— Spytaj go, jeśli chcesz. Może ci powie.

— T y mi powiedz.

— On też się boi — odparł Tennyson. — Beaumont to świnia. Nawet jego przekonaniom brak czystości. Coraz mniej udziela się w ODESSIE. Robi to tylko wtedy, gdy go postraszą.

— Nie rozumiem...

— Gretchen obdarzona jest... nazwijmy to, darem perswazji. Chyba doświadczyłeś tego na sobie? Oprócz tego na konto Beaumonta trafiają po cichu wielkie sumy pieniędzy. Do tego wszystkiego boi się, że zostanie zdemaskowany z jednej strony przez Graffa... z drugiej przede mną. Jest przydatny nam obu, przy czym, oczywiście, bardziej mnie niż Graffowi. Jest w szachu.

— Jeśli znałeś każdy jego ruch, musiałeś wiedzieć, że jest w tym samolocie do Rio. Musiałeś wiedzieć, że mnie śledzi.

— Skąd miałem to wiedzieć? Przecież cię wtedy nie znałem.

— On tam był. Ktoś go za mną posłał!

— Kiedy Helden mi o tym powiedziała, próbowałem ustalić personalia tego osobnika. Dowiedziałem się bardzo niewiele, ale wystarczająco, by wzbudzić moją czujność. Moim zdaniem naszą zaszachowaną świnie skaptowała jakaś trzecia grupa. Ktoś, kto odkrył jego powiązania z ODESSĄ i wykorzystywał go. Tak jak wykorzystywał go Graff i jak ja go wykorzystywałem.

— Kto to był?

— Bóg mi świadkiem, że sam chciałem wiedzieć! Dostał przepustkę na zejście w pilnej sprawie z pokładu swojego okrętu stacjonującego na Morzu Śródziemnym. Udał się do Genewy.

— Do Genewy? — Noel sięgnął szybko pamięcią wstecz. Do prze działu czasowego przesłoniętego gwałtownym zamieszaniem, przelewającymi się tłumami i wrzawą... do chwil na peronie dworca kolejowego. Na betonowym peronie dworca kolejowego. Bójka, jakiś mężczyzna w zakrwawionej koszuli wygięty w tył, drugi mężczyzna ścigający trzeciego...

przebiegający obok, przestraszony człowiek z rozszerzonymi przerażeniem oczami pod... krzaczastymi szpakowatymi brwiami. — No właśnie — wymamrotał Holcroft zdziwiony. — Beaumont był w Genewie.

— Przed chwilą ci to powiedziałem.

— Ja go tam widziałem! Do tej pory nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to było. Śledził mnie od samej Genewy.

— Obawiam się, że nie wiem, o czym mówisz.

— Gdzie jest teraz Beaumont? — spytał Noel.

— Z powrotem na swoim okręcie. Przed kilkoma dniami pojechała do niego Gretchen. Zdaje się, że stacjonuje teraz w Saint-Tropez.

*Jutro wyjeżdżam nad Morze Śródziemne. Do człowieka, którego nienawidzę...* Wszystko nabierało teraz sensu. Być może Tennyson nie był w tym pokoju jedynym niesprawiedliwym w swych osądach człowiekiem.

— Musimy ustalić, kto wysłał za mną Beaumonta — powiedział Noel mając przed oczami obraz mężczyzny w czarnej, skórzanej kurtce. Tennyson miał rację — doszli do tych samych wniosków. Był ktoś jeszcze.

— Zgadza się z tobą — odparł blondyn. — Zrobimy to wspólnie? Holcrofta nasza pokusa, żeby się zgodzić. Ale jeszcze nie skończył.

Jeśli mają zawiązać spółkę, ani jedno pytanie nie może pozostać bez odpowiedzi.

— Może — odparł wymijająco. — Chcę cię jeszcze spytać o dwie rzeczy. I z góry ostrzegam, odpowiedzi muszę usłyszeć teraz, nie w ciągu „najbliższych kilku dni”.

— W porządku.

— Zabiłeś kogoś w Rio.

Oczy Tennysona zwięzły się.

— Helden ci powiedziała.

— Musiałem to wiedzieć; uznała moje racje. Genewa jest obwarowana warunkami, które wykluczają wszelkie niespodzianki. Jeśli jesteś narażony na szantaż, nie mogę cię do niej bliżej dopuścić.

— Rozumiem — Tennyson skinął głową.

— Kto to był? Kogo zabiłeś?

— Źle oceniasz moją powściągliwość — odparł blondyn. — Nie mam żadnych zahamowań przed wyjawieniem ci prawdy. Zastanawiam się tylko, jak będziesz mógł ją zweryfikować. Szantaż jest wykluczony. Nie ma o tym mowy. Ale jak cię przekonać?

— Zaczniemy od nazwiska.

— Manuel Cararra.

— Cararra?...

— Tak. To dlatego jego nazwiskiem posłużyło się tych dwoje ludzi. Był to rodzaj politycznej aluzji. Cararra uchodził za lidera Izby Deputowanych, jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju. Ale nie służył Brazylii. Służył Graffowi. ODESSIE. Zabiłem go siedem lat temu i zabiłbym go jeszcze raz, choćby jutro.

Noel przypatrywał się badawczo twarzy Tennysona.

— Kto o tym wiedział?

— Kilku starszych mężczyzn. Tylko jeden z nich jeszcze żyje. Jeśli chcesz, podam ci jego nazwisko. Nigdy nie puści pary z ust o tym zabójstwie.

— Dlaczego?

— Kij, jak mówią, ma dwa końce. Przed wyjazdem z Rio de Janeiro spotkałem się z nimi. Postawiłem im wyraźne ultimatum. Jeśli kiedykolwiek będą próbowali mnie ścigać, podam do wiadomości publicznej wszystko, co wiem na temat Cararry. Budowany pracowicie obraz martyrologii konserwatystów rozsypie się w proch. Siły konserwatywne Brazylii nie mogą do tego dopuścić.

— Chcę poznać to nazwisko.

— Napiszę ci je. — Tennyson uczynił to. — Na pewno zdołasz się z nim skontaktować telefonicznie za pośrednictwem linii transatlantyckiej. Nie potrwa to długo. Wystarczy podać nazwiska moje i Cararry.

— Mogę to zrobić.

— Proszę bardzo — powiedział Tennyson. — Potwierdzi wszystko, co ode mnie usłyszałeś.

Obaj mężczyźni stali naprzeciwko siebie oddaleni o niecały metr od siebie.

— W londyńskim metrze wydarzył się wypadek — podjął Noel. — Zginęło kilka osób, a wśród nich człowiek pracujący w *Guardianie*. Jego podpis widniał na kwestionariuszu przyjęcia cię do pracy. On prze prowadzał z tobą wywiad wstępny i tylko on mógł rzucić jakieś światło na okoliczności zatrudnienia cię w gazecie.

W oczach Tennysona pojawił się znowu chłód.

— To był szok. Nigdy nie przejdę nad tym do porządku dziennego. O co chcesz spytać?

— Wydarzył się jeszcze jeden wypadek. W Nowym Jorku. Przed kilkoma zaledwie dniami. W nim też zginęło kilka niewinnych osób, ale celem był tylko jeden z nich. Ktoś, kogo bardzo kochałem.

— Powtarzam! Do czego zmierzasz, Holcroft?

— Między tymi wypadkami występują pewne podobieństwa, chyba się ze mną zgodzisz? MI 5 nic nie wie o wypadku w Nowym Jorku, ale ma bardzo konkretne podejrzenia co do tego, który wydarzył się w Londynie. Ja je porównałem i dostrzegłem zastanawiający związek. Co wiesz o wypadku, do którego doszło pięć lat temu w Londynie?

Tennyson zeszywniał.

— Strzeż się — warknął. — Brytyjczycy za bardzo węszą. Czego ty ode mnie chcesz? Jak daleko się posuniesz, byle tylko mnie zdyskredytować?

— Przestań bredzić! — krzyknął Noel. — Co się stało w metrze?

— Byłem tam! — Blondyn poderwał rękę do kołnierzyka koszuli wystającej spod prążkowanej marynarki, szarpnął wściekle, aż puściły guziki, odstaniając bliznę ciągnącą się od nasady szyi do piersi. — Nic nie wiem o Nowym Jorku, ale z doświadczeniem z Charing Cross sprzed pięciu lat będę musiał żyć do śmierci! Spójrz tylko, nie ma dnia, żeby mi się to nie przypominało. Czterdzieści siedem szwów. Pięć lat temu w Londynie myślałem przez kilka chwil, że odcięto mi do połowy głowę. A ten człowiek, o którym w tak enigmatyczny sposób mówisz, był moim najdroższym przyjacielem w Anglii! Pomógł nam w wydostaniu się z Brazylii. Jeśli ktoś go zabił, próbował zabić i mnie! Byliśmy tam razem.

— Nie wiedziałem... Brytyjczycy nic mi o tym nie powiedzieli. Nie wiedzieli, że tam byłeś.

— Proponuję, żeby ktoś to sprawdził. Rejestry szpitalne są gdzieś przechowywane. Odszukanie ich nie powinno przysporzyć większych trudności. — Tennyson potrząsnął z oburzeniem głową. — Przepraszam, nie powinienem mieć do ciebie pretensji. To przez tych Brytyjczyków. Uciekną się do każdego chwytu.

— Istnieje możliwość, że naprawdę nie wiedzieli.

— Tak przypuszczam. Do szpitali przewieziono wówczas setki ludzi z pociągu. Zapełniono nimi kilkanaście londyńskich klinik. Nikt nie przywiązywał większej wagi do nazwisk. Ale wydawałoby się, że moje powinni odnaleźć. Przebywałem w szpitalu dwa dni. — Tennyson urwał nagle. — Powiedziałaś, że przed kilkoma zaledwie dniami w Nowym Jorku zabity został ktoś, kogo bardzo kochałeś. Co się stało?

Noel opowiedział o śmierci Richarda Holcrofta na ulicy, pod kołami samochodu, i o teorii wysnutej przez Davida Milesa. Ukrywanie czegokolwiek przed człowiekiem, którego tak fałszywie osądził, nie miało sensu.

Z jego relacji wpływał wcześniej już sformułowany wniosek:

*Moim zdaniem naszą zaszachowaną świnie skaptowała jakaś trzecia grupa.*

*Kto?*

*Bóg mi świadkiem, że sam chciałbym to wiedzieć...*

*Ktoś jeszcze.*

*Mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Stawiający się w ciemnym berlińskim zaułku. Proszący się o śmierć... Który odmawiał udzielenia odpowiedzi na pytanie, kim jest albo kogo reprezentuje. Ktoś albo coś potężniejszego, lepiej poinformowanego od „Rache” czy ODESSY.*

*Ktoś jeszcze.*

Noel opowiedział Tennysonowi wszystko, z ulgą zrzucając z siebie brzemię. Ulgę pogłębiała jeszcze uwaga, z jaką słuchał go blondyn. Jego cętkowane, szare oczy były wręcz przykute do twarzy Holcrofta, bez reszty nim zaabsorbowane. Skończywszy, Noel poczuł się wyczerpany.

— To wszystko, co wiem.

Tennyson skinął głową.

— Wreszcie się spotkaliśmy, prawda? Obaj musieliśmy z siebie wyrzucić, co leżało nam na sercu. Obaj uważaliśmy się za wrogów i obaj się myliliśmy. Teraz czeka nas wiele pracy.

— Od jak dawna wiesz o Genewie? — spytał Holcroft. — Uprzedziłeś jednak Gretchen o pojawieniu się człowieka, który opowie o dziwnej umowie.

— Wiem od dziecka. O istnieniu ogromnej sumy pieniędzy, która ma zostać spożytkowana na wielkie cele, na zadośćuczynienie za straszne zbrodnie popełnione w imię Niemiec, ale nie przez prawdziwych Niemców. Powiedziała mi o tym matka. Ale tylko tyle, nic konkretnego.

— A więc nie znasz Ericha Kesslera.

— Pamiętam to nazwisko jak przez mgłę. Byłem wtedy dzieckiem.

— Polubisz go.

— Z pewnością, jeśli jest taki, jak go opisujesz. Mówisz, że wtajemnicza w sprawę Genewy swojego brata? Czy to dozwolone?

— Tak. Obiecałem, że zatelefonuję do niego do Berlina i podam mu konkretne daty.

— Może by tak poczekać z tym do jutra albo do pojutrze? Nie lepiej, żebyś zadzwonił do niego z Saint-Tropez?

— Od Beaumonta?

— Od Beaumonta — przytaknął Tennyson zaciskając usta. — Uważam, że powinniśmy się spotkać z naszą zaszachowaną świnie. Jest nam winien pewne wyjaśnienia. A mianowicie, kto jest jego aktualnym pracodawcą? Kto go wysłał na genewski dworzec kolejowy? Kto mu zapłacił albo zmusił szantażem do szpiegowania cię w drodze do Nowego Jorku, a potem do Rio de Janeiro? Kiedy już to ustalimy, będziemy wiedzieli, kogo reprezentował twój człowiek w czarnej, skórzanej kurtce.

*Ktoś jeszcze.*

Noel spojrzął na zegarek. Dochodziła szósta. Przegadali z Tennysonem niemal dwie godziny, a tylu jeszcze tematów nie poruszyli!

— Chcesz zjeść obiad ze swoją siostrą i ze mną? — spytał.

Tennyson uśmiechnął się.

— Nie, przyjacielu. Porozmawiamy jeszcze w drodze na południe. Mam parę rozmów telefonicznych i rozgrzebany artykuł do wykończenia. Nie mogę zapominać, że jestem dziennikarzem. Gdzie się zatrzymałeś?

— U „George'a V”. Pod nazwiskiem Fresca.

— Zadzwoń do ciebie wieczorem — Tennyson wyciągnął rękę. — No to do jutra. A nawiasem mówiąc, jeśli moje ojcowskie błogosławieństwo coś dla was znaczy, to je macie.

Johann von Tiebolt stał przy barierce tarasu na przenikliwym chłodzie wczesnego wieczora. Widział, jak Holcroft wychodzi z budynku i oddala się chodnikiem na wschód.

Wszystko poszło tak łatwo. Dokładnie przemyślana i bezbłędnie zaaranżowana orkiestracja kłamstw, interpretacja podbudowana ekspresją wykonania i nagły finał, który doprowadził do akceptacji. Postawi się w stan gotowości starca z Rio; będzie wiedział, co mówić. W londyńskim szpitalu podrzuci się kartę chorobową z datami i informacjami odpowiadającymi tragicznemu wypadkowi na stacji metra Charing Cross sprzed pięciu lat. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z harmonogramem, w wieczornych gazetach pojawi się notatka donosząca o kolejnej tragedii. U wybrzeży Morza Śródziemnego zaginął oficer marynarki żeglujący z żoną na swojej małej łodzi.

Von Tiebolt uśmiechnął się. Wszystko szło według planu sprzed trzydziestu lat. Teraz nie mógł ich powstrzymać nawet *Nachrichtendienst*. W przeciągu kilku dni *Nachrichtendienst* zostanie wykastrowany.

Nadchodzi czas na Tinamou.



Noel szedł szybko przez hol hotelu „George'a V”. Śpieszył się do swego pokoju, do Helden. Genewa była teraz bliżej, a będzie jeszcze bliższa, kiedy spotkają się w Saint-Tropez z Anthonym Beaumontem i wyduszą z niego prawdę.

Był też bardzo ciekaw, czy odezwał się Buonoventura. Matka powiedziała, że wtajemniczy Sama w swoje plany. Miles z Nowego Jorku wiedział tylko, że Althene wyjechała z Mexico City do Lizbony. Dlaczego akurat do Lizbony? I kto ją śledził?

Holcroftowi stanął znowu przed oczami mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Nieruchome spojrzenie jego oczu, gotowość na śmierć... *zabij mnie, a moje miejsce zajmie ktoś inny. Zabijesz jego, przyjdzie po nim następny.*

Winda była pusta, mknęła szybko w górę. Otworzyły się drzwi. Noel drgnął znalazłszy się oko w oko z eleganckim mężczyzną stojącym w korytarzu. To był *Verwunschte Kind* z Sacre-Coeur.

— Dobry wieczór, *monsieur*.

— Co pan tu robi? Czy z Helden wszystko w porządku?

— Sama panu powie.

— Ty też możesz. — Holcroft chwycił mężczyznę za ramię i odwrócił go gwałtownie w kierunku drzwi pokoju.

— Ręce przy sobie!

— Puszczę cię, jeśli ona tak każe. Ruszaj! — Popychając mężczyznę przed sobą, Noel dotarł korytarzem do drzwi i zapukał.

Drzwi otworzyły się po paru sekundach. Stała w nich Helden. Była zaskoczona ich widokiem. W rękę trzymała złożoną gazetę. W jej oczach, poza zaskoczeniem, malował się smutek. — Co się stało? — spytała.

— Właśnie chciałem się tego dowiedzieć, ale on nie był łaskaw mi powiedzieć. — Holcroft przepchnął mężczyznę przez próg.

— Noelu, proszę cię. On jest z nami.

— Chcę wiedzieć, co tu robi.

— Zadzwoiłam po niego. Musiałam dać mu znać, gdzie jestem. Powiedział, że musi się ze mną zobaczyć. Obawiam się, że przyniósł nam okropną wiadomość.

— Jaką wiadomość?

— Przeczytaj gazety — wtrącił się mężczyzna. — Masz tu i francuską, i angielską.

Holcroft wziął ze stolika egzemplarz *Herold Tribune*.

— Na drugiej stronie — odpowiedział mężczyzna. — U góry, po lewej.

Noel czytał i czuł, jak wzbiera w nim złość... i strach.

#### OFICER MARYNARKI I JEGO ŻONA ZAGINIENI BEZ WIEŚCI NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

*St.-Tropez — Zachodzi obawa, że komandor Anthony Beaumont, kapitan okrętu patrolowego „Argo” i udekorowany wieloma odznaczeniami oficer Królewskiej Marynarki Wojennej, oraz jego żona, która przyjechała do męża stacjonującego w tym kurorcie, by spędzić z nim weekend, utonęli podczas przejażdżki swoją łodzią, zaskoczeni przez silny sztorm kilka mil na południe od tego skalistego wybrzeża. Wywróconą do góry dnem łódź odpowiadającą opisowi dostrzeżono z nisko lecącego samolotu straży przybrzeżnej. Gdy przez ponad czterdzieści osiem godzin nie było wiadomości o komandorze i jego żonie, zastępca dowódcy*

„Argo”, porucznik Morgan Llewellyn, zarządził wszczęcie poszukiwań. Admiralicja podejrzewa, że komandor i jego żona zginęli w tragicznym wypadku. Państwo Beaumontowie nie mieli dzieci.

— O Boże — wyszeptał Holcroft. — Czy brat ci powiedział?

— O Gretchen? — spytała Helden. — Tak. Tyle wycierpiała, tak się poświęciła. To dlatego nie chciała się ze mną widywać ani rozmawiać. Nie chciała, żebym się kiedykolwiek dowiedziała, dlaczego za niego wyszła. Obawiała się, że mogę wyczuć prawdę.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą — odezwał się elegancko ubrany mężczyzna — i Beaumont rzeczywiście był z ODESSY, ani przez moment nie należy wierzyć w tę gazetową bajeczkę.

— On ma na myśli twojego przyjaciela z Berlina — wtrąciła Helden. — Powiedziałam mu, że masz w Berlinie przyjaciela, który obiecał przekazać do Londynu twoje podejrzenia.

Noel pojął. Dawała mu do zrozumienia, że nie wspomniała o Genewie.

— A co się według ciebie stało? — zwrócił się do mężczyzny.

— Gdyby Brytyjczycy zdemaskowali agenta ODESSY wśród wyższych oficerów marynarki wojennej, zwłaszcza takiego, który dowodził patrolowcem straży przybrzeżnej — co, nawiasem mówiąc, jest eufemizmem, bo oznacza w istocie jednostkę szpiegowską — równałoby się to przyznaniu, że znowu dali się podejść. A tak nie będzie żadnych dochodzeń. Szybka egzekucja jest najlepszym wyjściem.

— To dosyć poważne oskarżenie — zauważył Holcroft.

— Sytuacja jest kłopotliwa.

— I zabiliby przy okazji niewinną kobietę?

— Bez zastanowienia. W każdym razie wymowa tego „zaginięcia” jest jednoznaczna. Sieć ODESSY otrzymała ostrzeżenie.

Noel odwrócił się z niesmakiem i otoczył Helden ramieniem.

— Przykro mi — powiedział. — Wiem, co musisz czuć i bardzo chciałbym coś dla ciebie zrobić, ale poza powiadomieniem twego brata nic nie przychodzi mi do głowy.

Helden odwróciła się i spojrzała na niego uważnie.

— Doszliście do porozumienia?

— Jak najbardziej. Od dziś pracujemy razem.

— A więc nie ma czasu na żalobę, prawda? Zamierzam zostać tu na noc — zwróciła się do elegancko ubranego mężczyzny. — Nic nie stoi na przeszkodzie? Będę kryta?

— Oczywiście — zapewnił ją mężczyzna. — Zorganizuję to.

— Dziękuję. Dobry z ciebie przyjaciel.

Tamten uśmiechnął się.

— Nie sądzę, aby pan Holcroft podzielał twoją opinię. No, ale on dużo się jeszcze musi nauczyć. — Z tymi słowami mężczyzna skłonił się i podszedł do drzwi. Zatrzymał się z ręką na klamce i odwrócił do Noela. — Przepraszam, jeśli wyda się to panu niejasne, ale niech pan będzie tolerancyjny, *monsieur*. To, co jest między panem a Helden, mnie też wydaje się niejasne, ale o nic nie pytam. Jestem ufnym człowiekiem. Jeśli jednak okaże się, że to zaufanie zostało nadużyte, zabijemy pana. Pomyślałem sobie tylko, że powinien pan o tym wiedzieć.

*Verwunschte Kind* wyszedł szybko. Noel, zdenerwowany, postąpił za nim krok, ale Helden powstrzymała go.

— Proszę cię, kochany. On naprawdę jest przyjacielem.

— Jest nieznośnym małym bękartem... — Holcroft urwał. — Przepraszam. Dosyć masz na głowie. Brakuje ci tylko wysłuchiwania moich głupich uwag.

— Ten człowiek ci groził.

— Ktoś odebrał życie twojej siostrze. W tych „okolicznościach” moje zachowanie było

głupie.

— Nie ma czasu na dywagacje. Dzwonił twój przyjaciel Buonoventura. Zapisałam numer, pod którym możesz go złapać. Czeka pod telefonem.

Noel podszedł do nocnego stolika i wziął leżącą na nim kartkę papieru.

— Wybieraliśmy się jutro z twoim bratem do Saint-Tropez. Chcieliśmy nakłonić Beaumonta do wyjawienia prawdy. Ta wiadomość nim wstrząśnie. Podwójnie.

— Chyba najlepiej będzie, jeśli ja go powiadomię. Byli z Gretchen bardzo życzliwi. Jako dzieci tworzyli nierozłączną parę. Gdzie on jest?

— Naprawdę nie wiem. Nie powiedział mi. Obiecał tylko, że skon taktuje się ze mną dzisiaj późnym wieczorem. — Holcroft podniósł słuchawkę i podał telefonistce z centrali numer Buonoventury.

Linie transatlantyckie były wolne, połączenie z Curacao zajęło nie więcej niż minutę.

— Ale z ciebie pistolet, Noley! Całe szczęście, że nie muszę regulować twoich rachunków telefonicznych. Oglądasz sobie ten cholerny świat, a ja świecę za ciebie oczami.

— Oglądałam o wiele więcej, Sam. Dzwoniła do ciebie moja matka?

— Dzwoniła. Prosiła, żeby ci przekazać, że spotka się z tobą mniej więcej za tydzień w Genewie. Masz się zatrzymać w hotelu „d'Accord” i nic nikomu nie mówić.

— W Genewie? Wybiera się do Genewy? Po co, u diabła, w ogóle wyjeżdżała z kraju?

— Powiedziała, że taki był nakaz chwili. Masz trzymać gębę na kłódkę i nic nikomu nie mówić, dopóki się z nią nie spotkasz. Tym razem była poddenerwowaną damą.

— Muszę ją jakoś złapać. Podała ci numer telefonu albo adres, pod którym mógłbym się z nią skontaktować?

— Nic z tych rzeczy, koleś. Nie miała wiele czasu na gadanie, a i połączenie było pod psem. Dzwoniła z Meksyku. Czy ktoś raczy mi wreszcie powiedzieć, co jest grane?

Holcroft potrząsnął głową, jakby Buonoventura siedział naprzeciwko niego w tym samym pokoju.

— Przykro mi, Sam. Może kiedyś. Jestem twoim dłużnikiem.

— Tak też sobie pomyślałem. Zalejemy się w trupa. Uważaj na siebie. Masz naprawdę fajną matkę. Bądź wobec niej grzeczny.

Holcroft odłożył słuchawkę. Dobrze było mieć takiego przyjaciela jak Buonoventura. „Jest tak samo dobry, jak elegancko ubrany mężczyzna dla Helden” — pomyślał. Przypomniał sobie, jak pytała tego *Verwunschte Kind*, czy jest kryta, i zastanowiło go to. Kryta przed czym? Przez kogo?

— Matka jest w drodze do Genewy — powiedział głośno.

Helden odwróciła się od okna.

— Słyszałam. Wyglądałeś na zdenerwowanego.

— Bo jestem zdenerwowany. W Meksyku śledził ją jakiś człowiek. Miles zgarnął go na lotnisku, ale zanim zdążyli ustalić, kim jest albo dla kogo pracuje, zażył kapsułkę z cyjankiem.

— „Zabij mnie, a moje miejsce zajmie ktoś inny. Zabijesz jego, przyjdzie po nim następny”. Czy tak brzmiały te słowa?

— Tak. Chodziły mi po głowie, kiedy tu szedłem.

— Czy Johann wie?

— Opowiedziałem mu wszystko.

— Co o tym sądzi?

— Nie wie, co myśleć. Kluczem był Beaumont. Nie mam pojęcia, co teraz zrobimy. Zostaje nam tylko udać się prosto do Genewy z nadzieją, że nikt nam w tym nie przeszkodzi.

Helden zbliżyła się do niego.

— Wytłumacz mi jedno. Na co oni — kimkolwiek by byli — mogą naprawdę liczyć? Kiedy już stawicie się całą trójką w genewskim banku, jak wymaga tego umowa, dla nich to

przecież oznaczało będzie koniec! Jak jeszcze mogą wam przeszkodzić?

— Powiedziałaś to wczoraj w nocy.

— Co takiego?

— Mogą nas zabić.

Zadzwoił telefon. Holcroft sięgnął po słuchawkę.

— Tak?

— Mówi John Tennyson. — Głos był roztrzęsiony.

— Twoja siostra chce z tobą rozmawiać — powiedział Holcroft.

— Za chwilę — odparł Tennyson. — Najpierw muszę zamienić kilka słów z tobą. Już wie?

— Tak. Jak się domyślam, ty też.

— Dzwonili do mnie z mojej gazety. Redaktor dyżurny z wieczornej zmiany wiedział, jak bardzo byliśmy z Gretchen zżyci. To straszne.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Ja też nie wiedziałem, jak zareagować na wiadomość o twoim ojczymie. Z takimi rzeczami musimy radzić sobie sami. Kiedy się zdarzają, nie ma nikogo, kto potrafiłby coś sensownego zrobić albo powiedzieć. Helden to rozumie.

— A więc nie wierzysz w oficjalną wersję? W łódź i sztorm?

— Że wypłynęli w morze i nie wrócili? W to wierzę. Że on jest za to odpowiedzialny? Oczywiście, że nie. To się kupy nie trzyma. Beaumontowi wiele można zarzucić, ale żeglarzem był świetnym. Potrafił wyczuć sztorm na dwadzieścia mil. Nawet płynąc małą łodzią, przybiłby do brzegu przed pierwszą oznaką załamania się pogody.

— No więc: kto?

— Bądźmy szczerzy, przyjacielu, obaj znamy odpowiedź. Zabił go ten, kto go zwerbował. Kazali mu pojechać za tobą do Rio. Rozpoznałeś go. Przestał być przydatny. — Tennyson zawiesił głos. — Zupełnie jakby wiedzieli, że wybieramy się do Saint-Tropez. Niewybaczalnym czynem jest zamordowanie również Gretchen. W imię pozorów.

— Tak mi przykro. Boże, czuję się odpowiedzialny!

— Nie można było temu w żaden sposób zapobiec.

— Czy to czasem nie byli Brytyjczycy? — spytał Holcroft. — Powiedziałem Kesslerowi o Beaumoncie. Obiecał, że zadziała w tej sprawie kanałami dyplomatycznymi. Pomiedzy Bonn a Londynem. Być może agent ODESSY, dowodzący jedną z pływających jednostek wywiadowczych, wystawiał ich na zbyt wielką kompromitację...

— Może i istniała z tej strony jakaś pokusa, ale nikt z władz nie wyraziłby na to zgody. Anglicy, chcąc wydobyć od niego informacje, zamknęliby go w odosobnieniu i łamali kołem, ale by nie zabili. Mieli go przecież w rękach. Jego i Gretchen zabił ktoś, kogo wiadomości posiadane przez Beaumonta mogły zniszczyć, a nie ten, kto mógł z nich odnieść korzyść.

Wywód Tennysona trafiał do przekonania.

— Masz rację. Brytyjczycy nic by na tym nie zyskali. Prędzej zatuszowaliby całą aferę.

— Właśnie. I mamy tu do czynienia z jeszcze jednym czynnikiem. Natury moralnej. Podejrzewam, że MI 6 jest naszpikowany egoistami, ale nie wierzę, żeby zabijali dla uniknięcia kłopotów. To nie leży w ich naturze. Potrafią się jednak posunąć nadzwyczaj daleko, by tylko nie utracić reputacji. Albo żeby ją odzyskać. I modłę się do Boga, żebym się nie mylił.

— Co masz na myśli?

— Dziś wieczorem lecę do Londynu. Rano odwiedzę Paytona-Jonesa z MI 5. Mam mu do zaproponowania pewną transakcję, przed którą trudno mu się będzie, jak sądzę, oprzeć. Być może będę mu mógł podać na tacy pewnego gnieżdżącego się na ziemi ptaszka, którego upierzenie zlewa się z otoczeniem.

Holcroft był na równi zaskoczony, jak i ogłuszony.

— Wydawało mi się, że wzbraniałeś się przed wszelką współpracą z nimi.

— No i dobrze ci się wydawało. Zamierzam nawiązać kontakt tylko z Paytonem-Jonesem, z nikim innym. Musi mi dać gwarancję dyskrecji, bo inaczej nici z transakcji.

— Sądziś, że pójdzie na to?

— Naprawdę nie ma wyboru. Ten gnieźdzący się na ziemi ptaszek stał się obsesją MI.

— Założmy, że zawierasz tę transakcję. Co uzyskujesz w zamian?

— Dostęp do poufnych materiałów. Brytyjczycy dysponują tysiącami tajnych akt. Dotyczą ostatnich lat wojny i są kompromitujące dla wielu ludzi. Ale gdzieś w tych aktach znajduje się nasza odpowiedź. Człowiek, grupa ludzi, banda fanatyków — nie wiem kto ani co, ale to tam jest. Ktoś związany trzydzieści lat temu z *Finanzministerium* albo z naszymi ojcami; ktoś, komu ufali i komu zawierzili. Może tu też wchodzić w grę infiltracja ze strony „Loch Torridon”.

— Czego?

— „Loch Torridon”. To kryptonim operacji szpiegowsko-sabotażowej prowadzonej przez Brytyjczyków od czterdziestego pierwszego do czterdziestego czwartego roku. W jej ramach wysyłano do Niemiec i Włoch tysiące byłych obywateli tych państw z zadaniem wkręcenia się do pracy w fabrykach, na kolei, w instytucjach rządowych, gdzie tylko się da. Wiadomo powszechnie, że w *Finanzministerium* pracowali agenci „Loch Torridon”... Odpowiedź znajduje się w archiwach.

— I w tych tysiącach akt masz nadzieję znaleźć jedną określoną osobę? Nawet jeśli tam jest, może to trwać miesiącami.

— Niekoniecznie. Wiem dokładnie, czego szukać: ludzi, którzy mogli być powiązani z naszymi ojcami.

Tennyson mówił tak szybko, z taką pewnością siebie, że Noelowi trudno było nadażyć za tokiem jego rozumowania.

— Po pierwsze, skąd u ciebie ta pewność, że informacje, o które nam chodzi, rzeczywiście się tam znajdują?

— Bo muszą. Zrozumiałem to dzisiaj po południu dzięki rozmowie z tobą. Ten mężczyzna, który telefonował do ciebie w Nowym Jorku, ten, który został później zamordowany...

— Peter Baldwin?

— O, właśnie. Z MI 6. On wiedział o Genewie. Zaczniemy od niego, jest teraz naszym jedynym punktem zaczepienia.

— A więc zajrzyj do akt zatytułowanych „Wolfsschanze” — pod powiedział Holcroft.

— Kryptonim „Wolfsschanze”. To może być to!

Tennyson nie odezwał się od razu. Albo się zastanawiał, albo był zaskoczony. Noel nie potrafił się zorientować.

— Gdzie słyszałeś tę nazwę? — spytał w końcu Tennyson. — Nie wspomniałeś o niej dotąd. Helden też nie.

— A więc oboje o tym zapomnieliśmy — odparł Holcroft.

— Powinniśmy być ostrożni — powiedział Tennyson, kiedy Noel skończył. — Jeśli nazwa „Wolfsschanze” jest powiązana z Genewą, powinniśmy zachować jak najdalej posuniętą ostrożność. Brytyjczycy nie mogą się dowiedzieć o Genewie. To spowodowałoby katastrofę.

— Zgadza się z tobą. Ale jak uzasadnisz Paytonowi-Jonesowi prośbę o dostęp do archiwów?

— Wyjawię mu część prawdy — odparł Tennyson. — Powiem, że chcę dostać zabójcę Gretchen.

— I że w zamian za to jesteś gotów oddać... gnieźdzącego się na ziemi ptaka, którego tropisz od sześciu lat?

— Za to i za Genewę. Z całego serca.  
Noel był poruszony.  
— Chcesz, bym porozmawiał z Paytonem-Jonesem?  
— Nie! — krzyknął Tennyson, ale zaraz zniżył głos. — Byłoby to zbyt niebezpieczne. Zaufaj mi. Zrób, o co cię proszę. Ty i Helden musicie na jakiś czas zniknąć. Całkowicie. Dopóki się z wami nie skontaktuję, Helden nie wolno wracać do pracy. Musi pozostać z tobą i obojgu wam nie wolno się pokazywać publicznie.  
Holcroft popatrzył na Helden.  
— Nie wiem, czy ona się na to zgodzi.  
— Przekonam ją. Daj mi ją teraz. My już skończyliśmy.  
— Zadzwonisz do mnie?  
— Za kilka dni. Gdybyś zmienił hotel, zostaw wiadomość, gdzie można złapać pana Frescę. Helden ma numer mojej automatycznej sekretarki. Daj mi ją teraz do aparatu. Pomimo tego, co nas różni, potrzebujemy się teraz wzajemnie, być może tak samo, jak potrzebowaliśmy się dawniej. I... Noel?  
— Tak?  
— Bądź dla niej dobry. Kochaj ją. Ona też ciebie potrzebuje.  
Holcroft wstał i oddał słuchawkę Helden.  
— *Mein Bruder...*

*Kryptonim „Wolfsschanze”!*

Von Tiebolt-Tennyson walnął pięścią w biurko w małym, położonym na uboczu pokoiku, z którego korzystał przebywając w Paryżu.

*Kryptonim „Wolfsschanze”*. To Ernst Manfredi przekazał Peterowi Baldwinowi tę świętą frazę! Bankier prowadził niebezpieczną, ale genialną grę. Wiedział, że wymienienie tych słów będzie dla Baldwina równoznaczne z wyrokiem śmierci. Ale Manfredi nigdy nie wyjawiał Anglikowi ani słowa więcej — nie leżałoby to w interesie bankiera. Nie dało się jednak ukryć, że Baldwin dysponował najtęższym w Europie umysłem. Czy wydedukował coś ponadto? Ile się naprawdę dowiedział? Co zawierały akta Baldwina zgromadzone przez MI 5?

A zresztą, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Cokolwiek Baldwin miał do zaoferowania Brytyjczykom, oni to zlekceważyli. Jedna teczka pośród tysięcy akt. Zagrzebana gdzieś w archiwach, zagubiona, bo stanowi jeszcze jedną pozycję zakwalifikowaną do informacji nieistotnych.

*Kryptonim „Wolfsschanze”*. Puste słowa dla tych, którzy nie wiedzą nic. Z kolei kilkuset wtajemniczonych — liderów regionalnych z poszczególnych krajów — wie tylko, że stanowią one sygnał, na który mają się przygotować; wkrótce zostaną im przesłane ogromne fundusze przeznaczone na spożytkowanie dla sprawy.

*Die Sonnenkinder*. Na całym świecie gotowe do powstania, by upomnieć się o swe dziedzictwo.

Akta Baldwina nie mogą zawierać tej informacji, to niemożliwe. Ale te dane, które się w nich znajdują, mogą zostać wykorzystane. Brytyjczycy chcą nade wszystko dostać Tinamou. Jego ujęcie przez MI 5 przywróciłoby Anglikom supremację w operacjach wywiadowczych — supremację utraconą przez lata błędów i zdrad.

MI 5 dostanie swojego Tinamou i za ten dar trzeba się będzie zrewanżować ofiarodawcy. Jakaż doskonała ironia! Znienawidzony wywiad brytyjski, ów podstępny niczym wąż potwór, który sprowadził klęskę na Trzecią Rzeszę, dzisiaj pomoże w stworzeniu Czwartej.

Bo MI 5 dowie się, że *Nachrichtendienst* jest zamieszana w pewien nadzwyczajny spisek. Brytyjczycy uwierzą człowiekowi, który im to oznajmi; ten człowiek wskaże im Tinamou.

Tennyson kroczył przez londyńskie biuro *Guardiana* zasypywany komplementami przez kolegów i ich podwładnych. Jak zawsze przyjmował je ze skromnością.

Przesuwał obojętnym wzrokiem po kobietach. Sekretarki i recepcjonistki zabiegały o choć jedno spojrzenie tego najpiękniejszego z mężczyzn, zabiegały właściwie, by wziął od nich, co zechce. Przyszło mu do głowy, że mógłby sobie przecież wybrać jedną z nich. Jego ukochana Gretchen odeszła, ale żądze pozostały. „Tak — pomyślał zmierzając do drzwi gabinetu naczelnego redaktora — wybierze sobie jakąś kobietę”. Podniecenie przybierało na sile, intensywność *Wolfsschanze* rosła z każdą mijającą godziną. Potrzebował seksualnego rozładowania. Zawsze tak było, Gretchen to rozumiała”.

— John, dobrze, że jesteś — przywitał go redaktor naczelny podnosząc się z biurka i wyciągając rękę. — Jutro puszczaemy ten artykuł o Bonn. Znakomita robota.

Tennyson usiadł w fotelu ustawionym naprzeciw biurka.

— Coś się szykuje — powiedział. — Jeśli moje informacje są rzetelne, a jestem pewien, że są, zanosi się na próbę dokonania zabójstwa — a właściwie zabójstw — które mogą

sprovokować kryzys światowy.

— Wielkie nieba. Spisałeś to?

— Nie. Nie możemy o tym pisać. Nie sądzę, by powinna to czynić jakakolwiek odpowiedzialna gazeta.

Redaktor nachylił się ku niemu.

— W czym rzecz, John?

— Na następny wtorek zwołano ekonomiczną konferencję na szczycie...

— Oczywiście. Odbędzie się tutaj, w Londynie. Z udziałem przywódców Wschodu i Zachodu.

— I o to chodzi. Wschodu i Zachodu. Przylatują z Moskwy i Waszyngtonu, z Pekinu i Paryża. Najpotężniejsi ludzie na ziemi. — Tennyson zamilkł.

— No i?

— Dwóch ma zostać zamordowanych.

— Co?!

— Dwóch ma zginąć. Nieważne, których dwóch, byle reprezentowali obozy przeciwne — prezydent Stanów Zjednoczonych i przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej albo premier Wielkiej Brytanii i premier Związku Radzieckiego.

— To niemożliwe! Służby bezpieczeństwa zagwarantują im hermetyczną ochronę.

— Śmiem wątpić. Będą tłumy na ulicach, defilady, bankiety, przejazdy kawalkad samochodów przez miasto. Jak tu mówić o absolutnej gwarancji bezpieczeństwa?

— Musi być taka gwarancja!

— Ale nie przed Tinamou.

— Przed Tinamou?

— Przyjął niedawno największe w historii honorarium.

— Dobry Boże, od kogo?!

— Od organizacji o nazwie *Nachrichtendienst*.

Harold Payton-Jones spoglądał ponad stołem na siedzącego naprzeciwko Tennysona. Jedyne umeblowanie skąpo oświetlonego pokoju, w którym się znajdowali, stanowił właśnie ten stół i dwa krzesła. Miejsce spotkania wybrane zostało przez MI 5. Był to opuszczony pensjonat we wschodniej części Londynu.

— Spodziewa się pan — warknął oschle siwowłosy agent — że uwierzę w tę opowieść tylko dlatego, że marzy się panu popularność? Śmiechu warte!

— To mój jedyny dowód — odparł Tennyson. — Wszystko, co panu powiedziałem, jest prawdą. Nie mamy już czasu na wzajemne potyczki. Liczy się każda godzina.

— Ani mi w głowie dać się okpić oportunistycznemu gryziptiórkowi, który — gdyby tylko zechciał — mógłby być kimś o wiele ważniejszym od zwyczajnego korespondenta! Jest pan bardzo sprytny. I całkiem możliwe, że beczelnie pan kłamie.

— Na miłość boską, jeśli tak jest, wobec tego co ja tu robię? Niech mnie pan posłucha! Mówię po raz ostatni: Tinamou został wyszkolony przez ODESSĘ. Działo się to na wzgórzach wokół Rio de Janeiro! Przez całe życie walczyłem z ODESSĄ. Można to znaleźć w moich aktach, jeśli ktoś zada sobie trud ich przestudiowania. ODESSA zmusiła nas do opuszczenia Brazylii, pozbawiła wszystkiego, co zdołaliśmy osiągnąć. Chcę dostać Tinamou!

Payton-Jones przyglądał się bacznie blondynowi. Ta ostra wymiana zdań trwała już niemal pół godziny. Agent był niezamordowany, zasypywał Tennysona gradem pytań, smagał go obelgami. Stosował sprawdzoną metodę MI 5 mającą na celu oddzielenie prawdy od fałszu. Widać było, że Anglik jest wreszcie usatysfakcjonowany. Zniżył głos.

— W porządku, panie Tennyson. Możemy zakończyć tę potyczkę, Chyba winniśmy panu przeprosiny.



— Przeprosiny należą się z obu stron. Uważałem dotąd, że lepiej będzie, jeśli będę pracował sam. Tyle wcieleń musiałem przybierać. Gdyby ktoś kiedyś zobaczył mnie z funkcjonariuszem waszych służb, byłbym skończony.

— Przepraszam zatem za te kilkakrotne wezwania.

— To były dla mnie najtrudniejsze chwile. Czułem wtedy, że Tinamou mi się wymyka.

— No i nie schwytaliśmy go jeszcze.

— Jesteśmy tego bardzo bliscy. Teraz to tylko kwestia kilku dni. Uda nam się, jeśli tylko będziemy starannie analizować każdą podejmowaną decyzję i dokładnie zabezpieczymy ulice na przewidzianych trasach przejazdu poszczególnych delegacji, miejsca spotkań, ceremonii, bankietów. Mamy nad nim przewagę, której nigdy dotąd nie mieliśmy. Wiemy, że tam będzie.

— Jest pan absolutnie pewien swego informatora?

— Jak nigdy w życiu. Ten człowiek w berlińskiej piwiarni był kurierem. Każdy kurier kontaktujący się z Tinamou był następnie zabijany. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Londyn... przyszedł tydzień... szczyt... po jednym z każdego obozu... mężczyzna z różą wytatuowaną na grzbiecie dłoni... *Nachrichtendienst*”.

Payton-Jones pokiwał głową.

— Zapytamy Berlin o tożsamość tego człowieka.

— Wątpię, czy zdołają coś ustalić. Z tego, co wiem o organizacji *Nachrichtendienst*, a nie jest tego wiele, była ona zawsze wyjątkowo sumienna.

— Ale zachowuje neutralność — zauważył Payton-Jones. — I jej informacje były zawsze rzetelne. Nie oszczędzała nikogo. To właśnie *Nachrichtendienst* dostarczała bez przerwy danych prokuratorom w procesie norymberskim.

— Nie wiadomo — powiedział Tennyson — czy prokuratorzy nie otrzymywali tylko tych materiałów, które *Nachrichtendienst* była skłonna im udostępnić. Trudno powiedzieć, czy czegoś nie zatajano.

Brytyjczyk znowu pokiwał głową.

— To możliwe. Tego nigdy się nie dowiemy. Rodzi się pytanie: dlaczego to robili? Jaki był motyw?

— Jeśli można... — odezwał się blondyn — ...paru starców biorących odwet u kresu życia. Trzecia Rzesza miała przeciwko sobie dwie konkretne wrogie siły o odmiennych światopoglądach, które pomimo dzielących je antagonizmów sprzymierzyły się: komunistów i demokratów. Rywalizują teraz ze sobą o supremację. Czy można sobie wyobrazić lepszą zemstę, jak doprowadzenie do tego, by oskarżały się wzajemnie o morderstwo polityczne? Jak napuścić jedną na drugą, by się wyniszczyły?

— Gdybyśmy potrafili to z całą pewnością stwierdzić — przerwał mu Payton-Jones — wyjaśniłoby się podłoże licznych morderstw popełnionych w ciągu kilku ostatnich lat.

— A jak to ustalić ponad wszelką wątpliwość? — spytał Tennyson. — Czy wywiad brytyjski miał kiedykolwiek bezpośredni kontakt z członkami *Nachrichtendienst*?

— O tak. Domagaliśmy się danych personalnych tych ludzi — oczywiście po to, żeby zamknąć je w sejfach. Nie mogliśmy rozpatrywać tego rodzaju informacji nie mając gwarancji.

— Czy ktoś z nich jeszcze żyje?

— To możliwe. Już od lat nikt nie wspomina o *Nachrichtendienst*. Sprawdzę, oczywiście.

— Poda mi pan te nazwiska?

Człowiek z MI 5 opadł na oparcie krzesła.

— Czy to jeden z warunków, o których pan mówił, panie Tennyson?

— O których mówiłem, ale dałem do zrozumienia, że w tych okolicznościach nie będę nalegał na ich spełnienie.

— Nie zrobiliby tego żaden cywilizowany człowiek. Jeśli schwytamy Tinamou, zyska pan sobie wdzięczność rządów całego świata. Nazwiska to pestka. Jeśli je mamy, pozna je pan. Ma pan jeszcze jakieś żądania? Mam wyjąć notes?

— Niewiele — odparł Tennyson przechodząc nad docinkiem do porządku dziennego — i mogą pana zdziwić. Z szacunku dla mojej gazety chciałbym mieć wyłączność dla *Guardiana* z pięciogodzinnym wyprzedzeniem.

— Ma ją pan — powiedział Payton-Jones. — Co jeszcze?

— Z uwagi na to, że MI 5 rozmawiało z wieloma ludźmi, dając im do zrozumienia, iż to ja jestem powodem tych przesłuchań, chciałbym otrzymać od brytyjskiego wywiadu list stwierdzający, że moje osobiste dossier jest bez zarzutu, w którym podkreśla się także mój czynny wkład w wasze wysiłki mające na celu zachowanie — nazwijmy to — „równowagi międzynarodowej”.

— To zupełnie niepotrzebne — zauważył Payton-Jones. — Jeśli na podstawie informacji, których nam pan udzielił, Tinamou zostanie zatrzymany, wszystkie rządy bez wątpienia udekorują pana najwyższymi odznaczeniami. List od nas będzie w takiej sytuacji zbędny.

— Ale, widzi pan, ja będę go potrzebował — odparł Tennyson. — Bo moje przedostatnie żądanie dotyczy niewymieniania w żadnym wypadku mojego nazwiska.

— W żadnym wypadku... — Payton-Jones oniemiał. — Coś się tu chyba nie zgadza, prawda?

— Proszę nie mylić moich dokonań na polu pracy zawodowej z prywatnym stylem życia. Nie szukam poklasku. Von Tieboltowie mają dług do spłacenia. Nazwijmy to ratą.

Funkcjonariusz MI 5 milczał przez chwilę.

— Źle pana osądziłem. Jeszcze raz przepraszam. Oczywiście, dostanie pan taki list.

— Szczerze mówiąc, istnieje jeszcze jeden powód, dla którego pragnę zachować anonimowość. Zdaję sobie sprawę, że *Royal Navy* i władze francuskie wierzą bez zastrzeżeń, iż moja siostra i szwagier zginęli w wypadku podczas urlopu i prawdopodobnie mają rację. Ale sądzę, że zgodzi się pan ze mną co do niefortunnej zbieżności w czasie. Pozostała mi jeszcze jedna siostra; ona i ja jesteśmy ostatnimi z rodu von Tieboltów. Gdyby coś się z nią stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

— Rozumiem.

— Chciałbym zaoferować panu wszelką pomoc, na jaką mnie stać. Jestem przekonany, że nikt nie wie o Tinamou tyle co ja. Przyglądam mu się od lat. Studiuję każde zabójstwo, każdy jego ruch przed i po popełnieniu dotychczasowych zbrodni. Uważam, że mogę dużo pomóc. Chciałbym wejść w skład waszego zespołu.

— Byłbym cholernym głupcem, gdybym odrzucił pana ofertę. Jak brzmi pana ostatnie żądanie?

— Zaraz do niego dojdziemy. — Tennyson wstał z krzesła. — Jeśli chodzi o Tinamou, trzeba sobie zdawać sprawę, że stosuje on elastyczną technikę wariantów, taktykę wypraktykowanej improwizacji. Nie trzyma się sztywno określonej strategii, ma ich dziesięć, a może dwanaście — każda metodycznie opracowana i przećwiczona, dzięki czemu można ją zawsze zaadaptować do wymogu chwili.

— Nie jestem pewien, czy dobrze pana rozumiem.

— Pozwoli pan, że wyjaśnię. Czy pamięta pan zabójstwo w Madrycie, siedem miesięcy temu, podczas zamieszek?

— Oczywiście. Oddano strzał z karabinu z czwartego piętra ponad głowami tłumu.

— O właśnie. Z rządowego budynku na rządowym placu, gdzie miała się odbyć demonstracja. Z rządowego budynku. Nie dawało mi to spokoju. Przypuśćmy, że strażnicy byłyby czujniejsze, środki podjęte przez służby bezpieczeństwa bardziej skuteczne, ludzie dokładniej rewidowani pod kątem posiadania broni? Przypuśćmy, że nie mógłby się dostać do tego okna? Nawiasem mówiąc, było to miejsce idealne do wzięcia celu na muszkę; ale przypuść-

my, że w tym pokoju znajdowałoby się akurat jacyś ludzie?

— Znalazłby sobie inne stanowisko.

— Naturalnie. Jednak bez względu na to, jak dobrze ukryłby broń — czy zamaskował ją w szczudle, czy przymocował sobie paskami do nogi, czy wszył we fragmenty ubrania — byłoby mu nieporęcznie. Musiał się poruszać szybko. Liczyła się każda minuta. Demonstracja nie miała potrwać długo. Tinamou musiał mieć przygotowane więcej niż jedno stanowisko, więcej niż jedną opcję. I miał taki wybór.

— Skąd pan to wie? — spytał zafascynowany agent MI 5.

— Spędziłem w Madrycie dwa dni, snując się po tym placu od budynku do budynku, od okna do okna, wdrapując się na każdy dach. Znalazłem cztery sztuki nie używanej broni i trzy inne miejsca, w których powyrywano deski z podłogi, usunięto skrzydła przesuwanych okien i obtłuczono gzymsy. Ukryto tam dodatkowe egzemplarze broni. Na chodniku, w kubie na śmieci, piętnaście metrów od centralnego punktu demonstracji znalazłem nawet kilogram plastycznego materiału wybuchowego. Osiem stanowisk, z których można było zabić. Przygotowane przez niego miejsca były tak dobrane, by mógł skorzystać z nich w ściśle określonym momencie.

Payton-Jones trzymając ręce na stole, zsunął się na brzeg krzesła.

— To komplikuje sprawę. Standardowa procedura zabezpieczania takich imprez przewiduje koncentrację wszystkich środków w jednym miejscu. Z pół setki możliwości typuje się tę najbardziej prawdopodobną. Zakłada się z góry, że zabójca ustawi się w jednym, określonym miejscu. Opisywana przez pana strategia wprowadza dodatkowy wymiar: zmianę stanowiska w czasie. To już nie jedna, wcześniej przygotowana kryjówka, ale kilka takich miejsc, z których obiekt może swobodnie wybierać w dowolnej chwili.

— W ramach danego przedziału czasowego — dokończył blondyn. — Ale jak już wspomniałem, mamy nad nim przewagę. Wiemy, że tam będzie. Istnieje też druga sprzyjająca okoliczność, i tę powinniśmy wykorzystać natychmiast. — Tennyson zamilkł.

— Co to za okoliczność?

— Postawię jedno zastrzeżenie. Powinniśmy wykorzystać ją tylko wtedy, jeśli zgodzimy się, że ujęcie Tinamou jest sprawą niemal tak samo ważną, jak zapewnienie bezwzględniego bezpieczeństwa osobom, które upatrzy sobie za cel.

Anglik zmarszczył czoło.

— Dosyć niebezpiecznie mówić takie rzeczy. Tam gdzie w grę wchodzi bezpieczeństwo tych ludzi, nie może być żadnego ryzyka — wkalkulowanego ani innego. Nie na ziemi brytyjskiej.

— Proszę mnie wysłuchać do końca. On zabijał już przywódców politycznych, siał nieufność, wzniecał wrogość między rządami. I, jak dotąd, zawsze triumfowały umysły stateczne, które wyciszały emocje. Ale Tinamou trzeba powstrzymać, zanim nadejdzie dzień, kiedy te stateczne umysły nie zdołają zareagować dostatecznie szybko. Uważam, że jeśli wszyscy się zgodzą, możemy go powstrzymać.

— Zgodzą na co?

— Na ściśle przestrzeganie ustalonych programów przebiegu wizyty. Zbierzcie przewodniczących wszystkich delegacji i podzielcie się z nimi swoimi informacjami. Zapewnijcie ich, że podjęte zostaną nadzwyczajne środki ostrożności. Powiedzcie, że jeśli będą się trzymać programów, pojawi się wielka szansa pojmania Tinamou. — Tennyson zamilkł i pochylił się, zaciskając dłonie na krawędzi krzesła. — Sądzę, że jeśli uczciwie przedstawicie sytuację, nie będzie sprzeciwów. Mimo wszystko, niewiele ona odbiega od tego, czemu przywódcy polityczni stawiają czoło na co dzień.

Twarz agenta MI 5 rozpuściła się.

— I nikt nie będzie uznany za tchórze. No więc, co to za druga sprzyjająca okoliczność?

— Technika stosowana przez Tinamou zmusza go do wcześniejszego ukrywania broni w wielu miejscach. Aby z tym zdążyć, musi zacząć na kilka dni, a może nawet tygodni, przed planowanym zabójstwem. W Londynie na pewno już się do tego zabrał. Proponuję wszczęcie bardzo dyskretnych, ale skrupulatnych poszukiwań, ze szczególnym uwzględnieniem tych rejonów, które wiążą się z opublikowanymi pro gramami przebiegu szczytu.

Payton-Jones złączył dłonie w geście aprobaty.

— Oczywiście. Wystarczy znaleźć tylko jedno takie miejsce, a mamy nie tylko ogólną lokalizację, ale i przedział czasowy.

— O to chodzi! Będziemy wiedzieli, że w ciągu określonej liczby minut, w trakcie określonego wydarzenia, w ściśle określonym rejonie nastąpi próba dokonania zamachu... — Blondyn znowu urwał. — Chciałbym pomóc w tych poszukiwaniach. Wiem, czego szukać i, co może ważniejsze, gdzie nie warto zaglądać. Nie mamy wiele czasu.

— Pańska oferta zostaje przyjęta — oznajmił Anglik. — MI 5 jest panu wdzięczny. Zaczynamy dzisiaj wieczorem?

— Dajmy mu jeszcze jeden dzień na rozmieszczenie artylerii. To zwiększy nasze szanse na znalezienie czegoś. Będę też potrzebował jakiegoś niewinnie wyglądającego mundurka i legitymacji „inspektora budowlanego” albo kogoś w tym rodzaju.

— Bardzo dobrze — powiedział Payton-Jones. — Z zakłopotaniem muszę wyznaczyć, że mamy w aktach pańską fotografię. Wykorzystamy ją do sporządzenia takiej legitymacji. Pana rozmiary też znamy. Marynarka chyba czterdzieści cztery, talia trzydzieści trzy albo cztery.

— Mniej więcej. Mundur służby cywilnej nie powinien raczej leżeć jak ulał.

— Ma pan rację. Zajmiemy się tym rano. — Payton-Jones wstał. — Powiedział pan, że ma jeszcze jedno żądanie.

— Od wyjazdu z Brazylii nie mam własnej broni. Nie wiem nawet, czy to dozwolone, ale teraz powinienem nią dysponować. Oczywiście, tylko na czas trwania szczytu.

— Wydam ją panu.

— Będzie do tego potrzebny mój podpis, prawda?

— Tak.

— Proszę wybaczyć, ale podtrzymuję to, co przed chwilą powiedziałem. Tak samo, jak nie żądam zaszczytów za wiadomości, które wam przekazałem, obstaję też stanowczo przy tym, aby moje nazwisko nie pojawiło się na liście współpracowników MI 5. Nie chciałbym, aby ktoś poznał kiedykolwiek naturę mego wkładu. Moje nazwisko na karcie rejestru broni mogłoby pomóc wścibskiej osobie w wykryciu prawdy. Może komuś powiązanemu z organizacją *Nachrichtendienst*.

— Rozumiem. — Anglik rozpiął marynarkę i sięgnął za pazuchę. — To wbrew przepi-  
som, ale i okoliczności nie są zwyczajne. — Wyciągnął mały rewolwer z krótką lufą i wręczył go Tennysonowi. — Ponieważ obaj znamy powody, niech pan weźmie mój. Zgłoszę oddanie go do przetestowania i pobiorę inny.

— Dziękuję — powiedział blondyn trzymając broń niezdarnie, jak przedmiot, z którym nie miewa na co dzień do czynienia.

Tennyson wszedł do zatłoczonego pubu niedaleko Soho Square. Omiótł wzrokiem salę zasnutą grubymi warstwami dymu i wyłowił to, czego szukał: rękę uniesioną przez mężczyznę zajmującego stolik w przeciwległym kącie. Mężczyzna miał na sobie, jak zwykle, uszyty specjalnie dla niego brązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Płaszcz wyglądał na oko jak każdy inny, różnił się tylko dodatkowymi kieszeniami i paskami służącymi częstokroć do przenoszenia ręcznej broni palnej, tłumików i materiałów wybuchowych. Mężczyzna był wyszkolony przez Tinamou, wyszkolony tak dobrze, że często, kiedy Tinamou był nieosiągalny, wyręczał zabójcę w wywiązywaniu się z zakontraktowanych usług.

Ostatnie zlecenie realizował na lotnisku Kennedy'ego podczas deszczowej nocy, pod nosem kordonu policji otaczającej błyszczący kadłub boeinga 747 *British Airways*. Swoją ofiarę dopadł w cysternie.

John Tennyson podszedł z kuflem piwa do stolika i przysiadł się do mężczyzny w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym. Stolik był okrągły i mały; krzesła stały tak blisko siebie, że niemal stykali się głowami. Dzięki temu mogli mówić cicho.

— Wszystko rozmieszczone? — zapytał blondyn.

— Tak — odparł jego towarzysz. — Kolumna posuwa się Standem w kierunku zachodnim, okrąży Trafalgar Square, przejeżdża pod Łukiem Admiralicji i wpadłszy w Mali, zmierza ku pałacowi. Jest siedem stanowisk.

— Podaj mi kolejność.

— Ze wschodu na zachód, czyli w kierunku posuwania się kolumny, zaczynamy od hotelu „Strand Palace”, naprzeciwko Savoy Court. Trzecie piętro, pokój trzy-zero-sześć. Karabin samopowtarzalny i celownik optyczny są wszyte w materac łóżka stojącego bliżej okna. Przekładnia na zachód, wschodnia strona, czwarte piętro, męska toaleta firmy konsultingowej. Broń ukryta jest nad płytą sufitową na lewo od jarzeniówki. Na wprost, po drugiej stronie ulicy, też czwarte piętro — na pierwszym jest taka tandetna arkada — biuro przepisywania na maszynie. Karabin i celownik optyczny są przywiązane do spodu fotokopiarki. Idąc dalej, w kierunku Trafalgar...

Mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym opisywał kolejno pozostałe skrytki z bronią. Wszystkie rozmieszczone były na odcinku około kilometra, między Savoy Court a Łukiem Admiralicji.

— Znakomity wybór — pochwalił go Tennyson odsuwając od siebie nie tknięty kufel piwa. — Rozumiesz w pełni wszystkie swoje ruchy?

— Znać, to je znam, ale nie mogę powiedzieć, żebym rozumiał.

— Prawdę mówiąc, nie musisz, co? — spytał blondyn.

— Pewnie, że nie, ale myślę o tobie. Gdyby cię osaczyli albo zablokowali, ja mógłbym wykonać robotę. Z dowolnego stanowiska. Dlaczego nie przydzielisz mi któregoś z nich?

— Nawet ty nie masz do tego kwalifikacji. Cokolwiek by się wydarzyło, nie ma miejsca na najmniejszy błąd. Jeden źle zaadresowany pocisk może doprowadzić do katastrofy.

— Pozwól, że ci przypomnę, iż szkolili mnie najlepsi.

Tennyson uśmiechnął się.

— Masz rację. Bardzo dobrze. Realizujesz posunięcia, które ci podałem i zajmujesz pozycję na ósmym stanowisku. Wybierz pokój w Budynku Rządowym, za Łukiem Admiralicji, i daj mi znać, który wybrałeś. Dasz sobie radę?

— Kaczki na galerii — odparł mężczyzna unosząc do ust kufel piwa. Wzrok Tennysona padł na czerwoną różę wytatuowaną na grzbiecie jego prawej dłoni.

— Mogę ci coś zasugerować? — spytał John Tennyson.

— Oczywiście, co takiego?

— Noś rękawiczki — powiedział Tennyson.

Blondyn otworzył drzwi i sięgnął do kontaktu na ścianie. W hotelowym pokoju oznaczonym numerem 306 zaświeciły się dwie stołowe lampy. Tennyson wszedł do środka i skinieniem ręki zaprosił towarzyszącego mu mężczyznę w średnim wieku do pójścia w jego ślady.

— Wszystko w porządku — powiedział Tennyson. — Nawet jeśli pokój znajduje się pod obserwacją, zasłony są zaciągnięte, a godzina odpowiada porze ścielenia łóżek przez pokojówki. Tutaj.

Payton-Jones wszedł do pokoju. Tennyson wyciągnął z kieszeni płaszcza miniaturowy wykrywacz metalu. Trzymając urządzenie nad łóżkiem, dotknął przycisku. Cichutki szum przybrał na sile, strzałka na skali skoczyła w prawo.

Tennyson odchylił ostrożnie narzutę i odrzucił pościel.

— Jest tutaj. Można wymacać kontury — powiedział wciskając palce w materac.

— Nadzwyczajne — mruknął Payton-Jones. — I pokój został wynajęty na dziesięć dni?

— Zarezerwowano go telegraficznie i opłacono przekazem pieniężnym nadanym w Paryżu. Na nazwisko Le Fevre, pseudonim bez znaczenia. Nikogo tu jeszcze nie było.

— Rzeczywiście jest. — Payton-Jones oderwał ręce od łóżka.

— Wyczuwam kształty karabinu — powiedział Tennyson — i czegoś jeszcze. Co to może być?

— Celownik teleskopowy — pośpieszył z wyjaśnieniem Anglik. — Zostawimy wszystko nie tknięte i postawimy człowieka na korytarzu.

— Następne stanowisko znajduje się nieco dalej, przy tej samej ulicy, w ubikacji firmy konsultingowej na czwartym piętrze. Karabin ukryty jest w suficie i przymocowany drutem do haka, na którym wisi jarzeniówka.

— Chodźmy — powiedział Payton-Jones.

Godzinę i czterdzieści pięć minut później obaj mężczyźni znajdowali się na dachu budynku, z którego roztaczał się widok na Trafalgar Square. Klęczeli przy niskim murku zabezpieczającym krawędź. Dołem przebiegała trasa, którą kolumna samochodów wiozących uczestników szczytu dotrze do Łuku Admiralicji, by minawszy go wjechać w Mall.

— Fakt, że Tinamou ukrył tu swoją broń — powiedział Tennyson z ręką na wybrzuszonej lekko przy samym murku papie — sugeruje według mnie, że będzie ubrany w mundur policjanta.

— Rozumiem, co ma pan na myśli — powiedział Payton-Jones. — Policjant wchodzący na dach, na którym umieściliśmy naszego człowieka, nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

— Właśnie. Mógłby spokojnie zabić tego człowieka i zająć jego stanowisko.

— Ale w ten sposób wpadłby w pułapkę. Odciąłby sobie drogę odwrotu.

— Nie jestem taki pewien, czy Tinamou potrzebuje drogi odwrotu w konwencjonalnym tego pojęcia znaczeniu. Ścisk w bocznej uliczce, rozhisteryzowane tłumy w dole, zapchane klatki schodowe, powszechna panika. Uciekał już w mniej dramatycznych okolicznościach. Niech pan nie zapomina, że ma więcej wcieleń, niż jest nazwisk w książce telefonicznej. Jestem przekonany, że w Madrycie podszył się pod członka ekipy prowadzącej śledztwo na miejscu zbrodni.

— Będziemy musieli postawić tu dwóch ludzi, z których jeden pozostawać będzie w ukryciu. I umieścić czterech strzelców wyborowych na sąsiednim dachu. — Payton-Jones odpełził na czworakach od murku. Blondyn podążył za nim. — Odwalił pan kawał dobrej robo-

ty, panie Tennyson — powiedział z uznaniem agent MI 5. — W niespełna trzydzieści siedem godzin wykrył pan pięć stanowisk. Czy według pana to już wszystkie?

— Jeszcze nie. Cieszę się jednak, że ustaliliśmy parametry. Przeprowadzi swoją akcję gdzieś na przestrzeni tych sześciu bloków od Savoy Court do Trafalgar Square. Kiedy kolumna minie łuk i wjedzie w Mall, będziemy mogli odetchnąć z ulgą. Nie wiem, czy do tego momentu będę w stanie oddychać. Czy delegacje zostały uprzedzone?

— Tak. Każda głowa państwa zostanie wyposażona w pancerze ochronne klatki piersiowej, łęźwi i nóg, jak również w kuloodporne wkładki do kapeluszy. Prezydent Stanów Zjednoczonych zaprotestował, naturalnie, przeciwko włożeniu kapelusza, a Rosjanin zażądał dopasowania mu wkładki do futrzanej czapy, ale poza tym wszystko w porządku. Ryzyko jest minimalne.

Tennyson popatrzył na Anglika.

— Naprawdę pan w to wierzy?

— Tak. A co?

— Bo mnie się wydaje, że jest pan w błędzie. Tinamou nie jest zwykłym strzelcem wyborowym. Prowadząc szybki ogień, potrafi obracać w powietrzu szylinga z odległości pięćset metrów. Wielkość powierzchni ciała wystającego spod ronda kapelusza nie stanowi dla niego żadnej różnicy. Będzie mierzył w oczy i nie spudłuje.

Payton-Jones obrzucił Tennysona szybkim spojrzeniem.

— Powiedziałem, że ryzyko jest minimalne, nie żadne. Na pierwszą oznakę zakłócenia spokoju każda osobistość zostanie osłonięta ludzkimi tarczami. Jak na razie wykrył pan pięć stanowisk. Przypuśćmy, że jest ich jeszcze pięć. Nawet jeśli nie znajdzie pan dalszych, udało nam się zredukować jego skuteczność o pięćdziesiąt procent i istnieje spora szansa — przynajmniej pięćdziesięcioprocentowa — że pojawi się w tych wykrytych miejscach. Fakty przemawiają zdecydowanie przeciwko Tinamou. Złapiemy go. Musimy.

— Jego pojmanie dużo dla pana znaczy, prawda?

— Tyle samo, co dla pana, panie Tennyson. Jest najważniejsze w mojej ponadtrzydziestoletniej służbie.

Blondyn pokiwał głową.

— Rozumiem pana. Wiele zawdzięczam temu krajowi i uczynię, co w mojej mocy, żeby pomóc. Ale wielki kamień spadnie mi z serca, kiedy ta kolumna dotrze do Łuku Admiralicji.

Do trzeciej nad ranem we wtorek Tennyson „wykrył” jeszcze dwa schowki z bronią. Ich liczba sięgnęła tym samym siedmiu. Układały się w linię prostą ciągnącą się StranDEM od Savoy Court do dachu budynku na rogu Whitehall i Trafalgar. Każde stanowisko obstawiono przynajmniej pięcioma agentami ukrytymi w korytarzach i na dachach, uzbrojonymi w karabiny i pistolety gotowe do użycia wobec każdego, kto zbliży się do kryjówek z bronią.

Tennyson wciąż jednak nie był zadowolony.

— Coś tu się nie zgadza — powtarzał agentowi. — Nie wiem co, ale coś mi tu nie pasuje.

— Jest pan przepracowany — powiedział Payton-Jones, kiedy znaleźli się w pokoju hotelu „Savoy”, który stanowił ich bazę operacyjną. — I przemęczony. Wykonał pan wspaniałą robotę.

— Nie dość wspaniałą. Gnębi mnie coś, czego nie potrafię uchwycić!

— Niech się pan uspokoi. Niech pan lepiej spojrzy na to, co już pan uchwycił: siedem kryjówek z bronią. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie, jakie istnieją. Musi zjawić się przy jednym z tych karabinów, musi zdradzić się z tym, że wie, gdzie jest ukryty. Jest już nasz. Niech się pan odpręży. Mamy tam mnóstwo ludzi.

— Ale coś tu się niegadza.

Wzdłuż Strandu panował ścisk, tłumy wypełniały szczelnie chodniki od krawężników po witryny sklepowe. Po obu stronach ulicy ustawiono słupki połączone grubymi stalowymi linami. Przed linami, na jezdni, stały naprzeciwko siebie rzędy londyńskich policjantów z obnażonymi pałkami u boku, rozglądających się bez przerwy czujnie na wszystkie strony.

Na trotuarach, za policjantami, czuwało ponad stu wmieszanych w tłum funkcjonariuszy brytyjskiego wywiadu, z których wielu ściągnięto specjalnie na tę okazję z zagranicznych placówek. Byli ekspertami, na udział w akcji których nalegał Payton-Jones, stanowili jego zabezpieczenie przed perfekcyjnym zabójcą. Utrzymywali ze sobą łączność za pośrednictwem miniaturowych ultrakrótkofalówek, uniemożliwiających przechwycenie transmisji bądź włączenie się w nią.

W sztabie operacyjnym, który ulokował się w pokoju hotelu „Savoy”, panowała napięta atmosfera. Przebywający tam ludzie byli ekspertami. Komputerowe ekrany obrazowały każdy metr szpaleru, świeciły geometrycznymi figurami i znacznikami rastrów, zarysowującymi kontury poszczególnych budynków i chodników. Ekrany sprzężone były ze znajdującymi się na zewnątrz radiami symbolizowanymi po włączeniu przez maleńkie, ruchome punkciki. Zbliżał się czas rozpoczęcia akcji. Kolumna samochodów była już w drodze.

— Wracam na ulicę — oznajmił Tennyson wyciągając z kieszeni małe radio. — Ustawiam zieloną strzałkę w położenie odbioru.

— Dobrze, ale nie korzystaj z niego, o ile nie będziesz przekonany, że to ważne — powiedział Payton-Jones. — Od chwili, gdy kolumna dotrze do mostu Waterloo, z posterunków rozstawionych co pięćdziesiąt metrów meldunki będą napływać co pięć sekund — nie licząc, oczywiście, sytuacji awaryjnych. Nie blokuj niepotrzebnie kanału.

— Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów do Waterloo, *sir* — powiedział głośno agent siedzący przed klawiaturą komputera. — Szybkość wciąż ta sama — dziesięć kilometrów na godzinę.

Blondyn wypadł w pośpiechu z pokoju. Czas przystąpić do sprawnej realizacji posunięć, które raz na zawsze zniszczą *Nachrichtendienst* i scementują pakt *Wolfsschanze*.

Wyszedł na Strand i spojrzał na zegarek. Za trzydzieści sekund mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym pojawi się w oknie na drugim piętrze budynku hotelu „Strand Palace”. Pokój nosił numer 206 i znajdował się bezpośrednio pod innym, w którym spoczywała ukryta w materacu broń. To było pierwsze posunięcie.

Tennyson rozejrzał się za którymś ze specjalistów Anglika. Nietrudno ich było rozpoznać; nosili takie same małe radyjka jak on. Podszedł do agenta broniącego swojego stanowiska przy witrynie sklepu przed napierającym tłumem. Do człowieka, do którego wcześniej celowo zagadał. Rozmawiał już z wieloma z nich.

— Cześć. Jak leci?

— Przepraszam? Ach, to pan. — Agent nie spuszczał oka z ludzi przebywających w obrębie przydzielonego mu rejonu obserwacji. Nie miał czasu na jałową rozmowę.

Na Strandzie, gdzieś w okolicach mostu Waterloo, podniosła się nagle wrzawa. Zbliżała się kolumna. Ciżba ludzka podsunęła się bliżej krawężnika wymachując miniaturowymi chorągiewkami. Dwa rzędy policjantów stojących na jezdni za linami zwarły szeregi, jakby spodziewając się naporu tłumy.

— Tam! — wrzasnął nagle Tennyson chwytając agenta za ramię. — Tam, w górze!

— Co? G d z i e?

— Tamto okno! Kilka sekund temu było zamknięte!

Nie widzieli wyraźnie mężczyzny w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym, ale nie ulegało wątpliwości, że w mroku pokoju stoi jakaś postać. Agent poderwał do ust radio.

— Podejrzany osobnik. Sektor Pierwszy, hotel „Strand Palace”, drugie piętro, trzecie okno od południowego narożnika.



Odpowiedź poprzedził trzask zakłóceń.

— To pod trzy-zero-sześć. Natychmiastowa kontrola prewencyjna.

Człowieka nie było już w oknie.

— Znikł — zameldował szybko agent.

Pięć sekund później w głośniku radia rozległ się inny głos.

— Nie ma tu nikogo. Pokój jest pusty.

— Przepraszam — powiedział blondyn do agenta.

— Ostrożności nigdy za wiele — odparł agent.

Tennyson ruszył dalej, przeciskając się przez tłum w kierunku południowym. Znowu spojrzął na zegarek: jeszcze dwadzieścia sekund. Zbliżył się do następnego mężczyzny trzymającego w ręku radio. Pokazał mu swoje, dając do zrozumienia, że łączy ich wspólne zadanie.

— Pracuję z wami — powiedział podnosząc głos niemal do krzyku, żeby tamten go usłyszał. — Wszystko w porządku?

Agent odwrócił się do niego.

— Co? — Dopiero teraz dostrzegł radio w dłoni Tennysona. — Ach tak, był pan na porannej odprawie. Wszystko w porządku, *sir*.

— Drzwi! — Tennyson chwycił agenta za ramię. — Po drugiej stronie ulicy. Otwarte drzwi. Nad głowami widać klatkę schodową. Drzwi!

— No to co, że drzwi? Ten człowiek na schodach? Ten, który biegnie?

— Tak! To ten sam.

— Kto? O czym pan mówi?

— Ten z pokoju hotelowego. Sprzed paru chwil. To ten sam człowiek; Na pewno! Miał nesesor.

— Żądanie kontroli prewencyjnej — rzucił agent do radia. — Sektor Czwarty, zachodnia flanka. Drzwi sąsiadujące ze sklepem jubilerskim. Mężczyzna z neseselem. Wbiega po schodach.

— W toku — padła odpowiedź.

Po drugiej stronie Strandu Tennyson dojrzał dwóch mężczyzn wpadających w otwarte drzwi i wbiegających na górę po stopniach mrocznej klatki schodowej. Przeniósł wzrok nieco w lewo. Człowiek w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym wyszedł spokojnie ze sklepu jubilerskiego i wmieszał się w tłum. Na pierwszym półpiętrze znajdowały się normalnie zamknięte — tak jak zamknięte były teraz — drzwi łączące oba budynki.

— Nie ma nikogo z neseselem pomiędzy pierwszym a czwartym piętrem — rozległ się głos z radia. — Sprawdźmy na dachu.

— Nie fatygujcie się — włączył się inny głos. — Jesteśmy tutaj i nikogo ani śladu.

Tennyson wzruszył przepraszająco ramionami i odszedł od agenta. W czasie majestatycznego przejazdu kolumny samochodów przez Strand, miał jeszcze wszcząć trzy alarmy. Ostatni z nich zmusi prowadzący kolumnę pojazd do zatrzymania się. Kierowca będzie mógł ruszyć w kierunku Trafalgar dopiero po otrzymaniu specjalnego zezwolenia. Ten ostatni alarm podniesie osobiście. Zaraz potem zapanuje chaos.

Pierwsze dwa nastąpiły szybko, w odstępie trzech minut. Mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym trzymał się ściśle planu, realizując go z precyzją i finezją. Lawirując zwinnie między tłoczącymi się ludźmi, dostał się na Trafalgar Square nie zatrzymany ani razu przez funkcjonariuszy brytyjskiego wywiadu. Przez pierś miał przewieszane dwa aparaty fotograficzne i światłomierz. Sprzęt kołysał się ryzykownie, gdy domniemany „turysta” usiłował wywalczyć sobie jak najlepsze miejsce dla uwiecznienia dowodu swego uczestnictwa w historycznej chwili.

*Alarm pierwszy.* Chwył za rękę — rękę trzymającą radio.

— Rusztowanie! Na górze!

— Gdzie?

Ściana budynku wznoszącego się naprzeciwko stacji Charing Cross znajdowała się w trakcie renowacji. Ludzie, którzy wdrapali się po rurach na rusztowanie na widok międzynarodowej kolumny samochodów, zaczęli wiwatować i gwizdać.

— Na gorze po prawej. Schował się za płytą ze sklejki.

— Kto, *sir*?

— Mężczyzna z hotelu i z tych schodów za otwartymi drzwiami! Ten z neserem!

— Kontrola rewizyjna. Sektor Siódmy. Mężczyzna na rusztowaniu budowlanym. Ma przy sobie neser.

Trzaski w głośniczku. Erupcja głosów.

— Obsadziliśmy całe to rusztowanie, chłopie.

— Nie ma tu nikogo z neserem!

— Wielu z aparatami fotograficznymi, ale ani jednego z neserem czy innym bagażem.

— Za płytą ze sklejki na pierwszej kondygnacji!

— Jakiś facet zmieniał film, kolego. Już złazi na dół. To nie nasz ptaszek.

— Przepraszam.

— Aleś nam pan dał popędu.

— Wybaczcie.

*Alarm drugi.* Tennyson pokazał policjantowi swoją tymczasową legitymację MI 5 i pognął na skrzyżowanie ku zapchanemu Trafalgar Square.

— Lwy! Boże, lwy!

Agent — człowiek, z którym Tennyson zamienił kilka słów podczas porannej odprawy — gapił się na cokół obelisku Lorda Nelsona. Lwy wokół górującego nad placem symbolu zwycięstwa Nelsona pod Trafalgarem były oblepione winogronami gapiów.

— Słucham, *sir*?

— To znowu on! Człowiek z rusztowania!

— Słyszałem przed chwilą ten meldunek — powiedział agent. — Gdzie go pan widzi?

— Skrył się za lwem po prawej. To nie neser. To skórzana torba, ale za duża na aparat! Nie widzisz? Jest za duża, żeby służyła do noszenia aparatu fotograficznego!

Agent nie wahał się już dłużej, poderwał radio do ust.

— Kontrola rewizyjna. Sektor Dziewiąty. Kocur od północy. Mężczyzna z dużą skórzaną torbą.

Głośnik zatrzeszczał zakłóceniami elektrostatycznymi; nałożyły się na siebie dwa głosy.

— Mężczyzna z dwoma aparatami fotograficznymi, większy położył przy nogach na ziemi...

— Mężczyzna dokonujący pomiaru światłomierzem, odpowiada... Nie widzę żadnego zagrożenia; ptaszka tu nie ma.

— Kucający mężczyzna z aparatem nastawia ostrość. To nie ptaszek. Agent MI 5 zerknął na Tennysona, po czym odwrócił głowę i ponow nie przystąpił do przeczesywania wzrokiem tłumu.

Nadszedł moment wszczęcia ostatniego alarmu, chwila początku końca dla *Nachrichtendienst*.

— Mylicie się! — wrzasnął dziko Tennyson. — Mylicie się! Wszyscy się mylicie!

— Co?

Blondyn puścił się biegiem tak szybko, jak tylko mógł, przepychając się z radiem przy uchu przez nabity ludźmi plac w kierunku krawężnika. Słyszał w głośniku podniecone głosy komentujące jego nagły wybuch.

— *Zwariował!*

— *Mówi, że się mylimy.*

- *Co do czego?*
- *Pojęcia nie mam.*
- *Pobiegł.*
- *Dokąd?*
- *Nie wiem. Nie widzę go już.*

Tennyson dotarł do metalowego ogrodzenia otaczającego monument. Widział swego partnera — dublera Tinamou — przecinającego w pędzie ulicę i biegnącego w kierunku łuku. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym trzymał w dłoni małe, czarne pudełko. Znajdująca się w środku legitymacja stanowiła dokładną kopię tej, którą Tennyson miał w kieszeni; inna była tylko fotografia.

Teraz!

Blondyn wduśił przycisk i krzyknął do radia:

- *To on! Jestem pewien!*
- *Kto mówi?*
- *Odpowiadaj.*
- *To z Sektora Dziesiątego.*
- *Teraz rozumiem! Już wiem, co mi nie pasowało.*
- *To pan, Tennyson?* — rozległ się głos Paytona-Jonesa.
- *Tak!*
- *Gdzie pan jest?*
- *O to chodziło! Teraz rozumiem.*
- *Co pan rozumie? Tennyson, to pan? Co tam się dzieje? Odpowiadaj pan.*
- *Teraz wszystko jasne! Popelniliśmy błąd! Nasze przypuszczenia były błędne.*
- *O czym pan mówi? Gdzie pan jest?*
- *Popelniliśmy błąd. Czy pan tego nie rozumie? Skrytki z bronią. Siedem miejsc. One miały zostać znalezione! To mi właśnie nie pasowało!*
- *Co?... Tennyson, wduś czerwony przycisk. Blokuję wszystkie kanały... co panu nie pasowało?*
- *Sposób ukrycia broni. Był zbyt prymitywny. Zbyt łatwo ją znaleźliśmy.*
- *Na miłość boską, co mi pan próbuje zasugerować?!*
- *Nie jestem jeszcze pewien — odparł Tennyson podchodząc do otwartej furtki. — Wiem tylko, że ta broń miała zostać znaleziona. Problem w kierunku!*
- *W jakim kierunku? W duś pan czerwony przycisk. Gdzie pan jest?*
- *Gdzieś między Sektorem Dziesiątym a Dziewiątym — wtrącił się czyjś głos. — Zachodnia flanką. Na Trafalgar.*
- *W kierunku, w jakim przemieszczał się od skrytki do skrytki! — krzyknął Tennyson. — Ze wschodu na zachód! W miarę mijania kolejnych stanowisk eliminujemy je. Nie powinniśmy tego robić! To odkryte limuzyny!*
- *Co to ma znaczyć?*
- *Niech pan zatrzyma kolumnę! Na wszystkie świętości, niech pan ją zatrzyma!*
- *Zatrzymać kolumnę!... Wydałem rozkaz. Mów pan wreszcie, gdzie jesteś?*
- Blondyn przykucnął; w odległości niespełna metra minęli go dwaj agenci MI 5.
- *Chyba go widzę! Mężczyzna z rusztowania! Z tamtych otwartych drzwi. Z hotelowego okna. To on! Zawraca, biegnie teraz!*
- *Jak wygląda? Na miłość boską, jak ten człowiek wygląda?!*
- *Jest w marynarce. W marynarce w brązową kratę.*
- *Alarm dla wszystkich agentów. Zatrzymać człowieka w marynarce w brązową kratę. Biegnie zachodnią flanką w kierunku północnym przez Sektory Dziewiąty, Ósmy i Siódmy.*
- *Musi istnieć jeszcze jedna skrytka z bronią! Skrytka, której nie wykryliśmy. Zamierzają strzelać od tyłu! Odległość nic dla niego nie znaczy. Trafia człowieka w kark z tysiąca*

metrów! Niech pan każe ruszyć kolumnie! Szybko!

— *Wóz pierwszy, naprzód. Agenci, otoczyć żywym murem wszystkie samochody. Chronić obiekty przed ogniem od tyłu.*

— Zatrzymał się!

— *Tennyson, gdzie pan jest? Podaj nam pan swoje położenie.*

— *Wciąż między Sektorami Dziewiątym i Dziesiątym — wtrącił się głos.*

— Nie ma już na sobie marynarki, ale to ten sam człowiek! Przebiega przez Strand!

— *Gdzie?*

— *W Sektorze Ósmym nikt nie przebiega przez jezdnię.*

— *Sektor Dziewiąty?*

— *Też nie, sir.*

— Bardziej z tyłu! Za kolumną!

— *Zgłasza się Sektor Piąty. Policja poluzowała liny...*

— *Napiąć je z powrotem. Spędzić wszystkich z jezdni. Tennyson, jak jest ubrany? Opisz go.*

Blondyn milczał; przeszedł dwadzieścia metrów wzdłuż placu i ponownie uniósł radio do ust.

— Jest w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym. Kieruje się z powrotem w stronę Trafalgar Square.

— *Sektor Ósmy, sir. Transmisja pochodzi z Sektora Ósmego.*

Tennyson wyłączył radio, wsunął je do kieszeni i podbiegł z powrotem do metalowego ogrodzenia. Kolumna mijała właśnie Charing Cross i znajdowała się w odległości jakichś czterystu metrów. Synchronizacja w czasie idealna. Tinamou był pod tym względem perfekcjonistą.

Mężczyzna w brązowym płaszczu przeciwdeszczowym ulokował się w opustoszałym biurze Budynku Rządowego za Parkiem Admiralicji. Wpuszczono go tam na podstawie podrobionej legitymacji MI 5, która otwierała wstęp wszędzie. Nikt jej nie kwestionował, nie w takim dniu. Oddanie strażaków z tego pomieszczenia do kolumny samochodów było trudne, ale nie stanowiło problemu dla kogoś wyszkolonego przez Tinamou.

Tennyson przeskoczył przez metalowe ogrodzenie i puścił się biegiem w poprzek Trafalgar Square, w kierunku Łuku Admiralicji. Zatrzymało go dwóch policjantów z uniesionymi pałkami. Kolumna znajdowała się już w odległości trzystu metrów.

— Sytuacja alarmowa! — krzyknął blondyn pokazując legitymację. — Sprawdźcie przez radio! Na częstotliwości MI 5, operacja „Savoy”. Muszę się dostać do Budynku Rządowego!

Policjanci zmieszali się.

— Przepraszam, *sir*. Nie mamy radia.

— No to je sobie załatwcie! — wrzasnął Tennyson puszczając się znowu biegiem.

Przy Łuku ponownie włączył swoje radio.

— To Mall! Kiedy kolumna minie Łuk, zatrzymajcie wszystkie pojazdy. Kryje się między drzewami!

— *Tennyson, gdzie pan jest?*

— *Sektor Dwunasty, sir. Jest w Sektorze Dwunastym. Wschodnia flank.*

— *Przekaż mu instrukcje. Szybko, na miłość boską!*

Tennyson wyłączył radio, schował je do kieszeni i ruszył znowu przez tłum. Wbiegł w Mall, skręcił w lewo i przecinając ścieżkę, dopadł pierwszych drzwi Budynku Rządowego. Kiedy dwaj umundurowani strażnicy zagrodzili mu drogę, pokazał im legitymację MI 5.

— A tak, *sir* — zreflektował się strażnik stojący z lewej strony. — Pański kolega jest na pierwszym piętrze, ale nie wiem, w którym pokoju.

— Ja wiem — odrzyknął blondyn pędząc już do schodów. Wiwaty dobiegające tu z Trafalgar Square przybrały na sile, kolumna zbliżała się do Łuku Admiralicji.

Przeskakując po trzy stopnie naraz, wbiegł na pierwsze piętro, staranował z łomotem drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz i zatrzymał się na chwilę w przejściu, żeby przełożyć pistolet z kieszeni za pasek. Podszedł szybko do drugich drzwi po lewej stronie. Próba ich otwarcia nie miała sensu. Wiedział, że są zamknięte na klucz. Jednak próba wyważenia ich bez uprzedzenia byłaby równoznaczna z proszeniem się o kulę w głowę.

— *Es ist von Tiebolt!* — krzyknął. — *Bleib beim Fenster!*

— *Herein!* — padła odpowiedź.

Tennyson wystawił przed siebie kark, wziął rozbieg i natarł z impetem na wątle drzwi. Wpadły z hukiem do środka pomieszczenia, a jego oczom ukazał się kłęczący pod oknem mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, z karabinem o długiej lufie w rękach. Dłonie miał obleczone w rękawiczki cielistego koloru.

— Johann?

— Odkryli wszystko — wyrzucił z siebie blondyn. — Znaleźli wszystkie schowki z bronią, wszystkie stanowiska!

— Niemożliwe! — wrzasnął mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. — Jedno, może dwa, ale nie wszystkie!

— Co do jednego — powiedział Tennyson kłęcząc za mężczyzną pod oknem. Pod Łukiem Admiralicji przejeżdżał właśnie prowadzący kolumnę wóz służby bezpieczeństwa. Za parę sekund pojawi się pierwsza limuzyna. Wiwaty wznoszone przez tłum narosły do poziomu mamuciego chóru.

— Daj mi karabin! — polecił Tennyson. — Celownik skalibrowany?

— Oczywiście — odparł mężczyzna wręczając mu broń.

Tennyson przełożył lewą rękę przez pas, owinął go sobie ciasno wokół dłoni, po czym uniósł karabin do ramienia, przykładając do oka okular celownika teleskopowego. W jasnozielony krąg wpłynęła pierwsza limuzyna. Krzyż nitek spoczął na premierze Wielkiej Brytanii. Tennyson przesunął nieco broń. W celowniku pojawiła się teraz uśmiechnięta twarz prezydenta Stanów Zjednoczonych, a nitki przecięły się na skroni Amerykanina. Tennyson przesunął broń tam i z powrotem. Musiał zyskać stuprocentową pewność, że wyeliminuje oba cele za dwoma pociągnięciami spustu.

W zielony krąg wsunęła się majestatycznie trzecia limuzyna. W celowniku znalazł się przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej, a środek krzyża nitek zatrzymał się pod daszkiem jego prostej czapki. Lekkie pociągnięcie spustu i głowa tego człowieka rozprysła się na kawałki.

— Na co czekasz?! — zdumiał się dubler.

— Podejmuję decyzję — odparł Tennyson. — Czas jest pojęciem względnym. Połowy sekund rozciągają się w połowy godzin.

Nadjeżdżała czwarta limuzyna, w zgubny zielony krąg wsuwał się premier Związku Radzieckiego. Dosyć tych przymiarek. W myślach już to zrobił. Przejście od świata wyobraźni do rzeczywistości było sprawą drugorzędną. Tak łatwo byłoby pociągnąć za spust.

Ale to nie była odpowiednia droga, by unicestwić *Nachrichtendienst*. Na zabijanie przyjdzie jeszcze czas. Ten czas nastąpi za kilka tygodni i potrwa kilka tygodni. Przewidywała go jedna z klauzul paktu *Wolfsschanze*, jedna z najistotniejszych jego klauzul. Zginie wielu przywódców. Ale jeszcze nie teraz, nie tego popołudnia.

Kolumna samochodów zatrzymała się; Payton-Jones wydał podpowiedziany mu przez Tennysona rozkaz. Limuzyny wjechały w Mall. Dziesiątki agentów biegnęło tyralierą przez trawę i zarośla w kierunku drzew z bronią gotową do strzału, ale trzymaną tak, by nie rzucała się w oczy.

Tennyson podtrzymał karabin lewą dłonią, naprężając pas biegnący od ramienia do lufy. Wsunął palec z osłony spustu i opuściwszy prawą rękę, wyszarpnął zza paska spodni rewolwer.

— Teraz, Johann! Zatrzymali się — wyszeptał dubler. — Teraz, bo za chwilę znowu ruszą. Wymkną ci się!

— Tak, teraz — powiedział cicho Tennyson, odwracając się do kucającego obok mężczyzny. — I nic mi się nie wymknie.

Strzelił, a eksplozja potoczyła się echem po opuszczonym biurze. Mężczyzna okręcił się dziko w półprzysiadzie wokół własnej osi, a z czoła bluznęła mu krew. Padł na ziemię z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

Wątpliwe, aby huk wystrzału był słyszalny z tej odległości we wzniecanej przez tłumy wrzawie, ale to nie miało właściwie znaczenia. Za kilka sekund rozpęta się kanonada, której nikt nie przegapi. Tennyson zerwał się sprężysto, ściągnął karabin z ramienia i wyjął z kieszeni złożony świstek papieru. Przyklął przy zabitym i wetknął papier w zalane krwią, martwe usta, wpychając go do oporu w gardło.

Zarzuciwszy karabin z powrotem na ramię, podciągnął trupa pod samo okno. Wyjął chusteczkę, wytarł broń do czysta i siłą wepchnął martwe palce w osłonę spustu, rozdzierając przy tym zabitemu rękawiczkę na prawej dłoni, tak żeby widać było tatuaż.

Teraz.

Wydobył z kieszeni radio i wychylił się przez okno.

— Chyba go mam! Tak samo jak w Madrycie. O, właśnie! W Madrycie!

— *W Madrycie? Tennyson, gdzie...*

— *Sektor Trzynasty, sir. Wschodnia flank.*

— *Trzynasty? Potwierdź. Madryt?...*

Tennyson odepchnął się od parapetu i cofnął w głąb pustego biura. Teraz będą to tylko sekundy. Sekundy do nawiązania z nim łączności przez Paytona-Jonesa.

Tennyson położył radio na podłodze i uklął przy zabitym mężczyźnie. Dźwignął martwe ramię dzierżące broń w górę, ku otwartemu oknu, wsłuchując się przez cały czas w podniecone głosy dobiegające z radia.

— *Sektor Trzynasty. Wschodnia flank. Za Łukiem, po lewej, kieruje się na południe.*

— *Koncentracja wszystkich agentów w Sektorze Trzynastym. Wschodnia flank. Wykonać.*

— *Koncentracja całego personelu, sir. Sektor...*

— *Madryt!... Budynek Rządowy. To Budynek Rządowy. Teraz.*

Blondyn pocisnął cztery razy martwe palce, otwierając na chybił trafił ogień do tłumy zgromadzonego w najbliższym sąsiedztwie kolumny samochodów. Słyszał krzyki, widział padające ciała.

— *Ruszać. Wszystkie wozy ruszać. Alarm Pierwszy. Ruszać.*

Ryknęły silniki limuzyn. Samochody wyrwały ostro z miejsca. Park

Saint Jamesa wypełniło wycie syren.

Tennyson puścił martwe ciało, pozwalając mu osunąć się na podłogę, a sam z pistoletem w rękę skoczył do drzwi. Naciskał raz po raz spust, dopóki w komorze nie pozostał ani jeden nabój. Trup mężczyzny trafiany kolejnymi pociskami podrygiwał groteskowo.

Wydobywających się z radia głosów nie można już było rozróżnić. Z korytarza dobiegł tupot pędzących stóp.

Johann von Tiebolt podszedł do ściany i osunął się po niej na podłogę z twarzą ściągniętą skrajnym wyczerpaniem. Jego występ dobiegł końca. Tinamou został ujęty.  
Przez Tinamou.

Ich ostatnie spotkanie odbywało się dwadzieścia siedem i pół godziny po śmierci nieznanego mężczyzny, uznanego oficjalnie za Tinamou.

Od pierwszej wzmianki o tym sensacyjnym wydarzeniu — o którym najpierw doniósł *Guardian*, a potem potwierdziła je Downing Street — wiadomość zelektryzowała świat. A wywiad brytyjski, który odmówił wszelkich komentarzy na temat operacji poza wyrażeniem wdzięczności źródłom, których nie chciał ujawnić, odzyskał supremację utraconą przez lata zdrad i nieskutecznych działań.

Payton-Jones wyjął z kieszeni dwie koperty i wręczył je Tennysonowi.

— Wydaje mi się, że rekompensata jest niewspółmierna do zasług. Rząd brytyjski zaciągnął wobec pana dług, którego może nigdy nie spłacić.

— Ani przez chwilę nie chodziło mi o zapłatę — powiedział Tennyson odbierając koperty. — Najważniejsze, że nie ma już Tinamou. Jak przypuszczam, w jednej z tych kopert znajduje się list od MI 5, a w drugiej nazwiska wyciągnięte z akt *Nachrichtendienst*?

— Tak.

— Czy moje nazwisko zostało usunięte z raportu o przebiegu operacji? — Nigdy się w nim nie pojawiło. Wymienia się tam pana jako „Źródło Able”. List, którego kopia włączona została do akt, stwierdza, że pańskie dossier jest nieposzlakowane.

— A co z tymi, którzy słyszeli moje nazwisko wymieniane przez radio?

— Jeśli je wyjawia, będą pociągnięci do odpowiedzialności na mocy postanowień Ustawy o Zachowaniu Tajemnicy Państwowej. Ale to i tak nie ma znaczenia; słyszeli tylko nazwisko „Tennyson”. W brytyjskim wywiadzie jest z pewnością kilkunastu Tennysonów działających w głębokiej konspiracji i w razie konieczności można oświadczyć, że był to jeden z nich.

— Można więc powiedzieć, że jesteśmy kwita.

— Chyba tak — zgodził się Payton-Jones. — Co pan teraz będzie robił?

— Co będę robił? Wykonywał swój zawód, ma się rozumieć. Jestem dziennikarzem. Może jednak poproszę o krótki urlop. Trzeba się zająć przykrym obowiązkiem uregulowania spraw mojej starszej siostry, a potem chciałbym trochę odpocząć. Może w Szwajcarii. Lubię jeździć na nartach.

— Akurat jest sezon.

— Tak. — Tennyson zawahał się. — Mam nadzieję, że śledzenie mnie nie będzie już konieczne.

— Tylko w jednym przypadku — jeśli sam pan tego zażąda.

— Zażądam?

— Dla ochrony. — Payton-Jones podał Tennysonowi fotokopię jakiejś notatki. — Tinamou pozostał do końca profesjonalistą; usiłował się tego pozbyć, próbował to połączyć. I miał pan rację. To *Nachrichtendienst*.

Tennyson wziął od niego kopię. Słowa były rozmazane, ale czytelne.

NACHRICHT. 1360.78K. AU23°. 22°.

— Co to oznacza? — spytał.

— To właściwie dosyć proste — odparł agent. — *Nachricht* jest prawdopodobnie skrótem od *Nachrichtendienst*. Liczba „1360.78K” jest metrycznym odpowiednikiem trzech tysięcy funtów, czyli półtorej tony, „Au” zaś to chemiczny symbol złota. Zapis „23°.22°” oznacza



według nas współrzędne geograficzne Johannesburga. Tinamou dostał za wykonanie wczorajszego zadania opłatę w złocie od kogoś z Johannesburga. To mniej więcej trzy miliony sześćset tysięcy funtów szterlingów albo ponad siedem milionów dolarów amerykańskich.

— To przerażające, że *Nachrichtendienst* dysponował tak ogromną sumą pieniędzy.

— Przerażające, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, na co została zużyta.

— Nie zamierzacie chyba tego ujawniać?

— Raczej nie. Zdajemy sobie jednak sprawę, że nie mamy prawa zabronić tego panu. Zwłaszcza panu. W swoim artykule zamieszczonym w *Guardianie* czynił pan aluzje do nieznannej grupy ludzi, która może ponosić odpowiedzialność za tę próbę zamachu.

— Spekulowałem na temat rozmaitych możliwości — skorygował go Tennyson — wnioskując ze stylu pracy Tinamou. Był mordercą do wynajęcia, nie mścicielem. Dowiedzieliście się czegoś o tym człowieku?

— Praktycznie niczego. Jedynym dowodem tożsamości, jaki przy nim znaleźliśmy, była świetnie podrobiona legitymacja MI 5. Jego odcisków palców nie ma w kartotekach od Waszyngtonu po Moskwę. Garnitur był seryjnej produkcji, raczej niebrytyjskiej. Na ubraniu nie stwierdziliśmy metek ani stempli z pralni, a za płaszcz, który — jak udało się ustalić — nabył w sklepie na Old Bond Street, zapłacił gotówką.

— Ale bez przerwy podróżował. Musiał mieć jakieś dokumenty.

— Nie wiadomo, gdzie ich szukać. Nie znamy nawet jego narodowości. Laboratoria pracowały na okrągło, żeby znaleźć jakiś punkt zaczepienia: stan uzębienia, ślady przebytych operacji chirurgicznych, znaki szczególne, które komputer mógłby z czymś skojarzyć. I nic. Jak dotąd, nic.

— A więc może to nie był Tinamou. Tatuaz na grzbiecie dłoni i broń o podobnym kalibrze. Czy to aby wystarczające dowody?

— Taki jest stan obecny. Może pan to podać w swoim jutrzejszym artykule. Niezbity dowód przynoszą badania balistyczne. Charakterystyki dwóch karabinów znalezionych w skrytkach oraz tego, który miał przy sobie, zgadzają się z parametrami broni użytej do dokonania trzech wcześniejszych zabójstw.

Tinamou pokiwał głową.

— Przynosi to pewne uspokojenie, prawda?

— Na pewno. — Payton-Jones wskazał na kopię notatki. — Co pan o tym sądzi?

— O czym? O tej notatce?

— O *Nachrichtendienst*. Pan zwrócił nam uwagę na tę organizację i teraz to się potwierdza. Nadzwyczajna historia! Pan ją odkopał i ma pan wszelkie prawa, by ją opublikować.

— Ale wolelibyście, żebym tego nie robił.

— Nie możemy panu przeszkodzić.

— Z drugiej strony — zauważył blondyn — nic nie może powstrzymać was od umieszczenia mojego nazwiska w raportach, a tego z kolei ja pragnąłbym uniknąć.

Człowiek z MI 5 odchrząknął.

— Hmm, szczerze mówiąc jest coś takiego. Słowo, które panu dałem, panie Tennyson. Myślę, że to dobra gwarancja.

— Z pewnością, ale z równą pewnością mogłoby one szybko ulec przewartościowaniu, gdyby wymagała tego sytuacja. Jeśli nie przez pana, to przez kogoś innego.

— Nie dostrzegam takiego prawdopodobieństwa. Układał się pan wyłącznie ze mną; to było nasze porozumienie.

— A więc „Źródło Able” pozostaje anonimowe. Nie ma o nim żadnych danych.

— Zgadza się. I nie jest to niczym niezwykłym w kręgach, w których się obracam. Tej służbie poświęciłem całe życie. Moje słowo, raz dane, jest nie do podważenia.

— Rozumiem. — Tennyson wstał. — Dlaczego nie chce pan ujawnić swoich informa-

cji dotyczących *Nachrichtendienst*?

— Potrzebuję czasu. Miesiąca, może dwóch. Muszę podejść ich tak, aby się nie spłoszyli.

— Sądzi pan, że to wykonalne? — Tennyson wskazał palcem na jedną z leżących na stole kopert. — Czy te nazwiska mogą coś pomóc?

— Nie jestem pewien. Dopiero zacząłem. Na tej liście figuruje tylko osiem osób. Nie wiemy nawet, czy jeszcze żyją. Nie było czasu, żeby to sprawdzić.

— Któraś z nich na pewno żyje. Jest bardzo bogata i potężna.

— Najwyraźniej.

— Tak więc w miejsce zacieklego ścigania Tinamou pojawia się obsesja, której na imię *Nachrichtendienst*.

— Według mnie jest to logiczne — przyznał Payton-Jones. — I powinienem dodać, że istnieje jeszcze jeden powód — głównie zawodowy, ale częściowo również osobisty. Jestem przekonany, że *Nachrichtendienst* odpowiada za śmierć młodego człowieka, którego szkoliłem.

— Kto to był?

— Mój partner. Przez lata służby nie spotkałem nikogo, kto byłby tak zaangażowany. Jego ciało znaleziono w małej wiosce o nazwie Montereau, jakieś sto kilometrów na południe od Paryża. Pojechał do Francji początkowo z zadaniem obserwacji Holcrofta, ale szybko doszedł do przekonania, że trop Holcrofta prowadzi w ślepią uliczkę...

— Co się według pana stało?

— Dobrze wiem, co się stało. Niech pan nie zapomina, że on szukał Tinamou. Kiedy okazało się, że Holcroft jest tym, za kogo się podaje — człowiekiem poszukującym pana tylko po to, by przekazać mu jakiś niewielki spadek...

— Bardzo niewielki — wtrącił Tennyson.

— ...nasz młody współpracownik zszedł do podziemia. Był profesjonalistą. Wpadł na jakiś ślad. Co więcej, nawiązał kontakt. Musiał nawiązać kontakt. Tinamou, *Nachrichtendienst*... Paryż. Wszystko pasuje.

— Dlaczego niby pasuje?

— Na tej liście znajduje się nazwisko pewnego człowieka. Człowieka mieszkającego pod Paryżem — nie wiemy gdzie — który był generałem w wyższym dowództwie hitlerowskich Niemiec. Nazywa się Klaus Falkenheim. Ale to nie wszystko. Sądzimy, że jest założycielem *Nachrichtendienst*, jednym z jego pierwszych członków. Nosi pseudonim *Herr Oberst*.

John Tennyson stał sztywno przy krześle.

— Ma pan moje słowo — powiedział. — Niczego nie ogłoszę drukiem.

Holcroft siedział pochylony na kanapie z gazetą w ręce. Nagłówek ciągnął się przez całą stronę. Mówił wszystko:

## PŁATNY ZABÓJCA OSACZONY I ZABITY W LONDYNIE

Niemal każdy artykuł z tej strony nawiązywał do dramatycznego pościgu, a następnie zastrzelenia Tinamou. Były wśród nich historie sięgające piętnastu lat wstecz, kojarzące postać Tinamou z dwoma braćmi Kennedymi i z Martinem Luterem Kingiem, jak również z Oswaldem i Rubym. Świeższe spekulacje napomykały o zabójstwach w Madrycie i Bejrucie, w Paryżu i Lizbonie, w Pradze, a nawet w samej Moskwie.

Nie zidentyfikowany mężczyzna z różą wytatuowaną na grzbiecie dłoni stał się natchnieniem legendą. Salony tatuażu ze wszystkich miast przeżywały wielki boom.

— Mój Boże, dokonał tego... — wyszeptał Noel.

— A jednak nigdzie nie wymieniają jego nazwiska — zauważyła Helden. — Rezygnacja z zaszczytów za udział w czymś tak nadzwyczajnym nie jest w stylu Johanna.

— Sama mówiłaś, że się zmienił pod wpływem Genewy. Ja w to wierzę. Mężczyzna, z którym rozmawiałem, nie należał do ludzi zapatrzonych w siebie. Uprzedziłem go, że bank w Genewie nie życzy sobie komplikacji. Że dyrektorzy będą szukali czegoś, co mogłoby zdyskwalifikować jednego z nas, że w potencjalnie kompromitującej sytuacji zablokują konto. Człowiek igrający z niebezpieczeństwem, który przestaje z ludźmi pokroju tych, z jakimi zadawał się twój brat tropiąc Tinamou, wystraszyłby bankierów śmiertelnie.

— Ale obaj powiedzieliście, że istnieje ktoś potężniejszy od *Rache* i ODESSY albo od *Wolfsschanze*, kto usiłuje was powstrzymać. Jak, według ciebie, zareagują na to wszystkie urzędnicy z Genewy?

— Powie im się tylko to, co trzeba — zawyrokował Holcroft. — Czyli całkiem możliwe, że nic, jeśli ustalimy z twoim bratem, kto to taki.

— A potraficie?

— Być może. Johann uważa, że tak, a przecież ma w tych sprawach więcej ode mnie doświadczenia. To szalony proces eliminacji. Najpierw przekonujemy się, że to jakaś jedna siła, jedna grupa, później że druga; a potem okazuje się, że ani jedna, ani druga.

— Mówisz o ODESSIE i *Rache*?

— Tak. Wyeliminowaliśmy je. Teraz szukamy dalej. Wystarczy nam tylko jedno nazwisko, tożsamość.

— Co zrobicie, kiedy już je poznacie?

— Nie wiem — przyznał Holcroft. — Mam nadzieję, że twój brat mi powie. Wiem tylko, że cokolwiek zrobimy, będziemy musieli działać szybko. Za kilka dni będę miał na karku Milea. Zamierza powiązać publicznie moją osobę z zabójstwami, jakie miały miejsce od lotniska Kennedy'ego do hotelu „Plaza”. Wystąpi o ekstradycję i uzyska ją. Jeśli do tego dojdzie, będzie to oznaczało koniec Genewy, a wraz z nią, praktycznie biorąc, i mój.

— Jeśli zdołają cię odnaleźć — powiedziała Helden. — Mamy sposoby...

Noel patrzył na nią przez chwilę.

— Nie — odparł w końcu. — Nie zamierzam żyć z trzema zmianami ubrania, butami na gumowej podeszwie i pistoletami wyposażonymi w tłumiki. Pragnę, abyś dzieliła ze mną życie, ale ja nie będę dzielić waszego.

— Możesz nie mieć wyboru.

Drgnęli oboje, wystraszeni dzwonkiem telefonu. Słuchawkę podniósł Holcroft.

— Dzień dobry, panie Fresca.

To był Tennyson.

— Możesz swobodnie mówić? — spytał Noel.

— Tak. Ten aparat jest czysty, a wątpię, aby centralka w „George'u V” interesowała się szczególnie jedną z wielu rozmów z Londynem. Ale ostrożności nigdy za wiele.

— Rozumiem. Moje gratulacje. Dopiąłeś swego.

— Korzystałem z wszechstronnej pomocy.

— Pracowałeś z Brytyjczykami?

— Tak. Miałeś rację. Dawno już powinienem to zrobić. Byli wspaniali.

— Dobrze wiedzieć, że mamy sprzymierzeńców.

— Nawet więcej. Dysponujemy już danymi wroga Genewy.

— Co?!

— Mamy nazwiska. Możemy im się teraz przeciwstawić. Musimy się im przeciwstawić. Zabijaniu trzeba położyć kres.

— Ale jak?

— Opowiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy. Twój przyjaciel

Kessler był bliski prawdy.

— To jakiś odłam ODESSY?

— Ostrożnie — przerwał mu Tennyson. — Powiedzmy, że to grupa zmęczonych starców dysponująca zbyt wielkimi pieniędzmi i ogarnięta trawiącą ich od końca wojny żądzą wendety.

— I co robimy?

— Być może niewiele. Może wyręczą nas Brytyjczycy.

— Wiedzą o Genewie?

— Nie. Po prostu czują się dłużnikami.

— To więcej, niż moglibyśmy od nich wymagać.

— Nie więcej, niż na to zasługujemy — powiedział Tennyson. — Jeśli wolno mi się tak wyrazić.

— Tobie wolno. A ci... starcy? To była ich robota? Włącznie z Nowym Jorkiem?

— Tak.

— A więc jestem czysty.

— Będziesz wkrótce.

— Dzięki Bogu! — Noel zerknął na Helden i uśmiechnął się. — Co mam teraz robić?

— Jest środa. Bądź w Genewie w piątek wieczorem. Tam się spotkamy. Wylecę późnym rejssem z Heathrow i będę na miejscu gdzieś między jedenastą trzydzieści a północą. Zadzwon do Kesslera do Berlina i przekaż mu, żeby tam do nas dołączył.

— Dlaczego nie dzisiaj albo jutro?

— Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Ułatwi to nam później życie. Umawiamy się na piątek. Masz jakiś upatrzony hotel?

— Mam. „D'Accord”. Do Genewy przylatuje moja matka. Dała mi znać, żebym się tam zatrzymał.

Na linii, od strony Londynu, zapanowało milczenie. W końcu Tennyson odezwał się. Mówił teraz szeptem.

— Co powiedziałeś?

— Moja matka przylatuje do Genewy.

— Porozmawiamy później — rzucił ledwie dosłyszalnie brat Helden. — Muszę już kończyć.

Tennyson odłożył słuchawkę telefonu stojącego na stoliku w jego mieszkaniu w Kensington. Popatrzył na aparat z nienawiścią, jak zawsze, kiedy dostarczał mu niespodziewanych wieści. W tym przypadku mogły się okazać równie niebezpieczne, jak pojawienie się na scenie *Nachrichtendienst*.

Jakie szaleństwo skłoniło Althene Clausen do przylotu do Genewy? Tego nigdy nie było w planie — w planie, jakim ona go znała. Czyżby ta stara kobieta sądziła, że może odbyć podróż do Szwajcarii nie wzbudzając podejrzeń? I to zwłaszcza teraz! A może przez te lata zapomniała o ostrożności? Jeśli to prawda, nie dożyje momentu, w którym mogłaby pożałować swojej nierozwagi. A może znowu zapomniała, wobec kogo ma być lojalna — w jej rozumieniu pojęcia lojalności. Jeśli tak, zanim rozstanie się z tym światem, gdzie popełniła tyle nadużyć, przypomni się jej o priorytetach.

Tak będzie. On miał własne priorytety. Pakt *Wolfsschanze* zostanie niedługo wypełniony. Synchronizacja w czasie była teraz sprawą najważniejszą.

Najpierw lista. A właściwie dwie. Obie stanowiły klucz do *Wolfsschanze*. Jedna składała się z jedenastu stron i zawierała nazwiska blisko tysiąca sześciuset mężczyzn i kobiet — potężnych mężczyzn i kobiet z całego świata. Była to elita *Sonnenkinder*, przywódcy oczekujący na sygnał z Genewy. Oczekujący nadejścia milionów, za które można będzie kupić wy-

bory, wpływać na kształt polityki. Była to lista podstawowa. Z niej wyłonią się zręby Czwartej Rzeszy.

Ale zręby trzeba wypełnić treścią, nadać im głębi. Przywódcy potrzebują popleczników. Tych dostarczy druga lista, zarejestrowana na stu rolkach filmu. Lista główna. Mikrofilmowy wykaz ich ludzi z każdego zakątka globu. Ludzi liczących się teraz w tysiącach tysięcy, spłodzonych i zwerbowanych przez dzieci ewakuowane statkami, samolotami i łodziami podwodnymi z Trzeciej Rzeszy.

Operacja *Sonnenkinder*.

Listy, nazwiska. Utrwalone na tylko jednej kopii, której nie wolno było powielać, strzeżonej ściśle, niczym święty gral. Przez wiele lat listy przechowywał i bez przerwy uaktualniał Maurice Graff z Brazylii. Johannowi von Tieboltowi pokazano je w dzień jego dwudziestych piątych urodzin. Ceremonia oznaczała przekazanie władzy; nowo wybrany przywódca absolutnie przeszedł wszelkie oczekiwania.

John Tennyson przewiózł listy do Anglii, wiedząc, że musi ukryć je w miejscu bezpieczniejszym niż bank, mniej narażonym na potencjalną penetrację niż londyńskie skarbcie. Wyszukał taki tajemny schowek w skromnym górniczym miasteczku w Walii z *Sonnenkind*, które bez wahania oddałoby swe życie dla ochrony dokumentów.

Był nim Ian Llewellyn, brat Morgana, zastępcy Beaumonta na okręcie „Argo”.

Nadchodziła właśnie pora przybycia Walijczyka. Po dostarczeniu depozytu lojalne *Sonnenkind* poniesie ofiarę, o złożenie której tak się dopraszało zaledwie kilka dni temu, kiedy jechali autostradą z Heathrow. Musi umrzeć. Nikt nie może wiedzieć o tych listach, znać nazwisk. Po złożeniu ofiary, klucz do *Wolfsschanze* pozostanie w rękach tylko dwóch ludzi. Jednym jest skromny profesor historii z Berlina, drugim człowiek cieszący się poważaniem brytyjskiego wywiadu. Obaj poza wszelkimi podejrzeniami.

*Nachrichtendienst*. Następny priorytet.

Tennyson wpatrywał się w arkusz papieru obok telefonu. Leżał tam od kilku godzin. Była to jeszcze jedna lista — odległa o lata świetlne od *Sonnenkinder* — którą dostał od Paytona-Jonesa. To był *Nachrichtendienst*.

Osiem nazwisk, osiem osób. A czego wywiad brytyjski nie potrafił ustalić przez dwa dni, on sprawdził w dwie godziny. Pięć osób już nie żyło. Pozostały trzy, w tym jedna bliska śmierci, przebywająca w sanatorium pod Stuttgartem. W praktyce liczyły się więc tylko dwie: zdrajca Klaus Falkenheim, znany pod pseudonimem *Herr Oberst*, i były dyplomata nazwiskiem Werner Gerhardt, liczący obecnie osiemdziesiąt trzy lata, wiodący spokojne życie w szwajcarskiej wiosce nad jeziorem Neuchatel.

Ale to nie starcy podróżowali międzykontynentalnym samolotem i nie oni dosypywali strychniny do szklaneczek z whisky. Nie oni pobili do nieprzytomności człowieka za fotografię. Nie oni strzelali do tego samego człowieka we francuskiej wiosce i nie napastowali go w odludnym berlińskim zaułku.

*Nachrichtendienst* wychowała sobie młodszych, bardzo zdolnych członków. Indoktrynowała ich do poziomu bezwzględного zaangażowania w sprawę... zaangażowania dorównującego temu, które dotąd właściwe było tylko członkom *Wolfsschanze*.

*Nachrichtendienst!* Falkenheim, Gerhardt. Od jak dawna wiedzą o pakcie *Wolfsschanze*?

Jutro się o tym przekona. Rano poleci samolotem do Paryża i zatelefonuje do Falkenheima, do znieawidzonego *Herr Obersta*. Tego wytrawnego aktora, skończonego śmiecia. Tego zdrajcy Rzeszy.

Jutro zatelefonuje do Falkenheima i złamie go. A potem zabije.

Z ulicy dobiegł dźwięk samochodowego klaksonu. Tennyson spojrzął na zegarek i poszedł do okna. Punkt ósma. Na ulicy stał wóz Walijczyka, a w środku, zamknięte hermetycznie w metalowej kasecie, znajdowały się listy.

Tennyson wyjął z szuflady pistolet i wsunął go do kabury przymocowanej paskami do ramienia.

Pragnął mieć już za sobą wypadki przewidziane na ten wieczór i siedzieć w samolocie do Paryża. Nie mógł się doczekać konfrontacji z Klausem Falkenheimem.

Holcroft siedział w półmroku na kanapie, a przez okno wlewała się do pokoju poświata niewidocznego księżycy. Była czwarta nad ranem. Palił papierosa. Przed piętnastoma minutami otworzył oczy i nie mógł już zasnąć. Jego myśli krążyły wokół leżącej obok dziewczyny.

Helden. Była kobietą, z którą pragnął spędzić resztę życia, a ona nie chciała mu nawet zdradzić, gdzie ani z kim mieszka. Miał już tego dosyć. Nie był zainteresowany dalszym prowadzeniem tej gry.

— Noel? — nadpłynął z ciemności głos Helden.

— Tak?

— Co się stało, kochany?

— Nic. Rozmyślam sobie.

— Ja też rozmyślam.

— Myślałem, że śpisz.

— Poczuałem, jak wstajesz. O czym tak rozmyślasz?

— O wielu sprawach — burknął. — Przede wszystkim o Genewie. Wkrótce będzie po wszystkim. Będiesz mogła przestać uciekać. Ja również.

— Ja też o tym myślałam. — Uśmiechnęła się do niego. — Chcę ci zdradzić mój sekret.

— Sekret?

— Niewielki, ale ciekawa jestem twojej miny, kiedy go usłyszysz. Przysuń się.

Wyciągnęła obie ręce, a on ujął je i usiadł przed nią nagi.

— Co to za sekret?

— Dotyczy twojego rywala. Mężczyzny, z którym żyję. Jesteś gotów?

— Jestem.

— To *Herr Oberst*. Kocham go.

— Ten starzec? — Noel odetchnął.

— Tak. Wściekasz się?

— Wychodzę z siebie. Będę go musiał wyzwać na pojedynek. — Wziął ją w ramiona.

Helden roześmiała się i pocałowała go.

— Muszę się z nim dzisiaj zobaczyć.

— Pojadę z tobą. Mam błogosławieństwo twojego brata. Zobaczę, czy uda mi się uyskać je od starego.

— Nie. Muszę jechać sama. Nie będzie mnie najwyżej godzinę.

— Góra dwie.

— Dwie godziny. Stanę przed jego wózkiem na kółkach i powiem: „*Herr Oberst*, porzucam pana dla innego mężczyzny”. Sądysz, że go to załamie?

— To go zabije — wyszeptał Noel. Pociągnął ją łagodnie na łóżko.

Tennyson wszedł na parking portu lotniczego Orly i odszukał wzrokiem szarego renaulta. Za kierownicą samochodu siedział drugi pod względem rangi funkcjonariusz Surete. Urodził się w Dusseldorfie, ale dorastał jako Francuz. Ewakuowano go z Niemiec samolotem startującym z małego lotniska na północ od Essen. Miał wtedy — 10 marca 1945 roku — sześć lat i po ojczyźnie nie pozostały mu żadne wspomnienia. Pozostał mu za to cel w życiu: był *Sonnenkind*.

Tennyson wszedł do samochodu.

— *Bonjour, monsieur* — powiedział.

— *Bonjour* — odparł Francuz. — Wygląda pan na zmęczonego.

— To była długa noc. Przywiózł pan wszystko, o co prosiłem? Mam bardzo mało czasu.

— Wszystko. — Funkcjonariusz Surete sięgnął po teczkę na akta i wręczył ją blondynowi. — Wydaje mi się, że jest tu wszystko.

— Niech mi pan to streści; później przeczytam całość. Chcę się szybko zorientować, na czym stoimy.

— Proszę bardzo. — Francuz położył sobie teczkę na kolanach. — Zaczniemy od najważniejszego. Wykluczone, aby człowiek nazwiskiem Werner Gerhardt z Neuchatel był czynnym członkiem *Nachrichtendienst*.

— Dlaczego wykluczone? Von Pappen miał przecież swoich wrogów w "korpusie dyplomatycznym. Dlaczego nie miałyby nim być ten Gerhardt?

— Owszem, kiedyś mógł. Ale nie teraz. Nie dość, że jest zgrzybiały, to jeszcze stuknięty. Wegetuje tak od lat. Jest pośmiewiskiem wsi, w której mieszka. Taki staruszek, co to mamrocze coś sam do siebie, podśpiewuje i karmi gołębie na rynku.

— Zgrzybiałość można udawać — zauważył Tennyson. — A określenie „stuknięty” trudno zaliczyć do terminów z zakresu patologii.

— Istnieje na to dowód. Jest pacjentem ambulatorium miejscowej kliniki z autentyczną kartą choroby. Ma mentalność dziecka i z ledwością potrafi zadbać o siebie.

Tennyson skinął z uśmiechem głową.

— Tyle o Wernerze Gerhardcie. A skoro już jesteśmy przy pacjentach, jaki jest stan zdrowia tego zdrajcy ze Stuttgartu?

— Rak mózgu, ostatnie stadium. Nie pociągnie więcej niż tydzień.

— Tak więc *Nachrichtendienst* ma tylko jednego czynnego przywódcę — mruknął Tennyson. — Klause Falkenheima.

— Na to by wyglądało. Mógł jednak przelać władzę na kogoś młodszego. Ma do dyspozycji żołnierzy.

— Tylko do dyspozycji? Spośród dzieci, które ochrania? Spośród *Verwunschte Kinder*?

— Chyba nie. Mają w swoich szeregach paru idealistów, ale nie reprezentują żadnej poważnej siły. Falkenheim darzy ich sympatią, ale oddziela te sprawy od *Nachrichtendienst*.

— A więc skąd pochodzą żołnierze *Nachrichtendienst*?

— To Żydzi.

— Żydzi!

Francuz pokiwał głową.

— Jak zdołaliśmy ustalić, werbuje się ich dorywczo, do wykonania konkretnego zadania. Poza tym nie są zorganizowani. Prócz tego, że są Żydami, łączy ich tylko jedno: miejsce, skąd pochodzą.

— Co to za miejsce?

— Kibuc Har Sha'alav. Na pustyni Negew.

— Har Sha'alav?... Mój Boże, jakie idealne rozwiązanie — mruknął Tennyson z chłodnym, profesjonalnym podziwem. — Har Sha'alav. Kibuc w Izraelu, w którym ewentualni jego mieszkańcy muszą spełniać jeden warunek: być jedynym ocalałym członkiem rodziny wymordowanej w obozach koncentracyjnych.

— Zgadza się — przytaknął Francuz. — W tym kibucu mieszka ponad dwustu mężczyzn — teraz już mężczyzn — których można werbować.

Tennyson spojrzął za okno.

— „Zabijesz mnie, moje miejsce zajmie ktoś inny. Zabijesz jego, przyjdzie po nim następny”. Te słowa nasuwają na myśl podziemną, gotową na wszystko armię. Takie poświęcenie jest zrozumiałe, jednak armia to zbyt szumne określenie. Mamy do czynienia ze zbieraniną skrzykiwanych na bieżąco bojówek. — Tennyson spojrzął znowu na kierowcę. — Jesteś pewien swoich informacji?

— Tak. Przełom nastąpił wraz z odnalezieniem zwłok dwóch mężczyzn zastrzelonych w Montereau. Nasze laboratoria przeprowadziły skrupulatne badania: ubrania, próbki ziemi pobrane z butów i porów skóry, stopy użyte w plombach dentystycznych, a zwłaszcza ślady po przebytych zabiegach chirurgicznych. Obaj mężczyźni byli kiedyś ranni. Jeden z nich miał odłamki łuski w ramieniu. Wojna Yom Kippur. Zawężaliśmy obszar poszukiwań do południowo-zachodniej ćwiartki pustyni Negew i znaleźliśmy ten kibuc. Reszta była już prosta.

— Wysłaliście kogoś do Har Sha'alav?

Francuz ponownie skinął głową.

— Jednego z naszych. Jest tutaj jego raport. W Har Sha'alav nikt nie mówi tego otwarcie, ale i tak wiadomo, co się tam dzieje. Ktoś przysłał kablogram, wybiera się paru ludzi i przydziela im zadanie.

— Oddziały potencjalnych samobójców zaangażowanych fanatycznie w niszczenie wszystkiego, co wiąże się ze swastyką.

— Właśnie. Naszą hipotezę potwierdza fakt, że — jak ustaliliśmy — Falkenheim odbył trzy miesiące temu podróż do Izraela. Komputery wyłowiły jego nazwisko.

— Trzy miesiące temu... Mniej więcej w tym samym czasie Manfredi po raz pierwszy skontaktował się z Holcroftem i wyznaczył mu spotkanie w Genewie. A więc Falkenheim wiedział nie tylko o istnieniu *Wolfsschanze*, przejrzał również jego zamiary. Zwerbował armię i przystąpił do jej przygotowywania z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Już pora, żebyśmy stanęli w szranki z podniesioną przyłbicą — my, dwaj synowie Rzeszy. Prawdziwy i fałszywy.

— Komu mam przypisać śmierć Falkenheima?

— Oczywiście ODESSIE. I zarządź uderzenie na Har Sha'alav. Przy życiu nie może pozostać ani jeden przywódca; przygotuj akcję starannie. Odpowiedzialnością obarczysz terrorystów z *Rache*. Ruszajmy.

Za kilka minut blondyn idący krętą polną drogą przestanie być Johnem Tennysonem. Powróci do swojego prawowitego nazwiska, stanie się Johannem von Tieboltem, synem Wilhelma, wodzem nowej Rzeszy.

Widać już było chatę; do zdrajcy zbliżała się śmierć. Von Tiebolt odwrócił się i spojrzął na wzgórze. Człowiek z Surete pomachał mu ręką. Pozostanie tam i będzie blokował drogę do chwili zakończenia akcji. Von Tiebolt ruszył dalej. Znalazłszy się w odległości dziesięciu metrów od wysypanej kamieniami ścieżki prowadzącej do małego domku, przystanął pod osłoną zarośli i przełożył pistolet z kabury na ramieniu do kieszeni płaszcza. Uczyniwszy to, prze-



mknął się przygarbiony przez przerośniętą trawę do drzwi chaty, minął je, wyprostował się i wychylił ostrożnie głowę zza framugi jedyne go okna od frontu, żeby zajrzeć do środka.

Pomimo że ranek był słoneczny i jasny, w mrocznym wnętrzu izby paliła się lampa. Za lampą, zwrócony plecami do okna, siedział w swym fotelu na kółkach Klaus Falkenheim.

Von Tiebolt wycofał się bezszelestnie do drzwi i namyślał się przez chwilę, czy ich nie wyważyć, co bez wątpienia uczyniłby zabójca z ODESSY. Odrzucił ten pomysł. *Herr Oberst* był człowiekiem starym i zniedołężniałym, ale nie głupim. Gdzieś przy sobie albo w swoim fotelu na kółkach trzymał w pogotowiu broń. Natychmiast wymierzyłby ją w napastnika.

Johann uśmiechnął się do siebie. Nie zaszkodzi małe przedstawienie. W obsadzie dwóch wytrawnych aktorów. Który zasłuży sobie na większy aplauz? Odpowiedź była oczywista: to on, nie Klaus Falkenheim, będzie tym wywoływanym przed kurtynę.

Zapukał do drzwi.

— *Mein Herr*. Proszę o wybaczenie, tu Johann von Tiebolt. Niestety mój samochód nie zdołał się wdrapać na wzgórze.

Zrazu odpowiedziała mu tylko cisza. Powziął postanowienie, że jeśli przeciągnie się ona ponad pięć sekund, zastosuje bardziej radykalne środki. Nie wolno dać staremu czasu na wezwanie pomocy przez telefon. I wtedy z wnętrza dobiegł głos:

— Von Tiebolt?

— Tak. Brat Helden. Przyszedłem, żeby z nią porozmawiać. Nie ma jej w pracy, pomyślałem więc, że tutaj ją zastanę.

— Nie ma jej.

— No to nie będę panu przeszkadzał, *mein Herr*, ale jeśli nie sprawi to kłopotu, czy mógłbym skorzystać, z telefonu? Chciałem wezwać taksówkę.

— Z telefonu?

Blondyn uśmiechnął się. Zmieszanie Falkenheima przeniosło się poprzez oddzielającą ich barierę.

— To tylko chwila. Muszę znaleźć Helden przed południem w bardzo pilnej sprawie. O drugiej wylatuję do Szwajcarii.

Znowu zapadła cisza, ale tym razem nie trwała długo. Usłyszał zgrzyt odsuwanej rygla i drzwi otworzyły się. *Hen Oberst* odjeżdżał swym fotelem w głąb izby; kolana miał przykryte pledem. Zaglądając przed chwilą przez okno Johann nie zauważył żadnego pledu.

— *Danke, mein Herr* — powiedział von Tiebolt wyciągając rękę. — Cieszę się, że znowu pana widzę.

Oszołomiony starzec również wyciągnął rękę w geście powitania.

Johann objął błyskawicznie palcami kościstą dłoń i wykręcił ją w lewo. Wolną ręką sięgnął w dół i zerwał pled z kolan Falkenheima. Ujrzał to, czego się spodziewał; lugera spoczywającego w poprzek wychudłych nóg. Pochwycił go, zatrzasnąwszy jednocześnie kopniakiem drzwi za sobą.

— *Heil Hitler! General Falkenheim* — warknął. — *Wo ist der Nachrichtendienst?*

Starzec siedział bez ruchu i wpatrywał się w napastnika oczami, w których nie było śladu strachu.

— Ciekaw byłem, kiedy to odkryjesz. Nie sądziłem jednak, że nastąpi to tak szybko. Podziwiam cię, *Sohn Wilhelm von Tiebolts*.

— Tak, jestem synem Wilhelma i kimś jeszcze.

— Och, tak. Nowym *Fuhrerem*. To twój cel, ale go nie osiągniesz. Powstrzymamy cię. Jeśli przyszedłeś, by mnie zabić, czyń swoją powinność. Jestem gotów.

— Dlaczego miałbym cię zabijać? Takiego cennego zakładnika?

— Wątpię, czy uzyskałbyś za mnie duży okup.

Von Tiebolt obrócił fotel starca przodem w stronę środka izby.

— Chyba masz rację — odparł zatrzymując fotel gwałtownym szarpnięciem. — Zakła-

dam, że dysponujesz pewnymi funduszami ze branych przez wędrujące dzieci, o które tak się troszczysz. Ale fenigi i franki są dla mnie bez znaczenia.

— Byłem tego pewien. A więc strzelaj!

— No i — ciągnął von Tiebolt — należy wątpić, by człowiek z sanatorium w Stuttgar- cie umierający na raka mózgu wiele wyłożył. Zgodzisz się ze mną?

Falkenheim nie okazał zaskoczenia.

— To był bardzo dzielny człowiek — powiedział.

— Z pewnością. Wszyscy jesteście dzielnymi ludźmi. Zdrajcy, którym się udało, muszą być przesiąknięci opacznie pojmowaną odwagą. Weźmy, na przykład, takiego Wenera Ger- hardta.

— Gerhardta?... — Tym razem starzec był wstrząśnięty i nie potrafił tego ukryć. — Skąd znasz to nazwisko?

— Ciekawi cię, skąd wiem? Może nawet zastanawiasz się, skąd dowiedziałem się o to- bie?

— Nie myślę o sobie. Ryzyko, które podjąłem, było oczywiste. Celowo pokierowałem sprawami tak, by mieć członka rodziny von Tieboltów w swoim najbliższym otoczeniu. Uznałem to ryzyko za konieczność.

— Tak, piękna Helden. Ale przecież słyszę ciągle, że wszyscy jesteśmy piękni. Ma to swoje dobre strony.

— Ona nie jest z wami; nigdy z wami nie była.

— Trzyma z tym twoim wędrującym śmieciem, z *die Verwunschte Kinder*. Żałosna dziwka. Łajdaczy się teraz z tym Amerykaninem.

— Twoja opinia zupełnie mnie nie interesuje. Skąd wiesz o Gerhardcie?

— A dlaczego miałbym ci powiedzieć?

— I tak umrę. Co ci za różnica?

— Dobijmy targu. Skąd wiesz o istnieniu *Wolfsschanze*!

— Zgoda. Najpierw Gerhardt.

— Czemu nie. On się nie liczy. To zgrzybiały, stuknięty staruch.

— Nie obrażaj go! — krzyknął niespodziewanie Falkenheim. — Tyle przeszedł... tyle wycierpiał.

— Twoja troska o niego jest wzruszająca.

— Złamali go. Cztery miesiące tortur. Umysł nie wytrzymał. Zostaw go w spokoju.

— Kto go złamał? Alianci? Brytyjczycy?

— ODESSA.

— Chociaż raz zrobili coś pożytecznego.

— Skąd znasz to nazwisko? Jak go odnalazłeś? Von Tiebolt uśmiechnął się.

— Mam je od Brytyjczyków. Prowadzą akta *Nachrichtendienst*. Widzisz, są teraz bar- dzo wami zainteresowani. Postanowili was wytropić i zniszczyć.

— Zniszczyć? Nie ma żadnego powodu...

— Ależ jest. Są w posiadaniu dowodu, że wynajęliście Tinamou.

— Tinamou? To absurd!

— Niezupełnie. To była wasza ostateczna zemsta, odwet zmęczonych życiem starców na swoich wrogach. Masz na to moje słowo. Dowód jest niezbity. Ja im go podsunąłem.

Starzec patrzył na Johanna z niewypowiedzianą odrazą.

— Jesteś ohydny.

— Teraz o *Wolfsschanze*! — Von Tiebolt podniósł głos. — Skąd? Jak? Poznam się na kłamstwie.

Falkenheim opadł na oparcie fotela na kółkach.

— To nie ma teraz znaczenia. Dla żadnego z nas. Ja umrę, a ty i tak zostaniesz po- wstrzymany.

— Nie interesują mnie twoje opinie. *Wolfsschanze!* Falkenheim spojrział obojętnie w sufit.

— Althene Clausen — powiedział spokojnie. — Bliska idealowi strategia Heinricha Clausena.

Twarz von Tiebolta zastygła w wyrazie zaskoczenia.

— Żona Clausena?... — przeciągnął te słowa. — Dowiedziałeś się o niej?

Starzec przesunął znowu wzrok na Johanna.

— To nie było takie trudne: wszędzie mamy swoich informatorów. Zarówno w Nowym Jorku, jak i w Berlinie. Wiedzieliśmy, kim była pani Althene Holcroft, a ponieważ wiedzieliśmy, wydaliśmy rozkaz, by ją chronić. Cóż za ironia: c h r o n i ć ją! Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się o pewnym incydencie. Oto w kulminacyjnej fazie wojny, kiedy jej amerykański mąż przebywa na morzu, ona leci prywatnym samolotem do Meksyku. Z Meksyku potajemnie przedostaje się do Buenos Aires, gdzie przejmuje ją ambasada niemiecka i wysyła samolotem na dyplomatycznych papierach do Lizbony. Do Lizbony. Po co?

— Odpowiedzi udzielił ci Berlin? — spytał von Tiebolt.

— Tak. Nasi ludzie z *Finanzministerium*. Dowiedzieliśmy się o monstualnych sumach pieniędzy wypompujących z Niemiec. Przeszkadzanie w tym procederze nie leżało w naszym interesie. Pochwalaliśmy wszystko, co przyczyniało się do okaleczenia nazistowskiej maszyny. To gwarantowało szybszy powrót pokoju i zdrowego rozsądku. Ale w pięć dni po wylocie pani Holcroft z Nowego Jorku do Lizbony poprzez Meksyk i Buenos Aires, Heinrich Clausen opuścił potajemnie Berlin na pokładzie samolotu. Zatrzymał się najpierw w Genewie, żeby spotkać się z bankierem nazwiskiem Manfredi, po czym również udał się do Lizbony. Wiedzieliśmy, że nie jest zdrajcą. Kto jak kto, ale on naprawdę wierzył w niemiecką — aryjską — supremację. Co za tym idzie, jego podróż nie mogła być wymierzona przeciwko gangsterskiej bandzie Hitlera... — *Herr Oberst* przerwał na chwilę. — Dokonałiśmy prostego podsumowania. Clausen ze swoją rzekomo niewierną żoną razem w Lizbonie, miliony milionów zdeponowane w banku w Genewie... i pewna już klęska Niemiec. Poszukaliśmy głębszego znaczenia tych faktów i odnaleźliśmy je w Genewie.

— Czytaliście dokumenty?

— Przeczytaliśmy wszystko, co znajdowało się w La Grande Banque de Geneve. Kosztowało to nas pięćset tysięcy franków szwajcarskich.

— Wręczonych Manfrediemu?

— Naturalnie. Wiedział, kim jesteście. Sądził, że uwierzyliśmy w cele wyszczególnione w tych dokumentach i uszanujemy je. Nie wyprowadziliśmy go z błędu. *Wolfsschanze!* Czyj *Wolfsschanze!* „Konieczne jest zadośćuczynienie”. — Falkenheim wypowiedział te słowa ze zjadliwością. — To ostatnia myśl, jaka mogła powstać w ich głowach. Pieniądze miały zostać spożytkowane na reaktywowanie Rzeszy.

— Co zatem zrobiliście?

Stary żołnierz spojrział von Tieboltowi prosto w oczy.

— Wróciliśmy do Berlina i dokonaliśmy egzekucji twojego ojca, Kesslera i Heinricha Clausena. Wcale nie zamierzali odebrać sobie życia, spodziewali się znaleźć spokojny azyl w Ameryce Południowej i stamtąd nadzorować realizację swojego planu, patrzeć, jak przynosi owoce. To my dopełniliśmy ich paktu ze śmiercią, o którym Clausen tak wzruszająco pisał w liście do swojego syna.

Von Tiebolt poprawił chwyt na rękojeści lugera.

— Przejrzełiście więc tajemnicę Althene Clausen?

— Mówiłeś coś o dziwkach. Ona jest największą dziwką świata.

— Dziwię się, że pozostawiliście ją przy życiu.

— To drugi paradoks: nie mieliśmy wyboru. Zdawaliśmy sobie sprawę, że skoro nie ma już Clausena, ona jest jedynym kluczem do *Wolfsschanze*. Do waszego *Wolfsschanze*.

Wiedzieliśmy, że pomagała Clausenowi dopracowywać do perfekcji każdy ruch przewidziany na nadchodzące lata. Musieliśmy poznać ten plan postępowania. Sama nigdy by go nam nie zdradziła, musieliśmy więc cierpliwie obserwować. Kiedy nastąpi podjęcie milionów z genewskiego konta? Jak konkretnie mają zostać wykorzystane? I przez kogo?

— Przez *Sonnenkinder* — powiedział von Tiebolt.

Oczy starca nie wyrażały niczego.

— Co powiedziałeś?

— Nieważne. A więc wszystko sprowadzało się do czekania na najmniejszy bodaj ruch Althene Clausen?

— Tak, ale nie dowiedzieliśmy się od niej niczego. Nigdy. Z biegiem lat zrozumieliśmy, że przyswoiła sobie geniusz męża. Przez trzydzieści lat ani razu nie zdradziła sprawy słowem ani czynem. Taka samodyscyplina jest czymś godnym podziwu. Pierwszym sygnałem dla nas było nawiązanie przez Manfrediego kontaktu z jej synem. — Falkenheim skrzywił się. — To niktzemne, że wyraziła zgodę na gwałt na własnym dziecku. Holcroft nic nie wie.

Blondyn roześmiał się.

— Ależ z ciebie niedzisiejszy człowiek. Odmłodzony *Nachrichtendienst*, to banda głupców.

— Tak sądzisz?

— Ja to wiem. Obserwowaliście nie tego konia i n i e w tej stajni!

— Co?

— Przez trzydzieści lat nie spuszczaście oka z osoby, która nie wie absolutnie nic. Ta największa na świecie dziwka, jak ją nazwałeś, żyje w świętym przekonaniu, że wraz z synem bierze udział w wielkim zadośćuczynieniu. Nigdy inaczej nie myślała! — Śmiech von Tiebolta odbił się echem od ścian izby. — Wyprawa do Lizbony — podjął po chwili — była najbardziej genialnym podstępem Heinricha Clausena.

Skruszony grzesznik przeistacza się raptem w świętego człowieka walczącego o świętą sprawę. To musiało być przedstawienie jego życia. Aż po końcową instrukcję, by nie wyrażała z miejsca aprobaty. Syn miał sam zrozumieć słuszność sprawy swojego udręczonego ojca i zaangażować się w nią z pełnym przekonaniem. — Von Tiebolt oparł się o stół i wciąż ścisnąc ługera w dłoni, założył ręce. — Czy nie rozumiesz? Nie mogło tego zrobić żadne z n a s. Genewski dokument miał pod tym względem całkowitą rację. O fortunach zagrabionych przez Trzecią Rzeszę krążą legendy. Nie mogło istnieć najmniejsze powiązanie genewskiego konta z jakimkolwiek prawdziwym synem Niemiec. Falkenheim wpatrywał się w Johanna.

— Nigdy nie wiedziała...

— Nigdy! Była idealną marionetką. Nawet z psychologicznego punktu widzenia. Fakt, że Heinrich Clausen okazał się świętym człowiekiem, utwierdzał ją dodatkowo w przekonaniu o słuszności własnego postępowania. Poślubiła takiego właśnie człowieka, nie nazistę.

— Niewiarygodne — wyszeptał *Herr Oberst*.

— Co najmniej — przyznał von Tiebolt. — Wypełniła jego instrukcje co do joty. Uwzględniono wszelkie ewentualności, ze świadectwem zgonu noworodka płci męskiej w londyńskim szpitalu włącznie. Zatarło wszelkie ślady prowadzące do Clausena. — Blondyn znowu wybuchnął nie przyjemnym śmiechem. — Jak więc widzisz, nie macie się co równać z *Wolfsschanze*.

— Z twoim *Wolfsschanze*, nie z moim. — Falkenheim odwrócił wzrok. — Zasłużyłeś na uznanie.

Nagle von Tiebolt przestał się śmiać. Coś go zaniepokoiło. Coś, co dostrzegł w oczach starego, co rozbłysło na moment i skryło się głęboko w wymizerowanej czaszce.

— Spójrz na mnie! — krzyknął. — Spójrz na mnie!

Falkenheim spojrzął na von Tiebolta.

— O co chodzi?

— Przed chwilą coś powiedziałem... coś, o czym wiedziałeś. Wiedziałeś.

— O czym ty mówisz?

Von Tiebolt złapał starca za gardło.

— Mówiłem o ewentualnościach, o świadectwie zgonu! W londyńskim szpitalu! Ty już o tym słyszałeś!

— Nie wiem, o co ci chodzi. — Drżące palce Falkentheima oplatały przeguby blondyna. Pod wpływem dławiącego uścisku Johanna jego głos przeszedł w charkot.

— A mnie się wydaje, że wiesz. Wszystko, co ci przed chwilą powiedziałem, przyjmowałeś ze wstrząsem. Czy aby autentycznym? Udawałeś tylko, że jesteś wstrząśnięty. Szpital. Świadectwo zgonu. Tu wcale nie zareagowałeś! Już gdzieś o tym słyszałeś!

— Nic nie słyszałem — wysapał Falkenheim.

— Nie łzyj! — Von Tiebolt rąbnął Falkentheima lugerem w twarz, rozcinając mu policzek. — Nie jesteś już w tym taki dobry. Zestarzałeś się. Pamięć ci zawodzi. Mózg ci zanika. Przerzywasz w niewłaściwej chwili, *Herr General*.

— Jesteś maniakiem...

— A ty łgarzem! Nędznym, żalonym łgarzem. Zdrajca! — Ponownie uderzył *Herr Obersta* w twarz lufą pistoletu. Z otwartych ran ciekła krew. — Kłamałeś na jej temat!... Mój Boże, ty wiedziałeś!

— Nic nie wiedziałem... nic.

— Wiedziałeś! Wszystko! To dlatego ona leci teraz do Genewy. Nie potrafiłem tego zrozumieć. — Von Tiebolt wymierzył kolejny brutalny cios, oddzierając niemal staremu wargę od twarzy. — Ty! Dotarłeś do niej w ostatniej rozpaczliwej próbie powstrzymania nas. Zagroziłeś jej... i wysuwając te pogrożki wyjawiałeś jej to, o czym do tej pory nie wiedziała!

— Mylisz się. Mylisz.

— O nie — wyszczał von Tiebolt, zniżając nagle głos. — Ona nie ma innego powodu, żeby lecieć do Genewy... A więc w ten sposób zamierzasz nas powstrzymać. Matka kontaktuje się z dzieckiem i każe mu zawrócić. Jego pakt jest kłamstwem.

Falkenheim potrząsnął skrwawioną głową.

— Nie... nic z tego, co mówisz, nie jest prawdą.

— To wszystko prawda, a jednocześnie odpowiedź na moje ostatnie pytanie. Jeśli tak usilnie pragnąłeś zniszczyć Genewę, wystarczyło rozpuścić plotkę o skarbie nazistów. Od Morza Czarnego po północną Elbę, od Moskwy do Paryża posypałyby się roszczenia. Ale nie uczyniłeś tego. Powstaje pytanie: dlaczego? — Von Tiebolt nachylił się jeszcze niżej. Od zmaltretowanej twarzy dzieliło go zaledwie kilka centymetrów. — Marzy ci się przejęcie kontroli nad Genewą, wydawanie milionów na cele, które tobie odpowiadają. „Konieczne jest za-dośćuczynienie”. Holcroft dowiadyuje się prawdy i zostaje twoim żołnierzem. Przepenia go wściekłość, jego zaangażowanie wzrasta w trójnasób.

— I tak się dowie — wyszeptał Falkenheim. — Jest lepszy od ciebie. Obaj się o tym przekonaliśmy, nieprawdaż? Powinieneś czerpać z tego satysfakcję. Mimo wszystko, na swój własny sposób, on jest przecież *Sonnenkind*.

— *Sonnen...* — Von Tiebolt znowu przejechał lufą pistoletu po twarzy *Herr Obersta*. — Jesteś naszpikowany kłamstwami. Usłyszałeś tę nazwę ode mnie; wymieniając ją nic nie udowodniłeś.

— Dlaczego miałbym teraz kłamać? *Operacja Sonnenkinder* — jęknął Falkenheim. — Statkiem, samolotem, łodzią podwodną. Wszędzie dzieci. Nigdy nie dysponowaliśmy listami, ale nie były nam potrzebne. Zostaną powstrzymane, kiedy powstrzymamy ciebie. Kiedy powstrzymamy Genewę.

— Żeby to się wam udało, Althene Clausen musi dotrzeć do swego syna. Nie ujawni,

czym jest Genewa, dopóki nie wyczerpie innych środków. Gdyby zrobiła to od razu, zniszczyłaby własnego syna, zdradziła światu, kim naprawdę jest. Nie robi nic, dopóki nie dostanie na to jego zgody. Będzie się starała dotrzeć do niego po cichu. Powstrzymamy ją.

— To wy zostaniecie powstrzymani! — wyrzęził Falkenheim, krztusząc się krwią spływającą mu z warg. — Nie będzie rozdzielania ogromnych sum pomiędzy twoje *Sonnenkinder*. My też posiadamy armię. Armie, której istnienia nawet nie podejrzewacie. Każdy jej żołnierz z ochotą odda życie, byle tylko was powstrzymać, zdemaskować.

— Oczywiście, *Herr General*. — Blondyn pokiwał głową. — Żydzi z Har Sha'alav.

Słowa te wypowiedziane zostały cichym głosem, ale podziałały jak smagnięcie biczem po ranach starego.

— Nie!

— Tak — zakpił von Tiebolt. — „Zabij mnie, moje miejsce zajmie ktoś inny. Zabij jego, przyjdzie po nim następny”. Żydzi z Har Sha'alav. Indoktrynowani przez *Nachrichtendienst* tak dogłębnie, że sami stali się *Nachrichtendienst*. Żywymi trupami z Auschwitz.

— Jesteś zwierzęciem... — Ciało Falkenheima zadygotało w spazmie bólu.

— Ja jestem *Wolfsschanze*, prawdziwym *Wolfsschanze* — powiedział blondyn unosząc lugera. — Dopóki nic poznałeś prawdy, Żydzi usiłowali zabić Amerykanina, a teraz Żydzi umrą. W ciągu tygodnia Har Sha'alav zostanie zniszczony, a wraz z nim *Nachrichtendienst*. *Wolfsschanze* zatriumfuje.

Von Tiebolt przystawił pistolet do głowy starca. Pociągnął za spust.

Po policzkach Helden płynęły łzy. Tuliła w ramionach ciało Klausa Falkenheima, ale nie śmiała spojrzeć na głowę. W końcu puściła trupa i odczołgała się na bok przepełniona trwogą... i poczuciem winy. Leżała zwinięta w kłębek na podłodze, a jej ciałem wstrząsały niekontrolowane spazmy. Przywarła w udreće do ściany i przyciskając czoło do listwy podłogowej, pozwalała płynąć łzom. Stopniowo zaczęło do niej docierać, że jej krzyków i szlochu nikt nie słyszy. Odkryła tę straszną scenę sama i gdziekolwiek spojrzała, jej wzrok napotykał znaki znienawidzonej ODESSY; wydrapane w drewnie, nabazgrane mydłem na szybie, wymalowane krwią Falkenheima na podłodze swastyki. Nie same jednak haniebne symbole stanowiły świadectwo tragedii, jaka się tu rozegrała — izba wyglądała tak, jakby przeszedł przez nią huragan. Podarte książki, połamane półki, porąbane meble; dom przeszukiwali maniacy. Pozostawili po sobie ruinę.

I rzeczywiście coś tu zostało ukryte... nie w samym domu. Na zewnątrz. W lesie. Helden podparła się rękami i podźwignęła, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by przypomnieć sobie słowa *Herr Obersta* sprzed zaledwie pięciu dni. *Gdyby coś mi się stało, nie wolno ci wpadać w panikę... Pójdiesz do lasu, tam dokąd zabrałaś mnie wczoraj na krótki spacer. Pamiętasz? Poprosiłem cię, żebyś mi nazrywała polnych kwiatów, a sam zostałem pod drzewem. Zwróciłem twoją uwagę na idealną literę „V” utworzoną przez konary. Podejdiesz pod to drzewo. Znajdziesz tam mały pojemnik wkliniowany między gałęzie. Wewnątrz jest list, którego treść przeznaczona jest wyłącznie dla ciebie...*

Helden wyciągnęła mały, cylindryczny pojemniczek spomiędzy gałęzi i zerwała gumową przykrywkę. Wewnątrz znajdowała się zwinięta w rulonik kartka papieru, a do niej przypięto kilka banknotów, każdy o nominale dziesięciu tysięcy franków. Odpięła pieniądze od kartki i zaczęła czytać:

*Moja Najdroższa Helden!*

*Czas i niebezpieczeństwo, jakie zagraża Twojej osobie, nie pozwolą mi napisać wszystkiego, czego powinnaś się dowiedzieć. Przed trzema miesiącami ściągnąłem Cię celowo do siebie, ponieważ sądziłem, że jesteś zbrojnym ramieniem wroga, na konfrontację z którym czekałem trzydzieści lat. Poznałem cię — pokochałem — i z wielką ulgą zrozumiałem, że nie masz nic wspólnego z horrorem, który może znowu zawitać na świat.*

*Gdyby mnie zabito, będzie to świadectwem, że zostałem zdemaskowany. Co więcej, będzie to oznaczało, że nadciąga czas katastrof. Że trzeba wydać rozkazy tym odważnym ludziom, którzy staną przy ostatniej barykadzie.*

*Musisz pojechać sama — powtarzam, sama — nad jezioro Neuchatel w Szwajcarii. Uważaj, czy nikt Cię nie śledzi. Wiem, że masz w tym doświadczenie. Przeszłaś odpowiednie szkolenie. W wiosce o nazwie Pres-du-Lac żyje człowiek nazwiskiem Werner Gerhardt. Odśledź go. Przekaż mu następującą wiadomość: „Moneta Wolfsschanze ma dwie strony”. Będzie wiedział, co robić.*

*Musisz jechać tam natychmiast. Czasu jest bardzo mało. I nic nikomu nie mów. Nie wszczynaj alarmu. Swoim pracodawcom i przyjaciołom powiedz, że masz do załatwienia osobiste sprawy w Anglii. To logiczna wymówka, zważywszy fakt, że mieszkalaś tam przez ponad pięć lat.*

*Teraz szybko, moja najdroższa Helden. Nad Neuchatel. Do Pres-du-Lac. Do Wenera Gerhardta. Zapamiętaj nazwisko i spal ten list.*

*Niech Bóg Cię prowadzi  
HERR OBERST*

Helden oparła się o pień drzewa i spojrzała w niebo. Strzępki rzadkich chmur przesuwają się szybko na wschód; wiał silny wiatr. Zapragnęła na nich poszybować, zamiast gnać z miejsca na miejsce po ziemi, ryzykując przy każdym ruchu i upatrując potencjalnego wroga w każdym, na kogo spojrzy.

Noel powiedział, że to się wkrótce skończy i będzie mogła przestać uciekać. Mylił się.

Holcroft błagał przez telefon, starając się ją odwieść od zamiaru wyjazdu — przynajmniej na jeden dzień — ale Helden nie dała sobie niczego wyperswadować. Powiadomiono ją poprzez wydawnictwo *Gallimard*, że musi być obecna przy porządkowaniu spraw majątkowych siostry. Trzeba pilnie podjąć kilka decyzji, załatwić kilka rzeczy.

— Zadzwoń do ciebie do Genewy, kochany. Zatrzymasz się w „d'Accord”?

— Tak. — Co się z nią stało? Niespełna dwie godziny temu była taka szczęśliwa, a teraz z jej głosu przebijało zdenerwowanie. Mówiła wyraźnie, ale głos miała nieobecny.

— Zadzwoń do ciebie jutro albo pojutrze. Na nazwisko Fresca.

— Nie chcesz, żebym pojechał z tobą? W Genewie mam się stawić dopiero jutro późnym wieczorem. Kesslerowie nie dojadą tam przed dziesiątą, a twój brat przybędzie jeszcze później.

— Nie, kochany. To niewesoła wyprawa. Wolę odbyć ją sama. Johann jest teraz w Londynie... Spróbuję się z nim spotkać.

— Zostało tu trochę twoich rzeczy.

— Sukienka, spodnie, buty. Będzie szybciej, jeśli podjadę do... *Herr Obersta*... i zabiorę coś odpowiedniejszego na podróż.

— Szybciej?

— To po drodze na lotnisko. I tak muszę tam wpaść. Paszport, pieniądze...

— Ja mam pieniądze — przerwał jej Noel. — Myślałem, że już u niego byłeś.

— Kochany, proszę cię. Nie utrudniaj. — Głos Helden łamał się. — Powiedziałam ci przecież, że zatrzymam się jeszcze w biurze.

— Nie, niczego takiego nie mówiłaś. Powiedziałaś, że jedziesz porozmawiać. — Holcroft był zaniepokojony. Ona coś kręciła. Ukryta chata *Herr Obersta* nie znajdowała się po drodze na Orly. — Helden, co się stało?

— Kocham cię, Noelu. Zadzwoń do ciebie jutro wieczorem. Hotel „d'Accord”, Genewa. — Rozłączyła się.

Holcroft odłożył słuchawkę na widełki. W uszach dźwięczało mu jeszcze echo jej głosu. Może i wybierała się do Londynu, ale bardzo w to wątpił. A więc dokąd jedzie? Dlaczego kłamała? Niech to szlag! Co się z nią dzieje? Co się stało?

Nie miał już nic do roboty w Paryżu. Skoro musi jechać do Genewy sam, równie dobrze może ruszać od razu.

Nie mógł ryzykować podróży samolotem ani pociągiem. Narażałby się na dyskretną obserwację. Musi zmylić tropy. Zastępca dyrektora hotelu „George V” może mu wynająć samochód na nazwisko Fresca. W agencji wykreślą mu trasę. Pojedzie do Genewy nocą.

Althene Holcroft wyglądała przez okno pasażerskiego samolotu linii TAP, podziwiając światła rozciągającej się w dole Lizbony. Za kilka minut samolot dotknie kołami ziemi. W ciągu następnych dwunastu godzin będzie miała mnóstwo do załatwienia i w Bogu pokładała



nadzieję, że nie napotka na przeszkody. Zorientowała się, że w Meksyku śledził ją jakiś mężczyzna. Ale potem znikł na lotnisku, co oznaczało, iż zmienił go ktoś inny.

W Meksyku nie powiodło się. Nie zdołała zmylić tropu. Znalazłszy się w Lizbonie będzie musiała zniknąć; teraz musi się udać.

Lizbona.

O Boże, Lizbona!

To w Lizbonie wszystko się zaczęło. Kłamstwo życia wysnute z szatańską przebiegłością. Jaką była wtedy idiotką! Na jakie szczyty aktorstwa wspiał się Heinrich!

Z początku nie chciała się z nim spotykać. Tak wielka była jej nienawiść. Pojechała tam jednak, bo groźba była jednoznaczna: jej syn zostanie naznaczony piętnem ojca. Noel *Holcroft* nigdy nie zazna spokoju, gdyż przez całe życie wlec się za nim będzie nazwisko *Clausen* — jedyny syn osławionego nazisty.

Cóż to była za ulga! Jakże się cieszyła, że groźba pomyślana została tylko jako środek mający na celu ściągnięcie jej do Lizbony. Jakże ogłuszona i zachwycona była, kiedy Heinrich przedstawił jej na chłodno zarysy nadzwyczajnego planu, którego realizację odłożyć trzeba na długie lata, ale kiedy już do niej dojdzie, świat stanie się o wiele lepszy. Wysłuchała go, dała się przekonać i zrobiła wszystko, o co ją prosił. By zadośćuczynienie doszło do skutku.

Podczas tych kilku dni spędzonych w Lizbonie znowu go kochała i w przypiływie emocji zaofiarowała mu siebie.

Odmówił ze łzami w oczach. Powiedział, że nie jest jej wart.

To był wyrachowany podstęp! Niebywale ironiczne zagranie!

Bo teraz, w tej chwili, sprowadzała ją do Lizbony znowu ta sama groźba sprzed trzydziestu lat. Noel Holcroft zostanie zniszczony; stanie się Noelem Clausenem, synem Heinricha, narzędziem nowej Rzeszy.

W środku nocy odwiedził ją w Bedford Hills pewien mężczyzna. Mężczyzna, który zapewnił sobie wstęp, wymieniając przez zamknięte drzwi nazwisko „Manfredi”. Wpuściła go sądząc, że może być wysłannikiem jej syna. Powiedział, że jest Żydem z miejscowości Har Sha'alav i że przyszedł ją zabić. A potem zabije jej syna. Nie będzie upiora *Wolfsschanze* — fałszywego *Wolfsschanze* — rozprzestrzeniającego się z Zurychu, a wywołanego w Genewie.

Althene wściekła się na tego człowieka. Czy wie, do kogo mówi? Czy wie, co ona zrobiła? Czy wie, za czym ona się opowiada?

Mężczyzna wiedział tylko o Genewie i Zurychu... i o spotkaniu w Lizbonie trzydzieści lat temu. To mu wystarczało, żeby orientować się, za czym się ona opowiada, i budzi to wstręt jego oraz podobnych mu ludzi z całego świata.

Althene dostrzegła cierpienie i złość w ciemnych oczach nieznanego, które trzymały ją w szachu tak pewnie, jakby człowiek ten mierzył do niej z pistoletu. W rozpaczy zażądała, żeby podzielił się z nią swoją wiedzą.

Powiedział jej, że rozmaitym komitetom i organizacjom działającym we wszystkich krajach mają zostać przekazane ogromne sumy. Mają one trafić do mężczyzn i kobiet czekających na ten sygnał od trzydziestu lat.

Rozpocznie się na masową skalę zabijanie, niszczenie i wzniesienie pożarów na ulicach. Rządy zostaną zaskoczone, a ich agencje ubezwłasnowolnione. We wszystkich krajach podniesie się wołanie o przywrócenie stabilizacji i porządku. I wtedy silni mężczyźni i kobiety dysponujący ogromnymi sumami w ciągu kilku miesięcy opanują sytuację.

A są oni wszędzie. We wszystkich krajach. I czekają tylko na sygnał z Genewy.

Kim są?

To *Sonnenkinder*. Dzieci fanatyków ewakuowane z Niemiec samolotami, statkami i łodziami podwodnymi przed ponad trzydziestu laty. Ewakuowane przez ludzi, którzy wiedzieli, że ich sprawa jest na razie przegrana — ale wierzyli, że ta sprawa może jeszcze zwyciężyć.

Są wszędzie. Nie mogą ich zwalczać zwykli ludzie zwykłymi sposobami, poprzez zwykłe kanały władzy. W zbyt wielu przypadkach *Sonnenkinder* sprawują nad tymi kanałami kontrolę. Ale Żydzi z Har Sha'alav nie są zwyczajnymi ludźmi ani też nie prowadzą walki w zwyczajny sposób. Rozumieją, że aby powstrzymać fałszywy *Wolfsschanze*, muszą walczyć potajemnie, brutalnie, nie dopuszczając nigdy, by *Sonnenkinder* dowiedziały się, gdzie są ani gdzie nastąpi kolejne uderzenie. A podstawowym zadaniem jest niedopuszczenie do zmasowanego wypływu funduszy.

Zdemaskować ich natychmiast!

*Kogo? Gdzie? Kim są? Jak przedstawić dowody? Komu wolno powiedzieć, że dany generał czy admirał, szef policji czy prezydent korporacji, sędzia lub senator, kongresman albo gubernator jest Sonnenkind?* Ci ludzie ubiegają się o rozmaite stanowiska, wygłaszają komunały odwołujące się do nienawiści, a nadal nikt niczego nie podejrzewa. Zamiast tego tłumy wiwatują na ich cześć, wymachują flagami i przypinają sobie plakietki do kłap.

*Są wszędzie. Naziści są wśród nas, a my ich nie widzimy. Kryją się w wyprasowanych garniturach pod płaszczkiem powszechnego poważania.* Żyd z Har Sha'alav przemawiał z pasją.

— Nawet ty, stara kobieto! Ty i twój syn jesteście narzędziami w rękach nowej Rzeszy. I nawet wy nie wiecie, kim oni są.

*Ja nic nie wiem. Przysięgam na moje życie, że nic nie wiem. Nie jestem tą, za którą mnie uważasz. Zabij mnie. Na miłość boską, zabij mnie! No już! Weź na mnie odwet. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, zasłużyłeś sobie na to i ja również. Ale błagam cię, dotrzyj do mego syna! Odszukaj go! Wyjaśnij mu wszystko! Powstrzymaj go! Nie zabijaj go, nie piętnuj. On nie jest tym, za kogo go bierzecie. Darujcie mu życie. Weźcie moje, ale jemu je darujcie!*

— Richard Holcroft został zamordowany — powiedział Żyd z Sha'alav. — To nie był wypadek.

Nogi się pod nią ugięły, ale nie mogła teraz upaść. Nie mogła sobie pozwolić na chwilowe omdlenie, które z taką ulgą by powitała. *O mój Boże...*

— Zamordowali go ludzie z *Wolfsschanze*. Z fałszywego *Wolfsschanze*. Tak samo pewnie, jakby wprowadzili go do komory gazowej w Auschwitz.

*Co to jest „Wolfsschanze”? Dlaczego nazywasz go fałszywym?*

— Sama się dowiedz. Zresztą jeszcze porozmawiamy. Jeśli kłamałaś, zabijemy cię. Twój syn będzie żył tak długo, jak pozwoli mu na to świat, ale ze swastyką na twarzy.

*Dotrzyjcie do niego. Powiedzcie mu.*

Człowiek z Sha'alav wyszedł. Althene opadła na fotel pod oknem i zapatrzyła się w noc, na pokryty śniegiem trawnik. Jej ukochany Richard, mąż, który dał jej i jej synowi nowe życie. ...Co ona zrobiła?

Ale wiedziała już, co zrobi teraz.

Samolot dotknął kołami ziemi i wstrząs wyrwał Althene z zadumy, przywołując ją do rzeczywistości. Była w Lizbonie.

Stała przy relingu promu, a wody Tagu rozbijały się z pluskiem o kadłub starego statku pływającego przez zatokę. Koronkowa chusteczka, którą trzymała w lewym ręku, trzepotała na wietrze.

Wydało jej się, że go dostrzegła, ale trzymając się instrukcji nie dała po sobie niczego poznać, dopóki sam do niej nie podszedł. Nigdy przedtem go, oczywiście, nie widziała, ale to nie miało znaczenia. Był starym człowiekiem w wymiętym ubraniu, z bujnymi, siwymi bokobrodami, które stykały się z białą szczeciną brody. Jego oczy ślizgały się badawczo po pasażerach, jakby w obawie, że lada chwila któryś z nich zacznie wzywać policję. Stanął za nią. To był on.

— Rzeka wygląda dzisiaj na zimną — zagaił.  
Koronkowa chusteczka odfrunęła z wiatrem.  
— Ojej, już po niej. — Althene patrzyła, jak chusteczka osiada na wodzie.  
— I tak ją pani znalazła — powiedział mężczyzna.  
— Dziękuję.  
— Proszę na mnie nie patrzeć. Niech pani obserwuje horyzont za laguną.  
— Dobrze.  
— Zbyt wspaniałomyślnie szasta pani pieniędzmi — ciągnął nie znajomy.  
— Bardzo mi się śpieszy.  
— Wywołuje pani nazwiska sprzed tak wielu lat, że brakuje im już twarzy. Stawia pani żądania, których od lat nie wysuwano.  
— Nie wierzę, że czasy tak bardzo się zmieniły...  
— Oj, zmieniły się *senhora*, zmieniły. Rozmaici mężczyźni i kobiety nadal podróżują w tajemnicy, ale tak prymitywne środki, jak podrobiony paszport, już się przeżyły. To era komputerów. Fałszywe dokumenty nie są już tym, czym niegdyś były. Cofamy się do czasów wojny. Do kurierskich szlaków.  
— Muszę się jak najszybciej dostać do Genewy. Nikt nie może wiedzieć, że tam jestem.  
— Dostanie się pani do Genewy i tylko ci, których pani sama o tym poinformuje, będą wiedzieli, że pani tam jest. Ale nie odbędzie się to tak szybko, jakby sobie pani życzyła.  
— Jak długo?  
— Dwa do trzech dni. Inaczej — mam na myśli przelot samolotem — zostanie pani ujęta albo przez władze, albo przez tych, których pragnie pani omijać z daleka.  
— Jak się tam dostanę?  
— Przez nie patrolowane odcinki granic albo tamtędy, gdzie straż graniczna można przekupić. Szlakiem północnym. Przez Sierra de Gata do Saragossy we wschodnich Pirenejach. Stamtąd do Montpellier i Awinion. Z Awinion do Grenoble przeczuci panią mały samolot. Drugim takim samolotem przeleci pani z Grenoble do Chambery, a następnie do Genewy. To będzie kosztowało.  
— Jestem wypłacalna. Kiedy ruszamy?  
— Dzisiaj wieczorem.

## 36

Blondyn złożył podpis pod wypełnioną kartą meldunkową hotelu „d'Accord” i wręczył ją recepcjonście.

— Dziękuję, panie Tennyson. Zatrzymuje się pan u nas na czternaście dni?

— Może na trochę dłużej, ale na pewno nie mniej. Rad jestem, że znalazł się dla mnie apartament.

Recepcjonista uśmiechnął się.

— Dzwonił wczoraj do nas pański przyjaciel, pierwszy deputowany kantonu genewskiego. Zapewniliśmy go, że uczynimy wszystko, by uprzyjemnić panu pobyt.

— Powiadomię go, że czuję się całkowicie usatysfakcjonowany.

— Bardzo pan uprzejmy.

— A przy okazji, mam się tu spotkać w ciągu kilku najbliższych dni ze swoją starą przyjaciółką, panią Holcroft. Mógłby mi pan zdradzić, kiedy się jej spodziewacie?

Recepcjonista przysunął sobie książkę rezerwacji i zaczął przewracać stronicę.

— Powiedział pan, że nazwisko brzmi Holcroft?

— Tak. Althene Holcroft. Amerykanka. Może też pan mieć rezerwację dla jej syna, pana Noela Holcrofta.

— Przykro mi, ale nie mamy żadnych rezerwacji na to nazwisko, *sir*. I o ile wiem, wśród naszych gości nie ma aktualnie nikogo o nazwisku Holcroft.

Mięśnie twarzy blondyna stężały.

— Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Moje informacje są dokładne. Pani Holcroft ma się zatrzymać w tym hotelu. Być może nie przybędzie dzisiejszego wieczora, ale na pewno jutro albo pojutrze. Proszę sprawdzić jeszcze raz. Czy jest jakaś dodatkowa, poufna lista gości?

— Nie ma, *sir*.

— Gdyby była, jestem przekonany, że mój przyjaciel, pierwszy deputowany, poprosiłby pana, żeby mi ją udostępnił do wglądu.

— Gdyby istniała taka lista, nie byłoby to konieczne, panie Tennyson. W pełni rozumiemy, że mamy z panem współpracować pod wszelkimi względami.

— Być może podróżuje incognito. Jest znana z takich ekstrawagancji.

Recepcjonista odwrócił książkę rezerwacji i podsunął mu ją.

— Niech pan sam popatrzy. Może rozpozna pan przybrane nazwisko.

Nie rozpoznał. Zaczynał się denerwować.

— Czy to pełna lista? — spytał raz jeszcze.

— Tak, *sir*. To mały i, że się tak wyrażę, raczej ekskluzywny hotel. Większość naszych gości już tu bywała. Znam prawie wszystkie z wyszczególnionych tu osób.

— A których pan nie zna? — naciskał blondyn.

Recepcjonista wskazał palcem dwie pozycje z listy.

— To jedyne nazwiska, z którymi spotykam się po raz pierwszy — powiedział. — Gentlemani z Niemiec, dwaj bracia nazwiskiem Kessler i *sir* William Ellis z Londynu. Ten ostatni wpis pochodzi sprzed zaledwie kilku godzin.

Tennyson spojrział znacząco na recepcjonistę.

— Idę teraz do mojego pokoju, ale muszę pana prosić o wkład do tej współpracy, o której mówił pierwszy deputowany. Bardzo mi zależy na jak najszybszym ustaleniu, gdzie w Genewie zatrzymała się pani Holcroft. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan popytać po hotelach, ale pod żadnym pozorem nie wymieniał mojego nazwiska. — Wyjął z kieszeni stufrankowy banknot. — Niech mi pan ją znajdzie — zakończył.

O północy Noel dotarł do Chatillon-sur-Seine, skąd zatelefonował do Londynu do zaskoczonego Ellisa.

— Co zrobisz? — spytał Ellis.

— Słyszałeś, Willie. Zapłacę ci pięćset dolarów i pokryję wszystkie twoje wydatki za jedno, no może dwudniowy pobyt w Genewie. Chcę tylko, żebyś zabrał stamtąd moją matkę z powrotem do Londynu.

— Marna ze mnie niańka. A z tego, co mi opowiadałeś o swojej matce, wynika, że jest ostatnią osobą na świecie, która potrzebuje towarzysza podróży.

— Teraz go potrzebuje. Ktoś ją śledził. Opowiem ci o tym, kiedy się zobaczymy w Genewie. No to jak, Willie? Zrobisz to dla mnie?

— Oczywiście. Ale swoje pięćset dolarów wsadź sobie gdzieś. Jestem pewien, że dogadam się z twoją matką o wiele lepiej, niż kiedykolwiek udało mi się z tobą. Nie mam jednak nic przeciwko temu, żebyś płacił moje rachunki. Jak wiesz, w podróży sobie nie żałuję.

— Skoro już jesteśmy przy tym, nie szalej zbyt w tej podróży, dobrze? Chciałbym cię też prosić, żebyś zadzwonił do hotelu „d'Accord” w Genewie i zamówił sobie rezerwację na dzisiejsze popołudnie. Jeśli wsiądziesz w pierwszy samolot, powinieneś tam być o dziesiątej trzydzięci.

— Będę się zachowywał najlepiej jak umiem; walizki od Louisa Vuittona. Do tego może jakiś skromny tytulik...

— Willie!

— Znam Szwajcarów lepiej od ciebie. Uwielbiają tytuły; tytuły śmierdzą forszą, a forsa to ich kochanka.

— Zatelefonuję do ciebie około dziesiątej. Chcę skorzystać z twojego pokoju, dopóki się nie rozejrzę.

— Wszystko gra — powiedział Willie Ellis. — Do zobaczenia w Genewie.

Holcroft zdecydował się zadzwonić do Williego, bo nie przychodził mu do głowy nikt inny, kto nie zadawałby zbędnych pytań. Ellis nie był wcale takim irytującym głupcem, za jakiego starał się uchodzić. Althea mogła trafić na daleko gorszą eskortę w drodze powrotnej ze Szwajcarii.

A wywieźć ją stamtąd trzeba. Wrogowie paktu zamordowali jej męża; zamordowaliby i ją. Bo w Genewie wszystko miało się rozstrzygnąć. Za dwa, może trzy dni dojdzie do spotkania i podpisania dokumentów, po czym pieniądze zostaną przelane do Zurychu. Wrogowie paktu uczynią wszystko, by tylko zerwać te negocjacje. Matka nie może pozostać w Genewie. W Genewie zapanuje prawo gwałtu. Przeczuwał to.

Ruszył na południe. Do Dijon dotarł dobrze po pomocy. Przejeżdżając ciemnymi ulicami uśpionego miasteczka doszedł do wniosku, że jemu też potrzeba snu — jutro powinien być wypoczęty i czujny. Czujny bardziej, niż kiedykolwiek w życiu. W polu, za rogatkami miasteczka, zatrzymał wynajęty samochód na poboczu szosy. Zapalił papierosa, ale zaraz zdusił go w popielniczce. Wyciągnął nogi na siedzeniu obok, pod głowę podłożył sobie zwinięty płaszcz i oparł się o szybę.

Za kilka godzin będzie na granicy ze Szwajcarią i przekroczy ją z pierwszą falą porannych turystów. A kiedy znajdzie się w Szwajcarii... Nie był już w stanie myśleć. Spowijała go mgła. Oddychał krótko i ciężko. I nagle objawiła mu się twarz — zdecydowana, kanciasta, obca, a jednocześnie dziwnie znajoma.

Była to twarz Heinricha Clausena; wołał go, kazał mu się pośpieszyć. Udręka wkrótce się skończy, zadośćuczynienie zostanie spełnione.

Zasnął.

Erich Kessler przyglądał się z niepokojem, jak jego młodszy brat, Hans, otwiera przed funkcjonariuszem ochrony lotniska swoją lekarską torbę. Od czasu Igrzysk Olimpijskich w 1972 roku, kiedy to, jak przypuszczano, Palestyńczycy przylecieli do Monachium z rozmontowanymi na części karabinami i pistoletami maszynowymi, środki bezpieczeństwa na lotniskach zaostrzono w trójnasób.

„Daremnny trud — pomyślał Erich. — Broń dostarczył wtedy Palestyńczykom do Monachium *Wolfsschanze* — ich *Wolfsschanze*”.

Hans i urzędnik roześmieli się z jakiegoś żartu. „W Genewie nie będzie takich żartów — zauważył w myślach Erich — tam nie zostaną poddani kontroli przez linie lotnicze ani służby celne, czy kogokolwiek innego. Zadba już o to deputowany kantonu genewskiego. Jeden z najznakomitszych monachijskich lekarzy, specjalista chorób wewnętrznych, przybywał w charakterze jęgo gościa. Hans jest tym wszystkim i jeszcze czymś”.

Erich patrzył na brata zbliżającego się do bramki, przy której na niego czekał. Hans był średniej wielkości bykiem o ogromnym uroku osobistym. Wspaniały gracz w piłkę nożną, kapitan drużyny swojego okręgu, zajmujący się później troskliwie przeciwnikami, których sfaulował.

„To dziwne — rozmyślał dalej Erich — ale Hans ma o wiele większe od niego predyspozycje do roli starszego syna. Gdyby nie figiel spleatany przez los, z Johannem von Tiebolttem pracowałby teraz Hans, a on, Erich, spokojny naukowiec, byłby podwładnym. Kiedyś, w chwili zwątpienia we własne możliwości, zwierzył się ze swych rozterek Johannowi.

Von Tiebolt nie chciał o tym słyszeć. Tu był potrzebny rasowy intelektualista. Człowiek, który wie dzie bezkrwiste życie — ktoś, kto nigdy nie daje się ponieść emocjom, nigdy nie wykazuje braku umiaru. Czyż nie dowiódł, że jest właśnie taki w tych niezbyt częstych, krytycznych momentach?! Przecież zdarzało się, że on, spokojny naukowiec, przeciwstawiał się Tinamou i wysuwał swoje zastrzeżenia, które prowadziły do zmiany strategii.

Tak, to prawda, ale nie prawda podstawowa. Tej drugiej prawdzie Johann nie śmiał spojrzeć w oczy; Hans dorównywał niemal von Tieboltowi. Gdyby się starli, Johann mógłby zginąć”.

Taka była opinia spokojnego, bezkrwistego intelektualisty.

— Wszystko gra — powiedział Hans, kiedy przechodzili przez bramkę, kierując się w stronę samolotu. — Amerykanin jest już trupem i żadne laboratorium nie wykryje przyczyny jego śmierci.

Helden wysiadła z pociągu w Neuchatel. Przez chwilę stała na peronie, przyzwyczajając wzrok do snopów słonecznego blasku spływających w dół z dachu budynku stacji. Zdawała sobie sprawę, że powinna zmieszać się z tłumem wysypującym się z wagonów, ale musiała się na moment zatrzymać i pooddychać świeżym powietrzem. Ostatnie trzy godziny spędziła w mroku wagonu bagażowego, siedząc w kucki za skrzyniami z jakimiś maszynami. Wskoczyła tam w Besancon, kiedy na sześćdziesiąt sekund otwarto elektronicznie drzwi. Dokładnie na pięć minut przed południem drzwi otworzyły się ponownie. Dzięki temu do Neuchatel dojechała nie zauważona. Nogi ją bolały, głowa pękała, ale choć sporo ją to kosztowało, udało się.

Płuca wypełniły się wreszcie powietrzem. Helden podniosła walizkę i ruszyła ku wyjściu ze stacji. Wioska Pres-du-Lac leżała po zachodniej stronie jeziora, jakieś trzydzieści kilometrów na południe. Znalazła kierowcę taksówki, który zgodził się odbyć ten kurs.

Jazda była pełna wstrząsów i zakrętów, ale Helden, która patrzyła przez okno na obłe wzgórza i lazurowe wody jeziora, wydawało się, iż suną błogo w powietrzu. Bogata sceneria zdawała się wszystko amortyzować. Dawała jej cenne chwile na refleksje. Usiłowała zrozumieć, co miał na myśli *Herr Oberst* pisząc o celowym ściągnięciu jej do siebie jako *zbrojnego*

ramienia wroga. Wroga, na konfrontację z którym czekał trzydzieści lat. Co to za wróg? I dlaczego wybrał akurat ją?

Co takiego uczyniła? Albo wręcz przeciwnie: czego nie zrobiła? Czy to znowu ten straszny dylemat? *Potępieni za to, czym byli, i za to, czym nie byli?* Kiedy to się, na miłość boską, skończy?

*Herr Oberst* przeczuwał swoją śmierć. Przygotował Helden na nią i pomyślał nawet o pieniądzach na opłacenie potajemnego przedostania się do Szwajcarii, do kogoś o nazwisku Gerhardt zamieszkałego w Neuchatel. Kim był ten człowiek? Kim był dla Klause Falkenheima, jeśli kontakt z nim miał zostać nawiązany dopiero po śmierci tego ostatniego? *Moneta Wolfsschanze ma dwie strony.*

Z zamyślenia wyrwał ją kierowca taksówki.

— Nad brzegiem jeziora jest zajazd — powiedział — ale niewiele ma wspólnego z hotelem.

— Na pewno mi wystarczy.

Pokój wychodził na jezioro Neuchatel. Było tu tak spokojnie, że Helden kusiło, żeby usiąść przy oknie i nie robić nic, tylko myśleć o Noelu, bo kiedy o nim myślała, czuła się... spokojniejsza. Ale trzeba odszukać mieszkającego gdzieś tutaj Wenera Gerhardta. W książce telefonicznej Pres-du-Lac takie nazwisko nie figurowało; Bóg wie, kiedy ją ostatnio uaktualniano. Ale wioska nie była duża, zacznie jak gdyby nigdy nic od właściciela zajazdu. Może zna to nazwisko.

Znał, ale informacje, jakie od niego uzyskała, nie dodały jej otuchy.

— Głupi Gerhardt? — spytał grubas siedzący w wiklinowym fotelu za kontuarem. — Przywozi mu pani pozdrowienia od Starych przyjaciół? Trzeba mu było raczej przywieźć jakąś miksturę do na oliwienia rozklekotanego mózgu. Nie zrozumie ani słowa z tego, co mu pani powie.

— Nie wiedziałam — bąknęła Helden, którą powoli zaczynało ogarniać uczucie rozpacz.

— Niech się pani sama przekona. Już po południu, a dzień jest słoneczny, bez wątpienia stary jest na rynku i śpiewa te swoje piosenki albo karmi gołębie. Fajdają mu na ubranie, a on nawet tego nie zauważa.

Dostrzegła go siedzącego na kamiennej cembrowinie okrągłej fontanny na wiejskim ryneczku. Nie zwracał najmniejszej uwagi na przechodniów, którzy zerkali na niego jakby mimochodem z góry, częściej z odrazą niż ze współczuciem. Ubranie miał zlachmanione, porwany płaszcz — tak jak mówił właściciel zajazdu — upstrzony ptasimi odchodami. Był stary i schorowany, jak *Herr Oberst*, ale dużo od niego niższy, pełniejszy na twarzy i grubszy. Skórę miał bladą i ściągniętą, porytą pajęczyną zmarszczek. Nosił okulary w stalowej oprawce, które poruszały się na boki w rytm jego trzęsącej się głowy. Drżącymi rękami sięgał do papierowej torby, wyciągał stamtąd okruchy chleba i rozrzucał je wokół siebie, wabiąc dziesiątki gołębi, które pogruchiwały w kontrapunkcie z piskliwymi słowami przyśpiewki, wydobywającymi się z jego starczych ust.

Helden poczuła przypływ mdłości. To był strzép człowieka. Ten starzec przekroczył już stadium zgrzybiałości — nic innego nie mogłoby dać rezultatu, który widziała przed sobą na cembrowinie fontanny.

*Moneta Wolfsschanze ma dwie strony. Nadciąga czas katastrof...* Chyba nie ma sensu powtarzać tych słów. A jednak uczyni to przez szacunek dla ostatniej woli wielkiego człowieka, który został bestialsko zamordowany tylko dlatego, że ostrzegał przed realnym zagrożeniem.

Podeszła do starca i usiadła obok świadoma faktu, że kilka osób znajdujących się na ryneczku jednoznacznie oceniło jej czyn. Jakby i ona była stuknięta.

— *Herr Gerhardt?* — odezwała się cicho po niemiecku. — Przyjechałam z daleka, żeby

się z panem zobaczyć.

— Jaka ładna dama... ładna, bardzo ładna dama.

— Przybywam od *Herr Falkenheima*. Pamięta go pan?

— Z domu sokoła? Sokoły nie lubią moich gołąbków. Krzywdzą moje gołąbki. Moi przyjaciele i ja nie lubimy ich, prawda, pióreńka? — Gerhardt pochylił się i zaciskając komicznie usta; pocałował powietrze nad żarłocznymi ptakami drepczącymi po ziemi.

— Lubiłby pan tego człowieka, gdyby go pan pamiętał — powiedziała Helden.

— Jak mogę lubić coś, czego nie znam? Chcesz trochę chleba? Jak chcesz, możesz się poczęstować, ale moi przyjaciele mogą się obrazić. — Starzec wyprostował się z trudem i rzucił kilka okruchów pod nogi Helden.

— „*Moneta Wolfsschanze* ma dwie strony” — wyszeptła.

I wtedy usłyszała te słowa. Rytm nie uległ zmianie; ta sama cicha, piskliwa przyśpiewka, ale wzbogacona teraz o treść.

— Nie żyje... prawda? Nie odpowiadaj mi, dawaj znaki głową. Rozmawiasz ze dzieciniałym, starym człowiekiem, który nic mądrego ci nie powie. Pamiętaj o tym.

Helden była zbyt wstrząśnięta, by się poruszyć. I swą nieruchomością udzieliła staremu odpowiedzi. Ciągnął w rytm monotonnej melodii:

— Klaus nie żyje. A więc znaleźli go w końcu i zabili.

— To ODESSA — wymruczała Helden. — ODESSA go zabiła. Wszędzie były swastyki.

— *Wolfsschanze* chciał, żebyśmy w to uwierzyli. — Gerhardt podrzucił w górę garść okruchów, gołębie wszczęły o nie bójkę. — No, pióreńka! Czas na podwieczorek. — Odwrócił się do Helden, ale zdawał się jej nie widzieć. — ODESSA jak zawsze jest kozłem ofiarnym. Jakże oczywistym.

— Powiedział pan, że to *Wolfsschanze* — szepnęła Helden. — Człowiekowi nazwiskiem Holcroft został doręczony list z pogrózkami. Napisano go przed trzydziestu laty. Podpisali go ludzie, którzy określili się mianem ocalałych z *Wolfsschanze*.

Gerhardt przestał na chwilę dygotać.

— Z *Wolfsschanze* ocalał tylko jeden człowiek: Klaus Falkenheim. Przeżyli i inni, ale ci nie byli orłami. To śmiecie. I sądzę, że teraz nadszedł ich czas.

— Nie rozumiem.

— Wyjaśnię ci to, ale nie tutaj. Przyjdź po zmroku do mojego domu nad jeziorem. Dokładnie trzy kilometry za rozwidleniem, idąc na południe drogą biegnącą nad jeziorem. Jest tam ścieżka... — Pod pozorem nucenia słów dziecinnej śpiewanki podał jej dokładne wskazówki. Skończywszy dźwignął się niezdarnie, ciskając ptakom resztkę okruchów. — Nie sądzę, aby ktoś cię śledził — powiedział z głupawym uśmiechem — ale lepiej miej się na baczności. Mamy do wykonania zadanie i musimy się z nim szybko uporać... No, pióreńka! Koniec posiłku, moje wy trzepotki.



Mały, jednosilnikowy samolot krążył w ciemnościach nad płaskim pastwiskiem w Chambery. Pilot czekał na podpalenie szpaleru flar: na swój sygnał do lądowania. Na ziemi stała druga maszyna, gotowy do startu hydroplan z kołami w obudowie z pontonów. Znajdzie się w powietrzu w kilka minut po dotarciu pierwszego samolotu do końca prowizorycznego pasa startowego i poniesie swój cenny ładunek na północ, wzdłuż wschodniej odnogi Renu, by przeciąć szwajcarską granicę pod Versoix i wylądować na jeziorze Genewa, dwanaście mil na północ od miasta o tej samej nazwie. Ładunek był anonimowy, ale pilotów to nie obchodziło. Zapłaciła tak samo dobrze, jak najhojniejszy przemytnik narkotyków.

Tylko raz okazała ślad zdenerwowania, a było to cztery minuty lotu za Awinion, na kursie do Saint-Vallier, kiedy samolot wpadł w niespodziewaną i niebezpieczną burzę gradową.

— To za lekki samolot na taką pogodę — powiedział pilot. — Rozsądniej byłoby zawrócić.

— Niech pan przeleci górą.

— Silnik ma za małą moc i nie mamy pojęcia, jak rozległy jest ten front.

— No to niech się pan przez to przebije. Płacę zarówno za transport, jak i za trzymanie się rozkładu. Muszę być w Genewie dziś wieczorem.

— Jeśli zostaniemy zmuszeni do lądowania nad rzeką, mogą nas zgarnąć patroli. Nie mamy rejestracji.

— Przekupię patroli. Wzięli łapówkę na granicy w Port-Bou, mogą wziąć jeszcze raz. Leć pan dalej.

— A jak się rozbijemy, *madame*?

— Nie rozbijemy się.

Pod nimi, w ciemnościach, zapalały się kolejno flary Chambery — najpierw jeden rząd, potem drugi. Pilot położył maszynę na skrzydło i zniżając lot, podszedł szerokim łukiem do lądowania. W kilka sekund później dotknęli kołami ziemi.

— Dobry pan jesteś — powiedział z uznaniem cenny ładunek, sięgając do sprzączki pasa bezpieczeństwa. — Czy mój następny pilot panu dorównuje?

— Dorównuje, *madame*, i ma nade mną pewną przewagę. Potrafi z zawiązanymi oczami wskazać każdy punkt radarowy na trasie z dokładnością do jednej dziesiątej mili powietrznej. Za taką fachowość się płaci.

— Z przyjemnością — odparła Althene.

Hydroplan wzniósł się w powietrze pod nocny wiatr dokładnie o dziesiątej pięćdziesiąt siedem. Przelot przez granicę pod Versoix miał się odbyć na bardzo małej wysokości i potrwać bardzo krótko — nie więcej niż pół godziny. Ten odcinek podróży wymagał specjalistycznej wiedzy.

Specjalista, zasiadający w kabinie pilotów, był zwałistym mężczyzną o płomiennej rudej brodzie i przeredzających się rudych włosach. Żuł wypalone do połowy cygarety i mówił po angielsku z chrapliwym akcentem właściwym mieszkańcom Alzacji i Lotaryngii. Przez kilka pierwszych minut lotu zachowywał milczenie, kiedy jednak się wreszcie odezwał, Althene zmartwiała.

— Nie wiem, co za towar pani przewozi, ale cała Europa została postawiona w stan pogotowia, żeby ustalić miejsce pani pobytu.

— Co takiego?! Kto ogłosił pogotowie i skąd pan o tym wie? Moje nazwisko nie zostało nigdzie wymienione; miałam to zagwarantowane!

— Ogólnoeuropejski biuletyn rozesyłany przez Interpol ma charakter przede wszystkim opisowy. Rzadko się zdarza, żeby policja między narodowa poszukiwała kobiety w — nazwijmy to — pani wieku i typie. Domyślam się, że nosi pani nazwisko Holcroft.

— Pańskie domysły nic mnie nie obchodzą. — Althene zacisnęła dłoń na pasie bezpieczeństwa, usiłując zapanować nad zdenerwowaniem. Nie wiedziała, dlaczego tak ją to zaskoczyło — człowiek z Har Sha'alav powiedział jej przecież, że oni są wszędzie — ale fakt, że *Wolfsschanze* ma w Interpolu wpływy wystarczające, by wykorzystać go do własnych celów, wyprowadzał z równowagi. Musiała się teraz strzec nie tylko nazistów z *Wolfsschanze*, ale i sieci legalnych organów ścigania. Pułapkę zastawiono ze znawstwem — jej wykroczenia były niekwestionowane: podróżowanie z fałszywym paszportem, a potem w ogóle bez paszportu. A przy tym nie mogła podać powodów, które skłoniły ją do popełnienia tych przestępstw. Czyniąc to, wmieszałaby swego syna — syna Heinricha Clausena — w spisek tak potężny, że oznaczałoby to jego zgubę. Tej krytycznej sytuacji trzeba stawić czoło; być może poświęcić trzeba będzie syna. Ale ironia położenia, w jakim się znalazła, tkwiła w bardzo realnej możliwości, że *Wolfsschanze* zapuścił głęboko korzenie w struktury legalnych władz... Byli wszędzie. Jeśli zostanie ujęta, *Wolfsschanze* zabije ją, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

Ze śmiercią można się pogodzić, z dalszym zachowywaniem milczenia nie.

— Skąd pan wie o tym biuletynie? — zwróciła się do brodatego pilota.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— A skąd wiem o wektorach namiarów radarowych? Pani płaci mnie, ja płacę innym. W dzisiejszych czasach nie ma już czegoś takiego, jak czysty zysk.

— Czy biuletyn podaje powód poszukiwania tej... starszej kobiety?

— To jakieś dziwne pogotowie, *madame*. Podają wyraźnie, że posługuje się fałszywymi dokumentami, ale nie każą jej zatrzymać. Meldunek o miejscu jej pobytu należy skierować do biura Interpolu w Paryżu, skąd zostanie przekazany do Nowego Jorku.

— Do Nowego Jorku?

— Stamtąd pochodzi zlecenie wszczęcia poszukiwań. Wystawiła je nowojorska policja, a konkretnie porucznik o nazwisku Miles.

— Miles? — Althene zmarszczyła czoło. — Nigdy o takim nie słyszałam.

— Ta kobieta może słyszała — powiedział pilot przesuwając językiem cygaro trzymane w zębach.

Althene przymknęła oczy.

— Co by pan powiedział na rzeczywiście czysty zysk?

— Nie jestem komunistą, to słowo mnie nie gorszy. Co mam zrobić?

— Ukryć mnie w Genewie. Pomóc w skontaktowaniu się z pewną osobą.

Pilot przesunął wzrokiem po zegarach z tablicy przyrządów, po czym położył maszynę na prawe skrzydło.

— To będzie panią kosztowało.

— Zapłacę — powiedziała.

Zatopiony w myślach Johann von Tiebolt przechadzał się po hotelowym pokoju, niczym pełne gracji, rozdrażnione zwierzę. Jego widownia składała się z braci Kesslerów. Pierwszy deputowany kantonu genewskiego wyszedł przed kilkanaście minutami. Trójka mężczyzn została sama; wyraźnie wyczuwało się atmosferę napięcia.

— Ona jest gdzieś w Genewie — warknął von Tiebolt. — Musi tu gdzieś być.

— I zapewne pod przybranym nazwiskiem — dorzucił Hans Kessler dotykając torby lekarskiej, którą postawił obok siebie na podłodze. — Znajdziemy ją. To tylko kwestia przesłania po mieście ludzi z odpowiednim rysopisem. Nasz deputowany zapewniał, że to żaden

problem.

Von Tiebolt przerwał swoją wędrówkę po pokoju.

— Żaden problem? Mam nadzieję, że przeanalizowałeś z nim już ten „żaden problem”. Genewska policja dała znać naszemu deputowanemu, że Interpol rozesłał za nią specjalny biuletyn. To by, rzecz jasna, znaczyło, że Althene Holcroft przebyła incognito minimum cztery tysiące mil. Cztery tysiące mil poprzez komputerowe banki danych, w samolotach przecinających granice i lądujących z listą pasażerów, poprzez co najmniej dwa punkty służb imigracyjnych. I nic. Nie oszukuj się, Hans. Jest lepsza, niż sądziliśmy.

— Jutro jest piątek — wtrącił się Erich. — Jutro przyjedzie Holcroft i od razu skontaktuje się z nami. Mając jego, będziemy mieli i ją.

— Powiedział, że zatrzyma się w „d'Accord”, ale najwyraźniej zmienił zamiar. Nie ma tam jego rezerwacji, a pan Fresca wymeldował się już z „George'a V” w Paryżu. — Von Tiebolt stał przy oknie. — Nie podoba mi się to. Coś tu nie gra.

Hans sięgnął po swojego drinka.

— Wydaje mi się, że nie bierzesz pod uwagę tego, co oczywiste.

— Czego?

— Z punktu widzenia Holcrofta, nie gra wiele rzeczy. Podejrzewa, że ktoś go śledzi. Zachowa ostrożność. I tak będzie podróżował. Byłbym zdziwiony, gdyby dokonał rezerwacji na swoje nazwisko.

— Zakładałem, że użyje nazwiska Fresca albo jakiejś jego pochodnej, którą łatwo rozpoznam — powiedział von Tiebolt ignorując uwagę młodszego Kesslera. — Ale nie znalazłem podobnego w żadnym z genewskich hoteli.

— A natrafiłeś na nazwisko Tennyson — zapytał spokojnie Erich — albo coś w tym rodzaju?

— Masz na myśli Helden? — Johann odwrócił się od okna.

— Tak, Helden. — Starszy Kessler skinął głową. — Była z nim w Paryżu. Należy przyjąć, że mu pomaga. Sam jej to nawet zasugerowałeś.

Von Tiebolt stał bez ruchu.

— Helden i jej plugawa banda wędrownych wyrzutków ma teraz co innego na głowie. Szukają w ODESSIE morderców *Herr Obersta*.

— Falkenheima? — Hans wyprostował się w fotelu. — Falkenheim nie żyje?!

— Falkenheim był przywódcą *Nachrichtendienst*, a mówiąc ściślej, ostatnim czynnym członkiem tej organizacji. Wraz z jego śmiercią opozycja wobec *Wolfsschanze* przestaje istnieć. Armia Żydów zostaje pozbawiona wodza. Tę część wiedzy, jaką dysponują, zabiorą ze sobą do grobu ich dowódcy.

— Żydzi z *Nachrichtendienst*? — Erich stracił panowanie na sobą. — O czym ty, na miłość boską, mówisz?!

— Zarządzono atak na kibuc Har Sha'alav. Odpowiedzialnością obciąży się terrorystów z *Rache*. Jestem przekonany, że nazwa „Har Sha'alav” coś ci mówi. Tak czy inaczej, *Nachrichtendienst* pokumał się z Żydami z Har Sha'alav. Jak śmierć ze śmiercią.

— Należy mi się bardziej wyczerpujące wyjaśnienie! — zaperzył się Erich.

— Później. Teraz musimy się skupić na Holcroftach. Musimy... — Von Tiebolt urwał uderzony jakąś myślą. — Priorytety. Zawsze należy przestrzegać priorytetów — mruknął jakby do siebie. — A pierwszym priorytetem jest dokument z La Grande Banque de Geneve, co oznacza, że ważniejszy jest syn. Trzeba znaleźć go, odizolować i poddać bez względnej kwarantannie. Z punktu widzenia naszych celów wystarczy, jeśli potrwa ona trzydzieści parę godzin.

— Nie nadażam za twoim tokiem rozumowania — wtrącił się Hans. — Czemu akurat trzydzieści godzin?

— Nasza trójka spotka się z dyrektorami banku — powiedział Erich. — Wszystko zo-

stanie podpisane i przeprowadzone w obecności radcy prawnego Grande Banque w zgodzie z obowiązującym w Szwajcarii prawem. Pieniądze zostaną przelane do Zurychu i w poniedziałek rano przejmemy nad nimi kontrolę.

— Ale trzydzieści godzin od piątku rano, to...

— ...południe w sobotę — dokończył von Tiebolt. — W sobotę o dziewiętej rano spotkamy się z dyrektorami. Kwestia naszej akceptacji bądź dyskwalifikacji nigdy nie występowała. Ona istnieje tylko w wyobraźni Holcrofta. Podsunał mu ją przed miesiącami Manfredi. Nie tylko jesteśmy akceptowani, cholernie blisko nam do opinii świętych. List, jaki dostałem od MI 5 jest tylko ostatecznym uwieńczeniem naszego wizerunku. Do sobotniego południa będzie po wszystkim.

— Tak im pilno do pozbycia się siedmiuset osiemdziesięciu milionów dolarów, że aż utworzą bank w sobotę?

Blondyn uśmiechnął się.

— Zażądałem tego w imieniu Holcrofta, podając za przyczyny pośpiech i poufność sprawy. Dyrektorzy, którzy sprawili na mnie wrażenie mięczaków, nie oponowali. I Holcroft nie będzie się sprzeciwiał, kiedy mu powiemy. Ma swoje własne powody, by pragnąć jak najszybszego zakończenia. Nerwy ma napięte do granic wytrzymałości. — Von Tiebolt uśmiechnął się szerzej i zerknął na Ericha. — Uważa nas za swoich przyjaciół, za opokę, jakiej mu rozpaczliwie potrzeba. Programowanie przeszło nasze najśmielsze oczekiwania.

Kessler pokiwał głową.

— Do sobotniego południa podpisze ostatni warunek.

— Jaki ostatni warunek? — zaniepokoił się Hans. — Co to znaczy? Co on ma podpisać?

— Każdy z nas go podpisze — odparł von Tiebolt, zawieszając na chwilę głos dla podkreślenia swoich słów. — To wymóg szwajcarskiego prawa egzekwowany przy odblokowaniu tego rodzaju kont. Spotkaliśmy się i w pełni rozumiemy nasze prawa oraz obowiązki; poznaliśmy się wzajemnie i zaufaliśmy sobie. A w związku z tym ustaliliśmy, że gdyby któryś z nas przedwcześnie zmarł, wszystkie jego prawa i przywileje przechodzą na pozostałych współspadkobierców. Z wyłączeniem, oczywiście, stypendium w wysokości dwóch milionów dolarów, które dziedziczą wskazane przez niego osoby. Te dwa miliony — przyznane legalnie i nie podlegające zwrotowi pozostałym sygnatariuszom — usuwają wszelkie podejrzenia co do prowadzenia nieuczciwej gry.

Młodszy Kessler gwizdnął cicho.

— Wprost genialne. A więc ten ostatni warunek — klauzula na wypadek śmierci, w której każdy z was przekazuje swoje prawa i obowiązki pozostałym — wcale nie musiał być ujęty w dokumencie... bo i tak wynika z obowiązujących przepisów prawnych. Gdyby się tam znalazł, Holcroft mógłby od początku powziąć jakieś podejrzenia. — Lekarz potrząsnął z podziwem głową; oczy mu płonęły. — Ale nie znalazł się tam, bo i tak jego podpisania wymaga prawo.

— Dokładnie tak. A prawa trzeba przestrzegać.. Za miesiąc, sześć tygodni nie będzie to miało najmniejszego znaczenia, ale dopóki nie poczynimy namacalnych postępów, nie można sobie pozwolić na jakiegokolwiek alarmujące potknięcia.

— Rozumiem to — powiedział Hans. — Ale w praktyce, w sobotę po południu, Holcroft nie będzie już nam potrzebny, prawda?

Erich podniósł rękę.

— Najlepiej będzie, jeśli potem potrzymasz go przez jakiś czas na swoich narkotykach, ale tak, żeby można go było pokazywać. Zrób z niego coś w rodzaju funkcjonującego kaleki umysłowego... do czasu rozdysonowania większej części funduszy. Później nie będzie to już miało znaczenia. Świat będzie zbyt zaabsorbowany innymi sprawami, żeby interesować się wypadkiem w Zurychu. Na razie musimy działać zgodnie z tym, co mówi Johann. Musimy

znaleźć Holcrofta, zanim zrobi to jego matka.

— I pod jakimś pretekstem — dorzucił von Tiebolt — przytrzymać go w odosobnieniu aż do naszego spotkania pojutrze. Niewątpliwie będzie się próbowała z nim skontaktować, a wtedy dowiemy się, gdzie jest. Mamy w Genewie ludzi, którzy mogą zająć się resztą. — Zawahał się. — Jak zwykle, Hans, twój brat opowiedział się za rozwiązaniem optymalnym. Ale odpowiedź na twoje pytanie jest twierdząca. W sobotę po południu Holcroft nie będzie już nam potrzebny. Kiedy o tym myślę, nie jestem nawet pewien, czy przeciąganie tego na jeszcze kilka tygodni jest pożądane.

— Znowu działacie mi na nerwy — zaprotestował naukowiec. — W wielu sprawach ulegałem twojemu niepospolitemu umysłowi, ale nie wydaje mi się, żeby odejście od ustalonej strategii w tym właśnie punkcie było posunięciem właściwym. Holcroft musi być pod ręką. „Dopóki nie poczynimy namacalnych postępów, nie można sobie pozwolić na jakiegokolwiek alarmujące potknięcia”, że zacytuję twoje własne słowa.

— Nie sądzę, żeby do nich doszło — odparł von Tiebolt. — Zmiana, którą wprowadzam, zostałaby przez naszych ojców zatwierdzona. Zmieniłem kalendarz operacji.

— Co zrobiłeś?!

— Poprzez określenie „alarmujące potknięcia” miałem na myśli względy legalności, nie zaś osobę Holcrofta. Względy legalności są stałą; długość życia w żadnym wypadku nią nie jest.

— Jaki kalendarz? Dlaczego?

— Najpierw drugie pytanie, na które zresztą sam możesz sobie odpowiedzieć. — Johann zatrzymał się przed fotelem starszego Kesslera. — Co było najskuteczniejszą bronią użytą podczas wojny przez naszą Ojczyznę? Jaka strategia rzuciłaby na kolana Anglię, gdyby się nie zawahano? Czym były gromy, które wstrząsnęły światem?

— *Blitzkrieg* — odpowiedział za brata lekarz.

— Właśnie. Ostre, błyskawicznie zadawane ciosy. Przerzucanie ludzi, broni i sprzętu przez granice z niebywałą szybkością, pozostawianie za sobą chaosu i zniszczenia. Całe narody rozdzielone, niezdolne do ponownego zwarcia szeregów, nie będące w stanie podejmować decyzji. *Blitzkrieg*, Erichu. Musimy zaadaptować teraz tę strategię do naszych celów. My nie możemy się zawahać.

— To abstrakcyjne spekulacje, Johann! Podaj konkrety!

— Proszę bardzo. Konkretnie pierwszy: John Tennyson napisał artykuł, który zostanie dostarczony jutro służbom telegraficznym i przekablowany na cały świat. Wynika z niego, że Tinamou prowadził zapiski i chodzą słuchy, iż je odnaleziono. Są w nich nazwiska potężnych ludzi, którzy korzystali z jego usług, daty, źródła honorariów. Na ośrodkach władzy na całej kuli ziemskiej wywrze to efekt porównywalny z uderzeniem pioruna. Konkretnie drugi: oto w sobotę podpisany zostanie genewski dokument i nastąpi transfer funduszy do Zurychu. W niedzielę przenosimy się tam, do naszej kwatery głównej, która została już przygotowana — wszystkie środki łączności działają. Jeśli będzie z nami Holcroft, Hans zaaplikuje mu narkotyk; jeśli nie, będzie to znaczyło, że nie żyje. Konkretnie trzeci: poniedziałek — aktywa zostają uznane za czyste, a my przejmujemy nad nimi kontrolę. Uwzględniając podział świata na strefy czasowe odniesione do Greenwich, przystępujemy do telegraficznego przekazywania funduszy naszym ludziom, przy czym koncentrujemy się na celach strategicznych. Na pierwszy ogień idzie miasto, w którym się obecnie znajdujemy — Genewa. Potem Berlin, Paryż, Madryt, Lizbona, Londyn, Waszyngton, Nowy Jork, Chicago, Houston, Los Angeles i San Francisco. Od piątej czasu zuryckiego zabieramy się za Pacyfik, Honolulu, Wyspy Marshalla i Wyspy Gilberta. O ósmej wchodzimy do Nowej Zelandii, do Auckland i Wellington. O dziesiątej przychodzi kolej na Australię — Brisbane, Sydney, Adelajda. Potem Perth i skok do Singapuru, na Daleki Wschód. Pierwsza faza kończy się na New Delhi; na papierze sfinansowaliśmy ponad trzy czwarte globu. Konkretnie czwarty: przed upływem następnych dwudziestu

czterech godzin — czyli we wtorek — odbieramy potwierdzenie odbioru przekazów i ich zamiany na żywą gotówkę. Konkret piąty: odbywam z Zurychu dwadzieścia trzy rozmowy telefoniczne. Łączę się z dwudziestoma trzema ludźmi z rozmaitych stolic, którzy korzystali z usług Tinamou. Dowiadują się, że w ciągu następnych kilku tygodni wysunięte zostaną pod ich adresem pewne żądania; mają się do nich zastosować. Konkret szósty: w środę zaczyna się na dobre. Pierwsze zabójstwo będzie miało rangę symbolu. Kanclerz z Berlina, przewodniczący Bundestagu. Przesuwamy się *Blitzkriegiem* na zachód... — Von Tiebolt przerwał na chwilę. — W środę uaktywniony zostaje kryptonim „Wolfsschanze”.

Zadzwoił telefon. Z początku żaden z trzech mężczyzn zdawał się go nie słyszeć. Pierwszy zareagował von Tiebolt.

— Tak? — spytał podniósłszy do ucha słuchawkę.

Słuchał w milczeniu patrząc w ścianę. W końcu odezwał się.

— Użyj hasła, które ci podałem — powiedział cicho. — Zabij ich.— Odłożył słuchawkę.

— O co chodziło? — Spytał lekarz.

— To był tylko domysł, poszlaka, ale wysłałem człowieka do Neuchatel — powiedział von Tiebolt nie zdejmując ręki ze słuchawki. — Żeby kogoś obserwował. I ten ktoś spotkał się tam z kimś innym. Nieważne, wkrótce będą martwi. Mówię o mojej pięknej siostrze i zdrajcy nazwiskiem Werner Gerhardt.

„To nie ma żadnego sensu” — myślał Holcroft słuchając przez telefon relacji Williego Ellisa. Zadzwoił do Williego do hotelu „d'Accord” z budki telefonicznej na zatłoczonym genewskim Place Neuve przeświadczony, że scenograf skontaktował się już z Althene. Nie zrobił tego, ponieważ nie było jej tam. Ale przecież matka wyraźnie mówiła o tym hotelu. Mieli się spotkać w hotelu „d'Accord”.

— Opisałeś ją w recepcji? Amerykanka, około siedemdziesiątki, wysoka jak na kobietę.

— Naturalnie. Powiedziałem wszystko, co mi kazałeś pół godziny temu. Nie ma tu nikogo o nazwisku Holcroft ani żadnej kobiety, która odpowiadałaby opisowi. Nie ma tu w ogóle nikogo z Ameryki.

— To niedorzeczne. — Noel próbował zebrać myśli. Tennyson i Kesslerowie przybędą dopiero wieczorem; nie miał się do kogo zwrócić. Czyżby matka robiła to samo, co on? Próbowowała się z nim skontaktować spoza hotelu pewna, że go tam zastanie? — Willie, zadzwoń do recepcji i powiedz, że właśnie do ciebie telefonowałem. Podaj moje nazwisko. Powiedz im, że pytałem ciebie, czy są do mnie jakieś wiadomości.

— Wydaje mi się, że nie znasz zasad obowiązujących w Genewie — odparł Willie. — Wiadomości przekazywane sobie przez dwoje ludzi nie są udostępniane osobom trzecim i „d'Accord” nie jest tu wyjątkiem. Szczerze mówiąc, kiedy spytałem o twoją matkę, dziwnie na mnie popatrzone. Pomimo mojego Louisa Vuitton, ten mały skurczybyk nie poczekał nawet, aż skończę mówić.

— Mimo wszystko spróbuj.

— Jest lepszy sposób. Myślę, że gdyby... — Willie urwał, gdzieś z oddali dobiegło stukanie. — Poczekaj chwilkę, ktoś puka do drzwi. Pozbędę się go i zaraz wracam.

Noel usłyszał w słuchawce skrzypnięcie drzwi. Ktoś powiedział coś niezrozumiałego pytającym tonem, nastąpiła krótka wymiana zdań, a potem dały się słyszeć kroki. Holcroft czekał, aż Willie znowu się odezwie.

Rozległo się kaszlnięcie, ale nie tylko kaszlnięcie. Co to było? Zduszony w zarodku krzyk? Czy to był rodzący się k r z y k?

— Willie?

Cisza. Potem znowu kroki.

— Willie? — Nagle Noela przeszedł zimny dreszcz. I znowu poczuł bolesny skurcz żołądka, uświadomił sobie bowiem, że to były te same słowa. Te same słowa!

*Ktoś puka do drzwi. Pozbędę się go i zaraz wracam...*

Słowa innego Anglika. Wypowiedziane cztery tysiące mil stąd, w Nowym Jorku. I zapalka rozbłyskująca w oknie po drugiej stronie dziedzińca.

Słowa Petera Baldwina.

— Willie! Willie, gdzie jesteś?! Willie!

W słuchawce trzasnęło. Połączenie zostało przerwane.

O, Chryste! Co ja zrobiłem?! Willie!

Na czoło wystąpiły mu kropelki potu, ręce drżały.

Musi jechać do „d'Accord"! Musi się tam jak najszybciej dostać i odszukać Williego, pomóc Williamu. O, Chryste! Nie mógł znieść tętniącego bólu rozsadzającego gałki oczne!

Wypadł z budki telefonicznej i pognął ulicą do swojego samochodu. Zaparkował i przez chwilę siedział bezradny, nie bardzo wiedząc ani gdzie się znajduje, ani dokąd chce jechać. Hotel „d'Accord"! To przy des Granges, niedaleko Puits-Saint-Pierre, przy ulicy, wzdłuż której ciągną się nieprawdopodobnie stare domy — rezydencje. „D'Accord" Jest największym z nich. Na wzniesieniu... na jakim wzniesieniu? Nie miał pojęcia, jak się tam znaleźć!

Podjechał na pełnym gazie do skrzyżowania. Sznur samochodów czekał na zmianę świateł.

— Przepraszam! — wrzasnął przez uchyloną szybę do przestraszonej kobiety za kierownicą stojącego obok wozu. — Ulica des Granges — którą?

Kobieta udawała, że nie słyszy jego wołania; stuliła uszy i patrzyła nieruchomo przed siebie.

— Błagam, ktoś został ranny! Podejrzewam, że ciężko ranny. Proszę panią, błagam! Nie mówię dobrze po francusku. Ani po niemiecku... błagam!

Kobieta odwróciła głowę i przyglądała mu się przez chwilę badawczo. Potem sięgnęła do drzwiczek od jego strony i opuściła szybę.

— *Rue des Granges?*

— Tak, błagam panią!

Udzieliła mu szybko wskazówek. Samochody ruszyły spod świateł. Noel, spływając potem, starał się zapamiętać każde jej słowo, każdy zakręt. Wykrzyczał podziękowanie i wduśił pedał gazu.

Nigdy potem nie mógł pojąć, jak odszukał tę starą ulicę. Wjeżdżając pod strome wzniesienie ujrzał tuż pod szczytem płaskie złote litery układające się w napis: HOTEL D'ACCORD.

Zaparkował wóz i wysiadł. Musiał go zamknąć, ale nie potrafił opanować dygotania rąk. Dwa razy próbował trafić kluczykiem do dziurki, ale bez powodzenia. Wstrzymał oddech, przycisnął palce do metalu i trzymał je tam tak długo, aż przestały drżeć. Musi się teraz opanować, musi pomyśleć. A przede wszystkim zachować ostrożność. Spotkał się już z wrogiem oko w oko i walczył z nim. Teraz też jest na to gotów.

Spojrzał na szklone wejście do hotelu „d'Accord". Za szklanymi drzwiami zobaczył portiera rozmawiającego z kimś w holu. Nie może skorzystać z tego wejścia i wkroczyć do holu; jeśli wróg schwycił w pułapkę Williego Ellisa, teraz czeka tam na niego.

Z boku budynku biegła w dół wąska uliczka. Tabliczka przymocowana do kamiennej ściany głosiła: LIVRAISONS.

Gdzieś w tej uliczce musi się znajdować wejście dostawcze. Postawił kołnierz płaszcza, włożył ręce do kieszeni i ruszył chodnikiem. W prawej dłoni wyczuwał stal rewolweru, w le-

wej perforację tulei tłumika. Wspomnił przez chwilę ofiarodawczynię, Helden. Gdzie teraz jest? Co się stało?

*Nic nie jest już dla ciebie, jak było...*

Zupełnie nic.

Gdy zbliżał się do drzwi, wyszedł z nich jakiś dostawca w białym kitlu. Noel uniósł rękę i uśmiechnął się do mężczyzny.

— Przepraszam bardzo. Mówi pan po angielsku?

— Ależ oczywiście, *monsieur*. Przecież to Genewa.

To zakrawało na niewinny żart — i tyle — ale głupkowaty Amerykanin z szerokim uśmiechem na twarzy naprawdę wybulił za tani, używany fartuch cenę dwóch nowych, czyli pięćdziesiąt franków. Wymiany dokonano błyskawicznie, przecież to była Genewa. Holcroft ściągnął płaszcz i przerzucił go sobie przez lewe ramię. Następnie założył kitel i wszedł do środka.

Willie zarezerwował apartament na drugim piętrze. Noel ruszył ciemnym tunelem prowadzącym do jeszcze ciemniejszej klatki schodowej. Na podeście schodów, pod ścianą, stał wózek z trzema małymi, nie odpieczętowanymi kartonami hotelowego mydła, a na nich do połowy opróżniony czwarty. Noel odstawił na bok górny, napoczęty karton, wziął z wózka pozostałe trzy i wstąpił na marmurowe schody z nadzieją, że choć w przybliżeniu przypomina kogoś, kto może tu pracować.

— *Jacques? C'est vous?* — Miły dla ucha głos dobiegał gdzieś z dołu.

Holcroft odwrócił się i wzruszył ramionami.

— *Pardon. Je croyais que c'était Jacques qui travaille chez la fleuriste.*

— *Non* — powiedział szybko Noel i podjął wspinaczkę schodami.

Dotarłszy do drugiego piętra, postawił kartony z mydłem na podeście klatki schodowej i ściągnął kitel. Założył z powrotem płaszcz, namacał w kieszeni rewolwer i uchylił powoli drzwi. W korytarzu nie było nikogo. Podeszedł do ostatnich drzwi po prawej stronie i przyłożył do nich ucho. Wewnątrz panowała cisza. Przypomniała mu się podobna scena w innym korytarzu, całe lata świetlne od tego wytwornego, w którym teraz stał. W miejscowości o nazwie Montereau... Potem była strzelanina. I śmierć.

O Boże, czy Williemu coś się stało? Williemu, który mu nie odmówił, który okazał się prawdziwym przyjacielem wtedy, gdy inni gdzieś się pochowali? Holcroft wyjął z kieszeni pistolet, następnie cofnął się od drzwi na długość wyciągniętej ręki.

Jednym ruchem przekreślił gałkę i natarł ciężarem ciała na drzwi, taranując je barkiem. Nie stawiały oporu. Otworzyły się z impetem i wyrznęły z hukiem w znajdującą się za nimi ścianę. Nie były zamknięte na klucz.

Noel przykucnął ściskając w wyciągniętych przed siebie rękach gotowy do strzału pistolet. W pokoju nie było nikogo, ale okno stało otworem i prąd chłodnego, zimowego powietrza wydymał firankę. Podeszedł do niego oszołomiony; kto przy takiej pogodzie otwiera okno?

I wtedy zobaczył plamy krwi na parapecie. Ktoś tu obficie krwawił.

Za oknem przebiegały schody przeciwpożarowe. Na stopniach dostrzegł czerwone zacieki. Ten, kto zbiegał po nich na dół, był poważnie ranny. Willie?

— Willie? Willie, jesteś tu?

Cisza.

Holcroft wpadł do sypialni. Nikogo.

— Willie?

Miał się już odwrócić i wyjść, kiedy dostrzegł dziwne ślady na płycie zamkniętych drzwi w głębi. Płytę zdobiły złożone żłobienia i stylizowane różowe, białe oraz błękitne lilie. Ale to, co przyciągnęło jego wzrok, nie stanowiło elementu rokokowej ornamentacji.

Były to rozmazane odciski dłoni obwiedzione krwawymi smugami.



Podbiegł do drzwi i kopnął je z taką siłą, że drewniana płyta trzasnęła i poszła w drzazgi.

To, co ukazało się jego oczom, było najstraszliwszym widokiem, jaki w życiu oglądał. Przewieszony przez krawędź pustej wanny spoczywało tam zalane krwią, zmaltretowane ciało Williego Ellisa. W jego klatce piersiowej i brzuchu ziały ogromne dziury, na czerwoną od krwi koszulę wypłynęły wnętrzności. Gardło miał poderżnięte tak głęboko, że głowa ledwie trzymała się na karku, a szeroko rozwarte oczy wpatrywały się z udręką w sufit.

Noel osunął się na posadzkę, usiłując przełknąć powietrze, które nie chciało wypełnić płuc.

I wtedy zobaczył na kafelkach nad okaleczonym trupem nabazgrane krwią:

NACHRICHTENDIENST

Helden znalazła ścieżkę na drodze wiodącej do Pres-du-Lac, trzy kilometry za rozwidleniem. Od właściciela zajazdu pożyczyła latarkę i teraz przemykała się między drzewami w kierunku domu Wenera Gerhardta, przyświecając sobie pod nogi.

Dziwna to była budowla. Przypominała nie tyle dom, co miniaturową kamienną fortecę. Budynek był bardzo mały — mniejszy od chaty *Herr Obersta* — ale z miejsca, gdzie stała, mury wydawały jej się bardzo grube. Światło latarki wyłuskało z mroku spojone zaprawą brzuchate głązy, z których wzniesiono dwie ściany widoczne od jej strony i równie solidny dach. Nieliczne wąskie okna umieszczono wysoko nad ziemią. Nigdy jeszcze nie widziała takiego domu. Wydawał się być żywcem wyjęty z jakiejś dziecięcej bajki, mieć coś wspólnego z czarami.

Przypomniały jej się słowa właściciela zajazdu, kiedy przed kilkoma godzinami wróciła z wiejskiego ryneczku.

— No i znalazła pani Głupiego Gerhardta? Mówią, że kiedyś, zanim pomieszało mu się w głowie, był wielkim dyplomata. Krązą pogłoski, że starzy przyjaciele nadal się o niego troszczą, chociaż nikt go już nie odwiedza. Ale kiedyś tu przyjeżdżali. Zbudowali mu solidną chatę nad jeziorem. Nie rozwali jej żadna zimowa wichura.

Temu domowi nie mogły wyrządzić najmniejszej szkody ani wiatry, ani burze czy śnieżne nawałnice. Ktoś dobrze się o starego zatroszczył.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Przestraszyła się, bo w bocznej i tylnej ścianie drzwi nie było. Ale zaraz potem światło latarki padło na niską postać Wenera Gerhardta. Stał na skraju wychodzącego na jezioro ganku i uniośł rękę.

Jak ten starzec mógł ją usłyszeć?

— Widzę, że przysłaś — powiedział Gerhardt. W jego głosie nie było teraz śladu szaleństwa. — Chodź tu szybko, w lesie jest zimno. Wejdz do środka i usiądź przy kominku. Napijemy się herbaty.

Izba była większa, niż można było sądzić, patrząc na dom od zewnątrz. Stały w niej stare, ciężkie, ale funkcjonalne sprzęty. Przeważały skóra i drewno. Helden siedziała na otomannie rozgrzana ciepłem buchającym z rozpalonego kominka i gorącą herbatą. Nie zdawała sobie nawet sprawy, jak zmarzła.

Rozmawiali już od kilku minut. Na pierwsze pytanie Gerhardt odpowiedział, zanim Helden zdążyła je zadać.

— Przyjechałem tu pięć lat temu z Berlina przez Monachium, gdzie wyrobiono mi przykrywkę. Od tamtego czasu jestem „ofiara” ODESSY, złamanym człowiekiem dożywającym swych dni w abnegacji i osamotnieniu. Jestem pośmiewiskiem całej okolicy. Moją kartę choroby prowadzi lekarz z kliniki. Nazywa się Litvak, gdybyś kiedyś go potrzebowała. Tylko on wie, że jestem w pełni władz umysłowych.

— Ale po co była panu ta przykrywka?

— Zrozumiesz to w trakcie rozmowy. A tak nawiasem mówiąc, zdziwiłaś się zapewne, skąd wiem, że jesteś na zewnątrz. — Gerhardt uśmiechnął się. — Ta prymitywna chata nad jeziorem jest budowlą wielce wyrafinowaną. Nikt nie podejdzie do niej bez mojej wiedzy. Ostrzega mnie szum. — Uśmiech spełził z ust starca. — A więc, co się przydarzyło Klausowi?

Opowiedziała mu wszystko. Gerhardt milczał przez chwilę. W jego oczach malował się ból.

— Zwierzęta — wycedził przez zęby. — Nie potrafią nawet prze prowadzić na człowieka egzekucji w sposób, który nie uwłaczałby jego godności. Muszą bezcześcić. Niech bę-

dą przekłęci!

— Kto?

— Fałszywy *Wolfsschanze*. Te zwierzęta. Nie orły.

— Orły? Nie rozumiem.

— Spisek na życie Hitlera, który został wykryty w lipcu czterdziestego czwartego, przygotowywała grupa generałów. Wojskowi — ogólnie biorąc, przywoici ludzie — którym otworzyły się oczy na straszliwe zbrodnie popełniane przez Fuhrera i jego szaleńców. Nie o takie Niemcy chcieli walczyć! Postawili sobie za cel zabicie Hitlera, a potem zamierzali zaproponować zawarcie sprawiedliwego pokoju. Chcieli wydać morderców i sadystów, którzy działali w imieniu Rzeszy. Rommel nazwał tych ludzi „prawdziwymi orłami Niemiec”.

— Orłami... — powtórzyła Helden. — Nie powstrzymasz orłów...

— Co powiedziałaś? — spytał starzec.

— Nie, nic. Niech pan mówi dalej.

— Generałom nie udało się, oczywiście, i popłynęła krew. Poddano torturom i skazano na śmierć dwustu dwunastu oficerów, w tym wielu na podstawie bardzo mglistych podejrzeń. Potem ni stąd, ni zowąd, *Wolfsschanze* stał się pretekstem do uciszenia całej opozycji istniejącej wtedy w Rzeszy. Fabrykując dowody aresztowano i wykonywano wyroki śmierci na tysiącach ludzi, którzy ważyli się wygłaszać poglądy w najmniejszym choćby stopniu krytykujące prowadzoną politykę czy strategię militarną. Ogromna większość tych nieszczęśników nie słyszała nigdy o kwaterze głównej noszącej nazwę *Wolfsschanze*, czyli Wilczy Szaniec, a jeszcze mniej wiedziało, że próba zamachu na życie Hitlera w ogóle miała miejsce. Rommel otrzymał rozkaz popełnienia samobójstwa, co było karą za odmowę przeprowadzenia pięciu tysięcy dodatkowych wyrzykowych egzekucji. Ziściły się najgorsze obawy generałów: całkowitą kontrolę nad Niemcami przejęli maniacy. Właśnie tę groźbę mieli nadzieję zażegnać w *Wolfsschanze*. I c h *Wolfsschanze* był prawdziwy.

— Ich... *Wolfsschanze*? — spytała Helden. — „Moneta *Wolfsschanze* ma dwie strony”.

— Tak — odparł Gerhardt. — Był jeszcze jeden *Wolfsschanze* inna grupa ludzi, którzy również chcieli zabić Hitlera. Ale z całkiem innych powodów. Ludzie ci uważali, że Hitler zawiódł. Dostrzegali jego słabość, jego ograniczone możliwości. Pragnęli zamienić jedno szaleństwo na inne, daleko bardziej skuteczne. W ich planach nie było miejsca na apele o zawarcie pokoju; wręcz przeciwnie, zakładały one jak najpełniejszą eskalację działań wojennych. Opracowana przez nich strategia przewidywała stosowanie metod, o których nie słyszano od wieków, od kiedy przez Azję przetaczały się mongolskie hordy. Całe narody występujące w roli zakładników, masowe egzekucje za najmniejsze wykroczenia, rządy żelaznej pięści tak straszne, że świat dążyłby do zawieszenia broni, choćby w imię człowieczeństwa. — Gerhardt urwał. Kiedy podjął, głos miał przesycony nienawiścią. — Taki był fałszywy *Wolfsschanze*, *Wolfsschanze*, który nigdy nie powinien zaistnieć. Oni — ludzie z tego *Wolfsschanze* — nadal z pełnym zaangażowaniem dążą do wytyczonego celu.

— Mimo wszystko, ci ludzie brali udział w spisku na życie Hitlera — zauważyła Helden. — Jak udało im się umknąć represji?

— Przedzierzgnęli się w najzagorzalszych lojalistów Hitlera. Prze grupowali się błyskawicznie, zaczęli afiszować swoją odrazą wobec zdrady i zwrócili się przeciwko współspiskowcom. Ich gorliwość i zapał, jak zawsze, zrobiły wrażenie na Hitlerze; widzisz, on był w zasadzie podszyty tchórzem. Części z nich powierzył nadzór nad egzekucjami i zachwycał się ich oddaniem.

Helden zsunęła się na sam brzeg otomany.

— Mówi pan, że ci ludzie — ten drugi *Wolfsschanze* — nadal z pełnym zaangażowaniem dążą do wytkniętego sobie celu. Przecież większość z nich z pewnością już nie żyje. Starzec westchnął.

— Ty właściwie nic nie wiesz, prawda? Klaus mówił mi, że nie wiesz.

— To pan wie, kim jestem? — zdziwiła się Helden.

— Oczywiście. Sama nadawałaś listy do mnie.

— Nadawałam wiele listów dla *Herr Obersta*. Ale ani jednego do Neuchatel.

— Otrzymałem te, które były do mnie.

— Pisał panu o mnie?

— Często. Bardzo cię kochał. — Uśmiech Gerhardta był teraz ciepły. Gaś w miarę, jak stary mówił dalej. — Pytasz mnie, jak to możliwe, że po tylu latach ludzie fałszywego *Wolfsschanze* wciąż są zaangażowani w swoją sprawę. Masz, oczywiście, rację. Większość z nich już nie żyje. I to nie oni; to ich dzieci.

— Dzieci?!

— Tak. Są wszędzie — w każdym mieście, każdej prowincji i w każdym kraju. Mają swoich reprezentantów we wszystkich zawodach, wszystkich ugrupowaniach politycznych. Ich zadaniem jest ciągle wywieranie nacisku, przekonywanie ludzi, że ich los może się odmienić na lepsze, jeśli u steru władzy staną silni ludzie, którzy przeciwstawiają się słabości. Zamiast naturalnego rozwiązywania rozmaitych problemów słyszy się coraz częściej podniesione głosy; krzykactwo zaczyna wypierać rozsądek. Tak dzieje się wszędzie i tylko kilku z nas wie, o co w tym chodzi: są to zakrojone na wielką skalę przygotowania. Dzieci dorosły.

— Skąd się wzięły?

— I tu dochodzimy do sedna sprawy. Znajdziesz teraz odpowiedź na wiele innych pytań. — Starzec pochylił się. — Nazywało się to *Operacja Sonnenkinder* i miało miejsce w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Polegało na ewakuowaniu z Niemiec tysięcy dzieci w wieku od sześciu miesięcy do szesnastu lat. Rozesłano je do wszystkich zakątków świata...

W miarę opowieści Gerhardta, Helden czuła się coraz bardziej chora. Chora w sensie fizycznym.

— Opracowano odpowiedni plan — ciągnął Gerhardt — który przewidywał zasilenie *Sonnenkinder* milionami dolarów po upływie określonego czasu. Okres ten wyliczono w drodze projekcji normalnych cykli ekonomicznych; wynik brzmiał trzydzieści lat.

Głośny spazm, z jakim Helden wciągnęła powietrze w płuca, przerwał mu, ale tylko na krótko.

— Ten plan opracowało trzech mężczyzn...

Z krtani Helden wydobył się jęk.

— ...mieli oni dostęp do nieprzeliczalnych funduszy. Jeden z nich był chyba najgenialniejszym finansowym talentem naszych czasów. To on i tylko on zjednoczył międzynarodowe siły ekonomiczne, umożliwiając tym samym wyniesienie Adolfa Hitlera. A kiedy jego Rzesza zawiodła go, przystąpił do tworzenia nowej.

— Heinrich Clausen... — wyszeptała Helden. — O Boże..., nie! Noel! O Boże, Noel!

— On nie był nigdy niczym więcej, jak ślepym narzędziem. Kanałem, przez który miały popłynąć pieniądze. On nic nie wie.

— A zatem... — oczy Helden rozwarły się szeroko; ból w skroniach przybrał na sile.

— Tak — powiedział Gerhardt biorąc ją za rękę. — Wybrano młodego chłopca, innego z synów. Nadzwyczajne dziecko, fantastycznie oddanego członka Hitler Jugend. Błyskotliwy, piękny. Obserwowano go, dbano o jego rozwój, szkolono z myślą o życiowej misji, jaką miał wypełnić.

— Johann... Boże miłosierny, to Johann.

— Tak. Johann von Tiebolt. To on ma zamiar poprowadzić *Sonnenkinder* ku panowaniu nad całym światem.

Odbijający się echem łomot bębna w skroniach stał się głośniejszy, perkusyjne uderzenia szarpały nerwy, rozsadały czaszkę. Kontury zatraciły ostrość, pokój zawirował i opuściła się na nią ciemność. Helden zapadła się w otchłań.

Otworzyła oczy nie zdając sobie sprawy, jak długo była nieprzytomna. Gerhardt zdołał podźwignąć ją do pozycji siedzącej i oprzeć o otomanę. Podsuwał jej teraz pod nos szklaniczkę brandy. Chwyciła ją i wychyliła zawartość jednym haustem. Alkohol rozplywał się szybko, przywracając ją do strasznej rzeczywistości.

— Johann... — wyszeptła. Imię to zabrzmiało w jej ustach niczym okrzyk bólu. — To dlatego *Herr Oberst*...

— Tak — powiedział starzec uprzedzając ją. — To dlatego Klaus ściągnął cię do siebie. Buntowniczą córkę von Tiebolta urodzoną w Rio, zrażoną do rodzeństwa. Czy ta niechęć była niekłamana, czy też wykorzystywano cię do infiltrowania szeregów wędrującej, niezadowolonej ze swego losu niemieckiej młodzieży? Nie wiedzieliśmy tego.

— Wykorzystana, a potem zamordowana — dodała Helden wzruszając ramionami. — Próbowali mnie zabić w Montereau. O, Boże, mój własny brat.

Starzec podniósł się z trudem.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie — powiedział. — To było tragiczne popołudnie pełne pomyłek. Ci dwaj ludzie, którzy cię uprowadzili, byli od nas. Mieli wyraźne instrukcje: dowiedzieć się w miarę możliwości wszystkiego o Holcrofcie. Był wtedy jeszcze niewiadomym czynnikiem. Czy reprezentował *Wolfsschanze* — ich *Wolfsschanze*? Gdyby okazało się, że jest nieświadomym narzędziem w ich ręku, miał pozostać przy życiu, a my już byśmy go przekonali, żeby przeszedł na naszą stronę. Gdyby jednak wyszło na jaw, że jest z *Wolfsschanze*, miał zginąć. W tym ostatnim przypadku miałaś zostać usunięta ze sceny, zanim stanie ci się coś złego, zanim zostaniesz w to wmieszana. Z przyczyn, których nie znamy, nasi ludzie zdecydowali się go zabić.

Helden spuściła oczy.

— Tego popołudnia Johann wysłał za nami swojego człowieka, żeby nas śledził. Miał ustalić, kto przejawia takie zainteresowanie Noelem.

Gerhardt usiadł.

— A więc nasi ludzie zobaczyli tego człowieka i uznali, że to spotkanie z von Tieboltem, z emisariuszem *Sonnenkinder*. Z ich punktu widzenia znaczyło to, że Holcroft jest jednak z *Wolfsschanze*. Nie potrzebowali więcej dowodów.

— To moja wina — powiedziała cicho Helden. — Przestraszyłam się, kiedy ten mężczyzna wziął mnie w tłoku pod ramię. Kazał mi iść ze sobą. Mówił po niemiecku. Myślałam, że to ODESSA.

— Był osobą jak najdalszą od niej. Był Żydem z miejscowości o nazwie Har Sha'alav.

— Żydem?

Gerhardt opowiedział jej pokrótce o dziwnym kibucu na pustyni Negew.

— To nasza mała armia. Wysyła się depezę. Oni wystawiają ludzi. Proste.

*Trzeba wydać rozkazy... tym odważnym ludziom, którzy staną przy ostatniej barykadzie.* Helden zrozumiała wreszcie słowa *Herr Obersta*.

— Wyśle pan teraz tę depezę?

— Ty ją wyślesz. Niedawno wspomniałem o doktorze Litwaku z kliniki. Chroni moją kartę choroby przed ciekawskimi. Jest jednym z nas. Dysponuje sprzętem radiowym dalekiego zasięgu i kontaktuje się ze mną codziennie. Zbyt niebezpieczne mieć tutaj telefon. Pójdź do niego dziś wieczorem. Zna szyfry i połączy się z Har Sha'alav. Niech wyślą do Genewy grupę operacyjną. Musisz im powiedzieć, co mają robić. Trzeba zabić Johanna, Kesslera, a nawet Holcrofta, jeśli nie da się go przeciagnąć na naszą stronę. Nie wolno dopuścić do rozdysponowania tych funduszy.

— Przekonam Noela.

— Życzę ci powodzenia. To może nie być takie proste, jak sądzisz. Manipulowano nim

genialnie. Wierzy głęboko, jest gotów stanąć w obro nie swojego nie znanego ojca.

— Skąd się pan tego dowiedział?

— Od jego matki. Przez wiele lat wierzyliśmy, że odgrywa ważną rolę w planie Clausena. Potem przeprowadziliśmy z nią konfrontację i prze konaliśmy się, że nigdy nie miała z tym nic wspólnego. Była tylko pomostem do idealnego kanału pośredniczącego, jak również jego źródłem. Któż inny, jeśli nie Noel Clausen-Holcroft, którego pochodzenie wymazane zostało z wszelkich zapisów, z wyjątkiem jego własnej pamięci, zaakceptowałby warunki zachowania ścisłej tajemnicy, narzucone przez genewski dokument? Normalny człowiek szukałby porady prawnej i finansowej. Ale Holcroft przejął się swoim paktem i zachował wszystko dla siebie.

— Ale musiano go w jakiś sposób przekonać — zaproponowała Helden. — Jest silnym, głęboko moralnym człowiekiem. Jak to zrobiono?

— A co skłania kogoś do uwierzenia w słuszność danej sprawy? — spytał retorycznie starzec. — Widok tych, którzy starają mu się desperacko przeszkodzić. Czytaliśmy meldunki z Rio. Incydent Holcrofta z Graffem, skargi, jakie złożył w ambasadzie. W Rio nikt nie próbował go zabić, ale Graff chciał, żeby on tak myślał.

— Graff jest z ODESSY.

— Ależ skąd. Jest jednym z przywódców fałszywego *Wolfsschanze*... jedyne już teraz *Wolfsschanze*. Należałoby właściwie powiedzieć, że był. Nie żyje.

— Co?

— Został wczoraj zastrzelony przez człowieka, który zostawił na miejscu karteczkę z oświadczeniem, że to zemsta portugalskich Żydów. Jest to, oczywiście, robota twojego brata. Graff był już za stary, trudno było dojść z nim do porozumienia. Spełnił swoje zadanie.

Helden postawiła szklaneczkę z brandy na podłodze. Musiała zadać to pytanie.

— *Herr Gerhardt*, dlaczego nigdy nie ujawniliście prawdy o genewskim koncju?

Starzec nie umknął wzrokiem przed jej badawczym spojrzeniem.

— Ponieważ ujawnienie genewskiej afery stanowiłoby tylko połowę prawdy. Po jej ujawnieniu zostalibyśmy z miejsca zabici. Ale to nie ma znaczenia. Ważna jest reszta.

— Reszta?

— Ta druga połowa. Kim są *Sonnenkinder*? Jak brzmią ich nazwiska?

Gdzie mieszkają? Główną listę sporządzono trzydzieści lat temu; musi ją mieć twój brat. Jest sążnista, składa się z setek stron. Von Tiebolt prędeż dałby się usmażyć na wolnym ogniu, niż zdradził miejsce jej ukrycia. Ale powinna istnieć jeszcze jedna lista! Krótka, może kilkustronicowa. Albo nosi ją przy sobie, albo trzyma gdzieś pod ręką. Zawiera ona dane personalne osób, na których ręce wpływać będą rozdzielane fundusze. Oni będą zaufanymi prowokatorami *Wolfsschanze*. Tę listę można i trzeba zdobyć. Musisz powiedzieć żołnierzom z Har Sha'alav, żeby ją odnaleźli. Zatrzymać wypływ pieniędzy i zdobyć listę. To nasza jedyna nadzieja.

— Powiem im — przyrzekła Helden. — Znajdą ją. — Spojrzała w bok zaabsorbowana inną myślą. — *Wolfsschanze*. List pisany do Noela Holcrofta przed trzydziestu laty, błagalny i zarazem pełen grózb, był od nich.

— Apelowali i grozili w imię orłów, a służyli zwierzętom.

— Nie mógł tego wiedzieć.

— Nie, nie mógł. Nazwa „*Wolfsschanze*” jest świętością, jest synonimem odwagi. Holcroft mógł myśleć tylko o tym *Wolfsschanze*. Nic nie wiedział o drugim, o tych szumowinach. Nie wiedział o nim nikt, oprócz jednej osoby.

— *Herr Obersta*?

— Tak, oprócz Falkenheima.

— Jak udało mu się ująć z życiem?

— Dzięki najzwyczajszemu zbiegowi okoliczności. Dzięki przypadkowemu podobień-

stwu nazwisk. — Gerhardt podszedł do kominka i poprawił pogrzebaczem płonące szczapy. — Wśród gigantów *Wolfsschanze* znajdował się dowódca sektora belgijskiego Alexander von Falkenhausen. *Falkenhausen, Falkenheim*. Klaus Falkenheim wyjechał z Prus Wschodnich na naradę do Berlina. Po nieudanej próbie zamachu Falkenhausen zdołał skontaktować się z Falkenheimem przez radio i powiadomić go o katastrofie. Błagał Klause, żeby się nie ujawniał. Postawił sprawę jasno. Upierał się, że on będzie „sokołem”, którego pojmają — „Falken” to po niemiecku sokół. Drugi „sokół” miał pozostać lojalny Hitlerowi. Klaus oponował, ale rozumiał. Otrzymał zadanie do wykonania. Ktoś musiał przeżyć.

— Gdzie jest teraz matka Noela? — spytała Helden. — Czego się od was dowiedziała?

— Wie już wszystko. Miejmy nadzieję, że nie podda się panice. Zgubiliśmy ją w Meksyku. Przypuszczamy, że stara się dotrzeć do Genewy, do syna. Nie uda jej się. W chwili, gdy ją zlokalizują, będzie martwa.

— Musimy ją odnaleźć.

— Ale nie kosztem innych priorytetów — powiedział starzec. — Pamiętaj, że istnieje już tylko jeden *Wolfsschanze*. Najważniejszą dziś sprawą jest okaleczenie go. — Gerhardt odłożył pogrzebacz. — Spotkasz się jeszcze dziś wieczorem z doktorem Litvakiem. Jego dom stoi niedaleko kliniki, na oddalonym o dwa kilometry na północ wzgórzu. Jest ono dosyć strome, panują tam dobre warunki do utrzymywania łączności radiowej. Dam ci...

Izbę wypełnił przenikliwy szum. Odbił się od ścian tak głośnym echem, że Helden, czując przenikające ją na wskroś wibracje, poderwała się z miejsca. Gerhardt odwrócił się od kominka i spojrzał w wąskie okienko umieszczone tuż pod sufitem. Zdawał się przyglądać uważnie szybom, chociaż te znajdowały się zbyt wysoko, by coś przez nie widzieć.

— Mam tam nocne lustro, które wychwytuje obrazy nawet w całkowitej ciemności — wyjaśnił nie odrywając oczu od okna. — To jakiś mężczyzna. Znam go, ale tylko z widzenia. — Podszedł do biurka, wyjął z szuflady mały pistolet i wręczył go Helden.

— Co mam robić? — spytała.

— Ukryj pistolet pod spódniczką.

— Nie wie pan, kto to jest? — Helden zastosowała się do polecenia i usiadła na krześle twarzą do drzwi.

— Nie. Przybył wczoraj, widziałem go na rynku. Może to ktoś z naszych, a może nie. Nie wiem.

Helden usłyszała zbliżające się kroki. Nieznajomy zatrzymał się. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległo się gwałtowne pukanie.

— *Herr Gerhardt?*

Stary odpowiedział piskliwym głosem w rytm tej samej melodii, którą nucił na rynku.

— Wielkie nieba, a kto tam? Późno już, modlę się właśnie.

— Przynoszę wiadomości z Har Sha'alav.

Stary odetchnął z ulgą i skinieniem głowy uspokoił Helden.

— To swój — oznajmił odsuwając rygiel. — Nikt prócz nas nie wie o Har Sha'alav.

Drzwi otworzyły się. Przez ułamek sekundy Helden siedziała jak sparalizowana, ale zaraz otrząsnęła się z zaskoczenia, odwróciła błyskawicznie razem z krzesłem o sto osiemdziesiąt stopni i rzuciła szczupakiem na podłogę. Postać stojąca w progu trzymała w ręku wielkokalibrowy pistolet. Huk wystrzału wstrząsnął ścianami. Gerhardt wygiął się w tył. Wyrzucona niewidzialną siłą w górę, powykęcana krwawa masa, w którą przeistoczyło się jego ciało, poszybowała w głąb izby, by zważyć się tam na biurko.

Helden jednym susem skryła się za skórzanym fotelem, sięgając jednocześnie po pistolet.

Huknął drugi równie ogłuszający strzał. Zerwana z ramy skóra, pokrywająca oparcie fotela, poszła w strzępy. Jeszcze jeden strzał i poczuła lodowaty ból w nodze. Po północznie rozplywała się krwawa plama.

Poderwała pistolet i zaczęła naciskać raz po raz spust, celując — i nie celując — w ogromną postać mającą w mroku za otwartymi drzwiami.

Usłyszała krzyk mężczyzny. Przypadła w panice do ściany niczym zapędzony w kąt insekt, osaczone zwierzątko, które za chwilę straci swe nic nie znaczące życie. Nieświadoma strumieni łez ciekących jej po twarzy, znowu wzięła napastnika na cel i naciskała spust dopóty, dopóki huku wystrzałów nie zastąpiły suche, przyprawiające o mdłości trzaski, które świadczyły o opróżnieniu magazynka. Krzyknęła w śmiertelnej trwodze. Skończyła się amunicja. Zaczęła błagać Boga, by zesłał jej szybką śmierć.

Słyszała własne krzyki — słyszała je — zupełnie jakby sama unosiła się pod niebem i spoglądała w dół na chaos i dym.

Dym. Był wszędzie. Gryzące opary wypełniały całą izbę, wyciskając łzy z oczu, oślepiając. Nie rozumiała; nic więcej się nie wydarzyło.

I nagle usłyszała słaby szept.

— Moje dziecko...

To mówił Gerhardt! Zanosząc się szlochem i wlokąc za sobą krwawiącą nogę, popęzła w jego kierunku.

Dym zaczynał się rozwiewać. Zobaczyła postać mordercy. Leżał na wznak, a na jego gardle i czole widniały niewielkie, czerwone plamy. Nie żył.

Gerhardt umierał. Podczołgała się do niego i wsparła czoło o jego głowę. Jej łzy kapały mu na twarz.

— Moje dziecko... idź do Litvaka. Nadaj depeszę do Har Sha'alav. Nie jedź do Genewy.

— Nie jechać?...

— Tak, dziecko. Wiedzą, że przyszedłeś do mnie. *Wolfsschanze* cię widział... Tylko ty zostałeś. *Nachricht*...

— Co?

— Ty jesteś... *Nachrichtendienst*.

Głowa Gerhardta wysliznęła się spod jej czoła. Odszedł.



Rudobrody pilot szedł szybko ulicą des Granges w kierunku zaparkowanego samochodu. Siedząca w wozie Althene dostrzegła go już z daleka. Zaniepokoiła się. Dlaczego nie prowadzi ze sobą jej syna? I dlaczego tak się śpieszy?

Pilot zajął miejsce za kierownicą i milczał przez chwilę łapiąc oddech.

— W „d'Accord” panuje wielkie zamieszanie, *madame*. Zabójstwo. Althene zamarła.

— Noel? Czy to mój syn?

— Nie. Jakiś Anglik.

— Jak się nazywał?

— Ellis. William Ellis.

— Dobry Boże! — Althene zacisnęła dłonie na torebce. — Noel miał w Londynie przyjaciela, który tak się nazywał. Często o nim opowiadał. Muszę się natychmiast skontaktować z moim synem!

— Nie tam, *madame*. Zwłaszcza jeśli istnieje związek między pani synem a tym Anglikiem. Pełno tam policji, a poza tym rozesłano przecież za panią list gończy.

— Podjedźmy do telefonu.

— Ja będę rozmawiał. Być może będzie to ostatnia rzecz, jaką dla pani zrobię, *madame*. Nie chcę być zamieszany w zabójstwo, nasza umowa tego nie przewidywała.

Jechali niemal piętnaście minut, zanim pilot uznał, że nikt ich nie śledzi.

— Dlaczego miałby nas ktoś śledzić? — spytała Althene. — Nikt mnie nie widział, nie wymieniał pan mojego nazwiska ani nazwiska Noela.

— Tu nie chodzi o panią, ale o mnie. Nie mam w planach zawierania bliższej znajomości z genewską policją. Nadziałem się już na nich parę razy i różnie bywało. Niezbyt za sobą przepadamy.

Znaleźli się w dzielnicy przylegającej do jeziora. Pilot rozglądał się po ulicach za ustronną budką telefoniczną. Wypatrzył ją wreszcie, podjechał do krawężnika i wyskoczył z samochodu. Althene została w wozie. Kiedy wrócił, wgramolił się za kierownicę nieco wolniej, niż zza niej wyskakiwał i siedział przez chwilę nachmurzony.

— Na miłość boską, co się stało?!

— Nie podoba mi się to — odparł. — Spodziewali się telefonu od pani.

— Oczywiście. Mój syn ich uprzedził, że będę dzwoniła.

— Ale to nie pani telefonowała, tylko ja.

— A cóż to za różnica? Mogłam przecież kogoś poprosić, żeby zatelefonował w moim imieniu. Co powiedzieli?

— Nie oni. On. A to, co powiedział, było zbyt konkretne. W tym mieście nie tak łatwo uzyskać informacje. Do konkretów przechodzi się dopiero wtedy, gdy uszy rozpoznają głos lub padnie określone hasło.

— Co on panu powiedział? — spytała Althene poirytowana tym przydługim wykładem.

— Chciał się umówić na spotkanie. Najszybciej, jak to tylko możliwe. Dziesięć kilometrów na północ drogą na Vesenz. To na wschodnim brzegu jeziora. Powiedział, że pani syn tam będzie.

— No to pojedziemy.

— „My” *madame*?

— Chciałabym przedłużyć kontrakt z panem.

Zaproponowała mu pięćset dolarów amerykańskich.

— Pani oszalała — powiedział.

— A więc doszliśmy do porozumienia?  
— Pod warunkiem, że dopóki nie spotkacie się z synem, będzie mi pani we wszystkim posłuszna — odparł. — Nie przyjmuję takich pieniędzy za porażkę. Jeśli jednak nie będzie go tam, nie moja sprawa. Inkasuję honorarium.  
— Zainkasuje je pan. Ruszajmy.  
— To rozumiem. — Pilot zapuścił silnik.  
— Dlaczego nabrał pan podejrzeń? Mnie się wszystko wydaje zupełnie logiczne — powiedziała Althene.  
— Powiedziałem pani. W tym mieście obowiązuje specyficzny kodeks zachowań. W Genewie głównym nośnikiem informacji jest telefon. Tamten człowiek powinien mi podać inny numer, pod którym mogłaby pani zastać syna i osobiście z nim porozmawiać. Kiedy mu to zasugerowałem, zbył mnie brakiem czasu.  
— Mógł go nie mieć.  
— Być może, ale mnie się to nie podoba. Telefonistka z centrali zapowiedziała, że łączy mnie z recepcją, ale mężczyzna, z którym rozmawiałem, nie był recepcjonistą.  
— Skąd pan wie?  
— Recepcjoniści mogą być aroganccy i często tacy są, ale nie bywają dociekliwi. A ten, z którym rozmawiałem, był. I nie pochodził z Genewy. Miał akcent, którego nie potrafię umiejscowić. Będzie mi pani we wszystkim posłuszna, *madame*.

Von Tiebolt odłożył słuchawkę na widełki i uśmiechnął się z satysfakcją.  
— Mamy ją — powiedział krótko, podchodząc do kanapy, na której z przyciśniętym do policzka woreczkiem z lodem leżał Hans Kessler. Twarz w miejscach, gdzie osobisty lekarz pierwszego deputowanego nie założył szwów, miał posiniaczoną.  
— Pojadę z wami — stęknął Hans głosem nabrzmiałym złością i bólem.  
— Nie wydaje mi się — wtrącił jego brat siedzący blisko niego w fotelu.  
— Nie możesz się w takim stanie pokazywać — dorzucił von Tiebolt. — Powiemy Holcroftowi, że zatrzymały cię pilne sprawy.  
— Nie — wrzasnął lekarz waląc pięścią w stolik. — Mówcie Holcroftowi, co chcecie, ale jadę z wami dzisiaj. Wszystkiemu winna ta suka.  
— A mnie się wydaje, że to ty — powiedział von Tiebolt. — Było do wykonania zadanie i sam się go podjąłeś. Wykazałeś się nadgorliwością. Zawsze tak się zachowujesz w podobnych sytuacjach, wyłazi z ciebie prymityw.  
— Nie mogłem wydusić z niego życia! Nie mogłem dobić tego kulturysty! — wrzasnął Hans. — Był silny jak pięć lwów. Obejrzyjcie sobie mój brzuch! — Zadarł koszulę na głowę, odstawiając płaskorzeźbę krzyżujących się łukowato, czarnych bruzd. — Wyrwał to rękami! Gołymi rękami!  
Erich Kessler odwrócił wzrok od rany brata.  
— Miałeś szczęście, że nikt cię nie zauważył, jak stamtąd wychodziłeś. Teraz musimy cię jakoś wyprowadzić z tego hotelu. Policja wszędzie węszy.  
— Tutaj nie przyjdą — rzucił ze złością Hans. — Nasz deputowany już o to zadbał.  
— Mimo wszystko przekroczenie tego progu przez jednego wścibskiego policjanta wywołałoby komplikacje — powiedział von Tiebolt zerkając na Ericha. — Hans musi stąd zniknąć. Ciemne okulary, szalik, kapelusz. Deputowany jest w holu. — Blondyn przesunął wzrok na rannego. — Jeśli czujesz się na siłach, będziesz mógł sobie odbić na matce Holcrofta. Może poprawi ci to" samopoczucie.  
— Poradzę sobie — wystękał Hans krzywiąc się z bólu.  
Johann ponownie zwrócił się do starszego Kesslera.  
— Zostaniesz tutaj, Erichu. Holcroft niedługo zacznie wydzwaniać, ale nie poda swoje-

go nazwiska, o ile nie rozpozna twojego głosu. Udawaj zaniepokojonego, zaaferowanego. Powiedz, że zadzwoniłem do ciebie do Berlina i poprosiłem o szybki przyjazd, że próbowałem skontaktować się z nim w Paryżu, ale już go nie zastałem. Dodaj też, że obaj jesteśmy zaszokowani tym, co się tu stało dzisiaj po południu. Że zamordowany mężczyzna pytał o niego i my obaj niepokoiśmy się o jego bezpieczeństwo. Nie wolno mu się pokazywać w „d'Accord”.

— Mogę jeszcze powiedzieć, że widziano kogoś odpowiadającego jego rysopisowi, jak wychodzi wyjściem służbowym — dorzucił naukowiec. — Znajdował się w stanie szoku, więc da sobie to wmówić. Wpadnie w jeszcze większą panikę.

— Znakomicie. Spotkaj się z nim i zaprowadź do „Excelsiora”. Niech się tam zamelduje pod nazwiskiem... — blondyn zastanawiał się przez chwilę — ...pod nazwiskiem Fresca. To go do końca przekona, jeśli będą go jeszcze dręczyć jakieś wątpliwości. Przy tobie nigdy nie korzystał z tego nazwiska; będzie to dowodem, że widzieliśmy się ze sobą i rozmawialiśmy.

— Świetnie — powiedział Erich. — A w „Excelsiorze” wyjaśnię mu, że przez wzgląd na ostatnie wydarzenia, skontaktowałeś się z dyrektorami banku i ustaliłeś z nimi termin konferencji na jutro rano. Im szybciej będzie po wszystkim, tym szybciej będziemy mogli udać się do Zurychu i powziąć stosowne środki ostrożności.

— I znowu znakomicie, *Herr Professor*. Chodź, Hans — powiedział von Tiebolt — pomogę ci.

— Nie ma potrzeby — zachnął się potężnie zbudowany zawodnik monachijskiej drużyny piłkarskiej z miną zadającą kłam jego słowom. — Weź tylko moją torbę.

— Ma się rozumieć. — Von Tiebolt podniósł z podłogi skórzaną torbę lekarską. — Nie posiadam się z ciekawości. Musisz mi zdradzić, co zamierzasz mu wstrzyknąć. Pamiętaj, że chodzi nam o zadanie śmierci, ale w sposób, który nie będzie wyglądał na zabójstwo.

— Nie martw się — uspokoił go Hans. — Wszystko jest przejrzyste opisane. Nie będzie żadnych pomysłów.

— Po spotkaniu z Althene Holcroft — powiedział von Tiebolt zarzucając Hansowi płaszcz na ramiona — zdecydujemy, gdzie Hans spędzi dzisiejszą noc. Może w domu deputowanego?

— Wspaniały pomysł — przyklasnął naukowiec. — Miałby tam pod ręką lekarza.

— Nie potrzeba mi lekarza — nadąsał się Hans stąpając niepewnie. Przy każdym kroku krzywił się z bólu i wypuszczał ze świstem powietrze spomiędzy zaciśniętych zębów. — Sam bym się lepiej pozszywał; kiepski z niego chirurg. *Auf Wiedersehen*, Erich.

— *Auf Wiedersehen*.

Von Tiebolt otworzył drzwi. W progu spojrzął znacząco przez ramię na Ericha i wyszedł za rannym Hansem na korytarz.

— Powiedziałeś, że każda fiołka jest opisana?

— Tak. Dla kobiety surowica, która tak przyśpieszy jej tętno, że...

Drzwi zamknęły się. Starszy Kessler poprawił się w fotelu. Oto cały *Wolfsschanze*; to była jedyna możliwa decyzja. Lekarz opatrujący Hansa dał wyraźnie do zrozumienia, że nastąpił krwotok wewnętrzny. Organy jamy brzusznej uległy poważnemu uszkodzeniu, zupełnie jakby szarpały je pazury o nadzwyczajnej sile. Jeśli Hans nie znajdzie się szybko w szpitalu, może umrzeć. Ale umieszczenie brata w szpitalu nie wchodziło w rachubę. Nie obyłyby się bez pytań. Tego popołudnia w hotelu „d'Accord” zamordowany został człowiek. W tym czasie przebywał tam też ranny pacjent. Zbyt wiele pytań. Poza tym, wkład Hansa w operację znajdował się w czarnej, skórzanej torbie, którą niósł Johann. Tinamou dowie się wszystkiego, czego trzeba. Hans Kessler, *Sonnenkind*, nie był już potrzebny, stanowił teraz zagrożenie.

Zadzwonił telefon. Kessler podniósł słuchawkę.

— Erich?

To był Holcroft.

— Tak?

— Jestem w Genewie. A więc już przyjechałeś...

— Tak, von Tiebolt zadzwonił do mnie dziś rano do Berlina; próbował ciebie złapać w Paryżu. Zasugerował...

— Jest już na miejscu? — przerwał mu Amerykanin.

— Tak. Załatwia właśnie ostatnie formalności w związku z jutrzejszym dniem. Mamy ci dużo do opowiedzenia.

— A ja mam dużo do opowiedzenia wam — powiedział Holcroft. — Wiecie już, co się stało?

— Tak, to straszne. — Gdzie ta panika? Gdzie ten niepokój człowieka o nerwach napiętych do granic możliwości? Głos w słuchawce nie należał do kogoś, kto tonie, kto próbuje rozpaczliwie uchwycić się końca liny ratunkowej. — To był twój przyjaciel. Mówią, że pytał o ciebie.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Pytał o moją matkę — odezwał się wreszcie Noel.

— Może źle zrozumiałem. Wiemy tylko, że użył nazwiska Holcroft.

— Co znaczy *Nach... Nach-rich...* Nie potrafię tego wymówić.

— *Nachrichtendienst?*

— O, właśnie. Co to znaczy?

Kessler był już nie na żarty zaniepokojony. Amerykanin całkowicie nad sobą panował; nie tak miało być.

— Jak by ci tu wyjaśnić? To wróg Genewy.

— Czy to właśnie odkrył von Tiebolt w Londynie?

— Tak. Gdzie jesteś, Noelu? Muszę się z tobą zobaczyć, ale nie wolno ci tu przychodzić.

— Wiem. Posłuchaj. Masz pieniądze?

— Trochę mam.

— Tysiąc franków szwajcarskich?

— Tysiąc?... Tak, chyba znajdzie się tyle.

— Zejdź do recepcji i porozmawiaj z recepcjonistą. Spytaj go, jak się nazywa i daj mu te pieniądze. Powiedz mu, że to za mnie i uprzedź, że za parę minut do niego zadzwonię.

— Ale...

— Daj mi skończyć. Kiedy mu już zapłacisz i poznasz jego nazwisko, podejdź do automatów wrzutowych przy windach. Stań przy tym, który wisi po lewej stronie patrząc od wejścia. Kiedy zadzwoni, odbierz. To będę ja.

— Skąd znasz numer?

— Zapłaciłem komuś za to, żeby tam wszedł i go spisał.

To nie był człowiek ogarnięty paniką. To był człowiek trzeźwo myślący, uparcie dążący do celu... Wzbudziło to niepokój Ericha Kesslera. Ale jeśli wziąć pod uwagę materiał genetyczny — i tę upartą kobietę — człowiek przy telefonie był właściwie jednym z nich. Był *Sonnenkind*.

— O czym chcesz rozmawiać z recepcjonistą?

— Później ci powiem, teraz nie ma czasu. Ile ci to zajmie?

— Nie wiem. Niewiele.

— Dziesięć minut?

— Chyba wystarczy. Ale, Noelu, może powinniśmy poczekać na powrót Johanna?

— A kiedy ma wrócić?

— Nie później niż za godzinę, najwyżej dwie.

— Nie da rady. Zadzwonię do holu za dziesięć minut. Na moim zegarku jest teraz ósma czterdzieści pięć. A na twoim?

— Też. — Kessler nie zadał sobie nawet trudu, żeby spojrzeć na zegarek; w głowie miał mętlik. Postawa Holcrofta była niebezpiecznie stanowcza. — Naprawdę sędzę, że powinniśmy poczekać.

— Nie mogę czekać. Zamordowali go. Boże! I to jak zamordowali! Chodziło im o nią, ale jej nie znajdują.

— O nią? O twoją matkę?... von Tiebolt mi powiedział.

— Nie znajdują jej — powtórzył Holcroft. — Znajdą za to mnie. Tak naprawdę, przecież mnie chcą dostać. A ja chcę dostać ich. Zamierzam zastawić na nich pułapkę, Erichu.

— Opanuj się. Nie wiesz, na co się porywasz.

— Bardzo dobrze wiem.

— W hotelu jest genewska policja. Recepcjonista może się przed nimi wygadać, że do niego dzwoniłeś. Zaczną cię poszukiwać.

— Będą na to potrzebowali kilku godzin. Prawdę mówiąc, sam będę ich szukał.

— Co takiego? Noel, ja muszę się z tobą zobaczyć!

— Za dziesięć minut, Erichu. Jest ósma czterdzieści sześć. — Holcroft rozłączył się.

Kessler odłożył słuchawkę świadom, że nie ma innego wyboru, jak tylko wypełnić polecenie. Wykonanie jakiegokolwiek innego ruchu wzbudziłoby podejrzenia. Ale co Holcroft spodziewa się w ten sposób osiągnąć? Co ma do powiedzenia recepcjoniście? Prawdopodobnie nie będzie to miało większego znaczenia. Kiedy pozbędą się już matki, wystarczy podtrzymać Holcrofta na chodzie tylko do jutra rana. Po południu nie będzie już potrzebny.

Noel czekał na ciemnym rogu ulicy, u wylotu des Granges. Nie był dumny z tego, co miał za chwilę zrobić, ale przepełniająca go wściekłość łamała wszelkie zahamowania natury moralnej. Widok Williiego Ellisa spowodował, że coś w nim pękło. Ten widok przywołał inne obrazy z przeszłości: Richard Holcroft wgnieciony w ścianę budynku przez samochód, nad którym kierowca stracił rzekomo panowanie. Zatrucie strychniną w samolocie i śmierć we francuskiej wiosce. Morderstwo w Berlinie. I mężczyzna, który śledził matkę... Nie dopuści ich do niej! Dostyc tego! Ściągnie to świadomie na siebie.

Należało tylko optymalnie wykorzystać wszystkie dostępne środki, całą siłę, jaką posiadał, każdy fakt, jaki zdołał sobie przypomnieć i który potrafi obrócić na swoją korzyść. Takiego faktu, który mógł teraz pracować na jego korzyść, dostarczyło morderstwo w Berlinie. W Berlinie nieświadomie naprowadził morderców na trop Ericha Kesslera. Bezmyślnie, zapominając o ostrożności, przyprowadził ich do piwiarni na Kurfurstendamm. Kessler i Holcroft. Holcroft i Kessler. Jeśli tamci zabójcy szukają Holcrofta, wzięli też pod obserwację Kesslera. I jeśli Kessler wyjdzie z hotelu, podążą jego tropem.

Holcroft zerknął na zegarek. Czas na telefon; ruszył chodnikiem w kierunku budki.

Miał nadzieję, że słuchawkę podniesie Erich. A później zrozumie.

Kessler stał w hotelowym holu przed automatem wrzutowym z karteczką w dłoni. Zdziwiony recepcjonista zapisał na niej swoje nazwisko. Jego ręka, kiedy odbierał pieniądze, drżała. Profesor Kessler będzie zobowiązany, jeśli recepcjonista przekaze mu treść wiadomości od pana Holcrofta. Dla dobra pana Holcrofta. I dla dobra recepcjonisty, któremu wpadnie do kieszeni dodatkowe pięćset franków.

Telefon zadzwonił. Erich zerwał słuchawkę z wieszaka, zanim ustał pierwszy dzwonek.

— Noel?

— Jak się nazywa recepcjonista?

Kessler podał nazwisko.

— Świetnie.

— Dalej nalegam na spotkanie — rzucił pośpiesznie Erich. — Mam ci wiele do powiedzenia. Jutro jest bardzo ważny dzień.

— O ile przetrwamy tę noc. O ile ją dziś w nocy odnajdę.

— Gdzie jesteś? M u s i m y się spotkać.

— Spotkamy się. Słuchaj teraz uważnie. Zaczekaj jeszcze pięć minut przy tym aparacie. Może będę musiał zadzwonić jeszcze raz. Jeśli upłynie pięć minut, a ja nie zatelefonuję, wyjdź z hotelu i zacznij schodzić ze wzgórza. Po prostu idź sobie spacerkiem. Kiedy znajdziesz się na samym dole, skręć w lewo i idź dalej. Podejdę do ciebie na ulicy.

— Dobrze! A więc pięć minut. — Kessler uśmiechnął się. Cokolwiek kombinuje ten amator, nic mu to nie da. Niewątpliwie poprosi recepcjonistę o przekazanie matce wiadomości lub numeru telefonu, gdyby do niego — nie zameldowanego gościa — zadzwoniła; i tyle. A może Johann miał rację? Może Holcroft jest już u kresu wytrzymałości. Być może Amerykanin wcale nie jest potencjalnym *Sonnenkind*.

W holu hotelu „d'Accord” kręciła się wciąż jeszcze policja oraz kilku dziennikarzy, którzy wywęszyli sensację między wierszami mętnego oświadczenia o napadzie rabunkowym wydanego przez władze. To właśnie była Genewa. Kłębili się tu też zaaferowani, wymieniający między sobą wrażenia goście. Pocieszali się wzajemnie, kilkoro było wyraźnie przestraszonych, inni szukali rozrywki.

Erich trzymał się na uboczu, z daleka od tłumu, starając się jak najmniej rzucać w oczy. To sterczenie w holu zupełnie mu się nie uśmiechało; z chęcią znalazłby się znowu na górze, w anonimowym zaciszu hotelowego pokoju.

Spojrzał na zegarek. Od telefonu Holcrofta upłynęły cztery minuty. Jeśli w ciągu następnej minuty Amerykanin się nie odezwie, podejdzie do recepcjonisty i...

Stąpając po swych własnych rozżarzonych węglach, zbliżył się do niego zaaferowany recepcjonista.

— Profesorze?

— Tak, przyjacielu. — Kessler wsunął rękę do kieszeni.

Przewidywania Ericha co do treści wiadomości przekazanej recepcjoniście przez Holcrofta nie sprawdziły się. Matka Noela miała pozostać w ukryciu i zostawić numer telefonu, pod którym będzie można ją zastać. Recepcjonista musiał, oczywiście, przysiąc, że nikomu nie wyjawia tego numeru; ale przecież pierwszeństwo miały zawsze wcześniejsze zobowiązania. Jeśli ta dama zatelefonuje, jej numer zapisany na karteczce *Herr* Kessler znajdzie w swojej przegródce.

— Czy jest tu pan Kessler?! Profesor Erich Kessler!

Przez hol, wykrzykując jego nazwisko, szedł chłopiec hotelowy. Wykrzykując je! To niemożliwe! Nikt nie wiedział, że tu jest!

— Tak? Słucham, to ja — powiedział Erich. — O co chodzi? — starał się mówić spokojnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Ludzie zaczęli już zerkać w jego stronę.

— Mam dla pana ustną wiadomość — oznajmił chłopiec. — Ten pan powiedział, że nie ma czasu jej zapisywać. Jest od pana H. Mówi, żeby pan już zaczął.

— Co?

— Tyle tylko powiedział, *sir*. Sam z nim rozmawiałem. To znaczy, z panem H. Ma pan już zacząć. To mi kazał panu przekazać.

Kessler osłupiał. Nagle wszystko zrozumiał. Holcroft chciał go wykorzystać w charakterze przynęty.

Z punktu widzenia Amerykanina, zabójca mężczyzny w czarnej, skórzanej kurtce w Berlinie musiał wiedzieć, że Noel Holcroft spotkał się z Erichem Kesslerem.

Strategia była prosta, ale genialna: wystawić Ericha Kesslera na wabia, spowodować, by Erich Kessler odebrał wiadomość od pana H. i wyszedł z hotelu na ciemne ulice Genewy.

I, jeśli nikt za nim nie podąży, niezgodność przyczyny ze skutkiem może się okazać trudna do wytłumaczenia. Tak trudna, że Holcroft może zainteresować się bliżej swoją przy-  
nętą. Mogą zrodzić się pytania grożące zniszczeniem Genewy.

Noel Holcroft był mimo wszystko potencjalnym *Sonnenkind*.

Helden czołgała się po domu Gerhardta, omijając potrzaskane meble i kałuże krwi na podłodze. Tak długo otwierała szuflady i szafki, dopóki nie znalazła małego, cynowego pudełeczka z zestawem pierwszej pomocy. Usiłując desperacko odpędzić od siebie wszystkie myśli, z wyjątkiem tej o konieczności przywrócenia sobie zdolności poruszania się, ignorując ból jako niepożądany stan umysłu, obwiązała sobie ranę tak ciasno, jak potrafiła i podźwignęła się z wysiłkiem. Podpierając się laską Gerhardta zdołała przekuśtykać ścieżką, a potem trzy kilometry drogą na północ, aż do rozwidlenia.

Tam zatrzymała samochód prowadzony przez jakiegoś farmera i poprosiła o podwiezienie do doktora Litvaka.

Walther Litvak był łysiejącym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, o jasnych oczach i miał skłonność do formułowania krótkich, precyzyjnych zdań. Dzięki szczupłej sylwetce poruszał się zwinnie, z taką samą oszczędnością ruchów, co i słów. Jako człowiek bardzo inteligentny, z góry przewidywał odpowiedzi na zadawane przez siebie pytania, a jako Żyd ukrywany w dzieciństwie przez holenderskich katolików i wychowany potem przez litościwych luteranów, nie tolerował nietolerancji.

Miał jedno uprzedzenie, ale było ono uzasadnione. Jego ojca, matkę, dwie siostry i brata zagazowano w Auschwitz. Gdyby nie apel szwajcarskiego lekarza, z którego dowiedział się o położonym wśród wzgórz Neuchatel okręgu pozbawionym jakiejkolwiek opieki medycznej, Walther Litvak mieszkałby teraz na pustyni Negew, w kibucu Har Sha'alav.

Przyjechał tu z zamiarem pracowania w klinice trzech lat. Od tamtego czasu minęło ich już pięć. W trzecim miesiącu swojego pobytu w Neuchatel dowiedział się, kto go tu ścigał: człowiek należący do grupy czynnie zwalczającej odradzający się nazizm. Ludzie ci wiedzieli o rzeczach, o których szeroka opinia publiczna nie miała pojęcia: o tysiącach dorosłych już osobników rozsianych po całym świecie i o nieprzeliczalnych milionach, które mogą wpaść w ich ręce. Przydzielono mu ważne zadanie nie mające wiele wspólnego z medycyną. Jego kontaktem został człowiek nazwiskiem Werner Gerhardt, a grupa nosiła nazwę *Nachrichtendienst*.

Walther Litvak został w Neuchatel.

— Proszę wejść, szybko — powiedział do Helden. — Zaraz panią opatrzę. Mam tu gabinet.

Zdjął z niej płaszcz i prawie wniósł dziewczynę do pokoju, w którym stał stół zabiegowy.

— Zostałam postrzelona. — Tylko te słowa przyszły Helden do głowy.

— Niech pani nie traci sił na mówienie. — Litvak położył pacjentkę na stole i rozciął prowizoryczny opatrunek. Przyjrzał się uważnie ranie, po czym wyjął ze sterylizatora igłę wraz ze strzykawką.

— Uśpię panią na kilka minut.

— Nie chcę. Nie ma czasu! Muszę panu powiedzieć...

— Powiedziałem, że na kilka minut — nie dał jej skończyć lekarz i wbił igłę w ramię Helden.



Otworzyła oczy i potoczyła wzrokiem po zamglonych zarysach otaczających ją sprzętów. Nogę miała zdrętwiałą. Kiedy powróciła jej ostrość widzenia, po drugiej stronie pokoju dostrzegła lekarza. Spróbowała usiąść. Litvak usłyszał szmer i odwrócił się.

— Tu są antybiotyki — powiedział. Trzymał w ręku buteleczkę z pastylkami. — Przez pierwszy dzień co dwie godziny, potem co cztery. Co się stało? Proszę mi szybko powiedzieć. Zejdę do chaty i zajmę się wszystkim.

— Do chaty? To pan wie?

— Mówiła pani pod narkozą; to normalne przy ciężkich urazach. Powtórzyła pani kilkakrotnie *Nachrichtendienst*. Potem „Johann”. Domyślam się, że chodziło o von Tiebolta, a pani jest jego siostrą — tą, która współpracuje z Falkenheimem. Zaczęło się, tak? Spadkobiercy zwierają szeregi w Genewie.

— Tak.

— Tak sobie dziś rano pomyślałem. Nowe biuletyny z Genew przynoszą straszne wieści. Dowiedzieli się, Bóg jeden wie skąd.

— Jakie biuletyny?

— Z Har Sha'alav. — Lekarz ścisnął buteleczkę tak silnie, że na przedramieniu narzmiły mu żyły. — Był nalot. Pozostały zbombardowane domy, zmasakrowani ludzie i spopielane pola. Nie zakończono jeszcze liczenia ofiar śmiertelnych, ale szacuje się, że jest ich ponad sto siedemdziesiąt. W większości mężczyźni, ale nie brak też wśród nich kobiet i dzieci.

Helden zamknęła powieki; na to nie było słów. Litvak ciągnął:

— Starszych wyrznięto w ogrodach co do jednego. Mówi się, że to robota terrorystów z *Rache*. Ale to nieprawda. To *Wolfsschanze*. Bojówkarze z *Rache* nigdy nie zaatakowały Har Sha'alav; wiedzą, co by się wtedy stało. Mieliby natychmiast przeciwko sobie Żydów ze wszystkich kibuców, wszystkie oddziały dywersyjne.

— Gerhardt powiedział, że ma pan nadać depeszę do Har Sha'alav — wyszeptała Helden.

Oczy Litvaka zaszyły mgłą.

— Nie ma już do kogo jej wysłać. Nikt tam nie pozostał. Opowiedz mi teraz, co się wydarzyło nad jeziorem.

Zrelacjonowała mu dramat, jaki rozegrał się w chacie Gerhardta. Kiedy skończyła, lekarz pomógł jej zejść ze stołu i przeniósł na rękach do dużego salonu. Położył dziewczynę na kanapie i przystąpił do podsumowania.

— Genewa jest teraz polem bitwy i nie ma chwili do stracenia. Nawet gdyby można się było skontaktować z Har Sha'alav, nic by to nie dało. Ale jeden z ludzi z Har Sha'alav przebywa w Londynie. Otrzymał rozkaz zamieszkania tam. Niedawno śledził Holcrofta. To on zabrał mu fotografię z kieszeni.

— Fotografię Beaumonta — powiedziała Helden. — Członka ODESSY.

— *Wolfsschanze* — poprawił ją Litvak. — Beaumont był *Sonnenkind*. Jednym z tysiąca, ale przy tym jednym z niewielkiej garstki bezpośrednich współpracowników von Tiebolta.

Helden uniosła się na łokciu marszcząc brwi.

— Te akta. Akta Beaumonta. Nie było w nich konsekwencji.

— Co za akta?

Opowiedziała zdenerwowanemu lekarzowi o niejasnych i sprzecznych ze sobą informacjach, jakie znalazła w aktach Beaumonta przechowywanych przez służby personalne marynarki wojennej. I o podobnym dossier należącym do zastępcy Beaumonta, Iana Llewellena.

Litvak zapisał sobie to ostatnie nazwisko w notesie.

— Co za komfortowa sytuacja! Dwaj ludzie *Wolfsschanze* dowodzą jednostką zajmującą się szpiegostwem elektronicznym. Ilu jeszcze jest takich, jak oni? W ilu miejscach?

— Wypowiedź Llewellena cytowano w gazetach nazajutrz po tym, jak Beaumont i Gre-

tchen... — nie zdołała dokończyć.

— Nie wnikajmy w to — powiedział lekarz. — *Sonnenkinder* rządzą się swoimi własnymi prawami. Nazwisko Llewellena trzeba dołączyć do listy, którą mamy odszukać w Genewie. Gerhardt miał rację: tę listę trzeba znaleźć przede wszystkim. To tak samo ważne, jak niedopuszczenie do wypływu pieniędzy. W pewnym sensie nawet ważniejsze.

— Dlaczego?

— Te fundusze są środkiem do utworzenia Czwartej Rzeszy, a ci ludzie są tą Rzeszą. Będą istnieć bez względu na to, co się stanie z pieniędzmi. Musimy się dowiedzieć, kim są.

Helden opadła na oparcie.

— Można zabić mojego... Johanna von Tiebolta. Można też zabić Kesslera i... jeśli okaże się konieczne... nawet Noela. Wpływ pieniędzy można powstrzymać. Ale czy możemy mieć pewność, że znajdziemy tę listę?

— Człowiek z Har Sha'alav mieszkający w Londynie już coś wymyśli. Jest wszechstronnie utalentowany. — Litvak spuścił na moment wzrok. — Powinnaś się o tym dowiedzieć, bo będziesz musiała z nim pracować. Nazywają go zabójcą i terrorystą. Sam nie uważa się ani za jednego, ani za drugiego, ale prawa, które złamał, i przestępstwa, jakie popełnił, świadczyłyby raczej przeciwko niemu. — Lekarz zerknął na zegarek. — Trzy minuty po dziewiątej; mieszka niecałą milę od Heathrow. Jeśli zdołam się z nim skontaktować, może być w Genewie około północy. Wiesz, gdzie zatrzymał się Holcroft?

— Wiem. W hotelu „d'Accord”. Widzi pan, on niczego nie podejrzewa. Wierzy głęboko w słuszność tego, co robi. Sądzi, że działa w dobrej sprawie.

— Rozumiem. Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że może to nie mieć żadnego wpływu na decyzję o jego losie. Ale najpierw trzeba się z nim skontaktować.

— Obiecałam, że zadzwonię do niego dziś wieczorem.

— To dobrze. Pozwolisz, że pomogę ci się połączyć. Ale uważaj na słowa. Będzie pod obserwacją, jego linia znajdzie się na podsłuchu. — Litvak pomógł jej podejść do stołu, na którym stał telefon.

— „*Hotel d'Accord*”. *Bonsoir* — odezwała się telefonistka z hotelowej centrali.

— Dobry wieczór. Czy mogę rozmawiać z panem Noelem Holcroftem?

— *Monsieur* Holcroft?... — Telefonistka zawahała się. — Jedną chwileczkę, *madame*. Zapadła cisza, potem coś trzasnęło i w słuchawce rozległ się głos mężczyzny:

— Pani Holcroft?

— Słucham?

— Czy to pani Holcroft?

Helden była zaskoczona. Coś tu się nie zgadzało; centralka nie próbowała nawet przełączyć rozmowy do pokoju Noela.

— Spodziewaliście się mojego telefonu? — zapytała.

— Ależ oczywiście, *madame* — przytaknął poufale recepcjonista. — Pani syn był bardzo hojny. Prosił, aby pani przekazać, że sprawą najwyższej wagi jest, żeby się pani nadal nie ujawniała, ale ma pani zostawić numer telefonu, pod którym będzie mógł panią zastać.

— Rozumiem. Proszę chwilę poczekać. — Helden przykryła dłonią mikrofon słuchawki i zwróciła się do Litvaka. — Biorą mnie za panią Holcroft. Noel zapłacił im za to, żeby wzięli od niej numer telefonu, pod którym mógłby się z nią skontaktować.

Lekarz skinął głową i podszedł szybko do biurka.

— Rozmawiaj dalej. Powiedz, że chcesz się upewnić, czy ten numer nie zostanie ujawniony komuś innemu. Zaproponuj pieniądze. Rób cokolwiek, żeby tylko przeciągać rozmowę. — Litvak wziął do ręki sfatygowaną książkę adresową.

— Zanim podam panu swój numer, chciałabym się upewnić, czy... — Helden urwała, a recepcjonista poprzysiągł na grób własnej matki, że przekaże ten numer tylko i wyłącznie Holcroftowi. Lekarz wrócił szybkim krokiem do stołu i podsunął Helden cyfry zapisane na

świstku papieru. Powtórzyła je recepcjoniście i odłożyła słuchawkę. — Gdzie to jest? — spytała Litvaka.

— To numer aparatu zainstalowanego w pustym mieszkaniu przy ulicy de la Paix, ale to mieszkanie nie znajduje się pod adresem podanym w książce telefonicznej. Właściwy adres jest inny. — Litvak zapisał go pod numerem telefonu. — Zapamiętaj to wszystko.

— Zapamiętam.

— A teraz spróbuję się połączyć z naszym człowiekiem z Londynu — powiedział lekarz ruszając ku schodom. — Mam tu sprzęt radiowy. Za jego pośrednictwem łączę się z siecią telefonii bezprzewodowej. — Przy stanął na pierwszym stopniu. — Wyprawię cię do Genewy. Będziesz miała trudności z poruszaniem się, ale rana nie jest głęboka. Szwy są przytrzymywane bandażem i nie puszczą. Będziesz mogła podjąć próbę dotarcia do Holcrofta. Mam nadzieję, że sobie poradzisz. Noel Holcroft musi się rozstać z Von Tieboltem i Kesselrem. Jeśli cię nie posłucha, jeśli okaże chociaż cień wahania, trzeba będzie go zabić.

— Wiem.

— Sama wiedza może nie wystarczyć. Obawiam się, że decyzja nie będzie należała do ciebie.

— A do kogo? Do pana?

— Ja nie mogę opuszczać Neuchatel. Decyzję podejmie człowiek z Londynu.

— Ten terrorysta? Zabójca, który otwiera ogień na sam dźwięk słowa „nazista”?

— Będzie obiektywny — uspokoił ją Litvak podejmując wspinaczkę po schodach. — Będzie wolny od innych nacisków. Spotkasz się z nim w tym mieszkaniu.

— Jak dostanę się do Genewy? Ja... — Helden urwała. — Złapię jeszcze dzisiaj jakiś pociąg?

— Nie ma czasu na podróż koleją. Polecisz samolotem. Będzie szybciej.

„I o wiele lepiej” — dodała w duchu Helden. Bo nie przekazała lekarzowi jednej rzeczy, a mianowicie ostatniego ostrzeżenia Wernera Gerhardta. Przeznaczonego dla niej.

*Moje dziecko! Nie wracaj do Genewy... „Wolfsschanze” cię widział.*

— Kto mnie tam przierzuci?

— Są piloci, którzy latają w nocy nad jeziorem — powiedział Litvak.

Althene była poirytowana, ale przystała na ten warunek. Pilot zadał jej jedno pytanie:

— Czy zna pani z widzenia ludzi, którzy pani szukają?

Zaprzeczyła.

— Przed świtem może ich pani poznać.

I dlatego właśnie tkwiła teraz pod drzewem w ciemnym lesie, w miejscu, z którego widziała samochód stojący na przebiegającej dołem drodze. Otaczał ją sosnowy las porastający strome wzgórze, które wznosiło się przy autostradzie biegnącej brzegiem jeziora. Przyprowaodził ją na to stanowisko obserwacyjne pilot.

— Jeśli będzie tam pani syn, przyślę go tutaj — powiedział.

— Oczywiście, że będzie. Dlaczego miałoby go nie być?

— To się okaże.

Jego wątpliwości zburzyły na moment spokój ducha Althene.

— A jeśli nie?

— Wówczas pozna pani tych, którzy pani szukają. — Odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku drogi.

— A co pan zrobi, jeśli mojego syna tam nie będzie? — zawołała za nim.

— Ja? — pilot roześmiał się. — Nieraz już brałem udział w takich podchodach. Należy wyciągnąć wniosek, że bardzo im zależy na odnalezieniu pani, prawda? Beze mnie pani nie dostaną.

Czekała teraz pod drzewem, około czterdziestu metrów od umówionego miejsca spotkania. Pomimo gąszczy konarów i gałęzi, widoczność miała znośną. Samochód stał z wygaszonymi światłami na poboczu, zwrócony maską ku północy. Pilot powiedział mężczyźnie z „d'Accord”, żeby był tu nie wcześniej niż za godzinę i nadjechał od południa mrugając światłami przez ostatnie pół kilometra.

— Słyszysz mnie pani? — Pilot stał przy wozie i mówił normalnym głosem.

— Słyszę.

— Dobrze. Nadjeżdżają. Widzę na drodze mrugające światła. Niech pani tam zostanie. Proszę patrzeć i słuchać, ale się nie pokazywać. Jeśli z samochodu wysiadzie pani syn, też proszę się nie ujawniać i czekać, aż przyślę go do pani. — Pilot zamilkł na chwilę. — Jeśli zmuszą mnie, żebym z nimi pojechał, niech się pani przedostanie na lądowisko po zachodniej stronie jeziora, na którym siadaliśmy. Nazywa się Atterrisage Medoc. Niech tam pani na mnie czeka... Nie podoba mi się to.

— Dlaczego? Co się dzieje?

— W wozie są dwie osoby. Ta obok kierowcy trzyma broń, ale może ją tylko sprawdza.

— Jak się tam dostanę? — spytała Althene.

— W małym magnetycznym pudełeczku pod maską znajdzie pani drugi zestaw, kluczyków. — Brodaty pilot uniósł rękę do ust, podnosząc głos, by przekrzyczeć warkot zbliżającego się wozu. — Po prawej stronie. Niech się pani nie rusza!

Dziesięć metrów od pilota zatrzymał się długi, czarny samochód. Człowiek zajmujący miejsce obok kierowcy wysiadł, ale nie był to jej syn, lecz kulejący krępy mężczyzna w płaszczu z postawionym kołnierzem i z szyją owiniętą grubym szalikiem. Twarz przysłaniały mu ciemne okulary w wielkich oprawkach, upodabniając go do ogromnego owada. Wkroczył w światła reflektorów.

Kierowca pozostał na swoim miejscu. Althene wyteżyła wzrok w nadziei, że rozpozna w nim Noela. Ale to nie był on. Nie widziała dobrze twarzy mężczyzny, jednak włosy miał zdecydowanie jasne.

— Pani Holcroft jest zapewne w samochodzie. — Człowiek w ciemnych okularach mówił po angielsku, ale z wyraźnym niemieckim akcentem.

— A ja przypuszczam, że jej syn jest w waszym? — odezwał się pilot.

— Proszę powiedzieć pani Holcroft, żeby wysiadła.

— Proszę powiedzieć jej synowi, aby zrobił to samo.

— Niech pan nie utrudnia. Czas mamy wyliczony.

— Zupełnie jak my. Tylko że w pańskim wozie jest jedna osoba, a ta nie odpowiada ry-sopisowi jej syna.

— Zawieziemy panią Holcroft do niego.

— Zawieziemy go do pani Holcroft.

— Dostyc tego!

— Czego dostyc, *monsieur*? Zapłacono mi tak samo, jak z pewnością zapłacono panu. Obaj robimy, co nam kazano, prawda?

— Nie będę tracił z panem czasu! — krzyknął Niemiec i utykając minął pilota, by podejść do samochodu.

Pilot pokiwał głową.

— Czy mogę zasugerować, aby jednak poświęcił mi go pan trochę? Bo tam pan nie znajdzie pani Holcroft.

— *Du Sauhund! Wo ist die Frau?*

— Czy mogę zasugerować panu jeszcze, żeby nie obrzucał mnie pan wyzwiskami? Pochodzę z Chalons-sur-Marne. Wygraliście tam dwukrotnie i nabawiłem się pewnego uprzedzenia do waszych obelg.

— Gdzie jest ta kobieta?!

— Gdzie jest jej syn?

Niemiec wyciągnął prawą rękę z kieszeni płaszcza. Trzymał w niej pistolet.

— Nie zapłacono ci tyle, żeby to było warte twego życia. Gdzie ona jest?

— A panu? Panu chyba zapłacono za dużo, skoro chce mnie pan zastrzelić i niczego się nie dowiedzieć.

Huk był ogłuszający. Pod stopami pilota wystrzeliła w górę fontanna ziemi. Przerażona Althene przywarła do drzewa.

— No, Francuziku, może teraz zrozumiałeś, że zapłata nie jest dla mnie tak ważna, jak ta kobieta. Gdzie ona jest?

— *Les Boches!* — powiedział z niesmakiem pilot. — Dać wam pistolet, a zaraz dostajecie małego rozumu. Nic się nie zmieniliście. Jeśli chcesz mieć tę kobietę, pokaż mi najpierw jej syna, a ja go do niej zaprowadzę.

— Teraz mi powiesz, gdzie ona jest! — Niemiec uniósł pistolet mierząc w głowę pilota. — Teraz!

Althene dostrzegła otwierające się drzwiczki tamtego samochodu. Huknął strzał, potem drugi. Pilot rzucił się na ziemię. Niemcowi oczy wyszły z orbit.

— Johann? Johann! — krzyknął. Rozległa się trzecia eksplozja.

Niemiec osunął się na drogę; pilot pozbiierał się z ziemi.

— O mało pana nie zabił?! — wrzasnął do niego kierowca niedowierzającym tonem. — Wiedzieliśmy, że jest trochę nie tego, ale żeby aż tak? Nie wiem, co powiedzieć.

— Chciał mnie zabić?... — Spytał pilot równie niedowierzającym tonem. — To niedorzeczne!

— Oczywiście, że niedorzeczne — powiedział blondyn. — Pański warunek jest zupełnie sensowny. Niech mi pan najpierw pomoże zaciągnąć go w krzaki i zabrać mu dowód. Potem pojedzie pan ze mną.

— Kim pan jest?

— Jestem przyjacielem Holcroftów.

— Chciałbym w to wierzyć.

— Uwierzy pan.

Althene nie pozostawało nic innego, jak nie ruszać się ze swojej kryjówki. Ledwie trzymała się na nogach, w gardle jej zaschło, a ból w oczach zmuszał do mrugania raz po raz powiekami.

Mężczyźni wciągnęli trupa między drzewa i porzucili niecałe sześć metrów poniżej miejsca, w którym stała. Doceniła teraz instrukcje pilota. Miał rację.

— Mam wziąć swój samochód, *monsieur*?

— Nie. Niech pan wyłączy światła i jedzie ze mną. Zabierzemy go stąd rano.

Pilot zgasił reflektory i zawahał się.

— Wolałbym nie zostawiać wozu tak blisko trupa.

— Będziemy z powrotem przed brzaskiem. Zabrał pan kluczyki?

— Tak.

— No to w drogę! — ponaglił go blondyn.

W milczeniu pilota wyczuwało się ulgę, nie zgłaszał już dalszych obiekcji. Po kilku sekundach odjechali na pełnym gazie.

Althene oderwała się od drzewa. Starła się przypomnieć sobie dokładnie słowa pilota. *Drugi zestaw kluczyków... małe magnetyczne pudełeczko... pod maską... przedostać się na lądowisko... Atterrisage Medoc.*

Atterrisage Medoc. Po zachodniej stronie jeziora.

Pięć minut później jechała już na południe, w kierunku Genewy, autostradą biegnącą brzegiem jeziora. Z każdą chwilą coraz bardziej odzyskiwała władzę w stopie spoczywającej

na pedale gazu, coraz swobodniej ścisnęła kierownicę umazanymi w smarze dłońmi. Zaczynała powoli zbierać myśli.

*Atterrisage Medoc. Po zachodniej stronie jeziora... piętnaście, najwyżej dwadzieścia kilometrów na północ od miasta. Gdyby potrafiła myśleć tylko o tym krótkim, odludnym odcinku plaży z dystrybutorami paliwa na samotnym nabrzeżu, mogłaby uspokoić walące w oszalałym tempie serce i spokojnie odetchnąć.*

*Atterrisage Medoc. Błagam Cię, Boże, spraw, żebym tam trafiła! Daj mi dożyć chwili, kiedy się tam znajdę i spotkam syna! Dobry Boże! Co ja zrobiłam? Kłamstwo sprzed trzydziestu lat... taka straszna zdrada, przerażające piętno... Muszę go znaleźć!*

Helden siedziała za plecami pilota w małym hydroplanie. Czuła ucisk bandaża pod spódniczką. Opasywał nogę ciasno, ale nie tamował krążenia. Rana przypominała o sobie pulsowaniem, ale pastylki łagodziły ból; mogła od biedy chodzić. A nawet gdyby nie mogła, zmusiłaby się do tego.

Pilot odwrócił się i nachylił ku niej.

— Pół godziny po wylądowaniu zostanie pani odwieziona do restauracji nad jeziorem, skąd można dojechać do miasta taksówką — powiedział. — Gdyby chciała pani skorzystać z naszych usług w ciągu następnych dwóch tygodni, proszę szukać naszej bazy na prywatnym akwenu nazywanym Atterrisage Medoc. Z przyjemnością gościem panią na pokładzie.

Erich Kessler nie był człowiekiem prymitywnym, dopuszczał jednak przemoc fizyczną, jeśli jej użycia wymagały wyższe względy. Dopuszczał ją jako obserwator i teoretyk, w żadnym razie jako uczestnik. Teraz jednak nie było ani alternatywy, ani czasu na jej szukanie. Będzie musiał osobiście wziąć udział w akcji przemocy.

Holcroft nie pozostawił mu wyboru. Ten amator posortował priorytety według swojego widzimisię i w ich przestrzeganiu wykazywał alarmującą konsekwencję. Chromosomy Heinricha Clausena przeszły na syna. Trzeba go znowu okiełznać, znowu przeprogramować.

Spośród tłumu kręcącego się po holu Erich wyłuskał potrzebną mu osobę — dziennikarza, i to, sądząc po swobodnym stylu bycia oraz wprawie w posługiwaniu się notesem i ołówkiem, prawdopodobnie dobrego.

Był z *Geneve Soir*.

— To straszne — zagaił Kessler cichym głosem — co się tu stało. Biedny człowiek! Taka tragedia! Stoję tu od dłuższego czasu i nie mogę się zdecydować, czy coś powiedzieć. Nie chcę być po prostu w to zamieszany.

— Mieszka pan w tym hotelu? — spytał dziennikarz.

— Tak. Jestem z Berlina. Często przyjeżdżam do Genewy. Sumienie każe mi zwrócić się z tym od razu do policji, ale mój rozsądek podpowiada, że mogłoby mi to nie wyjść na dobre. Jestem tu w interesach; coś takiego mogłoby im zaszkodzić. Ale przecież powinni się dowiedzieć...

— Co to za informacja?

Erich popatrzył ze smutkiem na dziennikarza.

— Powiedzmy, że bardzo dobrze znam zamordowanego.

— No i?

— Nie tutaj. Rozsądek podpowiada mi, że powinienem trzymać się od tego miejsca z dala.

— Chce mi pan powiedzieć, że był pan w to zamieszany?

— Och, broń Boże, nie! Nic podobnego. Ja tylko... coś wiem. Może nawet znam parę nazwisk. Są... powody.

— Jeśli nie jest pan w to zamieszany, roztoczę nad panem opiekę należną informatorowi.

— Tylko o to chciałem prosić. Niech pan zaczeka dwie, trzy minutki. Skoczę tylko na górę po płaszcz. Kiedy zejdem, niech pan idzie za mną. Znajdę ustronne miejsce, w którym będziemy mogli porozmawiać. Proszę się do mnie nie zbliżać, dopóki pana nie przywołam.

Dziennikarz skinął głową. Kessler odwrócił się i podszedł do wind. Zabierze płaszcz i dwa rewolwery, oba jeszcze nie używane. Małe opóźnienie jeszcze bardziej zdenerwuje Holcrofta, i bardzo dobrze.

Noel czekał w bramie, naprzeciwko hotelu „d'Accord”. Wiadomość powinna dotrzeć do Kesslera przed pięcioma minutami. Co go zatrzymuje?

Jest! Korpulentna postać, która schodziła powoli ze stopni prowadzących do „d'Accord”, nie mogła należeć do nikogo innego. Tusza, niespieszny krok, ciepły płaszcz. To on.

Holcroft patrzył za Erichem kroczącym statecznie w dół wzgórza i kłaniającym się uprzejmie mijanym przechodniom. „Kessler jest człowiekiem subtelnym — pomyślał Noel — i prawdopodobnie nie przychodzi mu nawet do głowy, że jest wykorzystywany w charakterze

przynęty. Myślenie tymi kategoriami nie leży w jego naturze". Tak jak w naturze Holcrofta nie leżało wykorzystywanie w ten sposób człowieka, ale przecież *nic nie jest już, jak było*. Teraz takie postępowanie było dla niego naturalne.

I przynosiło rezultaty! Cholera, udało się! Jakiś trzydziestokilkuletni mężczyzna, który zszedł właśnie z ostatniego stopnia schodów hotelu „d'Accord”, przystanął i spojrzął wyraźnie za oddalającą się postacią Kesslera. A teraz ruszył wolno — zbyt wolno, jak na kogoś, kto ma przed sobą cel — zachowując odległość wystarczającą, by nie zostać zauważonym.

Żeby tylko Erich trzymał się ściśle instrukcji. Wzdłuż alei przecinającej u stóp wzniesienia ulicę des Granges ciągnęły się stare, trzykondygnacyjne, wymuskane i kosztowne gmachy biurowe, po piątej wieczorem w zasadzie opustoszałe. Noel poczynił już odpowiednie przygotowania; od nich zależało powodzenie pułapki zastawionej na zabójcę z *Nachrichtendienst*. Wystarczy ten jeden; on zaprowadzi go do innych. Niewykluczone, że w celu wyduszenia z tego człowieka informacji trzeba mu będzie skrócić kark. Albo strzelać przed oczami z pistoletu.

Noel namacał broń w kieszeni i podjął niespiesznie trop, pozostając po swojej stronie ulicy.

Cztery minuty później Kessler dotarł na sam dół wzniesienia i skręcił w lewo, w aleję. Podążający za nim mężczyzna uczynił to samo. Holcroft przepuścił kilka przejeżdżających samochodów, czekając aż obaj mężczyźni znikną mu z oczu, po czym przeciął na ukos skrzyżowanie, żeby znaleźć się po przeciwnej niż oni stronie alei, skąd będzie miał lepsze warunki obserwacji.

Nagle zatrzymał się jak wryty. Nie widział nigdzie Kesslera ani śledzącego go mężczyzny.

Puścił się biegiem.

Kessler skręcił w lewo, w źle oświetloną uliczkę i przeszedłszy nią około pięćdziesięciu metrów, wyciągnął z kieszeni małe lusterko. Dziennikarz podążał za nim; Holcrofta nie było. Teraz trzeba działać szybko.

Po lewej stronie znajdował się ślepy zaułek, w którym mogły się pomieścić dwa, może trzy zaparkowane obok siebie samochody. Przeciągnięty przed wjazdem łańcuch dawał do zrozumienia, że to teren prywatny. Było tam teraz pusto i ciemno. Bardzo ciemno. Idealnie. Zadzierając wysoko nogi, Kessler przekroczył z trudnością łańcuch i podszedł szybko do zamkniętej zaułek ściany. Wsunął rękę do prawej kieszeni i wyciągnął z niej pierwszy rewolwer — pierwszy, którego użyje.

— Niech pan tu pozwoli! — powiedział na tyle głośno, by usłyszał go przechodzący ulicą dziennikarz. — Możemy swobodnie rozmawiać, nikt nas nie zobaczy.

Dziennikarz przelazł przez łańcuch i mrużąc oczy, starał się przebić wzrokiem zalegające ciemności.

— Gdzie pan jest?

— Tutaj. — Erich uniósł rewolwer, biorąc na cel podchodzącego dziennikarza. Kiedy dzieliło ich niespełna trzy metry, wypalił, mierząc w majaczący w ciemnościach zarys szyi mężczyzny. Tłumik zredukował huk strzału do głuchego pacnięcia; syk powietrza uchodzącego z prze dziurawionego gardła odbił się echem między ścianami budynków. Dziennikarz osunął się na ziemię. Erich raz jeszcze pociągnął za spust, celując w głowę.

Odkręcił od lufy tłumik, po czym przeszukał szybko kieszenie zabitego i cisnął w mrok znalezione w nich portfel i notes. Wyciągnął z lewej kieszeni swojego płaszcza drugi rewolwer i wcisnął broń w stygnącą dłoń dziennikarza, zaczepiając na spuście jej palec wskazujący.



Nie podnosząc się z klęczek, rozdarł sobie przód koszuli i oderwał dwa guziki od płaszcza. Potem bez ceregieli potarł otwartą dłońią po brudnej, przesiąkniętej olejem betonowej nawierzchni małego parkingu i umazał sobie twarz.

Gotowe. Podniósł się i podbiegł do łańcucha. Z początku nie dostrzegł Holcrofta. W chwilę potem Amerykanin wbiegł w uliczkę i zatrzymał się na moment pod pierwszą latarnią.

Teraz.

Kessler wrócił spieszonym truchtem do zabitego, chwycił jego rękę dzierżącą rewolwer, uniósł ją w niebo i docisnął martwy palec do spustu.

Huk wystrzału z małokalibrowej broni odbił się głośnym echem. Erich nadusił jeszcze dwa razy sztywniejący palec, puścił rękę trupa i szybko wy dobył drugi rewolwer z własnej kieszeni.

— Noel! Noel! — wrzasnął odskakując pod ścianę i osuwając po niej swe zwałiste ciało na betonową nawierzchnię. — Noel, gdzie jesteś?

— Erich?! Na miłość boską... Erich? — głos Holcrofta dobiegł z bliska, a po kilku sekundach przybliżył się jeszcze bardziej.

Kessler wymierzył ze swego nie zaopatrzonego w tłumik rewolweru w majaczący w mroku bezwładny wzgórek martwego ciała. To będzie ostatni strzał, jaki musi oddać... I oddał go w momencie, gdy u wylotu zaułka dostrzegł w przyćmionym świetle ulicznej latarni sylwetkę Noela Holcrofta.

— Erich!

— Tutaj! Próbował mnie zabić! Noel, on próbował mnie zabić!

Holcroft namacał łańcuch, przeskoczył go i podbiegł do Kesslera.

Ukląkł przy nim w ciemnościach.

— Kto? Gdzie?

— Tam! Johann kazał mi nosić rewolwer... musiałem strzelić. Nie miałem innego wyjścia!

— Nic ci nie jest?

— Chyba nie. Szedł za mną. Wiedział o tobie. „Gdzie on jest?“, powtarzał w kółko. „Gdzie jest H? Gdzie jest Holcroft?“ Przewrócił mnie na ziemię...

— O, Chryste! — Noel zerwał się i doskoczył do ledwie widocznego w ciemnościach ciała. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i skrzesał iskrę. Blask płomyka rozlał się po trupie. Noel przetrząsnął kieszenie zabitego.

— Cholera, nic przy sobie nie ma!

— Nic? Jak to nic? Noel, musimy się stąd zabierać. Pomyśl o jutrzejszym dniu!

— Nie ma portfela, nie ma prawa jazdy, nic!

— Jutro! Musimy myśleć o jutrze!

— Dziś! — ryknął Holcroft. — Chcę ich dostać jeszcze dzisiejszej nocy!

Kessler milczał przez kilka sekund, potem odezwał się cicho z niedowierzaniem w głosie.

— Ty to zaplanowałeś...

Holcroft podniósł się ze złością, ale słowa Ericha przytłumiły jego zdenerwowanie.

— Przepraszam — mruknął. — Nie chciałem, żeby coś ci się stało. Sądziłem, że mam nad wszystkim kontrolę.

— Po co to zrobiłeś?

— Bo zabiją ją, jeśli wpadnie im w ręce. Tak jak zabili Williego Eblisa i... Richarda Holcrofta. I tylu innych.

— Kto?

— Wrogowie Genewy. Ten *Nachrichtendienst*. Chciałem dopaść jednego z nich! Ale, cholera, żywego!

— Pomóż mi wstać — jęknął Kessler.

— Rozumiesz mnie? — Holcroft namacał w ciemnościach rękę Ericha i podźwignął go z ziemi.

— Tak, oczywiście. Ale według mnie nie powinieneś działać w pojedynkę.

— Zamierzałem wciągnąć go w pułapkę i wydobyć od niego nazwiska innych, choćbym miał go oślepić. A potem przekazać policji i poprosić ich, żeby pomogli mi odnaleźć matkę, ochronić ją.

— Teraz to niemożliwe. Ale Johann może coś na to zaradzić.

— Von Tiebolt?

— Tak. Zwierzył mi się, że ma tu, w Genewie, wpływowego przyjaciela. Pierwszego deputowanego. Polecił, abym — gdy się spotkamy — zaprowadził ciebie do „Excelsiora” i zameldował pod nazwiskiem Fresca. Nie wiem dlaczego akurat pod takim.

— Przyzwyczajaliśmy się do niego — wyjaśnił Noel. — Skontaktuje się tam z nami?

— Tak. Załatwia ostatnie formalności w związku z jutrzejszym dniem. W banku.

— W banku?!

— Jutro będzie już po wszystkim; to właśnie próbowałem ci powiedzieć przez telefon. Nie możemy tu zostać, ktoś może nadejść. Musimy się pośpieszyć. Johann kazał ci przekazać, że jeśli twoja matka naprawdę jest w Genewie, znajdziemy ją. Będzie bezpieczna.

Holcroft pomógł Kesslerowi podejść do łańcucha. Naukowiec obejrzał się na mroczną wnękę otoczoną z trzech stron ścianami i wzdrygnął się.

— Nie myśl o tym — powiedział Noel.

— To było straszne.

— Było konieczne.

„Naprawdę było” — pomyślał Kessler.

Helden ujrzała starszą kobietę siedzącą na ławeczce przy nabrzeżu. Kobieta wpatrywała się nieobecny wzrokiem w wodę, nie zwracając najmniejszej uwagi na nielicznych mechaników i pasażerów kręcących się w pobliżu hydroplanów.

Podszedłszy bliżej, Helden zobaczyła w świetle księżyca twarz kobiety — ostre rysy i wysokie kości policzkowe uwydatniające szerokość rozstawu oczu. Ta zatopiona w myślach kobieta wydawała się tak samotna, tak tu nie pasowała, tak...

Helden dokuśtykała do ławeczki i spojrzała na tę twarz z góry. Mój Boże! Patrzyła na twarz, która, gdyby nie lata i płeć, mogła należeć do Noela Holcrofta. To była jego matka!

Co tu robi? Na co czeka? Odpowiedź nasuwała się sama: matka Noela leciała potajemnie do Genewy!

Starsza kobieta obrzuciła ją obojętnym spojrzeniem i odwróciła wzrok. Helden, najszybciej jak potrafiła, powlokła się ścieżką, która prowadziła do małego budynekczku stanowiącego zarówno poczekalnię, jak i stację łączności radiowej. Weszła do środka i zbliżyła się do mężczyzny stojącego za prowizorycznym kontuarem, na tle stołu zastawionego aparatami telefonicznymi i sprzętem radiowym.

— Kim jest ta kobieta na zewnątrz?

Mężczyzna zerknął na nią badawczo znad notatnika.

— Tutaj nie wymienia się nazwisk — oświadczył. — Powinna to pani wiedzieć.

— Ale to niezmiernie ważne! Jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Mówię to panu, bo wiem, że jest pan znajomym doktora Litvaka.

Na dźwięk tego nazwiska mężczyzna znowu podniósł na nią wzrok. Było oczywiste, że w Atterisage Medoc ryzyko i niebezpieczeństwo są na porządku dziennym, ale w miarę możliwości unika się i jednego, i drugiego. Ale doktor Litvak był najwyraźniej zaufanym klientem.

— Ona czeka na telefon.

— Od kogo?  
Mężczyzna znowu przyjrzał się jej badawczo.  
— Od jednego z naszych pilotów. Od *Le Chat rouge*. A co, ma na pieńku z policją?  
— Nie.  
— Z Korsykanami? Z mafią?  
Helden pokręciła głową.  
— Gorzej.  
— Pani jest znajomą doktora Litvaka?  
— Tak. Zamówił dla mnie lot z Neuchatel. Może pan sprawdzić.  
— Nie muszę. Nie chcemy tutaj kłopotów. Niech pani ją stąd zabierze.  
— Jak? Mają mnie podwieźć samochodem do restauracji nad jeziorem, a tam mam czekać na taksówkę. Powiedziano mi, że to potrwa pół godziny.  
— Nie w tej sytuacji. — Mężczyzna spojrział na kogoś za jej plecami. — Henri, pojeżdż tu. — Wyciągnął spod kontuaru kółko z kluczami do samochodu. — Niech pani idzie porozmawiać z tą starszą panią. Niech pani jej powie, że musi stąd odjechać. Henri was porzuci.  
— Może mnie nie posłuchać.  
— Musi. Będzie pani miała swój transport.  
Helden wyszła z budynku tak szybko, jak pozwalała jej na to rana. Pani Holcroft nie było na ławeczce i Helden dała się na chwilę ponieść panice. Ale zaraz w blasku księżyca dojrzała jej nieruchomą sylwetkę na opustoszałym teraz nabrzeżu. Ruszyła ku niej.  
Starsza kobieta odwróciła się.  
— Czy pani Holcroft? — spytała Helden. — Matka Noela?  
Na dźwięk imienia syna Althene Holcroft złożyła ręce i wstrzymała oddech.  
— Kim pani jest?  
— Przyjaciółką. Proszę mi wierzyć. Lepszą, niż się pani wydaje.  
— Ponieważ nic mi się nie wydaje, określenie lepsza czy gorsza nie ma dla mnie większego sensu.  
— Nazywam się von Tiebolt.  
— To zejdź mi z oczu! — Słowa kobiety smagnęły nocne powietrze niczym bicz. — Tutejsi pracownicy są przeze mnie opłaceni. Nie pozwolą, abyś mnie napastowała. Prędzej cię zabiją. Wracaj do swojej wilczej zgrai!  
— Nie należę do *Wolfsschanze*, pani Holcroft.  
— Jesteś z von Tieboltów!  
— Gdybym była z *Wolfsschanze*, nie zbliżyłabym się do pani. Na pewno zdaje sobie pani z tego sprawę.  
— Zdaję sobie sprawę, jakie popłuczyny stanowiącie...  
— Od urodzenia żyję z tą opinią, ale jest pani w błędzie! Musi mi pani uwierzyć. Nie wolno tu pani zostać, to zbyt niebezpieczne. Mogę panią ukryć, mogę pomóc...  
— T y? W jaki sposób? Lufą pistoletu? Pod kołami samochodu?  
— Błagam! Wiem, po co przyjechała pani do Genewy. Jestem tutaj z tego samego powodu. Musimy się z nim skontaktować, powiedzieć mu, zanim nie będzie za późno. Trzeba powstrzymać te fundusze!  
Słowa Helden chyba zaskoczyły kobietę. Po chwili ściągnęła brwi, jakby wietrząc podstęp.  
— Te fundusze? A może mnie? Nie, mnie nie powstrzymacie. Zamierzam wezwać pomoc. Zjawią się tu moi ludzie i nic mnie nie obchodzi, czy cię zabiją. Reprezentujesz trzydzieści lat kłamstwa! Wy wszyscy je reprezentujecie! Z nikim się nie skontaktujesz.  
— Pani Holcroft! Ja kocham pani syna. Tak bardzo go kocham... i jeśli do niego w porę nie dotrzemy, on zginie. Zostanie zabity przez jedną albo drugą stronę! W obecnej sytuacji

żadna nie może pozostawić go przy życiu! Musi to pani zrozumieć.

— Kłamiesz! — syknęła Althene. — Wy wszyscy jesteście kłamcami!

— Do jasnej cholery! — krzyknęła Helden tracąc panowanie nad sobą. — Nikt nie przyjdzie ci pomóc. Bardzo im na rękę, że tu tkwisz! A ja nie jestem kaleką. Mam w nodze pocisk! Znalazł się tam, bo starałam się skontaktować z Noelem! Nie wiesz nawet, przez co razem przeszliśmy! Nie masz prawa...

Z małego budynku nad wodą dobiegła prowadzona podniesionymi głosami wymiana zdań. Obie kobiety słyszały wyraźnie wykrzykiwane tam słowa... zupełnie jakby były przeznaczone dla ich uszu.

— Nic pan tu nie wskóra. Nie ma tu takiej kobiety! Proszę wyjść.

— Nie rozkazuj mi! Ona tu jest!

Helden zmartwiła. Znała ten głos od dziecka.

— To prywatny akwen. Jeszcze raz pana proszę o opuszczenie tego terenu.

— Otwórz te drzwi!

— Co? Które drzwi?

— Te za tobą!

Helden zwróciła się do Althene Holcroft.

— Nie mam czasu na wyjaśnienia. Mogę tylko powiedzieć, że jestem pani przyjaciółką. Niech pani skacze do wody! Niech się pani ukryje! Szybko!

— Dlaczego miałabym ci wierzyć? — Kobieta patrzyła na budynek za plecami Helden. Była zaniepokojona, niezdecydowana. — Jesteś młoda i silna. Mogłabyś mnie bez trudu zabić.

— To tamten człowiek chce panią zabić — wyszeptała Helden. — Próbował już zabić mnie.

— Kto to jest?

— To mój brat. Niech pani wreszcie zamilknie, na miłość boską!

Helden otoczyła Althene ramieniem w talii i przypadła do desek nabrzeża zmuszając kobietę, by poszła w jej ślady. Nie puszczając jej, najostrożniej, jak to było możliwe, zsunęła się z krawędzi i obie znalazły się w wodzie. Althene dygotała na całym ciele, usta miała pełne wody. W pewnym momencie zakrztusiła się nią i zaczęła rozpaczliwie młócić rękami. Helden obejmowała ją w pasie, starając się podtrzymać Althene w pozycji pionowej.

— Niech pani nie kaszle! Nie wolno nam robić hałasu! Proszę powiesić sobie torebkę na szyi. Pomogę pani.

— Dobry Boże, co ty wyprawiasz?!

— Cicho.

Dziesięć metrów od miejsca, gdzie się znajdowały, kołysała się na wodzie przycumowana do nabrzeża mała motorówka. Helden pociągnęła Althene w kierunku zbawczych cieni jej kadłuba. Były już w połowie drogi, kiedy ich uszu dobiegło trzaśnięcie drzwi i ujrzały snop światła rzucany przez potężną latarkę. Ciął mrok złowieszczymi esami floresami w rytm susów biegnącego w kierunku nabrzeża blondyna. Dopadłszy tam, mężczyzna zatrzymał się i skierował latarkę na wodę. Helden, przewyciężając obezwładniający teraz ból w nodze, podjęła rozpaczliwą próbę przyśpieszenia.

Na próżno; noga była za słaba, a ciężar nasiąkniętego wodą ubrania zbyt wielki.

— Niech pani spróbuje dopłynąć do łodzi sama — wyszeptała. — Ja zawrócę... zauważ mnie i...

— Nie szamocz się tak! — przerwała jej kobieta wykonując teraz pod wodą płynne, stabilizujące ruchy ramionami, by ulżyć Helden. — To ten sam człowiek. Twój brat. Ma pistolet. Szybciej!

— Nie dam rady.

— Dasz.

Wspólnymi siłami, podtrzymując jedna drugą, zaczęły się powoli przesuwac wplyw w kierunku łodzi.

Blondyn stał na nabrzeżu i metodycznie, posuwistymi ruchami, omiatał wiązką światła powierzchnię jeziora. Za kilka sekund snop jasności natrafi na nie; przybliżał się nieubłaganie niczym śmiertcionośny laserowy promień. W chwili, gdy wyłuska je z mroku, padną strzały i to będzie koniec.

Johann von Tiebolt był wybornym strzelcem, i jego siostra dobrze o tym wiedziała.

Gdy nadpłynęła oślepiająca jasność, miały nad sobą kadłub. Schyliły instynktownie głowy i zanurkowały. Wiązka przeszła górą. Wynurzyły się za łodzią z ubraniami wplątanyymi w łańcuch. Schwyciły się go jak ostatniej deski ratunku, łąpczywie chwytając powietrze.

Cisza. Kroki — z początku niespieszne, stawiane z namysłem, potem nabierające gwałtownie tempa. Johann von Tiebolt oddalał się od nabrzeża. I znowu trzaśnięcie drzwi i znowu podniesione głosy.

— Gdzie poszła?

— Pan zwariował!

— A ty jesteś już martwy!

Huk wystrzału przetoczył się echem po wodzie. Równocześnie z nim rozległ się okrzyk bólu, a zaraz potem padł drugi strzał. I zaległa cisza.

Mijały minuty. Kobiety zanurzone po szyję w wodzie spojrzwały na siebie w księżycowej poświacie. Czy Helden von Tiebolt wypełniały lzy. Starsza kobieta dotknęła bez słowa twarzy dziewczyny.

Przejmującą ciszę przerwał ryk zapuszczanego silnika. Z brzegu doleciał pisk opon i odgłos pryskającego spod nich żwiru. Kobiety obejmując się wzajemnie ruszyły wplyw ku nabrzeżu.

— Czy to nie dziwne? — odezwała się Althene, kiedy wdrapały się już po drabince na górę i klęczały w ciemnościach. — W pewnym momencie pomyślałam o swoich butach. Przestraszyłam się, że je zgubię.

— A zgubiła je pani?

— Nie. I to chyba jeszcze dziwniejsze.

— Mnie spadły — powiedziała obojętnie Helden. Wstała. — Musimy stąd odejść. On może wrócić. — Spojrzała na budynek. — Wolałabym tam nie wchodzić, ale wewnątrz zostały kluczyki od samochodu... — Podała rękę Althene i pomogła jej się podnieść.

Helden otworzyła drzwi i natychmiast zamknęła oczy. Przewieszony bezwładnie przez kontuar mężczyzna miał rozerwaną twarz. Przypomniat jej się widok okaleczonej głowy Klause Falkenheima i miała ochotę wyć. Zamiast tego wyszeptała tylko:

— *Mein Bruder...*

— Chodź dziecko, pośpieszmy się! — Niewiarygodne, ale te słowa wypowiedziała starsza kobieta. Spostrzegła kółko z kluczykami. — Lepiej wziąć ich samochód. Mam swój, ale już go widziano.

I wtedy wzrok Helden padł na słowo czytelnie nakreślone twardą kredką na podłodze, pod martwym mężczyzną.

— Nie! To kłamstwo!

— O co chodzi? — Starsza kobieta porwała kluczyki i jednym susem znalazła się przy dziewczynie.

— Tam. To nieprawda!

Wielkie woły nasmarowane w pośpiechu na podłodze układały się w słowo:

NACHRICHTENDIENST

Helden, nie bacząc na ból, podeszła do tego miejsca, osunęła się na kolana i zaczęła trzeć zawzięcie litery rękami. Próbowwała je *zmasać* z desek podłogi. Po jej twarzy spływały łzy.

— Kłamstwo! Kłamstwo! Oni byli wielkimi ludźmi!

Althene dotknęła ramienia rozhisteryzowanej dziewczyny, potem ujęła ją pod rękę i podźwignęła z podłogi.

— Nie ma na to czasu! Sama powiedziałaś. Musimy stąd uciekać.

Łagodnie, ale stanowczo starsza kobieta wyprowadziła młodszą na podjazd przed budynkiem. Samotna lampa nad drzwiami rozsiewała wokół tyle samo światła co i cienia. Stały tu dwa samochody. Jeden, którym przyjechała Althene, i drugi, szary wehikuł z tablicą rejestracyjną przytwierdzoną drutem do zderzaka. Althene poprowadziła Helden w kierunku tego ostatniego. I nagle zatrzymała się jak wryta. Kruchy pancierz samokontroli, jakim zdołała się otoczyć, pękł.

Na żwirze leżało ciało rudobrodego pilota. Nie żył. Ręce miał związane za plecami. Twarz, szczególnie w okolicach oczu i ust, była porznięta ostrzem noża.

Torturowano go, a później zastrzelono.

Jechały w milczeniu, zatopione w myślach.

— Znam pewne mieszkanie — odezwała się w końcu Helden. — Powinien też tam być człowiek, który przyleciał z Londynu, żeby nam pomóc, tam będziemy bezpieczne.

— Kto to taki?

— Żyd z miejscowości o nazwie Har Sha'alav.

Althene spojrzała na dziewczynę poprzez umykające w tył cienie.

— Rozmawiałam z jednym Żydem z Har Sha'alav. Dlatego tu jestem.

— Wiem o tym.

Drzwi otworzył szczupły mężczyzna o smagłej cerze i bardzo ciemnych oczach. Nie był ani wysoki, ani niski, ale emanowała z niego pierwotna, fizyczna siła. Jej świadectwem była nadzwyczajna szerokość barów podkreślana naprężonym materiałem rozpiętej pod szyją białej koszuli. Spod podwiniętych rękawów wystawała para muskularnych rąk. Czarne włosy miał starannie przystrzyżone, a twarz frapującą, do czego przyczyniły się w równym stopniu śmiertelnie poważna mina, jak i rysy.

Przyjrzał się badawczo obu kobietom, po czym skinął głową i zaprosił je gestem ręki do środka. Spozrzegł, że Helden utyka, ale nie skomentował tego. W taki sam sposób odniósł się do ich przemoczonych ubrań.

— Nazywam się Jakub Ben-Gadiz — przedstawił się. — I żeby nie było nieporozumień — ja tu będę podejmował decyzje.

— Na jakiej podstawie? — spytała Althene.

Ben-Gadiz spojrzał na nią.

— Pani jest matką?

— Tak.

— Nie spodziewałem się pani.

— A ja nie spodziewałam się, że tu trafię. Gdyby nie ta dziewczyna, już bym nie żyła.

— A więc do jednego przytłaczającego zobowiązania przybyło pani jeszcze jedno.

— Zadałam panu pytanie. Z czyjzego upoważnienia ma pan podejmować za mnie decyzje? Nikt nie ma do tego prawa.

— Dostałem instrukcje z Neuchatel. Dzisiaj w nocy trzeba wykonać pewne zadanie.

— Ja mam tylko jedno zadanie. Muszę skontaktować się z moim synem.

— To później — powiedział Jakub Ben-Gadiz. — Na początek sprawa najważniejsza. Trzeba znaleźć listę. Przypuszczamy, że znajduje się w hotelu „d'Accord”.

— To bardzo ważne — wtrąciła się Helden kładąc dłoń na ramieniu Althene.

— Tak samo ważne, jak skontaktowanie się z pani synem — dorzucił mężczyzna patrząc na Althene Holcroft. — I w związku z tym potrzebuję przynęty.

Von Tiebolt mówił do słuchawki, trzymając w wolnej ręce karteczkę z wiadomością od Kesslera. Po drugiej stronie linii miał pierwszego deputowanego kantonu genewskiego.

— Mówię ci, że adres się nie zgadza! To stary, opuszczony budynek w ogóle nie podłączony do sieci telefonicznej. Wygląda na to, że *Nachrichtendienst* z powodzeniem spenetrował służby łączności twojego kraju. Znajdź mi właściwy adres!

Słuchał przez kilka chwil, a potem wybuchnął.

— Ty idioto! Nie mogę zatelefonować pod ten numer! Recepcjonista przysiągł, że nie ujawni go nikomu poza Holcroftem. Obojętnie, co bym powiedział, spłoszyłaby się. Powtarzam jeszcze raz — znajdź mi ten adres! Nie obchodzi mnie, czy musisz w tym celu obudzić przewodniczącego Rady Federalnej. Oczekuję telefonu od ciebie najdalej za godzinę. — Rzuć słuchawkę na widelki i spojrzaj znowu na wiadomość od Kesslera.

Erich wyszedł na spotkanie z Holcroftem. Niewątpliwie są już w „Excelsiorze” i zameldowali Holcrofta pod nazwiskiem Fresca. Mógłby zatelefonować, aby się upewnić, ale taka rozmowa niechybnie doprowadziłaby do komplikacji. Amerykanina trzeba zepchnąć na skraj obłądu. Zamordowany przyjaciel z Londynu, trudności z odnalezieniem matki; do tego niewykluczone, że dowiedział się już o śmierci Helden w Neuchatel. Holcroft może być bliski psychicznego załamania, jeszcze zechciałby się spotkać...

Johann nie był jeszcze na to przygotowany. Nie ustalono do tej pory miejsca pobytu matki, a przed chwilą minęła trzecia nad ranem. Musi ją odnaleźć, musi ją zabić. Do konferencji w banku pozostało sześć godzin. W każdej chwili — w tłumie przechodniów, z taksówki, na klatce schodowej albo na rogu ulicy — może dojrzeć syna i ostrzec go krzyżąc: „Zdrada! Stój! Poniechaj Genewy!”

Tak się może zdarzyć. Matce trzeba zamknąć usta, a syna programować dalej. Prosta sprawa — ona musi umrzeć dzisiejszej nocy, a wraz z jej śmiercią wyeliminowane zostanie wszelkie ryzyko. A potem szybko, po cichu, nastąpi drugi zgon. Syn Heinricha Clausena spełni swoją rolę.

Ale najpierw jego matka. Zanim zacznie świtać. Do szafu doprowadzała go świadomość, że Althene siedzi gdzieś tam, cała i zdrowa, przy telefonie zainstalowanym pod adresem, który zawieruszył się w papierach jakiegoś biurokraty!

Blondyn usiadł i z pochwy wszytej w płaszcz wyciągnął długi nóż o dwóch ostrzach. Trzeba go umyć. Został zabrudzony przez rudobrodego pilota.

Noel otworzył walizkę i spojrział na kłęb upchanych w niej ubrań. Potem przesunął wzrokiem po tapetowanych na biało ścianach, drzwiach balkonowych i przesadnie zdobionym żyrandolu zwisającym z sufitu. Wszystkie hotelowe pokoje były do siebie podobne; z pewnym rozczuleniem przypomniał sobie obskurny wyjątek z Berlina. Zaskoczyło go, że pamiętał o tym nawet w takiej chwili. Zapuszczał korzenie w nowym, niestabilnym świecie bez uszczerbku na psychice. Nie był pewien, czy to dobrze, czy źle, wiedział tylko, że tak jest.

Erich stał przy telefonie i próbował się dodzwonić do „d'Accord”, żeby sprawdzić, czy von Tiebolt już wrócił. „Gdzie, do diabła, podziewa się ten Johann? Już trzecia trzydzieści nad ranem”. Kessler odłożył słuchawkę i zwrócił się do Noela.

— Zostawił wiadomość, żebyśmy się nie denerwowali. Jest u pierwszego deputowanego. Próbuje odnaleźć twoją matkę.

— A więc nie telefonowała?



— Nie.

— To niemożliwe. Czy ten recepcjonista jeszcze tam jest?

— Tak. Dostał od ciebie dwie miesięczne pensje. Nic mu się nie stanie, jeśli posiedzi do rana. — Kessler zamyślił się. — Całkiem możliwe, że jeszcze nie doleciała. Może nie zdążyła na przesiadkę, może odwołano loty z powodu mgły, może miała trudności ze służbami imigracyjnymi.

— Wszystko możliwe, ale dla mnie i tak nie ma to sensu. Znam ją, dałaby mi znać.

— Może ją zatrzymano.

— Już o tym myślałem; to najlepsze, co mogłoby się stać. Podróżuje z fałszywym paszportem. Miejmy nadzieję, że aresztowano ją i wtrącono na parę dni do celi. Helden też nie dzwoniła?

— Nie było do ciebie żadnych telefonów — odparł Niemiec przeszywając Noela dziwnie badawczym spojrzeniem.

Holcroft przeciągnął się. W rękę trzymał saszetkę z przyborami do golenia.

— To czekanie doprowadza mnie do szału. — Wskazał na drzwi do łazienki. — Idę się umyć.

— Dobra myśl. Poza tym może byś trochę odpoczął? Musisz być wyczerpany. Zostało nam niecałe pięć godzin, a Johanna uważam za bardzo obrotnego człowieka.

— Liczę na niego — przyznał Noel.

Zdjął koszulę i odkręcił do oporu kran z gorącą wodą. Unosząca się para pokryła mgiełką lustro i utworzyła nad umywalką nieprzejrzysty obłok. Wsparłszy się obiema rękami o brzegi porcelanowej misy, zanurzył twarz w ciepłej wilgoci i stał tak, dopóki z czoła nie zaczął mu spływać pot. Tego sposobu nauczył się kilka lat temu od Sama Buonoventury. Była to tylko namiastka parowej łaźni, ale spełniała swój cel.

Sam? Sam! Na miłość boską, dlaczego wcześniej o nim nie pomyślał?! Jeśli matka zmieniła plany albo coś się stało, całkiem możliwe, że powiadomiła o tym telefonicznie Sama. Zwłaszcza kiedy w „d'Accord” nie zastała nikogo, kto by się nazywał „Noel Holcroft”.

Spojrzał na zegarek; trzecia trzydzieści pięć czasu genewskiego, a więc dziesiąta trzydzieści pięć na Karaibach. Jeśli Sam ma mu coś do przekazania, będzie czekał przy telefonie.

Noel zakręcił kran. Z sypialni doleciał go głos Kesslera. Do kogo mówi i dlaczego tak zniża głos?

Noel odwrócił się do drzwi i lekko je uchylił. Kessler stał pod przeciwległą ścianą pokoju zwrócony plecami do łazienki i rozmawiał przez telefon. Noel przestąpił próg.

— Mówię ci, to nasza odpowiedź. Ona podróżuje z fałszywym paszportem. Sprawdź w służbach imigracyjnych, czy...

— Erich!

Jakub Ben-Gadiz zamknął pudełeczko z zestawem pierwszej pomocy, wstał z łóżka i przyjrzał się swojemu dziełu. Rana Helden była zaogniona, ale zakażenie się jeszcze nie wdało. Zastąpił brudny opatrunek świeżym.

— No — powiedział — na jakiś czas wystarczy. Opuchlizna zejdzie za godzinę, ale musisz leżeć. Trzymaj nogę w pozycji uniesionej.

— Tylko mi nie mów, że jesteś lekarzem — zażartowała Helden.

— Nie trzeba być zaraz lekarzem, żeby znać się na ranach postrzałowych. Wystarczy do nich przywyknąć. — Izraelczyk podszedł do drzwi. — Zostań tutaj. Chce porozmawiać na osobności z panią Holcroft.

— Nie!

Ben-Gadiz zatrzymał się.

— Co powiedziałaś?

— Nie wysyłaj jej nigdzie samej. Zadręcza się poczuciem winy i panicznie boi o syna. Nie potrafi jasno rozumować; nie będzie miała żadnych szans. Nie rób tego.

— A jeśli zrobię, czy mi w tym przeszkodzisz?

— Jest lepszy sposób. Chcesz dostać mojego brata. Wykorzystaj mnie.

— Najpierw chcę zdobyć listę *Sonnenkinder*. Na zabicie von Tiebolta mamy trzy dni.

— Trzy dni?

— Jutro i w niedzielę banki są zamknięte. Z dyrektorami La Grande Banque mogą się spotkać najwcześniej w poniedziałek. Lista ma pierwszeństwo. Zgadzam się z Litvakiem, że to najwyższy priorytet.

— Jeśli jest taka ważna, na pewno nosi ją przy sobie.

— Wątpię. Ludzie pokroju twego brata nie podejmują takiego ryzyka. Jakiś wypadek, kradzież uliczna... ktoś taki jak ja. Nie, nie chodziłby z listą w kieszeni. Ani nie zdeponowałby jej w hotelowym sejfie. Ma ją w swoim pokoju. To najpewniejsza skrytka. Zamierzam wywabić go na chwilę i dostać się tam.

— A więc tym bardziej powinienes mnie wykorzystać! — powiedziała żarliwie Helden. — Myśli, że nie żyję. Nie widział mnie w bazie hydroplanów. Szukał Althene, nie mnie. Szok go ogłuszy. Wpadnie w popłoch. Przyjdzie wszędzie, gdzie mu każe, byle tylko mnie dopaść. Wystarczy, że wypowiem słowo *Nachrichtendienst*. Jestem tego pewna.

— I na to liczę — odparł Jakub. — Ale dopiero jutro. Nie dzisiejszej nocy. Dziś w nocy nie o ciebie mu chodzi. Dziś poluje na matkę Holcrofta.

— Powiem mu, że ona jest ze mną! To idealne wyjście!

— Nigdy ci nie uwierzy. Ma ci zaufać po tym, jak pojechałaś do Neuchatel na spotkanie z Wernerem Gerhardtem? Po tym, jak uciekłaś? Z miejsca kojarzysz się z pułapką.

— To przynajmniej pozwól mi z nią iść — poprosiła Helden. — Zorganizuj spotkanie, a ja się gdzieś ukryję. Daj jej jakąś ochronę. Mam pistolet.

Ben-Gadiz zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Doceniam twoją propozycję i podziwiam cię za nią. Ale nie mogę ryzykować utraty was obu. Bo widzisz, jej potrzebuję na dzisiejszą noc, a ciebie na jutro. Ona wyciągnie go dzisiaj, a ty jutro. W ten sposób trzeba to rozegrać.

— Można osiągnąć oba cele za jednym zamachem jeszcze dzisiejszej nocy! — nie ustępowała Helden. — Ty zdobądź swoją listę, a ja go zabiję. Przysięgam, że to zrobię!

— Wierzę ci, ale nie uwzględniasz jednego. Doceniam twego brata bardziej niż ty. Bez względu na to, jak zaaranżujemy jego dzisiejsze spotkanie z panią Holcroft, wszelkie atuty będą po jego stronie. Ma do dyspozycji rozmaite fortele, metody. Nam ich brak.

Helden wpatrywała się z wyrzutem w Izraelczyka.

— Ty ją nie tylko wykorzystujesz; ty ją poświęcasz.

— Wykorzystuję każde z nas, każde z nas poświęcam, by tylko dopiąć celu. Jeśli będziesz w tym przeszkadzała, zabiję cię. — Jakub wyszedł z sypialni.

Althene siedziała za biurkiem pod przeciwległą ścianą pokoju, w którym jedynym źródłem światła była mała nocna lampka. Miała na sobie trochę za obszerny, ciemnoczerwony szlafrok, który znalazła w szafie. Mokra ubrania schły rozwieszona na kaloryferach. Pisała coś na kartce wyjętej z papeterii. Na odgłos kroków Jakuba odwróciła się.

— Pożyczyłam sobie papier z pańskiego biurka — powiedziała.

— To nie mój papier i nie moje biurko — odparł Izraelczyk. — Pisze pani list?

— Tak. Do syna.

— Po co? Przy odrobinie szczęścia skontaktujemy się z nim. Będzie pani mogła osobiście z nim porozmawiać.

Althene opadła na oparcie fotela i utkwiała w Ben-Gadizie nieruchomy wzrok.

— Oboje wiemy, że szanse, abym go jeszcze kiedyś zobaczyła, są niewielkie.

— Czyżby?

— Oczywiście. Nie ma sensu, żebym sama siebie oszukiwała... albo żeby pan próbował mnie oszukiwać. Von Tiebolt musi się ze mną spotkać. Kiedy dojdzie do tego spotkania, już mnie nie wypuści ze swych rąk. W każdym razie nie wypuści mnie żywej. Co by mu z tego przyszło?

— Zastosujemy jak najdalej idące środki ostrożności.

— Dziękuję, zabiorę pistolet. Nie mam zamiaru stać i czekać pokornie, aż mnie zastrzeli.

— Lepiej, żeby pani siedziała.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Oboje jesteśmy ludźmi praktycznymi, prawda?

Jakub wzruszył ramionami.

— Tak jest łatwiej.

— Niech mi pan powie jedno. Ta lista, którą tak bardzo chce pan zdobyć. Lista *Sonnenkinder*. Musi być niewiarygodnie długa, składać się z mnóstwa tomów. Zawiera przecież nazwiska ludzi i rodzin z całego świata.

— Pani mówi o liście głównej. Nie szukamy jej i wątpię, czy kiedykolwiek ją zobaczymy. Lista, którą jesteśmy w stanie odnaleźć — którą musimy odnaleźć — jest listą roboczą. Znajdują się na niej nazwiska liderów, na których ręce mają być przekazywane fundusze przeznaczone do rozdzielenia dalej na strategiczne obszary. Tę listę von Tiebolt musi mieć gdzieś pod ręką.

— I mając ją będziecie mogli zdemaskować przywódców *Wolfsschanze*.

— Wszystkich.

— Skąd jest pan taki pewien, że ta lista znajduje się w „d'Accord”?

— Tylko tam może być. Von Tiebolt nie ufa nikomu. Swoim podwładnym przydziela wycinkowe zadania, a kontrolę nad całością sprawuje sam. Nie zostawiłby tej listy w sejfie ani nie nosiłby jej przy sobie. Będzie ją trzymał w swoim pokoju hotelowym, w pokoju najezonym pułapkami. I zostawi ją bez opieki tylko w ostateczności.

— I ja jestem tą ostatecznością?

— Tak. Obawia się pani, jak nikogo innego, bo nikt nie zdoła przekonać pani syna, żeby poniechał Genewy. Oni go potrzebują; jest im niezbędny. Odblokowanie funduszy musi się odbyć zgodnie z obowiązującym prawem. Nie istnieje inny sposób wejścia w ich posiadanie.

— Cóż za ironia losu! Prawo wykorzystywane do popełnienia największego występku, jaki można sobie wyobrazić.

— To nie pierwszy taki przypadek, pani Holcroft.

— A co będzie z moim synem? Zabije go pan?

— Nie chcę go zabijać.

— Woląabym usłyszeć coś bardziej konkretnego.

— Jeśli przejdzie na naszą stronę, nie będzie po temu powodu. Wprost przeciwnie, jeśli tylko da się przekonać, że to prawda i że nie jest manipulowany, istnieje powód, by pozostawić go przy życiu. Nawet jeśli nie dojdzie do odblokowania konta, *Wolfsschanze* nie umrze. *Sonnenkinder* nie znikną z powierzchni ziemi. Skrzydła będą miały podcięte, ale nie zostaną zdemaskowane. Ani zniszczone. Będziemy potrzebowali każdego głosu, który może przemówić przeciwko nim. Pani syn będzie miał do opowiedzenia bardzo zajmującą historię. Wspólnie dotrzemy do właściwych ludzi.

— W jaki sposób pan go przekona... jeśli nie wrócę ze spotkania z von Tieboltem?

Izraelczyk dostrzegł cień uśmiechu na ustach Althene i zrozumiał tę chwilę zawahania w jej głosie. Przejrzała go. Zorientowała się, że z góry przyjmował, iż ona nie wróci.

— Ja i mój współpracownik z Neuchatel zakładamy, że mamy do dyspozycji dzisiejszą noc i cały jutrzejszy dzień; załatwianie formalności w La Grande Banque rozpocznie się nie-

wątpliwie w poniedziałek. Do tego czasu będą go trzymać w izolacji, odseparują całkowicie od świata. Moim zadaniem jest przełamanie tej izolacji, wyrwanie go z niej.

— A kiedy już pan tego dokona, co pan mu powie?

— Powiem mu prawdę, wyjaśnię wszystko, czego dowiedzieliśmy się w Har Sha'aiav. Bardzo może mi w tym pomóc Helden — bądźmy szczerzy — jeśli sama przeżyje. No i jest jeszcze ta lista. Jeśli ją odnajdę, pokażę mu ją.

— Niech mu pan przekaże ten list — przerwała mu Althene odwracając się znowu przodem do biurka i pochylając nad kartką.

— On też pomoże — przyznał Izraelczyk.

— Erich!

Kessler odwrócił się nagle i jego korpulentne ciało zeszywniało. Zaczął opuszczać rękę, żeby odłożyć słuchawkę, ale Holcroft powstrzymał go.

— Zaczekaj! Z kim rozmawiasz? — wyrwał Kesslerowi słuchawkę z dłoni.

— Kto mówi? — rzucił do niej.

Cisza.

— Kto mówi?

— Proszę cię — jęknął Kessler dochodząc powoli do siebie. — Staramy się zapewnić ci bezpieczeństwo. Nie możesz się pokazywać na ulicy, wiesz o tym dobrze. Zabiją cię. Jesteś kluczem do Genewy.

— Nie rozmawialiście o mnie!

— Próbujemy odnaleźć twoją matkę! Powiedziałeś mi przed chwilą, że podróżuje z fałszywym paszportem. Że leci tu z Lizbony. Nie wiedzieliśmy o tym. Johann zna ludzi, którzy dostarczają takie dokumenty; właśnie o tym mówiliśmy.

— Von Tiebolt? — rzucił znowu do słuchawki Noel. — To ty?

— Tak, Noelu — padła spokojna odpowiedź. — Erich mówi prawdę. Mam tutaj przyjaciół, którzy starają się nam pomóc. Twojej matce może grozić niebezpieczeństwo. A ty nie możesz brać udziału w poszukiwaniach. Nie wolno ci się pokazywać.

— Nie mogę? — warknął Holcroft. — Nie wolno mi? Wyjaśnijmy sobie coś — to dotyczy was obu. — Noel mówił do słuchawki patrząc na Kesslera. — Sam będę decydował o tym, co mi wolno, a czego nie. Czy wyrażam się jasno?

Naukowiec pokiwał głową. Von Tiebolt nic nie odpowiedział. Holcroft podniósł głos:

— Pytałem, czy wyrażam się jasno?!

— Tak, oczywiście — burknął wreszcie Johann. — Jak mówi Erich, staramy się ci tylko pomóc. Ta informacja, że twoja matka podróżuje z podrobionym paszportem, może się okazać pomocna. Znam ludzi, którzy zajmują się takimi sprawami. Zadzwoń zaraz do paru osób i będę cię o wszystkim na bieżąco informował.

— Bardzo cię proszę.

— Jeśli nie zobaczymy się do rana, spotkamy się w banku. Zakładam, że Erich ci wszystko zrelacjonował.

— Tak, zrobił to. I jeszcze jedno, Johann... przepraszam za ten wybuch. Wiem, że staracie mi się pomóc. Ludzie, którzy usiłują nam przeszkadzać, są z organizacji o nazwie *Nachrichtendienst*, prawda? Czy tego dowiedziałeś się w Londynie?

Na linii zaległa cisza.

— Skąd to wiesz? — odezwał się wreszcie von Tiebolt.

— Zostawili wizytówkę. Chcę dopaść tych skurwieli.

— My też.

— Dzięki. Jak się czegoś dowiesz, dzwoń do mnie od razu. — Noel odłożył słuchawkę. — Nigdy tego więcej nie rób — zwrócił się do Kesslera.

— Przepraszam. Myślałem, że postępuję słusznie. Tak jak zapewne sam myślałeś, wystawiając mnie na przynętę pod „d'Accord”.

— W dzisiejszych czasach świat jest wszawym miejscem — mruknął Noel sięgając znowu do telefonu.

— Co robisz?

— Chcę porozmawiać z jednym człowiekiem z Curacao. Może on coś wie.

— Ach, tak. Z tym inżynierem, który przekazuje ci wiadomości.

— Nie wiem, jak się mu odwdzięczę.

Noel połączył się z centralą międzynarodową i zamówił rozmowę z Curacao.

— Mam czekać przy aparacie, czy pani oddzwoni?

— O tej porze tłok na liniach jest niewielki, *sir*.

— Wobec tego poczekam. — Usiadł na łóżku ze słuchawką przy uchu. Nie minęło półtorej minuty, kiedy usłyszał w niej sygnał aparatu Buonoventury.

Po chwili odezwał się męski głos, ale to nie był głos Sama.

— Tak?

— Chciałem rozmawiać z Samem Buonoventurą.

— A kto mówi?

— Bliski przyjaciel. Dzwonię z Europy.

— On nie podejdzie, *mister*. On już nigdy nie odbierze telefonu.

— Co pan wygaduje?

— Nie ma już Sama, *mister*. Jakiś pieprzony miejscowy czarnuch zadusił go drutem. Przetrzęsamy wszystkie zarośla i plaże, żeby znaleźć tego skurwysyna.

Holcroft spuścił głowę, przymknął powieki i wstrzymał oddech. Buonoventura spełniał rolę jego centrum informacyjnego; musiał zatem zginąć. Teraz nie przekaże mu już żadnej wiadomości. To dzieło *Nachrichtendienst*. Noel był dłużnikiem Sama, i ten dług został okupiony śmiercią... Wokół niego krążyła śmierć; był jej nosicielem.

— Dajcie sobie spokój z tymi zaroślami — powiedział ledwie zdając sobie sprawę, co mówi. — Ja go zabiłem.

## 43

- Czy pani syn wymienił kiedykolwiek nazwisko „Tennyson”? — spytał Ben-Gadiz.
- Nie.
- Cholera! Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?
- Po śmierci mojego męża. Noel był wtedy w Paryżu. Jakub rozprostował założone ręce; usłyszał właśnie coś, na co czekał.
- Czy to była wasza pierwsza rozmowa po śmierci męża?
- Po jego zamordowaniu — sprostowała Althene. — Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy to była wasza pierwsza rozmowa po śmierci męża?
- Tak.
- A więc była niewesoła.
- Naturalnie. Musiałam mu powiedzieć.
- Dobrze. W takich chwilach umysł jest przytępiony. Mówi się rzeczy, o których rzadko się potem pamięta. To wtedy wymienił nazwisko „Tennyson”. Powiedział pani, że wybiera się do Genewy w towarzystwie człowieka nazwiskiem Tennyson. Potrafi to pani zasugerować von Tieboltowi?
- Naturalnie. Tylko czy on da temu wiarę?
- Nie ma wyboru. Chce panią dostać za wszelką cenę.
- A ja jego.
- Niech pani zatelefonuje. I proszę pamiętać, że jest pani bliska hysterii. Ze spanikowaną kobietą trudno się dogadać. Niech go pani wyprowadzi z równowagi. Proszę krzyczeć, szeptać, zacinać się. Niech mu pani powie, że próbowała skontaktować się telefonicznie ze swoim pilotem w bazie hydroplanów i dowiedziała się, że popełniono tam morderstwo. W bazie roi się od policji i ze strachu odchodzi pani od zmysłów. Da sobie pani radę?
- Niech pan sam posłucha — powiedziała Althene sięgając do telefonu.
- Centralka hotelu „d'Accord” połączyła ją z pokojem bardzo ważnego gościa, pana Johna Tennysona.
- A Jakub słuchał z podziwem popisowego występu Althene.
- Musi się pani wziąć w garść, pani Holcroft — poradził nieznajomy z hotelu „d'Accord”.
- A więc to pan jest tym Tennysonem, o którym wspominał mój syn.
- Tak. Jestem jego przyjacielem. Poznaliśmy się w Paryżu.
- Na miłość boską, czy może mi pan pomóc?
- Oczywiście. To będzie dla mnie zaszczyt.
- Gdzie jest Noel?
- Przykro mi, ale nie wiem... Załatwia w Genewie jakieś interesy, w które mnie nie wtajemniczał.
- Nie? — to słowo wypowiedziane zostało z wyraźną ulgą.
- Ano, nie. Wczoraj wieczorem zjedliśmy razem obiad, a potem wyszedł, żeby się spotkać ze swoimi współnikami.
- Nie mówił, dokąd idzie?
- Przykro mi, ale nie. Widzi pani, ja jestem tu przejazdem po drodze do Mediolanu... Jeszcze w Paryżu obiecałem Noelowi, że spotkam się z nim w Genewie i pokażę mu miasto. Nigdy tu jeszcze nie był.

— Czy możemy się spotkać, panie Tennyson?  
— Oczywiście. Skąd pani teraz dzwoni?  
— Musimy zachować ostrożność. Nie mogę pana narażać.  
— Mnie nic nie grozi, pani Holcroft. Poruszam się po Genewie z całkowitą swobodą.  
— Ja nie, a do tego jeszcze ten straszny incydent w Medoc.  
— Niech się pani uspokoi. Jest pani przewrażliwiona. Cokolwiek to było, jestem pewien, że nie ma to związku z pani osobą. Gdzie pani jest? Gdzie możemy się spotkać?  
— Na dworcu kolejowym. W poczekalni przy pomocnym wejściu. Za czterdzieści pięć minut. Niech Bóg pana błogosławi.  
Odłożyła raptownie słuchawkę. Jakub Ben-Gadiz uśmiechnął się z uznaniem.  
— Będzie bardzo ostrożny — powiedział. — Zabierze się teraz do montowania sobie tarczy ochronnej, dzięki czemu zyskamy na czasie. Jadę pod hotel „d'Accord”. Szkoda każdej chwili.

Von Tiebolt odłożył wolno słuchawkę. „Wiele przemawia za tym, że to pułapka — pomyślał — ale pewności nie ma”. Celowo napomknął w rozmowie, że Holcroft jest w Genewie po raz pierwszy; nie była to prawda i stara dobrze o tym wiedziała. Z drugiej strony, sprawiała przez telefon wrażenie naprawdę przerażonej, a ogarnięta paniką kobieta w jej wieku nie tyle słucha, co sama chce być słuchaną. Całkiem możliwe, że puściła tę uwagę mimo uszu albo — jeśli ją jednak usłyszała — uznała, że wobec problemów, które aktualnie ma na głowie, nie warto jej prostować.

O ile znał Holcrofta, mógł wymienić nazwisko „Tennyson” i — jeśli rzeczywiście to uczynił — nie było w tym nic dziwnego. Amerykanin miał skłonności do nagłych zmian nastrojów, często nie zastanawiał się nad tym, co mówi. Wiadomość o śmierci Richarda Holcrofta w Nowym Jorku mogła wprowadzić go w taki stan, że „Tennyson” po prostu mu się wymknęło.

Z drugiej strony, Amerykanin wykazywał przebiegłość tam, gdzie nikt by się jej po nim nie spodziewał. Fakt wyjawienia tego nazwiska matce nie pasował do samodyscypliny, jaką zdołał sobie narzucić. I co więcej, Johann wiedział, że ma do czynienia z nie byle jaką kobietą; potrafiła zorganizować sobie fałszywe dokumenty, zdołała urwać się w Lizbonie śledzącym ją ludziom. Przedsięwzięcie nadzwyczajne środki ostrożności. Nie da się wciągnąć w pułapkę starej kobiecie ogarniętej paniką ani też kobiecie, która tę panikę udaje. Z tych rozważań wyrwał go dzwonek telefonu.

— Tak?

Telefonał pierwszy deputowany. Nie ustalono jeszcze adresu, pod którym zainstalowany był aparat o numerze podanym recepcjoniście hotelu „d'Accord” przez panią Holcroft. Wysłano właśnie urzędnika do państwowego departamentu łączności telefonicznej, by przechowywane tam rejestry. Reakcja von Tiebolta była lodowata.

— Nawet jeśli ustali ten adres, nie będzie już on nam potrzebny. Nawiązałem kontakt z tą kobietą. Przyślij natychmiast policjanta służbowym wozem do hotelu „d'Accord”. Powiedz mu, że jestem oficjalnym gościem państwowym, któremu należą się specjalne względy. Każ mu być w holu za piętnaście minut. — Nie czekał na odpowiedź. Odłożył słuchawkę na widełki i podszedł do stolika, na którym spoczywały dwa rozłożone do czyszczenia pistolety; złoży je w okamgnieniu. Oba stanowiły ulubioną broń Tinamou.

Jeśli Althea Holcroft ważyła się zastawić na niego pułapkę, przekona się, że nie ma się co równać z przywódcą *Wolfsschanze*. Wpadnie we własne sidła.

Izraelczyk obserwował wejście do hotelu „d'Accord”, kryjąc się w zaułku po drugiej stronie ulicy. Von Tiebolt stał na schodach przed hotelem i rozmawiał cicho z funkcjonariuszem policji, wydając mu instrukcje.

Skończyli wreszcie i policjant ruszył biegiem do swojego wozu. Blondyn podszedł do czarnej limuzyny zaparkowanej przy krawężniku i wsiadł za kierownicę. Na wyprawę, w którą się wybierał, wołał nie zabierać szofera.

Oba samochody odjechały w dół des Granges. Jakub zczekał, aż znikną mu z oczu, po czym z neserem w rękę przeciął jezdnię i wszedł do hotelu.

Przybierając pozę znużonej oficjalności skierował swe kroki prosto do recepcji. Wzdychając ciężko zagadał do recepcjonisty:

— Jestem z grupy dochodzeniowej. Zwlekli mnie z łóżka w środku nocy, żebym pobrał dodatkowe próbki z pokoju tego zabitego. Tego Ellisa. Inspektorom najlepsze pomysły przychodzą do głowy, kiedy wszyscy, których potrzebują, już śpią. Który to pokój?

— Trzecie piętro. Pokój numer trzysta jeden — poinformował go recepcjonista uśmiechając się ze współczuciem. — Przed drzwiami stoi policjant na służbie.

— Dzięki. — Ben-Gadiz wszedł do windy i nacisnął przycisk piątego piętra. John Tennyson mieszkał w pokoju pięćset dwanaście. Nie było czasu na wdawanie się w korowody z policjantem na posterunku. Liczyła się każda sekunda — dosłownie każda.

Mężczyzna w mundurze genewskiej policji wszedł północnym wejściem do budynku dworca kolejowego. Stukając obcasami po kamiennej posadzce, zbliżył się do starszej kobiety siedzącej na przeciwległym skraju pierwszego rzędu ławek.

— Pani Althene Holcroft?

— Tak.

— Proszę ze mną, *madame*.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

— Mam panią eskortować na miejsce spotkania z panem Tennysonem.

— Czy to konieczne?

— To grzecznościowy gest miasta Genewy.

Kobieta wstała z ławki i ruszyła za mężczyzną w mundurze. Gdy zbliżali się do podwójnych drzwi północnego wejścia, do hali dworcowej wkroczyło z zewnątrz jeszcze czterech policjantów i ustawiło się przed drzwiami. Nikt nie przejdzie między nimi bez zezwolenia.

Na podjeździe na zewnątrz budynku, po obu stronach zaparkowanego przy krawężniku policyjnego samochodu, stało jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich otworzył przed kobietą drzwiczki. Kiedy wsiadła, eskortujący ją oficer zwrócił się do swych podwładnych:

— Zgodnie z instrukcjami, przez dwadzieścia minut spod dworca nie może odjechać żaden samochód. Ani prywatny, ani taksówka. Gdyby ktoś próbował złamać zakaz, spisać go i przekazać meldunek drogą radiową do mojego wozu.

— Tak jest, *sir*.

— Jeśli w ciągu tych dwudziestu minut nic się nie wydarzy, ludzie mogą wracać na swoje posterunki. — Oficer policji wsiadł do samochodu i zapuścił silnik.

— Dokąd jedziemy? — spytała Althene.

— Do pawilonu gościnnego na terenie posiadłości pierwszego deputowanego Genewy. Ten pan Tennyson musi być bardzo ważną osobą.

— W niejednym sensie — przytaknęła.

Von Tiebolt siedział za kierownicą czarnej limuzyny. Zaparkował pięćdziesiąt metrów od podjazdu prowadzącego pod północne wejście na dworzec i czekał nie gasząc silnika. Patrzył, jak wóz policyjny wyjeżdża na ulicę i skręca w prawo, a potem przeniósł wzrok na dwóch funkcjonariuszy policji.



Ruszył dopiero wtedy, gdy upewnił się, że zajęli swoje stanowiska. Po chwili wmieszał się w ruch uliczny. Zaplanował sobie, że będzie jechał za wozem policyjnym w dyskretnej odległości, zwracając uwagę na oznaki zainteresowania jego samochodem ze strony innych pojazdów. Trzeba było uwzględnić wszelkie ewentualności, włącznie z możliwością, że kobieta ma gdzieś przy sobie ukryty elektroniczny sygnalizator położenia, wysyłający impulsy do zaangażowanego przez nią szpicla.

Nim minie godzina, wyeliminowana zostanie ostatnia przeszkoda na drodze do kryptonimu „Wolfsschanze”.

Jakub Ben-Gadiz stał pod drzwiami pokoju von Tiebolta. Na gałce wisiała tabliczka z napisem „nie przeszkadzać”. Izraelczyk przyklęknął na jedno kolano i otworzył swój neseser. Wyjął z niego latarkę o dziwnym kształcie. Kiedy ją włączył, rozjarzyła się ledwie dostrzegalną jasnozieloną poświatą. Skierował wiązkę światła na lewy dolny róg drzwi, przesunął ją tuż nad podłogą do prawego rogu, potem w górę i wzdłuż górnej krawędzi. Szukał kawałków nitki albo ludzkich włosów — maleńkich czujników alarmowych, których zniknięcie jest dla zajmującego pokój dowodem, że pod jego nieobecność ktoś wchodził do środka. Wiązka światła wykryła dwa odcinki nitki rozciągnięte u dołu drzwi, potem trzy wzdłuż ich pionowej krawędzi i jeden nad nimi. Jakub wyciągnął z kanałika w uchwycie latarki maleńką szpilkę. Dotknął nią delikatnie drewna przy każdej nitce; pozostawione ślady były mikroskopijne — niedostrzegalne gołym okiem, ale wyraźnie widoczne pod wpływem padającego na nie zielonego światła. Ben-Gadiz przyklęknął ponownie i wyjął z nesesera małą, metalową tulejkę. Był to wysoce wyrafinowany, elektroniczny otwieracz zamków skonstruowany w laboratoriach służb antyterrorystycznych w Tel-Awiwie.

Przystawił wylot tulejki do dziurki od klucza i uaktywnił sondy czujnikowe. Zamek odskoczył i Jakub przesunął ostrożnie palcami lewej dłoni wzdłuż krawędzi drzwi, usuwając z nich odcinki nitek. Popchnięte lekko drzwi otworzyły się powoli. Jakub schylił się po neseser, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Pod ścianą stał mały stoliczek; ułożył na nim pieczółowicie kawałki nitek, ważąc każdą za pomocą tulejki, po czym ponownie zapalił latarkę.

Spojrzał na zegarek. Ostrożnie licząc miał nie więcej niż trzydzieści minut na unieszkodliwienie wszelkich pułapek, jakie mógł zastać von Tiebolt, i na znalezienie listy *Sonnenkinder*. Fakt, że przy drzwiach umieszczono nitki, uznał za dobry znak. Musiała istnieć po temu jakaś przyczyna.

Przesunął wiązką zielonego światła po pokoju wypoczynkowym. Znajdowały się tu dwie szafy ścienne i zamknięte drzwi do sypialni. W pierwszej kolejności wyeliminował szafy ścienne. Zdecydował o tym brak nitek i nie zamknięte na klucz zamki.

Zbliżył się do drzwi sypialni, aby przejechać wiązką światła wzdłuż ich krawędzi. Nitek nie znalazł, ale zauważył coś innego. W powodzi zielonego światła pojawił się refleks cienutki, żółtego promyka rozciągającego się między drzwiami a framugą, mniej więcej pół metra nad podłogą. Ben-Gadiz momentalnie zorientował się, co ma przed sobą: miniaturową fotokomórkę, której źródło zainstalowane we framudze zostało nakierowane na odbiornik umieszczony w otworze wywierconym w krawędzi drzwi.

Otwarcie drzwi spowodowałoby przerwanie kontaktu optycznego i wyzwolenie alarmu. To niezawodne rozwiązanie było szczytowym osiągnięciem nowoczesnej techniki; nie istniał sposób zneutralizowania instalacji. Jakub widział już takie urządzenia — maleńkie pastylki z wbudowanymi przekaźnikami czasowymi. Po zainstalowaniu nastawiało się je na określony czas działania, rzadko krótszy niż pięć godzin. Przed upływem tego czasu nie mógł ich wyłączyć nikt, nawet ten, kto je zainstalował.

To by znaczyło, że von Tiebolt z góry zakładał, iż wchodząc do sypialni przerwie kontakt optyczny. Że mogą zaistnieć sytuacje awaryjne, wymagające od niego pobudzenia sygnału alarmowego.

Na czym polega ten alarm? Sygnał dźwiękowy nie wchodzi w rachubę, gdyż hałas zwróciłby uwagę na ten pokój. Może to sygnały radiowe? Ale ich zasięg jest zbyt ograniczony.

Nie, alarm musi uaktywniać środki zapobiegawcze znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie chronionej strefy. Środki, które obezwładnią intruza, ale które nie wyrządzą szkody samemu von Tieboltowi.

Porażenie prądem elektrycznym nie gwarantuje wymaganej niezawodności działania. Kwadem trudno się posługiwać w sposób kontrolowany; von Tiebolt sam mógłby przypadkiem doznać trwałych okaleczeń i deformacji. Może gaz? Pary?...

Trucizna. Trucizna w stanie lotnym. Toksyczne opary. Wystarczająco silne, by pozbawić przytomności niepożądanego gościa. Zabezpieczeniem przeciwko oparom byłaby maska tlenowa. Von Tiebolt mógłby w niej wchodzić do sypialni, kiedy tylko by chciał.

W środowisku zawodowym Jakuba gaz łzawiący i obezwładniający były dosyć popularnym narzędziem pracy. Wrócił do swojego neseseru, ukląkł i wyciągnął z niego maskę przeciwgazową z małym zbiorniczkiem tlenu. Nałożył ją, wsunął sobie ustnik między zęby i podszedł do drzwi. Otworzył je energicznym pchnięciem, a następnie cofnął się o krok.

Prostokąt framugi wypełnił się kłębem oparów. Mgiełka wisiała w powietrzu przez kilka sekund, po czym rozwiązała się szybko bez śladu, jakby nigdy jej nie było. Ben-Gadiz poczuł lekkie świerzbiecie wokół oczu. Był to środek podrażniający, nie wywołujący oślepienia, ale Ben-Gadiz wiedział, że gdyby nim odetchnął, chemikalia odpowiedzialne za owo świerzbiecie zaatakowałyby płuca i spowodowały natychmiastową zapaść. Znalazł dowód, którego szukał. Lista *Sonnenkinder* znajdowała się w tym pokoju.

Przekroczył próg mijając trójnog, na którym umocowany był cylindryczny zbiornik z gazem. Otworzył okno, żeby usunąć ewentualne pozostałości oparów. Do pokoju, wydymając firanki, wdarł się chłodny podmuch zimowego powietrza.

Ben-Gadiz przyniósł z salonu neseser i przystąpił do poszukiwań. Domyślając się, że lista będzie się znajdowała w jakiegoś rodzaju stalowym, ognioodpornym pojemniku, wyjął z neseseru mały wykrywacz metali z podświetlaną skalą. Zaczął od okolic łóżka, a następnie przesuwał się w głąb pokoju coraz szerszymi kręgami.

Strzałka wykrywacza wychyliła się gwałtownie przed ścienną szafą na ubrania. Zielone światło latarki wyłowiło we framudze drzwi znajomą, żółtą plamkę.

Znalazł skrytkę.

Otworzył drzwi. W twarz buchnął mu kłęb oparów, wypełniając szafę tak samo jak wcześniej prostokąt drzwi do sypialni. Tylko że teraz mgiełka utrzymywała się dłużej i była gęstsza. Gdyby pierwsza pułapka zawiodła, ta wytwarzała ilość trucizny wystarczającą, by uśmiercić człowieka. Na podłodze szafy leżała elegancka walizka z miękkiej, ciemnobrązowej skóry, ale Jakub dobrze wiedział, że nie jest to zwykła walizka. Boczne ścianki pozbawione były zmarszczek, których nie brakowało na wierzchu. Skórę na obwodzie wzmocniono stalą.

Poszukał snopem zielonego światła nitek bądź innych oznakowań, ale nic nie znalazł. Przeniósł walizkę na łóżko i wdusił drugi przycisk latarki. Zieloną poświatę zastąpił silny snop białego, lekko przyżółconego światła. Przyjrzał się uważnie obydwu zamkom. Różniły się między sobą, niewątpliwie każdy wyzwał inną pułapkę.

Wydobył z kieszeni cieniutkie dłuto i wsunął je w szczelinę prawego zamka, starając się przy tym trzymać dłoń jak najdalej.

Rozległ się świst rozcinanego powietrza i jednocześnie z lewej strony zamka wyskoczyła długa igła. Z jej ostrza wyciekał jakiś płyn, którego kropelki skapywały na dywan. Jakub

wyciągnął chusteczkę, wytarł igłę, a potem powoli, ostrożnie wcisnął ją z powrotem w kanałik, pomagając sobie dłutem przy przepychaniu jej przez malutki otwór.

Skupił teraz uwagę na lewym zamku. Stanąwszy z boku, powtórzył manipulacje dłutkiem; zatrząsk odskoczył w górę i znowu rozległ się świst powietrza. Tym razem, zamiast igły, z walizki wystrzeliło coś, co wbiło się w oparcie fotela po drugiej stronie pokoju. Ben-Gadiz rzucił się tam z latarką. W miejscu, gdzie obiekt wszedł w tkaninę, widniała plamka wilgoci. Wyłuskał go dłutem.

Była to galaretowata kapsułka ze stalowym ostrzem. Weszłaby w ciało z taką samą łatwością, z jaką przebiła się przez materiał. Płyn zapewne był silnym narkotykiem.

Ben-Gadiz, zadowolony z siebie, wsunął kapsułkę do kieszeni, wrócił do walizki i otworzył ją. Wewnątrz znajdowała się płaska, metalowa koperta przymocowana do stalowej taśmy wzmacniającej. Forsował liczne pułapki, coraz wyższe poziomy zdradliwych skrytek, aż wreszcie kasetą była jego.

Spojrzał na zegarek — operacja trwała osiemnaście minut.

Uniósł wieko metalowej koperty i wyjął z niej plik papierów. Było tego jedenaście stron, każda podzielona na sześć kolumn — nazwiska, adresy, kody telegraficzne i miasta. Jakieś sto pięćdziesiąt pozycji na stronie. Dane około tysiąca sześciuset pięćdziesięciu osób.

*Elita Sonnenkinder. Prowokatorzy Wolfsschanze.*

Jakub Ben-Gadiz ukląkł nad otwartą walizką i wydobył aparat fotograficzny.

— *Vous etes tres aimable. Nous vous telephonons dans une demi-heure. Merci.* — Kessler odłożył słuchawkę i pokręcił głową, spoglądając na Noela stojącego przy oknie apartamentu hotelu „Excelsior”.

— Nadal nic. Twoja matka nie dzwoniła do „d'Accord”.

— Są tego pewni?

— W ogóle nie było telefonów do pana Holcrofta. Sprawdziłem nawet w centralce na wypadek, gdyby recepcjonista odszedł gdzieś na chwilę. Sam słyszałeś.

— Nie rozumiem jej. Gdzie ona się podziewa? Powinna zadzwonić już wiele godzin temu. I ta Helden. Obiecała, że zatelefonuje do mnie w piątek wieczorem, a to już, cholera, sobota rano!

— Dochodzi czwarta — stwierdził Erich. — Naprawdę powinienes trochę odpocząć. Johann robi wszystko, żeby odnaleźć twoją matkę. Wciągnął do pomocy najlepszych ludzi w Genewie.

— Nie potrafię odpoczywać — przerwał mu Noel. — Zapomniałeś o czymś: właśnie zabiłem pewnego człowieka z Curacao. Zawinił tym, że mi pomagał, a ja go zabiłem.

— To nie ty. To *Nachrichtendienst*.

— No to zróbmy coś! — krzyknął Holcroft. — Von Tiebolt ma wysoko postawionych przyjaciół. Powiedzmy im o nich! Wywiad brytyjski ma wobec niego diabelny dług, przecież naprowadził ich na trop Tinamou! Wyegzekwujmy ten dług! Teraz! Niech ten cały cholerny świat dowie się o tych draniach! Na co czekamy?!

Kessler postąpił kilka kroków w stronę Noela, spoglądając na niego ze szczerym współczuciem.

— Czekamy na rzecz najważniejszą. Na spotkanie w banku. Na dopełnienie paktu. Kiedy już to załatwimy, nic nas nie będzie krępowało. Wtedy „cały ten cholerny świat”, jak się wyraziłeś, będzie musiał nas słuchać. Pomyśl o naszym pakcie, Noelu. On rozwiązuje tyle problemów! Twoich, twojej matki, Helden... tyle problemów! Sądzę, że jesteś tego świadom.

Holcroft pokiwał wolno głową. Głos miał znużony, był wyczerpany psychicznie.

— Jestem. Tylko że ta niepewność i brak wiadomości doprowadzają mnie do obłądki.

— Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale wkrótce wszystko się wyjaśni. Zobaczysz, będzie

dobrze. — Erich uśmiechnął się. — Teraz ja idę się opłukać.

Noel podszedł do okna. Genewa spała — tak samo jak spał Paryż Berlin, i Londyn, i Rio. Przez ileż to już okien wyglądał w nocy na śpiące miasta? Przez nazbyt wiele. *Mc nie jest już dla ciebie, jak było...*

Nic.

Holcroft zmarszczył brwi. N i c. Nawet nazwisko. Jego nazwisko. Zameldował się w hotelu jako Fresca. Nie jako Holcroft, a Fresca! O to właśnie nazwisko miała pytać Helden!

Fresca.

Odwrócił się na pięcie i podskoczył do telefonu. Nie ma sensu prosić Ericha, żeby zadzwonił w jego imieniu; telefonistka z „d'Accord” mówi po angielsku, a numer przecież zna.

— Hotel „d'Accord”. *Bonsoir*.

— Proszę pani, nazywam się Holcroft. Doktor Kessler dzwonił do pani przed kilkoma minutami z pytaniem, czy nie ma dla mnie wiadomości, których oczekuję.

— Przepraszam, *monsieur*, doktor Kessler? Chce pan rozmawiać z doktorem Kesslerem?

— Nie, nie zrozumiała pani. Doktor Kessler dowiadywał się u pani przed kilkoma minutami o wiadomości dla mnie. Ja chciałbym spytać o jeszcze jedno nazwisko. „Fresca”. „N. Fresca”. Czy ma pani jakieś wiadomości dla osoby o tym nazwisku?

Telefonistka zwlekła chwilę z odpowiedzią.

— W hotelu „d'Accord” nie mieszka nikt o nazwisku Fresca, *monsieur* — odezwała się wreszcie. — Czy życzy pan sobie, żebym przełączyła rozmowę do pokoju doktora Kesslera?

— Nie, on jest ze mną. Przed chwilą z panią rozmawiał! — Jasna cholera, przemknęło mu przez myśl, że ta kobieta mówi co prawda po angielsku, ale ani w ząb tego języka nie rozumie. Nagle przypomniało mu się nazwisko recepcjonisty i podał jej telefonistce. — Czy może mnie pani z nim połączyć?

— Przykro mi, *monsieur*. Wyszedł ponad trzy godziny temu. O pół nocy skończył mu się dyżur.

Holcroft wstrzymał oddech, a jego wzrok przesunął się na drzwi łazienki. Dochodził stamtąd szum płynącej z kranu wody. Erich nie mógł go słyszeć. A telefonistka rozumiała jednak bardzo dobrze język angielski.

— Chwileczkę, panienko. Pozwoli pani, że spróbuję to wszystko uporządkować. Nie rozmawiała pani przed kilkoma minutami z doktorem Kesslerem?

— Nie, *monsieur*.

— Czy pełni pani dyżur w centralce sama?

— Tak. O tej porze rozmów jest niewiele.

— A recepcjonista zszedł z dyżuru o północy?

— Tak, już to panu mówiłam.

— I nie było żadnych telefonów do pana Holcrofta?

Telefonistka znowu zawiesiła na chwilę głos. Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła z wahaniem, jakby coś sobie przypominała.

— Chyba coś było, *monsieur*. Zaraz jak objęłam dyżur. Dzwoniła jakaś kobieta. Zgodnie z instrukcją przełączyłam rozmowę na aparat recepcjonisty.

— Dziękuję pani — powiedział cicho Noel odkładając słuchawkę.

Szum wody w łazience ucichł. Kessler wszedł do pokoju i jego wzrok padł na dłoń Holcrofta spoczywającą na słuchawce telefonu. Oczy naukowca nie były już łagodne.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — warknął Noel. — Nie telefonowałaś do recepcjonisty. Ani do centralki. Matka dzwoniła przed kilkoma godzinami. Nic mi nie powiedziałaś. Kłamałaś.

— Nie wolno ci się denerwować, Noelu.

— Okłamałaś mnie! — ryknął Holcroft zrywając swoją marynarkę z krzesła i podcho-

dząc do łóżka, na które wcześniej rzucił płaszcz. Płaszcz z pistoletem w kieszeni. — Dzwoniła do mnie, ty sukinsynu!

Kessler wybiegł do przedpokoju i zasłonił sobą drzwi.

— Nie było jej pod adresem, który podała! Niepokoimy się. Próbujemy ją odnaleźć, zapewnić jej bezpieczeństwo. Uchronić ciebie! Von Tiebolt zna się na takich rzeczach, to dla niego chleb powszedni. Pozostaw decyzje jemu.

— Decyzje? Jakie znowu, cholera, decyzje? Nie będzie za mnie podejmował żadnych decyzji! Ty też nie! Zejdź mi z drogi!

Kiedy Kessler nie poruszył się, Noel chwycił go za ramiona i pchnął na pokój.

Potem wybiegł na korytarz i pognął ku klatce schodowej.

Podwoje bramy prowadzącej na teren posiadłości rozstały się, przepuszczając służbowy wóz. Policjant skinął głową strażnikowi i z obawą zerknął na gotowego do ataku dobermana, który szarpał się za szybą na smyczy.

— Pawilon gościnny znajduje się cztery kilometry od bramy — zwrócił się do Holcroftowej. — Pojedziemy drogą odchodzącą od głównej alei w prawo.

— Zdaję się na pana — powiedziała Althene.

— Mówię to, bo jeszcze nigdy tu nie byłem, *madame*. Mam nadzieję, że nie zabłądzą w ciemnościach.

— Jestem pewna, że da pan sobie radę.

— Mam panią tam zostawić i wrócić do swoich obowiązków służbowych — ciągnął policjant. — Powiedziano mi, że w pawilonie gościnnym nikogo nie ma, ale że wejście od frontu będzie otwarte.

— Rozumiem. Czy pan Tennyson już na mnie czeka?

Policjant jakby się zawahał.

— Przybędzie wkrótce. Odwiezie panią, oczywiście.

— Oczywiście. Niech mi pan powie, czy rozkazy otrzymał pan od pana Tennysona?

— Obecne instrukcje, tak. Ale nie rozkazy. Te wydał pierwszy deputowany za pośrednictwem prefekta policji.

— Pierwszy deputowany? Prefekt? Czy to przyjaciele pana Tennysona?

— Wydaje mi się, że tak. Jak już wspomniałem, pan Tennyson musi być bardzo ważną osobą. Tak, to chyba są jego przyjaciele.

— Ale pan się do nich nie zalicza? Mężczyzna roześmiał się.

— Ja? Och, nie, *madame*. Zetknąłem się z tym gentlemanem tylko przelotnie. Jak już powiedziałem, to gest grzecznościowy ze strony władz miasta.

— Rozumiem. Czy byłby pan skłonny roztoczyć tę grzeczność i na moją osobę? — spytała Althene wskazując znacząco na otwartą torebkę. — Na zasadach poufności.

— To by zależało, *madame*...

— Chodzi tylko o wiadomość dla przyjaciółki, która może się o mnie niepokoić. Zapomniałam do niej zatelefonować z dworca.

— Z przyjemnością — przystał oficer policji. — Przypuszczam, że będąc znajomą pana Tennysona, jest pani również ważnym gościem naszego miasta.

— Zapiszę panu numer. Odbierze młoda kobieta. Niech pan jej opisz dokładnie, dokąd mnie pan zawiózł.

Pokoje pawilonu gościnnego były wysokie, ściany pokryte tapetami, a umeblowanie utrzymane w stylu typowym dla francuskiej prowincji. Podobne budynki spotykało się w dolinie Loary, w pobliżu wielkich zamków.

Althene siedziała w przepastnym fotelu, między poduszką a poręczą którego tkwił należący do Jakuba Ben-Gadiza pistolet. Oficer policji odjechał przed pięcioma minutami; czekała teraz na von Tiebolta.

Musi zapanować nad przemożną pokusą oddania strzału w chwili, gdy von Tiebolt pojawi się w drzwiach. Skoro nadarzy się okazja dowiedzenia się od niego czegoś, nie może jej zaprzepaścić. Choćby po to, żeby przekazać uzyskane w ten sposób informacje Izraelczykowi albo dziewczynie. Jakoś je przekazać...

Przyjechał; zwiastunem był cichy, wibrujący pomruk samochodowego silnika. Słyszała już ten potężny silnik przed kilkoma godzinami, kiedy zatrzymywał się na odludnym odcinku autostrady nad jeziorem genewskim. Patrzyła tam zza drzew, jak blondyn zadaje śmierć. Niedługo potem widziała go, jak zabija bezlitośnie w Atterrisage Medoc. Odebranie mu życia będzie przywilejem. Dotknęła rękojeści pistoletu zdecydowana dopiąć swego celu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna o połyskliwych, jasnych włosach i regularnych rysach. Zamknął za sobą drzwi. Łagodne, rozproszone oświetlenie podkreślało kocią miękkość jego ruchów.

— Pani Holcroft! Jak to dobrze, że pani przysła.

— Sama prosiłam o to spotkanie. Dziękuję, że je pan zorganizował. Podjęte przez pana środki ostrożności były imponujące.

— Odniosłem wrażenie, że nie będzie pani miała nic przeciwko ich zastosowaniu.

— Zadbano nawet o to, żeby z dworca nie mógł za nami ruszyć żaden samochód.

— I żaden tego nie zrobił. Jesteśmy tu sami.

— Bardzo sympatyczny dom. Zainteresowałby mojego syna. Jako architekt, użyłby fachowych terminów i wyodrębnił wpływy rozmaitych stylów.

— Na pewno. W ten sposób pracuje jego umysł.

— Tak — przyznała z uśmiechem Althene. — Idzie ulicą, nagle zatrzymuje się, bo wypatrzył w jakimś oknie czy gzymsie szczegół, na który nikt inny by nie zwrócił uwagi. Jest pasjonatem swojej pracy. Nie mam pojęcia, czemu to przypisać. Ja nie mam w tym kierunku żadnych uzdolnień, a jego ojczym był bankierem.

Blondyn znieruchomiał.

— A zatem obaj jego ojcowie mieli zawodowo do czynienia z pieniędzmi.

— Więc pan wie? — spytała Althene.

— Oczywiście. Noel jest synem Heinricha Clausena. Sądzę, że powinniśmy dać sobie spokój z okłamywaniem się, pani Holcroft.

— Z tego, że pan kłamie, *Herr von Tiebolt*, zdawałam sobie dawno sprawę. Nie byłam tylko pewna, czy pan wie, że ja też kłamałam.

— Szczerze mówiąc, aż do tej chwili nie miałem pewności. Jeśli pani celem było zastawienie pułapki, przykro mi, że pokrzyżowałam pani plany. Ale niewątpliwie brała pani pod uwagę ryzyko.

— Tak, brałam.

— Dlaczego je pani podjęła? Musiała pani przecież rozważyć wszelkie konsekwencje.

— Rozważyłam je. Ale wydało mi się, że uczciwie będzie, jeśli uświadomię panu konsekwencje moich dotychczasowych działań. Wyjaśnwszy to sobie, może dojdziemy do porozumienia.

— Czyżby? A czego dotyczyłoby takie porozumienie?

— Poniechania Genewy. Rozwiązania *Wolfsschanze*.

— I to wszystko! — blondyn uśmiechnął się. — Pani chyba oszalała!

— Przypuśćmy, że napisałam bardzo długi list, w którym zrelacjonowałam ze szczegółami kłamstwo, w jakim żyłam przez ponad trzydzieści lat. List, w którym wskazuję z imienia, nazwiska i numeru konta bankowego współuczestników tego kłamstwa.

— I czyniąc to niszczy pani własnego syna.

— Gdyby wiedział, pierwszy uznałby moje racje.

Von Tiebolt założył ręce.

— Napomykając o tym liście, powiedziała pani „przypuśćmy”. No dobrze, przypuśćmy. Obawiam się jednak, że opisuje w nim pani coś, o czym nie wie pani absolutnie nic. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem, a ta żałosna garstka faktów, na które się pani powołuje, zostałaby poczytana za bredzenie obłąkanej staruszki, która przez bardzo długo była obiektem oficjalnej inwigilacji. Ale to nie ma znaczenia. Pani nigdy nie napisała takiego listu.

— Tego nie może pan wiedzieć.

— Proszę pani — powiedział von Tiebolt. — Znajdujemy się w posiadaniu najmniejszego strzępka korespondencji, wszelkich aktów ostatniej woli, wszelkich urzędowych dokumentów, jakie wyszły spod pani ręki... jak również znamy treść wszystkich rozmów telefonicznych, jakie przeprowadziła pani w ciągu ostatnich pięciu lat.

— Co takiego?

— W kartotece FBI ma pani swoją teczkę opatrzoną kryptonimem „Matka Potępionego”. Jej zawartość nigdy nie zostanie ujawniona. Nie podlega ona Ustawie o Swobodnym Dostępie do Informacji, gdyż została zaliczona do istotnych dla bezpieczeństwa kraju. Nikt właściwie nie wie dlaczego, ale tak już jest. Akta te znajdują się także w CIA, w Agencji Wywiadowczej Departamentu Obrony i w komputerowych bankach danych Armii G2. — Von Tiebolt znowu się uśmiechnął. — Jesteśmy wszędzie, pani Holcroft. Czy pani tego nie rozumie? Powinna się pani o tym dowiedzieć, zanim opuści pani ten padół; pani pozostanie na nim też niczego by nie zmieniło. Nie może nas pani powstrzymać. Nikt tego nie potrafi.

— Zostaniecie powstrzymani, bo jedyne, co macie do zaoferowania, to kłamstwa! Zawsze tak było. A kiedy kłamstwa nie wystarczają, zabijacie. Hołdowaliście tej taktyce kiedyś, hołdujecie i dzisiaj.

— Kłamstwa są środkiem zastępczym; rozwiązaniem irytujących problemów, które przeszkadzają w rozwoju, jest często śmierć.

— A tymi problemami są ludzie.

— Zawsze.

— Pan jest najbardziej godnym pogardy człowiekiem na ziemi. Pan jest obłąkany!

Jasnowłosa zabójca wsunął rękę do kieszeni.

— Uprzejmnia mi pani pracę — powiedział wyciągając pistolet. — Te same słowa usłyszałem kiedyś od innej kobiety. Była tak samo uparta jak pani. Wpakowałem jej kulkę w głowę przez szybę samochodu. W nocy w Rio de Janeiro. Była moją matką. Użyła tego określenia „obłąkany”, a naszą pracę nazwała „godną pogardy”. Nigdy nie potrafiła pojąć piękna naszej sprawy. Próbowwała przeszkadzać. — Blondyn uniósł pistolet. — Kilku podstarzałych durniów — oddanych kochanków tej dziwki — podejrzewało mnie o jej zabójstwo i nieporadnie próbowało wytoczyć mi proces. Wyobraża sobie pani? Mnie wytoczyć proces! Jak to oficjalnie brzmi! Nie wiedzieli tylko, że kontrolujemy wszystkie sądy. Nikt nie zdoła nas powstrzymać!

— Noel was powstrzyma! — krzyknęła Althene przesuwając nieznacznie rękę ku ukrytej obok broni.

— Najdalej pojutrze pani syn nie będzie już żył. A nawet jeśli nie my go zabijemy, zrobią to inni. Jest zamieszany w kilka morderstw i nigdy nie uda mu się z tego wywinąć. W Nowym Jorku zgarotowany został były agent brytyjskiego wywiadu. Ostatnią w życiu rozmowę odbył właśnie z pani synem. W Rio zamordowano człowieka nazwiskiem Graff. Tak się składa, że pani syn mu groził. Dziś wieczorem na Karaibach zginął — również zgarotowany pewien inżynier budowlany. Przekazywał Noelowi Holcroftowi poufne informacje w czasie jego wojaży między Rio a Paryżem. Jutro rano zasztyletowany zostanie na ulicy policjant z Nowego Jorku o nazwisku Miles. Akta sprawy, która stała się aktualnie jego obsesją, trochę podretuszowano, ale pozostawiono w nich osobę głównego podejrzanego — Noela Holcrofta. Szczerze mówiąc, dla dobra Noela byłoby prawdopodobnie lepiej, gdybyśmy go mimo wszystko zabili. Dla niego nie ma już życia. — Von Tiebolt uniósł pistolet wyżej i powoli wyciągnął przed siebie ramię, mierząc w głowę kobiety. — Widzi więc pani, że nie ma pani żadnych szans, by nas powstrzymać. Jesteśmy wszędzie.

Althene obróciła się raptownie w fotelu, sięgając błyskawicznie po pistolet.

Von Tiebolt strzelił. Po chwili oddał drugi strzał. I jeszcze jeden.



Jakub Ben-Gadiz uporządkował apartament von Tiebolta, pozostawiając go dokładnie w takim samym stanie, jak go zastał. Przewietrzył nawet pokoje tak, że nie pozostał w nich najmniejszy ślad czyjejs bytności.

Gdyby żył Klaus Falkenheim, byłby przerażony zamiarami Jakuba. *Zdobyć listę. Ustalić tożsamości. Kiedy będziemy już mieli nazwiska, ujawnić opinii publicznej, czym jest konto. Nie dopuścić do dystrybucji Milionów. Pozostawić „Sonnenkinder” bez środków.* Tak brzmiały instrukcje Falkenheima.

Ale istniała inna wersja. Dyskutowała nad nią po cichu we własnym gronie rada starszych w Har Sha'alav. Zamierzali przedłożyć swój projekt pod rozwagę Falkenheimowi, ale nie zdążyli tego uczynić. Nazwali go opcją Har Sha'alav.

Plan był ryzykowny, ale wykonalny.

*Zdobyć listę i przejąć miliony. Nie ujawniać konta, zawładnąć nim. Wykorzystać wielką fortunę na tępienie „Sonnenkinder”. Na całym świecie.*

Strategii nie dopracowano szczegółowo z braku wystarczających danych. Ale Jakub wiedział teraz wystarczająco wiele. Z trzech synów, którzy stawia się w banku, jeden zasadniczo różni się od pozostałych.

Do tej pory Noel Holcroft był kluczem do wypełnienia ostatniej woli *Wolfsschanze*. Teraz przyczyni się do jej pogrzebania.

„Falkenheim nie żyje — myślał Jakub. — Nie żyją członkowie rady starszych z Har Sha'alav; poza nim nie został już nikt. I tylko on może podjąć decyzję.

Czy opcja Har Sha'alav jest wykonalna?

Przekona się o tym przed upływem kolejnych dwudziestu czterech godzin”.

Przesunął wzrokiem po wszystkich przedmiotach, jakie znajdowały się w pokoju. Wszystko było na miejscu. Nic się nie zmieniło. Poza tym, że w jego neseserze spoczywało teraz jedenaście fotografii, które mogą oznaczać początek końca *Wolfsschanze*. Jedenaście stron nazwisk, tożsamości najbardziej zaufanych, najpotężniejszych *Sonnenkinder* z całego świata. Mężczyzn i kobiet, którzy, głęboko zakonspirowani, żyli przez trzydzieści lat nazi-stowskim kłamstwem.

Nigdy więcej.

Jakub podniósł neseser. Zabezpieczy jeszcze na powrót drzwi wejściowe kawałkami nitki i...

Zatopiony w myślach przystanął na chwilę i skoncentrował się na niespodziewanym hałasie dochodzącym zza drzwi. Słyszał kroki kogoś biegnącego, tłumione przez dywan, ale wyraźne. Ktoś pędził hotelowym korytarzem. Intruz zbliżył się i zatrzymał jak wryty. Cisza, potem szmer klucza wsuwanego w dziurkę i gorączkowe próby przekręcenia gałki i klucza w zamku jednocześnie. Zatrzask wewnętrzny trzymał mocno. Od strony korytarza, o centymetry od głowy Ben-Gadiza, rąbnęła w drzwi czyjaś pięść.

— Von Tiebolt! Wpuść mnie!

To był Amerykanin. Za kilka sekund zabierze się do wyważania drzwi.

Kessler podczołgał się do łóżka, uchwycił za poręcz i podciągnął w górę swoje zwaliste cielsko. W czasie ataku Holcrofta spadły mu okulary. Ale zanim ich poszuka, musi pomyśleć, przeanalizować niespodziewany zwrot wydarzeń.

Holcroft uda się do „d'Accord”, żeby porozmawiać z Johannem. Ale nie zastanie go, a jest to najmniej odpowiedni moment, aby Amerykanin zrobił z siebie widowisko.

I nie robi go. Kessler uśmiechnął się pomimo zaniepokojenia. Trzeba tylko spowodować, żeby Holcroft dostał się bez przeszkód do apartamentu von Tiebolta. Wystarczy do tego

zwykły klucz hotelowy. Znalazłszy się w środku, Amerykanin otworzył drzwi do sypialni. A w chwili, gdy to uczynił, przestanie stanowić bezpośrednie zagrożenie.

Antidotum i kilka woreczków z lodem ocucą go na tyle, by mógł wziąć udział w konferencji w banku; udzieli mu się tuzina wyjaśnień. Wszystko sprowadza się do podsunięcia mu klucza od pokoju Johanna.

Recepcjoniści z „d'Accord” nie wydadzą go nikomu, chyba że dostaną takie polecenie od pierwszego deputowanego. Von Tiebolt jest jego osobistym przyjacielem; mają mu przecież iść we wszystkim na rękę. Kessler sięgnął do telefonu.

Helden spacerowała utykając po mieszkaniu. Usiłowała przyzwyczać nogę do bólu. Była zła, że ją tu zostawiono, ale zdawała sobie sprawę, że to jedyne rozsądne wyjście. Izraelczyk nie sądził, aby Noel zatelefonował, ale takiej ewentualności nie można było wykluczyć. Jakub był przekonany, że Noel został już odizolowany i wszystkie wiadomości, jakie mógłby przekazywać, są przechwytywane. Istniała jednak niewielka szansa...

Zadzwonił telefon, Helden wydało się, że krew rozerwie jej zaraz szyję. Przełknęła ślinę i pokuśtykała przez pokój. *O Boże! Spraw, żeby to był Noel!*

Głos w słuchawce był nieznamy, a jego właściciel nie raczył się przedstawić.

— Pani Holcroft została odwieziona do pawilonu gościnnego, znajdującego się na terenie posiadłości odległej o trzynaście kilometrów od miasta. Podam pani wskazówki, jak tam trafić.

Helden zapisała wszystko.

— Przy bramie stoi strażnik — dorzucił na koniec nieznamy. — Ma psa obronnego.

Jakub musiał powstrzymać Holcrofta. Hałas mógł zwrócić uwagę.

Przekreślił zatrask i przywarł do ściany. Drzwi odskoczyły z trzaskiem do środka i prostokąt framugi wypełniła sylwetka Amerykanina. Wparował do pokoju z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby szykował się do odparcia ataku.

— Von Tiebolt! Gdzie jesteś?

Ciemności wyraźnie napawały Holcrofta lękiem. Ben-Gadiz, ściskając w ręku latarkę, przesunął się cicho w bok. Nabrał powietrza w płuca i wyrzucił z siebie szybko, na jednym wydechu.

— Von Tiebolta tu nie ma, a z mojej strony nic ci nie grozi. Nie jesteśmy przeciwnikami.

Holcroft odwrócił się z wyciągniętymi wciąż rękami, niczym pchnięty sprężyną.

— Kim jesteś? Co tu, u diabła, robisz?! Zapal światło!

— Żadnego światła! Tylko słuchaj.

Amerykanin ze złością postąpił krok do przodu. Jakub dotknął przycisku latarki; Holcrofta oblała powódź zielonej poświaty, zmuszając go do osłonięcia dłonią oczu.

— Wyłącz to!

— Nie. Najpierw posłuchaj.

Holcroft wyprowadził prawą nogą kopniaka, trafiając Ben-Gadiza w kolano i, idąc za ciosem, rzucił się z zaciśniętymi mocno powiekami w jego kierunku. Młócił na oślep pięściami, starając się trafić w Izraelczyka.

Ben-Gadiz przykucnął i z półobrotu wbił bark w klatkę piersiową Amerykanina, ale nie ostudziło to zapędów Holcrofta. Poderwał w górę kolano, waląc nim Ben-Gadiza w skroń. Jednocześnie jego pięść wylądowała w ciemnościach na twarzy Jakuba.

Nie dopuścić do skaleczeń! Do żadnych śladów krwi na podłodze! Jakub porzucił latar-  
kę i przytrzymał Amerykanina za ramiona. Zaskoczyła go siła Holcrofta. Odezwał się najgło-  
śniej, jak pozwalały na to względy bezpieczeństwa:

— Musisz mnie wysłuchać! Nie jestem twoim wrogiem. Mam wiadomości od twojej  
matki. Mam list. Ona jest ze mną.

Amerykanin nie przestawał się szamotać; był na najlepszej drodze, by wyrwać się z  
krępującego uścisku.

— Kim jesteś?

— *Nachrichtendienst* — wyszeptał Ben-Gadiz.

Na dźwięk tej nazwy w Holcrofta wstąpił diabeł. Ryknął, a jego ramiona i nogi nabrały  
siły taranów, których nie sposób okiełznać.

— Za-bi-ję cccię...

Jakub nie widział innego wyjścia. Sprężył się do decydującego ataku i sięgnął błyska-  
wicznie palcami do szyi Amerykanina. Potarł kciukami po nabrzmiąłych żyłach zeszywnia-  
łego gardła i wymacał nerw. Nacisnął nań z całej siły. Holcroft padł jak rażony gromem.

Noel otworzył oczy. Wokół zalegały ciemności, ale te ciemności nie były zupełne.  
Ścianę zalewała padająca ukośnie powódź zielonego światła — tego samego zielonego świa-  
tła, które wcześniej go oślepiło — i na ten widok znowu wpadł w szal.

Leżał przyciśnięty do podłogi z lufą pistoletu przy głowie, a w jego ramię wpierało się  
czyjeś kolano. Gardło piekielnie bolało, ale mimo to wykręcił szyję, usiłując podnieść się z  
dywanu i odsunąć głowę jak najdalej od broni. Czuł, że kark może nie wytrzymać tego wysił-  
ku. Opał na plecy, dając na chwilę za wygraną i wtedy usłyszał zdyszany szept klęczącego  
nad nim mężczyzny.

— Nie oszukuj się. Gdybym był twoim wrogiem, już byś nie żył. Dociera to do ciebie?

— Ty jesteś moim wrogiem! — wymamrotał Noel ledwie dobywając głosu z obolałego  
gardła. — Powiedziałeś, że jesteś z *Nachrichtendienst*. To wróg Genewy... i mój wróg!

— Genewy bezwzględnie, ale nie twój.

— Kłamiesz!

— Zastanów się! Dlaczego nie pociągnąłem za ten spust? Koniec Genewy. Jesteś  
unieszkodliwiony, a zatem nie dochodzi do transferu funduszy. Skoro jestem twoim wrogiem,  
co mnie powstrzymuje od strzelenia ci w łeb? Jako zakładnika nie mogę cię wykorzystać, bo  
jaki miałoby to sens? Ty musisz tam być. A więc pozostawiając cię przy życiu niczego nie  
zyskuję... jeśli jestem twoim wrogiem.

Holcroft próbował skupić się na tych słowach, odgadnąć ukryte za nimi znaczenie, ale  
daremnie. Przemodne pragnienie strząśnięcia z siebie napastnika i rzucenia się na niego od-  
bierało mu zdolność logicznego rozumowania.

— Czego ode mnie chcesz?! Gdzie trzymasz moją matkę?! Powiedziałeś, że masz jakiś  
list.

— Po kolei. Najpierw chcę stąd wyjść. Z tobą. Wspólnie możemy dokonać tego, co  
*Wolfsschanze* uważa za niemożliwe.

— *Wolfsschanze*]... Czego dokonać?

— Doprowadzić do tego, by prawo działało na naszą korzyść. Doprowadzić do zadość-  
uczynienia.

— Doprowadzić... Kimkolwiek jesteś, jesteś niespełna rozumu.

— To opcja Har Sha'alav. Przejąć kontrolę nad milionami. Zwalczać ich. Wszędzie. Je-  
stem gotów udowodnić ci to w jedyny możliwy w tej chwili sposób. — Jakub Ben-Gadiz od-  
sunął pistolet od głowy Noela. — Weź mój pistolet — powiedział podając broń Holcroftowi.

Noel wpatrywał się z napięciem w twarz nieznajomego skrytą częściowo w cieniach rzucanych przez upiorną zielonkawą poświatę. Oczy, które nad sobą widział, należały do człowieka mówiącego prawdę.

— Pomóż mi wstać — mruknął w końcu. — Są tu schody służbowe. Znam drogę.

— Najpierw musimy doprowadzić pokój do poprzedniego stanu. Wszystko musi być, jak było.

*Nic nie jest, jak było...*

— Dokąd jedziemy?

— Do mieszkania przy ulicy de la Paix. Tam jest ten list. I dziewczyna.

— Dziewczyna?

— Siostra von Tiebolta. Jest przekonany, że ona nie żyje. Kazał ją zabić.

Wypadli z bocznej uliczki i popędzili w kierunku samochodu Żyda zaparkowanego przy des Granges. Wskoczyli do wozu — Ben-Gadiz za kierownicę, Holcroft obok niego. Noel trzymał się za gardło. Ból był tak intensywny, że zaczynał podejrzewać, iż ma porozrywane żyły.

— Nie pozostawiłeś mi wyboru — powiedział Jakub tonem usprawiedliwienia widząc, co przeżywa Holcroft.

— Za to ty mi go pozostawiłeś — odparł Noel. — Oddałeś mi swój pistolet. Jak się nazywasz?

— Jakub.

— Co to za imię?

— Hebrajskie... po waszemu Jacob. Ben-Gadiz.

— Ben co?

— Gadiz.

— Hiszpan?

— Sefardyjczyk — odparł Jakub. Zjechali ze wzgórza, przemknęli na pełnym gazie przez skrzyżowanie i pognali w kierunku jeziora. — Moja rodzina osiedliła się w początkach dziewiętnastego wieku w Krakowie. — Jakub skręcił w prawo i znaleźli się na małym, nie znanym Noelowi placyku.

— Myślałem, że jesteś bratem Kesslera — powiedział Holcroft. — Tym lekarzem z Monachium.

— Nic nie wiem o żadnym lekarzu z Monachium.

— On gdzieś tutaj jest. Recepcjonista w „d'Accord”, dając mi przed chwilą klucz do pokoju von Tiebolta, spytał, czy szukam Hansa Kesslera.

— A co to ma wspólnego ze mną?

— Recepcjonista wiedział, że Kesslerowie i von Tiebolt jedli razem obiad w apartamencie Johanna. Sądził, że brat Kesslera jeszcze tam jest.

— Chwileczkę — przerwał mu Jakub — czy on jest krępy i niewysoki.

— Nie mam pojęcia. Być może. Kessler mówił, że jest piłkarzem.

— On nie żyje. Wiemy to od twojej matki. Von Tiebolt go zabił.

Przypuszczam, że został zraniony przez twojego przyjaciela Ellisa i stał się dla nich niewygodnym ciężarem. Noel spojrział ze zdumieniem na Żyda.

— Chcesz przez to powiedzieć, że to on załatwił Williego? Zabił i porzucił nożem?

— To tylko przypuszczenie.

— Jezu Chryste!... A co z moją matką? Gdzie ona jest?

— O tym później.

— Teraz.

— Muszę zadzwonić do Helden. — Ben-Gadiz podjechał do krawężnika.

— Powiedziałem, teraz! — Holcroft wymierzył pistolet w Jakuba.

— Jeśli zdecydujesz się mnie zabić — powiedział Jakub — pragnę zaznaczyć, że zasłużyłem sobie na śmierć, podobnie zresztą jak i ty. Poprosiłbym cię, żebyś sam zadzwonił, ale nie mamy czasu na sentymenty.

— Mamy wystarczająco dużo czasu — odparł Noel. — Spotkanie w banku można przesunąć.

— W banku? W La Grande Banque de Geneve?

— Dzisiaj rano o dziewiątej.

— O Boże! — Ben-Gadiz chwycił Holcrofta za ramię i zniżył głos. Był to głos człowieka błagającego o coś więcej, niż darowanie życia. — Daj szansę opcji Har Sha'alav. Drugiej takiej już nie będzie. Zaufaj mi. Zlikwidowałem zbyt wielu ludzi, by przed dwudziestu minutami — kiedy miałem okazję zabić ciebie — drgnęła mi ręka. Musimy wiedzieć w najdrobniejszych szczegółach, na czym stoimy. Może Helden już się czegoś dowiedziała...

Noel przyglądał się uważnie twarzy Ben-Gadiza.

— Dzwon. Powiedz jej, że jestem tutaj i oczekuję wyjaśnień od was obojga.

Mknęli wąską, podmiejską szosą, mijając po drodze bramy wiejskich zabudowań. Ani kierowca, ani pasażer zdawali się nie zwracać uwagi na ujadanie rozwścieczonych psów wyrwanych nagle ze snu przez pędzący samochód. Droga skręcała w lewo. Jakub zgasił silnik i wóz pchany siłą bezwładności wtoczył się pod osłonę porastających pobocze zarośli.

— Psie uszy wychwytyją nagłe wyciszenie gaszonego silnika. Gorzej u nich z reakcją na *diminuendo*.

— Jesteś muzykiem?

— Byłem skrzypkami.

— Dobrym?

— Grałem w orkiestrze symfonicznej Tel-Awiwu.

— Dlaczego więc...?

— Znalazłem sobie bardziej odpowiednie zajęcie — nie dał mu skończyć Ben-Gadiz. — Szybko, wysiadaj. Zdejmij płaszcz i zabierz ze sobą broń. Postaraj się zamknąć drzwiczki bez hałasu. Pawilon gościnny stoi pewnie daleko od drogi, ale go znajdziemy.

Posiadłość otoczona była grubym murem z cegieł, zwieńczonym serpentyną drutu kolczastego. Jakub wspiał się na drzewo, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

— Czujników alarmowych nie ma — stwierdził. — Uruchamiałyby je co chwila małe zwierzęta. Ale i tak paskudnie to wygląda. Zwoje drutu mają ponad pół metra średnicy. Będziemy musieli przez nie przeskoczyć.

Zlął na dół, przykucnął przy murze i zrobił siodełko z dłoni.

— Stawaj — rzucił do Noela.

Pierścień drutu kolczastego na szczycie muru był nie do ominięcia; szczelnie pokrywał parapet nie pozostawiając miejsca na postawienie nogi.

Holcroft zdołał znaleźć na samej krawędzi punkt oparcia dla dużego palca lewej stopy i odbiwszy się w górę, przesadził złowieszczy zwój drutu, spadając jak kamień na ziemię. Rozdarł sobie przy tym marynarkę, podrapał kostki stóp, ale był po drugiej stronie. Wstał, ledwie świadomy swego ciężkiego sapania, nie czując prawie bólu w gardle i w goleniach. Jeśli niezajomy przekazał Helden przez telefon rzetelne informacje, od Althene powinno go teraz dzielić nie więcej niż kilkaset metrów.

Na szczycie muru, na tle nocnego nieba zamajaczyła niczym ogromny ptak sylwetka Żyda. Przeskoczył zwój drutu i spadł miękko na ziemię. Przekoziołkował jak akrobata amortyzujący upadek i zerwał się na nogi tuż przy Noelu, unosząc do oczu nadgarstek, by spojrzeć na zegarek.

— Dochodzi szósta. Wkrótce zacznie świtać. Szybko.

Zaczęli się przedzierać przez lasek, omijając sterczące gałęzie i przeskakując splecione krzaki. Wreszcie natrafili na bity trakt prowadzący do pawilonu gościnnego. Widzieli w oddali nikły blask światła, sączący się z małych, gotyckich okien.

— Stop! — syknął Ben-Gadiz.

— Co jest? — Na ramię Noela spadła ciężko dłoń Jakuba. Izraelczyk naparł na niego i pociągnął za sobą na ziemię. — Co ty wyprawiasz?

— Cicho bądź! Widzę jakieś poruszenie wewnątrz domu. Tam ktoś jest.

Wyteżając wzrok Noel spojrział poprzez źdźbła trawy w kierunku budynku oddalonego o około sto metrów, ale niczego nie dostrzegł.

— Nikogo nie widzę.

— Patrz na światło. Raz rozbłyska, raz przygasa. Przed lampami chodzą ludzie.

Rzeczywiście występowały tam pewne subtelne zmiany jasności. Normalne oko — oko człowieka zmęczonego biegiem — mogło tego nie zauważyć, jednak te zmiany z całą pewnością następowały.

— Masz rację — wyszeptał Noel.

— Chodź — odparł Jakub. — Przekradniemy się między drzewami i podejmiemy z boku.

Wrócili do lasu, by po chwili wynurzyć się na skraju małego boiska do gry w krykieta. Chłodna noc sprawiła, że trawa i bramki były zimne i sztywne. Za tą płaską łąką widać było okna domu.

— Przebiegnę pierwszy i dam ci znak — wyszeptał Jakub. — Pamiętaj — żadnego hałasu.

Żyd przemknął przez trawnik i przykucnął przy oknie. Po chwili wyprostował się powoli i zajrzał do środka. Noel w tym czasie przygotował się do wybiegnięcia z zarośli.

Sygnal nie nadchodził. Ben-Gadiz stał bez ruchu przy oknie i nic nie wskazywało na to, by miał zamiar podnieść rękę. Co tam się dzieje? Dlaczego nie daje znaku?

Holcroft nie wytrzymał. Zerwał się na nogi i pognął przez boisko.

— Idź stąd! — wyszeptał Żyd z naciskiem, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

— Dlaczego? Przecież ona tam jest!

Ben-Gadiz odsunął Holcrofta stanowczym gestem.

— Powiedziałem odejść! Musimy się stąd zmywać...

— Ani mi się śni! — Noel gwałtownie poderwał w górę rękę, uwalniając się z uścisku Żyda. Podskoczył do okna i zajrzał.

Wszelświat eksplodował. Mózg poszedł w strzępy. Chciał krzyknąć, ale nie mógł. Sparaliżowała go zgroza — bezgłośna, odbierająca zmysły.

W półmroku pokoju zobaczył ciało matki przewieszane bezwładnie przez poręcz fotela. Jej pełną gracji, cudowną głowę żłobiły strużki krwi — dziesiątki czerwonych rzeczek na pomarszczonej skórze.

Noel uniosł ręce, ramiona, całego siebie w procesie eksplozji. Czuł, że zaraz poderwie się w powietrze. Pięści same poszybowały ku szklanej tafli szyby.

Ale do zderzenia nie doszło. Czyjeś ramię otoczyło jego szyję, czyjaś dłoń zatkała usta; dwie ręce, niczym gigantyczne macki, odciągnęły jego głowę brutalnie w tył i poderwały go w górę omal nie łamiąc kręgosłupa. Wierzgającego nogami powaliły na ziemię, wciskając mu w nią twarz dopóty, dopóki nie miał już czym oddychać. A wtedy gardło przeszył ostry, przenikliwy ból i powrócił żar rozpalający krtań.

Zdawał sobie sprawę, że się porusza, ale nie wiedział, jak i po co. Gałęzie chlastały go po twarzy, czyjeś ręce waliły w plecy, pchając naprzód w kierunku ciemności. Nie wiedział, jak długo trwał w tym stanie, ale w końcu ujrzał przed sobą kamienny mur. Do jego uszu przebiła się szorstka komenda:

— Właź na górę! Przez druty!

Zaczynał przytomnieć. Czuł, jak ostre, metalowe kolce wchodzi mu w ciało, drapią skórę, draż ubranie. Potem ktoś go włókł po twardej nawierzchni i cisnął na drzwiczki samochodu.

Kiedy ponownie wróciła mu świadomość, siedział w samochodzie i gapił się tępo przez przednią szybę. Świtało.

Siedział wyczerpany, otumaniony w fotelu i czytał list od Althene:

*Najdroższy Noelu!*

*Mało prawdopodobne, abyśmy się jeszcze zobaczyli, ale błagam Cię, nie rozpaczaj po mnie. Może później, ale nie teraz. Teraz nie ma na to czasu.*

*Postąpiłam tak z tej prostej przyczyny, że tak było trzeba, a ja byłam najwłaściwszą osobą, która mogła się tego podjąć. Nawet jeśli mógłby tego dokonać ktoś inny, wcale nie jestem pewna, czy bym mu się pozwoliła wyręczyć.*

*Nie chcę dłużej trwać w kłamstwie, w którym żyłam przeszło trzydzieści lat. Mój nowy przyjaciel, pan Ben-Gadiz, wszystko Ci wytłumaczy. Powiem tylko, że nie zdawałam sobie sprawy, w jakiej mistyfikacji biorę udział, ani — Boże, wybac mi — jaką rolę wyznaczono w niej Tobie.*

*Pochodzę z innej epoki, z epoki, w której długi trzeba było nazywać po imieniu, a honoru nie uważało się za anachronizm. Z ochotą spłacam mój dług w nadziei, że może w ten sposób odzyskam chociaż resztki honoru.*

*Gdybyśmy się już nie spotkali, wiedz, że byłeś wielką radością mego życia. Gdyby kiedykolwiek ktoś potrzebował dowodu na to, że jesteśmy lepsi, niżby na to wskazywało nasze pochodzenie, Ty jesteś tego najlepszym przykładem.*

*Jeszcze kilka słów na temat Twojej przyjaciółki Helden. Zawsze chciałam mieć taką córkę. Znam ją zaledwie od kilku godzin, a już zdążyła mi uratować życie, narażając przy tym swoje. To prawda, że przychodzi taki moment, kiedy przypomina się człowiekowi całe życie. Ja przeżyłam właśnie taką chwilę, a ona zaskarbiła sobie moją głęboką wdzięczność.*

*Niech Bóg Cię strzeże, Noelu.*

*ALTHENE*

Holcroft spojrział na Jakuba stojącego przy oknie i zapatrzonego w szarość zimowego poranka.

— W czymże to nie pozwoliłaby się nikomu wyręczyć? — spytał.

— Chodziło jej o spotkanie z moim bratem — odpowiedziała Helden z drugiego końca pokoju.

Noel zacisnął pięści i zamknął oczy.

— Ben-Gadiz powiedział, że on kazał cię zabić.

— Tak. On kazał zabić wielu ludzi.

— Matka napisała — zwrócił się Holcroft do Ben-Gadiza — że wytłumaczysz mi, na czym polega to kłamstwo.

— Lepiej niech to zrobi Helden. Wie więcej ode mnie.

— Czy dlatego wyjechałaś do Londynu? — spytał Noel.

— Dlatego wyjechałam z Paryża — odparła. — Ale nie do Londynu, a do małej wioski nad jeziorem Neuchatel.

Opowiedziała mu o Wernerze Gerhardtzie, o *Wolfsschanze*, o monecie, która ma dwie strony. Starła się nie pominąć żadnego szczegółu z tego, co usłyszała od ostatniego z *Nachrichtendienst*.

Kiedy skończyła, Holcroft podniósł się z krzesła.

— A więc przez cały czas byłem marionetką w tej intrydze. Marionetką drugiej strony *Wolfsschanze*.

— Jesteś kluczem do sejfów *Sonnenkinder* — powiedział Ben-Gadiz. — Dzięki tobie mieli prawo po swojej stronie. Tak ogromne sumy nie mogą się pojawić poza systemem, znikąd, jak spod ziemi. Łańcuch przepisów prawnych musi się zazębiać, bo w przeciwnym razie doszłoby do zakwestionowania tych pieniędzy. *Wolfsschanze* nie mógł sobie na to pozwolić. To było genialne oszustwo.



Noel wpatrywał się w ścianę przy drzwiach do sypialni. Stał przed tapetą w tonący w półmroku, trudny do zdefiniowania wzór z zachodzących na siebie, koncentrycznych kół. Przytłumione światło lub jego własny, rozkojarzony wzrok wprawiały je w wywołujący mdłości ruch wirowy. Koła kurczyły się przechodząc w czarne punkciki, by po chwili rozrosnąć się znowu w ogromne kręgi. *Koła. Kręgi oszustwa.* Nie było w tych kołach prostej prawdy, sam tylko fałsz. Same kłamstwa!

Usłyszał krzyk wydobywający się z własnej krtani i poczuł, że tłucze rękami o ścianę. Walił wściekle, z furją, ogarnięty jednym pragnieniem: zniszczyć te straszne koła.

Dotknęły go czyjeś ręce.

*Krzyczał do niego człowiek cierpiący. I ten człowiek okazał się fałszem!*

*Gdzie jest? Co zrobił?*

Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Koła rozmasały się w chaotyczną plataninę. Helden trzymała go w ramionach, przytulając policzek do jego twarzy i czułymi palcami ocierając mu łzy.

— Mój kochany. Mój jedyny...

— Za-bi-je! — usłyszał znowu własny krzyk przesycony strasliwą determinacją.

— Tak, zabijesz — rozległ się głos, który odbił się echem po zakamarkach jego świadomości. Był głośny i wibrujący. Należał do Ben-Gadiza, który odsunął na bok Helden, chwycił Noela za ramiona, obrócił twarzą do siebie i przyparł do ściany. — Zabijesz!

Noel usiłował wyostrzyć wzrok, zapanować nad rozdygotanym ciałem.

— Próbowałeś mnie powstrzymać, żebym jej nie zobaczył!

— Wiedziałem od razu, że mi się to nie uda — odparł cicho Jakub. — Wiedziałem, kiedy skoczyłeś. Wyszkolono mnie jak mało kogo na świecie, ale ty masz w sobie coś wyjątkowego. Nie wiem, czy warto na ten temat spekulować, ale rad jestem, że nie zaliczasz się do moich wrogów.

— Nie rozumiem?

— Proponuję ci opcję Har Sha'alav. Będzie to wymagało wyjątkowej dyscypliny, najwyższej, na jaką cię stać. Będę szczery: ja tego zrobić nie mogę, ale może tobie się uda.

— Na czym polega ta opcja?

— Pójdiesz na spotkanie do banku. Spotkasz się tam z mordercą twojej matki, z człowiekiem, który kazał zabić Helden, który kazał zamordować Richarda Holcrofta. Staniesz z nim twarzą w twarz, oko w oko. Podpiszesz dokumenty.

— Chyba oszalałeś! Popieprzyło ci się we łbie!

— Nie! Przystudiowaliśmy wszystkie prawne aspekty. Zażądają od ciebie podpisania deklaracji. Stanowi ona, że na wypadek śmierci przelewasz wszystkie prawa i przywileje na współspadkobierców. Czyniąc to, wydajesz na siebie wyrok śmierci. Ale podpisz! To nie będzie wyrok na ciebie, a na nich!

Noel spojrział w ciemne, przenikliwe oczy Jakuba. Była w nich znowu szczerą prawdą. Przez moment nikt się nie odezwał. Holcroft zaczął powoli odzyskiwać nad sobą kontrolę, wracał do równowagi.

— Będą mnie szukali — powiedział. — Myślę, że pogałem do pokoju von Tiebolta.

— Byłeś tam. Wychodząc, nie założyliśmy nitek w drzwiach. Stwierdziłeś, że nikogo nie ma, więc wyszedłeś.

— I gdzie poszedłem? Będą mnie pytali.

— Znasz dobrze miasto?

— Nie bardzo.

— W takim razie wzięłeś taksówkę. Kazałeś jechać kierowcy wzdłuż bulwarów i zatrzymywać się przy nabrzeżach i molach. Szukałeś kogoś, kto mógł widzieć twoją matkę. To nawet prawdopodobne — myślę, że jesteś w panice.

— Dochodzi siódma trzydzieści — powiedział Noel. — Zostało półtorej godziny. Wró-

cę do hotelu. Spotkamy się po załatwieniu formalności w banku.

— Gdzie? — spytał Jakub.

— Wynajmijcie z Helden pokój w „Excelsiorze”, podając się za małżeństwo. Bądźcie tam po dziewiątej trzydzieści, ale na długo przed południem. Mieszkam w pokoju czterysta jedenaście.

Stał przed drzwiami hotelowego pokoju. Było trzy po ósmej. Ze środka dochodził gwar podniesionych głosów. Dominował wśród nich głos von Tiebolta, który mówił oskarżającym, zwiastującym użycie przemocy tonem.

Przemoc. Holcroft wziął głęboki oddech i siłą woli stłumił instynkty, które na nowo się w nim rozpały. Za chwilę stanie oko w oko z człowiekiem, który zabił jego matkę i ojca, i spojrzy mu prosto w oczy, nie dając po sobie poznać, jakie targają nim namiętności.

Zapukał do drzwi stwierdzając z ulgą, że nie drży mu ręka. Już po chwili patrzył w oczy jasnowłosego mordercy swoich najbliższych.

— Noel! Gdzie się podziewałeś?! Szukaliśmy wszędzie!

— Ja też — odparł Holcroft. Symulowanie zmęczenia nie przysparzało mu trudności, ale kontrolowanie wściekłości było prawie niemożliwe. — Szukałem jej przez całą noc. Nie znalazłem. Jej tu chyba wcale nie ma.

— Będziemy dalej próbowali — powiedział von Tiebolt. — Napij się kawy. Wkrótce wychodzimy do banku i nareszcie będzie po wszystkim.

— Tak, nareszcie będzie po wszystkim... — powtórzył Noel.

Siedzieli w trójkę po jednej stronie długiego, konferencyjnego stołu — Holcroft w środku, Kessler po jego lewej ręce, a von Tiebolt po prawej. Naprzeciwko zajęto miejsca dwóch dyrektorów La Grande Banque de Geneve.

Każdy z obecnych miał przed sobą plik identycznych, ułożonych w takiej samej kolejności prawniczych dokumentów. Przeglądano maszynopisy, przerzucano kolejne strony tekstu. Minęła przeszło godzina, zanim cenny dokument został odczytany w całości na głos.

Pozostały jeszcze dwa załączniki. Okładki teczek, w których się znajdowały, obwiedzione były granatową ramką. Głos zabrał dyrektor siedzący po lewej:

— Pewien jestem, że zdajecie sobie, panowie, sprawę, iż w świetle obowiązujących przepisów, w przypadku rachunku bankowego opiewającego na taką sumę i przeznaczonego na takie cele, bank nasz nie jest w stanie wziąć na siebie prawnej odpowiedzialności za dystrybucję funduszy, kiedy konto zostanie już odblokowane i nie będzie pozostawało pod naszą kontrolą. Ten dokument stanowi wyrażnie o istocie odpowiedzialności. Jest ona podzielona po równi pomiędzy trzech współdysponentów. I tak, prawo wymaga od każdego z panów podpisania deklaracji o zrzeczeniu się na rzecz pozostałych współspadkobierców wszystkich praw i przywilejów w wypadku swojej wcześniejszej śmierci. Zastrzeżenie to nie dotyczy jednak zapisów indywidualnych: w wypadku śmierci któregoś z panów suma, na jaką opiewa taki zapis, rozdzielona zostanie pomiędzy wskazane przez panów osoby. — Dyrektor założył okulary. — Proszę, przeczytajcie, panowie, dokumenty znajdujące się przed wami i sprawdźcie, czy oddają one dokładnie to, co starałem się wam przekazać, po czym podpiszcie je swoimi nazwiskami w obecności pozostałych. Wymieńcie się dokumentami tak, aby podpis każdego z was figurował na każdej stronie.

Czytanie przebiegało szybko; przyszła kolej na składanie podpisów i wymienianie się stronami. Noel, wręczając Kesslerowi podpisany przez siebie dokument, powiedział od niechcienia:

— A właśnie, zapomniałem cię o coś zapytać, Erichu. Gdzie jest twój brat? Wydawało mi się, że miał być tu, w Genewie.

— W tym całym zamieszaniu zapomniałem ci powiedzieć — odparł z uśmiechem

Kessler. — Hansa zatrzymały w Monachium pilne sprawy, ale jestem pewien, że dołączy do nas w Zurychu.

— W Zurychu?

Naukowiec zerknął przez ramię Holcrofta w kierunku von Tiebolta.

— No tak, w Zurychu. Wydawało mi się, że planowaliśmy wyjazd na poniedziałek rano.

Noel odwrócił się do blondyna.

— Nic mi o tym nie mówiłeś. .

— Nie było czasu. Czyżby poniedziałek ci nie odpowiadał?

— Nic podobnego. Może do tego czasu moja matka da o sobie znać.

— Słucham?

— Moja matka albo chociaż Helden. Powinna już zadzwonić.

— Tak, oczywiście. Jestem pewien, że obie się z tobą skontaktują.

Ostatnia klauzula dokumentu dotyczyła formalnego odblokowania konta. Włączono zaprogramowany uprzednio komputer. Po złożeniu podpisów pod dokumentem przez wszystkie obecne w pokoju osoby, z jego klawiatury wprowadzony zostanie kod zwalniający fundusze i przelewający je na bank w Zurychu.

Kiedy został złożony ostatni podpis, siedzący po prawej stronie dyrektor podniósł słuchawkę telefonu.

— Proszę wprowadzić następujący kod do jedenastego banku danych komputera. Jesteście gotowi?... Dyktuję: sześć, jeden, cztery, cztery, dwa. Łamane przez cztery. Osiem, jeden, zero, zero. Łamane przez zero... Proszę powtórzyć. — Dyrektor słuchał przez chwilę, potem pokiwał potakująco głową. — Zgadza się. Dziękuję.

— Czy to już wszystko? — spytał jego kolega.

— Tak, wszystko — odparł dyrektor. — Panowie, od tego momentu suma w wysokości siedmiuset osiemdziesięciu milionów dolarów amerykańskich znajduje się na waszym wspólnym koncie w La Banque du Livre w Zurychu. Niech udzieli się wam mądrość proroków, a decyzjami waszymi niechaj pokieruje Bóg.

— Jakie masz plany, Noel? — zapytał von Tiebolt, gdy znaleźli się na ulicy. — Pamiętaj, że wciąż musimy być ostrożni. *Nachrichtendienst* tak łatwo nie zrezygnuje.

— Wiem... Moje plany? Mam zamiar szukać matki. Ona gdzieś jest. Musi gdzieś być.

— Poprzez mojego przyjaciela, deputowanego, załatwiłem ochronę policyjną dla nas trzech. Twój opiekun zjawi się w „Excelsiorze”, nasi będą czekać w „d'Accord”. Chyba że wolałbyś przeprowadzić się do nas.

— Za dużo zamieszania — powiedział Holcroft. — Już się tam zadomowiłem. Zostanę w „Excelsiorze”.

— Czy ruszamy rano do Zurychu? — spytał Kessler ustępując prawa decydowania von Tieboltowi.

— Dobrze byłoby podróżować oddzielnie — wtrącił Holcroft. — Jeżeli policja nie miałaby nic przeciwko temu, mógłbym już wyruszyć samochodem.

— Bardzo dobry pomysł, przyjacielu — odparł von Tiebolt. — Policja nie powinna mieć obiekcji, a podróż w pojedynkę będzie najlepszym wyjściem. Ty, Erichu, pojedziesz pociągiem, Noel samochodem, a ja polecę samolotem. Zarezerwuję dla nas wszystkich pokoje w hotelu „Columbine”.

Holcroft skinął głową.

— Gdybym do jutra nie dostał wiadomości od matki ani od Helden, zostawię wskazówki, by mnie tam szukały — powiedział. — Złapię taksówkę. — Szybkim krokiem podszedł do narożnika. Jeszcze minuta, a eksploduje cała kipiąca w nim złość. Zabiłby wtedy von Tiebolta gołymi rękami.

— On wie — powiedział spokojnie Johann. — Ile, nie jestem pewien. Ale wie.

— Na jakiej podstawie tak sądzisz? — spytał Kessler.

— Z początku miałem tylko niejasne przeczucie, a teraz jestem pewien. Zapytał o Hansa i niby zaakceptował twoje wyjaśnienie, że wciąż jest w Monachium. On wie, że to nieprawda. Recepcjonista w „d'Accord” proponował mu ostatniej nocy, żeby zadzwonił do pokoju Hansa.

— O mój Boże...

— Nie denerwuj się. Nasz amerykański kolega umrze w drodze do Zurychu.

Zamach na życie Noela — jeśli jest planowany — będzie miał miejsce na odcinku trasy między Fryburgiem i Koniz. Taka była opinia Jakuba Ben-Gadiza. Odległość między tymi miejscowościami wynosiła trochę ponad dwadzieścia kilometrów. Droga wiodła poprzez wzgórza i o tej porze roku była mało uczęszczana. To przecież zima i chociaż klimat nie jest tam alpejski, śnieg pada często, a drogi nie są najlepsze. Odradza się je kierowcom. Ale Holcroft wytyczył sobie trasę omijającą autostrady, wiodącą przez malownicze miasteczka z zabawkami architektury, które, jak twierdził, chce koniecznie zobaczyć.

Podkreślić tu należy, iż trasę wytyczył Jakub, a Noel pokazał ją tylko policjantom, którym przydzielił mu deputowany, by eskortowali go w podróży na północ. Fakt, że nikt nie starał się odwieść Holcrofta od wybranej wersji trasy, utwierdził Żyda w jego przypuszczeniach.

Jakub starał się ponadto przewidzieć metodę zabójstwa. Ani von Tiebolt, ani Kessler nie pojawią się w okolicach miejsca zbrodni. Każdy z nich będzie się afiszował swoją obecnością zupełnie gdzie indziej. I jeśli faktycznie miało dojść do egzekucji, zostanie ona przeprowadzona przez możliwie najmniej liczny zespół — przez płatnych zabójców nie związanych z *Wolfsschanze*. Nie było miejsca na najmniejsze ryzyko, zwłaszcza że od spotkania w La Grande Banque de Geneve upłynęło tak niewiele czasu. Zabójca lub zabójcy zostaną z kolei zlikwidowani przez *Sonnenkinder*. W ten sposób zatrze się wszystkie ślady prowadzące do *Wolfsschanze*.

Tak widział ogólną strategię Ben-Gadiz. Należało zatem opracować kontrstrategię, która pozwoliłaby Noelowi dotrzeć bezpiecznie do Zurychu — tylko to się liczyło. Znalazłszy się w Zurychu, przejmą inicjatywę. Istnieje mnóstwo sposobów na dokonanie zabójstwa w dużym mieście, a Jakub był we wszystkich ekspertem.

Podróż się rozpoczęła, kontrstrategia wchodziła w życie. Holcroft jechał ciężkim wozem wynajętym w genewskiej agencji „Bonfils”, najdroższej w Szwajcarii firmie zajmującej się wynajmem samochodów. Firma ta specjalizowała się w niezwykłych samochodach dla niezwykłych klientów. Zdecydowali się na opancerzonego rolls-royce'a wyposażonego w kuloodporne szyby i odporne na przebicie opony.

Helden, prowadząca niepozornego, ale zwrotnego renaulta, wyprzedzała Holcrofta o jakiś kilometr. Ben-Gadiz jechał szybkim maserati w odległości około pół kilometra za Noelem. Pomiędzy Jakubem a Holcroftem sunął wóz policyjny z dwoma ludźmi przydzielonymi Amerykaninowi dla ochrony. Policjanci nie mieli o niczym pojęcia.

— Na pewno wóz im się popsuje na trasie — mówił Jakub, kiedy w trójkę studiowali mapy w pokoju hotelowym Noela. — Nie poświęcą ich, zrodziłoby to zbyt wiele pytań. Są autentycznymi policjantami. Zdobyłem numery ich odznak i zadzwoniłem do Litvaka. To pierwszo roczniacy z koszar kwatery głównej, a więc mało doświadczeni.

— Czy jutro będą ci sami?

— Tak. Mają rozkaz nie odstępować cię, dopóki nie zostaniesz przejęty przez zuryską policję. Według mnie odbędzie się to tak: wóz im nawali, połączą się z przełożonymi i zostaną odwołani do Genewy. Rozkaz zapewnienia ci ochrony przestanie obowiązywać.

— A więc to tylko mydlenie oczu?

— Dokładnie. Prawdę mówiąc, spełniają jednak swoją rolę. Dopóki masz ich w zasięgu wzroku, jesteś bezpieczny. Nikt niczego nie będzie próbował.

„Teraz ich widzę” — pomyślał Noel spoglądając w lusterko wsteczne i naciskając hamulec rolls-royce'a przed długim, zakręcającym zjazdem ze wzgórza. Daleko w dole widział

wychodzący już na prostą samochód Helden. Za dwie minuty zwolni, zaczeka, aż zobaczą się wyraźnie, po czym znowu doda gazu. Tak zakładał plan. Wykonała już taki manewr dokładnie trzy minuty temu. Co pięć minut mają być w kontakcie wzrokowym. Zapragnął z nią porozmawiać. Po prostu porozmawiać... zwyczajnie, spokojnie porozmawiać... nie mieć nic wspólnego ze śmiercią ani z kontemplacją śmierci, ani ze strategiami, które pozwalają jej uniknąć.

Ale taka rozmowa będzie możliwa dopiero po wydarzeniach, do których dojdzie w Zurychu. A w Zurychu będzie śmierć, ale nie taka, o jakiej kiedykolwiek myślał Holcroft. Bo to on, nikt inny, będzie tam mordercą. Spojrzy Johannowi von Tieboltowi w oczy i oznajmi, że zamierza go zabić.

Jechał zbyt szybko. Wściekłość skłaniała go do zbyt silnego naciskania pedału gazu. Zwolnił. Nie czas na wyręczenie von Tiebolta. Zaczynał prószyć śnieg i na biegnącej w dół drodze zrobiło się ślisko.

Jakub przeklinał padający śnieg nie dlatego, że utrudniał jazdę, ale że ograniczał widoczność. Zdali się na kontakt wzrokowy. Porozumiewanie się przez radio nie wchodziło w grę, gdyż rozmowy mogły zostać łatwo przechwycone.

Ręka Izraelczyka dotknęła kilku przedmiotów spoczywających na siedzeniu obok; identyczne znajdowały się w rollisie Holcrofta. Odgrywały ważną rolę w ich kontrstrategii — rolę najważniejszą.

Materiały wybuchowe. Wszystkiego osiem sztuk. Cztery ładunki owinięte plastikiem, nastawione na wybuch dokładnie trzy sekundy po wstrząsie, i cztery przeciwczołgowe granaty. Arsenалу dopełniały jeszcze dwie sztuki broni: automatyczny kolt z wyposażenia *U.S.Army* i karabin. Oba naładowane, odbezpieczone, gotowe do strzału. Wszystko to zostało nabyte dzięki kontaktom Litvaka w Genewie. W spokojnej Genewie, gdzie taki towar dostępny był w ilościach mniejszych, niżby sobie tego życzyli terroryści, ale w większych, niż przypuszczają szwajcarskie władze.

Ben-Gadiz uważnie badał drogę. Jeśli w ogóle ma do tego dojść, nastąpi to wkrótce. Samochód policyjny jadący kilkaset metrów przed nim zostanie unieruchomiony, prawdopodobnie za sprawą kwasu, którym uprzednio pokryto błotniki i wyliczono czas działania tak, by gdzieś tutaj przeżarł opony. Może też nastąpi zatkanie przewodów koagulatorem, którym uprzednio wypełniono chłodnicę... jest tyle sposobów. W każdym razie samochód policyjny rozkraczy się nagle i Holcroft zostanie sam.

Jakub miał nadzieję, że Noel pamięta dokładnie, co ma robić, jeśli zbliży się do niego obcy samochód. Powinien wtedy jechać zygzakami, Jakub zaś przyśpieszy, zbliży się swoim maserati do obcego wozu, ciśnie weń plastikowym ładunkiem i zaczeka kilka drogocennych sekund na eksplozję. Tymczasem Holcroft będzie się starał wydostać ze strefy rażenia. W przypadku wystąpienia jakichś problemów — gdyby na przykład nie wybuchł wadliwy ładunek — w rezerwie pozostawały jeszcze granaty.

To powinno wystarczyć. Von Tiebolt nie zaryzykuje wysłania więcej niż jednego wozu egzekucyjnego. Prawdopodobieństwo pojawienia się przypadkowych kierowców, mimowolnych świadków zdarzenia, było zbyt duże. Zabójców będzie niewielu i będą zawodowcami. Przywódca *Sonnenkinder* nie jest idiotą. Jeśli Holcroft nie zginie na drodze do Koniz, umrze w Zurychu.

„I to jest błąd *Sonnenkinder*” — pomyślał z satysfakcją Jakub. Von Tiebolt nie wie o istnieniu Jakuba Ben-Gadiza, człowieka, który także nie jest idiotą i również jest zawodowcem. Amerykanin dotrze do Zurychu, a kiedy już się tam znajdzie, Johann von Tiebolt i Erich Kessler będą martwi. Zabije ich człowiek zaślepiiony wściekłością.

Jakub znowu zaklął. Śnieg sypał coraz gęstszy, coraz większymi płatkami. Wielkość tych ostatnich zwiastowała, że śnieżycy nie potrwa długo. Na razie jednak wprowadzała utrudnienie, które napawało go niepokojem.

Nie widział nigdzie policyjnego samochodu! Gdzie się podział? Droga obfitowała w ostre zakręty i liczne odnogi. Nigdzie jednak nie było samochodu policyjnego. Zgubił go! Jak, na miłość boską, mógł do tego dopuścić?!

I nagle go zobaczył. Odetchnął z ulgą i nacisnął mocniej pedał gazu, żeby zmniejszyć dystans. Nie może sobie pozwolić na dekoncentrację. Nie siedzi przecież w filharmonii w Tel-Awiwie. Samochód policyjny jest niezmiernie ważny; ani na moment nie wolno stracić go z oczu.

Jechał szybciej niż sądził; miał siedemdziesiąt trzy kilometry na godzinę na liczniku. Dlaczego? To o wiele za duża prędkość, jak na tę górską drogę.

Wkrótce już wiedział dlaczego. Starał się zmniejszyć odległość dzielącą go od samochodu genewskiej policji, ale ten jechał coraz szybciej. Ostro wchodził w zakręty, dosłownie pruł poprzez śnieżycę... doganiając Holcrofta!

Czy kierowca oszalał?

Ben-Gadiz obserwował z niepokojem jego poczynania, próbując cokolwiek zrozumieć. Coś mu tu nie pasowało, ale nie bardzo umiał to określić. Co oni wyprawiają?

I wtedy dostrzegł coś, czego wcześniej nie było.

Wgniecenie w bagażniku policyjnego wozu. Wgniecenie! W bagażniku wozu, za którym jechał przez ostatnie trzy godziny, nie było żadnego wgniecenia!

To inny wóz policyjny!

Z jednej z odnóg labiryntu zakrętów wydane zostało przez radio polecenie nakazujące oryginalnemu samochodowi policyjnemu zjazd z drogi. Jego miejsce zajął inny wóz. A to znaczyło, że siedzący w nim ludzie wiedzieli o maserati, a Holcroft — co było nieskończenie bardziej groźne — nie wiedział o n i c h.

Wóz policyjny wszedł w łagodny zakręt. Poprzez śnieżną zawieję do uszu Jakuba dotarły przeciągłe wycia jego klaksonu. Dawali sygnały Holcroftowi. Doganiali go.

— Nie! Nie rób tego! — krzyczał Jakub do szyby, naciskając kciukami klakson i usiłując jednocześnie utrzymać kierownicę, by wyprowadzić samochód z poślizgu, w jaki wpadł na zakręcie. Docisnął do dechy pedał gazu i pomknął za wozem policyjnym, który wyprzedził go teraz o jakieś pięćdziesiąt metrów. — Holcroft! Nie!

Nagle przednią szybę pocięła pajęczyna pęknięć. Pojawiły się w niej maleńkie krążki śmierci. Czuł, jak okruchy szkła tną mu policzki i dłonie. Dostał. Przez wybitą tylną szybę policyjnego wozu ział do niego ogniem pistolet maszynowy.

Spod maski buchnął kłęb pary; eksplodowała chłodnica. W chwilę później poszły opony — strzępy gumy porwał prąd powietrza. Maserami zatoczył się gwałtownie w prawo i z całym impetem rąbnął w skarpe ciągnącą się wzdłuż drogi.

Ben-Gadiz, rycząc wściekle, zaczął walić z całej siły barkiem w drzwi, które nie chciały ustąpić. Za jego plecami pojawiły się pierwsze płomyki stojące w ogniu benzyny.

Holcroft dostrzegł w lusterku wstecznym wóz policyjny. Zbliżał się szybko, mrugając światłami. Nie ulegało wątpliwości, że policja daje mu znaki.

Na zakręcie nie było się gdzie zatrzymać; jakieś kilkaset metrów dalej powinien być odcinek prostej. Zwolnił. Wóz policyjny zrównał się z jego rollsem i w śnieżnej zadymce zamajaczyła niewyraźnie sylwetka młodego funkcjonariusza siedzącego obok kierowcy.

Słyszał wycie klaksonu i widział nieprzerwane, szybkie migotanie świateł. Opuścił szybę.

— Zatrzymam się, jak tylko...

Naraz zobaczył tę twarz. I wyraz tej twarzy. To nie był żaden z młodych policjantów z Genewy! Nigdy tej twarzy nie widział. I wtem dostrzegł lufę karabinu.

Podjął rozpaczliwą próbę podniesienia szyby, ale było już za późno. Usłyszał suchy trzask serii, oślepiły go błyski, odniósł wrażenie, że setka ostrych brzytw tnie mu skórę. Ujrzał własną krew rozbryzgującą się po szybie i bardziej wyczuł, niż usłyszał swój krzyk, rozlegający się echem po kabinie pędzącego samopasa samochodu.

Metal zazgrzytał o metal, pojękując pod tysiącem uderzeń. Deska rozdzielcza znalazła się w górze, pedały tam, gdzie powinien być sufit, a on to spadał na ten sufit, to odpadał od niego, to walił plecami w oparcie fotela, to znów lądował na szybie albo nadziewał się na kierownicę, aż wreszcie wyrzuciło go w przestrzeń, a potem cisnęło w jeszcze większą przestrzeń.

W tej nieokreślonej przestrzeni panował spokój. Zniknął ostry ból i poprzez mgłę, jaka spowiła mu umysł, Noel odszedł w otchłań.

Jakub wytłukł pistoletem resztki przedniej szyby. Karabin wskutek wstrząsu spadł na podłogę, plastikowy materiał wybuchowy spoczywał zabezpieczony taśmą w swoim pudełku, granaty gdzieś się zawieruszyły.

Cały ten arsenał był teraz bezużyteczny, pozostał mu tylko trzymany w ręku pistolet. Będzie z niego strzelał do ostatniego naboju. Do ostatniego tchu.

W fałszywym samochodzie policyjnym znajdowało się trzech mężczyzn. Ten trzeci — snajper — znowu przykucnął na tylnym siedzeniu. Ben-Gadiz dostrzegł jego głowę w wybitym tylnym oknie! Teraz! Wymierzył dokładnie poprzez kłęby pary i nacisnął spust. Twarz tamtego poderwała się po przekątnej w górę, by zaraz opaść na postrzępione resztki wybitej szyby.

Jakub jeszcze raz wyrznął z całej siły ramieniem w zablokowane drzwiczki; nieco opuściły. Musi się stąd jak najszybciej wydostać: ogień z tyłu gwarantował rychłą eksplozję zbiornika z paliwem. Zobaczył, jak kierowca samochodu policyjnego wpada swoim wozem na rolls-royce'a. Drugi mężczyzna był już na drodze i wsuwając rękę przez otwarte okno samochodu Holcrofta, szarpał za kierownicę. Próbowali zepchnąć go ze skarpy.

Ben-Gadiz naparł całym ciałem na drzwiczki. Otworzyły się na oścież. Jakub wypadł szczipakiem na pokrytą śniegiem drogę. Krew brocząca z ran skaziła biały puch setką czerwonych smug. Uniósł pistolet i otworzył ogień raz po raz naciskając spust, ale mgła przed oczami utrudniała mu celowanie.

I wtedy wydarzyły się równocześnie dwie straszne rzeczy.

Rolls przewalił się przez krawędź skarpy, a gęstym od śniegu powietrzem wstrząsnął terkot serii z pistoletu maszynowego. Strumień pocisków, wrywając z nawierzchni drogi kawałki asfaltu, przejechał Jakubowi przez nogi. Nie poczuł nawet bólu.

Nie czuł nic. Pełznąć i turlając się usiłował za wszelką cenę usunąć się z linii ognia. Jego dłonie natrafiły na porwaną gumę opon, potem na jakiś metal i jeszcze na metal, a wreszcie na skupiska okruchów szkła przemieszanych ze śniegiem.

Rozległ się huk eksplozji. Zbiornik paliwa w jego maserati stanął w płomieniach. I Ben-Gadiz usłyszał wykrzykiwane z oddali słowa:

— Nie żyją! Zawracaj! Zwijamy się stąd!

Napastnicy uciekli.

Helden zwolniła dobrą minutę temu. Noel powinien się już znaleźć w polu widzenia. Gdzie on się podziewa? Zatrzymała się na poboczu drogi i czekała. Kiedy minęły dwie następne minuty, zdecydowała, że nie może czekać dłużej.



Zawróciła i dociskając do dechy pedał gazu, ruszyła z powrotem pod górę. Przejechała tak kilometr, a Holcrofta dalej nie było. Zaczęły jej drżeć ręce. Coś się stało! Teraz była tego pewna, czuła to!

Zobaczyła maserati! Był rozbity. Płonął! O Boże! Gdzie wóz Noela? Gdzie Noel? Jakub?

Pocisnęła po hamulcach i z krzykiem wyskoczyła z samochodu. Przewróciła się na śliskiej nawierzchni, nie zdając sobie nawet sprawy, że to z powodu zranionej nogi. Zaraz jednak pozbierała się z trudem i znowu puściła biegiem, wołając:

— Noel! No-el!

Po twarzy klutej igiełkami zimnego powietrza spływały łzy. Krzyczała nie bacząc, że zdziera sobie struny głosowe. Nie potrafiła zapanować nad ogarniającą ją histerią.

Nagle usłyszała polecenie:

— Helden! Przestań. Tutaj...

Głos. Głos Jakuba! Ale skąd? Skąd dochodzi? Dobiegł ją znowu.

— Helden! Tutaj, na dole!

Skarpa. Podbiegła do skarpy i świat się zawalił. W dole leżał przewrócony do góry kołami, pogruhotany i dymiący rolls-royce. Na ziemi obok wraka rollsa ujrzała z przerażeniem Jakuba Ben-Gadiza. Zauważyła też krwawe ślady na śniegu, które tworzyły czerwony trop biegnący w poprzek drogi, a potem w dół skarpy aż do miejsca, gdzie leżał Jakub.

Helden skoczyła w dół i potoczyła się po ośnieżonym, usianym kamieniami zboczu, wykrzykując wyzwanie śmierci, o której wiedziała, że czekają tam, na dole. Zatrzymała się obok Ben-Gadiza i przez otwarte okno samochodu zobaczyła swoją miłość. Leżał nieruchomo z rozrzuconymi ramionami i twarzą we krwi.

— Nie!... Nie!

Jakub chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Ledwie był w stanie mówić, ale jego instrukcje były jasne.

— Wracaj do swojego wozu. O jakieś pięć kilometrów stąd, na południe od Treyvaux, jest mała wioska. Zadzwoni stamtąd do Litvaka. Do Pres-du-Lac nie jest daleko... dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia dwa kilometry. Niech wynajmie pilotów, szybkie samochody. Skontaktuj się z nim, powiedz mu o wszystkim.

Helden nie mogła oderwać wzroku od Noela.

— On nie żyje... nie żyje!

— Może żyje. Pośpiesz się!

— Nie mogę. Nie mogę go zostawić!

Ben-Gadiz uniósł pistolet.

— Jeżeli nie zrobisz zaraz, jak powiedziałem, zabiję go.

Litvak wszedł do pokoju, w którym na łóżku z obandażowaną dolną połową ciała leżał Ben-Gadiz. Jakub patrzył w okno na pokryte śniegiem pola i rysujące się na horyzoncie pasmo gór. Nie zwrócił uwagi na wchodzącego lekarza.

— Chcesz usłyszeć prawdę?

Izraelczyk odwrócił powoli głowę.

— Nie ma sensu tego odkładać. Wiesz o tym. Zresztą czytam z twojej twarzy... — powiedział.

— Mógłbym ci przynosić gorsze wieści. Nigdy już nie będziesz normalnie chodził, obrażenia są zbyt rozległe. Ale z czasem wróci ci władza w nogach. Z początku będziesz się poruszał o kulach, później, być może, wystarczy laska.

— Kłóci się to trochę z charakterem mojej pracy, prawda?

— Tak, ale głowę masz w porządku i ręce też się wygoją. Z muzykowaniem nie powi-

nienieś mieć trudności.

Jakub uśmiechnął się ze smutkiem.

— Nie byłem w tym taki dobry. Zbyt łatwo się rozpraszałem. Nie wspiałem się na takie wyżyny profesjonalizmu, jak w moim drugim wcieleniu.

— Umysł można wykorzystać i do innych celów.

Jakub ściągnął brwi i znów spojrział w okno.

— To się okaże, kiedy stwierdzimy, ilu nas tam jeszcze zostało.

— Na świecie zachodzą zmiany, Jakubie. Przebiegają bardzo szybko— powiedział lekarz.

— Co z Holcroftem?

— Co tu dużo mówić. Powinien umrzeć, a wciąż żyje. Właściwie to dla niego teraz bez różnicy. I tak nie może już wrócić do swego dotychczasowego życia. W kilku krajach jest poszukiwany za morderstwo. Wszędzie przywrócono karę śmierci za wszelkie rodzaje zbrodni, a prawo do obrony stało się parodią... Zostałby zastrzelony bez ostrzeżenia.

— A więc zwyciężyli — mruknął Jakub. Oczy zaszyły mu łzami. — *Sonnenkinder* dopięły swego.

— To się okaże — odrzekł Litvak — kiedy stwierdzimy, ilu nas jeszcze zostało.

# Epilog

Obrazy. Bezkształtne, nieostre, niepojęte i nieokreślone. Kontury odcisnięte w oparach. Tylko mglista świadomość ich istnienia, żadnej myśli, żadnych skojarzeń, tylko mglista świadomość. I nagle owe bezkształtne obrazy zaczynają nabierać form; mgła rozrzedza się, powoli nadchodzi proces rozpoznawania. Kolejnym etapem będzie myśl. To wystarcza, by widzieć i wspominać.

Noel ujrzał ją nad sobą. Kaskada jasnych włosów muskała mu twarz. Oczy miała pełne łez, które spływały po policzkach. Próbował je otrzeć, ale nie był w stanie sięgnąć do kochanej, umęczonej twarzy, która się nad nim pochylała. Ręka mu opadła, a wtedy ona ujęła ją w swoje dłonie.

— Mój kochany...

Słyszał ją. Wrócił mu słuch. Obraz i dźwięk już coś znaczyły. Zamknął oczy pewny, że wkrótce powróci też myśl.

Litvak stał na korytarzu z gazetą pod pachą i patrzył, jak Helden obmywa gąbką szyję i klatkę piersiową Noela. Przyglądał się twarzy Holcrofta, twarzy, która ucierpiała od gradu pocisków. Na lewym policzku, w poprzek czoła i szyi widniały blizny. Ale proces gojenia już się rozpoczął. Gdzieś z wnętrza domu dobiegały tony skrzypiec, zdradzające, że instrument znajduje się w rękach prawdziwego wirtuoza.

— Sugerowałbym ci podwyżkę dla tej pielęgniarki — powiedział Noel słabym głosem.

— Za co? — roześmiał się Litvak.

— Lekarzu, lecz się sam — zażartowała Helden.

— Gdybym tylko potrafił. Tyle mam do zalecenia — odparł Litvak kładąc gazetę na łóżku obok Holcrofta. Było to paryskie wydanie *Herald Tribune*. — Zdobyłem ją dla ciebie w Neuchatel. Nie jestem pewien, czy masz ochotę czytać.

— A co tam dzisiaj mamy?

— „Konsekwencje różnicy zdań”, tak bym to chyba zatytułował. Wasz Sąd Najwyższy zakazał redakcji *New York Timesa* dalszego zamieszczania wszelkich materiałów dotyczących Pentagonu. Argumentem jest, oczywiście, troska o bezpieczeństwo kraju. Wspomniany Sąd Najwyższy zatwierdził też legalność licznych egzekucji wykonanych w waszym stanie Michigan. Sąd wyraził głębokie przekonanie, że kiedy jakaś mniejszość zagraża dobru ogółu społeczeństwa, stosowanie szybkich i namacalnych środków odstraszających jest usprawiedliwione.

— Dzisiaj mniejszością jest John Smith — mruknął z wysiłkiem Noel i opuścił głowę na poduszkę. — Paf, i nie żyje.

*Tu radio BBC z Londynu; słuchają państwo serwisu informacyjnego. W związku z ogarniającą świat falą zamachów na życie czołowych osobistości politycznych, w stołkach wielu państw podjęte zostały środki bezpieczeństwa na niespotykaną dotąd skalę. Największa odpowiedzialność spada na barki władz wojskowych i policyjnych, a zapewnieniem współpracy międzynarodowej na wysokim szczeblu w tej dziedzinie ma się zająć specjalnie w tym celu powołana agencja, której siedzibą będzie Zurych w Szwajcarii. Zadaniem tej agencji, która przyjęła nazwę „Kowadło”, ma być koordynacją szybkiej, dokładnej, a jednocześnie poufnej wymiany informacji pomiędzy przedstawicielami sił wojskowych i policyjnych.*

Jakub Ben-Gadiz był w połowie scherza z koncertu Mendelssohna, kiedy jego myśli znowu pobiegły ku innym sprawom. Na łóżku pod ścianą leżał na wznak Noel Holcroft. Hel- den siedziała przy nim na podłodze.

Chirurg plastyczny, który przyleciał z Los Angeles, by zoperować tajemniczego pacjen- ta, wykonał wspaniałą robotę. Praktycznie była to wciąż twarz Holcrofta, ale niezupełnie: po bliznach, będących rezultatem ciężkich ran, pozostały jedynie ledwo widoczne wgłębienia, jakby dotknęło go dłuto rzeźbiarza. Pogłębiły się bruzdy na czole, wyraźniejsza stała się rów- nież siateczka zmarszczek wokół oczu. W tej odtworzonej, lekko podretuszowanej twarzy nie było śladu niewinności. Pojawił się w niej za to cień okrucieństwa. A może nawet więcej niż cień.

Poza tym Noel postarzał się. Proces ten przebiegł szybko i boleśnie. Minęły dopiero cztery miesiące od dnia, kiedy zabrali go z wraku samochodu rozbitego na drodze do Frybur- ga, ale patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że od tamtego czasu upłynęło co najmniej dziesięć lat.

Mimo wszystko żył, a jego ciało powoli wracało do formy dzięki troskliwej opiece Hel- den i rygorowi nie kończących się ćwiczeń zaaplikowanych mu przez Litvaka, nad których sumiennym wykonaniem czuwał jeszcze bardziej bezwzględny komandos z Har Sha'alav.

Jakub czerpał przyjemność z prowadzenia tych sesji. Wymagał doskonałości i Holcroft spełniał te wymagania. Z rozpoczęciem prawdziwego szkolenia sprawnościowego trzeba było zaczekać do odzyskania przez Noela pełni sił fizycznych.

Rozpocznie się ono jutro. Wysoko pośród wiosennych wzgórz i w górach z dała od wścibskich oczu, ale za to pod surowym nadzorem Jakuba Ben-Gadiza. Wychowanek będzie potrafił to, do czego mistrz nie jest już zdolny. Wychowanek przejdzie przez piekło zaostrzo- nych rygorów, by w rezultacie prześcignąć mistrza.

A zaczną jutro.

### *Deutsche Zeitung*

*Berlin, 4 lipca — Bundestag wyraził dzisiaj formalną zgodę na zakładanie ośrodków resocjalizacji wzorowanych na podobnych zakładach działających już w Ameryce, w stanach Arizona i Teksas. Ośrodki te, podobnie jak ich amerykańskie odpowiedniki, będą prowadziły działalność przede wszystkim edukacyjną i pozostaną pod kontrolą wojska.*

*Na resocjalizację skazywane są osoby uznane przez sądy za winne zbrodni przeciwko narodowi niemieckiemu...*

- Drut! Lina! Łańcuch!
- Rób użytek z palców! To twoja broń, pamiętaj o tym...
- Włóż z powrotem na drzewo, byłeś za wolny...
- Wejdź na szczyt tego wzgórza i zejdź tak, żebym cię nie zauważył...
- Widziałem cię. Rozwaliłem ci łeb!
- Uciskaj nerw, nie żyłę. Masz pięć takich punktów zakończeń nerwowych. Znajdź je. Z zawiązanymi oczami. Wymacaj je...
- Wychodź z upadku przewrotem, nie kucaj...
- Każde działanie musi mieć inny wariant, właściwą opcję trzeba wybrać w oka- mgnieniu. Naucz się myśleć w tych kategoriach. Instynktownie.
- Celność jest kwestią prawidłowego złożenia się do strzału, pozostawienia w bezru- chu i kontrolowania oddechu. Strzelaj jeszcze raz, siedem pocisków; wszystkie muszą się zmieścić w kręgu o promieniu pięciu centymetrów...
- Uciekaj, uciekaj, uciekaj! Wykorzystuj otoczenie, wtapiaj się w nie, Nie obawiaj się zatrzymać i pozostać w bezruchu. Człowieka nie poruszającego się zauważa się często, kiedy jest już za późno...

Minęły letnie miesiące. Jakub Bez-Gadiz był w pełni usatysfakcjonowany. Uczeń przerażał teraz swego mistrza. Był gotowy.

Tak samo jak jego przyjaciółka; ona także była gotowa. Stworzą zespół.  
Celem były *Sonnenkinder*. Przystudiowano już zdobytą listę.

### ***The Herald Tribune***

*Paryż, 10 października — Międzynarodowa agencja z siedzibą w Zurychu znana pod nazwą „Kowadło” powiadomiła dzisiaj o utworzeniu niezależnego Zespołu Doradczego, wyłonionego w tajnych wyborach spośród przedstawicieli wszystkich krajów członkowskich.*

*Pierwszy kongres agencji „Kowadło” rozpocznie się 25 bieżącego miesiąca...*

W zuryskiej dzielnicy Lindenhof, ulicą biegnącą wzdłuż lewego brzegu rzeki Limmat, szło dwoje ludzi. Mężczyzna był dość wysoki, ale lekko przygarbiony. Wyraźnie utykał, co utrudniało mu lawirowanie w tłumie. Dodatkową przeszkodę stanowiła niesiona przez niego mocno sfatygowana walizka. Kobieta trzymała go pod ramię, powodowana bardziej koniecznością pomocy kalece niż uczuciem. Nie odzywali się do siebie. Ta para miała już za sobą nie określony bliżej okres pożycia w obopólnej nienawiści.

Dotarli do biurowca i weszli do środka. Mężczyzna dokuśtykał za kobietą do wind. Zatrzymali się przed windziarzem. Kobieta zapytała ze zdecydowanie niemieckim akcentem o numer biura jakiejś małej firmy konsultingowej.

Mieściła się ona na ostatnim, dwunastym piętrze, ale ponieważ była pora lunchu, windziarz wątpił, by kogoś tam zastali. Nieważne. Zaczekają.

Wysiedli z windy na dwunastym piętrze. Korytarz był pusty.

Natychmiast po zamknięciu drzwi windy para ruszyła biegiem w stronę schodów. Po utykaniu mężczyzny nie pozostało śladu, podobnie jak znikł z jego twarzy posępny wyraz. Wbiegli co tchu po schodach prowadzących na dach i zatrzymali się na podeście. Mężczyzna postawił walizkę, ukląkł i otworzył ją. W środku znajdowała się lufa z przymocowanym do niej teleskopowym celownikiem i łożysko karabinu z pasem.

Mężczyzna wyjął wszystkie części i zmontował je, po czym zerwał z głowy kapelusz razem z wszytą w denko peruką i wrzucił go do walizki. Wstał, pomógł kobiecie zdjąć płaszcz i wyrzucił rękawy na lewą stronę.

Było to teraz dobrze skrojone, drogie, beżowe palto, kupione w jednym z lepszych odzieżowych sklepów Paryża.

Teraz z kolei kobieta pomogła mężczyźnie przewrócić na lewą stronę jego prochowiec. Zmienił się w elegancki, modny, męski płaszcz przyozdobiony zamszem. Kobieta zdjęła z głowy chustkę, wyciągnęła kilka spinek i pozwoliła bujnym, jasnym włosom spłynąć na ramiona. Otworzyła torebkę i wyjęła rewolwer.

— Zostanę tutaj — powiedziała Helden. — Pomyślnych łowów.

— Dziękuję — odparł Noel otwierając drzwi prowadzące na dach.

Przykucnął przy murku obok nieczynnego komina, przesunął ramię przez pas karabinu i napiął go. Sięgnął do kieszeni, wyjął stamtąd trzy naboje, wcisnął je w komorę i odbezpieczył broń. *Każde działanie musi mieć inny wariant, właściwą opcję trzeba wybrać w okamgnieniu.*

Nie będzie do tego zmuszony. Nie spudłuje.

Odwrócił się i ukląknął przy murku. Oparł lufę o jego szczyt i przyłożył oko do teleskopowego celownika.

Dwanaście pięter niżej, po drugiej stronie ulicy, ludzie pozdrawiali okrzykami grupę mężczyzn wychodzących właśnie przez ogromne, szklane drzwi hotelu „Lindenhof”. Delegaci wkroczyli w słoneczny blask, wokół powiewały transparenty witające uczestników pierwszego kongresu agencji „Kowadło”.

Był wśród nich. Krzyż nitek teleskopowego celownika spoczął na twarzy o regularnych rysach, tuż pod linią połyskliwych, jasnych włosów.

Holcroft nacisnął spust. Dwanaście piętér niżej piękna twarz rozprysła się w bezkształtną krwawą masę poszarpanego mięsa.

Tinamou został wreszcie zabity.

Przez Tinamou.

*Byli wszędzie. To dopiero początek.*